

GRAHAM MASTERTON

Dziewicza
podróż



GRAHAM MASTERTON

DZIEWICZA PODRÓŻ

TYTUŁ ORYGINAŁU MAIDEN VOYAGE

PRZEŁOŻYŁ PIOTR KUŚ

„...Zapamiętacie Państwo na zawsze ten romantyczny widok fosforyzujących fal, lśniących wszystkimi barwami tęczy i rozpryskujących się na tysiące małych perełek i diamentów po uderzeniu w burty statku. Zapamiętacie, z jaką ochotą Wasza wybranka spełniać będzie wszystkie Wasze życzenia, pragnąc Was zadowolić, pragnąc pozostawić po sobie w Waszych umysłach jedynie romantyczne i radosne wspomnienia. Zapamiętacie jeszcze wiele innych wspaniałych rzeczy, nie mamy co do tego żadnych wątpliwości”.

Reklama Cunarda

PODZIĘKOWANIA

Autor pragnie podziękować prezesowi oraz zarządowi Keys Shipping Line Ltd za ich ceną i pełną cierpliwością współpracę, okazaną podczas przygotowywania tej książki. Dziękuję także Benney Memorial Library w Bostonie, w stanie Massachusetts, za udostępnienie treści listów i dokumentów Marka Beeneya.

Dziękuję również Constance Spratt, która tak wiele wysiłku włożyła w przepisanie manuskryptu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy przybyli, aby oznajmić, że tej nocy zmarł jej ojciec, przebywała właśnie w kuchni, przygotowując cynamonowe tosty. Była zupełnie naga, bo przecież za ubranie nie można uważać ani aksamitnych, różowych domowych pantofli, ani wstążki we włosach. Do kuchni wszedł Nigel w turkusowym szlafroku i powiedział poważnym głosem:

— Lepiej włóż coś na siebie. Czekają na ciebie pan Fearson. Mówi, że ma bardzo smutną wiadomość.

Najprawdopodobniej była to ostatnia beztraska chwila jej radosnej młodości. Nigel zapamiętał

ten moment do końca życia, pamiętał go nawet wtedy, gdy był już żonaty z Penelope i mieszkał

w hrabstwie Oxford, w towarzystwie małżonki, trzech kucyków, kaczki i dwóch stanowczo zbyt grubych córek — bliźniaczek. Widział go tak wyraźnie, jakby przyglądał się prześlicznej kartce pocztowej: Catriona, stojąca przy kuchence gazowej marki „New World”, z bladą twarzą zwróconą w jego kierunku, z nieco skośnymi oczyma, w których z sekundy na sekundę zaczynała pojawiać się coraz większa niepewność, z ciemnymi, odrobinę kręcącymi się włosami, związanymi z tyłu, i młodzieńskim ciałem o wspaniałych kształtach, na które padały przez okno ciepłe promienie słońca. Była godzina jedenasta rano w czwartek, 12 czerwca 1924 roku.

Wspaniały dzień, szczególnie gdy się ma dwadzieścia trzy lata i jest się zakochanym, i to w takiej dziewczynie jak Catriona. Miała wagę i figurę swojej matki — wysoka, o dużych piersiach, aż za dużych, jak na modę obowiązującą w roku 1924, i o zbyt wąskich biodrach. Bez wątpienia była jednak najpiękniejszą dziewczyną, jaką Nigel kiedykolwiek spotkał; uważał, że jest nawet ładniejsza niż bogini piękności tamtych czasów, Rosebud Wilkinson. Nie mógł oderwać od niej wzroku, gdy naga przechodziła przez kuchnię, ściągała z oparcia krzesła różowy, aksamitny porannik i powoli się nim okryła.

— Cat, najdroższa. — Objął jej ramiona. Przyłgnąwszy do niej, wyczuł pod aksamitem miękkie, okrągłe piersi. — Mam nadzieję, że to nic straszego.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Nigel przez chwilę stał bez ruchu z zaciśniętymi ustami, jakby wahając się, wreszcie otworzył przed nią drzwi. Przez sekundę lub dwie stał

jeszcze w progu, po czym ruszył za Catrioną, uprzednio starannie przyglądziwszy swe jasne włosy. Wiedział, że wiadomość, z którą przybył do Catriony pan Fearson, jest bardzo poważna.

Był wściekły, że jego ukochana Cat musi jej wysłuchać właśnie tego pięknego poranka. Było to jednak nieuniknione. Zdawał sobie sprawę, że Fearson przenigdy nie przyszedłby do jego domu, gdyby nie chodziło o coś śmiertelnie ważnego.

Pan Fearson, razem z panem Thurrockiem, czekali w salonie. Na tle złoto—czarnej tapety na ścianach, starannie i elegancko ubrani, wyglądali tutaj niczym przybysze z innego świata, albo co najmniej z innej epoki, bardzo odległej, takiej, w której nie znano jeszcze aksamitnych poranników i kolorowych wstążek do wiązania włosów, a suknie, noszone przez kobiety, musiały sięgać poniżej kostek. Ani Fearson, ani Thurrock nie skorzystali z zaproszenia Nigela i nie usiedli. Nic dziwnego: na jednym fotelu walały się resztki jakiejś garderoby, a na drugim straszły okruchy chleba i talerz ze zduszonym niedopałkiem papierosa.

— Słucham panów — odezwała się Catrioną. — Jestem zaskoczona, że was tutaj widzę.

Fearson stał wyprostowany sztywno, z czarnym płaszczem wciąż zapiętym pod szyję.

— Proszę pani, to nie jest towarzyska wizyta — powiedział. — Przyjechaliśmy pierwszym porannym pociągiem — dodał, wbił spojrzenie w ziemię i niepewnie odchrząknął. —

Początkowo zastanawialiśmy się, czy do pani nie zatelefonować lub nie wysłać telegramu; pani matka stwierdziła jednak, że najmądrzej będzie, jeżeli przekażemy pani tę wiadomość osobiście.

Przykro mi, ale to bardzo zła wiadomość. Pani ojciec zmarł. Zmarł na atak serca, wczoraj, krótko przed północą.

— Mój ojciec zmarł? — powtórzyła Catriona. — Nie rozumiem.

— Cat, moja najdroższa — westchnął Nigel. Podeszedł do niej i spróbował ją objąć, ale odsunęła jego ramię. Poczula, że łzy napływają jej do oczu, jednak nie pociekły po policzkach, a jedynie sprawiły, że obraz Fearsona i Thurrocka stał się o wiele mniej wyraźny. Jak to możliwe, że ci dwaj

mężczyźni przyszedli do niej z tak straszną wiadomością? Przecież za oknem jasno świeci słońce, wesoło śpiewają ptaki, samochody jeżdżą bez przerwy, a jej ojciec zmarł i już nigdy tego wszystkiego nie zobaczy? Nie, to nie może być prawda.

— Matka pani poprosiła, abyśmy zabrali panią — powiedział Fearson cichym głosem.

Pociągnął nosem; minę miał bardzo nietęgą.

— Jutro przyjedzie cała pani rodzina — dodał Thurrock. — Kuzyni i reszta.

— Czy to się odbyło szybko? — zapytała Catriona.

Fearson zamrugł oczyma. Najwyraźniej nie zrozumiał jej pytania.

— Czy to długo trwało? — Catriona powtórzyła. — Chodzi mi o atak serca.

— Och, nie — odparł Fearson. — Bardzo krótko. Pani ojciec zgasł nagle, niczym zdmuchnięta świeczka, jak powiedział doktor Whitby. W jednej sekundzie był jeszcze z nami, a w następnej już w ramionach Stwórcy.

Catriona dotknęła opuszkami palców wilgotnych oczu. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć.

— Przykro mi, proszę pani — powiedział Fearson. — Proszę przyjąć wyrazy najszczerzego współczucia. Pragnę też zapewnić, że śmierć pani ojca jest ogromną stratą dla nas wszystkich.

— Tak, tak, oczywiście — powiedziała Catriona z westchnieniem. Popatrzyła na Fearsona i na jej ustach pojawił się na krótką chwilę smutny uśmiech. — Najgorsze jest to, że kiedy widziałam ojca ostatni raz, strasznie się pokłóciliśmy.

— Podobno gdy ojciec i córka bardzo się lubią, często się sprzecząją — odezwał się Thurrock.

— To jest tak samo jak z magnesami. Identyczne bieguny odpychają się, a przeciwne przyciągają.

— Tak — odparła Catriona. Nie do końca rozumiała, co Thurrock ma na myśli.

— Napijesz się czegoś? — zapytał ją Nigel zaniepokojony. — Filiżankę kawy? A może kieliszek brandy? Jesteś blada jak mumia Tutenhamona.

— Nalej mi dzinu — powiedziała. Nagle szczerzej otuliła się porannikiem, jakby w pokoju zrobiło się zimno. — I przynieś szklankę na górę. Muszę się spakować.

Nigel popatrzył pytająco na Fearsona i Thurrocka. Fearson wzruszył ramionami. Któż mógł w tej chwili pomóc Catrionie, i w jaki sposób? Można jej było tylko współczuć. Wyszła z salonu i po chwili mężczyźni usłyszeli jej kroki na schodach.

— No, cóż — westchnął Nigel. — Może panowie czegoś się napiją?

— Jak dla mnie, jest jeszcze trochę za wcześnie — odparł Thurrock.

Nigel podszedł do barku i napełnił dzinem pół szklaneczki przeznaczonej do martini.

— Chyba mieliście wczoraj wesoły wieczór — zauważył Fearson, omiatając wzrokiem nie posprzątany pokój.

— Słucham? Och, nie, nic z tych rzeczy. Przyjmowaliśmy zaledwie kilkoro przyjaciół. Trochę popiliśmy — odpowiedział mu Nigel.

— Dobrze się bawicie tutaj w Londynie, prawda?

— Żeby pan wiedział. Cat, to znaczy, panna Keys, bardzo lubi takie życie.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Wygląda na to, że będziecie musieli przełożyć dziewiczą podróż „Arcadii”, prawda? O ile wiem, miała wypłynąć w przyszłym tygodniu — odezwał się Nigel.

— Wypłynie we wtorek — powiedział Fearson.

— Mimo wszystko?

Fearson wbił spojrzenie w Nigela.

— Myślę, że pan Keys życzyłby sobie tego. Podobnie uważa wdowa po nim, a proszę zauważyć, że w tej chwili najwięcej zależy właśnie od niej.

— Ale to jednak straszny zbieg okoliczności, nie sądzi pan? Oto ma wypłynąć w morze największy statek pasażerski od czasów „Titanica”, a jego właściciel umiera niecały tydzień przed pierwszą podróżą. To zły znak...

— Proszę pana, znajduje się pan we własnym domu — zauważył Fearson — i może mówić, co się panu tylko podoba.

Nigel popatrzył na niego ostro. Sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie się zastanawia, czy natychmiast nie wyrzucić nieproszonego gościa za próg. A jednak podniósł jedynie szklaneczkę z dzinem i powiedział:

— Rozumiem.

— Czy zechce pan poprosić pannę Keys, żeby się pośpieszyła? — zapytał Fearson.

— Postaram się, aby nie kazała panom czekać dłużej, niż to jest konieczne.

— Będę zobowiązany — odparł Fearson z uśmiechem.

Znalazłszy się na górze, w tonącej w promieniach słonecznych sypialni, Nigel postawił dzin na toalecie i powiedział do Catriony:

— Cholernie zarozumiały jest ten twój Fearson.

Na łóżku leżała duża walizka, w której Catriona upychała właśnie białą spódniczkę tenisową.

Nigel poczuł wzbierającą w nim irracjonalną złość.

— Sądzę, że nie potrafisz odpowiedzieć mi na pytanie, kiedy powrócisz?

Potrząsnęła głową.

— Pogrzeby nie trwają zbyt długo — zauważył. — To znaczy, gdy ktoś umrze, nie można zwlekać w nieskończoność z pochowaniem go...

— Nigel — powiedziała ostrzegawczo. Rozpoznał ten ton i zamilkł. Zanim Catriona pojawiła się w jego życiu, nie przypuszczał, że czasami zdarza mu się powiedzieć coś nie pasującego do sytuacji. Brak odpowiedzialności za słowa dodawał mu czaru. Spędził z Catriona wspaniałe chwile, jednak to ona dzień po dniu uświadamiała mu, jak bardzo brakuje mu ogłady. Gdyby jej nie poznał, nie wiedziałby nawet, iż jego ostatnie słowa były całkowicie nie na miejscu.

— Zadzwonisz do mnie, kiedy dotrzesz do domu? — zapytał.

Popatrzyła na niego.

— Nie wiem. Być może. Naprawdę tego chcesz? Odwrócił się do lustra i popatrzył na swoją sylwetkę.

— Zrobisz, co będziesz uważała za stosowne — powiedział bardziej do swojego odbicia niż do niej.

Przerwała pakowanie. Podeszła do niego, chwyciła jego dłonie i pocałowała go w oba policzki, a potem w usta, powoli, nie śpiesząc się, bardzo, bardzo czule.

— Uważasz, że odchodzę na zawsze, prawda? — zapytała go cicho.

Odwrócił wzrok. Jego największym marzeniem w tej chwili było nie rozplakać się.

— Rzeczywiście, coś takiego przyszło mi do głowy.

— Nie smuć się — powiedziała. — Wiesz, dlaczego zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia? Między innymi dlatego, że wyglądałeś na faceta, który nigdy nie poddaje się smutkowi.

— Hmm... — odchrząknął.

— Tak. A poza tym jesteś sławny. Czego więcej może chcieć dziewczyna?

— Sławny? — powtórzył z ironią w głosie. — Dwie małe rôle w podrzędnych musicalach na West Endzie i uważasz mnie za sławnego? Moja droga, nazwisko Nigela Myersa znają być może stali bywalcy barów w Queen's Elm, ale nikt więcej!

Catriona pogłaskała go po nie ogolonym policzku.

— Jeszcze nigdy nie byłeś taki skromny — zauważyła. — Coś się za tym kryje, prawda?

— Dlaczego tak uważasz? Opuściła dłoń. Milczała.

— Być może próbuję namówić cię, żebyś wróciła do mnie tak szybko, jak to tylko będzie możliwe — powiedział.

— Muszę dopilnować, aby moja matka miała właściwą opiekę.

Nigel westchnął.

— Tak, oczywiście. Kiedy więc powinienem spodziewać się ciebie z powrotem? W dwudziestym dziewiątym?

— Nigel, przeżyliśmy razem wiele wspaniałych chwil.

— Teraz już wiem, że nie wrócisz.

Odwróciła się od niego i podeszła do łóżka, na którym leżała do połowy spakowana walizka.

Dziwne, ale Catriona doskonale zdawała sobie sprawę, od samego początku, że jeśli kiedykolwiek opuści Nigela, nigdy już do niego nie powróci. I to wcale nie dlatego, że go nie kochała; wręcz

przeciwnie, kochała go z całego serca. Był wspaniałym chłopakiem i kochankiem, i znał w Londynie każdego, kogo warto było znać. A jednak Catriona miała już dwadzieścia jeden lat i rodzina, która ją wychowała, mimo buntowniczej postawy, jaką prezentowała przez ostatnie kilka lat, wołała ją właśnie z powrotem. Rozumiała, że kończą się jej młodzińcze, beztroskie lata. Nie przyszło jej nawet do głowy, że resztę życia może spędzić pomiędzy aktorami.

— Obiecuję ci, Nigel — powiedziała. — Będę się z tobą kontaktowała. Naprawdę ci to obiecuję.

Nigel patrzył na nią przez chwilę, a potem zrobił obrażoną minę. Był to wyćwiczony, teatralny gest i Catriona zdawała sobie z tego sprawę, jednak Nigel wolał ukryć przed nią, co rzeczywiście w tej chwili czuje.

— Nie rób żadnych obietnic. A właściwie obiecuj mi tylko jedno: że zawsze będziesz szczęśliwa i nie zwiążesz się na całe życie z bałwanem, który nie będzie umiał docenić, jaki skarb przypadł mu w udziale.

Catriona zapakowała do walizki kolejną sukienkę. Słowa nie chciały już przechodzić jej przez

gardło. Gdyby teraz się odezwała, rozplakałaby się, a bardzo pragnęła tego uniknąć. Chciała pozostawić Nigela w przekonaniu, że opuszcza go dzielna, z podniesioną głową, i że zawsze pozostaną przyjaciółmi. Gdy jednak przypomniawszy sobie, jak biegali razem po Box Hill w sierpniowe popołudnia, jak pili piwo i jedli kanapki w małych wiejskich pubach, nie wytrzymała.

Ogarnął ją taki smutek, iż wbrew jej woli ciężkie łzy spłynęły po jej policzkach.

— Już lepiej idź, kochanie — odezwał się Nigel. — Nie chcę, żeby nasze rozstanie było trudniejsze, niż być musi.

Pokiwała głową i wrzuciła na wierzch walizki szminki i inne kosmetyki.

— Zniosę na dół walizkę — powiedział Nigel.

Fearson i Thurrock zdążyli tymczasem przejść do holu; zniecierpliwiony Fearson trzymał dłoń na klamce przy drzwiach wyjściowych. Przed domem stała taksówka; kierowca spokojnie czytał

„Daily Mirror”. Fearson ujął Catrionę — nę pod ramię i powoli sprowadził ją po schodach.

Thurrock wyciągnął dłoń w kierunku Nigela, chcąc od niego odebrać walizkę, jednak ten uparł się, że osobiście zanieśnie ją do taksówki.

— Trzymaj się, najdroższa — powiedział, kiedy taksówkarz otworzył drzwi, a Catriona pochyliła się, żeby wejść do samochodu.

— Ty też — wyszeptwała i opadła na siedzenie. Za nią wsiadł Fearson, a na końcu Thurrock, który na pożegnanie uklonił się Nigelowi.

Nigel stał na skraju chodnika, gdy taksówka ruszyła i włączywszy się do ruchu, skierowała ku Sloane Street. Tylne okno samochodu wykonane było z przyciemnionej szyby, nie mógł więc patrzeć na Catrionę w chwili, gdy odjeżdżała z jego życia; nie zobaczył nawet zarysu jej kapelusza. Z ciężkim westchnieniem odwrócił się i wszedł do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Catriona powróciła do domu, jej matka wypoczywała w pokoju dziennym. Siedziała w szerokim wiklinowym krześle, obłożona stanowczo zbyt wieloma poduszkami, a na oczach miała ciemne okulary przeciwsłoneczne, niewątpliwie po to, aby ukryć przed otoczeniem oczy opuchnięte od płaczu. Właśnie wypijała filiżankę herbaty, nie mogła jednak ruszyć sałatki, którą specjalnie dla niej przygotowała kucharka.

Pokój dzienny w tym domu był zawsze jej pokojem; w sumie niewielki, miał jednak duże, szerokie okna, wychodzące na stopnie, którymi schodziło się prosto do ogrodu. W

przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń w domu, w tym pokoju nie było na ścianach ani jednego olejnego obrazu przedstawiającego statek. Dominowała tu różowa tapeta w kwiatki i lustro

w złoconych ramach.

— A więc jesteś, kochanie! — zawołała matka Catriony przez łyży, wznosząc ręce do góry. —

Och, moja droga, przywieźli cię!

Catriona przebiegła przez pokój i uklękła przed krzesłem matki. Po chwili powstała i obie objęły się czule, ale i gwałtownie. Catriona pogłaskała matkę po głowie i pocałowała ją w czoło, ona zaś łkała i drżała z bezsilności i żalu. Catriona nagle zdała sobie sprawę, że nie potrafi zrobić ani

powiedzieć nic, co pomogłoby matce, teraz, a może już nigdy. Ojciec był dla matki wszystkim, jedynym oparciem na tym świecie i jego śmierć oznaczała dla niej więcej niż stratę męża: raptowną, niespodziewaną utratę gruntu pod stopami i nieba nad głową. Była dla niej takim ciosem jak nagłe oślepienie w samym centrum obcego, nieprzyjaznego, zatłoczonego miasta.

— Bałam się, że nie zechcesz wrócić — łkała matka. Zdjęła na chwilę okulary, aby obetrzeć oczy ręką chusteczki.

— Mamo, co też ci przyszło do głowy. Przyjechałam tu bez najmniejszego wahania. —

Catriona czule uściśnęła jej dłoń. Palce matki przystrojone były kilkoma złotymi pierścionkami z szafirami i diamentami, wartymi grube tysiące funtów. Zawsze je nosiła i nie zapomniiała o nich nawet dzisiaj. Suknię włożyła jednak prostą i, co było niepodobne do niej, czarną. Matka zawsze wyglądała tak, jak Catriona spodziewała się wyglądać za dwadzieścia lat, i jej czarny strój wzmacniał w tej chwili to wrażenie; czarno — biała fotografia z przeszłości.

— Czy jest tutaj Isabelle? — zapytała Catriona. — Widziałam crossleya parkującego przed domem.

— Pan Fearson pierwszy telegram wysłał właśnie do niej — odparła matka. — Je teraz kolację, razem z panią Brackenthorpe. Jest dla mnie taka miła... Zresztą wszyscy są dla mnie mili i bardzo mi współczują. Ale twój biedny ojciec, kochanie... To straszne. Taki młody, tak pełen życia...

— Uspokój się, mamusiu — powiedziała Catriona, ale ona jakby jej nie słyszała.

— Chodził do kościoła tak regularnie jak mało kto, w każdą niedzielę. I zawsze przyjmował

komunię świętą. Dlaczego Pan postanowił zabrać go do siebie w tak młodym wieku? Przecież on miał tylko pięćdziesiąt trzy lata! Przeżył zaledwie dwie trzecie życia. Pomyśleć tylko o tych wszystkich grzesznikach i złoczyńcach, którzy dożywają sędziwych lat, przez całe życie nawet nie przekraczając progu kaplicy. Przez cały dzień zadawałam sobie jedno pytanie: dlaczego Pan zabrał do siebie tak wiernego sługę w tak młodym wieku?

Catriona wyprostowała się i poprawiła sukienkę.

— Mamo — niemal wyszeptała — spróbuj trochę odpocząć. Nie ma już sensu rozmyślać, dlaczego tatuś zmarł. Teraz musisz myśleć przede wszystkim o sobie. Wiem, że on właśnie tego by chciał.

— Skąd to wiesz? On przecież nigdy żadnej z nas nie mówił, czego chce. Po prostu był, żył dla nas.

— Mamo, odpocznij. Zobaczą, może Isabelle będzie miała jakiś środek nasenny, który pozwoli ci zasnąć.

— Mam spać? Jak ja mogę teraz spać? Ostatnim razem, kiedy zasnęłam, obudziłam się tylko po to, aby dowiedzieć się o śmierci człowieka, którego kochałam całym swoim sercem. Nie chcę już nigdy więcej spać.

— Mamo — powiedziała Catriona i znów przytuliła się do niej. — Mamo, ja cię kocham.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Isabelle. Niosła talerz, na którym leżały kawałki ciasta jagodowego i jabłecznika. Gdy zobaczyła nie zjedzoną sałatkę i Catrionę, przywitała się tonem urażonej pielęgniarki, która właśnie przekonała się, że wszystkie jej wysiłki nad chorym zostały zniweczone przez nieodpowiedzialnego krewnego. Isabelle była młodszą siostrą matki, jej drobniejszą, bardziej kościstą i surowszą wersją, o krótszych włosach, ostrzej zarysowanym nosie i mniejszych piersiach.

— Musisz od czasu do czasu coś zjeść, moja droga — powiedziała po chwili. — Kucharka przechodzi samą siebie, żeby przygotować ci coś lekkiego i smacznego. Catriono, jestem zdziwiona, że widzę cię tutaj z powrotem tak prędko.

— Zmarł mój ojciec — zauważyła Catriona suchym tonem. Isabelle zignorowała jej odpowiedź.

— Moja droga, koniecznie spróbuj zjeść tę sałatkę — nalegała. — Jeżeli jej nawet nie tkniesz, urazisz kucharkę.

Matka z niechęcią popatrzyła na tacę z jedzeniem.

— Mamo, nie musisz jeść, jeżeli nie chcesz — odezwała się Catriona. — Nie sądzę, aby ta sałatka była najlepszym antidotum na żal i smutek.

Gdy jeszcze przez chwilę matka wpatrywała się bez ruchu w tacę, nie zamierzając niczego jeść, Isabelle powiedziała:

— Skoro nie chcesz tej sałatki, powiem Gwen, żeby ją zabrała.

— Nie, ciociu Isabelle — zaprotestowała Catriona. — Najlepiej będzie, jeżeli zabierzesz tę tacę sama, i to od razu.

Isabelle zawahała się, zaskoczona tymi słowami. Po chwili jednak gwałtownie podniosła tacę.

— Mam nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, iż będziesz tutaj teraz rządziła — powiedziała ostrym głosem do Catriony. — Nie po tych twoich przygodach z aktorami. Wiem wszystko o twoich wyczynach.

— Nie martwi mnie to — odparła Catriona lekceważącym tonem.

— Sądzę, że nawet się tego nie wstydzisz.

— Przestańcie — niespodziewanie wtrąciła się matka. — Nie kłóćcie się. Przynajmniej nie teraz, nie przy mnie.

— Przepraszam cię, moja droga, uważam jednak, że nawet w najtrudniejszych chwilach pewne rzeczy trzeba sobie powiedzieć w oczy. Zdaje się, że Cat nie była przykładowie prowadzącą się córką. Nigdy nie słuchała Stanleya.

Catriona złączyła dłonie jak do modlitwy i opuściła głowę. Nie potrafiła zrozumieć goryczy, która niemal zawsze przemawiała przez Isabelle. Sprawiała wrażenie, że nienawidzi życia i ciągle odrzuca wyciągnięte ku niej ręce ludzi, którzy usiłują jej pomóc. Oczywiście, rodzina знаła przyczyny takiego zachowania. Kiedy Isabelle miała siedemnaście lat, była o wiele ładniejsza od swej starszej siostry i ciągle otaczał ją szeroki wianuszek przyjaciół. Pewnego dnia uciekła z domu z Tonym, młodym komiwojażerem, który oczarował ją swoją urodą i perspektywą majątku — zamierzał go zbić, sprzedając mydło w północnej Anglii. Niestety, Tony był teraz skromnym sprzedawcą w sklepie z gotową odzieżą w Liverpoolu i dochód Isabelle kształtował się mniej więcej na poziomie siedmiu funtów tygodniowo. Jej starsza siostra natomiast, która z biegiem czasu wyrosła na piękną i inteligentną kobietę, wyszła za mąż za Stanleya Keysa, magnata przemysłu okrętowego, jednego z najbogatszych ludzi w Anglii i właściciela wspaniałej floty statków pasażerskich; miała niemal wszystko, czego w owych czasach można było pragnąć: pięć wielkich domów z mnóstwem służby, cztery wspaniałe samochody i, oczywiście, więcej pieniędzy, niż mogła wydać. Naturalnie wspomagała czasami młodszą siostrę gotówką i cennymi upominkami — na przykład samochód marki crossley był

prezenterem urodzinowym. Gorycz Isabelle była tym większa, że nie potrafiła odmawiać przyjmowania tych podarunków.

— Cieszę się, że Catriona jest z nami — powiedziała matka do Isabelle cichym, łagodnym głosem.

— W tej chwili niczego tak nie pragnę, jak zgromadzić tutaj całą rodzinę i być pewną, że śmierć mojego męża jest wydarzeniem, które przerwie wszelkie swary, waśnie i kłótnie.

Isabelle wzruszyła ramionami.

— Najlepiej będzie, jeżeli powiem kucharce, co ma przygotować na kolację. Przypuszczam, że pan Fearson będzie jadł z nami. Przyjdzie również pan Sawyer.

— Sprawi mi to dużą przyjemność — oznajmiła matka Catriony.

— Mam nadzieję, że w domu jest dosyć kotletów — mruknęła Isabelle.

Kiedy wyszła, Catriona pogłaskała matkę po rękę.

— Przepraszam cię za nią — powiedziała matka.

— Nie musisz — odparła Catriona. — Już dawno przyzwyczaiałam się do jej zachowania.

— To nie jest jej wina, naprawdę. Potrafię zrozumieć, co ona czuje. Los często bywa bardzo niesprawiedliwy. Wątpię, czy Isabelle zdaje sobie sprawę, że chętnie oddałabym to wszystko, te domy, samochody, statki, za chociażby jeszcze jeden tylko dzień ze Stanleyem. Albo za krótką minutę. Wiesz, byliśmy za bardzo szczęśliwi. Kochaliśmy się do ostatniego dnia.

Catriona uśmiechnęła się.

— Zostaniesz dłużej? — zapytała matka. — Chyba nie musisz wracać od razu do Londynu?

— Zostanę z tobą tak długo, jak to będzie konieczne. — Ale chyba nikt tam na ciebie nie czeka? Na przykład ten chłopak, aktor, Terence?

— Nigel, mamó.

— Ach, tak, Nigel. Czy on czeka na ciebie?

Catriona podeszła do okna. Na zewnątrz było już ciemno i ujrzała w szybie swe własne odbicie. Wyglądała jak zagubiona podróżniczka, która stoi przed domem, nieśmiała, i boi się zapukać.

— Zostawiłam Nigela.

— Na zawsze?

— Myślę, że tak.

Matka odwróciła się i popatrzyła na córkę ze współczuciem, mimo że to, co przed chwilą usłyszała, było dobrą wiadomością. Przygody Catriony z młodymi mężczyznami stanowiły od dawna największe zmartwienie rodziny, Stanley Keys jednak zbyt mocno kochał córkę, aby podejmować jakieś gwałtowne kroki w celu zmiany jej sposobu życia. Mimo że od ukończenia piętnastu lat, a więc od chwili, gdy została przyłapaną w łóżku ze swoim nauczycielem francuskiego, nie otrzymywała prezentów urodzinowych, ojciec posyłał jej zawsze dosyć pieniędzy, by wystarczało jej na hulaszczkę, jak na owe czasy, życie, które prowadziła w Londynie.

Catriona zamyśliła się. Zapewne Nigel nigdy się nie dowie, jak bardzo go kochała, jak trudno było jej od niego odjeżdżać. Westchnęła ciężko. Musi o nim zapomnieć.

— Nigel był miłym chłopakiem, prawda? — zapytała matka łagodnym tonem. — Mam nadzieję, że dobrze cię traktował.

Catriona posłała matce smutny uśmiech.

— Tak, mamó, był dla mnie dobry i miły. Uwielbiał mnie, poza tym to wspaniały aktor.

Gdybyś zobaczyła go na scenie, nie uwierzyłybyś, że to ten sam człowiek, którego znasz.

— No cóż. — Matka nie wiedziała, co powiedzieć. W jej oczach wciąż błyszczały łzy. —

Catriono...

— Zostanę z tobą, mamó, nie bój się.

— Wiesz, pomyślałam o statku. Tak mi smutno z jego powodu, dziecko. To najpiękniejszy liniowiec pasażerski, jaki kiedykolwiek zbudowano, a twój ojciec, jego właściciel i budowniczy, zmarł zaledwie na tydzień przed jego pierwszą podróżą.

— Wiem, mamó — wyszeptała Catriona. — Ten statek jest najwspanialszym pomnikiem, jaki ojciec mógł po sobie pozostawić. Gdy ktokolwiek będzie mówił o „Arcadii”, zawsze będzie miał na myśli Stanleya Keysa, człowieka, który ją zbudował.

Podniosła wzrok i popatrzyła na fotografię ojca stojącą na stole w srebrnej ramce. Uśmiechał się do obiektywu, ufnym, jasnym uśmiechem człowieka, który jest zadowolony z siebie i z życia i spokojnie patrzy w przyszłość.

ROZDZIAŁ TRZECI

Edgar Deacon przybył późno, dopiero piętnaście po dziewiątej, kiedy wszyscy siedzieli już przy wieczornym posiłku. Wszedł prosto do obitej mahoniową boazerią jadalni, nie rozebrawszy się nawet z płaszcza. Podeszedł do Catriony i ucałował jej dłoń, następnie skinął głową Isabelle i powiedział:

— Dobry wieczór, Percy — do Fearsona.

Zrzuciwszy palto, zasiadł na przygotowanym dla niego miejscu przy stole i starannie zaczął zakładać serwetkę pod brodą. Wciąż zapłakana Lettice, służąca w domu Keysów, podeszła do niego i zaczęła nalewać mu na talerz zupę pomidorową. Po krótkiej chwili uniósł rękę na znak, że to zupełnie wystarczy.

— Trudno spodziewać się, abym w takim dniu jak dzisiejszy miał wielki apetyt — zauważył i wzięwszy solniczkę, posolił zupę. Dopiero wtedy zamieszał w niej łyżką i posmakował. — Zbyt wiele smutnych obowiązków spełniłem dzisiaj — dodał i popatrzył na Catrionę. — Moja droga, trudno mi wyrazić słowami, jak bardzo ci współczuję. Śmierć twego ojca jest dla nas wszystkich ogromnym szokiem. Przyjmij jednak moje najszczerze kondolencje. Uwierz mi, uważałem twój ojca za wyjątkowego, wspaniałego człowieka.

Catriona zdobyła się na słaby uśmiech. Nigdy nie zdołała wyrobić sobie opinii o Edgarze Deaconie, chociaż odnosiła wrażenie, że jej ojciec ufał temu człowiekowi bezgranicznie.

— To wcielony szatan, jeżeli chodzi o interesy — mawiał o nim. — Chociaż tego po nim nie widać, lubi ryzyko i często je podejmuje. I zwykle dobrze na tym wychodzi.

Edgar Deacon już od czterech lat był naczelnym dyrektorem Keys Shipping. Wcześniej zarządzał fabryką. Stanley Keys spotkał go w Indiach, podczas swej pierwszej długiej podróży w interesach, którą odbył po wojnie; badał wówczas możliwości dynamicznego rozwoju kompanii i jego potencjalne kierunki. Wojna, która miała dać kres wszystkim wojnom, zakończyła się i Stanley Keys wpadł na pomysł kompanii, która dysponując wieloma liniowcami pasażerskimi, przewoziłaby w luksusowych warunkach bogatych ludzi, podróżujących dla przyjemności bądź

w interesach pomiędzy wszystkimi portami świata, od tak nowoczesnych jak Antwerpia, po egzotyczne jak Surabaja.

W miarę jak Stanley Keys rozbudowywał swoją flotę, on i Edgar stawali się sobie bliżsi.

Pracowali razem całymi dniami i niemal codziennie jadali wspólnie lunch. Współpracowali tak ściśle, że czasami inni dyrektorzy, jak choćby Percy Fearson, odnosili wrażenie, iż Keys Shipping jest kompanią należącą do dwóch ludzi. Edgar pracował jednak tak intensywnie, jakby zapas jego sił nigdy nie miał ulec wyczerpaniu: był niezmordowany, punktualny, kompetentny i niczego nie odkładał na później.

Nigdy nie widziano go z kobietą. Mimo że Thurrock mawiał półgębkiem, iż jest on „jednym z tych”, nie było żadnych podstaw, by uważać Edgara za homoseksualistę, a Fearson twierdził

wręcz, że o wiele bardziej interesuje go praca niż flirty. Mieszkał samotnie, w najlepszej części Formby, w prostym, chociaż luksusowym domu o szarych murach. Był chudy i miał czarne, zawsze starannie uczesane włosy oraz zapadłe policzki; trochę przypominał Sherlocka Holmesa z jednego z rysunkowych portretów, które publikował „The Strand Magazine”. Używał okularów do czytania i palił dość dużo papierosów. Nosił je w papierośnicy, którą kupił w Kalkucie, wyjeżdżając z Indii, i do której był bardzo przywiązany.

— Naprawdę z dużą niechęcią będę rozmawiał dzisiaj wieczorem o interesach — odezwał się, przełamując na pół pszenną bułeczkę. — Jednak, niestety, o kilku sprawach musisz dowiedzieć się najszybciej, jak to tylko możliwe — powiedział do Catriony.

— Przecież ja nie mam najmniejszego pojęcia o interesach — zauważyła Catriona.

— Mimo wszystko są to tak ważne rzeczy, że trzeba o nich wspomnieć.

Catriona popatrzyła na Percy’ego Fearsona. Czując jej spojrzenie, Fearson delikatnie skinął

głową. Właściwie nie miała nic przeciwko wysłuchaniu Deacona; była w tej chwili spokojna i wiedziała, że potrafi trzeźwo myśleć. Tego wieczoru włosy miała zaczesane do tyłu i związane na karku sznurem pereł, który pożyczyła jej matka. Ubrana była w czarną, jedwabną suknię z krótkimi rękawkami, ozdobioną na piersiach małą perłową broszką. Ojciec zapewne uznałby sukienkę za zbyt krótką w tak smutnym dniu jak dzisiejszy. Podświadomie Catriona odczuwała zawód, że nie ma już nikogo, kto by na to zwrócił uwagę.

— Cóż, panno Keys, twój ojciec był wielkim człowiekiem — odezwał się Edgar. — Jednym z tych

niewielu ludzi, którzy zyskują sławę jeszcze za życia. Jeżeli ktoś napisze kiedyś historię wielkich statków pasażerskich, nazwisko pani ojca wymienione będzie obok takich nazwisk jak Ismay, Cunard czy Ballin.

Isabelle, która właśnie unosiła do ust kawałek kotleta, popatrzyła nad stołem na Edgara i uśmiechnęła się nieznacznie, chcąc pokazać, iż ona również uważa Stanleya Keysa za bohatera naszych czasów. Szanowała i podziwiała Edgara Deacona, i w głębi duszy żałowała, że nie może już związać się z tym wspaniałym człowiekiem. Pewnej nocy nawet jej się przyśnił. We śnie Edgar zdierał jej majtki i robił z nią to, czego Tony nigdy w życiu nie potrafił. Bo Tony, jej mąż, był kiepski w łóżku, nawet wtedy, gdy wracał do domu trzeźwy.

— Nie rozmawiałem jeszcze z twoją matką — powiedział Edgar. — Uznałem, że ze wszystkimi sprawami finansowymi powinienem zapoznać ją dopiero po pogrzebie.

— Oczywiście, jest bardzo przygnębiona — westchnęła Catriona. — Doktor Whitby dał jej niedawno środki uspokajające i teraz, na szczęście, śpi, mimo że jeszcze kilka godzin temu przysięgała mi, że już nigdy w życiu nie zaśnie.

— Sen jest najlepszym lekarstwem na wszystko — zauważył Edgar. — A jak ty się czujesz?

Czy nie jesteś zanadto zmęczona po długiej podróży do Formby z Londynu?

— Jestem przede wszystkim smutna. Myślę jednak, że jeszcze na dobre nie dotarł do mnie rozmiar tragedii, która mnie spotkała.

— W najbliższych dniach musisz być bardzo ostrożna i nie możesz pozwolić, aby zanadto zawładnęły tobą emocje. W ciągu nadchodzących tygodni będziesz nam bardzo potrzebna. Po swej matce jesteś kolejną dziedziczką Keys Shipping, a poza tym śmierć twego ojca sprawiła, że już teraz jesteś właścicielką całkiem pokaźnego pakietu akcji kompanii.

Catriona popatrzyła na niego uważniej ponad brzegiem wysokiego kieliszka do wina, który po chwili ostrożnie odstawiła na stół. Było jasne, że oczekuje, iż Edgar dokładnie wyjaśni, do czego będzie potrzebna i dlaczego.

Edgar spokojnym ruchem jeszcze raz podniósł do ust łyżkę z zupą, po czym wyprostował się.

— Odbyliśmy dzisiaj nadzwyczajne zebranie zarządu kompanii — powiedział. —

Omawialiśmy trudności, które gnębiły nas już od dłuższego czasu, trudności, z którymi jednak skutecznie radziliśmy sobie, kiedy żył Stanley. Niestety, przedwcześnie i tragicznie, opuścił nas.

Straciliśmy nie tylko drogiego przyjaciela i kolegę, człowieka, którego wszyscy szanowaliśmy i kochali, ale zarazem mężczyznę, którego nazwisko, kojarzone z rzetelnością i wiarygodnością, otwierało nam wiele dróg, w tym również te, dzięki którym mogliśmy uzyskiwać kredyty bankowe. Z całą pewnością byłyby one niedostępne bez Stanleya.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że kompania nie może istnieć bez mojego ojca?

— Niestety, problem jest prawie aż tak poważny — odparł Edgar. — Najprościej mówiąc, bez owijania w bawełnę, Keys Shipping nigdy nie było stać na budowanie „Arcadii” i nigdy też nie powinna była się czegoś takiego podejmować.

— Co to znaczy, do licha? — zdziwiła się Catriona. — Dlaczego nie? Przecież to piękny statek.

— Rzeczywiście, piękny — przytaknął Edgar. — Ale bardzo drogi.

— Czy kompania jest zadłużona?

— Gdybym udzielił odpowiedzi twierdzącej, nie byłaby ona pełna. Zastawiony jest cały majątek Keysów. Problemy finansowe Keys Shipping Linę są tak poważne, że właściwie w każdej chwili może nastąpić nasze bankructwo. Twój ojciec gwarantował swoją osobą i pozycją wszystkie długi kompanii. Gdy żył, banki akceptowały tę sytuację i nie było kłopotów z uzyskiwaniem nowych kredytów. Teraz jednak, kiedy odszedł...

Catriona rzuciła szybkie spojrzenie na Fearsona, Percy jednak mógł tylko potwierdzić słowa Edgara Deacona.

— To prawda, niestety — powiedział.

— Ale przecież mamy tak wiele statków — zdziwiła się Catriona. — Z takim majątkiem nie możemy być bankrutami. Nic z tego nie rozumiem.

W pokoju jadalnym trwała cisza, gdy otworzyły się drzwi i weszła Lettice. Wzięła od Edgarda pusty talerz po zupie i nałożyła mu kotlet z jagnięcia. Kiedy wyszła, Edgar spokojnie, rzeczowym tonem, kontynuował:

— Keys Shipping płaci taką samą karę jak White Star, karę za to, że jest jedną z pierwszych kompanii żeglugowych, która wybudowała wielką flotę oceanicznych statków pasażerskich.

Oczywiście, przed wojną Keys Shipping posiadała już wiele statków, jednak wszystkie one się starzeją i w coraz mniejszym stopniu spełniają wymagania podróżnych, których mamy ambicję przewozić. Był to zasadniczy powód, dla którego Stanley Keys postanowił wybudować

„Arcadię”, wspaniały liniowiec, który na Oceanie Atlantyckim stanowiłby konkurencję dla

„Aąitanii”, „Berengarii” czy „Majestic”. Postanowił zaprezentować światu „kapiący luksusami statek pasażerski dla bogatych i utytułowanych”, jak o nim mawiał. Wymarzył sobie statek, który sam w sobie byłby arcydziełem, a jednocześnie byłby statkiem flagowym całej kompanii. No i cóż, „Arcadia” kosztowała nas prawie cztery miliony funtów, i to w czasie, gdy pozostałe statki naszej floty przynoszą w zasadzie same straty. Oczywiście, na bieżąco modernizujemy starsze jednostki. Przekonasz się o tym, gdy zobaczysz, jaką wspaniałą robotę wykonał John Brown na

„Iliadzie”. Niestety, wszelkie prace modernizacyjne są również bardzo kosztowne, a w tej chwili nie mamy już pieniędzy i właściwie żadnej szansy na jakikolwiek kredyt z banku w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Co więcej, rząd oznajmił niedawno, że nie udzieli nam żadnej pomocy, jeśli nie

połączymy Keys Shipping z Cunardem.

— Zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy — powiedziała Catriona.

— Zdziwiłabym się, gdybyś coś wiedziała, przecież żyłaś zupełnie oderwana od spraw rodziny — wtrąciła się Isabelle ostrym głosem. Z trudem powstrzymała się, żeby nie dodać słów

„w grzechu”.

Edgar tymczasem ukroił sobie kawałek kotleta.

— Zwykle, ja i jeszcze kilku przyjaciół z mojej paczki, jedliśmy jagnięce kotlety w każdy czwartek w Peliti's Restaurant w Kalkucie — niespodziewanie zaczął wspominać. — Teraz, kiedy jem jagnięcy kotlet, zawsze wydaje mi się, że to jest czwartek i nie mogę się pozbyć tego wspomnienia z Kalkuty. A dzisiaj rzeczywiście jest właśnie czwartek.

— Co więc zrobimy? — zapytała go Catriona.

— Zrobimy?

— Z długami. W jaki sposób je spłacimy?

— Cóż, mamy pewną swobodę manewru — stwierdził Edgar. Popił mały łyk wina. —

Możemy mieć nadzieję, iż w swej dziewiczej podróży „Arcadia” będzie miała takie wzięcie, że banki zmienią zdanie, chociaż muszę szczerze powiedzieć: szansę, że coś takiego nastąpi, są znikome. Musielibyśmy zdobyć Błękitną Wstęgę za najszybsze przepłynięcie Atlantyku, i to podczas pierwszego rejsu, a także wykazać, że „Arcadia” przez kilka kolejnych rejsów będzie płynąć z kompletem pasażerów. Jest to, oczywiście, możliwe, chociaż mało prawdopodobne.

— Co jeszcze możemy zrobić? — zapytała Isabelle. — Czy jest jakieś inne wyjście?

— Och, tak, co najmniej kilka. Możemy sprzedać całą flotę Keysów, statek po statku. To jednak oznaczałoby utratę pracy dla dwóch tysięcy siedmiuset ludzi zatrudnionych u nas na stałe, nie licząc robotników pracujących dorywczo. Zrujnowalibyśmy tych wszystkich, dla których Stanley wiele znaczył i wiele zrobił. Sądzę, że ze względu na pamięć o nim, tak drastycznego kroku nie wolno nam podejmować.

— Pierwszy będę przeciwko temu — powiedział Percy Fearson.

— Niedawno kontaktował się z nami przedstawiciel International Mercantile Marine z Ameryki. Człowiek odpowiadający u nich za sprawy międzynarodowe, George Welterman, od trzech tygodni przebywa w Londynie i będzie wracał do Nowego Jorku naszym dziewiczym rejssem. W ubiegłym tygodniu rozmawiał ze Stanleyem Keysem przez telefon, informując go o zamiarze wykupienia całej jego floty. Oczywiście, Stanley odmówił, jednak George Welterman jeszcze raz dzisiejszego popołudnia powiadomił nas telefonicznie, że jego oferta jest wciąż aktualna.

— Jakie są jego warunki? — zapytała Catriona.

— Całkiem dobre, muszę przyznać. Osiemnaście milionów w złocie za całą kompanię, wszystkie statki. Do tego gwarancje, że żaden statek nie pójdzie w najbliższym czasie na złom i żadna umowa o pracę nie zostanie rozwiązana z inicjatywy International Mercantile Marine przez najbliższe trzy lata.

— Ale to oznacza koniec Keys Shipping.

Edgar pokiwał głową.

— Niestety, tak, kompania przestałaby istnieć. IMM zorganizowałaby brytyjski zarząd, odpowiedzialny tylko przed nią; przypominam, że naszych statków nie wolno sprzedawać za granicę i formalnie wszystkie te, które zostałyby kupione od nas, wciąż pływałyby pod flagą Wielkiej Brytanii.

— Osiemnaście milionów w złocie. Co oznacza dla nas ta suma? — znów zapytała Catriona.

— Spłacilibyśmy wszystkie długi wraz z odsetkami i pozostałoby nam jeszcze trochę mniej niż milion funtów. Wystarczyłoby na zainwestowanie w coś zupełnie nowego, jeżeli to masz na myśli.

— Ale nie byłoby już floty Keysów, nie byłoby naszej rodzinnej kompanii.

— Pan Welterman być może zgodziłby się mianować ciebie lub twoją matkę prezesem zarządu — powiedział Edgar. Mówił cicho, Catriona jednak bezbłędnie wyczuła nutę sarkazmu w jego głosie.

— Wspomniał pan o kilku możliwościach — odezwała się chłodno. — Jakie są następne?

Do pokoju jadalnego weszła Lettice, aby pozbierać talerze. Miała zaczerwienione oczy i drżały jej ręce. Przy pracy narobiła mnóstwo hałasu, a widelce i noże upadały jej na podłogę co najmniej kilkunastokrotnie.

— Przepraszam — wyszeptała za którymś razem.

— Nie martw się, Lettice — powiedziała Catriona. — Wszyscy cię rozumiemy.

Gdy wreszcie służąca wyszła, Edgar Deacon kontynuował:

— Możemy też ogłosić dobrowolną likwidację firmy. Zawsze istnieje taka możliwość.

— Nie rozważałbym jej — powiedział Percy Fearson.

— Do czasu, gdy się okaże, że nie mamy innego wyjścia — odparł Edgar — i jest to jedyny sposób na przetrwanie. Spiszemy umowę o sprzedaży statków, a potem je odkupimy i zaczniemy funkcjonować pod nową flagą.

— Nie chcę o tym słyszeć. — Percy Fearson był stanowczy. — Stanley poświęcił całe lata na to, aby Keys Shipping zdobyła reputację uczciwej, godnej zaufania firmy i takie finansowe machinacje po prostu nam nie przystoją.

— Proszono mnie o przedstawienie różnych możliwości wyjścia z sytuacji.

— Tak, ale honorowych.

— Istnieje jeszcze tylko jedna. Sprzedamy po prostu samą „Arcadię”.

— Czy ktoś będzie chciał ją kupić? — zapytała Isabelle. — Wielokrotnie odwiedzali Stanleya przedstawiciele American TransAtlantic, pytając go, czy nie jest skłonny sprzedać albo wypożyczyć „Arcadię”. Nigdy jednak nie oferowali kwoty, która byłaby warta podjęcia rozmów.

Zdaje się, że trzy miliony funtów to była ich najlepsza oferta. Wiem jednak, że Stanley nie sprzedałby „Arcadii” za żadne pieniądze. Ten statek był jego marzeniem. Wierzył, że gdy wyruszy na morze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odmieni sytuację całej kompanii. I to jest prawda. „Arcadia” prawie nas zniszczyła. Jeszcze nigdy nie byliśmy w tak tragicznej sytuacji.

— Sprzedaż „Arcadii” nie rozwiąże jednak kłopotów, z jakimi się borykamy — wtrącił Percy Fearson. — Pozostaniemy z resztą floty i z pieniędzmi, które ledwo starczą na pokrycie wszystkich opłat portowych. A stracimy taki piękny statek, jakiego nie ma nikt na świecie.

Catriona uśmiechnęła się do Fearsona. Ona też nie chciała, żeby kompania sprzedawała „Arcadię”.

— Kto jest właścicielem American TransAtlantic? — zapytała. — Czy nie przypadkiem Mark Beeney?

— Tak, to on. Ma trzydzieści jeden lat, jest nieprawdopodobnie przystojny i nieprzyzwoicie bogaty.

— Zdaje się, że czytałam o nim kilka dni temu w „Evening Standard”. Odniosłam wrażenie, że dla panny takiej jak ja jest najlepszą partią na świecie. I chyba przebywa właśnie w Londynie.

— Również będzie wracał do Ameryki na pokładzie „Arcadii” — powiedział Percy.

— Naprawdę? Wiem, że poza nim będą też tacy ludzie jak Douglas Fairbanks i Mary Pickford.

Edgar Deacon uniósł rękę i zaczął odliczać na palcach: — Douglas Fairbanks, Mary Pickford, księżna Xenia z Rosji, Jack Dempsey, Dama* Clara Butt — uniósł drugą rękę i kontynuował

wyliczanie — Madge Bellamy, Leonore . Ultrich, Charles Schwab z Bethlehem Steel, a nawet Senora Zelmira Paz de Gainza z dziesięcioma damami do towarzystwa, pokojówką i czterema samochodami.

— To przypomina Arkę Noego — zauważyła Isabelle.

— Zwierzęta też będziemy wieźli — powiedział Edgar. — Na przykład psa chow–chow wabiącego się Choonam Brilantine, którego będzie trzeba codziennie w porze lunchu karmić surowymi jajkami. Albo Pyramid, konia, który wygrał zeszłoroczne derby i dla którego wybudowano na statku specjalną małą stajnię w ładowni, a popłynie z nim nawet kowal.

Catriona uniosła kieliszek i wyciągnęła go w kierunku Percy'ego Fearsona z milczącą prośbą, aby dolał jej jeszcze odrobinę porto. Percy zawahał się i napełnił go dopiero, gdy Edgar Deacon skinął przywalajaco głową.

* Dama — tytuł honorowy, nadawany w Wielkiej Brytanii kobietom za szczególne zasługi w pracy i służbie dla kraju. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

— Mamy jeszcze trochę czasu, aby zastanawiać się nad sytuacją — mówił Edgar. — Jednak w chwili, gdy „Arcadia” przybije do Nowego Jorku, będziemy musieli być zdecydowani.

Najzwyklejsze koszty uzupełnienia paliwa, wyposażenia i przygotowania jej do drogi powrotnej przekroczą nasze możliwości, jeżeli nie podejmiemy decyzji o sprzedaży albo nie uzyskamy kolejnych kredytów. A bardzo nie chciałbym, aby zaarrestowano ją w zagranicznym porcie.

— Dlaczego więc posyłamy ją do Nowego Jorku, skoro nas na to nie stać? — zdziwiła się Isabelle.

— Nie stać nas również na to, aby jej tam nie posłać. Zawarliśmy już wiele umów o przewiezienie ładunków, otrzymaliśmy nawet zaliczki. Kupiliśmy już mnóstwo jedzenia i picia na drogę, no i przede wszystkim paliwo. W przypadku odwołania rejsu nie stać nas nawet na zwrot pieniędzy za sprzedane bilety. Jeżeli nie popłyniemy, to tylko pograżymy się w kłopoty.

Poza tym, jeśli „Arcadia” nie wypłynie z portu, jeżeli nie pokażemy światu, jaki to wspaniały, luksusowy liniowiec, jej wartość na rynku drastycznie spadnie.

— Czy naprawdę sądzi pan, że będziemy musieli sprzedać Keys Shipping? — zapytała Catriona.

Edgar ciężko westchnął.

— Chciałbym powiedzieć, że nie, ale uczciwość nie pozwala mi na to.

— I uważa pan, że George Welterman byłby najwłaściwszym kupcem?

— Przynajmniej nie rozbiłby wszystkiego w puch.

— Co myślał o nim ojciec?

— Twój ojciec nie lubił go; pragnę jednak zauważyć, że George Welterman nie jest szczególnie miły w obejściu. Ale powszechnie uważa się, że jest on obecnie w Ameryce najważniejszą postacią w przemyśle okrętowym.

— Ale jak możemy rozważyć sprzedaż Keys Shipping człowiekowi, którego mój ojciec osobiście nie lubił?

— Przykro mi, ale w interesach często musimy rozmawiać z ludźmi, których nie darzymy sympatią — odparł Edgar.

— Musi być jakiś inny sposób na zdobycie pieniędzy — powiedziała Catriona. — Nie mogę znieść

myśli, że sprzedamy to, co przez tak wiele lat było treścią życia mojego ojca, i to teraz, u progu wielkiego sukcesu...

— Musisz rozważyć to w trochę szerszym aspekcie — zauważył Edgar. — Od Keys Shipping zależą losy wielu rodzin w Liverpoolu. Uważam, że najważniejszą sprawą w tym trudnym momencie jest spłacanie wszystkich naszych należności oraz utrzymanie kompanii w całości. Z

pewnością twój ojciec chciał czegoś więcej, jednak po jego śmierci nasze pole manewru naprawdę jest bardzo mocno ograniczone.

— Mam nadzieję, że przynajmniej nie będę musiała spotkać się z tym George'em Weltermanem — powiedziała Catriona.

— Obawiam się, że nie masz wyboru. Popłyniesz „Arcadią” w dziewiczą podróż, a pan Welterman również będzie na statku.

— Co? Mam nią popłynąć?

— Oczywiście. A któż inny mógłby teraz reprezentować rodzinę Keysów? Twoja matka nie jest w stanie wziąć udziału w tej podróży, a przecież ktoś na statku musi być miły i uśmiechać się do tych wszystkich naszych bankierów, zaopatrzeniowców i agentów.

— Twój ojciec od dawna mówił nam, że zamierza zabrać cię w tę podróż — powiedział Percy Fearson z uśmiechem. — Chciał, abyś była swego rodzaju magnesem dla młodych podróżników.

Zdawał sobie sprawę, że jeżeli raz spodoba się im na „Arcadii”, pozostaną jej wierni przez długie lata.

— Ale ja przecież zupełnie nie pasuję do tej roli!

— Ojciec planował ogłosić cię Królową Atlantyku — mówił Percy. — Miałaś przez całą podróż nosić najlepsze paryskie kreacje. Zamierzał kupić ci na podróż mnóstwo biżuterii, futer i w ogóle wszystko, co tylko by ci się podobało. Na biurku w jego gabinecie leży już zresztą całkiem okazała lista tych zakupów.

— Nic mi o tym nie powiedział. Ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, okropnie się pokłóciliśmy.

— Bardzo się bał, że nie zgodzisz się na tę podróż — powiedział Percy.

— Bał się? — Catriona zmarszczyła czoło. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić strachu swego ojca.

— Pragnął, abyś była gwiazdą tej podróży. Bardzo cię kochał. Myślę, że kiedy podejmował decyzję o budowie „Arcadii”, robił to dla ciebie.

Isabelle popatrzyła na Catrionę z zazdrością, której nie potrafiła ukryć. Catriona nagle poczuła, że kręci się jej w głowie; stół jakby odpływał od niej. Przyzwyczajona była do mocnych koktajli, które

pijała z Nigelem, jednak nie do Chateau Mouton Rothschild z piwniczki ojca. A może to nie była sprawka wina? Może to dlatego, że w ciągu jednego dnia jej życie odmieniło się tak niespodziewanie? Przez wiele lat zdawało się jej, że jest tylko luźno związana z ojcem, a już wcale z interesami, które prowadził. Teraz odkrywała, że jej wolność była tylko pozorna.

— Panie Deacon — powiedziała. — Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić. Musi pan dać czas na podjęcie decyzji.

— Nie ma go wiele, moja droga — odezwał się Fearson. — „Arcadia” nieodwołanie musi wypłynąć w morze we wtorek.

— Czy nie można tego opóźnić przynajmniej do czasu, gdy zostanie pochowany mój ojciec?

Edgar potrząsnął przecząco głową.

— Koszty nawet dwudziestoczworgodzinne opóźnienia byłyby tak duże, że nie wytrzymałybyśmy ich. A poza tym „Arcadia” musi rozpocząć swą aktywną egzystencję z opinią punktualnego, rzetelnego transatlantyku.

Catriona przez chwilę siedziała w milczeniu. Nagle poczuła, że po jej policzkach cieką łzy.

— Przykro mi, panno Keys — powiedział Edgar. — Za nic w świecie nie chciałem w takim dniu sprawić ci bólu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Zawsze byłem anglofilem — powiedział Mark Beeney. — Lubię wasz klimat, uwielbiam wasze kobiety, doskonale smakuje mi wasza baranina. Ale, na miły Bóg, nigdy nie rozumiałem waszego krykieta.

Philip Carter-Helm ściągnął na chwilę z głowy kapelusz i wytarł chusteczką wilgoć z jego skórzanego ronda.

— Dopóki nie zrozumiesz Anglików i naszego zamiłowania do próżniactwa, nie zrozumiesz zasad gry w krykieta — powiedział. — Nigdy nie słuchaj ludzi, którzy próbowaliby ci je wyjaśnić. W krykiecie liczy się tylko podejście do tej gry. Anglicy lubią próżniactwo, jednak w przeciwieństwie do Amerykanów, nie potrzebują wymówek, aby oddawać się lenistwu.

Najlepszym tego przykładem jest właśnie krykieta.

Było późne popołudnie i Mark razem z Philipem powoli spacerowali po Hyde Parku. Kilku nastoletnich chłopców grało w krykieta pomiędzy drzewami. Ich głośnie okrzyki podczas gry przypominały nawoływania młodych ptaszków. W powietrzu unosił się zapach świeżej trawy i wczesnego londyńskiego wieczoru.

— Jesteś cynikiem, prawda, Philipie? — zapytał Mark.

— Och, jak wszyscy Anglicy. Cynizm ochrania nas przed nadmiernym sentymentalizmem.

Mark pochylił się, aby podnieść długą, cienką gałązkę. Spacerując, co chwilę przecinał nią powietrze.

— Czy chciałbyś porozmawiać o „Arcadii”? — zwrócił się do Philipa.

Philip Carter–Helm był wysokim, dobrze zbudowanym młodzieńcem o szczerym, otwartym spojrzeniu, które charakteryzowało absolwentów szkół publicznych, szczególnie na fotografiach pojawiających się w szkolnych magazynach po ich śmierci pod Omdurmanem albo Killa Khazi.

Miał włosy koloru orzechowego, szare oczy i nos uszkodzony w czasach, kiedy uprawiał boks.

Początkowo Mark nie zamierzał rozmawiać z Philipem, gdyż przemierzał Europę w interesach w szalonym pośpiechu, a Londyn był jego ostatnim przystankiem przed odpłynięciem do Ameryki, i na dodatek spośród wszystkich miast, które odwiedził, miał tutaj najbardziej napięty plan. W ciągu dwóch miesięcy był w Zurychu, Hamburgu, Kopenhadze, Frederikshaven, Neapolu, na Capri i w Marsylii. Łącznie odwiedził siedemnaście miast w dziewięciu krajach i bardzo już tęsknił za rodzinnym Bostonem. Jednak wcale nie dlatego, że miał tam akurat jakieś bardzo pilne sprawy. Koniecznie chciał znów ujrzeć Juliet, dziewczynę, którą spotkał zaledwie dwa dni przed wypłynięciem do Europy. Była jedyną córką Harrisów z Newport; zabójczo piękna, z tajemniczymi ciemnymi oczyma, dziedziczka wielkiej fortuny. A Mark niczego tak nie kochał, jak pięknych kobiet i pieniędzy, w końcu sam także był przystojny i bogaty.

Któryś z magazynów napisał, że Mark jest „chłopięco przystojny”. Miał kręące się włosy i ostro zarysowaną szczękę Irlandczyka z Bostonu. Widywano go przeważnie w szarych tweedowych marynarkach. Kołnierzyki i mankiety jego białych koszul zawsze były nieskazitelnie czyste. Uwielbiał jazdę konną i żeglowanie na swym prywatnym jachcie.

Tego ranka Philip Carter–Helm pozostawił mu w hotelu list zawierający tylko jedno zdanie:

„Wiem, że pragniesz «Arcadii». Zapewne mógłbym ci pomóc”. Wiadomość była na tyle intrygująca, że Mark odwołał swoje popołudniowe spotkanie u Lloyda i wybrał się z Philipem do parku.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że „Arcadia” jest najdoskonalszym i najbardziej luksusowym statkiem pasażerskim, jaki kiedykolwiek wybudowano — powiedział Philip. —

O całe lata wyprzedza swym poziomem wszystko to, co obecnie pływa po morzach i oceanach. Minie przynajmniej pięć lat, zanim Cunard i White Star zwodują coś, co byłoby w stanie dorównać „Arcadii”. Jeśli, oczywiście, czegoś takiego w ogóle się podejmą. Poza tym, moim zdaniem, przyszłość, choćby nawet daleka, należy do wielkich i luksusowych liniowców.

Popatrz tylko, jak rozwijały się morskie przewozy pasażerskie w ostatnich pięćdziesięciu latach.

W tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku największymi parowcami Cunarda były

„Bothnia” i „Scythia”. Oba miały czterysta dwadzieścia stóp długości i pięć tysięcy ton wyporności.

A „Arcadia”? „Arcadia” jest długa na dziewięćset sześćdziesiąt stóp, a jej wyporność wynosi pięćdziesiąt trzy tysiące ton.

— Widzę, że dobrze się przygotowałaś — zauważył Mark.

— Cóż, to jest w końcu mój zawód. Teraz posłuchaj, kiedy myślę o twojej flocie, American TransAtlantic, nie ma wątpliwości, że na gwałt potrzebujesz dużego, szybkiego liniowca z klasą.

— Nie mogę się z tobą nie zgodzić — powiedział Mark. — To samo mówię zarządowi firmy co najmniej od trzech lat. Ale, niestety, zdaje się, że nie stać mnie obecnie na kupno „Arcadii”.

Wiem, że Stanley Keys przeżywa jakieś kłopoty finansowe, odrzucał jednak wszystkie moje oferty dotyczące „Arcadii”, które składałem do tej pory. Nie mam wielkiej nadziei, że zmieni zdanie.

— A jednak to jest możliwe — powiedział Philip. Mark popatrzył na niego szybko, zdziwiony tonem jego głosu. Co w nim zabrzmiało? Smutek, żal?

— Może powiesz mi w jaki sposób?

— Hmm, założmy teoretycznie, że Stanley Keys zrezygnuje ze swoich udziałów w Keys Shipping?

— Zrezygnuje? Co ty opowiadasz? Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić! I co by miało go do tego skłonić? — Mark umilkł na chwilę, po czym dodał: — Czyżbyś wiedział coś, o czym ja nie wiem?

Philip wsunął ręce głęboko do kieszeni swego letniego płaszcza i powiedział:

— Pracuję w tym interesie, to wszystko. Statki, przewozy morskie, ubezpieczenia i tak dalej...

— No, dobrze więc — odezwał się Mark ostrożnie. — Założmy, że Stanley Keys pozbył się swoich udziałów w Keys Shipping.

— Powstanie wówczas interesująca sytuacja, jeżeli chodzi o podział głosów wśród akcjonariuszy kompanii. Jak wiesz, Stanley Keys zawsze samodzielnie dzierżył kontrolny pakiet jej akcji, dokładnie pięćdziesiąt jeden procent. Pozostałymi udziałowcami są: International Mercantile Marine z dwunastoma procentami, Thistle Maritime z Glasgow z pięcioma procentami, Eire Credit Bank również z pięcioma procentami. Poza tym panowie Deacon i Fearson, obaj pełniący funkcje dyrektorskie w Keys, mają po dwa procent udziałów. Dalej, niejaki Thurrock ma jeden procent, siostra pani Keys, Isabelle, dwa procent, panowie Rogers i Peabody po pół procent. Pozostałymi udziałowcami są różne trusty i indywidualne osoby oraz towarzystwa ubezpieczeniowe, łącznie posiadające w Keys Shipping dziewiętnaście procent udziałów.

— Tak? — zapytał Mark. — No i co z tego? Przecież te same informacje uzyskałbym u Lloyda.

— Oczywiście. Nie dowiedziałbyś się jednak, że Stanleys Keys zapisał swoje pięćdziesiąt jeden procent do podziału pomiędzy swoją żonę Doris i córkę Catrionę. Doris dostanie dwadzieścia sześć procent, a Catriona dwadzieścia pięć.

— To nie jest nic niezwykłego. Mój ojciec chyba tak samo podzielił American TransAtlantic pomiędzy mnie i matkę, na wypadek swej śmierci.

— Nie twierdę, że to jest niezwykle. Mówię jednak o sytuacji, w której Stanley Keys nie ma swoich udziałów. Spójrz, co się będzie działo. Nagle wewnątrz Keys Shipping zaczną się ścierać sprzeczne interesy. Mając na uwadze finansowe kłopoty kompanii, jestem pewien, że Edgar Deacon, dyrektor naczelny, zechce przyjąć propozycję IMM, która już od lat ostrzy zęby, żeby wykupić Keys Shipping. Oczywiście, silnym argumentem IMM jest dwunastoprocentowy udział

w Keys. Wiem, że Eire Credit Bank poparłby IMM. Nigdy nie pożyczali Stanleyowi Keysowi pieniędzy ze zbyt wielką ochotą. Zarząd kompanii zapewne przyjmie rozwiązanie, które zaproponuje dyrektor naczelny, a do propozycji Edgara Deacona najprawdopodobniej przyłączy się również pani Keys.

Powoli do Marka docierała nieuchronna myśl, że Philip wcale nie teoretyzuje. Nagle zatrzymał się.

— Z drugiej strony — Philip również przystanął i kontynuował swój wywód — mamy Thistle Maritime, które jest agentem Keys w sprawach przewozów towarowych; Thistle Maritime będzie przeciwne sprzedaży Keys IMM, gdyż IMM ma swoich własnych agentów i Thistle stanęłoby nagle przed wizją bankructwa. Przeciwna też będzie zdecydowana większość trustów i towarzystw ubezpieczeniowych, gdyż po takiej transakcji IMM miałoby niemal monopol na wszystkie przewozy do Anglii i z Anglii; nikt tego nie chce.

— W całym tym łańcuszku — mówił Philip — nie znane jest stanowisko Catriony, córki Stanleya Keysa. Z dwudziestoma pięcioma procentami udziałów Catriona z całą pewnością spełni rolę jęczyczka u wagi w chwili, gdy zetną się interesy tych, którzy będą chcieli sprzedać Keys Shipping IMM, i tych, którzy dążyć będą do tego, aby Keys pozostało niezależną kompanią, albo by pozostawić przynajmniej większą część floty w rękach rodziny. W tym, oczywiście, „Arcadię”.

Mark spojrział Philipowi w oczy.

— Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że Stanley Keys nie żyje? — zapytał ochryłym głosem.

— Tak — odparł Philip.

— Kiedy to się stało? Nic o tym nie słyszałem.

— Wczoraj późnym wieczorem. Najprawdopodobniej wiadomość ukaże się w dzisiejszych wieczornych gazetach.

— Skąd o tym wiesz?

— To moja praca. Daleko bym nie zaszedł, gdybym nie był przez cały czas uważny i czujny.

— A więc Stanley Keys nie żyje — powiedział Mark z westchnieniem. — Przecież to nie był stary człowiek. Ile miał lat, pięćdziesiąt?

— Pięćdziesiąt trzy. Z tego, co mi wiadomo, umarł na atak serca.

— W sumie nie jestem zdziwiony. Przecież ten człowiek pracował jak koń. To smutne, że nigdy nie zobaczy swojej „Arcadii” wypływającej w morze. Philip pokiwał głową.

— Tak, to bardzo smutne.

— I co się teraz stanie? — chciał wiedzieć Mark. — Rozumiem, że jego pięćdziesiąt jeden procent podzielone zostanie pomiędzy żonę i córkę, tak? — Tak.

— Rozumiem też, że nie bez powodu rozmawiasz ze mną.

— Tak. Reprezentuję grupę drobnych udziałowców, w tym również Thistle, którzy chcą, aby Keys pozostało niezależną kompanią. Mnie, oczywiście, zależy na pieniądzach, które otrzymam, jeżeli sprawa zakończy się po myśli zatrudniających mnie ludzi.

— Jak zamierzasz się do tego zabrać?

— Przede wszystkim chcę uświadomić panie Catrionie Keys, że sprzedanie kompanii IMM niekoniecznie jest najmądrzejszym pomysłem.

— O ile wiem, panna Keys popłynie „Arcadią” podczas dziewiczej podróży, prawda?

— Tak. Muszę powiedzieć, że jest bardzo atrakcyjną młodą dziewczyną, na pewno ci się spodoba. Trochę kapryśna, co było przyczyną wielu zmartwień Stanleya Keysa, ale zdaje się, że im była bardziej krnąbrna wobec niego, tym bardziej ją kochał.

— Mówisz, jakbyś dobrze znał Stanleya. Philip wzruszył ramionami.

— Mylisz się. Stanley nie był zbyt wylewnym człowiekiem.

Znów ruszyli, tym razem w milczeniu. Minęli Apsley House, była siedzibę księcia Wellingtona, i pożegnali się przy Hyde Park Corner. Ściskając dłoń Philipa, Mark powiedział:

— Będę z tobą w kontakcie. Spodziewaj się jutro rano telefonu z sekretariatu mojej kompanii.

— Och, z pewnością będziemy w kontakcie. Ja również płynę „Arcadią”.

— Wspaniale. Szykuje się niezła zabawa.

— Niewątpliwie. Do zobaczenia.

— Trzymaj się — dodał Mark.

Wracając do hotelu, Mark odniósł wrażenie, że mimo całej ich zażyłości, Philip nie ujawnił mu wszystkiego, co wiedział. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, co takiego w jego opowieści nie

pasowało do całości.

Wkrótce natknął się na chłopaka z gazetami wykrzykującego:

— Najświeższe wiadomości! Słynny magnat okrętowy nie żyje!

Mark sięgnął do kieszeni po pensa i pośpiesznie kupił „Evening Standard”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zatrzymał się w hotelu Browna na Albemarle Street, w apartamencie kosztującym siedem funtów za dobę. Gdy przechodził przez hol, zauważył go czujny portier i z okrzykiem

„Informacje, panie Beeney” podbiegł do niego ze stertą kopert.

Mark szybko przebiegł wzrokiem nagłówki z adresami i nazwiskami nadawców, po czym wręczył portierowi pół korony, chociaż floren z całą pewnością by wystarczył.

— Jestem zobowiązany, panie Beeney — powiedział portier i powrócił za swój kontuar.

Mark pomaszerował do swojego apartamentu, rozrywając powoli koperty, jedną po drugiej.

Czuł się dziwnie zniechęcony do całego świata. A może to wcale nie było zniechęcenie? Może było to uczucie niepewności związane z niespodziewanymi zmianami w zamkniętym świecie najpotężniejszych magnatów przemysłu okrętowego? Jak będzie on teraz wyglądał, gdy jedna z jego czołowych postaci zniknęła nagle i na zawsze?

— Panie Beeney, cieszę się, że znów jest pan wśród nas — powiedział zastępca dyrektora hotelu, mijając Marka w korytarzu. Miał przy tym minę, jakby naprawdę jego obecność w hotelu była największą radością w jego życiu.

Mark wszedł do swego apartamentu, zamknawszy drzwi za sobą silnym kopniakiem.

— Cholera jasna! — powiedział głośno. Rozmowa z Philipem Carterem — Helmem rozbudziła jego ciekawość, a niczego nie nienawidził równie gorąco jak stanu niezaspokojonej ciekawości.

Coś poważnego musiało dziać się u Keysów, i to nie tylko w zarządzie kompanii, ale także w rodzinie. Carter–Helm przedstawił mu jedną wersję zaistniałej sytuacji, a przecież z całą pewnością muszą istnieć jeszcze inne. Czy to prawda, że Stanley Keys oddał połowę udziałów w kompanii swej dwudziestojednoletniej córce? Czy to prawda, że mali udziałowcy i firmy ubezpieczeniowe chcą, wykazując zadziwiającą zgodność, aby Keys Shipping pozostała niezależną kompanią? Było to dla Marka kluczowe pytanie, gdyż pragnął stać się właścicielem

„Arcadii” tak jak jeszcze nigdy dotąd żadnego innego statku. Już od dawna zresztą dążył, aby American TransAtlantic wybudowała liniowiec równie potężny i równie luksusowy jak

„Arcadia”, taki, który mógłby być statkiem flagowym i wizytówką kompanii. Jednak rada dyrektorów

powstrzymywała go przed tym. Zasadniczo zgadzali się, że kompania potrzebuje nowego liniowca transatlantyckiego, ale czy musi on mieć koniecznie tak ogromne gabaryty?

Jeden z dyrektorów uparcie sugerował nawet, że wielkie liniowce zastąpione zostaną wkrótce przez samoloty latające pomiędzy kontynentami i kompanie zajmujące się oceanicznymi przewozami pasażerskimi wkrótce zbankrutują.

Mark ściągnął marynarkę i rzucił ją na krzesło. W tej samej chwili pojawił się jego służący Wallis, dopinając w pośpiechu ostatnie guziki koszuli.

— Pan Crombey czeka już od dłuższego czasu — powiedział, podnosząc marynarkę Marka i przewieszając ją sobie ostrożnie przez ramię. — Jest teraz w swoim pokoju i prosi, aby pan zechciał do niego zatelefonować po powrocie.

Wallis był siwowłosym Murzynem z Luizjany. Ojciec Marka natknął się na niego na pokładzie parowca „Alonzo Child”, płynącego po Missisipi, w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Był wówczas chłopcem pokładowym. Joe Beeney nauczył go jednak dobrych manier, a Chloe Beeney uczyniła go w końcu jednym z najlepszych czarnych służących w Bostonie.

Ojciec Marka często powtarzał, że gdy spotkał jego matkę, „zatrzęsła się w posadach cała cholerna zachodnia półkula”. Bez wątpienia Mark był owocem miłości dwojga najbardziej upartych i samowolnych osób, jakie żyły w dziewiętnastym wieku.

Matka Marka, Chloe McKeown Amery, pochodziła z jednej z najdostojniejszych i najbogatszych rodzin w Bostonie. Kiedyś, gdy jej ojciec na jakimś publicznym spotkaniu głośno narzekał, że aż dziewięćdziesiąt dwa procent swoich dochodów musi przeznaczać na podatki, ktoś z tłumu nie wytrzymał i krzyknął, że bardzo chętnie pożyłby sobie trochę za pozostałych osiem procent. Pieniądze rodziny Amery ulokowane były w posiadłościach, akcjach kompanii kolejowych, firmach ubezpieczeniowych i wreszcie w statkach. Właśnie dzięki temu, że ojciec Chloe posiadał statki, jego córka spotkała Joshuę Marbleheada Beeneya, kapitana jednego z największych liniowców pasażerskich, należących do rodziny Amery, „Seraphic”. Chloe zawsze była kapryśną dziewczyną i kiedy rodzina postanowiła wysłać ją „na nauki” do Szwajcarii, matka powierzyła ją osobistej opiece kapitana Beeneya. Nie mogła przewidzieć, że ten porywczy, surowy mężczyzna natychmiast się w niej zakocha, a co gorsza, Chloe odwzajemni jego uczucie.

Dowiedziawszy się o tej miłości, ojciec Chloe wpadł w epileptyczny szal, Chloe jednak, jak zawsze nieposłuszna i uparta, postawiła na swoim. Postępowała identycznie jak wtedy, gdy mając cztery lata, naciskała na ojca, aby jej kupił nowego konia wierzchowego. W końcu wymogła zgodę na małżeństwo z Joe Beeneyem. Częścią jej posagu był znaczny udział w kompanii żeglugowej rodziny. Dzięki temu, po śmierci ojca Chloe w 1893 roku, Joe Beeney stał

się właścicielem całej kompanii. Niestety, zmarł tragicznie cztery lata później, zatonawszy podczas samotnego rejsu na swym własnym jachcie. W ten sposób w wieku dwudziestu trzech lat Mark Beeney odziedziczył kompanię żeglugową, która wielkością ustępowała jedynie United States Lines; poza tym stał się właścicielem niewyobrażalnej wprost fortuny w nieruchomościach, różnych udziałach, posiadłościach ziemskich oraz koniach wierzchowych i cennych obrazach. Nic dziwnego,

że cieszył się opinią człowieka sukcesu i że wzdychały do niego wszystkie młode damy na świecie, które kiedykolwiek usłyszały jego imię.

Mark otworzył kupiony niedawno „Evening Standard” i powiedział do Wallisa:

— Nalej mi drinka, zanim zadzwonimy do pana Crombeya. Czy wiesz, że Stanley Keys nie żyje?

— Nie, proszę pana. Stanley Keys, z Keys Shipping?

— Tak, dokładnie ten sam. O, proszę, napisali o tym w gazetach.

Informacja zamieszczona była na pierwszej stronie. Stanley Keys, prezes, założyciel i posiadacz większości udziałów Keys Shipping Linę, zmarł nagle ubiegłej nocy na atak serca. Do tej pory kompania nie podała nazwiska jego następcy, zarząd ogłosił jednak, że pan Keys z całą pewnością życzyłby sobie, aby nowy, luksusowy statek pasażerski należący do Keys Shipping —

„Arcadia”, której wypłynięcie z Liverpoolu w dziewiczy rejs zaplanowano na wtorek, wyruszyła w morze zgodnie z planem.

„Przewiduje się” — czytał Mark Beeney — „że jedyne dziecko pana Keysa, dwudziestojednoletnia panna Catriona Keys powróci jeszcze dzisiaj do domu rodzinnego z Londynu, gdzie w ostatnich miesiącach stała się popularna w kręgu aktorów teatralnych. Ostatnio niezbyt stanowczo zaprzeczała plotkom, że zaręczona jest z aktorem, panem Nigelem Myersem, który gra jedną z ról w *Daydreams of 1924*

w Teatrze Księcia Edwarda”.

Mark przewrócił kilka dalszych stron, jednak oprócz informacji, że akcje Keys Shipping spadły o półtora punktu, nie znalazł nic o kompanii, jej przyszłych planach, ani o tym, w jak tragicznej znajduje się sytuacji. Wallis przyniósł mu burbona z wodą sodową i Mark wypił go jednym tchem.

Ostatnim razem, kiedy spotkał Stanleya Keysa, w restauracji na Piccadilly, otwarcie wyraził swe uznanie dla „Arcadii” i dodał:

— Jeżeli kiedykolwiek będzie pan chciał sprzedać ten statek, panie Keys, kupię go za gotówkę, na pniu.

Stanley Keys spojrzał na Marka wzrokiem, który jednych ludzi hipnotyzował, a innych doprowadzał do szału, i powiedział:

— Nigdy nie zechcę jej sprzedać, mój drogi. „Arcadia” to coś więcej niż tylko statek; to moja krew i mój pot. I także moja dusza. Przecież nikt nie sprzedaje swojej duszy.

Teraz jednak, niespodziewanie, nie było go już wśród żywych. Mark natomiast nie potrafił

wyobrazić sobie, co zarząd kompanii planuje, aby utrzymać jej płynność finansową. Było bardzo

prawdopodobne, że sprzedadzą całą flotę i ugną się pod ciężarem nacisków George'a Weltermana, aby złożyć ofertę IMM.

Jedno było pewne: „Arcadia” będzie musiała wypłynąć we wtorek w morze. Zbyt wiele kapitału i prestiżu zainwestowano w jej dziewiczą podróż, żeby ją teraz odwoływać lub nawet opóźnić. No tak, ale co potem? O ile Mark orientował się trochę w finansach Keys, przypuszczał, że kompania będzie miała poważne kłopoty z przyprowadzeniem „Arcadii” z powrotem do Liverpoolu.

— Podaj mi telefon, dobrze? — powiedział niespodziewanie do Wallisa. — Muszę przeprowadzić kilka rozmów.

— Czy będzie pan jadł kolację w pokoju?

— Jeszcze nie wiem. Zobaczę, czy będę głodny.

Wallis podał mu biały aparat telefoniczny i Mark poprosił telefonistkę z hotelowej centrali, aby połączyła go z panem Edgarem Deaconem z Formby, w Lancashire. Następnie znów odezwał się do Wallisa:

— Zadzwoń do pana Crombeya, dobrze? I powiedz mu, żeby przyniósł do mnie wszystkie informacje na temat naszych interesów z Włochami oraz raporty na temat De Freitas.

— Tak, proszę pana. Muszę jednak uprzedzić, że pan Crombey nie jest dzisiaj w najlepszym nastroju.

— Nie obchodzi mnie jego nastrój. Zadzwonisz do niego?

— Tak, proszę pana.

— Centrala? — wykrzyknął Mark do słuchawki. — Czy zna pani numer? Nie? Formby dwa–zero–pięć–jeden! Proszę się pośpieszyć. Czekam niecierpliwie.

W tym momencie ktoś zapukał do apartamentu. Mark machnął na Wallisa, aby otworzył drzwi. Służący stanął przed nimi i zapytał:

— Kto tam?

W tym samym momencie Mark uzyskał połączenie z Formby. Usłyszawszy głos Edgara Deacona, wykrzyknął do słuchawki:

— Przy telefonie Mark Beeney. Czy pan mnie słyszy? — Czuł się, jakby musiał wrzeszczeć do kogoś, kto znajduje się po drugiej stronie Wielkiego Kanionu. — Niedawno rozmawiałem z panem Keysem na temat kupna „Arcadii”.

— Tak, panie Beeney. Przypominam sobie pana. Czym mogę służyć?

— Właśnie przeczytałem wieczorne gazety. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia z powodu śmierci Stanleya. To jest dla wszystkich ogromny szok.

— Dziękuję panu za kondolencje — odparł Edgar. — Czy to już wszystko? Proszę zrozumieć, jestem ogromnie zajęty. Zdaje pan sobie zapewne sprawę, że miałem dzisiaj niezwykle ciężki dzień.

— Tak, oczywiście, bardzo panu współczuję. Poza złożeniem kondolencji chciałem ponowić ofertę, którą przedstawiłem jeszcze Stanleyowi Keysowi. Bardzo bym pragnął, aby „Arcadia” stała się okrętem flagowym American TransAtlantic. Jestem gotów zapłacić za nią cztery miliony funtów w gotówce i sfinalizować transakcję już teraz, jeszcze zanim „Arcadia” po raz pierwszy wypłynie w morze.

Po krótkim milczeniu, podczas którego Mark słyszał jedynie szum w słuchawce, Edgar Deacon odpowiedział:

— Zapewne wiadomo panu, panie Beeney, że w świetle brytyjskiego prawa nie wolno panu kupić „Arcadii”, ponieważ statek ten jest częścią Królestwa, niezależnie od tego, czy aktualnie znajduje się na morzu czy w porcie. Żaden cudzoziemiec nie może być właścicielem brytyjskiego statku, ani nawet jego fragmentu. Ponadto obcokrajowiec nie może nawet służyć w randze oficera na brytyjskim statku.

— Panie Deacon, doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedział Mark. — Nie zamierzam, oczywiście, kupić „Arcadii” jako osoba prawna. Przejmę nad nią kontrolę za pośrednictwem rady dyrektorów angielskiej filii mojej kompanii. Wszystko odbyłoby się legalnie, zgodnie z prawem, a pieniądze, które otrzymałaby Keys Shipping w wyniku transakcji, byłyby równie dobre.

Nastąpiła długa cisza.

— Halo, jest pan tam jeszcze? — zawołał Mark.

— Muszę panu powiedzieć, że nie przywykłem rozmawiać o interesach przez telefon. Poza tym ciało biednego Stanleya jeszcze dobrze nie wystygło. Myślę, że dyskusja, którą prowadzimy, jest w obecnej chwili co najmniej nie na miejscu. „Arcadia” była dla Stanleya Keysa prawie jak córka; w pewnym sensie była mu nawet droższa i bliższa niż własna córka. Poza tym doskonale pan wie, że nie mam prawa indywidualnie podejmować żadnych zobowiązań w odpowiedzi na pańską ofertę.

— Nigdzie nie uzyska pan lepszej.

— Przyznaję, gotów jest pan zapłacić bardzo dużo. Nie możemy jednak kontynuować teraz naszej rozmowy i bardzo proszę, aby pan nie odniósł wrażenia, że z miejsca odrzucam pańską propozycję.

— Oczywiście, moja oferta wymaga starannego przemyślenia — powiedział Mark. — Nie chciałbym jednak oczekiwać zbyt długo na zajęcie przez Keys Shipping jasnego stanowiska.

Cztery miliony funtów to ogromna góra pieniędzy, tym bardziej jeżeli ma być płatna w gotówce.

Aby tę kwotę zdobyć, muszę przedsięwziąć kilka istotnych kroków.

— Rozumiem pana doskonale. Teraz jednak wybaczy pan, ale...

— Oczywiście. Bardzo pana przepraszam, że zatelefonowałem w interesach w dniu takim jak dzisiejszy.

— Stanley nie miałby nic przeciwko temu — odparł Edgar. — Powiedziałyby, że respekt przed śmiercią musi ustąpić przed wymaganiami życia.

Marka odrobinę zdumiała ta uwaga.

— Jasne, oczywiście — powiedział i odłożył słuchawkę. Po chwili milczenia odezwał się do Wallisa:

— Chyba nigdy nie nauczę się robić interesów z Brytyjczykami.

W tej samej chwili zobaczył, kogo Wallis wprowadził do pokoju, i wyraz zastanowienia natychmiast zniknął z jego twarzy. Rozłożył ramiona i wykrzyknął:

— Marcia! Myślałem, że jesteś w Paryżu!

Marcia Conroy przebiegła przez salon i padła mu w objęcia. Miała srebrzystą suknię bez rękawów, krótko ostrzyżone włosy i duże perłowe kolczyki w uszach. Poznała Marka w ubiegłym roku w Ascot, celowo brudząc mu spodnie lodami truskawkowymi. Od tego czasu, kiedy tylko krzyżowały się ich drogi, zamykali się w pokojach hotelowych i kochali jak szaleni.

Marcia, zgodnie z cyklem życia towarzyskiego śmietanki ówczesnej Europy wiosną przebywała w Paryżu, skąd przyjeżdżała do rodzinnej Anglii dopiero na derby w Ascot i na szczyt londyńskiego sezonu towarzyskiego. Potem udawała się na regaty do Cowes, a następnie na leczenie do Marienbadu w Niemczech. Jesień spędzała w Szkocji, po czym na zimę wyjeżdżała nad Morze Śródziemne. Kalendarz towarzyski pozwalał przyjaciółom orientować się, gdzie Marcia akurat się znajduje. Na Marka jednak trafiała zawsze przypadkowo. W ich dziwnym związku to właśnie było najbardziej ekscytujące: po żadnej ze wspólnie spędzonych nocy nie mieli pojęcia, czy kiedykolwiek się jeszcze spotkają. Mimo to, opuszczając Marka, Marcia nigdy nie mówiła „do widzenia”.

— Byłam zaskoczona, kiedy Bangers powiedziała mi, że tutaj jesteś — oznajmiła, całując Marka w oba policzki. Rzuciła swoją elegancką wieczorową torebkę na kanapę i otworzyła papierośnicę znajdującą się na stoliku.

— Kto to jest, do cholery, Bangers? — chciał wiedzieć Mark.

— Honorable* Phoebe Tawthorne-Bangs — wyjaśniła Marcia, wypuszczając dym nozdrzami.

— Powiedziała, że widziała cię w Criterion, w jakimś barze.

— Wallis! — zawołał Mark. — Proszę, przynieś mi drinka. Ward Eight. A co dla ciebie?

— Wszystko, byle nie szampan. Jestem już zmęczona szampanem.

Mark usiadł na kanapie, a Marcia natychmiast wskoczyła mu na kolana. Prowokująco, a nie tylko dla wygody, podciągnęła nieco brzegi sukienki. Na nogach miała srebrne pończochy, a pod spodem srebrny pas do podwiązek. Mark z doświadczenia wiedział, że Marcia nie nosi majtek.

— Paryż był taki męczący tego roku — westchnęła. Miała najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie Mark widział w życiu. — Przepraszam cię, ale przyjeżdża tam stanowczo za dużo Amerykanów. Pewnego wieczoru zostałam zaproszona na przyjęcie do Ritza przez samego księcia de Gramont i co? Odniosłem wrażenie, że jestem w Ameryce. Kogo tam nie było... Berry Wall, pani Stuyvesant Fish, siostry Dolly... Nie można było słowa zamienić po francusku.

Mark dotknął jej policzka, a potem owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów.

— Przepraszam cię za nich — powiedział.

— Och, w sumie jednak nie było tak źle — stwierdziła Marcia, całując żyłki na przegubie Marka. — Po prostu nie czułam się dobrze tego roku w Paryżu. Teraz, przy tobie, czuję się o wiele lepiej. Wpływasz na mnie uspokajająco. Jak dobry lunch.

— Hmm — uśmiechnął się Mark. — Porównywano mnie już w życiu do bałwana, osła, jednak nigdy do lunchu.

Wszedł Wallis z napojami. Na tacy stała szklaneczka Ward Eight dla Marka i kieliszek bardzo zimnej polskiej wódki dla Marcii; tak zimnej, że unosiła się nad nią para. Ward Eight był

odmianą burbona. Po raz pierwszy otrzymano go w Locke –Ober's Winter Pałace Wine Rooms W Bostonie w latach dziewięćdziesiątych. Mawiano, że uderzenie pioruna jest niczym w porównaniu z efektem, jaki Wywołuje łyk tego trunku.

Gdy Wallis oddalił się z wyraźnym poleceniem, aby im teraz nie przeszkadzać, Mark i Marcia stuknęli się szklankami.

— Twój służący mruczał coś, że nie powinnam zatrzymywać cię dłużej, niż to jest konieczne

— powiedziała Marcia. — Oznajmił mi, że masz ważne spotkanie z jakimś panem Crombeyem.

— Zapomnijmy o panu Crombeyu.

Nagle pocałowali się tak niespodziewanie i gwałtownie, że każdy, kto by ich w tym momencie obserwował, byłby tym zaskoczony. Wnętrza ust mieli zimne i aromatycznie pachnące

* Tytuł przysługujący niektórym osobom z arystokracji, parlamentu brytyjskiego i sędziom.

alkoholem. Gdy po chwili oderwali się od siebie, Marcia odezwała się, nie bez trudności łapiąc oddech:

— Zawsze, kiedy idę na spotkanie z tobą, mam wrażenie, że cię nienawidzę. Postanawiam sobie, że do ciebie podejść i powiem, jaki jesteś głupi i wstrętny. Nigdy jednak nie potrafię tego zrobić.

Działasz na mnie jak huragan. Jestem bezsilna...

Mark milczał. Znów poszukał ustami jej ust i złożył na nich długi pocałunek.

— Muzyka — powiedziała Marcia. — Dlaczego tu nie ma muzyki?

— Dlatego, że w tym hotelu nie mają gramofonów w pokojach. Ale przecież mogę ci coś zanucić.

— Potrzeba mi muzyki do tańca. I do kochania się. Mark wzruszył ramionami i posadził

Marcie na kanapę.

Sam podszedł do telefonu i zdjął słuchawkę z widełek. Po chwili zgłosiła się hotelowa telefonistka.

— Tu Mark Beeney — powiedział. — Poproszę z dyrektorem. Tak, czekam.

Marcia osunęła się z kanapy na podłogę. Jej suknia podwinęła się tak wysoko, że wyraźnie widoczne były teraz jej białe, wysmukłe uda. Powoli sączyła wódkę i obserwowała Marka.

Uśmiechnął się do niej i zaczął rozpinąć guziki czarnej kamizelki.

— Pan dyrektor? — rzucił wreszcie do słuchawki. — Tu Mark Beeney. Tak, czuję się wspaniale, wszystko jest w najlepszym porządku. Mam jednak do pana pewną ogromną prośbę.

Otóż idąc do mojego apartamentu, słyszałem kwartet smyczkowy, który grał w restauracji podczas wieczornego posiłku. Czy ci muzycy mogliby przejść pod moje drzwi i zagrać specjalnie dla mnie? Czy to jest możliwe?

Marcia odrzuciła do tyłu głowę i głośno się roześmiała.

— Jesteś szalony — powiedziała. — Kompletnie szalony, ale za to właśnie cię kocham.

Nie minęło dziesięć minut i Marcia z Markiem tańczyli walca, poruszając się po całym salonie w rytm muzyki kwartetu smyczkowego, który usadowił się pod drzwiami apartamentu. Mark był

nagi, Marcia miała natomiast jedynie swoje kolczyki w uszach. Przyciskała do klatki piersiowej Marka drobne, sterczące piersi o różowych brodawkach, on zaś do jej obnażonego brzucha sztywny penis.

Potem kochali się na tureckim dywanie dziko, gwałtownie; nie mający o tym pojęcia muzycy grali *Les Roses* i *We'll Meet Beyond The Riuer*. Marcia opłotła nogami tułów Marka i przez cały czas miała zamknięte oczy, gdy on tymczasem wchodził w nią i wchodził. Ścisnął przy tym i co chwilę całował jej drobne, ale jakże apetyczne piersi.

Wreszcie nastąpił moment, w którym żadne z nich nie słyszało muzyki. Nie zdawali sobie sprawy, że są w hotelu, na dywanie, nie mieli pojęcia, czy to jest dzień, czy też noc. W końcu Mark wyprostował się; jego piersi lśniły od grubych kropli potu. Popatrzył na Marcie takim wzrokiem, jakim z całą

pewnością spoglądał na świat Paavo Nurmi w chwilę po tym, jak przebiegł dwie mile w czasie poniżej dziewięciu minut. Twarz i szyja Marcii były czerwone, jakby płonęły, a na jej brzuchu i piersiach, tam gdzie dotykał jej Mark, widniały sinoczerwone ślady.

— Boże, jesteś piękny — powiedziała Marcia, nie patrząc na twarz Marka. Z równym powodzeniem mogła wypowiedzieć te słowa do nogi od stołu. — Dzięki Bogu, że nie musimy brać ślubu. Oboje doprowadzilibyśmy się do szaleństwa.

Muzyka rozbrzmiewająca dotąd przed apartamentem gwałtownie się urwała. Wciąż lśniący od potu Mark wstał i poszedł do sypialni po swój błękitny, jedwabny płaszcz kąpielowy, a gdy go na siebie włożył, skierował się ku drzwiom.

— Przepraszam pana, ale musimy już kończyć — powiedział skrzypek na jego widok. — Nie chcielibyśmy zakłócać Spokoju innym gościom hotelowym.

— Rozumiem. Dziękuję panom, wykonaliście wspaniałą robotę — odparł Mark z uśmiechem.

Wyciągnął z portfela cztery banknoty dziesięciofuntowe i każdemu wręczył po jednym, co stanowiło wówczas mniej więcej ekwiwalent ich trzytygodniowych zarobków.

Mark zamknął drzwi i powrócił do salonu. Marcia, wciąż naga, siedziała na kanapie celowo w bezwstydną, niedbałą pozie. Powoli sączyła wódkę i wodziła wzrokiem za Markiem. Na jej włosach łonowych widoczne były kropelki spermy.

— Rozumiem, że wkrótce wracasz do Ameryki — powiedziała.

Pokiwał głową.

— Odpływam „Arcadią” we wtorek.

— Płyniesz statkiem konkurencji? Zdziwiasz mnie.

— I bardzo się cieszę na tę podróż. Stanley Keys ogłosił „Arcadię” najbardziej luksusowym liniowcem pasażerskim świata. Ogromnie jestem ciekaw, ile w tym jest prawdy.

Marcia jakby przez chwilę nad czymś się zastanawiała. Potem niespodziewanie wstała, podeszła do niego i delikatnie, koniuszkami palców dotknęła jego ust.

— Nic nie mów — poprosiła. — Chcę jechać do Ameryki razem z tobą.

. Zmarszczył czoło i próbował coś powiedzieć, ale Marcia zmusiła go do milczenia pocałunkiem.

— Mam po prostu złe przeczucie — wyszeptała po chwili. — Wydaje mi się, że jeżeli nie popłynę do Ameryki razem z tobą, to już nigdy więcej cię nie zobaczę.

— Zawsze twierdziłaś, że zupełnie o to nie dbasz.

— Teraz jednak jest inaczej. Czy masz coś przeciwko temu?

— Nie wiem. Chyba jednak rozumiesz, że przecież się z tobą nie ożenię.

— Och, nie spodziewam się tego po tobie. Tak jak nie spodziewam się, że kiedykolwiek poślubisz jakąś dziewczynę. Nie ma na świecie takiej, która potrafiłaby dać ci szczęście przez całe życie.

— Jak sobie wyobrażasz tę podróż? Chcesz płynąć w mojej kajucie. Wynająłem trzy: jedna jest dla mnie, jedna dla Claude'a Grahama — White'a i kolejna dla Victora Sorbaya.

— Sama sobie kupię bilet.

— Ale wszystkie kabiny pierwszej klasy są już dawno zajęte.

— Ktoś więc będzie musiał jedną zwolnić. Popłynę „Arcadią”, Mark, czy tego chcesz czy nie.

— Nic z tego nie rozumiem — westchnął. — Nie poznaję cię. To nie ta sama chłodna, dostojna Marcia Conroy, córka lorda i lady Conroy, z jakiejś odległej angielskiej posiadłości ziemskiej, której nazwy nawet nie pamiętam.

Marcia nagle straciła humor.

— Mam po prostu złe przecucia, to wszystko — powiedziała. — Dlatego nie chcę, żebyś odpływał beze mnie. Ogarnia mnie dziwny dreszcz.

— Masz, włóż mój płaszcz kąpielowy. Po prostu marzniesz, bo jesteś naga. Wydaje mi się, że gorąca kąpiel dobrze ci robi — dodał i pocałował ją w czoło.

Popatrzyła na niego.

— Tak, chyba masz rację. Czy ten twój służący mógłby przynieść mi jeszcze jedną wódkę?

Mam nadzieję, że jeżeli ją wypiję, odzyskam dobry nastrój.

Pocałowali się raz jeszcze i Marcia poszła z jego płaszczem kąpielowym do łazienki, aby się wykąpać. Mark patrzył za nią, dopóki nie zamknęła drzwi, a potem stał jeszcze przez chwilę na środku pokoju zamyślony. Dopiero szum wody płynącej z odkręconych kurków wyrwał go z zadumy.

Podszedł do telefonu i miał właśnie podnieść słuchawkę, gdy otworzyły się drzwi i do apartamentu wkroczył John Crombey. Jak zwykle John był nienagannie ubrany. Tylko ktoś, kto znał go bardzo dobrze tak jak Mark, mógł stwierdzić, że John Crombey jest w fatalnym humorze.

Jego nozdrza były rozszerzone jak u narowistego konia, a szeroko otwarte oczy wręcz rzucały iskry.

— Pan jest nagi! — zawołał do Marka.

— Mogłeś zapukać.

John Crombey demonstracyjnie odwrócił wzrok.

— Mieliśmy się spotkać już godzinę temu — zauważył. — Mam wszystkie dane, o które pan prosił. Interesy z Włochami, nasze przewozy do i z Neapolu, a także informacje na temat przewozów francuskich, w tym liczby pasażerów, których woziliśmy do i z Cherbourga.

Dysponuję też kompletną analizą interesów, jakie prowadzimy z De Freitas. Bozumiem jednak, że miniona godzina upłynęła panu na bardziej atrakcyjnym zajęciu niż rozmowa ze mną.

— Tak — przyznał Mark. — Rzeczywiście.

— Muszę powiedzieć, że jestem rozczarowany — oznajmił John Crombey i zacisnął usta.

— Cóż, naprawdę? Przykro mi, bo ja jestem wręcz w odmiennym nastroju. — Mark popatrzył na niego. — Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Co takiego? — zapytał ostrożnie John.

— Zatelefonujesz do biura Keys Shipping w Liverpoolu, jeśli, oczywiście, jest jeszcze otwarte, i sprawdzisz, czy mają wolną jednoosobową kabinę pierwszej klasy na dziewiczy rejs we wtorek. Jeżeli nie, poprosisz, aby natychmiast przesłali ci listę pasażerów. Następnie po kolei będziesz się ze wszystkimi kontaktował, aż wreszcie sprawisz, że ktoś zrezygnuje z rezerwacji.

Możesz zapłacić takiemu delikwentowi podwójną cenę biletu, który już wykupił. Potrzebna mi jest jedna kabina pierwszej klasy dla panny Marcii Conroy. Czy mnie zrozumiałeś?

John Crombey ciężko westchnął.

— Owszem — powiedział z rezygnacją. Teczkę z dokumentami, którą przyniósł dla Marka, położył na stoliku.

W drzwiach łazienki niespodziewanie stanęła Marcia. Na głowie miała różowy hotelowy czepek i owinięta była w wielki biały szlafrok. Z jej ślicznej buzi trudno było od — Czytać, o czym właśnie myśli. Mogła być zarówno radosna, jak i rozwścieczona.

— Czy mogę odzyskać mój płaszcz kąpielowy, Marcio? — zapytał Mark. — Zaczynam się czuć jak Adam w raju.

John Crombey na myśl, że Marcia ściągnie z siebie okrycie i poda Markowi, gwałtownie poczerwieniał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Było lato 1924 roku. W Anglii młodzi mężczyźni chodzili po ulicach w szerokich, szarych flanelowych spodniach, zwanych „oxfordzkimi worami”. We Francji markiz de la Falaise de la Coudray zalecał się do swojej przyszłej żony Glorii Swanson. W dniu, w którym umarł Stanley Keys,

konwencja republikańców w Cleveland mianowała Calvina Coolidge'a kandydatem partii w listopadowych wyborach prezydenckich.

Świat zmieniał się błyskawicznie. Ludzie pragnęli się bawić. Podczas wizyty na Long Island Książę Walii spędził większość czasu na tańcach, grze w polo i przejażdżkach łodzią motorową.

Dwóch bogatych i zepsutych młodych ludzi, o imionach Leopold i Loeb, zamordowało dla zabawy młodego chłopca Bobby'ego Franksa i otrzymało wyroki śmierci.

Było zupełnie inaczej niż w roku 1920. Harry Pakenow, na przykład, doskonale sobie z tego zdawał sprawę i nie mógł się temu nadziwić.

W sobotni poranek, 14 czerwca, Harry stał w kuchni w wąskim wiktoriańskim domu w Bootle niedaleko Liverpoolu i przygotowywał sobie śniadanie.

Nosił okulary, miał wąską klatkę piersiową oraz rzadkie, proste włosy. Towarzyszące mu poczucie pozornej bezradności jak magnes przyciągało ku niemu sprzedawczynie sklepowe, kelnerki, a nawet grube kobiety, które krzykliwie zachwalały swoje towary na straganach na rynku w Bootle. Był mężczyzną, którego niemal każda kobieta po trzydziestce chciałyby mieć w domu i czule się nim opiekować.

Harry pochodził z Hoboken w stanie New Jersey w USA, mieszkał jednak pod Liverpooliem już tak długo, że prawie można było uchwycić jego amerykańskiego akcentu, koszuli z podwiniętymi rękawami, luźnych spodniach na żółtych szelkach, wyglądał tak jak każdy inny urzędnik pracujący dla Mersey Docks albo Harbour Company; miał nawet palce pobrudzone atramentem.

Smażył właśnie jajka, kiedy z sąsiedniego pokoju dotarł do niego dziewczęcy głos:

— Harry! Czy widziałeś moje różowe buty?

— Zostawiłaś je przed drzwiami! — odkrzyknął. — Zdaje się, że wczoraj wdepnęłaś w psie łajno!

— O, cholera! Dlaczego mi ich nie wyczyściłeś!

Harry nie odpowiedział. Wyłączył gaz i postawił patelnię na drewnianej desce na stole. Obok znajdował się już talerz z dwiema grubymi pajdami chleba i porcją masła oraz filiżanka z gorącą herbatą. Harry zaczął jeść. Najpierw brał do ust porcję jajecznicy, następnie zagryzał ją chlebem i popijał herbatą; przez cały czas dokładnie w tej samej kolejności. Nie różnił się w tych czynnościach niczym od przeciętnego angielskiego robotnika spożywającego śniadanie.

— Spóźnię się, Harry! — Do kuchni wskoczyła śliczna dziewczyna w krótkiej, różowo-białej sukience, podskakując w jednym pantoflu na nodze. Miała jasnozłote włosy, długie rzęsy i rumiane policzki.

— Jeśli sądzisz, że przerwę śniadanie, żeby zeszkrobać psie gówno z twojego buta, to się mylisz — stwierdził Harry.

— Ale już jest pięć po ósmej! Pani Carson zabije mnie! — A niech tam. Jeżeli cię zabije, zaskarżysz ją do sądu.

— Och, widzę, że nie chcesz mi pomóc. Przez ciebie będę musiała ubrać się w zieloną sukienkę. I wziąć zielone buty.

Harry przed chwilą ugryzł spory kęs chleba, więc jedynie pokiwał głową. Kiedy jednak po dwóch minutach dziewczyna powróciła do kuchni, gotowa do wymarszu do pracy, w zielonej, lśniącej sukience i zielonej opasce na głowie, Harry odłożył widelec, posadził ją sobie na kolanach i czule pocałował.

— Pewnego dnia — odezwał się, patrząc jej w oczy — zrozumiesz, jak wiele dla mnie znaczyłaś, moja najdroższa panno Janice Bignor z Bootle.

Janice potargała mu włosy i oddała pocałunek.

— Ja to chyba rozumiem — odparła. — I ty też wiele dla mnie znaczysz. A teraz muszę już biec na ten cholerny autobus, bo inaczej ona naprawdę gotowa jest mnie zabić.

Harry odprowadził ją do drzwi, a potem podszedł do okna i długo patrzył, jak pośpiesznym krokiem zmierza w kierunku przystanku autobusowego usytuowanego na rogu. Został sam.

Zawsze czuł dziwną pustkę, kiedy w mieszkaniu brakowało Janice. Gdy w sobotnie poranki wychodziła do pracy, pozostawiając go samego, kręcił się po nim niezdecydowanie, a codzienne czynności: pozmywanie naczyń i uporządkowanie pościeli na ich wspólnym, chociaż dość wąskim łóżku w sypialni, zajmowało mu trzykrotnie więcej czasu niż zwykle.

Dzisiaj, zanim powrócił do kuchni, wyciągnął spod łóżka małe drewniane pudełko zamykane na kłódkę. Wyjął z kieszeni spodni kluczyk i otworzył je. W środku znajdowały się trzy najważniejsze dokumenty całego jego życia.

Pierwszym był bilet trzeciej klasy na rejs do Nowego Jorku na pokładzie ss „Arcadia” podczas jej dziewiczej podróży. Datę wypłynięcia oznaczono na wtorek 17 czerwca. Drugi dokument to amerykański paszport o poplamionej od herbaty oliwkowozielonej okładce. Wreszcie trzecim był pożółkły wycinek z „The New York Timesa” z 17 września 1920 roku.

Gazeta opisywała, jak to o godzinie 11.59, na minutę przed południem, w dniu 16 września, wóz konny wyładowany dynamitem i złomem eksplodował na rogu Broad i Wall Street, dokładnie naprzeciwko biur J.P. Morgan and Company, banku kupieckiego, zabijając trzydzieści osiem osób i raniąc setki dalszych. Ulica zaczerwieniła się od krwi ofiar, jęki rannych rozlegały się w promieniu kilkuset jardów.

Rozwścieczone w najwyższym stopniu, prasa i policja natychmiast wysunęły teorię, że wybuch na Wall Street jest sprawką czerwonych. Zakrojone na szeroką skalę śledztwo ciągnęło się długimi dniami, tygodniami, a potem miesiącami i nawet latami. W końcu najważniejszą poszlaką w sprawie stały się sworznie, które wraz z innym żelastwem poleciały po wybuchu na wszystkie strony,

zabijając ludzi, znajdujących się nawet w znacznej odległości od eksplodującego wozu. Trzeba zaznaczyć, że policja nie zlekceważyła żadnego śladu i w końcu trop oparty na sworzniach poprowadził policjantów do Francji, a potem z powrotem do Ameryki.

Urwał się w Hoboken, w stanie New Jersey, w składnicy złomu na Willow Avenue. Jej właściciel rzeczywiście sprzedał owe fatalne sworznie, ale nie miał pojęcia komu.

W ciągu blisko czterech lat, które minęły od wybuchu, nikomu nie przyszło do głowy, że jego sprawcą był Harry Pakenow, były student ekonomii, a później jeden z najaktywniejszych i najbardziej porywczych członków stowarzyszenia o nazwie „Młodzi Robotnicy Ameryki”. Dla Hardego kapitalistyczne instytucje na Wall Street stanowiły policzek, wymierzony ludziom pracy w Ameryce. Dzięki ciężko pracującym robotnikom wstrętnei kapitaliści mogli obżerać się i pławić w luksusach. Harry wciąż trząsał się z gniewu, kiedy przypominał sobie te wszystkie aresztowania wśród ludzi z załóg robotniczych, oskarżanych o „dywersję i komunistyczną agitację”. Był w Bostonie w 1920 roku, kiedy policja uwięziła stu robotników i zamknęła ich na tydzień w jednej celi o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia cztery stopy; tylko dlatego, że podejrzewano ich o sympatyzowanie z komunistami.

Harry nie był z natury gwałtownym człowiekiem. Szczycił się tym, że nigdy w życiu nikogo nie uderzył. Często powtarzał Janice, że woli walkę na argumenty niż pięści. Ona oczywiście nie miała pojęcia, co zrobił i dlaczego.

Ułożył papiery z powrotem w pudełku, a potem poszedł do kuchni, żeby zagotować sobie wodę na świeżą herbatę. Potrafił już przygotowywać herbatę jak prawdziwy Anglik: najpierw podgrzewał brązowy imbryczek z chińskiej porcelany, a potem wsypywał do niego po jednej łyżeczce herbaty na każdą osobę plus jedną na szczęście. Z trudem przyzwyczajał się do myśli, że już nigdy nie powróci do Anglii, nawet jeżeli przeżyje.

Jego plany dotyczące „Arcadii” powstały niemal rok temu, kiedy po raz pierwszy usłyszał o tym statku. Reklamy Keys Shipping opisywały „Arcadię” jako „ostatnie słowo w dziedzinie podróży oceanicznych... szczytowe osiągnięcie... pływające miasto...” Reklama zachwalała ponadto, że miejsce w pierwszej klasie, w jedną stronę, kosztować będzie 4118 dolarów, tylko o kilkaset mniej niż na „Aquitanii”.

Kiedy Harry przeczytał o zabawach, przyjęciach z tańcami i luksusowym jedzeniu, jakie planowano organizować i serwować dla pasażerów pierwszej klasy podczas wszystkich podróży, poczuł gorycz tak wielką, że przyprawiającą go niemal o mdłości. Tego wieczoru pozostawił

nietkniętą kolację, składającą się z jednego śledzia i gotowanych ziemniaków. I to wcale nie dlatego, że zazdrościł bogatym. Nie pragnął luksusów dla siebie. Po prostu nie znośił

niesprawiedliwości. Odrzą napawali go bogacze, którzy na jeden posiłek konsumowali tyle, ile przez cały dzień jadła cała robotnicza rodzina, którzy w ciągu tygodnia wydawali na swoje potrzeby tyle pieniędzy, ile ta sama rodzina wydawała przez cały rok.

Wcale nie zależało mu na tym, by znaleźć się w panteonie męczenników, wiedział jednak, że nie ma

wyboru. Jego obowiązkiem było uderzać po raz kolejny w samo serce kapitalizmu, i to jeszcze bardziej zdecydowanie niż w 1920 roku, jeszcze gwałtowniej. Skrzyżowanie Wall Street i Broad Street ucieleśniało to, co w kapitalizmie najgorsze na lądzie; „Arcadia” symbolizowała butę i bezwzględność wyzyskiwaczy na morzu.

Janice wyczuwała, że Harry zmienił się w ciągu ostatnich tygodni. Im bliżej było daty rozpoczęcia dziewiczej podróży „Arcadii”, tym bywał bardziej spięty, bardziej milczący. Nigdy go jednak o nic nie pytała. Harry wiedział, że będzie bardzo tęsknił za Janice, tak jak będzie tęsknił za wąskimi, wiktoriańskimi uliczkami Bootle, za pieczeniami wołowymi i ciepłym piwem po dwa pensy za pinta. Będzie też tęsknił za angielskim deszczem.

Jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić momentu, kiedy zdetonuje trzydzieści lasek dynamitu w ładowni „Arcadii”, znał siebie jednak na tyle, iż nie miał wątpliwości, że się nie zawaha, gdy nastąpi właściwa chwila.

Kiedy wyszedł z domu, zaczął siąpić drobny deszcz. Harry miał na głowie brązową tweedową czapkę i lekki, w tym samym kolorze, płaszcz przerzucony przez ramiona. Deszcz momentalnie zmoczył mu szkła okularów. Doszedłszy do przystanku na rogu, zatrzymał się w oczekiwaniu na autobus.

Podczas powolnej jazdy przez Stanley Road i Scotland Road, Harry zaczął rozmyślać o Janice. Spotkał ją podczas pierwszego tygodnia swojego pobytu w Anglii, przy stoisku z grzebieniami i szczotkami, w ponurym, wielkim sklepie, w którym Janice wówczas pracowała.

Chodził od stolika do stolika, kupując po kolei wszystkie te rzeczy, które pozostawił w Ameryce w trakcie pospiesznej ucieczki z Nowego Jorku. Szczoteczka do zębów, pidżama, koszule, majtki, skarpetki... „Młodzi Robotnicy Ameryki” urządzili zbiórkę na jego potrzeby i wyprawili go do Anglii ze stu ośmioma dolarami w kieszeni.

Janice mieszkała wtedy razem z matką, po tym jak opuściła swojego męża, zaledwie trzy tygodnie po ślubie. Teraz iniała dwadzieścia lat, a była zaledwie wyrosniętą siedemnastolatka o dziewczęcym wyglądzie, kiedy do ołtarza w kościele pod wezwaniem św. Matyldy prowadził ją dziewiętnastoletni sprzedawca ze sklepu rzeźnickiego, Philip Snowball.

Wyobrażenie Philipa Snowballa o tym, kim dla mężczyzny powinna być żona, okazało się bardzo prymitywne. Uważał, że jej zadaniem jest pranie i prasowanie jego ubrań, cerowanie brudnych skarpetek i przygotowywanie jedzenia. On tymczasem każdego wieczoru w ciągu trzech tygodni wspólnego zamieszkiwania z Janice upijał się do nieprzytomności, a po powrocie do domu jęczał i wymiotował, zwykle do kominka. Ani razu nawet nie dotknął swojej żony.

Najprawdopodobniej nie miał zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Harry, samotny w Nowym Jorku, zaryzykował i poprosił ją, aby spędziła z nim wieczór; tak bardzo pragnął porozmawiać z kimś młodym, uśmiechniętym, przyjaznym. Janice zgodziła się i razem zjedli kolację w restauracji. Harry spodobał się jej. Po kolacji zaprowadziła go do domu swej matki i tam kochali się na kuchennym krześle, w słabym blasku ognia dogasającego w węglowym piecyku.

Janice niczego nie oczekiwała po Harrym, tylko miłości. Pomyślał, jak się poczuje, kiedy we wtorek powróci z pracy i stwierdzi, że on odszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Harry dotarł do nabrzeża liverpoolskiego portu, padało już znacznie mocniej. Zatrzymał się na chwilę, aby przepuścić ciężarówkę z ładunkiem beczek, a potem wszedł do niewielkiego budynku biurowego o dachu pokrytym blachą falistą. Znalazłszy się w środku, skręcił w lewo i po chwili wszedł do zagraconego warsztatu na końcu korytarza. Czekał tam już na niego jasnowłosa mężczyzna w długim fartuchu ze skóry.

Harry ściągnął czapkę i otrzepał ją o nogawkę spodni.

— Dzień dobry, Dennis — powiedział głośno.

Dennis podniósł głowę znad imadła, przy którym właśnie coś piłował.

— Proszę, proszę, zjawileś się bardzo wcześnie — zauważył. — Czyżby Janice wyrzuciła cię z łóżka?

— Janice poszła do pracy. Pomyślałem, że wpadnę tutaj, zanim pójdę na Limę Street, zobaczyć się z Jimem.

Dennis pokiwał głową.

— Miły deszczyk, prawda? — powiedział, spoglądając przez okno.

Harry wzruszył ramionami.

— Ani mi to w głowie. Przyszedłem w sprawie załadunku. Dennis odwrócił się do niego.

— Wszystko jest w porządku, z tego co wiem.

— Czy masz upatrzony jakiś samochód?

— Być może. Większość pojazdów jest już gotowa do załadunku.

Teraz Harry podszedł do okna. Z miejsca, w którym przystanął, wyraźnie widział czarno —

biały liniowiec oraz setki robotników i urzędników, krzątających się przy nim i na jego pokładzie. Przypatrując się „Arcadii”, przypomniał sobie, co napisał niedawno o niej jeden z dziennikarzy: „Gdyby ścigała państwa taksówka, jadąca z prędkością dwudziestu czterech mil na godzinę od dworca Pensylwania, zapewne nie byłoby w tym nic dziwnego. Jednak gdyby sam dworzec Pensylwania ruszył za wami w pogoń z tą samą prędkością, wówczas moglibyście mieć jako takie wyobrażenie, czym jest «Arcadia» w ruchu”.

— Co to za samochód? — zapytał Harry. Znał Dennisa na tyle, że wiedział, iż właściwy pojazd został już wybrany.

— Bardzo specjalny — odparł Dennis. — Dotarł tutaj wczoraj późnym wieczorem. To marmon big eight, prawdziwe cacko. Czeka na załadunek w magazynie.

— Masz kluczyki?

— A po co mi kluczyki? Nie ma na świecie samochodu, którego bagażnika nie potrafiłbym otworzyć kawałkiem

— Jesteś pewien?

— A zgadnij.

— Niedługo się przekonam. Jak myślisz, możemy już te — załadować naszą niespodziankę?

Dennis westchnął i popatrzył na zegar wiszący na ścianie.

— Właściwie nie widzę przeszkód. Lepiej jednak poczekajmy jeszcze pięć minut, aż Wally pójdzie na lunch. Wtedy będziemy mieli cały magazyn jedynie dla nas.

Harry zestawił na podłogę jakieś pakunki i usiadł na drewnianej ławeczce.

— Wiesz co, Dennis? — zapytał. — Po raz pierwszy w życiu czuję, że się naprawdę spełniam.

— Nie boisz się? — Dennis zawsze zastanawiał się, jakim cudem facet o tak przeciętnym wyglądzie może być takim fanatykiem swej sprawy.

— Oczywiście, że się boję — odparł Harry.

— Zjesz coś ze mną? Podzielę się z tobą moim chlebem. Wcale nie musimy czekać o pustym żołądku, aż Wally sobie pójdzie.

Harry przecząco potrząsnął głową. Był zbyt zaabsorbowany tym, co za chwilę ma zrobić, by przeżuwać teraz kanapkę z serem.

— Skąd będziesz wiedział, kiedy Wally wyjdzie z magazynu?

Dennis ugryzł kawałek chleba i wskazał głową w kierunku okna.

— Będzie tędy przechodził. Nie ma innej drogi.

Czekali jeszcze pięć minut i wreszcie ujrzeli przez szybę niskiego człowieka o okrągłych ramionach, w czapce z materiału, zmierzającego do najbliższego pubu. Nie mógł zdawać sobie sprawy, że opuszczając stanowisko pracy na kilkadziesiąt minut, tego dnia kreuje historię.

— W porządku — powiedział Harry. — Zabierajmy ładunek i chodźmy.

Dennis wyciągnął niedużą, drewnianą skrzynkę spod ławki i przez chwilę wraz z Harrym przypatrywał się jej. Pierwszy ocknął się Harry:

— No, dalej, chodźmy. Nie mamy całego dnia na tę robotę.

Na zewnątrz wciąż siąpił deszcz. Niosąc skrzynkę pomiędzy sobą, Harry i Denis pomaszzerowali do baraku, w którym trzymano samochody pasażerów przed załadowaniem ich na statek.

W powietrzu unosił się ostry zapach słonej wody i oleju, słychać było skrzek mew. Górząca nad nabrzeżem „Arcadia” była tak wielka, że nie dało się z bliska objąć jej wzrokiem. Harry przypomniał sobie historię, którą przeczytał w gazecie o pewnym mężczyźnie; okrętując się na

„Titanicu”, przybył na pokład tak późno, że nie zdołał spojrzeć na statek z zewnątrz. Obiecał sobie, że dobrze przypatrzy mu się w Nowym Jorku.

W pewnej chwili Dennis powiedział:

— To tutaj. — I pchnął ramieniem jakieś drzwi pomalowane na zielono. W magazynie było ciemno i ponuro. Słabe światło dobiegało do środka jedynie przez małe okienka, nie myte od tak dawna, że ich szyby miały kolor słabej herbaty. W środku stało od trzydziestu do czterdziestu samochodów, zderzak przy zderzaku, wszystkie skierowane przodem w kierunku wielkiej bramy, teraz zamkniętej, a przez którą wkrótce miały wjechać na statek.

Harry ostrożnie postawił skrzynkę na betonowej podłodze. W magazynie było przynajmniej dziesięć rolls-royce’ów w różnych odcieniach karoserii, od kremowej do czarnej, poprzez ciemnobrązową. Były tu także bentleye, daimlery i nawet angus-sanderson. W magazynie wyczuwało się zapach benzyny, gumy i skóry.

— Samochód, o który nam chodzi, jest po drugiej stronie — powiedział Dennis. Znów podnieśli skrzynię i ruszyli pomiędzy rzędami automobili, uważając, aby nie uderzyć o zderzak ani o żaden reflektor. Wysadzenie w powietrze „Arcadii” to była jedna sprawa; wysadzenie kilkudziesięciu samochodów i siebie nawzajem byłoby jedynie tragicznym i niepotrzebnym błędem.

Wreszcie dotarli do marmona, długiego, czarnego samochodu, którego lakier tak lśnił, że można było się w nim przeglądać prawie jak w lustrze.

W porządku, postawmy teraz tę skrzynkę — wyszeptał i Dennis. Rozejrzał się jeszcze dookoła, aby się upewnić, że poza nimi w magazynie nie ma absolutnie nikogo. Zresztą, nawet gdyby w tej chwili ktoś tutaj zajrzał, nie dojrzałby ich. Znajdowali się wystarczająco daleko od drzwi, a sam marmon stanowił doskonałe zabezpieczenie przed wzrokiem kogoś niepożądanego.

— Otwieraj bagażnik — szepnął Harry w odpowiedzi.

Dennis przyklęknął z tyłu marmona i zaczął majstrować przy zamku, a Harry tymczasem rozglądał się

czujnie dookoła.

— Rozmawiałem z kierowcą tego auta, kiedy je tutaj odstawił — odezwał się Dennis. — Czy wiesz, ile to cacko kosztuje? Prawie dwanaście tysięcy dolarów, łącznie z wyposażeniem kabiny.

— No i dobrze. Z tym większą przyjemnością rozpieprzę je w drobny mak.

— Myślałem, że przynajmniej docenisz jego piękno — powiedział Dennis. Wciąż zmagał się z zamkiem bagażnika.

— Czy nie mógłbyś się pośpieszyć? — Harry zaczynał się niecierpliwić.

Dennis uczynił gwałtowniejszy ruch i coś w zamku samochodu cicho trzasnęło.

— Na miłość boską, nie rozwal tego! — syknął Harry. Ale w tym momencie zamek puścił i pokrywa bagażnika odskoczyła na dobrze naoliwionych zawiasach. W środku znajdował się drewniany stołek używany przez myśliwych na polowaniach, wysokiej klasy lornetka w skórzanej pochwie i wiklinowy koszyk do przewożenia żywności i napojów na pikniki.

Pozostawało jeszcze dużo miejsca na drewnianą skrzynkę z trzydziestoma laskami dynamitu.

— Dalej, ładujemy — powiedział Dennis. — Najlepiej schowajmy ją za koszykiem, nikt jej tu nie zauważy.

— Zaraz, zaraz — powiedział Harry, kiedy już ułożyli skrzynkę we właściwym miejscu. — A jak dostanę się do bagażnika, kiedy będę chciał uruchomić zapalnik?

— Tak to pozostawię, że wystarczy ci zwykły kawałek drutu i prosty ruch ręką — odparł

Dennis. — A z podłączeniem zegara do detonatora chyba nie będziesz miał kłopotu. To już potrafisz. Kiedy załatwisz sprawę, uciekaj... — nagle przerwał wyraźnie zmieszany.

— Ciekawe dokąd — mruknął tylko Harry.

Już mieli ruszyć do wyjścia, kiedy niespodziewanie usłyszeli, jak otwierają się drzwi. Obaj przykucnęli za samochodem i zamarli w bezruchu.

— ...mam nadzieję, że załadujesz większość z nich jeszcze dzisiaj — mówił ktoś głośno z silnym liverpolskim akcentem.

— Będę się starał, panie Pollard. To wszystko zależy od ludzi.

— Jakich ludzi, cholera? Zagonię ich w końcu do roboty. Większość tkwi w barze, zamiast zabierać się za załadunek. Niech ci cholerni lenie ruszą w końcu dupy, bo inaczej będą musieli szukać sobie nowego zajęcia.

— Postaram się ich ściągnąć.

— No, ja myślę. Gdyby pan Keys był ciągle wśród nas, nie byłoby takich problemów.

— Tak, panie Pollard. Ale sam pan wie, jacy są ci robotnicy. Nie mogę obiecywać cudów.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, Harry i Dennis czekali jednak jeszcze prawie pięć minut, zanim ośmielili się ruszyć. Wreszcie bez słowa, jak na komendę, wstali równocześnie.

Dennis lekko zatrzasnął bagażnik.

— Urządziłem zamek tak, że wystarczy, abyś włożył do niego drut i lekko pociągnął —

powiedział do Harry'ego chrapliwym szeptem. — Otworzysz bagażnik przy pierwszej próbie.

— A jeżeli nie?

— To spróbujesz jeszcze raz.

— A jeżeli mimo wszystko wciąż będzie zamknięty? — Jeżeli wciąż będzie zamknięty, wówczas dojdiesz do wniosku, że Bóg jest po stronie bogatych, i dasz sobie spokój.

W odpowiedzi Harry wzruszył jedynie ramionami.

Najciszej, jak potrafili, przeszli przez magazyn z powrotem do drzwi. Dennis uchylił je lekko, aby się upewnić, że nikt z zewnątrz ich nie obserwuje, a potem obaj wyszli i przez całą drogę powrotną do warsztatu starali się iść krokiem tak nonszalanckim, jak to tylko było możliwe.

Mężczyzna o długich opadających wąsach i w kapeluszu derby, najwyraźniej rozglądający się za drobnymi złodziejaskami, zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem, kiedy jednak skręcili do warsztatu, zamiast kierować się do głównej bramy, stracił zainteresowanie nimi.

— Gdyby tylko wiedział — mruknął Dennis.

— Mam nadzieję, że nikt nie będzie przeszukiwał samochodów — powiedział Harry.

— A niby po co? Przecież nie ma w nich nic, co byłoby potrzebne właścicielom przed przekroczeniem Atlantyku, uspokój się, Harry. Swoje zadanie już prawie spełniłeś. Musisz jeszcze tylko zejść do ładowni, gdy „Arcadia” będzie na pełnym morzu, podłączyć zapalnik i to będzie koniec. Prawdziwy koniec...

— Ale czy któryś z dokerów nie włamie się do tego samochodu, zanim „Arcadia” odpłynie?

Dennis przez chwilę milczał.

— Cóż, zawsze jest takie ryzyko. Dokerzy i robotnicy od początku świata uważali, że mają prawo uzupełniać swoje zarobki tym wszystkim, na czym zdołają położyć łapy w porcie. Czy wiesz, że w niektórych kabinach pierwszej klasy na „Arcadii” trzeba było nawet trzy razy uzupełniać instalację wodną? Robotnicy kradną miedziane rury i wynoszą je w nogawkach od spodni. Większość pubów

wokół portu przyjmuje zarówno gotówkę, jak i miedź.

— No i co z tego? To nic innego jak sprawiedliwość społeczna. Kapitałiści okradają klasę robotniczą, klasa robotnicza okrada więc kapitalistów. Mam jednak nadzieję, że żaden robotnik nie zechce zajrzeć do bagażnika marmona.

— Raczej rzadko interesują się samochodami.

— Nie wiesz przypadkiem, czyj jest ten marmon? — zapytał Harry. — Byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy natrafili na kogoś powszechnie szanowanego i ten ktoś, w wyniku przypadkowego odkrycia dynamitu w jego aucie, zostałby niesłusznie oskarżony o zamiar zatopienia „Arcadii”.

Dennis uśmiechnął się.

— To jest szczególny samochód — powiedział. — Bądź pewien, że wybrałem go z rozmysłem.

— Nie rozumiem. Do kogo należy ten marmon?

— Do czcigodnego Marka Beeneya, faceta, który jest właścicielem American TransAtlantic.

Jego kompania jest największym rywalem Keys Shipping. Zapewniam cię, że Mark Beeney jest człowiekiem, któremu bardziej niż komukolwiek innemu na świecie zależy, żeby „Arcadia” poszła na dno.

Harry przez chwilę przypatrywał się Dennisowi. W końcu na jego ustach wykwitł szeroki uśmiech. Poklepał Dennisa po plecach i powiedział:

— Wiesz co, muszę już iść, ale najpierw chciałbym ci coś powiedzieć. Otóż jesteś geniuszem, wiesz? Najprawdziwszym geniuszem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dottie delikatnie zapukała do drzwi sypialni Catriony i powiedziała:

— Pan Deacon mówi, że musicie już wyjeżdżać. Czy jest pani gotowa? Pozostało najwyżej pięć minut.

Catriona była gotowa już od prawie godziny. Siedziała przy toalecie, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze i zastanawiając się, kim tak naprawdę jest w tej chwili i czy podoba się jej to nowe wcielenie. Od popołudniowej herbaty wypła dwa drinki i wypaliła trzy papierosy, i gdyby nie fakt, że gdy przechylała głowę, jej lustrzane odbicie zachowywało się tak samo, myślałaby, że dziewczyna w lusterku jest całkiem inną osobą.

Musiała szczerze przyznać, że Edgar załatwił wszystko bardzo profesjonalnie. Od czasu jej powrotu do Formby w ubiegłym tygodniu przygotowywał dla niej tak wiele rzeczy...

Sprowadzona została fryzjerka, aby ułożyła jej włosy. Przybyła modystka z tak wieloma kapeluszami,

że sypialnia podczas jej wizyty wyglądała jak polana pełna różnokolorowych grzybów. Przybyli krawcy, którzy przygotowali całe mnóstwo atlasowych i jedwabnych sukienek, w tym kilka wspaniałych sukien wieczorowych, które niemal płynęły za nią w powietrzu, kiedy się poruszała. Były też luźne dzienne okrycia w japońskie wzory, kostiumy podróżne, spódniczki do tenisa, sukienki na słońce i wreszcie kostiumy kąpielowe zaprojektowane przez Pabla Picasso. Catrionie miała nawet czasu, żeby wszystko, co nowe, dokładnie poprzymierzać. W każdym razie w ciągu kilku krótkich Soi zakupiono dla niej, oczywiście na rachunek Keys Ship — garderobę o łącznej wartości trzech tysięcy dwustu funtów.

Aby to wszystko zapakować, potrzeba było aż jedenastu kufrów.

Otrzymała także mnóstwo różnych butów na każdą okazję co bardzo ważne, biżuterię — złotą i platynową z mnóstwem innych kamieni szlachetnych, od szmaragdów poczynając, a kończąc na czerwonych rubinach i diamentach. Jej zadowolenie i przyjemność z tych zakupów były jednak bardzo nikłe z powodu żalu po śmierci ojca. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo pragnąłby ją teraz widzieć, mimo klóciłiby się o zbyt śmiały krój niektórych sukien, zbyt ostentacyjny kształt szczerozłotych kolczyków. Bolała ją też świadomość, że gdyby żył ojciec, być może w ogóle nie Zgodziłaby się wziąć udziału w rejsie „Arcadii”. To z dużym prawdopodobieństwem jego śmierć sprawiła, że postanowiła jednak płynąć, że bez słowa zaakceptowała to, czego pragnął jej ojciec, pisząc swym wyraźnym, starannym pismem „Catriona Keys” obok numeru kajuty, którą dla niej zarezerwował. Dlaczego to zrobił? Czyżby był niepoprawnym optymistą? Przecież zawsze na wszystko patrzył tak racjonalnie. A może nakazała mu to uczynić ta niezachwiana, ojcowska pewność, że tym razem córka mu nie odmówi? Miała nadzieję, że nie wchodziło w grę przecucie, iż on sam tym statkiem już nie popłynie.

Był wczesny poniedziałkowy wieczór, mijała właśnie godzina osiemnasta. Słońce o mandarynkowym kolorze sączyło swe ostatnie promienie pomiędzy gęstymi liśćmi drzew w ogrodzie. Gdzieś daleko był jakiś nieszczęsny pies. Catriona zapaliła kolejnego papierosa i nadal siedziała beczynn timer przed toaletką z łokciem opartym o blat stolika. Oczy miała opuszczone tak, aby odbicie w lustrze nie mogło zorientować się, o czym właśnie rozmyśla. Jej jedenaście kufrów znajdowało się już na statku, a Edgar oświadczył dziennikarzom, że jeśli zgromadzą się o dwudziestej w porcie pasażerskim w Liverpoolu, będą mieli pierwszą okazję do sfotografowania młodej i niezwykle pięknej Królowej Atlantyku.

Wszystko dookoła niej stało się nagle takie wspaniałe, pełne blasku. Catriona doskonale wiedziała, że to oznacza dla niej koniec wolności, a przynajmniej koniec życia, jakie wiodła do tej pory. Już te kilka dni wystarczyło, by się zmieniła. Uległa przemianie tak ogromnej, że trudno było w niej rozpoznać dziewczynę sprzed tygodnia. Mogłaby minąć się z Nigelem na Royal Hospital Road, a on z całą pewnością by jej nie rozpoznał. Chociaż... Przynajmniej tak jej się wydawało, bo zupełnie nie czuła się sobą.

Ponownie usłyszała stukanie do drzwi. Tym razem była to jej matka, ubrana w czarną suknię z niewielkim dekoltem i podwójnym sznurem pereł okręconym wokół szyi. Pod oczami wciąż miała ciemne obwódki. Doktor Whitby przepisał jej po raz kolejny tabletki nasenne, a mimo to tej nocy znów obudziła się o trzeciej nad ranem i chodziła po domu z rozpuszczonymi włosami niczym lady Makbet.

— Jesteś gotowa, kochanie? — zapytała córkę. — Zdaje się, że Edgar zaczyna się niepokoić.

— Tak, chyba jestem — odparła Catriona.

— Masz śliczną sukienkę, wiesz? Szary jedwab i białe koronki na obrzeżach doskonale do siebie pasują. Wzbudzasz samym swoim wyglądem szacunek i podziw. No i ta fryzura.

Catriona dotknęła swojej głowy.

— Nie jestem pewna — powiedziała. — Raczej żałuję, że obciąłam włosy.

— Ale wyglądasz wspaniale. Jesteś taka piękna! Och, najdroższa, jak bardzo bym chciała, żeby taką mógł cię zobaczyć twój ojciec.

Catriona podeszła do matki i ujęła ją za rękę.

— Mamo — szepnęła. — Gdyby ojciec żył, nie byłoby mnie tutaj dzisiejszego dnia. To jedno z tych marzeń, które nigdy się nie spełniają, nawet w snach.

Matka zamrugała oczyma, a potem popatrzyła gdzieś w przestrzeń.

— Chyba nie pogardzasz mną za to, że pragnęłam tego tak bardzo jak twój ojciec? — powiedziała.

— Ależ mamo... Był moim ojcem tak samo jak twoim mężem. Obie kochałyśmy go, każda z nas na swój sposób.

— Kochałaś go, Catriono? — zapytała matka gwałtownie. Catriona uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Myślę, że tak. Tak, z całą pewnością.

— Jutro go pochowamy — przypomniała matka. — W chwili gdy „Arcadia” będzie wypływała w morze jutro o trzeciej południu, my tutaj, w Formby, będziemy oddawali ziemi ciało twojego ojca.

Catriona podeszła do toaletki i po chwili powróciła z małym złotym medalionem w dłoni.

Wręczyła go matce.

— Jutro — powiedziała łagodnie — wrzuc go do grobu na trumnę. W oczach matki zalśniły łzy.

— Co to takiego? — zapytała. — Chyba nigdy przedtem tego e widziałam.

— Kupiłam to w Londynie za pieniądze, które ojciec prze — mi na urodziny.

Niemal po omacku, gdyż niczego nie widziała wyraźnie poprzez łzy, matka otworzyła medalion. W środku znajdowała się niewielka fotografia Catriony zrobiona w Cambridge przed rokiem. Był tam też kosmyk włosów przewiązany wstążeczką i skrawek papieru, na którym Catriona wypisała:

„Mojemu ukochanemu Tatusiowi, na pamiątkę tych wszystkich szczęśliwych chwil, które spędziliśmy razem, oraz tych, których nie spędziliśmy, a powinniśmy. Twoja jedyna córka”.

Matka zamknęła medalion i ścisnęła go w dłoni.

— Wiem, że nie sprawisz mu zawodu — powiedziała, łkając. — Wiem, że gdziekolwiek on teraz jest, spogląda na ciebie z dumą, i tak będzie już zawsze.

Tym razem Dottie niepewnie zapukała do drzwi sypialni i powiedziała:

— Czy jest już panienka gotowa? Pan Deacon martwi się, że pani się spóźni na spotkanie z dziennikarzami, a jest ono bardzo ważne.

Catriona pocałowała matkę w czoło i opuszką palca otarła jej łzy.

— Zawsze będzie ze mnie dumny — przyrzekła, chociaż dobrze wiedziała, jak niepewnie brzmią jej słowa. Edgar Deacon czekał niecierpliwie w holu. Ubrany był czarną marynarkę i koszulę z wysokim, sztywnym białym kołnierzykiem. Catriona zeszła po schodach dwukrotnie wolniej, niż czyniła to zwykle, pozwalając, aby szerokie rękawy jej sukni płynnie falowały wokół

niej. Pomyślała, skoro Edgar chce uczynić z niej królową, postara się od samego początku zachowywać wobec niego właśnie jak królowa.

— Musimy już jechać — powiedział z niecierpliwym grymasem na twarzy. — Całe spotkanie z dziennikarzami jest zaplanowane niemal co do sekundy i chcę, żeby odbyło się zgodnie z tym planem. Poza tym po drodze do portu mamy jeszcze jeden mały przystanek.

Z salonu wyszła Isabelle w kapeluszu, który tkwił na jej głowie niczym czarny, szeroki rondel, i w nieładnej sukni z czarnego, sztucznego jedwabiu.

— Czas już na nas — oznajmiła. — Catriono, czasami wydajesz mi się najbardziej nieodpowiedzialną osobą, jaką znam. Uważasz pewnie, że Bóg również zaczeka na ciebie w dniu Sądu Ostatecznego.

Catriona uśmiechnęła się do niej.

— Ciociu Isabelle, jeśli wówczas będziesz ogłaszana boginią, obiecuję ci, że zdążę na uroczystość.

— Bagaze — warknęła Isabelle i ruszyła w kierunku drzwi tak szybko, że Edgar z najwyższym trudem zdążył je przed nią otworzyć.

— Wyglądasz pięknie — powiedział do Catriony. W jego głosie brzmiała rezerwa charakterystyczna dla człowieka, który nie lubi prawić komplementów. — Jestem pewien, że od pierwszej chwili spodobaś się dziennikarzom.

— Zobaczymy — odparła Catriona. Poczekała, aż Lettice weźmie od niej płaszcz: wełniany z czarnym paskiem i drobnymi diamentami wszytymi w klapy.

Wyszli z domu i powoli przeszli przez żużlowy podjazd. Przy ozdobnej fontannie czekał na nich wawrzynowozielony rolls-royce. Absolutną ciszę zakłócał jedynie warkot jego silnika. W

samochodzie czekała już na nich Isabelle. Oboje więc wsiedli i Edgar skinął na kierowcę, że może ruszać.

Gdy oddalili się od rodzinnego domu, sunąc długą, wyżwirowaną drogą dojazdową, Catriona odwróciła się i popatrzyła za siebie na elegancki, szary budynek zbudowany w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, na jego szare, gotyckie kominy oraz na otaczające go rzędy zielonych drzew przypominających odrobinę dziecięce lizaki.

— To zabawne — odezwała się do Edgara. — Nigdy nie odczuwałam tak silnie związku z tym domem jak w tej chwili.

Edgar uśmiechnął się.

— Byliście do siebie bardzo podobni, ty i twój ojciec — powiedział. — Lubiliście walkę, współzawodnictwo, stąpaliście po krętych ścieżkach. Teraz, gdy go nie ma, najprawdopodobniej i odkryjesz, że życie jest o wiele mniej skomplikowane.

— Nie jest pan zbyt miły — zauważyła Isabelle.

— Wcale nie zamierzam być miły — odparł Edgar. — Po prostu mówię prawdę panie Catrionie.

Isabelle odwróciła się od niego, pozwoliła sobie jednak na jeszcze jedną, tym razem osobistą uwagę:

— Wciąż nie wiem, dlaczego nie zatrudniono na „Arcadii”

— Niech mi pan wierzy, gdyby „Arcadia” była sklepem z galanterią, a nie oceanicznym liniowcem, Tony natychmiast znalazłby na niej zatrudnienie. Niestety, musiałem przyjmować do pracy takich ludzi, którzy byli do niej odpowiedni.

— Skoro Catriona jest odpowiednią osobą, to chyba tylko i dlatego, iż uważa pan ten statek za dom rozpusty — warknęła Isabelle. Po czym nagle zaczerwieniła się i dodała: — Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. Przesadziłam. Żyję ostatnio w takim napięciu... Śmierć Stanleya, moja siostra wciąż płacząca po jego utracie i Tony wydzwanający do mnie w sprawie pracy na

„Arcadii”... Obawiam się, że jestem kłębkim nerwów.

Catriona ujęła dłoń Isabelle. Była chuda, drobna, poznaczona ciemnymi plamami.

— Byłaś cudowna przez te dni, ciociu. Zapanuj więc nad sobą i nie zepsuj teraz wszystkiego.

Isabelle natychmiast wyszarpnęła dłoń, a Edgar spojrzawszy na Catrionę, nieznacznie pokręcił

głową, jakby chciał powiedzieć, że ma pozostawić Isabelle samą sobie jej zazdrościami, humorami i żalami wobec całej rodziny Keysów.

Rolls-royce tymczasem szybko sunął poprzez biedne przedmieścia Liverpoolu, zbliżając się do portu. Catriona siedziała w milczeniu i marzyła, aby i do niej nikt się nie srał. W pewnej chwili ujrzała dwóch nastolatków, kujących na jezdni przy wysokim krawężniku. Obaj nie mieli butów. Chodnikiem szła kobieta w obdartej sukni i słomkowym kapeluszu. Bieda aż kłuła w oczy.

— Teraz — powiedział niespodziewanie Edgar, pochylając się do szofera.

— Breeze Hill, proszę pana?

— Tak. Zaraz potem skręcisz w prawo w Stonecroft Terrace i zatrzymasz się.

— Nie mamy wiele czasu, proszę pana.

— Na to nam wystarczy.

Rolls-royce skręcił w stromą uliczkę, biegnącą w górę, a potem wjechał w błotnistą ulicę, po obu stronach której stały wąskie murowane budynki mieszkalne. W tej okolicy mieszkało wielu pracowników Keys Shipping; dokerzy, robotnicy portowi, spawacze, cieśle i inni. W pewnej chwili Edgar powiedział:

— Zatrzymaj się — i kierowca posłusznie przystanął przy krawężniku.

— Nie chciałbym parkować tutaj za długo, proszę pana — odezwał się szofer, rozglądając się niepewnym wzrokiem dookoła. Zaniepokoiła go grupa wyrostków w postrzępionych spodniach, z hałasem biegających po wyłożonej kocimi łbami ulicy i kąpiących z zapamiętaniem zgniłego pomidora. — Samochód taki jak nasz aż korci tych smarkaczy. Ostatniego razu, kiedy zatrzymałem się w Bootle, jakiś gówniarz podrapał całą karoserię.

— To nie potrwa długo — zapewnił Edgar. Czekał cierpliwie w aucie, aż kierowca obejdzie je dookoła i otworzy przed nim drzwi. Dopiero wówczas wysiadł i wyciągnął dłoń w stronę Catriony.

— Nigdy tu jeszcze nie byłam — stwierdziła Catriona i w duchu żałowała nawet, że w ogóle się tutaj znalazła. Wsiadłszy z samochodu, przystanąła oświetlona blaskiem ciemnopomarańczowego słońca, wdychając nie znane jej dotąd zapachy kuchenek opalanych węglem, gotowanych warzyw, potu, kotów i silnego smrodu bijącego z rynsztoków. Jakiś mężczyzna, idący chodnikiem po drugiej stronie, przystanął i zaczął przypatrywać się jej bez żadnego skrępowania.

— Percy Fearson byłby lepszym przewodnikiem, gdybyś kiedyś chciała zobaczyć całe osiedle

— powiedział Edgar. — Na razie jednak chodź ze mną, pokażę ci coś interesującego.

Przeszli kilkanaście kroków i stanęli pod drzwiami numer siedemnaście. Były one pomalowane kasztanową farbą uchylone, dzięki czemu do wnętrza budynku wpadały resztki promieni słonecznych. Na progu siedziała stara kobieta w sukni w kwieciste wzory, robiąca na drutach, mimo że palce miała powykęcane przez artretyzm.

— Dzień dobry, babciu — powiedział Edgar. — Czy zastaliśmy panią Colehill?

— Dzień dobry, panie Deacon. Tak, właśnie trzepie dywan.

— Chodź za mną — odezwał się Edgar do Catriony i poprowadził ją przez wąski hol, którego ściany wyklejone były łuszczącą się tapetą. Tutaj z kolei śmierdziało śledziami i pleśnią. Gdy znaleźli się wreszcie w jakimś pomieszczeniu, Catriona uważnie się rozejrzała. Pod jedną ze ścian stała rozsypująca się kanapa z wystającym końskim włosiem. Podłogę zaścierały całe sterty gazet. Biegały po nich dwa małe kotki. Na ścianie wisiał obraz, na którym Chrystus uśmiechał

się tajemniczo, spoglądając gdzieś w dal.

Weszli do kuchni. Z pomalowanego na zielony kolor kurka kapłała woda do zlewu, którego chyba nigdy nie myto. Na półce ponad zlewem stała zapewne cała żywność, jaka w tej chwili znajdowała się w posiadaniu rodziny: słoik dżemu, paczka herbaty, talerzyk z tłuszczem do smażenia, kawałek sera, słoik drożdży i kakao.

Przez zakurzone okno kuchenne Catriona zobaczyła wychudłą kobietę energicznie trzepiącą stary, wypłowiały dywan. Obok niej stał mały chłopiec, ubrany w zielony sweterek z dziurami na łokciach i buty, w których brakowało sznurowadeł. Dziesięciomiesięczne dziecko trzymało się trzepaka i machając drewnianą łyżką, usiłowało naśladować matkę.

— Pani Colehill! — zawołał Edgar.

Kobieta przestała trzepać i odwróciła się, aby zobaczyć, kto przyszedł ją odwiedzić.

— Pani Colehill, to ja, Edgar Deacon. Powiedziałem panu Ernestowi, że zatrzymam się tutaj, żeby z panią porozmawiać. Jest ze mną panna Keys.

— Och! — zawołała pani Colehill wyraźnie zmieszana. Weszła do kuchni, wycierając dłonie w fartuch. Chłopiec podążył za nią, sztywny i cichy. — Powinien pan był mnie uprzedzić, przygotowałabym trochę ciasta.

Potrząsnęła dłonią Catriony i niezgrabnie się ukloniła.

— Tak bardzo mnie zmartwiła śmierć biednego pana Stanleya — powiedziała. — Był

przecież jeszcze o wiele za młody, aby odchodzić do Boga. Wszyscy bardzo współczujemy całej rodzinie.

— Dziękuję — odparła Catriona.

— Czy napijecie się herbaty? — zapytała pani Colehill. — To długo nie potrwa, zaraz przygotuję.

— Nie, nie, bardzo pani dziękujemy — odmówił Edgar. — Musimy jak najszybciej być w porcie. Przyjechaliśmy do pani, bo chciałem pokazać pannie Keys kilkoro bardzo ważnych dla Keys Shipping ludzi, zanim pozna tych, którym się tylko wydaje, że są ważni. Pan Colehill jest jednym z naszych cieśli, panno Keys. Pracuje dla Keys od dziewięciu lat, dłużej nawet niż ja.

— Przypuszczam, że jest teraz w porcie, bo chce zobaczyć, jak „Arcadia” wypływa —

powiedziała Catriona. — Musi być pewnie tak samo podekscytowany jak ja.

— Tak. No cóż, dałby sobie odciąć rękę, żeby popłynąć w dziewiczy rejs; tak ciężko pracował na tym statku. Ale przecież wiadomo, że nie możecie zabrać ze sobą każdego Toma, Dicka czy Harry’ego, który chciałby odbyć za darmo tę daleką podróż, prawda?

W głosie pani Colehill nie było najmniejszej nutki sarkazmu. Edgar położył dłoń na jej ramieniu i odezwał się:

— Niech pani powie mężowi, żeby się nie martwił. Znajdziemy dla niego miejsce na

„Arcadii” pręcej czy później. Poza tym proszę pamiętać, że pan Keys obiecał każdemu, kto pracował przy „Arcadii”, funta, jeżeli statek dotrze do Nowego Jorku, a dwa funty, jeżeli zdobędzie błękitną wstęgę.

— No cóż — powiedziała pani Colehill, spoglądając z respektem na Catrionę. — Każdy funt nam się przyda. Tak ciężko jest w dzisiejszych czasach związać koniec z końcem. Proszę, nie przypuszczajcie tylko państwo, że narzekam. Dwa funty i szesnaście szylingów na tydzień to jest całkiem dobre wynagrodzenie. Wielu ludzi zarabia znacznie mniej pieniędzy.

Edgar skinął głową w kierunku chłopaka w poszarpanym swetrze. — Jak się ma młody Godfrey?

— Dziękuję, coraz lepiej. Doktor mówi, że za miesiąc będzie już na tyle zdrow, by pójść do szkoły. Poślę go pewnie po letnich wakacjach.

— Jak się czujesz, Godfrey? — zapytał Edgar ostro. Godfrey nie odpowiedział mu, a jedynie podbiegł do matki i skrył twarz w fałdach jej fartucha.

Edgar uśmiechnął się i wyjął z kieszeni monetę sześciopensową. Wyciągnął ją przed siebie, chcąc w ten sposób zachęcić Godfreya, aby zbliżył się do niego.

— Powiniennem wyjaśnić, że młody Godfrey cierpi na krzywicę — powiedział Edgar do Catriony. Przez cały czas uśmiechał się i wyciągał w kierunku chłopaka sześciopensówkę. —

Wśród tych ludzi jest to bardzo pospolita przypadłość: zbyt mało jedzą, a zimą brakuje im świeżego powietrza. Byłoby inaczej, gdyby tylko kompania mogła im płacić więcej. Zdrowie Godfreya stało się jednak przedmiotem osobistej troski twojego ojca. Z własnych pieniędzy płacił

za leczenie chłopca u specjalisty w Manchesterze i za świeże mleko oraz tran dla niego.

— Gdyby nie pani ojciec, Godfrey już nigdy by nie chodził — odezwała się pani Colehill z przejęciem. — Na zawsze pozostaną mu krzywe nogi, ale jego tata mówi, że przecież może być dżokejem, gdy dorośnie.

Catriona wyciągnęła rękę w kierunku chłopca. Najpierw patrzył na nią podejrzliwie, po chwili jednak przemógł się i podał jej swoją małą dłoń.

— Miło było cię poznać, Godfrey — powiedziała Catriona łagodnie. — Kiedy wrócę z Nowego Jorku, przywiozę ci prezent. Co byś najbardziej chciał dostać?

Godfrey odchrząknął i wyszeptał:

— Malinową leguminę.

— To wszystko? Nie chcesz żadnych zabawek? — zapytała Catriona.

— Ołowianego żeglarza.

— A więc ołowianego żeglarza i malinową leguminę? Godfrey skinął głową.

Catriona uścisnęła jego rączkę i pocałowała w czoło.

— Skoro tego chcesz, otrzymasz to — powiedziała.

Jeszcze przez kilka minut rozmawiali z panią Colehill o dziecku, wreszcie Edgar wyciągnął z kieszeni zegarek i oznajmił, że wraz z Catriona muszą już jechać, jeżeli mają dotrzeć do portu na czas. Pani Colehill jeszcze raz dygnęła przed Catrioną i wyszli na ulicę, gdzie kierowca czujnie strzegł stojącego samochodu.

Gdy zbliżyli się do rolls-royce'a, Edgar odezwał się:

— Zapewne zastanawiasz się, dlaczego cię tutaj przywiozłem.

Catrioną popatrzyła na niego.

— Powiedział pan, że po to, abym zobaczyła naprawdę ważnych ludzi z Keys Shipping.

— Tak. Tak, oczywiście, ale tylko częściowo. Chciałem także uzmysłwić ci, co twój ojciec uważał za nasze najważniejsze obowiązki. Widzisz, on i ja spędziliśmy razem bardzo wiele czasu. Byliśmy sobie bliscy, stąd tak dużo o nim wiem. Otóż Stanley Keys był nie tylko wspaniałym przywódcą i inżynierem, ale również filantropem. Wierzył, że jego życiowym zadaniem jest niesienie pomocy ludziom bogatym i biednym, ale nie podjął się żadnego przedsięwzięcia, jeżeli nie był przekonany, że jest korzystne dla świata jako całości.

Catrioną milczała. Gdy przystanęli przy otwartych drzwiach auta, nie wsiadła, lecz czekała, aż Edgar dokończy swoją wypowiedź.

— Widzisz — kontynuował — myśląc o sprzedaży Keys Shipping, musimy pamiętać też o losie takich ludzi jak chociażby państwo Colehill. Nieprzemyślaną decyzją możemy sprawić, że z dnia na dzień ta rodzina i bardzo wiele innych w tej dzielnicy zostanie bez pracy. Widziałaś sama, w jakich ciężkich warunkach żyją. Jeżeli nie zachowamy kompanii w całości, ich los znacznie się pogorszy,

wpadną w skrajną nędzę.

— Nigdy nie przypuszczałabym, że martwi się pan losem robotników portowych — odezwała się wreszcie Catrioną.

Edgar uśmiechnął się.

— Mamy moralne zobowiązania wobec nich, mimo że możemy oceniać ich różnie. W

zasadzie trudno im ufać, większość z nich kradnie, co się tylko da, łamie prawo na każdym kroku... Stanley, twój ojciec, uważał Keys Shipping za jedną wielką rodzinę, a przecież każdy wie, że nawet w najlepszej rodzinie trafiają się czarne owce.

Kierowca odchrząknął.

— Jedźmy już — powiedział. — Przepraszam, ale nie chciałbym przez ostatnie mile gnać jak szalony.

— Tak, jedźmy. — Edgar pokiwał głową, a potem jeszcze fraz posłał uśmiech Catrionie. — A więc, ruszamy? Chyba już czas, aby rozpocząć wielką przygodę.

— Tak, najwyższy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dotarli wreszcie do nabrzeża. Podczas pokonywania ostatnich kilkudziesięciu jardów kierowca musiał bez przerwy naciskać na klakson; w przeciwnym razie rolls-royce nie miałyby szansy precyzyjnie się pomiędzy taksówkami i gromadami gapiów. Kiedy zatrzymali się przed budynkiem terminalu pasażerskiego, drzwiczki otworzył przed nimi policjant. Wsiadłszy z auta, znaleźli się na długim, czerwonym dywaniku. Zewsząd rozlegały się oklaski i okrzyki zachwytu, chociaż mało kto w otaczającym ich tłumie miał pojęcie, kim są i co tutaj robią. Większość gapiów przyszła do portu, aby popatrzeć na Douglasa Fairbanksa i Mary Pickford. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych, a Edgar ścisnął ramię Catriony i wymruczał:

— Musisz się uśmiechać. Uśmiechaj się. Przez cały czas sprawiaj wrażenie, jakby wszystko dookoła niezmiernie cię bawiło.

Catriona wykrzywiła usta w nerwowym grymasie, który mało przypominał uśmiech. Edgar tymczasem poprowadził ją w kierunku zgromadzonych już dygnitarzy, wśród których był

burmistrz Liverpoolu w szatach obszytych futrem, z łańcuchem na piersiach, symbolem jego burmistrzowskiej godności. Ujął dłoń Catriony w spocone palce i przycisnął ją do mokrych warg.

— Chcę pani powiedzieć, że wszyscy jesteśmy bardzo dumni z „Arcadii” — oznajmił. —

Wiemy, że gdziekolwiek znajdzie się na świecie, „Arcadia” zawsze będzie rozślawiała imię Liverpoolu; piękny statek z pięknego portowego miasta.

Nastąpiły oklaski i orkiestra zaczęła grać *Land of Hope and Glory*. Ktoś wypuścił w niebo kilkadziesiąt kolorowych balonów. Znów zaczęły błyskać flesze aparatów fotograficznych i Catriona stwierdziła, że ruch tłumu przesuwają ją w kierunku żelaznych schodów prowadzących na statek.

— Panno Keys! — krzyčeli fotoreporterzy. — Panno Keys, proszę tutaj spojrzeć. Nie, tutaj!

Zanim się spostrzegła, już była na pokładzie „Arcadii”. Nagle odkryła, że niemal biegnie do góry szerokimi półokrągłymi schodami, oświetlonymi przez brązowe statuetki driad z elektrycznymi pochodniami w dłoniach. Panował niesamowity hałas i zamieszanie. Edgar przez cały czas był przy Catrionie, uważając na każdy jej ruch, dziewczyna bowiem niczego nie odbierała w pełni świadomie: podekscytowane twarze kobiet i mężczyzn dookoła, aparaty fotograficzne, gwar i ścisk oszalały ją.

— Panno Keys! — krzyczano do niej ze wszystkich stron. — Panno Keys, jak to miło...

Wkrótce znalazła się na pokładzie spacerowym i ciepły letni wiatr zaczął owiewać jej twarz.

Edgar jednak nie pozwolił jej ani przez chwilę się nim rozkoszować; szybko wprowadził ją do zarezerwowanej dla niej kabiny i zatrzasnął drzwi, odcinając ją od lamp błyskowych, dziennikarzy i gwaru ludzi biegnących we wszystkie strony. Kilkakrotnie jeszcze pukano, Edgar jednak za każdym razem wołał:

— Odejdźcie! Odejdźcie! Panna Keys pojawi się za dziesięć minut.

W końcu nawoływania Edgara poskutkowały; w kajucie zapanowała względna cisza.

Edgar wreszcie odszedł od drzwi. Uśmiechał się, trzymając ręce w kieszeniach.

— No i co o tym sądzisz? — zapytał. — Oto, w jaki sposób rozpoczęła swoje panowanie nowa Królowa Atlantyku.

— Jestem kompletnie oszołomiona — stwierdziła Catriona. — Co właściwie wydarzyło się tam, na dole?

Edgar przemierzał gruby dywan w kolorze akwamaryny i podszedł do barku z drewna orzechowego.

— Chcesz drinka? — zapytał.

— Poproszę o dżin.

Przez chwilę przyrządzał napoje.

— Na dole oficjalnie powitały cię i pożegnały władze miasta. — Ale to wszystko odbyło się tak błyskawicznie! Nie miałam nawet możliwości, aby komukolwiek podziękować.

— Bo też nie chciałem, żebyś dziękowała. Masz być królową, a nie burmistrzową. Nie wygłaszasz przemówień i nikomu za nic nie dziękujesz. Przyjmujesz jako rzecz oczywistą, że wszyscy się tobą

zachwycają i kłaniają ci się w pas.

— Rozumiem — powiedziała Catriona, zdejmując kapelusz i kładąc go na lśniący onyksowy stolik. Edgar podał jej drinka i od razu wypila połowę chłodnej zawartości szklaneczki.

— Przez cały czas powinnaś pamiętać, że jesteś królową. Jeżeli będziesz uświadamiać to sobie bez przerwy, bez chwili wytchnienia, wkrótce naprawdę zaczniesz zachowywać się jak królowa.

— Kiedy pójdziemy spotkać się z kapitanem? — zapytała Catriona.

Edgar popatrzył na nią z uśmiechem.

— Wciąż jeszcze niewiele pojmujesz. To nie ty pójdiesz do kapitana, lecz to on przyjdzie do ciebie. W końcu dwadzieścia pięć procent tego statku będzie wkrótce twoją własnością.

— Czy w tej kajucie można posłuchać jakiejś muzyki? Edgar uniósł w górę wskazujący palec, jakby się nad czymś zastanawiał. Zaraz jednak podszedł do mebla przypominającego wyglądem zwykłe biurko. Kiedy otworzył, boczne drzwiczki, okazało się, że w środku znajduje się gramofon umieszczony na zawieszaniu kardanowym w taki sposób, aby płyty można było odtwarzać nawet podczas największego sztormu.

— Jakiej muzyki sobie życzysz? — zapytał.

— Czegoś łagodnego, kojącego.

W chwili, gdy rozległy się pierwsze dźwięki fletu Johnny'ego de Droita, Catriona zaczęła rozglądać się wokół.

Na „Arcadii” znajdowało się trzysta osiemdziesiąt pięć kajut pierwszej klasy i w wykończeniu każdej z nich dominował inny temat przewodni. Kabina Catriony nosiła nazwę „Wiatr”, dlatego też całą wielką ścianę salonu ozdobił wiejski pejzaż z olbrzymim klonem, którego liście targał

wiatr. Na długiej, nowoczesnej szafce znajdowała się rzeźba z brązu autorstwa Bruno Zacha, przedstawiająca dziewczynę z rozwianymi włosami. Kajuta wyposażona była w nowoczesne, chociaż eklektyczne meble: włoskie krzesła obite pluszem, którego ostry błękit zakłócały białe wzory chmur, francuskie stoliki w różnych odcieniach niebieskiego koloru i wreszcie hebanowe biurko wykonane przez Gordona Russela. Na jednej ze ścian wisiał obraz kubisty, Gino Severiniego, *Wietrzny dzień w Paryżu*.

— Musiałabyś widzieć kabinę o nazwie „Dżungla” — powiedział z uśmiechem Edgar, od dłuższej chwili bacznie obserwujący Catrionę. — Są tam bambusowe meble, palmy z brązu i cała kolekcja porcelanowych małp.

— To jest nadzwyczajne — powiedziała Catriona. — Spodziewałam się raczej pluszów, złożonych ozdóbek i staromodnych mebli.

— Większa część Zarządu Keys Shipping tak właśnie chciała wyposażyć ten statek. Wiesz, jacy są ci

dyrektorzy: wygodni i staromodni. Twój ojciec jednak tak długo ich przekonywał, aż wreszcie zwyciężył: takich wewnątrz jak „Arcadia” nie posiada żaden inny statek na świecie.

Mawiał do nas, że to liniowiec przyszłości, dlatego nie możemy kierować się aktualnie obowiązującymi kanonami. Fakt, że wiele z tych kajut nie przypadło mu osobiście do gustu. Jak i mnie zresztą. Ale Stanley Keys potrafił wznieść się ponad to.

Catriona odstawiła szklaneczkę i przeszła do łazienki. Znajdowała się tu wielka wanna z sycylijskiego marmuru oraz białe aksamitne draperie, poślacane kurki i wielkie lustro.

— To wszystko jest zdumiewające — powiedziała z westchnieniem. — Aż trudno mi uwierzyć, że znajdują się na pokładzie statku pasażerskiego.

Edgar popatrzył na swój zegarek kieszonkowy.

— Dziennikarze będą czekać na ciebie za pięć minut, jeżeli nie tłoczą się pod drzwiami już teraz. Spodziewam się też, że przyjmiesz kilku ludzi reprezentujących stocznię i kompanię. Czy chciałabyś teraz się przebrać? Mogę ci przysłać pokojówkę.

— Jeszcze nie — odparła Catriona. — Muszę się jeszcze pozachwycać tymi wspaniałościami dookoła. — Wyjrzała na zewnątrz przez jeden z iluminatorów i zobaczyła przed sobą bajecznie kolorowy port. Przez chwilę wydawało jej się, że albo to wszystko sen, albo jest po prostu strasznie pijana. Usłyszała, jak ktoś ostro zapukał do drzwi kajuty, ale zaraz okazało się, że to tylko kwiaciarz. Na początek wniesiono wielki kosz z pięćdziesięcioma białymi różami symbolizującymi dziewiczy rejs „Arcadii”, a później Catriona ostała wprost zasypana setkami czerwonych i żółtych róż, frezji i orchidei. Cała sofa i podłoga w salonie tonęły w kwiatach. Było ich tak wiele, że Catriona mogła baraszkować wśród nich niczym w kąpeli, a wydierały tak silne zapachy, iż Edgar nie wytrzymał i uchylił otwór wentylacyjny.

Zadzwoił telefon.

— Kajuta panny Keys — powiedział Edgar, podniósłszy słuchawkę. Przez chwilę słuchał, po czym przykrył mikrofon dłonią i odezwał się do Catriony: — To sir Peregrine. Wyraża nadzieję, że już się rozgościłaś, i pyta, czy zechcesz przyjąć jego kurtuazyjną wizytę.

— Niech pan mu powie, aby przyszedł tu jak najprędzej. A zresztą... Nie musi się aż tak bardzo śpieszyć. Zanim się przebiorę, i tak wypiję jeszcze jednego drinka.

— Prasa już czeka... — zauważył Edgar. Catriona rzuciła się plecami na kwiaty złożone na sofie i leniwie rozrzuciła ramiona.

— Uważam, że jako królowa powinnam być niepunktualna. Przecież nawet gwiazdy filmowe spóźniają się ustawicznie na plan i pan dobrze o tym wie.

Edgar zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

— Wszystko zależy od ciebie, Catriono. Przynajmniej tak długo, dopóki nie uczynisz nic nazbyt

ekstrawaganckiego.

Mimo że nie poganiany, sir Peregrine Arrowsmith już po czterech minutach stanął przed drzwiami kajuty Catriony. Zresztą i tak przez ten krótki czas nie miała ani chwili spokoju. Dziennikarze niegrzecznie otwierali drzwi, a fotoreporterzy usiłowali nawet robić zdjęcia Catrionie odpoczywającej wśród kwiatów i popijającej dżin. Edgar z wielkim trudem temu zapobiegał. Do kabiny ciągle wchodzili stewardzi, wnosząc cukierki w pudełeczkach przewiązanych wstążkami, buteleczki najdroższych perfum, wciąż nowe kwiaty, butelki szampana oraz srebrne tace, na których leżały sterty telegramów z pozdrowieniami i życzeniami. Zdarzyła się nawet porcelanowa lalka ubrana w kostium w barwach Keys Shipping Linę.

W końcu sir Peregrine zdołał przepchać się pomiędzy dziennikarzami, a Edgar zamknął za nim drzwi.

Przed Catrioną stanął wysoki, dystyngowany mężczyzna, otrząsając niewidzialny kurz z rękawów swojego munduru.

— Menażeria — powiedział z dezaprobatą w głosie.

Catrioną spotkała już w życiu wielu starszych panów, większość, gdy była z Nigelem: producentów teatralnych, impresariów, bankierów i innych. Zdołała więc dobrze ich poznać. Byli to zazwyczaj panowie doskonale zdający sobie sprawę, że najlepsze czasy są już za nimi, wiedzący, jak ograniczone są ich życiowe możliwości i na próżno starający się to ukryć. Sir Peregrine też nie był inny. Spojrzawszy na niego, od razu zrozumiała, z jaką niechęcią przyjął do wiadomości fakt, że musi przyjść do kajuty, aby ją powitać. Objęcie dowództwa nad „Arcadią” było szczytem jego kariery, kresem możliwości, progiem, poza który nigdy już dalej nie wyjdzie.

Wizyta u Catriony kłóciła się ze wszelkimi jego dotychczasowymi morskimi doświadczeniami.

Przyszedł jednak tutaj ze strachu, że jeśli tego nie zrobi, niewiele czasu minie i spadnie z piedestału, na który nie będzie już miał szansy powrócić. Oto, dlaczego w kajucie Catriony zjawił

się najwyższy zwierzchnik tego statku, zwierzchnik, przed którym nawet Stanley Keys, gdyby żył i rozpoczynał podróż „Arcadią”, musiałby chylić czoło.

Sir Peregrine’a wymieniano wśród takich legendarnych kapitanów liniowców pasażerskich, jak sir James Charles z „Aquitanii” czy sir Arthur Rostron. Był na swój sposób przystojny; o ile szczupły, wręcz chudy mężczyzna po sześćdziesiątce może być w ogóle przystojny. Był ostatnim żyjącym synem markiza Walburtona. Od dzieciństwa tak bardzo drażnił ojca swym ponuractwem i gburowatością, że w wieku piętnastu lat odesłany został do Portsmouth, do szkoły żeglarskiej.

Szlify kapitańskie zdobył na niespokojnych wodach wokół przylądka Horn i na Oceanie Indyjskim. Po siedmiu latach służby u Cunarda, na krótko przed wojną, znalazł się w Keys Shipping i w czasie wojny dowodził „Samarią” pływającą w konwojach. Tytuł szlachecki otrzymał w 1916 roku za brawurową ucieczkę z cennym ładunkiem spod ognia nieprzyjaciela u wybrzeży Grecji. Tylko jego pierwszy oficer wiedział, że Peregrine był wówczas kompletnie pijany. Jednak gdy otrzymał dowództwo najlepszego liniowca Keys Shipping, „Aurory”, jego przygody z butelkami, głównie

rumu Old Haitan, szybko stały się publiczną tajemnicą; dowiedział się o nich najpierw Zarząd Kompanii, a później pasażerowie.

„Aurora” cudem uniknęła dwóch tragicznych kolizji. Za pierwszym razem jej pasażerowie przeżyli na morzu straszliwą noc, gdy sir Peregrine odmówił zacumowania statku w porcie mimo zapowiedzi potężnego sztormu; troje z nich zresztą wówczas utonęło. Innego ranka wydał z mostku tak niewyraźny rozkaz maszynowni, iż „Aurora” z prędkością trzech węzłów uderzyła o nabrzeże nowojorskiego terminalu Keys Shipping Line, kurcząc się o czterdzieści jeden stóp.

Kilku członków Zarządu kompanii gorączkowo protestowało przeciwko mianowaniu Peregrine’a kapitanem „Arcadii”. Sir Peregrine miał jednak, jak się okazało, możnych i wpływowych przyjaciół. W pewnej chwili nacisk na Stanleya Keysa, aby właśnie Peregrine’a mianować kapitanem „Arcadii”, stał się zbyt silny i Keys ugiął się pod nim, zresztą bez większego bólu, protektorzy sir Peregrine’a bowiem zaliczani byli do elity ówczesnej Anglii.

Prywatnie jednak Stanley Keys wezwał kapitana na długą rozmowę i wymógł na nim solenne przyrzeczenie, że odstawi butelkę.

Człowiekiem najbardziej rozczarowanym z powodu mianowania Peregrine’a był Rudyard Philips, energiczny, młody walijski kapitan, który przejął po nim „Aurorę”. A ponieważ

„Aurora” stała obecnie w suchym doku, Philips został chwilowo zaokrętowany na „Arcadii” jako pierwszy oficer Peregrine’a podczas jej dziewiczej podróży. Peregrine bez entuzjazmu zaakceptował tę nominację, nie pozostawił jednak cienia wątpliwości, że będzie traktował go z góry i nie pozwoli mu do niczego się wtrącać, gdyż prywatnie bardzo nie lubił Philipsa.

— To dla mnie prawdziwy zaszczyt dowodzić statkiem z panią na pokładzie, panno Keys —

odezwał się sir Peregrine, z przesadną uprzejmością całując dłoń Catriony. — Proszę przyjąć ode mnie i od załogi serdeczne kondolencje z powodu śmierci pani nieodżałowanego ojca. Wszyscy ponieśliśmy smutną, niespodziewaną stratę. Pan Keys powinien się dzisiaj znajdować tutaj z nami.

— Dziękuję, kapitanie — powiedziała Catriona. — Czy napije się pan ze mną?

Sir Peregrine niepewnie popatrzył w kierunku Edgara, który stał przy barku. Ten wzruszył ramionami, jakby chciał dać znak kapitanowi, że jeden drink nikomu jeszcze nie zaszkodził.

— Napiłbym się wody mineralnej, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu — odparł sir Peregrine.

— Dobrze. Wypijemy za „Arcadię”. Proszę, niech pan siada, kapitanie. — Kiedy Peregrine wypełnił jej polecenie, Catriona uśmiechnęła się. Nie potrafiła się powstrzymać. Była bardzo z siebie zadowolona. W końcu w ciągu zaledwie tygodnia z dziewczyny Nigela Myersa przeistoczyła się w Królową Atlantyku. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że wszystko, co się dokoła niej dzieje, nie jest jedynie bajką. — Czy nie jest pan zdenerwowany? — zapytała Peregrine’a — Bo ja byłabym szalenie, gdybym miała wyprowadzić w morze tak wielki i drogi statek, a już szczególnie w dziewiczą podróż.

Sir Peregrine zakłopotany wykrzywił twarz.

— Zapewne pani wiadomo, że ten liniowiec już pływał i ja dowodziłem nim. „Arcadia” przeszła w morzu poważne próby, zanim dopuszczono ją do żeglugi. Nie mam więc powodu, aby być aż tak nerwowym, jak się pani zdaje. Faktycznie, ten statek jest wyjątkowo drogi, jednak każdy traktuje się z taką samą starannością i ostrożnością, niezależnie od tego, ile kosztuje i ilu ludzi jest na pokładzie. Niemniej cieszę się, że „Arcadia” jest takim dużym i szybkim statkiem.

Ośmielę się powiedzieć, że dzięki temu choroba morska będzie doskwierała pasażerom tylko w minimalnym stopniu, oszczędzając kosztowne dywany, którymi wyłożono pomieszczenia pierwszej klasy.

— Mówiono mi, że najlepszym środkiem przeciwko morskiej chorobie jest szampan —

powiedziała Catriona. Wiedziała o tym od matki, która mawiała: „Pij, kochanie, tyle szampana, ile tylko zdołasz, jednak pod żadnym pozorem nie jedz lodów”.

— Ludzie mówią, że szampan i jedwabna pidżama — stwierdził sir Peregrine i wbił w Catrionę tak świdrujące spojrzenie, że musiała odwrócić wzrok. Chyba, pomyślała, właśnie próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądałabym w jedwabnej pidżamie. Co za zabawny starzec.

— Oczywiście nie ma całkowicie pewnego lekarstwa — wtrącił Edgar. — Nawet na pokładach największych i najwspanialszych transatlantyków ludzie chorują. Czasami śmierdzi na nich obrzydliwie...

Sir Peregrine wstał.

— Jestem pewien, że panna Keys nie życzy sobie rozmów na takie tematy, panie Deacon —

oznajmił. — Ja natomiast chciałbym jeszcze, zanim powrócę na mostek, zamienić z panem kilka słów na osobności.

— Wszystko, co chce mi pan przekazać, może pan bez w powiedzieć w obecności panny Keys

— oświadczył ;ar zdecydowanym głosem. — Powinien pan orientować ę, że panna Keys jest tu kimś więcej niż tylko maskotką kompanii.

Sir Peregrine popatrzył na Catrionę, a potem znów na ara. Widać było, że nie ma do nikogo zaufania, tak samo nie ma zaufania do podwodnych skał i gór lodowych.

— To sprawa osobista, panie Deacon — nalegał.

— Tym bardziej nie ma powodu, aby pan nie zaufał pannie Keys — odparł Edgar z zimnym uśmiechem.

Sir Peregrine podrapał się po szyi. — Właściwie to jest chyba zły moment — powiedział. —

Jestem pewien, że panna Keys niecierpliwie czeka na spo — e z prasą.

— Czy chodzi o pana Philipsa? — zapytał Edgar.

W odpowiedzi sir Peregrine tylko głęboko westchnął.

— Zna pan już zapewne moją opinię o nim — kontynuował Edgar. — Mam do niego całkowite zaufanie. Tak jak i do pana, oczywiście.

— Pan Philips — odezwał się wreszcie sir Peregrine, z trudem wymawiając nazwisko swego rywala — jest co prawda pierwszym oficerem na tym statku, uważam jednak, że jego kwalifikacje wystarczają zaledwie do prowadzenia amfibii. Za żadne skarby nie powierzyłbym mu dowództwa nad wielkim liniowcem pasażerskim.

— Co to ma znaczyć? — zawołała Catriona ze zdziwieniem, miała pojęcie o wzajemnej niechęci sir Peregrine'a dyarda Philipsa; a właściwie to w ogóle nie wiedziała o istnieniu Philipsa. Doszła jednak do wniosku, że jako władczyni Keys Shipping musi zareagować ostro na dziwne słowa Peregrine'a.

Dokładnie to, że w sytuacji zagrożenia tego statku nie oczekiwał pomocy ze strony pana Philipsa. Nie mam wątpliwości, że byłby on gotów wystawić na szwank życie i zdrowie pasażerów, byleby tylko udowodnić, że ja nie nadaję się na kapitana.

— Chce pan powiedzieć, że Rudyard Philips beztrosko narazi nas wszystkich na ryzyko, by ukazać w złym świetle pana i pańskie kwalifikacje oficerskie?

— Jestem przekonany, że Rudyard Philips nie cofnie się przed takim postępkim, jeśli tylko zauważy w tym możliwość odniesienia osobistej korzyści.

Wypowiedziwaszy te słowa, sir Peregrine zamilkł. Zrozumiał, że jego kategoryczne oskarżenia wobec rywala dotarły do granicy absurdu. Popatrzył na Edgara, poszukując męskiego wsparcia w rozmowie z Catrioną, on jednak nawet nie podniósł wzroku; z uśmiechem wpatrywał

się w swoją szklaneczkę. Bawił go spektakl rozgrywający się na jego oczach, bawił go widok starego wilka morskiego, przesłuchiwanego niemal przez dwudziestoletnią dziewczynę.

Muzyka na zewnątrz zabrzmiała głośniejsze, a dziennikarze na nowo, ze zdwojoną energią, zaczęli dobijać się do drzwi kabiny.

— Panno Keys, niech pani nas wpuści. Musimy zdążyć z materiałami do porannych wydań!

Musimy zdążyć na pociąg do Londynu!

W tej sytuacji sir Peregrine skinął Catrionie głową, ucałował jej dłoń i wyprostowany, sztywny, opuścił kajutę.

— On jest nadzwyczajny! — zawołała Catriona, gdy wyszedł. Naprawdę była pod wrażeniem osoby kapitana.

Edgar opierał się o drzwi, zatrzaśnięte przed dobijającymi się dziennikarzami.

— Oczywiście, że jest — powiedział. — Na tym między innymi polega jego zawód, aby być nadzwyczajnym. Ale zarazem jest największym pijakiem, jaki kiedykolwiek pływał w barwach Keys Shipping.

— Co? — zdziwiła się Catriona. W tym momencie jednak do kajuty wdarli się dziennikarze z aparatami fotograficznymi, notesami i dziesiątkami pytań, które wystrzeliwały z ich ust niczym kule z karabinu maszynowego. Zaskoczona Catriona popatrzyła na Edgara ponad ich wybrylantynowanymi fryzurami, on jednak tylko podniósł szklaneczkę w skierowanym ku niej milczącym toaście.

ROZDZIAŁ DZI ESIĄTY

Kiedy wreszcie dziennikarze i fotoreporterzy wyszli, do kajuty Catriony przyszła Isabelle.

Miała odrobinę niepewny krok i zachowywała się dość swobodnie; efekt dwóch martini z wódką i komplementów stewarda, który powiedział jej, że ma najpiękniejsze nogi, jakie widział, odkąd za młodu wyjechał z Galway.

— Właśnie nogi zobaczył najpierw u mnie Tony — oznajmiła, siadając na sofie obok Catriony. — Właśnie nogi.

Edgar przez dziesięć minut rozmawiał przez telefon. Skończywszy, przeprosił obie panie.

— Najwyraźniej jest jakiś problem przy jednej z turbin — powiedział. — Nic poważnego, chcę jednak osobiście doglądać naprawy. Catriono, odezwę się do ciebie około dziesiątej, na krótko przed rozpoczęciem przyjęcia powitalnego.

Gdy Edgar wyszedł, Catriona zadzwoniła po stewarda, aby zrobił kolejne drinki, i po pokojówkę, by przygotowała jej kąpiel i suknię na przyjęcie.

Stewardzi na luksusowych liniowcach, takich jak „Arcadia”, stawali się na czas podróży osobistymi służącymi pasażerów pierwszej klasy, dlatego Catriona zamierzała, przed zaplanowanym na jutro rano wypłynięciem z portu, udzielić swemu stewardowi kompletnej instrukcji: kiedy ją budzić, kiedy przynosić śniadanie oraz jakich gości zamierza przyjmować w swojej kajucie. Pokojówka z kolei miała otrzymać dokładne wskazówki, jakie przygotowywać suknie, jakie buty na jakie okazje, jakie kąpiele.

Stewardem okazał się gadatliwy, młody chłopak o czarnych włosach, pociągniętych brylantyną. Nazywał się Trimmer i pracował w Keys Shipping już od dziewięciu lat. Mimo młodego wieku zdążył wcześniej walczyć jako szeregowiec w wojnie burskiej, nie zastrzelił

jednak nikogo, poza ciężarną antylopą.

Pokojówka o imieniu Alice — to po wnuczce królowej Wiktorii — była niewielkiego wzrostu i miała ciągle zaróżowione policzki. Na pytanie Catriony odpowiedziała, że do tej pory pracowała „w kilku szanowanych domach”.

— Czy madame miała już okazję obejrzyć cały statek? — zapytał Trimmer.

— Nie, jeszcze nie — odparła Catriona. — Wnętrze tej kajuty to wszystko, co do tej pory widziałam.

— A więc, jeżeli wolno mi wyrazić swą własną opinię, „Arcadia” jest po prostu ułocza.

Jeszcze nigdy nie widziałem tak eleganckiego liniowca.

— Zamierzam wkrótce obejrzyć ten „ułoczy” statek — powiedziała Catriona, naśladowując brak „r” w wymowie stewarda. Zachichotała nawet, tak to się jej wydało zabawne.

Wkrótce z łazienki wyłoniła się pokojówka i oznajmiła, że „kąpiel i suknia dla panny Keys są przygotowane”. Zapytała, jakie podać pończochy — białe, szare czy perłowe. Osobiście, z należnym szacunkiem, poradziła jej perłowe, jako znakomicie pasujące do sukienki.

— A ty nie szykujesz się na przyjęcie, ciociu? — Catriona zwróciła się do Isabelle. — Mam nadzieję, że masz się w co przebrać.

— Tak, mam — odparła. — Mam nawet małą kabinę z umywalką. Ale jest jeszcze sporo czasu. Zresztą, Tony zawsze mawia, że na strojenie się poświęcam go zbyt wiele. Dzisiaj więc postaram się nie grzebać godzinami.

W głosie Isabelle zabrzmiała wyraźna ironia. Catriona rzuciła szybkie spojrzenie na Alice, ta jednak była zbyt doświadczoną pokojówką, aby w jakikolwiek sposób zareagować na tę niespodziewaną odpowiedź.

Prawdę mówiąc, Catriona nie miała dotąd pojęcia, w jaki sposób należy traktować pokojówkę. Mimo że Stanley Keys był bogatym człowiekiem i utrzymywał w domu kierowcę, kucharkę i trzy albo cztery pokojówki, a nawet kamerdynera, Catriona nigdy jeszcze nie miała swojej osobistej służącej. Toteż była mocno zaskoczona, gdy po zamknięciu za sobą drzwi do sypialni, Alice natychmiast przystąpiła do pracy i zręcznie zdjęła z niej sukienkę. Następnie grzecznie, lecz zdecydowanie, popchnęła ją na łóżko, aby ściągnąć z niej pończochy. Ze zdziwieniem stwierdziła, iż Catriona ma na sobie tak mało bielizny; ale w końcu nie byki]

przyzwyczajona do obsługi młodych i ładnych dziewcząt z Londynu, do których w ostatnich miesiącach Catriona się upodobniała. Przywykła raczej do ciasnych gorsetów amerykańskich dam w średnim wieku i grubych majtek z sztucznego jedwabiu, noszonych przez eleganckie Włoszki.

Zarzuciła na ramiona Catriony srebrny peniuar i poprowadziła ją do łazienki, w której już pachniały perfumy i unosiła się gęsta para wodna. Tam, w wannie, Catriona płała się ponad pół

godziny, podczas gdy Alice namydliła jej całe ciało, następnie umyła ją, a nawet zeszkrobała odrobinę zbyt grubą skórę z jej stóp. Skończywszy, owinęła ją w gruby ręcznik i zaprowadziła z powrotem do sypialni. Tam rozłożyła przybory do manicure.

— Otwórz teraz drzwi do salonu — poprosiła Catriona. — Moja ciocia zapewne bardzo się nudzi, siedząc tam samotnie. Zadzwoń też na stewarda. Niech nam przyniesie szampana.

— Tak, panno Keys — powiedziała Alice.

Isabella spała na sofie, z nogami przewieszonymi przez poręcz, z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami.

— Zdaje się, że wreszcie opadło z niej całe napięcie — stwierdziła Catriona i westchnęła ciężko.

— Czy ta pani będzie podróżowała z nami? — zapytała Alice. W jej głosie nie było ani śladu zaskoczenia.

— Do Nowego Jorku i z powrotem. Nikt na nią nie czeka w Ameryce.

— To nie ma znaczenia. Za przeproszeniem, ta pani ma, niestety, wygląd kiepskiego żeglarza.

— A ty, czy jesteś dobrym żeglarzem, Alice?

Alice usiadła i wzięła do ręki dłoń Catriony, przyglądając się uważnie jej nierównym paznokciom.

— To kwestia przyzwyczajenia — odparła spokojnie.

Tego wieczoru, od godziny dziesiątej aż do białego świtu, na pokładzie „Arcadii” miało się odbyć siedem przyjęć na cześć budowniczych, projektantów, ludzi, którzy finansowali jej powstanie (włączając w to chudego mężczyznę o twarzy bladej jak wosk, przedstawiciela rządu, który zdecydował o wyasygnowaniu na budowę „Arcadii” aż miliona funtów w zastaw za pisemne oświadczenie Stanleya Keysa, że na wypadek działań wojennych statek natychmiast zostanie oddany

do dyspozycji rządu) i innych. Catriona, jako nowy prezydent Keys Shipping Line,

miała

odwiedzić

wszystkie

siedem

przyjęć,

od

wielkiego

balu

z

czterdziestosiedmioosobową orkiestrą w głównej sali, po raut z piwem i kiełbasą, wyprawiany w jadalni dla pasażerów trzeciej klasy, a przeznaczony dla robotników, dokerów i dostawców.

Wybrała na tę okazję sukienkę w takim samym stopniu oryginalną, co podkreślającą jej doskonałe kształty, a która miała przypominać pajęczą sieć; po lewej piersi Catriony chodził

bowiem bardzo starannie narysowany wielki, czarny pająk. Jej francuski projektant, Antoine Claude, określił ją jako „grę cieni i sugestii, strój piękny, a zarazem tak przerażający, że chciałoby się natychmiast zerwać go z właścicielki”.

Ubrana w sukienkę, stojąc przed lustrem, Catriona była już pewna: tak, to naprawdę jest sen.

Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek wyglądała tak uroczo. Makijaż sprawiał, że jej oczy robiły wrażenie jeszcze ciemniejszych, niż były w rzeczywistości, a jej włosy ułożone w wymyślną fryzurę lśniły. Zawsze lubiła zaskakiwać otoczenie swymi strojami. Jeszcze dzisiaj dobrze pamięta popołudniową herbatę wydaną przez ojca z okazji jej trzynastych urodzin. W

tajemnicy przed nim przygotowała przykrótką, śliczną sukienkę bez rękawów. Ujrzawszy ją, schodzącą po schodach do salonu, Stanley Keys niemal wpadł w furję, goście byli jednak oczarowani.

— Muszę powiedzieć — stwierdziła Alice, przyglądając się Catrionie — że nie jest to suknia żałobna.

— Wiem, wiem — odparła Catriona, obracając się kilkakrotnie przed lustrem. — Mój ojciec jednak z całą pewnością nie chciałby, żebym go tej nocy oplakiwała. Gdyby tu dzisiaj był, byłby szczęśliwy jak młody chłopiec, widząc mnie w tym stroju.

Piętnaście po dziesiątej do kajuty Catriony wkroczył Edgar. Przebrany był już w kompletny strój wieczorowy. Zmierzywszy go wzrokiem, Catriona zauważyła, że o wiele lepiej wygląda w codziennym garniturze niż we fraku. Znajdowała się sama w salonie, gdyż przed kilkudziesięcioma minutami wymogła wreszcie na Isabelle, aby poszła się przebrać.

— Chyba nie muszę mówić, że sprawiasz olśniewające wrażenie — powiedział Edgar już w progu.
— Nie wyśniłbym piękniejszej Królowej Atlantyku. To wprost niewiarygodne, że kobieta może być tak piękna.

Catriona uśmiechnęła się.

— Ale to wciąż ja, Catriona Keys, panie Deacon.

— Spróbuj mówić mi po imieniu.

Sięgnęła po paczkę papierosów Craven — A i wyciągnęła z niej jednego. Wciąż się uśmiechała.

— Nie będę mówiła do pana po imieniu, ponieważ jest pan jednym z pracowników Keys Shipping. Nie chcę, aby myślano, że pozostajemy w zbyt bliskich stosunkach. Chyba się pan z tym zgodzi.

Edgar wzruszył ramionami niby beztrąsko, Catriona jednak nie miała wątpliwości, że go zirytowała. Zaczynali się wzajemnie badać i miała świadomość, że albo szybko da mu do zrozumienia, kto jest w tym układzie szefem, albo Edgar zacznie sprowadzać ją do roli ślicznej laleczki.

— Jesteśmy gotowi? — zapytała. — Już czas, żebyśmy spotkała się ze wszystkimi.

— Myślę, iż ucieszy cię wiadomość, że wpłynął telegram z gratulacjami i życzeniami od samego króla — powiedział Edgar, po czym podszedł do Catriony i ująwszy ją pod ramię, poprowadził ku drzwiom. — Król wyraził także swe najgłębsze współczucie z powodu śmierci twego ojca.

— Chciałabym później zobaczyć ten telegram.

Wyszli na zewnątrz. Pokład spacerowy zatłoczony był już przez miejscowych notabli we frakach i ich żony w długich sukniach i turbanach, przystrojonych strusimi piórami. Przejście dla Catriony i Edgara dyskretnie jednak wytyczono pomiędzy nimi, wyznaczając wąski korytarz jedwabnymi liniami. Jeden z oficerów Keys Shipping grzecznie, lecz stanowczo cofał wszystkich gości, którzy chcieli znaleźć się w Grand Lounge i spróbować szampana oraz wędzonego łososia przed pojawieniem się Królowej Atlantyku. Ona musiała być pierwsza.

Gdy znalazła się w środku, odgłosy wszelkich konwersacji ucichły. Nagle zaczęły przypatrywać się jej setki par ciekawskich oczu. Lśniły, zwrócone w jej kierunku, tysiące drogocennych kamieni, zawieszonych na szyjach dam. Trwało to krótką chwilę i nagle, jakby na komendę, rozległa się burza oklasków. Catriona nie miała pojęcia, co jest ich przyczyną, wyczuła jednak natychmiast, że przeznaczone są dla niej. Uśmiechnęła się łaskawie i pomachała dłonią tłumowi zgromadzonych gości. Znow błysnęły flesze. Catriona poczuła, jak serce bije jej coraz szybciej i podnosi się poziom adrenaliny. W tej chwili zrozumiała, dlaczego Nigel tak chętnie i niestrudzenie codziennie wychodził na scenę, a w soboty nawet dwukrotnie. To było takie ekscytujące... Być oklaskiwaną, podziwianą,

uwielbianą... Catriona nie potrafiła znaleźć słów, które określiłyby jej aktualny stan ducha. Łaskawym gestem skinęła na tych, którzy pierwsi tłoczyli się w drzwiach, aby weszli za nią.

Grand Lounge sprawiała olśniewające wrażenie. Miała wysokość trzech pokładów i kopulasty, szklany sufit, przez który w dzień wpadało do środka jasne światło słoneczne, a teraz skrzyły się tysiące kolorowych żarówek, oświetlających „Arcadię” podczas jej ostatniej nocy w porcie. Dach podtrzymywało dwanaście filarów, każdy z chromowanej stali i lśniący jak lustro. Otaczały one właściwą wielką salę, w której ustawiono stoliki również ze szkła i chromu i w której było jeszcze dość miejsca na jedenaście fontann z nierdzewnego żelaza w kształcie nagich kobiet.

Stoły zastawione były najbardziej wymyślnymi potrawami, jakie Catriona kiedykolwiek dotąd widziała. Za stołami zgromadzili się kelnerzy i kucharze w białych czapkach, gotowi podawać gościom, czego tylko zapragną, od gorącej, wiejskiej szynki po zimne kotlety, od pieczonych gołębi po wędzone kaczki, od gotowanych kurczaków po wędzone łososie oraz chrupiący chleb i bułeczki, wciąż gorące, przed chwilą wyciągnięte z pieców własnych piekarni „Arcadii”.

Przygotowano sery z Chesire i chedary z Lancashire, w wielkich, marmurowych pucharach znajdowało się po szesnaście funtów kawioru. Można było zjeść świeże jagody jakby prosto z lasu oraz raczyć się tortami, z których każdy był sam w sobie małym dziełem sztuki.

Grand Lounge miała własny długi bar koktajlowy. Przygotowano w nim ponad trzysta butelek markowego szampana, a barmani gotowi byli przyrządzić każdego drinka, wymyślonego przez gości.

Gdy zabrzmiały pierwsze takty muzyki, Edgar zaczął przedstawiać Catrionie zebranych. Na pierwszy ogień poszedł lord Screpple wykrzywiony przez artretyzm, potem markiz Henrick, który zawsze sprawiał wrażenie proletariusza przebranego w nieodpowiedni dla niego strój i miał

trudności ze skupieniem na sobie uwagi kelnerów. Stąd niechętnie uczestniczył w uroczystych przyjęciach. Tego na „Arcadii” nie chciał jednak opuścić. Po markizie Catriona przestała zapamiętywać nazwiska; musiała po kolei podać rękę wszystkim członkom Zarządu Keys Shipping, z których każdy przyciskał jej dłoń do obślinionych ust, każdy wyrażał swe gorące współczucie z powodu śmierci jej wspaniałego ojca, każdy zachwycał się jej urodą i każdy starał

się, aby zauważyła, że w jego oczach lśnią łzy wzruszenia albo smutku.

Starsi panowie szeptali też pomiędzy sobą:

— Co za dziewczyna, Albercie! Prawie taka jak jej biedny ojciec. Tylko trochę ładniejsza, ha, ha, ha.

Po tej wstępnej prezentacji Edgar pozwolił, aby odciągnął ją na bok reporter „The Timesa”, który spóźnił się na popołudniowe spotkanie z prasą, młody, może trzydziestopięcioletni mężczyzna w koszuli z brudnym kołnierzykiem i o oddechu śmierdzącym koniakami.

Rozmawiali przez chwilę, jednak dziennikarz niczego nie zapisał, a Catriona niczego nie zapamiętała.

Następnymi rozmówcami Catriony byli lord Hinchcliffe i jego córka, Elsie McKay. Panna McKay ubrana była w sukienkę żółtą jak masło, a na głowie miała opaskę ozdobioną wielkim diamentem. W pewnej chwili szepnęła Catrionie do ucha:

— Popatrz tylko na ten tłum. Rzucili się na żarcie, jakby byli głodującymi sierotami.

Miała rację. Nikt nie słuchał orkiestry, nikt nie usiłował tańczyć. Muzykę właściwie zagłuszały rozmowy, uderzenia sztuców o talerze i szczęk szkła. Lord Hinchcliffe ponuro zauważył, że „sytuacja przypomina stację kolejową Wieża Babel w godzinach wieczornego szczytu”.

Catrionie jednak wszystko dookoła się podobało. Z zainteresowaniem przyglądała się twarzom przystojnych młodych mężczyzn. Co chwila wyławiała też z tłumy wzrokiem kogoś sławnego, o kim do tej pory jedynie słyszała. Na pokładzie „Arcadii” znajdowała się niemal cała śmietanka towarzyska z Liverpoolu i okolic. Byli tu na przykład: Basil Fuchs, rekin biznesu i właściciel Boston Braves; Helen Wills, mistrzyni tenisa; księżna Lowenstein-Wertheim, jedna z najślawniejszych kobiet lotników; Madge Bellamy, gwiazda filmowa; sir Alan i lady Cobham.

Korki od szampanów strzelały niczym działa artyleryjskie, a odgłosy lodu wstrząsanego w shakerach przypominały brzmienie dziecięcych grzechotek.

Nie nasyciwszy się dobrze widokiem i odgłosami tego wszystkiego, Catriona zabrana została z Grand Lounge do jadalni pierwszej klasy, gdzie sir Peregrine Arrowsmith przewodniczył

przyjęciu, wydanemu na cześć projektantów i inżynierów oraz, jak ich określał z niesmakiem,

„hordy doradców, dostawców, cwaniaków i dziennikarzy z brukowych gazet”. Widać było, że kapitan nie bawi się dobrze. Bufet był tutaj mniej imponujący, chociaż sama sala jadał, na była jednym z najpiękniejszych wnętrza „Arcadii”. Na galerii kwartet smyczkowy grał Szuberta, a w pogotowiu czekała orkiestra jazzowa.

— Sir Peregrine — odezwała się Catriona, podając mu dłoń.

— Panno Keys — odpowiedział kapitan, całując jej dłoń z przesadnym namaszczeniem.

— Całkiem sympatyczne przyjęcie pan tu wydaje, sir Peregrine — zauważył Edgar.

— Cóż, każdą świnię trzeba nakarmić.

— Świnię? — zdziwiła się Catriona, rozglądając się dookoła. — Myślałam, że to są ludzie, którzy projektowali „Arcadię”. Nie wygląda na zaprojektowaną przez świnię.

Sir Peregrine niepewnie odchrząknął.

— Po prostu chciałem być dowcipny, panno Keys — powiedział.

— Och! — zawołała Catriona. Ton jej głosu ni wróżył nic dobrego. — A więc to był żart!

Przynajmniej tak długo, dopóki te, jak pan powiedział, świnie, pana nie usłyszą.

Edgar uśmiechnął się przepaszająco do kapitana i odciągnął Catrionę na bok.

— Nie prowokuj go — powiedział jej do ucha, kiedy przechodzili pomiędzy stolikami. — Po co była ta zaczepka?

— Od samego początku musi być jasne, kto tu jest szefem.

— Dla kogo? Dla sir Peregrine’a czy dla mnie?

— Dla was obu.

— Dobrze, w porządku — wysyczał Edgar, odrobinę mocniej ścisnąwszy jej ramię, —

Pamiętaj jednak, że oprócz przywilejów masz tutaj także obowiązki.

Nie zatrzymując się nigdzie na dłużej, odwiedzili trzy kolejne przyjęcia. Na jednym z nich, w jadalni drugiej klasy, Catriona zatańczyła nieprawdopodobnie szybki i wesoły taniec shimmy z mężczyzną, który dostarczył na „Arcadię” całą pościel. Edgar z niesmakiem przypatrywał się temu ekscesowi, a szczególnie niezadowolenie wzbudzał w nim fakt, że tłum gapiów klaskał

tańczącym nie w rytm muzyki, ale w miarę jak pod sukienką Catriony podskakiwały piersi.

Skończyli obchód statku i wracali do Grand Lounge, przemierzając szybkim krokiem pokład spacerowy, gdy niespodziewanie zagroził im drogę szczupły, młody mężczyzna. Z przesadną galanterią uklonił się Catrionie.

— Dobry wieczór, piękna dziewczyno — powiedział wesoło.

— Nigel! — Catriona zareagowała głośnym krzykiem. — Jak wspaniale, że tutaj jesteś!

Rzuciła mu się na szyję i przez chwilę ścisnęła go, wydając z siebie różne radosne okrzyki, ku zaskoczeniu gości, którzy już się najedli i teraz tłumnie wylegli na pokład, by nawdychać się świeżego powietrza lub by pod chmurką pić szampana. Najbardziej zaskoczony był jednak Edgar, który nienawidził niespodzianek, a lubił, gdy wszystko, włącznie z Catrioną, znajduje się pod pełną kontrolą.

— Co ty tutaj robisz? — Catriona zapytała Nigela. — Nie wiedziałam, że dostałeś zaproszenie na statek. Myślałam, że jesteś w Londynie i tęsknisz za mną, wpatrując się w sufit.

Nigel popatrzył prosto w oczy Edgarowi, mimo że swe słowa skierował do Catriony:

— W gruncie rzeczy nie mam zaproszenia. Jednak facet, który pilnuje wejścia, rozpoznał

mnie. Widział mnie już trzykrotnie w *Drodze do Rzymu*, kiedy graliśmy w Liverpoolu. Twierdzi, że bardzo mu się podobałem. W każdym razie na tyle, iż wpuścił mnie na statek. Wziął nawet ode mnie

autograf.

— Nie wolno tu przebywać osobom, które nie zostały zaproszone.

— Och, panie Deacon, niech pan nie będzie taki bezwzględny — zmitygowała Edgara Catriona. — Z całą pewnością zaprosiłabym tu Nigela, gdybym miała chociaż najmniejszą nadzieję, że się zjawi. Ale... nie przedstawiłam panów sobie nawzajem. Panie Deacon, oto Nigel Myers. Nigel, przedstawiam ci Edgara Deacona. Jest ważną figurą w Keys Shipping. Zdaje się, że pierwszą... zaraz po mnie. — Roześmiała się głośno.

Edgar niechętnie potrząsnął dłonią Nigela.

— Wiele o panu słyszałem, panie Myers — powiedział.

— Ja o panu natomiast troszeczkę mniej. Zapadła niezręczna cisza.

— Cóż — odezwał się w końcu Edgar. — Zdaje się, że państwo chcieliby przez chwilę pozostać sami.

— Jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu — potaknął Nigel. — Nie widziałem mojej uroczej Catriony przez cztery dni.

— Cóż, cztery dni to niekiedy spory kawał czasu — zauważył Edgar. — Czy zechce pani dołączyć do towarzystwa w Grand Lounge za... powiedzmy, pięć minut, panno Keys?

Chciałbym skończyć pani prezentację.

Catriona posłała Edgarowi pocałunek.

— Oczywiście, panie Deacon. Niech pan tylko uważa na siebie, kiedy mnie nie będzie. Jestem pewna, że żona tego grubego radnego ma na pana ochotę. Byłoby mi przykro, gdyby został pan zjedzony żywcem, zanim odbijemy od brzegu.

Kiedy wreszcie Edgar oddalił się niechętnie, Nigel chwycił Catrionę w ramiona i powiedział:

— No i co? Takie jest właśnie twoje nowe wcielenie? Catriona delikatnie oswobodziła się.

— Naprawdę, zadziwiłeś mnie swoim pojawieniem się tutaj.

— Sam się sobie dziwię. Kiedy odeszłaś, pomyślałem, że zniknęłaś z mojego życia na dobre, że z nami nieodwołalnie koniec. Mam nadzieję, iż myliłem się. A co ty o tym sądzisz?

— Nie wiem.

— Oczywiście. Ja też nie wiem. Ale przecież jeszcze nic straconego.

Catriona przez chwilę przyglądała się Nigelowi, po czym odwróciła się i podeszła do skraju

pokładu, opierając się o barierkę z rękami założonymi na piersiach. W milczeniu przypatrywała się ludziom, którzy wciąż tłoczyli się na lądzie. W powietrzu unosił się jazgot muzyki sześciu różnych orkiestr grających równocześnie na „Arcadii”.

— Muszę przyznać — powiedział Nigel, podszedłszy do Catriony — że naprawdę cię Kocham.

Catriona odwróciła się i lekko dotknęła jego ramienia.

— Nie mogę do niczego cię zmusić — mówił dalej. — Nigdy do niczego ludzi nie zmuszałem i nadal nie będę, nie jestem taki. Muszę cię jednak zapytać, czy życie, jakie prowadzisz przez ostatnie cztery dni, jest takie, jakiego dla siebie pragniesz? Chcesz być taka już do śmierci?

Chcesz pływać parostatkami i uśmiechać się do tych wszystkich głupców we frakach i marynarkach? Nie wierzę. To nie jest podobne do ciebie.

— „Arcadia” to prawdziwe cacko — odparła Catriona. — Czy wiesz, że jutro dołączą do nas Douglas Fairbanks i Mary Pickford? I księżniczka Xenia? A sir Alan i lady Cobham pojawili się na statku już tej nocy.

— Przecież mogłabyś z powodzeniem spotkać tych ludzi również w Londynie.

— Ale nie w takich okolicznościach. To jest jakby magia. Cały ten statek i ci wszyscy bogaci ludzie na jego pokładzie... Poza tym dzisiaj świętujemy. Wiesz, kto jest najważniejszą osobą na pokładzie? Wcale nie kapitan, lecz ja, królowa atlantyckich liniowców, właścicielka największego z nich. Nigel, ty nie wiesz, jakie to jest wspaniałe uczucie być popularną osobą, rozpoznawaną przez wszystkich. Przeżywam coś takiego po raz pierwszy w życiu.

— Popularność to w rzeczywistości bardzo męcząca rzecz — odparł Nigel, ale bez większego przekonania.

Catriona pochyliła się ku niemu i czule złożyła głowę na jego ramieniu.

— Tak się cieszę, że cię znowu widzę. Nie sprzeczejmy się.

— Naprawdę? Cieszysz się, że tu przyszedłem?

— Oczywiście.

— Wrócisz więc ze mną do Londynu?

Catriona popatrzyła mu prosto w oczy i powoli pokręciła głową.

— Nie, Nigel, nie mogę. Ale nigdy cię nie zapomnę, a jeżeli będziesz tego chciał, zawsze chętnie cię odwiedzę.

Nigel westchnął.

— No cóż — powiedział cicho. — Właściwie nie spodziewałem się niczego innego.

— Zostaniesz na noc? — zapytała Catriona.

— Po co?

— Nie ma już pociągów do Londynu. Jest bardzo późno. — Mam pokój w Royal Liverpool Hotel. Nic wielkiego, zaledwie cztery ściany i łóżko, ale kiedy zacząłem szukać miejsca na nocleg na dzisiejszy wieczór, wszystko, co lepsze, było już pozajmowane. Ludzie zjechali chyba z całej Anglii, żeby obejrzeć, jak odpływa z portu ten pałac. Catriona przycisnęła go do siebie.

— Przestań. Zostaniesz ze mną. Teraz wrócimy na przyjęcie, napijemy się szampana, a potem pokażę ci moją kajutę.

Nigel niepewnie przejechał palcem za swym sztywnym kołnierzykiem.

— Wiesz co? — powiedział. — Myślę, że to jest pierwszy raz, kiedy uwiodła mnie dziewczyna. Zwykle przecież bywa odwrotnie. Poproś więc o kieliszek szampana. A właściwie to o dwa.

— Chodź ze mną, sam poprosisz.

Kiedy znaleźli się z powrotem w Grand Lounge, orkiestra grała *Pretty Soft For You* i parkiet był pełen tańczących par. Catriona ujrzała zasepionego Edgara, stojącego wśród członków Zarządu kompanii. Gdy pochwyciła jego wzrok, zrozumiała, iż Edgar nawet nie próbuje udawać, że obecność Nigela na statku nie denerwuje go.

— Jakiś ponurak ten twój Edgar Deacon — zauważył Nigel. — Zatańczmy, zanim znów się do ciebie przyklei.

Nigel był doskonałym tancerzem. Długo tańczyli razem, a Catriona przytulona do niego, z zamkniętymi oczyma, pragnęła, aby te chwile jak z bajki nigdy się nie skończyły.

Z tego, co nastąpiło później, zapamiętała jedynie, że piła dużo szampana. Jak przez mgłę pamiętała też, że wręczyła srebrny model „Arcadii” jakiemuś dalekiemu kuzynowi króla, strasznie piegowatemu. Nie pamiętała już, że tańczyła z burmistrzem i po kolei z dwoma lub trzema grubymi i spoconymi członkami Zarządu Keys Shipping; ich brzuchy przypominały napompowane piłki futbolowe. Nie pamiętała też długiego spaceru z Nigelem po pokładzie ani pięknego wschodu słońca, który wspólnie obserwowali.

Gdy znaleźli się w kajucie, stała tam już mała taca z lodem i butelką wody sodowej oraz wazon ze świeżymi białymi gardeniami.

— Woda na kaca, kwiaty dla duszy — stwierdził Nigel. — Masz domyślnego stewarda. —

Gdy znalazł się w sypialni, ujrzał łóżko przygotowane do snu. — I inteligentną pokojówkę — dodał.

Zamknęli drzwi na klucz i Nigel położył na talerz gramofonu płytę z nastrojową muzyką jazzową. Wziął Catrionę w ramiona, pocałował ją i zaczął rozpinać jej sukienkę.

— Być może za tym najbardziej tęskniłem — wyszeptał. — Za tym, by pożegnać cię w taki sposób, w jaki cię powitałem.

Ujął w dłoń pierś Catriony i zaczął delikatnie pieścić palcami brodawkę. Całował przy tym dziewczynę w usta, dotykając językiem po kolei każdego jej zęba, jakby chciał w ten sposób poznać do końca wszystkie miejsca jej ciała, zanim utraci ją na zawsze.

Pod czarnymi, wieczorowymi spodniami wyraźnie zeszywniał mu członek. Nigel oderwał się od Catriony, zrzucił frak i po krótkich zmaganiach z diamentowymi spinkami przy rękawach pozbył się też koszuli. Ściągnął spodnie i po chwili stał przed Catrioną prawie nagi, jedynie w białych, jedwabnych slipach.

Płyta gramofonowa skończyła się i zaczęła trzeszczeć. Poranne słońce oświetliło kajutę przez iluminatory niczym wewnątrz nowoczesnej katedry. Kiedy jednak Catriona padła na pościel prawie naga, bo tylko w pończochach opuszczonych do kolan i pantoflach do tańczenia, nic z tego do niej nie docierało. Był tylko Nigel, Nigel, Nigel i jeszcze raz Nigel.

Nigel oznaczał bezpieczeństwo i spokój w londyńskim gniazdku miłości, gdzie mieszkali we dwoje. Nigel oznaczał zabawę i wolność, ale zarazem bliskość, przyjaźń i zrozumienie, oznaczał

poranne pobudki u boku kogoś, kto kocha i pragnie. Catriona była samodzielną dziewczyną, odważnie kroczącą przez życie. Nie była jednak na tyle odważna, by nie tęsknić za czułymi ramionami Nigela czy za tostami cynamonowymi, które przyrządzała w kuchni w mieszkaniu na Royal Hospital Road. Wiedziała, że te beztrudne dni nieodwołalnie minęły. Tego poranka jednak, w swej kajucie na „Arcadii”, porzuciła tę myśl na ten jeden, jedyne, ostatni raz.

Oczy miała zamknięte, kiedy Nigel całował jej szyję i piersi, nie otworzyła ich, gdy jego język błędził pomiędzy jej udami. Gładziła dłońmi jego muskularne ramiona, mierzwiła jego czuprynę.

Bez oporu poddawała się wszystkim czułym, ale jakże podniecającym pieszczotom Nigela.

I wreszcie wszedł w nią i temu też się poddała. Wchodził w nią szybkimi, mocnymi, lecz przynoszącymi rozkosz ruchami, w jednostajnym rytmie, który sprawiał, iż powoli całe jej wnętrze zaczynało się burzyć. Rozkosz trwała długo, lecz musiała się skończyć. Nigel zadrzał i Catriona przycisnęła go do siebie ruchem, jakim obejmuje się kogoś bliskiego, komu coś źle poszło, jakby chciała zapytać: co jest, co się stało, przybliź się do mnie, jeszcze, jeszcze. Jednak to dążenie do bliskości odzwierciedlało jedynie jej pewność, że z chwilą, kiedy minie orgazm Nigela, nieodwołalnie go straci.

— Nigel — powiedziała cicho. Jej słowo uniosło się ku sufitowi i rozpląnęło po wnętrzu kajuty niczym dym z papierosa.

Leżeli obok siebie w milczeniu przez blisko godzinę. Niespodziewanie, bez uprzedzenia, Nigel wstał

i zaczął się ubierać. Catriona nie ruszyła się. Bała się, że jeśli wstanie i zacznie go zatrzymywać, on opuści ją jeszcze szybciej.

— Życzę ci bezpiecznej podróży, dziecino — odezwał się wreszcie Nigel. — Zajrzyj do mnie, kiedy wrócisz. Jeżeli, oczywiście, ciągle będziesz miała na to ochotę.

Oczy Catriony zalśniły łzami. Cicho westchnęła i powiedziała drżącym głosem:

— Nie zapomnę cię, Nigel. Wiesz o tym, prawda? Popatrzył na nią z uśmiechem.

— Mógłbyś popłynąć ze mną tym statkiem, wiesz? Znalazłabym ci kajutę i popłynąłbyś ze mną. Mój Boże, jestem przecież prezesem Zarządu całej tej pieprzonej kompanii żeglugowej.

Mogę zabrać na pokład każdego, kogo tylko chcę.

— Nic z tego — odparł Nigel. — Wieczorem mam występ. Dostałem wolne jedynie na wczoraj, gdyż symulowałem anginę.

— Przecież nie musisz wracać do Londynu. W końcu to tylko jakieś podrzędne przedstawienie.

— Kochanie — powiedział Nigel z westchnieniem — dokładnie to samo mówiłem tobie.

Przecież to jest tylko kompania żeglugowa. A jednak stwierdziłaś, że musisz wyruszyć w ten rejs.

Tak samo ja muszę wracać do Londynu. Smutno mi, będę za tobą tęsknił jak wszyscy diabli, ale cóż, takie jest życie.

Łzy potoczyły się po policzkach Catriony.

— Co ty wiesz o prawdziwym życiu? Przecież jesteś tylko aktorem. Połowę twojego czasu wypełnia życie wymyślone.

Nigel wyciągnął z kieszeni czystą białą chusteczkę, pochylił się nad Catrioną i delikatnie otarł jej oczy jak dziecku.

— Zapewne masz rację — powiedział. — Niestety, mimo wszystko nie mogę popłynąć z tobą.

Dlatego proszę cię, nie płacz i nie utrudniaj mi odejścia.

Ktoś mocno zapukał do drzwi. Po chwili do kajuty dotarł głos Trimmera:

— Śniadanie, panno Keys!

— Świetnie! — zawołała Catrioną. Nigel popatrzył na nią uważnie.

— Czy chcesz, żebym się schował? Pokręciła przecząco głową i znów zawołała: — Wejdz, Trimmer!

Po chwili Trimmer otworzył drzwi i wjechał do środka z wózkiem całkowicie pokrytym białymi serwetkami. Znalazłszy się w sypialni, położył tacę na łóżko, po czym nakrył ją ozdobnym obrusem i zaczął ustawiać nakrycia. Następnie nałożył na talerz porcję siekanej baraniny i marynowanych orzechów. Na drugim talerzu znalazł się tost i porcje marmolady. Do małej filiżanki nalał herbatę.

Nigel obserwował te obrzędy, stojąc bez ruchu pod ścianą. Gdy steward skończył, nawet na Nigela nie spojrzął, tylko szybko, cicho zamykając za sobą drzwi, wycofał się z kajuty; taktowny, dyskretny, dobrze ułożony służący.

Kiedy wyszedł; Nigel i Catriona spojrzeli na siebie i jak na komendę równocześnie wybuchnęli śmiechem.

— On jest wspaniały! — zawołał Nigel. Podwinął poły fraka i usiadł na skraju łóżka, aby razem z Catrioną zjeść śniadanie. — Obiecuję ci, że kiedy weźmiemy ślub i osiadziemy na jakiejś małej wiejskiej farmie, natychmiast otrzyma u nas posadę lokaja.

Catrioną przez chwilę milczała.

— To chyba nie jest propozycja, co? — zapytała wreszcie. Jej głos był ostry, suchy.

Nigel zamarł w bezruchu. Nagle sięgnął ręką do kieszeni.

— Owszem, miałem taki zamiar — powiedział. — Teraz jednak widzę, że nie ma to sensu. —

Rzucił coś na kołdrę.

Był to niewielki, lekki złoty pierścionek z diamentowym oczkiem. Dziewczyna cicho westchnęła i popatrzawszy na Nigela, pokręciła przecząco głową.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rano, gdy Catriona jeszcze spała, na pokład statku zaczęły przybywać znakomitości. Lśniący, czarny rolls-royce z jedwabnymi firankami w oknach przywiózł z Limę Street Station Douglasa Fairbanksa i Mary Pickford, a z kolei beżową o czekoladowym dachu limuzyną tej samej marki przybyła księżniczka Xenia.

Gazety, jak zwykle, opublikowały pełną listę pasażerów, toteż przy schodach prowadzących na pokład „Arcadii” ustawiły się całe zastępy fotografów. Douglas Fairbanks powiedział

reporterom, że udział w dziewiczej podróży „Arcadii” to dla niego „wstrząsające przeżycie”, natomiast Mary Pickford w ciemnych okularach milczała, gdyż czuła się zmęczona i zniechęcona do całego świata.

Claude Graham-White niemal wbiegł na pokład. Za nim, posapując, posuwali się trzej tragarze z całą kolejką brązowych toreb z papieru i podniszczonych walizek. Dziennikarze wyłowili jeszcze wiele innych sławnych osób. Na przykład damę Clare Butt, która pojawiła się otoczona rozszczekaną gromadą siedmiu małych, włochatych piesków. Każdy z nich miał imię odpowiadające innemu

kolorowi tęczy: Czerwony, Pomarańczowy, Żółty, Zielony i tak dalej, i każdy miał przewiązaną wokół szyi stosowną wstążkę w celu łatwej identyfikacji. Madge Bellamy zjawiła się na statku w olśniewającej jedwabnej sukni w kolorze bladego błękitu z etolą z norek zarzuconą na ramionach. Jack Dempsey przybył w fatalnym nastroju i niebieskiej marynarce w paski. Niemal ostatni, na krótko przed tym, nim „Arcadia” wydała przeciągły gwizd, żegnając port w Liverpoolu, na pokładzie pojawił się Mark Beeney, młody i przystojny właściciel American TransAtlantic.

Dokładnie o godzinie jedenastej przed południem odciągnięto od statku wszystkie kładki i pomosty, zamknięto bramki na burtach i wyrzucono na brzeg wszystkie liny cumownicze.

Pasażerowie machali rękami w kierunku tłumów zgromadzonych na oddalającym się nabrzeżu, a orkiestra zagrała *God Save The King i There'll Always Be An England*. Ze wszystkich pokładów rzucono w dół setki jardów serpentyn i mnóstwo konfetti. Uwolniono dwieście czerwonych, białych i niebieskich balonów, napełnionych lekkim gazem, które natychmiast poszybowały w górę i na wschód, w kierunku centrum Liverpoolu.

Na pokładzie trzeciej klasy, z wysoko uniesionym kołnierzem brązowej, tweedowej marynarki i z tanim papierosem w kąciku ust, Harry Pakenow w milczeniu obserwował, jak statek coraz bardziej oddala się od brzegu. Obok niego jakiś mężczyzna w średnim wieku, ubrany w tani płaszcz przeciwdeszczowy, jednocześnie zapłakany i podniecony oczekującą go podróżą, energicznie machał do kogoś stojącego na nabrzeżu, kogoś, kogo zapewne bardzo kochał. Ładna dziewczyna w kapeluszu z szerokim rondem stała bez ruchu i zakrywszy usta dłońmi, płakała rzęsiстыми łzami, nie zwracając uwagi na nic i nikogo. Harry pomyślał, że tego typu rozpacz możliwa jest tylko wśród pasażerów trzeciej klasy; bogaci mogą podróżować, dokąd chcą, z tymi, których kochają, albo w ostateczności powracać do nich i odwiedzać, kiedy tylko mają ochotę.

Mylił się, choć nie mógł przecież o tym wiedzieć. W jednej z kabin pierwszej klasy śpiewaczka operowa, mademoiselle Louise Narron, płakała rzewnymi łzami w łóżku, którego podczas tej podróży z nikim nie dzieliła. Zostawiła w Anglii znanego wiolonczelistę, Raymonda Waltersa; wyobrażała sobie, jak siedzi teraz przy śniadaniu w swoim domu w Greenwich w towarzystwie żony i dwójki małych dzieci. Zastanawiała się, czyjego myśli chociażby na chwilę pomkną ku „Arcadii”, powoli oddalającej się od portu w Liverpoolu.

Harry Pakenow mógł nie być tego świadom, a jednak ból i żal dotyczyły tego dnia wielu ludzi, niezależnie od tego, którą klasą podróżowali i jak byli bogaci.

Catriona otworzyła oczy i od razu poczuła drżenie statku. Natychmiast usiadła, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że wciąż jest w Londynie i tylko śni o morskiej podróży. Zaraz jednak dotarło do niej, co się dzieje.

— Mój Boże! — krzyknęła. — Płyniemy już, a oni nic mi nie powiedzieli.

Wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po peniuar. Następnie podbiegła do iluminatora i wyrzała na zewnątrz. Liverpool był już bardzo daleko, „Arcadię” oddzielał od nabrzeża szeroki pas morskiej wody. Jakby chcąc potwierdzić Catrionie, że liniowiec rzeczywiście płynie, mniejsze statki znajdujące się na wodzie zaczęły głośnymi gwizdami pozdrawiać „Arcadię”. Odgłosy pożegnania

dotarły aż do Bootle i Blundellsands. Janice Bignor usłyszała je, stojąc na przystanku autobusowym; jak co dzień, za chwilę miała pojechać do pracy. Jej oczy wciąż były opuchnięte od płaczu, a w torebce trzymała pognieciony list, który pozostawił jej Harry.

Catriona usłyszała pukanie do drzwi kajuty i po chwili do środka weszła Alice ze świeżymi ręcznikami.

— Statek już płynie! — zawołała Catriona. — Dlaczego nikt mnie nie obudził?

Alice rozwiesiła ręczniki w łazience i odkręciła kurki.

— Ten młody dżentelmen powiedział, żeby pani nie budzić, panno Keys. Powiedział, że nikt, pod żadnym pozorem, nie powinien pani przeszkadzać, dopóki „Arcadia” nie odbije od brzegu.

— Nigel? Ale dlaczego?

— Mówił coś, że nie chce, aby miała pani możliwość zmienić decyzję. Mówił, iż każdy powinien iść własną drogą, tylko jemu przypisaną. Posłuchałam go, bo wyglądał na bardzo stanowczego i pewnego siebie; wiedział, o co mu chodzi.

— Nie! — zawołała Catriona. Ale niemal natychmiast uspokoiła się. — A właściwie, tak.

Wiedział, czego chce. Dobrze, że mnie nie obudziłaś. Poza tym mam strasznego kaca.

Alice zaczęła starannie rozkładać świeżą bieliznę Catriony na skraju łóżka. Najwyraźniej się jej nie podobało, że młoda dama paraduje bez niczego pod spodem.

Catriona już miała jej powiedzieć, aby włączyła jakąś płytę, gdy znów ktoś zapukał. Alice podeszła do drzwi.

— To pan Philips! — zawołała. — Pierwszy oficer! Czy mam mu powiedzieć, żeby przyszedł później?

Catriona mocniej przewiązała pasek peniuaru.

— Tak, bardzo cię proszę! — odrzyknęła. Zaraz jednak zmieniła zdanie. — Albo nie, poproś go do środka. I bądź tak dobra i zadzwoń na Trimmera, żeby przyszedł i przyrządził mi drinka.

— Drinka, proszę pani? Czy może pani już pić?

— Oczywiście, że nie mogę — odparła Catriona. — Ale jeżeli nie wypiję jednego właśnie teraz, do końca życia nie będę w stanie tknąć alkoholu. Niech pan wejdzie, panie Philips.

Przepraszam za nieporządek w kajucie.

Rudyard Philips, pierwszy oficer, był mężczyzną o szerokich ramionach i krótkich nogach.

Miał czterdzieści jeden lat i mimo dużej głowy był dość przystojny. Jasne włosy nosił ścięte bardzo krótko. Wyróżniał go szeroki, mięsisty nos. Specyficzna budowa ciała sprawiała, że nie leżał na nim dobrze żaden mundur. Spojrzawszy na niego, Nigel powiedziałby zapewne, że pod szerokimi barkami kryje się mała dusza, a jednak pomyliłby się. Rudyard Philips był w każdym calu mężczyzną, oprócz tego że silnym, również prawym i szlachetnym. Zdarzało się, że samotne damy wybierały się w podróż specjalnie po to, aby choć trochę czasu spędzić w jego towarzystwie.

— Panno Keys — powiedział Rudyard Philips, zdejmując czapkę. Jego akcent zdradzał walijskie pochodzenie. — Przyszedłem jedynie po to, aby złożyć pani wyrazy szacunku.

— Nie widziałam pana dzisiejszej nocy, prawda?

— Pełniłem służbę, panno Keys.

— I nie posłano panu nawet kieliszka szampana? Cóż za grubiaństwo.

Philips rozejrzał się za miejscem, na którym mógłby położyć swoją czapkę. Po krótkim wahaniu złożył ją na poręczu sofy.

— Oficerowie pełniący wachtę nie mogą pić ani kropli alkoholu, panno Keys. Z oczywistych powodów.

— Nie rozumiem? Przecież statek wówczas nie płynął.

— Mimo wszystko, panno Keys. Ktoś na pokładzie musi czuwać.

Catriona usiadła i wyciągnęła papierosa. Rudyard Philips postąpił krok do przodu i przypalił go złotą zapalniczką Dunhilla.

— Czy bardzo panu przeszkadza, że jest pan pierwszym oficerem, a nie kapitanem? — zapytała po chwili.

Rudyard Philips wzruszył ramionami.

— Miałem do wyboru albo objąć tę funkcję, albo pozostać w domu — odparł.

— I nie chciał pan pozostać w domu?

Na to pytanie Philips nie odpowiedział. Uśmiechnął się jedynie, aby okazać Catrionie, że zrozumiał je, ale to było wszystko. Rozejrzał się po kajucie, zapamiętując, co gdzie się znajduje.

Jednym z jego osobistych obowiązków jako pierwszego oficera była opieka nad pasażerami pierwszej klasy.

Catriona zaciągnęła się papierosem i po chwili odezwała się znowu.

— Sir Peregrine wyrażał się wczoraj o panu niezbyt przychylnie.

— Naprawdę? — zdziwił się Rudyard Philips. — Aż mi trudno uwierzyć.

— A jednak. Ma o panu jak najgorsze mniemanie. Poza tym jest przekonany, że gotów jest pan zrobić wszystko, byleby tylko umniejszyć jego umiejętności.

Rudyard Philips długo się zastanawiał nad słowami Catriony. Wreszcie odparł:

— Sir Peregrine robi z siebie idiotę. Wcale nie muszę mu w tym pomagać.

— Zaiste? Sir Peregrine zdaje się uważać, że w sytuacji zagrożenia gotów byłby pan przedłożyć swe własne ambicje ponad bezpieczeństwo „Arcadii”.

Rudyard Philips spróbował się uśmiechnąć, jednak absolutnie mu to nie wyszło. — I pani mu wierzy? — zapytał.

— Nie wiem. Sama nie wiem.

Zapadła niezręczna cisza. Catriona obserwowała Rudyarda Philipsa poprzez kłęby dymu i uśmiechała się. W pierwszym oficerze tkwiło coś nieokreślonego, jakaś dziwna cecha, która kusiała wręcz kobiety, aby bawić się jego zażenowaniem. Catriona nie była wśród nich wyjątkiem.

— Niezależnie od tego, co o mnie myśli, sir Peregrine jest doskonałym marynarzem. No i pasażerowie bardzo go lubią.

— A jednak jest pijakiem — zauważyła Catriona.

— Ja tego nie powiedziałem. I, w gruncie rzeczy, z całym należnym szacunkiem, nie chciałbym również, żeby pani tak o nim mówiła.

— Och! — zawołała Catriona, udając zmieszanie. — Bardzo mi przykro, naprawdę.

Wydawało mi się jednak, że po tym, co usłyszałam na pana temat z ust sir Peregrine’a, powinnam spodziewać się, iż żywi pan wobec niego podobne uczucia.

— Sir Peregrine jest kapitanem tego statku, proszę pani. Jest najważniejszą osobą na największym i najdroższym liniowcu naszych czasów.

— Wiem o tym. Ale chyba za bardzo go pan nie lubi.

— Nie jest to najłatwiejszy człowiek we współzyciu, panno Keys. Cóż, taka to praca. Bardzo niewielu kapitanów żeglugi morskiej to osoby układane i grzeczne.

Catriona powoli, spokojnie zaciągnęła się papierosem, po czym odezwała się:

— Załóżmy, że statek znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie, panie Philips, a sir Peregrine będzie pijany w trupa. Co pan wtedy zrobi?

— Panno Keys...

— Zadałam panu pytanie.

Rudyard Philips niepewnie podrapał się po szyi.

— No cóż, sytuacja jest, oczywiście, absolutnie hipotetyczna. Co prawda, prawo morza przewiduje różne nagłe wypadki i wyraźnie określa, co należy robić. Istnieje nawet przepis, który mówi, jak postępować, kiedy wszyscy pasażerowie zechcą pić morską wodę albo postradają zmysły...

— Panie Philips...

— Pani jest właścicielką tej linii, panno Keys, a sir Peregrine jest kapitanem tego statku.

Czego właściwie w tej chwili spodziewa się pani po mnie?

— Nie wiem, panie Philips. A pan wie?

Rudyard Philips nie zorientował się, że Catriona wcale nie wypróbowuje jego lojalności wobec sir Peregrine'a. Nawet nie obchodziła jej odpowiedź na pytanie, czy celowo poprowadzi statek na skały, po to jedynie, aby dowiedziano się, że sir Peregrine był w tym czasie pijany.

Catriona po prostu się nim bawiła, głupio, bezlitośnie, bezsensownie. Pozostało jej to z Londynu, kiedy w kręgu znajomych zabawiano się pytaniami typu: „Co zrobisz, jeżeli zastaniesz swoją siostrę w łóżku z czarnym?” Albo: „Jak się poczujesz, kiedy nakryjesz najlepszego przyjaciela na kradzieży twoich pieniędzy?”

— Przepraszam, ale na mnie już czas — powiedział Rudyard Philips. — Do południa muszę obejść wszystkie kabiny pierwszej klasy. Moim obowiązkiem jest osobiste powitanie na pokładzie wszystkich pasażerów, którzy wydali fortunę na tę podróż.

Catriona powstała i wolnym krokiem przemierzyła salon. Za nią snuła się lekka mgiełka dymu papierosowego.

— Czy pan jest żonaty, panie Philips? — zapytała niespodziewanie.

Rudyard Philips powoli podniósł oczy. Instynktownie, a może tylko przez przypadek, Catriona trafiła w jego najbardziej czuły i bolesny punkt.

— Żonaty? Tak, jestem żonaty.

— Czy pańska małżonka nie mogła popłynąć z panem? Niektórzy oficerowie zabrali na pokład swoje żony.

— Tak... To znaczy, nie, nie mogła. Opiekuje się dwójką małych dzieci. Widzi pani, ona jest Chinką, poznałem ją w Hongkongu. Mieszka teraz w Runcorn z rodziną mojej siostry.

Catriona popatrzyła na niego uważnie.

— Czy jest pan szczęśliwy, panie Philips? — zapytała.

Zmarszczył czoło i odwrócił głowę. Nie wytrzymał jej spojrzenia. Nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć pytania.

— Nie będę skrywał rozczarowania, że nie zostałem kapitanem „Arcadii” — powiedział. —

Jestem jednak skłonny przyznać, że sir Peregrine miał większe prawo do objęcia tej funkcji.

— Wydaje mi się pan po prostu czymś bardzo przybity, panie Philips, to wszystko.

Na krótką chwilę na jego twarzy pojawił się jakby błysk bólu, zaraz jednak opanował się i nawet zdołał się uśmiechnąć.

— Chyba się pani myli, panno Keys. Poza tym rzeczywiście muszę już iść. Czy zechce pani odbyć ze mną wycieczkę po statku po lunchu? Naprawdę powinna pani jak najszybciej obejrzeć całe to cacko, które odziedziczyła pani po ojcu.

— Tak, podoba mi się ten pomysł — stwierdziła Catriona. Po chwili dorzuciła: — Panie Philips...

Rudyard Philips podniósł już swoją czapkę i wycofywał się w kierunku drzwi.

— Słucham, panno Keys.

Catriona chciała powiedzieć, że jest jej przykro, że wcale nie miała zamiaru go zdenerwować, słowa przeprosin jednak nie chciały przejść przez jej usta. Rzuciła tylko:

— Spotkamy się o wpół do trzeciej.

Gdy Philips wyszedł, z łazienki wynurzyła się Alice z szmaragdowozielonym ręcznikiem w rękach.

— Przygotowałam pani kąpiel, panno Keys — powiedziała. Catriona stała na środku salonu, dopalając papierosa,

Alice tymczasem czekała. Czowała się nieszczególnie po rozmowie z Rudyardem Philipsem, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Zachwiała jego równowagę, była pewna, ale co było tego powodem? Czy impertynenckie pytania, które mu zadawała, czy też samo wspomnienie o sir Peregrinie doprowadzało go do takiego stanu? A może nie wiodło mu się w życiu osobistym? W

gruncie rzeczy nie obchodziło jej to. Był w końcu jedynie oficerem na jej statku i chociaż Trimmer powiedział, że jako kapitan na własnym liniowcu w barwach Keys Shipping robił furorę wśród kobiet, szczególnie wśród Amerykanek w średnim wieku, Catriona uznała go za raczej nudnego

faceta. Niestety, po rozmowie z nim poczuła się winna, a nienawidziła tego uczucia.

Po wejściu do wanny odurzyła ją woń porannej miłości, która dotarła do niej spomiędzy ud.

Podczas gdy Alice szorowała jej plecy, Catriona szybko przyłożyła dłoń do łona, a potem podniosła ją do ust. Szybciej zabiło jej serce, gdy wyczuła silny, męski zapach Nigela.

Niespodziewanie podniecił ją.

Przymknęła oczy i pozwoliła Alice myć całe swe ciało. Powoli odpływało od niej ostatnie wspomnienie Nigela. A tymczasem „Arcadia” z coraz większą szybkością przecinała wody Zatoki Liverpoolskiej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rudyard Philips poszedł prosto na pokład służbowy. Stał przy barierce, niedaleko drzwi prowadzących do sali gimnastycznej i zapalił papierosa. Głęboko wciągał dym w płuca, przytrzymywał go w nich, a potem gwałtownie wypuszczał ustami pod wiatr. Bardzo powoli uspokajał się. Mdlilo go; nie strawił jeszcze smażonych jajek i pieczonych pomidorów, które zjadł na śniadanie, a po zejściu z wachty popił szklaneczką whisky. Zbierało mu się na wymioty, jednak widoczny był dla kilkunastu pasażerów pierwszej klasy, wobec czego musiał się powstrzymać. Wbrew powszechnej opinii marynarze często cierpieli na chorobę morską, ale nie wolno im było okazywać pasażerom swej słabości.

„Arcadia” majestatycznie przecinała Zatokę Liverpoolską, pozostawiając coraz dalej za sobą macierzysty port i płynąc równolegle do północnych wybrzeży Walii. W niedługim czasie powinna minąć Prestatyn, a potem pozostawić za sobą Anglessy i przez Morze Irlandzkie pomknąć prosto do Dublina. Wciąż otaczało ją mnóstwo jachtów, statków parowych i łodzi wycieczkowych. Ich załogi i pasażerowie pozdrawiali ją, wymachując chusteczkami, krzycząc, robiąc pamiątkowe zdjęcia. Panowała wesoła, niemal świąteczna atmosfera. W sumie czterodniowa podróż „Arcadii” miała być jednym wielkim świętem. Każdej nocy na wszystkich jej pokładach zaplanowano przyjęcia, bale i bankiety. Dla Rudyarda Philipsa znaczyła jednak tragiczny koniec jego małżeństwa. Przed trzema dniami dowiedział się, iż jego żona, Toy, ma kochankę i że zamierza go opuścić.

Właściwie nie powinien jej za to winić. Przecież tak często opuszczał dom na długie tygodnie, pozostawiając na głowie Toy całą odpowiedzialność za wychowanie dwójki ich dzieci, Matthew i Janet. Jaka musiała być samotna w obcym otoczeniu: delikatna, starannie wykształcona Chinka wśród angielskich domów z czerwonej cegły. Nie miała nawet z kim porozmawiać poza sprzedawcą ze sklepu i siostrą Rudyarda, która odnosiła się do niej z ogromną przyjaźnią, jednak ileż można wysłuchiwać o robieniu na drutach, o cenach węgla czy o jakiejś dziewczynie z okolicy, która uciekła z domu z chłopakiem.

Toy nie miała szansy na długie ukrywanie w tajemnicy związku z Laurence’em. Na Warrington Avenue nie było żadnych sekretów, tym bardziej wtedy, gdy sekretem miałby być energiczny, przystojny, długowłosy profesor uniwersytetu, jeżdżący czerwonym austinem chummy, rzucającym się w oczy z odległości kilkuset jardów. Laurence spotkał Toy na przystanku autobusowym w Runcorn;

padają akurat i zaproponował, że ją podwiezie. Tak się zaczęło. Potem zabierał ją na weekendy, jeździli do Chester, Ellesmere Port, a raz nawet do Mostyn. Rozmawiali o Lao-tsy, Chuang-tsy i malowidłach na jedwabiu z czasów dynastii Sung.

Z biegiem dni coraz śmielej zaczęli poruszać inne tematy, długo na przykład rozmawiali o erotycznej powieści Tao *Ch'ing P'ing Mei*, aż w końcu rozmowy przekształciły się w pocałunki i jęki rozkoszy w kawalerce profesora w Birkenhead. Matthew i Janet wołali już na niego „wujek Laurence”. Taką sytuację zastał w domu Rudyard, gdy przyjechał do Toy na kilka dni przed wyruszeniem w dziewiczą podróż „Arcadią”. Toy rozplakała się i poprosiła go o wybaczenie.

Rudyard, jak przystało na brytyjskiego oficera, uderzył ją pięścią w twarz i ponownie wymierzył jej policzek otwartą dłonią. Do teraz trząsł się ze złości, kiedy rozmyślał, jakie popełnił głupstwo.

Przecież bicie delikatnej Toy było czynem szaleńca! Te dwa uderzenia sprawiły, że stał teraz na pokładzie służbowym „Arcadii”, w odległości czterdziestu pięciu minut morskiej podróży z Liverpoolu, paląc papierosa, czując wzbierające mdłości i nie mając domu, do którego mógłby powrócić.

Spotkanie z Catrioną jeszcze bardziej go przygnębiło. Spodziewał się, że z jednej strony córka Stanleya Keysa będzie dziewczyną o silnej osobowości, z drugiej zaś, iż będzie osobą o prostym i praktycznym umyśle, osobą, z którą będzie mógł porozmawiać o latarniach morskich, statkach i okrętach czy zasadach nawigacji. Niestety, okazała się wyperfumowaną ślicznotką o lekko skośnych oczach i promieniującą tą silną kobiecością, która kiedyś zafascynowała go w Toy.

Catrioną Keys zarazem podnieciła go i poniżyła, i Rudyard Philips nie był pewien, na kogo bardziej złościć się z tego powodu: na nią czy na siebie.

Zastanawiał się nad sobą, nad Toy i nad Catrioną, gdy niespodziewanie na pokład wbiegł jeden ze stewardów, rudowłosy McNulty, i zakłócił jego spokój.

— Panie Philips! Panie Philips! — krzyknął pod wiatr. — Panie Philips, mamy problem!

Rudyard wyrzucił papierosa za burtę i podszedł do stewarda. McNulty był rozgorączkowany i czerwony na twarzy. Pachniał niezwykle ostro wodą kolonską i gdy Rudyard zbliżył się do niego, on również postąpił kilka kroków naprzód. Przystanęli zdecydowanie bliżej siebie, niż to było potrzebne.

— Chodzi o mademoiselle Narron, sir — wyrzucił z siebie McNulty. — Tę śpiewaczkę operową. Zamknęła się na klucz w swojej kajucie i płacze jak opętana. Pan Willowby boi się, że popełni coś drastycznego.

— Masz zapasowy klucz?

— Mademoiselle zablokowała dziurkę od klucza, nie wiadomo jak. Na nic zapasowy klucz.

Próbowaliśmy wszystkich sposobów, żeby otworzyć drzwi.

Rudyard nie wahał się już ani chwili dłużej. Wbiegł na klatkę schodową pierwszej klasy i popędził w kierunku kabiny mademoiselle Narron. Po drodze nie zapomniał o obowiązku promiennego uśmiechania się do wszystkich mijanych pasażerów. Wkrótce wpadł do wyłożonego grubym dywanem korytarza. Dłonią przytrzymał czapkę, aby nie spadła mu z głowy.

W korytarzu unosił się silny zapach francuskich perfum i drogiej wody kolońskiej. To wszystko mieszało się z aromatem skórzanych obić, prawdziwych futer i jedwabnej garderoby, aromatem, który zawsze i nieodstępnie towarzyszy bogactwu i dobrobytowi.

Kajuta mademoiselle Narron znajdowała się na samym końcu korytarza, dokładnie pod mostkiem. Przy drzwiach był już Monty Willowby — oficer rachunkowy oraz Dick Charles —

czwarty oficer, dwaj stewardzi i jedna z pokojówek pracujących w pierwszej klasie, Iris.

— No, wreszcie, panie Philips — odezwał się Monty Willowby. — Cieszę się, że pan przybiegł. O ile się nie mylę, mamy do czynienia z atakiem artystycznej hysterii. Baba zamknęła się w środku i na nic nie reaguje.

— P... p... próbo... bowałem z nią ne... negocjować — wtrącił Dick Charles.

Rudyard przez chwilę wyobrażał sobie Dicka Charlesa negocjującego z kimkolwiek i omal nie parsknął śmiechem. Dick, mimo że był doskonałym czwartym oficerem, trudny był do strawienia ze względu na to, iż się jąkał. Monty Willowby twierdził, że potrafi wypić trzy duże piwa, zanim Dick zdoła zamówić jedno.

Monty Willowby sam w sobie był egzemplarzem jedynym w świecie i niepodrabialnym.

Oficer rachunkowy na „wielkim luksusowym liniowcu, takim jak „Arcadia”, sprawował władzę niemal cesarską. Był przełożonym całego zastępu stewardów i stewardes, odpowiadał za zaopatrzenie, rekreację i wszystkie finanse na statku. Zasiadał na czubku wielkiej piramidy, na którą, oprócz formalnych powiązań i układów, składały się setki związków nieformalnych, a ponadto góry pieniędzy przekazywanych jako łapówki, i napiwki i nielegalne wynagrodzenia.

Kiedy bogaty pasali żer dawał mu jakąś kwotę w zamian za obietnicę szczególnie wyszukanego traktowania, Monty Willowby z kolei przekazywał jej część stewardom, ci jeszcze mniejszą służącym i pokojówkom, i tak dalej, i tak dalej. Swoją dolę dostawali nawet kucharze. W

większości przewodników z 1924 roku biura podróży sugerowały pasażerom pierwszej klasy takich statków jak „Arcadia” czy „Mauretania”, aby wkalkulowali w swe koszty kwoty równe mniej więcej pięciu procentom ceny biletu na napiwki dla obsługi.

Monty Willowby był więc potężnym i bogatym człowiekiem. Teraz jednak, stojąc pod drzwiami jednej z największych śpiewaczek operowych ówczesnych czasów, uparcie nie chcąc wpuścić nikogo do swej kajuty, był po prostu zły. Okrzyki, które kierował przez dziurkę od klucza, nie przynosiły rezultatów. Rezultatów nie dawały też obietnice, które składał

primadonnie, że dostarczy jej butelkę szampana albo pudełko doskonałych czekoladek. Gdy zrozumiał, że sam nie opanuje sytuacji, nie miał innego wyjścia, jak wezwać pod drzwi śpiewaczki pierwszego oficera.

— McNulty powiedział mi, że próbował pan użyć zapasowego klucza — odezwał się Rudyard Philips.

— Tak, proszę pana. — Monty Willowby pokiwał głową. — Ale daremnie. Myślę, że ta kobieta zapchała dziurkę od klucza papierem. I Rudyard przyłożył ucho do drzwi. Monty Willowby otworzył usta, aby odezwać się znowu, pierwszy oficer uciszył go jednak ruchem ręki.

Z wnętrza kajuty dobiegły go odgłosy cichego płaczu. Zaczął się modlić po cichu, aby zdesperowana kobieta nie zażyła prosków nasennych w nadmiernej ilości ani nie uczyniła czegoś innego, podobnie niedorzecznego.

— Idź po siekiereę na stanowisko przeciwpożarowe — polecił jednemu ze stewardów. — Nie chcę rozwalać tych drzwi, lecz być może nie będę miał innego wyjścia.

— Ja... ja... za... zajrzę... rzałem p... p... rzeź ilu... iluminator — odezwał się Dick Charles

— a... a... ale...

Wszyscy wpatrzyli się w niego i w napięciu czekali, aż dokończy zdanie, utknął jednak na

„ale”. Był czwartym oficerem na statku, toteż żaden ze stewardów nie ośmielał się mu przerwać, a Rudyard Philips zbyt go lubił, by publicznie ośmieszać.

— ...firanki są zaciągnięte — niespodziewanie dokończył Dick. Monty Willowby głęboko odetchnął jakby z wielką ulgą.

Rudyard głośno zapukał do drzwi.

— Mademoiselle Narron! — zawołał. — Mademoiselle Narron! Czy pani mnie słyszy?

Z wnętrza kajuty rozległo się jedynie jeszcze głośniejsze łkanie.

— Mademoiselle Narron! Mademoiselle Narron! Mówi do pani Rudyard Philips, pierwszy oficer. Czy ma pani jakieś problemy? Proszę odpowiedzieć!

— Odejdźcie wszyscy od moich drzwi! — Z kabiny dobiegł ich niespodziewany wrzask. —

Chcę jedynie umrzeć!

Rudyard popatrzył na Montego Willowbego i obaj zacisnęli usta.

— Mówiłem — odezwał się Monty po chwili. — Artystyczna histeria w całej okazałości.

Zawsze się, cholera, ktoś taki znajdzie na statku. Ostatnim razem, gdy płynąłem na wExcellentB, jakiś włoski tenor wyskoczył za burtę z kieszeniami wyładowanymi srebrnymi sztućcami, aby szybciej pójść na dno.

— Niech się pan uciszy — zażądał Rudyard. Wyciągnąwszy z kieszeni szwajcarski scyzoryk, przyklęknął i zaczął manipulować przy zamku, próbując wepchnąć do wnętrza kajuty papiery, powkładane do dziurki od klucza przez mademoiselle Narron.

— Odejdźcie spod moich drzwi! — zawołała śpiewaczka z jeszcze większą histerią w głosie.

— Chcę zostać sama! Chcę umrzeć!

McNulty nie potrafił ukryć rozczarowania na twarzy w chwili, gdy Rudyard wypchnął papier i szybko przekręcił klucz w zamku. Miał nadzieję, że trzeba będzie się włamać do śpiewaczki i to on otrzyma zadanie rozwalenia drzwi. Gdy Rudyard wpadł do środka, mademoiselle Narron stała przed swoim łóżkiem z rękami dramatycznie wzniesionymi w górę. Była wyższa, niż ktokolwiek mógł się spodziewać, ubrana we wspaniały wagnerowski kostium z lśniącego, srebrzystego materiału. Jej odsłonięte nadgarstki były nacięte i ciemnoczerwona krew kapłała na szkarłatny dywan; czerwień na czerwień.

Oczy miała szeroko otwarte i jakby dzikie. W kostiumie, w który była teraz ubrana, odtwarzała postać Frei w *The Rhinegold* podczas pamiętnego sezonu w 1922 roku w Metropolitan. Jedną wielką pierś miała odsłoniętą. Spojrzawszy na nią, Rudyard pomyślał, że pierś ta jest większa od jego głowy.

W tej samej chwili mademoiselle Narron zachwiała się i upadła. Rudyard zdołał jeszcze podbiec do niej i podtrzymać ją, jednakże nie dał rady stu siedemdziesięciu funtom żywej wagi i w efekcie cielsko primadonny zważyło się na niego.

— Panie Willowby, niech pan zawoła doktora Fieldsa — wysapał, wydostając się spod śpiewaczki.
— McNulty, podaj mi rękę. Panie Charles, niech pan podrze obrus, założymy tej kobiecie prowizoryczne opatrunki.

Razem z McNultym przeniósł broczącą krwią sopranistkę na kanapę, a potem obwiązał jej rany paskami podartego obrusa. Rany były tylko powierzchowne; mademoiselle z całą pewnością nie zdołała przeciąć sobie żył. Rudyard podniósł z dywanu brzytwę i podał ją McNulty'emu.

— Przenieśmy ją na łóżko — powiedział po chwili wahania, wskazując na nieprzytomną kobietę. — Iris, odciągnij zasłony, dobrze? Niech tu wpadnie trochę światła.

Kajuta mademoiselle Narron nosiła nazwę „Słodycz”. Wszystkie ściany osłonięte były różowymi, jedwabnymi kotarami, a meble, stanowiące wyposażenie kabiny, wykonane były z różowego marmuru. Na szerokim łóżku leżała różowo — biała pościel, a wezłowie wieńczyły rzeźbione marmurowe amorki. Dekoracja wydawała się nieodpowiednia nie tylko dla kobiety tak wielkiej jak mademoiselle Narron. Owe kupidyny zupełnie nie pasowały do niedoszłej samobójczyni, niezależnie od tego, jakiego była wzrostu.

Kiedy założono jej prowizoryczne opatrunki i przeniesiono na wygodne łóżko, otworzyła oczy. Wówczas Rudyard Philips stwierdził, że jest ona nadzwyczaj ładną kobietą. Miała silnie zarysowaną szczękę śpiewaczki, łagodne kości policzkowe nadawały jej twarzy przyjemny wyraz, a urody dodawał również długi, prosty nos. Jej usta w takim samym różowym kolorze jak ściany, były szerokie, pełne, mięsiste.

Wkrótce powrócił Monty Willowby z doktorem Fieldsem, który pracował na statkach Keys Shipping już od piętnastu lat. Natychmiast przystąpił do pracy. Usiadł na skraju łóżka i uważnie przyjrzał się mademoiselle przez grube okulary.

— Próbowwała się zabić — powiedział Rudyard.

— Hmm — mruknął doktor Fields. — Zdaje się, że bez większego powodzenia i przekonania.

Śpiewaczki operowe zwykle bardzo kiepsko zabierają się do czegoś takiego. Nie wiem dlaczego.

Droga mademoiselle Narron, czy pani mnie słyszy?

Śpiewaczka zamknęła oczy, a potem znów je otworzyła. Były piękne, zielone i jakby półprzeźroczyste, a przy tym intensywnie lśniące.

— Zemdlałam — powiedziała. — Co się stało?

Doktor Fields uniósł jej rękę, aby popatrzyła na swój przegub.

— Obawiam się, że próbowała pani wzbogacić swą podróż o mocniejsze wrażenia, nacinając sobie skórę na przegubach.

Diwa powoli pokiwała głową.

— Tak — przyznała. — Chciałam umrzeć. Ale... — podniosła drugą rękę — nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię.

— Wspaniale — pochwalił ją doktor Fields. — Przyślę tu pielęgniarkę, żeby doprowadziła panią do porządku. Proszę jednak pamiętać, że jestem zawsze do pani dyspozycji. Do widzenia.

Rudyard stał przy łóżku śpiewaczki dopóty, dopóki wszyscy nie wyszli. Zostali we dwoje, jeśli nie liczyć Iris, która bardzo się starała, aby zmyć krwawe plamy z dywanu. Mademoiselle Narron zamknęła na chwilę oczy, gdyż oślepiły ją promienie słońca i nawet przez minutę albo dwie spała. Gdy ponownie je otworzyła, Rudyard wciąż tkwił przy jej łóżku.

— Może pan już iść — powiedziała cicho. — Myślę, że otrzymałam nauczkę. Widzi pan, odgrywałam jakąś rolę. Jej częścią była próba samobójstwa.

— A jednak coś panią bardzo gnębi — stwierdził Rudyard. Mademoiselle Narron lekko się uśmiechnęła.

— Czy może chodzi o kogoś, kto został na łodzi? — zapytał Rudyard.

Pokiwała głową.

Rudyard przeszedł kilka kroków i wyjrzał przez iluminator. Morze na zewnątrz lśniło tysiącami iskier niczym rozbite szkło.

— Ja też musiałem kogoś zostawić — powiedział niespodziewanie dla samego siebie, stojąc tyłem do mademoiselle Narron. W gardle poczuł suchość.

— Kogoś, kogo pan kochał? — zapytała.

— Tak. Kogoś, kogo kochałem. Kogoś, o kim myślałem, że i mnie zawsze będzie kochał.

Ale... Cóż, widocznie nie miało tak być.

— Czy nie mógł pan zostać na łodzi, żeby ocalić tę miłość?

— I zrezygnować z tej podróży? Nie, nawet o tym nie pomyślałem. Poza tym uważam, że właściwie nie pozostało już nic do ocalenia.

Mademoiselle przez chwilę milczała.

— Przykro mi — powiedziała wreszcie. — Musi być panu tak samo ciężko jak i mnie.

Rudyard odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

— Nie powinienem był tego pani opowiadać — stwierdził. — Przecież płynie pani tym statkiem, aby cieszyć się życiem, tym wszystkim, co oferuje Keys Shipping, a nie po to, żeby wysłuchiwać cudzych problemów. Ale... Jeżeli mógłbym pani w czymś pomóc... Cóż, chciałem, aby pani wiedziała, że potrafię panią zrozumieć.

— Jest pan bardzo smutnym człowiekiem — stwierdziła śpiewaczka.

— Tylko poza służbą — odparł Rudyard i spróbował się uśmiechnąć.

— Powiem coś panu — postanowiła śpiewaczka. — Musiałam zostawić w Anglii mężczyznę, o którym myślałam, że będzie mi towarzyszył do końca życia. Niestety, powrócił do swojej żony i dzieci, a moje nadzieje na szczęście prysnęły niczym bańka mydlana. Teraz każdego ranka, gdy się budzę, czuję ogromny ból. Czy zna pan ten ból? Nigdy nie przypuszczałam, że z powodu utraty kogoś bliskiego będę czuła prawdziwy, fizyczny ból.

Rudyard popatrzył na zegarek.

— Przepraszam bardzo — powiedział — ale zdaje się, że jestem trochę spóźniony. Jeżeli będzie miała pani jakiegokolwiek życzenie, steward przyjdzie pani z pomocą. A ja... Postaram się powrócić do pani później.

Mademoiselle Narron wyciągnęła dłoń w kierunku Rudyarda.

— Dlaczego nie pomożemy sobie nawzajem, pan i ja? — zapytała. — Chociażby na czas tej podróży, nie dłużej. Oboje płyniemy na tym samym statku i gnębią nas identyczne problemy.

Rudyard wahał się przez chwilę, a potem nagle podszedł do łóżka i ujął dłoń mademoiselle Narron. Czule ją uścisnął i powiedział:

— Dobrze. Skoro pani sobie tego życzy, należę do pani.

— Mam nadzieję, że jest to i pańskim życzeniem.

Iris stała w drzwiach i obserwowała ich. Gdy Rudyard zorientował się, że ona tam jest, nałożył na głowę czapkę i szybko wyszedł z kajuty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Catriona nie miała pojęcia, dlaczego Edgar Deacon za wszelką cenę stara się nie dopuścić do jej spotkania z Markiem Beeneyem. A jednak, skoro do pierwszego lunchu Catriona i Mark zasiedli przy stole sir Peregrine'a naprzeciwko siebie, starania Edgara nie miały najmniejszych szans powodzenia. Niechętnie przedstawił ich sobie i podczas całego posiłku wpatrywał się uparcie w talerz i prawie wcale się nie odzywał.

Catriona i Mark początkowo także milczeli, przypatrując się sobie jak ludzie, którzy doskonale wiedzą, że to przeznaczenie zetknęło ich ze sobą i w związku z tym wszelkie słowa są zbędne. Wokół nich jadalnia pierwszej klasy skrzyła się setkami elektrycznych żarówek, wrażenie jej ogromu powiększały jeszcze wielkie lustra, pokrywające niemal całą powierzchnię ścian. Jadalnię stylizowano na wielką salę balową francuskiego pałacu z osiemnastego wieku, z takimi jej atrybutami, jak ogromne palmy w narożnikach, kanarki w wysoko zawieszonych klatkach, czy wreszcie dziesięcioosobowa orkiestra grająca utwory Mozarta. Cała zastawa na stołach wykonana była ze srebra, a dostarczyła jej ta sama firma, która zaopatrzyła „Titanica”: Goldsmiths and Silversmiths Company z Regent Street z Londynu.

Na swój pierwszy lunch na „Arcadii” Catriona włożyła prostą błękitną sukienkę bez rękawów, z wpiętą w nią broszką z diamentami i perłami. Proste krótkie włosy przewiązała niebieską opaską. Mark Beeney, w doskonale skrojonej, szarej marynarce od Wetzela z Nowego Jorku i w jedwabnej koszuli od Henry'ego Poole'a z Londynu, siedział naprzeciwko, przypatrując się Catrionie, i dochodził do coraz głębszego przekonania, że dziewczyna jest olśniewająca.

Marcii Conroy nie posadzono obok Marka. Zajmowała miejsce trochę dalej przy stole sir Peregrine'a obok Douglasa Fairbanka. Mimo że pan Fairbanks usiłował być od samego początku duszą towarzystwa i zabawiał wszystkich wesołymi opowieściami, Marcia wyglądała na zirytowaną obrotem sprawy i co chwilę zerknęła ku Markowi, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

— Widziałem pani fotografie w prasie — powiedział Mark do Catriony, kiedy pojawili się

stewardzi z zupą żółwiową.

Catriona wbrew sobie zaczerwieniła się.

— A więc zna pan już, przynajmniej z fotografii, Królową Atlantyku — powiedziała.

— Tak — odparł. — Prawdę powiedziawszy, fotografie niewiele mówią. Nie spodziewałem się osoby tak urokliwej jak pani.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Skąd mogłem wiedzieć, że Stanley Keys miał aż tak piękną córkę?

— Po co te komplementy? Czy ma pan jakiś ukryty cel?

— Oczywiście, że mam. Inaczej byłoby to stratą czasu.

— A więc o co panu chodzi?

— Musi pani zgadnąć — odparł Mark z uśmiechem.

W tym momencie Catriona po raz kolejny zerknęła na Marcie.

— Pańska przyjaciółka już od dłuższego czasu stara się przyciągnąć pana uwagę —

powiedziała. — Czy nie sądzi pan, że należałoby jej odpowiedzieć przynajmniej jakimś życzliwym skinieniem?

— Och, tak, oczywiście — odparł Mark i spojrzawszy na Marcie, wskazał palcem na jej pusty talerz do zupy. Mar — cia powiedziała coś, ale Mark przyłożył dłoń do ucha i tylko poruszając ustami, powiedział: „Nie słyszę cię. Porozmawiamy później”. Marcia westchnęła z irytacją i wreszcie zrezygnowała z nawiązania kontaktu z nim.

— Czy to jest pańska sekretarka? — zapytała Catriona.

— Marcia? Och, nie, skądże. Marcia to moja nemesis.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że pewnego dnia, czy będzie tego chciała czy nie, Marcia weźmie do ręki klucz do całej mojej przyszłości.

— Naprawdę pan w to wierzy? — zapytała Catriona z uśmiechem.

Mark przez chwilę udawał, że się namyśla.

— Być może. Uważam, że każdy z nas ma swoją nemesis. Bywa, że jest to osoba, ale zdarza się też, że jest nią rzecz. „Titanic” miał na przykład nemesis w postaci góry lodowej.

— Nie powinien był pan tego mówić — stwierdziła Catriona. Nagle zadrżała i mimowolnie popatrzyła na sir Peregrine'a, żeby się uspokoić. Uznała, że statkowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, skoro kapitan ze spokojem zajada zupę z żółwia.

— Chyba się pani nie boi? — zapytał Mark. — Myśli pani, że coś takiego może się przydarzyć „Arcadii”? Czy jest pani przesądna?

— Tak — odparła Catriona spokojnie. — Czy spotkał pan kiedykolwiek dziewczynę, która nie byłaby przesądna?

Mark przyłożył dłoń do czoła i przytrzymał ją tak przez dłuższy czas, udając, że się zastanawia. Wreszcie się odezwał:

— Ma pani rację. Nie spotkałem.

— Ależ to panu zabrało czasu. Czyżby naprawdę znał pan aż tak wiele dziewcząt?

— Oczywiście. Jestem przecież bogaty, przystojny... Młode i piękne dziewczęta wprost uwielbiają moje towarzystwo.

— Jest pan również zarozumiały.

Mark roześmiał się głośno i w tym momencie Marcia znów popatrzyła w jego kierunku i napotkała jego spojrzenie. Momentalnie przybrał bardzo poważny wyraz twarzy.

— Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi, panie Beeney. — Edgar Deacon skorzystał z okazji, aby włączyć się do rozmowy.

— Och, oczywiście — odparł Mark. — „Arcadia” to piękny statek, bez dwóch zdań. W

gruncie rzeczy, panno Keys, bardzo pani zazdrozczę tego statku. Bardzo chciałbym, aby należał on do mnie.

— „Arcadia” nie jest na sprzedaż — oświadczyła Catriona. Ujrzała, jak Mark i Edgar wymieniają niezadowolone spojrzenia; natychmiast zorientowała się, że strzeliła gafę. Zdołała jednak się uśmiechnąć.

Orkiestra zaczęła grać wiedeńskie walce, a stewardzi zebrali ze stołów puste talerze po zupie, robiąc miejsce dla nowych potraw.

— Bardzo lubię jazdę konną, polowania, żeglowanie, szachy, jazdę na nartach i piękne dziewczęta — powiedział Mark do Catriony. — A jakie są pani ulubione przyjemności?

— Gustuję w doświadczeniach mistycznych.

— Co to takiego? — zapytał Mark ze zdziwieniem.

— Na przykład zakochiwanie się. Miewanie proroczych snów. Albo obserwowanie wschodu słońca.

— Kiedy po raz ostatni miała pani tego typu doświadczenie?

— Zdaje się, że obserwowałam wschód słońca dzisiaj rano. Poza tym miałam dziwny sen, kiedy zmarł mój ojciec.

— Co to był za sen? Co pani w nim widziała?

Catriona odłożyła sztucce.

— Widziałam siebie. To znaczy prawdziwą siebie, taką, jaka naprawdę jestem. To, co w sobie nieświadomie ukrywam. Gdy odszedł mój ojciec, nagle zrozumiałam, że wcale się tak bardzo od niego nie różnię. Dlatego jestem teraz tutaj, a nie w Londynie.

— Czyżby rzeczywiście miała pani zamiar brać aktywny udział w funkcjonowaniu Keys Shipping?

— A dlaczego nie?

— Przewozy morskie to w dzisiejszych czasach bardzo trudny i ryzykowny interes.

— Zawsze tak było.

— Tak, oczywiście — zgodził się Mark. — Ale przecież jest pani śliczną dziewczyną, jeszcze całe życie przed panią. Dlaczego miałyby je pani już teraz marnować na wysiadywanie w jakichś biurach albo na długich i nudnych naradach?

— A dlaczego pan się na to zdecydował?

— Ze mną to inna sprawa. Jestem mężczyzną. Oprócz tego jestem aż o dziesięć lat starszy od pani.

Catriona popatrzyła na Marka. Podobał się jej. Był przystojny, bogaty, elokwentny i czuła, że jeśli jej zapragnie, nie będzie opierać mu się zbyt długo.

— Mam po lunchu zaplanowaną wycieczkę po „Arcadii” — powiedziała po chwili namysłu.

— Może zechciałby pan wraz ze swoją nemesis przyłączyć się do mnie?

— Z przyjemnością — odparł Mark Beeney. — Obawiam się jednak, że moja nemesis nie będzie mogła uczestniczyć w tej wyprawie. Ma zaplanowane spotkanie w salonie piękności.

Na drugie danie stewardzi zaserwowali kurczaka w potrawce z ryżem, a na deser podawali maliny w kremie śmietankowym i krakersy. Podczas deseru przy kapitańskim stole pojawił się Monty Willowby. Ucałował dłoń Catriony i uklonił się tym pasażerom, których zdążył już poznać. Douglas Fairbanks klepnął go w plecy, płatnik jednak nie uznał tego za dobry żart.

— Czy zjadła pani z apetytem? — zapytał Catrionę.

— To był doskonały lunch, bardzo panu dziękuję, panie Willowby — odparła dziewczyna.

— Miło mi to słyszeć, panno Keys. Myślę, iż następne będą jeszcze lepsze.

Mark postanowił dołączyć do pochwał Catriony.

— To była prawdziwa uczta, panie Willowby — powiedział. — Marzę o tym, aby posiłki na moich statkach były chociaż w połowie tak dobre.

— Jest pan zbyt uprzejmy — odparł Monty Willowby głosem sugerującym, że nie interesują go pochwały Marka.

— Musiał pan kupić dużo jedzenia na tę podróż — zauważyła Catriona.

Willowby ochoczo pokiwał głową i z widocznym zadowoleniem zaczął wyliczać:

— Na samą tylko dziewiczą podróż „Arcadii” dostarczono na pokład pięćset funtów wędzonego łososia, pół tony świeżych szparagów, dwieście pięćdziesiąt funtów truskawek, a także dwieście pięćdziesiąt funtów najlepszego kawioru. Mamy na statku osiemnaście różnych gatunków francuskiego szampana i sześćdziesiąt jeden rodzajów win. Wieziemy też cygara w trzydziestu gatunkach i szesnaście różnych rodzajów piw. Gdyby jacyś pasażerowie mieli specjalne życzenia, mamy także pełne lodówki zamrożonej dziczyzny, bekasy, przepiórki, kaczki i zające.

— Nie będziemy więc głodowali — stwierdził Mark ze wzrokiem utkwionym w oczach Catriony.

— Z całą pewnością nie — potaknął Monty Willowby, usatysfakcjonowany. — Przypomnę jeszcze państwu, że herbatę podajemy o czwartej, a obiad o ósmej wieczorem. Kolację serwujemy w sali wypoczynkowej pierwszej klasy o godzinie jedenastej. Śniadanie można spożywać już od piątej trzydzieści nad ranem. Oczywiście, o każdej porze dnia i nocy, jeżeli ktokolwiek poczuje głód, może wezwać stewarda, który natychmiast przygotowuje odpowiedni poczęstunek. Dobrego jedzenia nigdy za wiele, prawda?

Mark popatrzył wymownie na wielki brzuch Willowby’ego.

— Nie — przyznał. — Bez wątpienia ma pan rację.

Pół godziny po lunchu Catriona wyszła na pokład spacerowy pierwszej klasy w białym letnim płaszczu i równie białym kapelusiku. Mark Beeney rozmawiał właśnie z Marcją Conroy. Kiedy ją zobaczył, uniósł w geście pozdrowienia słomkowy kapelusz. Catriona uśmiechnęła się pod nosem, kiedy napotkała pełne furii spojrzenie Marcii. Podeszła do balustrady i popatrzyła siedemdziesiąt stóp w dół na zielonkawą powierzchnię Morza Irlandzkiego.

Dochodziła druga po południu. Za godzinę jej ojciec zostanie złożony w krypcie kościoła św.

Krzysztofa w Formby. Smutek i żal, które w miarę zbliżania się tej chwili coraz bardziej ogarniały Catrionę, nie miały kresu, podobnie jak największe głębiny oceanu. Żywiła słabą nadzieję, że ojciec tam, gdzie się znalazł, jest szczęśliwy. I miała nadzieję, że rozumie, jak bardzo go kochała.

Podszedł do niej Edgar Deacon, ubrany w białe spodnie i błękitną koszulkę morską w czerwone pasy. Oparł swe chude, porośnięte ciemnymi włosami ramiona o barierkę obok Catriony i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w morze.

— Chyba przypadliście sobie z Markiem Beeneyem do gustu — powiedział wreszcie.

— A dlaczego nie?

— Nie mam nic przeciwko temu, wręcz się cieszę, że go polubiłaś. Nie zapominaj jednak, że należy on do konkurencji. Ani o tym, że bardzo pragnie stać się właścicielem tego statku.

— Czy to takie straszne?

— Moja droga, Mark Beeney nie dba o nic poza swoimi interesami. Z radością powitałby bankructwo Keys Shipping, gdyby to oznaczało, że „Arcadia” stanie się jego własnością. To człowiek bez skrupułów.

— Ale przecież jest bardzo miły. Polubiłam go.

— Oczywiście, że go polubiłaś. Niech cię jednak nie zmylą jego gładkie maniery i uroda. To nie jest taki sobie pierwszy lepszy amerykański biznesmen. To jeden z najbogatszych ludzi na tym kontynencie.

Edgar odwrócił się i tym razem oparł się o barierkę plecami. Patrzył na Marka Beeneya i Marcie Conroy spacerujących po pokładzie.

— Ten człowiek ma mentalność arabskiego szejka. Jeżeli coś mu się podoba, musi to mieć, a cena i okoliczności nabycia nie grają najmniejszej roli — dodał.

Catriona bez słowa wpatrywała się w morską wodę. Nad „Arcadią” unosiły się mewy. W

absolutnej ciszy, co kilka chwil jedna z nich opadała na wodę i wyławiała rybę, która miała nieszczęście znaleźć się w pobliżu wielkich śrub statku. „Arcadia” powoli wyłaniała się zza osłony, którą dawało jej północne wybrzeże Walii, i na pokładzie można było odczuć coraz silniejsze odświeżające podmuchy południowo-zachodniego wiatru. Catriona wyżej podniosła kołnierz płaszcza.

— American TransAtlantic należąca do Marka Beeneya — kontynuował Edgar — to obecnie czwarta kompania żeglugowa na świecie, jeżeli pod uwagę weźmiemy możliwości przewozu i towarów, i ludzi. Jego statki zarabiają, oczywiście, duże pieniądze, brak mu jednak czegoś wielkiego, wspaniałego statku, który przyniósłby mu sławę na cały świat. Zyska taki, jeżeli kupi

„Arcadię”, a przy okazji przesunie swoją kompanię na trzecie miejsce w rankingu.

— Czyżby rozmawiał o tym z panem?

Edgar wyprostował się i odruchowo poprawił czapeczkę na głowie.

— Od wielu miesięcy już dawał nam do zrozumienia, że chce kupić „Arcadię”. Swe oferty przedstawiał zarówno mnie, jak i twojemu ojcu.

— A ostatnio? Zauważyłam przy stole, że wymieniliście spojrzenia, jakbyście co najmniej byli sekretnymi kochankami.

— Telefonował do mnie, zanim wyruszyliśmy z Liverpoolu.

— Czy złożył ofertę?

Edgar potrząsnął przecząco głową.

— Chciał jedynie wiedzieć, czy jesteśmy zainteresowani sprzedażą „Arcadii”, to wszystko.

Takie nie zobowiązujące pytanie. Wątpię, czy gdyby doszło do konkretnej oferty, zapłaciliby więcej niż trzy miliony funtów.

— I co pan o tym sądzi?

— Nie sądzę nic więcej ponad to, co ci powiedziałem w ubiegłym tygodniu. Właściwie jesteśmy bankrutami i każda oferta, która pozwoliłaby nam spłacić długi, powinna być przez nas wnikliwie rozważona. Z wielkim bólem myślę o chwili, w której flota Keysów przestanie należeć do rodziny. Jak dotąd jednak nie widzę rozsądnej alternatywy. Trzy miliony Marka Beeneya pozwoliłyby nam przetrwać, ale, niestety, na zawsze utracilibyśmy „Arcadię”.

— I dlatego nie wolno mi prowadzić beztróskich rozmów z Markiem Beeneyem? — zapytała Catriona zdziwiona.

— Posłuchaj mnie tylko — powiedział Edgar z westchnieniem. — Mark Beeney jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną i z tego względu dla twojego własnego dobra, dla dobra nas wszystkich, dla dobra całej rzeszy rodzin z Liverpoolu, powinnaś trzymać go na jak największy dystans.

Catriona zmierzyła Edgara chłodnym spojrzeniem.

— Chyba nie jest pan zazdrosny? — zapytała. Edgar uśmiechnął się niepewnie.

— Po prostu wciąż staram się pełnić swoje obowiązki tak, jak życzyłby sobie twój ojciec.

Przez chwilę oboje milczeli. Ciszę przerwało dopiero pojawienie się Marka Beeneya.

— Dochodzi wpół do trzeciej — zauważył. — Urocza Marcia udała się właśnie do salonu piękności, aby przygotować się na wieczorne uroczystości. Zdaje się, że jesteśmy umówieni na zwiedzanie statku.

— Oczywiście — potwierdziła Catriona, ujmując go pod ramię. — Nadchodzi właśnie pan Philips, nasz przewodnik. Niestety, będziemy musieli pana opuścić, panie Deacon.

— Proszę się mną nie krępować. To pani statek — powiedział Edgar.

Rudyard Philips był zadziwiająco różowy na twarzy, jakby przed chwilą przydarzyło mu się coś niemiłego albo zaskakującego. Otóż zaledwie przed dziesięcioma minutami mademoiselle Narron, opuszczając jadalnię, wzięła go za rękę i w jakimś ciemnym zakątku, celowo albo przypadkiem, wsunęła swoje szerokie udo pomiędzy jego nogi. Oszło miła go ta chwila, a jednocześnie czuł się zdezorientowany, gdyż usłyszał pośpieszne „przepraszam pana”.

Mademoiselle z czerwoną twarzą zaczęła tłumaczyć mu, że to nagłe zakolysanie się statku sprawiło, iż straciła równowagę. Umówili się jednak na następne spotkanie.

— Pan Beeney odbędzie tę wycieczkę z nami — oznajmiła Catriona, gdy Rudyard Philips podszedł do niej i zasalutował.

— Będzie mi bardzo miło — odparł oficer i potrząsnął dłonią Marka. Nie zwlekając ani chwili, zaprosił ich na zapowiadaną wyprawę po „Arcadii”.

Edgar Deacon patrzył za całą trójką, jak powoli schodzą po schodach przeznaczonych dla pasażerów pierwszej klasy. W jego oczach czaił się niepokój, którego nie potrafił ukryć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Brakowało pół godziny do pojawienia się na linii horyzontu zarysu brzegów Irlandii, gdy Harry Pakenow siadł na zatłoczonej ławce na zadaszonym pokładzie C i próbował napisać list do Janice. Notatka, którą pozostawił jej na kuchennym stole w Bootle, była tak lakoniczna, że wręcz okrutna. Wiedział jednak, że gdyby napisał o swoich prawdziwych uczuciach wobec niej, byłoby mu co najmniej pięć razy trudniej odejść. Podczas gdy „Arcadia” wypłynęła z Zatoki Liverpoolskiej i brzegi Anglii coraz bardziej pogrążyły się w lekkiej mgłę, Harry zaczynał

rozumieć, jak bardzo kochał Janice i jak bardzo będzie za nią tęsknił. Łzy lśniły w jego oczach, a gardło miał tak ściśnięte przez żal i ból, iż z trudem przełykał ślinę.

Teraz próbował napisać do Janice o tym, co przez cały czas do niej czuł, było to jednak trudniejsze, niż przypuszczał. Proste „kocham cię” nie wystarczało przecież. Chciał na piśmie wyrazić wdzięczność za wszystkie jej głupiutki i zabawne żarciki, za dziecinne pocałunki, za każdy talerz czarnego puddingu i bekonu, jaki mu przygotowała. Chciał napisać, jak wspaniale się czuł podczas spacerów po wybrukowanych kocimi łbami uliczkach Bootle w dżdżyste niedzielne poranki. Chciał wspomnieć o wieczorze, gdy w sypialni naga tańczyła charlestona z podskakującymi drobnymi piersiami, tanim naszyjnikiem kołyszającym się przy każdym jej ruchu i tupiąc bosymi stopami o tani, wypłowiały dywan.

Zwyczajna, typowo angielska Janice Bignor. Przecież Anglia zatłoczona była takimi dziewczynami jak ona. A jednak, mimo swej przeciętności, Janice wydawała mu się piękniejsza, wspanialsza niż wszystkie kobiety, które do tej pory spotkał na swojej drodze. Harry ciężko westchnął. W wytartej tweedowej marynarce, w spodniach, których nogawki wsunięte były w skarpety, w wymiętej czapce, i Harry miał wygląd typowego pasażera trzeciej klasy. Jak każdy z nich, zapłacił czterdzieści funtów

za bilet na trasie Liverpool — Nowy Jork — Liverpool, chociaż opłata za powrót była jedynie częścią jego alibi. Dzielił również kabinę jeszcze z pięcioma innymi pasażerami i miał prawo do dwóch czystych ręczników dziennie oraz korzystania z łazienki tej klasy o każdej porze dnia i nocy. Oczywiście, jedzenie w trzeciej klasie było o wiele gorsze niż w pierwszej i drugiej, jednak na śniadanie podawano piętnaście różnych dań do wyboru, w tym owsiankę, siekaną wątróbkę drobiową i wędzone śledzie.

Nagle Harry wstał i wcisnął kartki swego nie dokończonego listu do kieszeni marynarki. Miał zamiar pójść na drinka, gdy ujrzał, niczym we śnie, drobniutką figurę dziewczynki w różowej sukience, przechylającej się przez barierkę pokładu pierwszej klasy, dokładnie ponad nim.

Popatrzawszy na deski pokładu, zrozumiał, co jest powodem jej zainteresowania. Kilka kroków od niego leżała porcelanowa lalka o jasnych włosach.

Harry podniósł lalkę i zawołał do dziewczynki:

— Zaraz ci ją przyniosę!

Szybko wszedł do nadbudówki i schodami wyłożonymi linoleum zaczął wspinać się w kierunku pomieszczeń dla pasażerów drugiej klasy. W połowie drogi na schodach siedział jakiś grubas palący fajkę i zaczytany w *My Golfing Life*, książce napisanej przez królową golfa, Glennę Collett. Nie odrywając wzroku od książki, grubas wstał i przepuścił Harry'ego. Już miał

przejsć do pomieszczeń drugiej klasy, gdy niespodziewanie osadził go w miejscu głos drobnego stewarda o sumiastych wusach:

— Przepraszam pana, ale nie może pan iść dalej. To jest druga klasa. — Steward blokował mu przejście.

Harry pokazał lalkę.

— Jakaś dziewczynka upuściła tę zabawkę z pokładu pierwszej klasy. Idę jedynie po to, aby ją oddać.

— Bardzo mi przykro, ale nie może pan tu przebywać. Proszę przekazać tę lalkę mnie, a dopilnuję, by została zwrócona właścicielce.

Harry obliznął wargi. Poczuł, że serce bije mu szybciej; tego samego uczucia doznał ostatnio w chwili, gdy ładował dynamit do bagażnika samochodu Marka Beeneya. Podobnie czuł się cztery lata temu, gdy wóz konny załadowany środkami wybuchowymi eksplodował na rogu Wall Street.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, zwrócę tę lalkę osobiście — powiedział. — Nie zostanę tam ani sekundy dłużej.

— Nie ma mowy. Chyba nie sądzisz, człowieku, że ci ludzie na górze płacą po dwa tysiące funtów za podróż, żeby się stykać z takimi obdartusami jak ty.

Rozwścieczony Harry złapał stewarda za kłapy służbowego, beżowego surduta i potrząsnął nim.

— Do cholery, co ty sobie myślisz? — zawołał. — Uważasz, że jesteś lepszy ode mnie, bo usługujesz w drugiej klasie? Tak sądzisz?

— Puszczaj! — pisnął steward przerażony. Machnął ręką — niczym wiatrak i uderzył Harrego w ramię; obaj jednak byli zbyt podekscytowani i przerażeni, aby uczynić sobie jakąkolwiek krzywdę. Szarpali się i pokrzykiwali na siebie, gdy niespodziewanie pojawił się Monty Willowby. Trzymał za rękę małą dziewczynkę w różowej sukience.

— Jakaś sprzeczka, panowie? — zapytał.

Steward oderwał się od Harry'ego i poprawił krawat. Harry, wciąż wściekły i ciężko oddychający, oparł się o ścianę. W dłoni ciągle ścisnął lalkę.

— Ten wariat próbował wdrzeć się do drugiej klasy — wysapał steward. — Szaleniec!

Chciał mnie pobić.

— Być może na to zasłużyłeś — powiedział Willowby bez troski, po czym zwrócił się do Harry'ego: — Chyba zdaje pan sobie sprawę, że bilet trzeciej klasy nie upoważnia pana do przechodzenia na te obszary statku, które zastrzeżone są dla pasażerów drugiej i pierwszej klasy.

Zgadza się?

— Zamierzałem jedynie oddać lalkę tej dziewczynce — odparł Harry złowrogim głosem. —

Nic więcej. I protestuję przeciwko traktowaniu mnie jak bydło tylko dlatego, że zapłaciłem za bilet czterdzieści funtów, a nie dwa tysiące.

— Przepisy, drogi człowieku, są przepisami. I mimo że potrafię zrozumieć motywy, które panem kierowały, muszę jednocześnie powiedzieć, że będę rygorystycznie przestrzegał, aby przepisów na tym statku nie naruszano. Keys Shipping dąży do tego, aby wszyscy pasażerowie, i ci i pierwszej, i ci z trzeciej klasy, byli zadowoleni z naszych usług. Jest więc w interesie i naszym, i pasażerów, aby wszyscy korzystali jedynie z tych przywilejów, które im się leżą.

Harry zacisnął pięści, gotów się kłócić dalej, ale sprzeczka nagle się urwała, gdyż dziewczynka pociągnęła płatnika za rękaw i wskazała na lalkę.

— To jest Margaret! — zawołała. — On ma Margaret!

— Rzeczywiście — potaknął Willowby i wyciągnął rękę. — Oto urocza Margaret, która o mały włos wpadłaby do morza. Niech ją pan odda. Dziewczynka jest panu bardzo wdzięczna.

Harry cofnął się jednak za linię oddzielającą trzecią klasę od drugiej i zrobił gest nakazujący

dziewczynce, aby sama odebrała od niego lalkę. Willowby wahał się przez chwilę, po czym puścił ją, pozwalając zbliżyć się do Hardego.

Była drobna i delikatna, o krótko ściętych włosach i brązowych oczach, niemal zbyt dużych w owalnej, ładnej twarzyczce. Miała nie więcej niż dziesięć lat, ale sprawiała na mężczyznach wrażenie, że ma już pojęcie o tym, czego dziewczynka w jej wieku wiedzieć jeszcze nie powinna. Jej szyję ozdobił trzyczęstwy perłowy naszyjnik, w uszach lśniły perłowe kolczyki, a paznokcie miała pomalowane. Jej różowe aksamitne pantofelki kosztowały zapewne więcej, niż Harry zarabiał w ciągu trzech miesięcy.

— Margaret uderzyła się w głowę, kiedy spadła — powiedział delikatnym głosem. — Myślę, że powinnaś pójść z nią do lekarza pokładowego, aby założył jej opatrunek.

Dziewczynka wzięła od niego lalkę i przycisnęła ją mocno do piersi.

— Dziękuję panu za uratowanie jej — powiedziała poważnym tonem. Miała silny akcent z Teksasu. — Poproszę pana Halla, żeby pana wynagrodził.

— Wynagrodził? — powtórzył Harry z uśmiechem. — Nie chcę żadnej nagrody.

— A więc być może postawię panu drinka — stwierdziła dziewczynka.

— Tego też nie musisz robić — powiedział Harry. — Jestem wystarczająco szczęśliwy, że Margaret jest znów z tobą. Powiedz, jak ci na imię?

— Niech pan powie pierwszy.

— Nie, ty powiedz swoje pierwsza. Pamiętaj, że to ja tobie wyświadczyłem przysługę.

— Hmm, ma pan rację, zgoda. Jestem Lucille Theodora Foster.

Harry delikatnie uścisnął jej rękę. — Cieszę się, że cię poznałem. A ja nazywam się Harold Janeck Pakenow. Czy mieszkasz w Teksasie?

Lucille ze smutkiem pokiwała głową.

— Moim ojcem był Winthrop Foster Trzeci. A mamą Gala Jones.

Harry zaniemówił. Jeżeli jego rozstanie z Janice było tragedią, to ta mała dziewczynka przeżyła jakby kataklizm. W maju wydarzenie to znajdowało się na pierwszych stronach wszystkich gazet, a niektóre brukowce powracały do niego w sensacyjnych artykułach jeszcze teraz.

— Przykro mi, Lucille, z powodu nieszczęścia, które cię spotkało.

Winthrop Foster Trzeci był jednym z najbogatszych magnatów naftowych w Stanach Zjednoczonych. Jego fortunę porównywano do pieniędzy Rockefellerów czy Mellonów. W 1923

roku posłał swoją piękną żonę Galę Jones, była gwiazdę Broadwayu, razem z ich córką Lucille, na osiemnaście miesięcy do Europy. Gala miała odwiedzić Londyn, Paryż, Wiedeń i Rzym, kupować stroje, biżuterię i antyki, które pasowałyby do domów Fosterów w Houston, Chicago i Nowym Jorku.

W maju jednak Winthrop Foster postanowił niespodziewanie oderwać się na kilka tygodni od interesów i pozostawiwszy je w rękach swych współpracowników, wyjechał do Europy, aby spędzić z żoną i córką krótkie wakacje. Popłynął incognito „Mauretanią”, chcąc sprawić im niespodziankę. Niespodzianka była większa, niż ktokolwiek mógł oczekiwać: gdy otworzył

drzwi apartamentu Gali w paryskim Ritzu, ujrzał ją kopulującą na dywanie ze sławnym włoskim kierowcą wyścigowym Giorgio Manciano.

Manciano wybiegł z Ritza w samych tylko białych majtkach, natomiast Winthrop Foster, po krótkiej sprzeczce, sprawiał wrażenie człowieka, który wybaczył żonie zdradę. Nie uderzył jej, niczego nie wypominał i przez trzy następane dni wspólnie i zgodnie zwiedzali Paryż, jakby nic złego się nie stało.

Jednak czwartego dnia, pozostawiwszy Lucille w hotelu, Winthrop zabrał Galę na przejażdżkę wielkim hispano–suizem w wiśniowym kolorze, samochodem, który pożyczył od króla Portugalii Manuela. I prowadząc to właśnie auto, z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę wjechał w granitową podstawę pomnika Emile’a Decize’a, podrzędnego francuskiego polityka, który wsławił się wynalezieniem nie dającego się wprowadzić w życie systemu podatkowego.

Zderzenie z pomnikiem było tak potężne, że Gala zginęła na miejscu z obciętą głową, a Winthrop Foster skonał po kilkunastu minutach z powodu krwotoku wewnętrznego.

I oto stała przed Harrym dziesięcioletnia zaledwie Lucille, ofiara niewierności małżeńskiej, podróżująca do Stanów po to, by oddać się pod opiekę prawników i krewnych. Dziewczynka, wychowana w atmosferze oszałamiającego luksusu, dziecko, dla którego codziennością był

raczej zapach drogich perfum i skórzanych obić w samochodach niż smak słodkich i tanich cukierków.

Harry położył dłoń na jej ramieniu, mimo że zdawał sobie sprawę, iż Monty Willowby coraz bardziej się niecierpliwi. Jedyne wyraźne przepisy kompanii, nakazujące mu jak najdalej idącą cierpliwość i grzeczność wobec pasażerów, sprawiały, że nie przerwał jeszcze rozmowy Hardego z dziewczynką.

— Czytałem o twoich rodzicach — powiedział Harry. — Chyba bardzo za nimi tęsknisz.

— Pani Hall powiedziała, że takie było ich przeznaczenie.

— Przeznaczenie? Naprawdę tak powiedziała? Czy wiesz, co to znaczy?

— Oczywiście — odparła Lucille, ale zaraz niepewnie zmarszczyła czoło.

— Przeznaczenie — powiedział Harry łagodnie — oznacza, że coś musi się wydarzyć, czy tego chcemy, czy też nie. Coś ci jednak powiem. Ludzie są w stanie zmienić swoje przeznaczenie. Ja tego

dokonałem, kiedy byłem w twoim wieku. W przeciwieństwie do ciebie byłem wówczas bardzo biedny. Moja matka z trudem zarabiała na jedzenie dla mnie i mojego rodzeństwa. Jednak kiedy osiągnąłem wiek, w jakim ty jesteś teraz, postanowiłem sobie, że nigdy nie będę żył w takiej biedzie jak moja matka.

— Ale wciąż jesteś biedny, prawda? — zapytała Lucille niewinnym głosem. — Przecież podróżujesz trzecią klasą. Tato mówił, że trzecią klasą podróżuje bydło.

Harry otarł twarz dłonią.

— No, już dosyć tej rozmowy, panno Foster — odezwał się Willowby, lecz Harry ścisnął dziewczynkę za ramię, nie pozwalając jej odejść.

— Widzisz, pieniądze to nie wszystko — powiedział. — To nie pieniądze czynią człowieka biednym lub bogatym, szczęśliwym lub nieszczęśliwym. Jestem bardziej szczęśliwy, niż był twój ojciec, wiesz? A to dlatego, że wiem, kim jestem, wiem, jaką jestem osobą, i wiem, jaka będzie moja przyszłość. Twój tata i twoja mama kontrolowali wszystko oprócz siebie samych i to ich właśnie zgubiło.

— Dość tego — powiedział Willowby. Nie usiłował już być grzeczny. Wziął Lucille za rękę i odciągnął ją od Harry'ego, który wyprostował się i zrobił kilka kroków w kierunku dziewczynki, ale drogę znów zagroził mu steward.

— Pamiętaj! — krzyknął Harry. — Sama musisz dobrze poznać siebie i sama decydować o swoim życiu. Nie pozwól nikomu, aby robił to za ciebie. Tak samo Margaret.

— Margaret? — zdziwiła się Lucille.

— Jasne — odparł Harry. — Obie, i ty, i Margaret, musicie same decydować o wszystkich sprawach, które was dotyczą. I... posłuchaj, jeżeli będziesz jeszcze chciała ze mną porozmawiać, po prostu przechyl się przez barierkę i gwizdnij.

— Dosyć — warknął steward i odepchnął go. Harry zaś, ciągle uśmiechnięty, uderzył go z całej siły pięścią w brzuch. Steward zgiął się wpół, pobladł i przez kilkanaście sekund nie mógł złapać oddechu.

— Nigdy więcej mnie nie popychaj — powiedział Harry i powoli wrócił na pokład trzeciej klasy. Nie miał pojęcia, dlaczego od pierwszej chwili polubił Lucille. W końcu była dzieckiem wstrętnych bogaczy, które bez żenady powtarzało za ojcem, że pasażerowie trzeciej klasy to nic innego jak bydło. Ale przecież to nie jej wina, że ma taką pozycję społeczną i nie potrafi się inaczej zachować. Harry przypuszczał, że w jej wieku byłby taki sam, gdyby wychowywał się w luksusowych hotelach najbardziej eleganckich miast Europy, gdyby ani przez chwilę nie musiał

się martwić o pieniądze.

Być może to z powodu owej tragedii natychmiast polubił Lucille? A być może dlatego, że gdy stanął twarzą w twarz z nieszczęsnym dzieckiem, po raz pierwszy przyszło mu do głowy coś, o czym nie pomyślał nigdy dotąd: że bogacze są również ludźmi.

Gdy tak opierał się o barierkę i rozmyślał, podeszła do niego dziewczyna w kapeluszu i krótkiej niebieskiej spódniczce. Pomiędzy palcami trzymała nie zapalonego papierosa. Bez słowa Harry wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek i przypalił go nieznajomej, osłaniając dłońmi płomień przed wiatrem.

— Mam na imię Philly — powiedziała dziewczyna, wydmuchując dym. Była ładna, ale według Harry'ego zbyt wymalowana. Popołudniowy wiatr unosił silny zapach tanich perfum, którymi się obficie skropiła.

— Philly z Philly? — zapytał i mimo woli się uśmiechnął.

— Philomena z University of Minnesota — odparła. — Wracam właśnie do kraju po pięćdziesięciopięciodniowym pobycie w Europie.

— Miło mi cię poznać, Philly — powiedział Harry. — I czego się tam nauczyłaś?

— Nauczyłam się, jak bardzo samotni są Europejczycy.

— A czy nie sądzisz, że takie nagłe podejście do obcego mężczyzny i poproszenie go o ogień też jest objawem samotności?

Philly zamrugła oczyma.

— My, Amerykanie, nigdy nie jesteśmy samotni. Przecież jesteś Amerykaninem, prawda?

— Przy okazji, na imię mi Harry.

— Chyba zmęczyli mnie już ci Europejczycy — stwierdziła Philly. Rozmawiała, nie wyciągając papierosa z ust. — Zresztą obie jesteśmy nimi zmęczone.

— Obie? — powtórzył Harry.

— Tak, mam na myśli moją przyjaciółkę, Lydię. Jest teraz w kabinie, leczy się. Ona i morze to dwa przeciwieństwa, nigdy nie potrafią się porozumieć.

— Biedna Lydia.

— Może się przespacerujemy? — zaproponowała. Harry wzruszył ramionami i ujął ją za rękę.

— Będzie mi bardzo miło — powiedział. — W którą stronę wyruszymy? W lewo czy w prawo?

— W lewo — postanowiła Philly. Po chwili przycisnęła się do Hardego i zachichotała. —

Wiesz, przypomniał mi się pewien dowcip. — Otóż pewna dziewczyna zapytała przyjaciela:

„Czy uważasz, że mam długie nogi?” On odparł na to: „Tak, ale tylko wtedy, kiedy trzymasz je razem”.

Kiedy po raz trzeci okrążali pokład, Harry spojrział w górę i ujrzał Lucille. Miał wrażenie, że usiłuje wyszukać go wzrokiem wśród tłumów, które kłębiły się na pokładzie trzeciej klasy. Gdy go wreszcie dojrzała, dyskretnie pokiwał jej ręką. Odpowiedziała mu tym samym.

— Do kogo machałeś? — zapytała Philly.

— Do znajomej — odparł Harry i uściśnął jej dłoń.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy zwiedzili kuchnię, w której w najlepsze trwały gorączkowe i hałaśliwe przygotowania do wieczornego bankietu, Rudyard Philips poprowadził ich do rzęście oświetlonej galerii handlowej. Wskazał im butiki firmy Van Cleef and Arpels, których wystawy skrzyły się diamentami i rubinami, a także sklepiki Zoroastery, w których portfele ze skóry jaszczurek i aligatorów leżały obok wysadzanych klejnotami eleganckich torebek wieczorowych. Pokazał też sklepiki Alciatore, gdzie z kolei sprzedawano szaleńczo drogie ozdoby i ręcznie wykańczane upominki: pozytywki, zegary, pudełka na biżuterię i inne przedmioty.

— Galeria ma dwieście dziesięć stóp długości — poinformował Catrionę i Marka. — Można tu kupić dosłownie wszystko, od pasty do zębów aż do rancza w Montanie.

— Mimo wszystko dziękuję — powiedział Mark. — Mam już ranczo w Montanie. Pastę do zębów także.

Rudyard Philips zbył tę odpowiedź uśmiechem i zamilkł. Jakby nie był dziś sobą, z trudem tylko skupiał uwagę na obowiązkach. Spotkanie z mademoiselle Narron zupełnie go rozkojarzyło. Wciąż tęsknił za Toy, tyle wiedział. Jednak z każdą upływającą chwilą śpiewaczka zajmowała coraz więcej miejsca w jego umyśle, nie potrafił odpędzić od siebie jej widoku, ogromnej, potężnej Walkirii, z jeszcze potężniejszą piersią na wierzchu. To wspomnienie podniecało go do granic wytrzymałości. Poczł pożądanie tak wielkie jak jeszcze nigdy w życiu i nie potrafił chociaż na kilka chwil o nim zapomnieć.

Catriona była smutna. Bez zainteresowania słuchała monsieur Vincenta, jak opowiadał o tajnikach swej kuchni. Wciąż nie doszła do siebie po wczorajszym przyjęciu, a poza tym z każdą chwilą coraz silniej docierała do niej świadomość, że wkrótce pochowany zostanie jej ojciec.

Rozczarowywał ją też Mark Beeney. Był wysoki, doskonale zbudowany, inteligentny...

Jednakże podczas całej wycieczki bardziej interesował się „Arcadią” niż Catrioną. Bez przerwy o coś się dopytywał, a wszelkich udzielanych mu wyjaśnień słuchał z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

Stanąwszy przed oknem wystawowym Van Cleef and Arpels, Catrioną dyskretnie ziewnęła, częściowo ze zmęczenia, częściowo ze zirykowania. Zegar na ścianie wskazywał za trzy minuty trzecią.

Bez zaciekawienia przyglądała się diamentowym i rubinowym naszyjnikom, gdy nagle dotarło do niej, że Mark Beeney stoi w milczeniu, a Rudyard Philips pozostał kilka kroków dalej i z uwagą przypatruje się czubkom swoich butów.

— Dochodzi trzecia — powiedział Mark łagodnie. Podniosła głowę i popatrzyła na niego. W jej oczach lśniły łzy.

— No i co z tego? — zapytała.

— Wiem doskonale, co wydarzy się dzisiaj o godzinie trzeciej w Formby — odparł. — Wiem też, że trudno w takiej chwili spacerować beztrosko po statku i udawać, że nic się nie dzieje.

— Nie będę płakała, jeżeli to ma pan na myśli.

— Dlaczego nie? Ja płakałem, kiedy składano w grobie mego ojca.

— Być może napłakałam się już dosyć.

Kłamała, oczywiście, gdyż w miarę jak duża wskazówka zbliżała się do rzymskiej dwunastki, po jej policzkach płynęły coraz obfitsze i większe krople łez.

— Panno Catriono Keys — powiedział Mark Beeney i wyciągnął ku niej ramiona.

Przez chwilę jeszcze stała bez ruchu, próbując być silna, w końcu jednak nie wytrzymała. Nie mogła opanować łez ani chęci rzucenia się w objęcia Marka i przytulenia się do niego. Łkała głośno, rozpaczliwie, a łzy wsiąkały w jego marynarkę. Mark milczał, przyciskając ją jedną ręką do siebie, a drugą głaskając po głowie.

— Powinnam teraz tam być — szlochała Catrioną. — Powinnam teraz być w Formby na pogrzebie, a nie tutaj.

— On nie chciałby tego — wyszeptał Mark. — Gdyby wiedział, że musisz wybierać, jestem pewien, że podpowiedziałby ci, abyś popłynęła tym statkiem.

Catriona oderwała się od Marka.

— Byłam wobec niego taka okrutna, taka zła, że aż wstyd o tym mówić.

— Ja też byłem taki wobec mojego ojca. Ale to wcale nie oznacza, że go nie kochałem. I on wiedział, że kocham go z całego serca, tak jak twój ojciec wiedział to samo o tobie. Chyba nie myślisz, że był na tyle głupi, by nie zdawać sobie sprawy z twojej miłości?

Podszedł do nich Rudyard Philips i zapytał grzecznym tonem:

— Czy wszystko w porządku, panno Keys?

— Tak, dziękuję. Jestem po prostu trochę rozkojarzona, to wszystko.

— Możemy dokończyć zwiedzanie jutro, jeśli pani sobie tego zażyczy.

Catriona nieświadomie uściśnęła dłoń Marka. — Nie, dziękuję, panie Philips, kontynuujmy.

Jestem pewna, że pan Beeney też tego chce.

— A może przerwiemy na kilka minut i poprawisz sobie makijaż? — zasugerował Mark. —

Zdaje się, że toalety są doskonale wyposażone. Poczekamy z panem Philipsem.

Catriona potaknęła i weszła do najbliższej toalety dla pań, pachnącej i jasno oświetlonej.

Natychmiast otrzymała czysty ręcznik i stanęła przed lustrem. Półki pełne były buteleczek francuskiej wody kolońskiej, perfum, grzebieni, szczotek do włosów i wielu innych przedmiotów potrzebnych na co dzień kobietom. Podsunąwszy sobie różowy taborecik, Catriona usiadła i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

— Och, ojcie — wyszeptała.

Niespodziewanie do toalety wbiegły dwie roześmiane dziewczyny. Ubrane były w eleganckie kostiumy od Diora, a w dłoniach trzymały zapalone papierosy, osadzone w niezwykle długich lufkach. Jedna z nich weszła do kabiny, a druga usiadła obok Catriony i zaczęła poprawiać makijaż.

— Cholera, jeszcze się nie zdecydowałam! — zawołała dziewczyna z kabiny. — Nie wiem, czy wolę tego ciemnowłosego z wąsem czy tego muskularnego rudzielca.

— Mnie się podoba ten, który się jąka — odpowiedziała druga. — Nie sądzisz, że jękanie dodaje mu uroku?

Gdy Catriona wyszła z toalety, Mark Beeney czekał na nią z rękami w kieszeniach i wyrazem zadowolenia na twarzy. Rudyard Philips, stojący kilka kroków od niego, sprawiał wrażenie, jakby był chory.

— Czy z nim wszystko w porządku? — zapytała Catriona, kiedy ruszyli na dalszy obchód statku.

— Nie mam pojęcia — odparł Mark. — Zadałem mu to samo pytanie i odpowiedział mi, że nic mu nie jest. Może cierpi dlatego, że musi oprowadzać nas po tym statku, a nie może strzelać oczyma za ładnymi dziewczętami. Jak patrzę na tych twoich oficerów, nie mam wątpliwości, iż wszyscy znajdują partnerki do łóżka, zanim przybijemy do Dublina.

— Może i ja pójdę z jednym z nich — powiedziała Catriona z rozbawieniem.

— Nie sądzę.

— A to dlaczego?

— Czytałem, że jesteś z jakimś aktorem. Nie widzę go jednak na pokładzie.

— Bo go tu nie ma. Nazywa się Nigel Myers i musiał zostać w Londynie. Gra w *Daydreams of 1924*.

— Widziałem to. Całkiem dobra rzecz. Tęsknisz za tym Nigelem?

— Tak. Trochę. Smutno mi bez niego.

— Może mógłbym cię rozweselić? — zapytał Mark. — Może potrafię dać ci trochę radości po śmierci ojca, rozstaniu z Nigelem...

Wydobył z kieszeni lśniący diamentowy naszyjnik, który zaledwie przed kilkoma minutami Catriona oglądała w oknie wystawowym butiku Van Cleef and Arpels. Błyszczał tak jasnym blaskiem na dłoni Marka, że Catrionie trudno było uwierzyć, iż jest to realny przedmiot. W

czterech łańcuszkach dwudziestoczerokaratowego złota osadzono kilkadziesiąt jednokaratowych diamentów, a oprócz tego na środku znajdowało się dwanaście diamentów trzykaratowych i jeden wielki, czerwony rubin.

— Kupiłeś to? — zapytała Catriona z niedowierzaniem.

— Przecież nie ukradłem. To dla ciebie. Z wyrazami uznania od mojej kompanii żeglugowej dla twojej, a w hołdzie dla twojej urody. Catriono, jesteś piękną kobietą.

— Jesteś szalony — powiedziała Catriona. Czuła się zarówno ponizona, jak i oczarowana.

Czy ten Mark Beeney naprawdę uważa, że kupi ją sobie za trzydzieści pięć tysięcy dolarów?

Następnym prezentem będzie pewnie rolls-royce, aby mógł się z nią kochać na tylnym siedzeniu!

— Nie podoba ci się? — zdziwił się Mark.

— Naszyjnik jest przepiękny. Czego jednak oczekujesz w zamian?

Mark przypatrywał się jej zaskoczony przez sekundę lub dwie, po czym wybuchnął gwałtownym śmiechem.

— Czyżbyś przypuszczała, że próbuję cię uwieść? — zawołał. — Czyżbyś sądziła, iż jestem tak niedelikatny, że spodziewam się, iż wylądujesz u mnie w łóżku tylko dlatego, że kupiłem ci diamentowy naszyjnik? Przecież to absurd. W końcu kosztował on tylko trzydzieści pięć tysięcy.

— Rzeczywiście, to zmienia postać rzeczy — stwierdziła Catriona. W jej głosie brzmiała złość i

mimo że nie puszczała ramienia Marka, dawała mu odczuć ogarniającą ją wściekłość.

Niespodziewanie Mark zatrzymał się, a wraz z nim Catriona. Rudyard Philips jeszcze przez kilka sekund szedł przed nimi, dopóki nie zorientował się, że jest sam. W końcu przystanął i odwrócił się; czekając na nich, udawał, iż zainteresowany jest oknem wystawowym kwiaciarni.

— Nie rozumiem, dlaczego się tak na mnie wściekasz — powiedział Mark do Catriony. —

Podarowałem ci prezent i nie chcę, abyś się doszukiwała w tym jakichś podtekstów. Nie mogę sprawić, by odżył twój ojciec, ale mogę podarować ci coś cennego, żeby poprawić twój nastrój.

Nic lepszego nie umiem wymyślić.

Jego głos brzmiał tak szczerze, a jego spojrzenie było takie otwarte, że Catriona poczuła się głupio i niepewnie. Mark był w końcu bajecznie bogatym człowiekiem, a naszyjnik za trzydzieści pięć tysięcy mógł sobie dopisać do kosztów kompanii, tym bardziej że podarował go ważnej osobie z konkurencyjnej firmy. Być może naprawdę nie robił tego po to, by ją wziąć do łóżka.

Ale ta myśl bardziej niż inne zdenerwowała Catrionę, bo przecież Mark powinien tak się zachowywać, jakby jej pragnął. Mógł być sobie szejkiem wszystkich mórz, ale nie miał prawa ignorować jej urody.

— Zapaliłabym papierosa — powiedziała.

— Proszę bardzo. — Mark otworzył złotą papierośnicę, a potem z zaciekawieniem patrzył na swoje towarzyszkę, gdy wypuszczała nosem kłęby dymu.

— Czy przyjmiesz ten naszyjnik? — zapytał. — Zrobisz mi wielką przyjemność, jeżeli tak postąpisz.

— Jesteś bardzo przebiegły, Mark, mimo że na takiego nie wyglądasz.

— Przebiegły? Jestem najbardziej prostolinijnym człowiekiem na świecie.

Niespodziewanie Catriona wyjęła naszyjnik z jego ręki.

— Wygrałeś — powiedziała. — Wezmę go. — Po chwili milczenia dorzuciła łagodnym tonem: — I bardzo ci za niego dziękuję. Naprawdę, jesteś dla mnie zbyt miły.

— Czy zasługuję na pocałunek? — zapytał Mark. Wspiąwszy się na palce, Catriona delikatnie musnęła wargami jego usta, tak delikatnie, że prawie nie poczuł tego pocałunku. A jednak jej bliskość, zapach perfum i delikatny nacisk jej piersi na jego klatkę piersiową, wystarczyły. Gdy chciała się odsunąć, lekko chwycił ją za rękę i zapytał cicho:

— Czy wolno mi będzie również zapiąć ten klejnot na twojej szyi?

Catriona kiwnęła głową na znak zgody i odwróciła się plecami do Marka, który wyciągnął

ręce i zapiął naszyjnik. Przez chwilę, odrobinę zbyt długo, trzymał dłonie na ramionach Catriony.

Następnie pochylił się i pocałował jej szyję. Przez dziewczynę przepłynęła fala gorąca, jednak nawet się nie poruszyła. Za żadne skarby świata nie chciała, aby Mark się zorientował, jaką przyjemność sprawił jej tym pocałunkiem.

— Może byśmy już ruszyli? — zapytał Rudyard Philips, zbliżywszy się do nich. — Jesteśmy troszeczkę opóźnieni, a musimy jeszcze odwiedzić mostek.

— Jasne — zgodził się Mark. — Ruszajmy.

Catriona popatrzyła na niego z ciepłym uśmiechem, jednocześnie dotykając lśniącego naszyjnika.

— Panie Philips, czytał pan może w „Illustrated London News” artykuł o możliwości pokonywania Atlantyku w wielkich aeroplanach? — zapytał Mark, gdy znów rozpoczęli wędrówkę po statku.

— Czyżby uważał pan, że coś takiego jest możliwe?

— Oczywiście — odparł Mark. — Wystarczy zbudować samolot, który zabierze tyle paliwa, by przelecieć od wybrzeża do wybrzeża i sprawa jest załatwiona. Przecież aeroplanami przewozi się już pocztę, a z tego, co słyszałem, również drogą powietrzną szmuglowany jest alkohol z Kanady do Stanów. Pewien facet z Los Angeles przewozi nawet aeroplanem skłócone pary do Reno, gdzie błyskawicznie można otrzymać rozwód. Skoro to wszystko jest możliwe, dlaczego miałyby być nieprawdopodobny przelot większej liczby ludzi z Londynu do Nowego Jorku?

Gdy dotarli do mostku, Rudyard rzucił pytanie: — Uważa pan, że znalazłby się głupiec, który włożyłby pieniądze w takie przedsięwzięcie? Mark uśmiechnął się.

— Nie wiem. Ja w każdym razie nie ryzykowałbym. Uważam za niemożliwe wmówienie najbogatszym pasażerom naszych liniowców, że Atlantyck można przekraczać, nie biorąc ze sobą dziesiątków kufrów albo nie kąpiąc się po drodze w marmurowych wannach, do których woda wpada poprzez połączane krany.

Tego popołudnia na mostku był sir Peregrine. Siedział wygodnie rozparty w wielkim fotelu, który Stanley Keys polecił ustawić tutaj na jego prośbę; miał kłopoty z rwą kulszową i ten fotel był mu niezbędny. Chwilowy odpoczynek na siedząco dawał mu wytchnienie.

Na stoliku obok fotela stał talerz z kanapkami i wielka szklanka wody sodowej. Gdy Rudyard Philips wprowadził na mostek Catrionę i Marka, sir Peregrine powstał i zaszalutował. Jego mina świadczyła, że niezbyt chętnie widzi gości na mostku, mimo to ucałował dłoń Catriony i ukłonił

się sztywno Markowi.

— Mam nadzieję, że podoba się państwu mój statek — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — „Arcadia” to elegancka dama, prawda?

— Jest piękna — przytaknął Mark.

— Przed nami Irlandia — kontynuował sir Peregrine, ruchem głowy wskazując zarysy lądu przed statkiem. — O piątej rzucimy kotwicę w Zatoce Dublińskiej i pozostaniemy tam do ósmej.

Zabierzemy pocztę i kilku dygnitarzy. Nie chciałem tego, ale trudno. Jestem jedynie kapitanem tego liniowca i muszę robić to, co każe mi pracodawca.

Dick Charles, stojący przy sterze, odwrócił się i popatrzył na sir Peregrine'a z wyrazem takiego potępienia na twarzy, że Catriona z trudem tylko pohamowała śmiech.

— Irlandia to dziwne miejsce — narzekał sir Peregrine. — Poza tym Irlandczykom nie można ufać, są fałszywi.

Catriona tymczasem popatrzyła na zegary kontrolne „Arcadii”.

— Co to takiego? — zapytała niespodziewanie Dicka Charlesa, wskazując na jeden z nich.

Dick zaczerwienił się i zaczął stękać:

— To jest na... na... nasz wskaźz... nik prędkości wia... wiatru. Pokazuje dokładnie p...

p... p...

Zapadła cisza. Sir Peregrine nie zamierzał pomóc swemu czwartemu oficerowi, gdy ten tymczasem otwierał i zamykał usta, i wpatrywał się w Catrionę wzrokiem tak żalnym, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

— ...prędkość wiatru — dokończył zupełnie niespodziewanie.

— Jak szybko teraz płyniemy? — zapytała dziewczyna sir Peregrine'a, chcąc odwrócić uwagę wszystkich od zmieszanego Dicka Charlesa.

— Aktualnie nasza szybkość wynosi trzynaście i pół węzła — odparł kapitan. — Jednak zaraz zaczniemy zwalniać. Nie zamierzam przeciąć Irlandii na pół.

— Jak szybko będziemy musieli płynąć, aby pobić rekord prędkości?

Sir Peregrine chrząknął i odwrócił się. Nie wypadało mu się przyznawać, że będzie próbował

zdobyć na „Arcadii” Błękitną Wstęgę Atlantyku. Instrukcje miał jasne: powinien płynąć tak szybko, jak to tylko jest możliwe, zachowując pełne bezpieczeństwo statku i pasażerów. A jeżeli, przy odrobinie szczęścia, uda mu się zdobyć Błękitną Wstęgę, to bardzo dobrze. Kapitanowie jednak nigdy oficjalnie nie przymierzali się do bicia rekordów, a zwłaszcza kapitanowie brytyjscy. Ujawnienie takich ambicji środowisko zawsze przyjmowało z niesmakiem.

Mark Beeney wybawił sir Peregrine'a z kłopotu.

— Od 1907 roku rekord należy do „Mauretanii” — powiedział cicho do Catriony. — Może ona

płynąć z prędkością dochodzącą do dwudziestu siedmiu węzłów, co oznacza mniej więcej sześćset pięćdziesiąt mil na dobę. To są właśnie wielkości, które „Arcadia” musiałaby prześcignąć. Oczywiście, byłoby to wspaniałym wyczynem i nie tylko powodem do dumy.

Natychmiast wzrosłaby sprzedaż biletów, a statek osiągnąłby większą wartość rynkową.

— Uważam, że jesteśmy w stanie pobić rekord „Mauretanii” — powiedział Rudyard Philips chłodnym tonem. — Mamy turbiny parowe najnowszej generacji o łącznej mocy ponad osiemdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Jeżeli Bóg i pogoda pozwolą, w Nowym Jorku będziemy świętować zdobycie Błękitnej Wstęgi.

— Lepiej nie kuś losu — powiedział sir Peregrine ponuro. — Co będzie, to będzie, zobaczymy.

— Dziękuję panom za wyjaśnienia — odezwała się Catriona i spojrzała na Rudyarda Philipsa, dając mu znak, że wizytę na mostku uważa za skończoną.

— Zapraszam więc teraz do maszynowni — powiedział pierwszy oficer. Nerwowo popatrzył

na zegarek i pomyślał, że ta przechadzka nie ma końca. Pragnął jak najszybciej udać się do kajuty mademoiselle Narron, aby koić jej ból i żal. A właściwie... to on sam potrzebował

ukojenia i zrozumienia. Musiał porozmawiać ze śpiewaczką w cztery oczy. Być może ta rozmowa pomogłaby mu zrozumieć, co się dzieje w jego sercu.

— Czy będzie pani przeszkadzało, jeżeli zapalę papierosa? — zapytał Catrionę, gdy wsiedli do windy, która miała ich zawieźć na pokład G poniżej linii wodnej „Arcadii”.

— Nie. Proszę się nie krępować.

— Przy okazji — odezwał się Rudyard — jesteśmy w jednej z dziesięciu wind elektrycznych znajdujących się na pokładzie „Arcadii”. Każda z nich ma inaczej zaprojektowane wnętrza, zależnie od tego, dokąd jeździ. Jak pani widzi, tutaj otaczają nas kompasy. Natomiast ściany windy, która wozi pasażerów na basen, udekorowane są syrenami i morskimi falami.

— Jeszcze nie widziałam łego basenu — stwierdziła Catriona.

Rudyard Philips znów popatrzył na zegarek, bardziej ze względu na siebie niż dziewczynę.

— Jeśli jest pani zainteresowana, basen będzie otwarty wyłącznie dla dam o godzinie piątej —

powiedział. Po chwili dodał niespodziewanie: — Proszę wybaczyć, ale ma pani bardzo piękny naszyjnik.

Mark Beeney uśmiechnął się.

— Wszystkie kobiety uwielbiają diamenty — powiedział. — Niech pan je podaruje ukochanej kobiecie, a będzie uwielbiała pana do śmierci.

Rudyard wzruszył ramionami bez przekonania. Nawet gdyby mnie było stać na diamenty, pomyślał, komu bym je ofiarował? Może Toy, która leży teraz w moim małżeńskim łóżu z

„wujkiem Laurence’em”, zadowolona, że wreszcie sobie pojechałem? A może mademoiselle Narron, której gorące i twarde udo tak mnie podnieciło? Pierwsi oficerowie zarabiali w Keys Shipping tylko jednego funta dziennie, a za owego funta i tak nie mogli pozwolić sobie na nic z kolekcji Van Cleef and Arpels.

— Czy dobrze się pan czuje, panie Philips? — zapytała Catriona. — Bardzo pan pobladł.

Winda zatrzymała się i było tu już wyraźnie słychać odgłosy wydawane przez pracujące silniki „Arcadii”. W powietrzu unosił się zapach smarów i para wodna.

— Nic mi nie jest, dziękuję — odparł głosem bez wyrazu. — Ruszajmy.

Wyszedł z windy i rozpoczął marsz korytarzem, którego ściany pokryte były kremową farbą.

Catriona i Mark chcieli pójść w jego ślady, lecz wychodząc z windy, zderzyli się w wąskich drzwiach. Cofnęli się, popatrzeni po sobie, jeszcze raz spróbowali wyjść i ponownie się zderzyli.

A potem nastąpiło to po raz trzeci i do Catriony dotarło, że nie jest to przypadek. Mark objął ją, pochylił głowę i uważnie spojrzawszy jej w oczy, przybliżył swe usta do jej ust.

— To jest szalone... — Tylko tyle zdołała powiedzieć Catriona, zanim Mark przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie i zaczął całować, początkowo zaledwie muskając jej wargi, a potem napierając na nie coraz zachłanniej. Catriona nie broniła się, nagle bowiem ogarnęła ją błogość i spokój. Drzwi windy zamknęły się akurat w chwili, gdy Rudyard Philips się odwracał, aby zobaczyć, dlaczego ani Catriona, ani Mark nie idą za nim; a potem już, przy akompaniamencie cichego szumu elektrycznego silnika, płynęli do góry, samotni w niedużej, jasno oświetlonej kabinie.

— Mój Boże — westchnęła Catriona, wysunawszy się po długiej chwili z ramion Marka. On stał i uśmiechał się nieznacznie, zupełnie nie zbity z tropu. Na ustach miał ślady szminki.

— Wiesz co? — odezwał się. — Jesteś najdelikatniejszą, najładniej pachnącą i najbardziej kobiecą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Czy wiesz, co mi zrobiłaś?

Catriona obronnym ruchem założyła ręce na piersi. Poczwała pod cienkim jedwabnym materiałem swe sutki, twarde jak guziki.

— Nie obchodzi mnie, co ci zrobiłam — powiedziała. Drzwi otworzyły się i ich oczom ukazało się dwoje pasażerów zamierzających wsiąść do windy.

— Przepraszam państwa — powiedział Mark niewinnym głosem i wyprowadził Catrionę do salonu. Dochodziła pora herbaty i wszyscy kierowali się już do Grand Lounge. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki granej przez zespół jazzowy.

— Czy wypijemy razem herbatę? — zapytał Mark. Catriona pokręciła przecząco głową.

— Idź i odbierz swoją dziewczynę z salonu piękności — odparła. — Ja mam ochotę trochę popływać. Mark uklonił się jej.

— Było mi bardzo miło.

Catriona mimo woli się uśmiechnęła.

— Tak to zazwyczaj jest — zauważyła. — I dziękuję ci za naszyjnik. Jest przepiękny.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

„Arcadia” rzuciła kotwicę w południowej części Zatoki Dublińskiej dwadzieścia pięć minut wcześniej, niż przewidywano. Całą Zatokę zapełniały najprzeróżniejsze łodzie, łódki i stateczki, wiwatujące na cześć „Arcadii” całą mocą swych gwizdków, syren, a od czasu do czasu rozlegały się nawet huk wystrzałów w powietrze. Wielki liniowiec był o całe trzysta stóp za długi, aby wpłynąć bezpośrednio do dublińskiego portu, toteż całą pocztę oraz wszystkich pasażerów trzeba było dostarczyć na jego pokład kutrem. W niczym to jednak nie osłabiło aplauzu Irlandczyków wobec statku — kolosa, jakiego jeszcze nie widział świat.

Sir Peregrine najchętniej w ogóle ominąłby Irlandię, jednak wpłynięcie do Zatoki nakazywała elementarna grzeczność oraz prosty fakt, że Keys Shipping była winna Eire Credit Bank kwotę przekraczającą czterysta tysięcy funtów. Większa część stali, z której zbudowany był kadłub

„Arcadii”, została zakupiona za irlandzkie pieniądze; w zamian statek miał regularnie wpływać do Dublina lub Queenstown na trasie do Nowego Jorku i w rejsach powrotnych.

Dick Charles stał przy rampie na pokładzie, oczekując, aż kuter Keys Shipping podpłynie do

„Arcadii”. Już od kilkunastu minut na powitanie irlandzkich pasażerów wyległa na pokład orkiestra dęta, która grała *When Irish Eyes Are Smiling*. Na niebie unosiły się szare cumulusy, a daleko na horyzoncie powstała, niczym w bajce, przepiękna tęcza. Nad samą wodą unosiła się delikatna mgiełka.

W rodzinie Dicka nie było żadnych tradycji związanych z morzem i czasami on sam się dziwił, że został oficerem na liniowcu oceanicznym. Wychowywał się co prawda w Deal, leżącym w południowej części wybrzeża w hrabstwie Kent, ale jego ojciec prowadził sklep kolonialny, jego starszy brat wybrał zaś zawodową służbę w armii.

Dick był samotnikiem, częściowo z własnego wyboru, a częściowo z powodu trudności, jakie napotykał w kontaktach ze swymi rówieśnikami; ich przyczyną było, rzecz jasna, jego nieustające jękanie się. Do służby na morzu namówił go pewien stary żebrak, krążący wokół

sklepu ojca, bez przerwy śmierzący uryną i piwem. Jak opowiadał, utracił trzech synów, którzy zaginęli w 1909 roku razem z brytyjskim parowcem „Warath”. Ów statek wyruszył z trzystoma ludźmi na pokładzie w podróż z Sydney do Londynu i nikt nigdy już go nie widział. Być może Dick przypominał żebrakowi jednego z zaginionych synów. Dla Dicka nie miało to znaczenia.

On wiedział jedynie, że za żadne skarby świata nie będzie pracował w sklepie. Napisał więc któregoś dnia do Cunarda, White Star i Keys, z pytaniem, co musi zrobić, by zostać oficerem na statku.

Lubił rejsy atlantyckie, gdyż mimo wady wymowy miał towarzyską naturę i zawsze cieszył go widok ładnych dziewcząt, nawet jeśli piły zbyt dużo szampana, albo bogatych i pewnych siebie biznesmenów. Wielki liniowiec był dwutysięcznym miastem zamieszkiwanym przez niemal zupełnie obcych sobie ludzi, tańczących, pijących, romansujących i przez cztery i pół dnia opowiadających sobie wręcz niesamowite kłamstwa. Było to jednak miasto, które Dickowi Charlesowi wyjątkowo się podobało, gdyż tutaj szanowano go i poważano. A trzeba wspomnieć, że nie był erotomanem jak większość oficerów, którzy przed każdym rejssem w pełnym składzie wylęgali na pokład, by witac wsiadających pasażerów i przede wszystkim by wypatrywać co ładniejsze dziewczyny.

Również podczas tego rejsu na pokładzie znalazło się wiele ładnych i rozrywkowych dziewcząt. Na przykład dwadzieścia sześć studentek z Luizjany powracających z wycieczki do Włoch; połowa spośród nich wciąż wspominała romantyczne chwile w ramionach niezapomnianych Włochów z Neapolu, a druga połowa miała zamiar przeżyć podobne przygody na pokładzie „Arcadii”, i to właściwie obojętne z jakim mężczyzną. Były gotowe do pływów na długo, zanim „Arcadia” opuściła brytyjskie wody terytorialne. Statkiem płynęła też grupa taneczna z Yonkers powracająca z tournée po Europie oraz całe setki kobiet o olśniewającej urodzie, strzelających oczami na prawo i na lewo, marzących o romantycznej miłości podczas podróży największym statkiem pasażerskim narwiecie.

Jedna z takich kobiet już od kilku godzin wodziła oczyma za Dickiem. Miała mniej więcej czterdzieści lat, ale wciąż była piękna. Nosila zieloną sukienkę i jej ruchy nie pozostawiały wątpliwości, że bardzo by chciała spędzić kilka chwil we dwoje z jakimś miłym i przystojnym mężczyzną. Kiedy Dick po raz pierwszy popatrzył w jej kierunku, kobieta uśmiechnęła się i dała mu wskazującym palcem znak, aby do niej podszedł. Dick zaczerwienił się i skinieniem głowy przekazał jej, że zrozumiał sygnał i porozmawia z nią, kiedy będzie wolny.

Ralph Peel, drugi oficer, przystanął za Dickiem i dyskretnie chrząknął.

— Ho, ho! — zawołał. — Chyba nie będziesz się nudził podczas tego rejsu.

— Czy j... ją... ją... znasz?

— Oczywiście, że ją znam. Ty też powinieneś ją rozpoznać, jeśli czytujesz gazety.

— Kto to taki?

Ralph Peel nie śpieszył się z odpowiedzią. Był niskim, trochę zbyt tłustym mężczyzną o twarzy, na której zawsze widniały ślady zarostu, i brwiach tak czarnych i gęstych, że sprawiały wrażenie, jakby namalowano je ołówkiem. Dumny był ze swego gęstego owłosienia na klatce piersiowej, plecach i nogach; nagi, bardzo przypominał małpę. Pochodził z Portsmouth w hrabstwie Hampshire.

— Ta dama — powiedział po chwili milczenia — to lady Diana FitzPerry.

— Ta...ta...ta właśśś...śśśnie lady...dy Diana FitzP...P...

— Ta sama — odparł Ralph Peel. — Ta sama, o której mówi się, że ujeżdża ją pół Izby Lordów, podczas gdy jej mąż buduje w Sudanie linie kolejowe dla derwiszy.

— A...a...ale o...ona ski...kinęła...ła na mnie. — Zgadza się. Uważaj Dick, jak taka baba cię dostanie, wyssie z ciebie wszystkie soki, zanim dotrzemy do Ameryki. — O, kur... kurczę — jęknął Dick. Ralph trącił go łokciem.

— Czym się martwisz? — zapytał z udawanym zdziwieniem. — Kobietka nie jest już pierwszej młodości, ale za to jakie doświadczenie! Jeżeli tylko połowa tego, co się o niej mówi, jest prawdą...

— Boże — westchnął Dick. — Jes...jes...jesteś ab...absolutnie niepo...niepo...niepo...

— Niepoważny? — Niepo...

— Nieporównywalny? — Niepo...

— Niepowabny?

— Niepoprawny! — wydusił Dick wreszcie.

Kątem oka spojrzął na Lady FitzPerry; wciąż patrzyła w jego kierunku i się uśmiechała. —

Chy...chyba bo...bo...boli mnie głowa — jęknął. Ralph Peel klepnął go z całej siły w plecy.

— Nie bój się — powiedział. — Dasz sobie radę.

— A t...ty już so...sobie ja...ja...jakaśśś upatrzyłeś? — Jasne, szczerze mówiąc, podoba mi się kilka z nich.

Mam ochotę na którąś z Amerykanek z jakiegoś ich tam uniwersytetu. Jedna z nich szczególnie wpadła mi w oko. Blondynka, o doskonałej figurze, mówię ci, palce lizać.

W tym momencie podszedł do nich sir Peregrine. Popatrzył na kuter, który już niemal dobijał do burty „Arcadii”, i zapytał swoich oficerów:

— Jak myślicie, czy mogę pójść teraz do swojej kajuty i trochę odpocząć?

Jakakolwiek odpowiedź byłaby nietaktem. Sir Peregrine nie spodziewał się jej zresztą i po prostu zniknął. Tymczasem na pokład zaczęli wchodzić nowi pasażerowie. Okazało się, że jest ich tylko pięciu: Denis O’Hara z Eire Credit Bank wraz z żoną; Colleen Sullivan, irlandzka piosenkarka, która miała zagrać w *Abie’s Irish Rose* na Broadwayu; amerykański golfista, Jack Andrews oraz bardzo wysoki mężczyzna o mięsistych wargach, w wieku około pięćdziesięciu lat, w kapeluszu z szerokim rondem i w letnim płaszczu. Nie było o nim nic wiadomo poza tym, że mówi z nowojorskim

akcentem.

Pod nieobecność sir Peregrine'a nowo przybyłych powitał Monty Willowby i życząc im miłej podróży na tym malutkim (ha, ha!) statku, od razu poprowadził ich do przydzielonych im kajut.

Nikt nie zauważył i nie powitał szóstego pasażera, który wszedł na statek. Był to przystojny mężczyzna w średnim wieku, o kasztanowych włosach, troszeczkę zbyt długich, niż dyktowała moda w 1924 roku. Na pokład kutra dostał się jako jeden z dziennikarzy towarzyszących panu O'Hara z portu w Dublinie. Faktycznie, miał przy sobie notes, a w Irlandii wówczas wystarczało to, aby z powodzeniem uchodzić za dziennikarza. Jednak kiedy kuter odbił od „Arcadii”, wyruszając w drogę powrotną do portu, mężczyzny tego nie było na jego pokładzie pomiędzy dziennikarzami ani fotografami. Wciąż przebywał na pokładzie „Arcadii”.

Mężczyzna ów zamknął się w jednej z komórek na pokładzie pierwszej klasy. W komórcie było ciepło i mężczyzna bardzo szybko zaczął się straszliwie pocić. Wolał jednak się pocić, stercząc w tej ciasnej komórcie, niż powrócić do Dublina i stanąć twarzą w twarz ze sporą grupką swych wierzycieli.

Nazywał się Maurice Peace. Urodził się w Smackover w stanie Arkansas i w swym życiu był już prestidigitatorem, piosenkarzem, akrobatą, a nawet skrzypkiem. Teraz jednak był przede wszystkim hazardzistą, i to grywającym wyłącznie duże stawki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Podczas gdy Denisa O'Hare i jego żonę witano na pokładzie, Catriona samotnie pływała w podgrzewanym basenie „Arcadii”. Było tu cicho i spokojnie. Słysząc było jedynie plusk wody odbijającej się o kafelki i odległe echo orkiestry dętej. Pomieszczenie to przypominało sanktuarium z wystrzelającymi ku sufitowi marmurowymi filarami i palmami w donicach, stojącymi pod ścianami, a także kolorową mozaiką kafelków, po których stąpali pływacy.

Umieszczony w rogu niklowany bar oferował szampana i świeże soki owocowe tym, którzy już skończyli pływać oraz wszystkim tym, którzy zamiast moczyć się, woleli poparadować trochę w drogich francuskich kostiumach kąpielowych. Nadal obnażenie górnych części ud wiązało się z dużym ryzykiem. Nie dalej, jak przed dwoma laty w Chicago policja aresztowała za obrazę moralności cały zastęp miejscowych piękności, kąpiących się w krótkich spodenkach. Po przesłuchaniach kobiety zwolniono, ukarano je jednak surowymi grzywnami.

Kostium kąpielowy Catriony miał kolor różowy, a zaprojektowała go Madeleine Vionnet w stylu, który sama określała „La Rose de L'Infante”, ponieważ krótką spódniczkę wokół bioder zdobiły hiszpańskie róże. Kostium był kombinacją skromności i nieopisanego erotyzmu: różowy jedwab przylegał do ciała Catriony niczym druga skóra. Gdy kostium był mokry, prześwitywały przez niego brodawki na piersiach dziewczyny.

Zanim udała się na basen, zapytała Edgara Deacona, czy powinna zostać na pokładzie, aby powitać państwa O'Hara, Edgar jednak odparł, że nie jest to konieczne. Nie chciał męczyć jej zbędnymi

formalnościami w rodzaju potrząsania dłonią irlandzkiego bankiera albo golfisty w zabawnych skarpetkach, albo przyszłej gwiazdy Broadwayu. Wolał zaprezentować ją od razu na bankiecie jako wspaniałą, lśniącą niespodziankę.

Był ku temu jeszcze jeden powód: nie chciał przedstawiać jej wysokiemu mężczyźnie w wieku około pięćdziesięciu lat, w długim letnim płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Chciał, aby Catriona spotkała się z nim później, w okolicznościach, gdy on, Edgar, będzie panował nad sytuacją.

Pływając, Catriona cały czas rozmyślała o Marku Beeneyu.

Zaniepokoił ją i jednocześnie zafascynował, jak zapewne fascynował swym ciepłym uśmiechem każdą dziewczynę, która na niego spojrzała. W końcu był przystojny, czarujący, a poza tym przecież każdy mężczyzna, który niespodziewanie daruje kobiecie klejnot wart tysiące dolarów, musi mieć styl i klasę; Mark Beeney posiadał to. Był interesującym i niebezpiecznym mężczyzną. Tak niebezpiecznym, że krążąc po basenie, Catriona złapała się na tym, iż myśli o nim, jakby już od dawna byli kochankami.

Niespodziewanie usłyszała odgłosy kłótni, która rozgorzała w drzwiach prowadzących na basen. Słysząc było przede wszystkim wysoki i niemalże histeryczny głos kobiety, wykrzykującej coś z obcym akcentem. Wtórował jej steward, którego zadaniem było pilnowanie, by żaden mężczyzna nie podglądał kobiet na basenie w czasie godzin przeznaczonych wyłącznie dla nich.

— Przecież to absurd! — krzychała cudzoziemka. — Ten basen jest właściwie pusty! Skoro więc zyczę sobie zabrać Sabrana na basen, to ma on ze mną wejść! Nic mnie nie obchodzi, że teraz są godziny przeznaczone wyłącznie dla kobiet. Nie zostawię Sabrana pod drzwiami!

Catriona podpłynęła do schodków w płytkiej części basenu i wyszła z wody. Alice, która do tej pory siedziała na drewnianym taborecie w części przeznaczonej dla służących, podeszła do Catriony z wielkim tureckim ręcznikiem i owinięła go wokół ramion swej pani.

— Co się dzieje? — zapytała Catriona.

— To baronówna Zawisza, panno Keys. Myślę, że właśnie chce wejść na basen razem ze swoim młodym przyjacielem.

Catriona pozwoliła Alice, by wytarła jej nogi, po czym wsunęła na stopy gumowe klapki i, wciąż owinięta w ręcznik, podeszła do drzwi. Alice szła za nią w odpowiedniej odległości, gotowa znaleźć się u boku Catriony na jej każde skinienie.

W drzwiach, w towarzystwie dwóch służących w równych uniformach, stała wysoka, najwyraźniej rozwścieczona kobieta. Ubrana była w sięgający do ziemi płaszcz kąpielowy i lekki słomkowy kapelusz. Miała typowo słowiańską twarz o alabastrowobiałej skórze i głęboko osadzone, ciemne oczy, a także czarne włosy ułożone w kok.

Obok kobiety, spokojnie paląc papierosa, stał kościsty młodzieniec, w białej, jedwabnej koszuli i szerokich drelichowych spodniach.

— Jesteś kompletnie bez wyobraźni! — krzyczała baronówna na biednego stewarda, który był

już czerwony na twarzy jak burak. — Jesteś prostakiem, który nadaje się wyłącznie do wykopywania kartofli z pola! Powtórz mu to — zwróciła się niespodziewanie do Catriony.

— On wykonuje jedynie to, co mu polecono — powiedziała Catriona spokojnie.

— Czyżby polecono mu, żeby robił ze mnie idiotkę? — zawołała baronówna.

— Kazano mu, aby nie wpuszczał na basen mężczyzn w czasie, gdy przeznaczony jest on wyłącznie dla kobiet — stwierdziła Catriona. — Chyba nie chce pani, żeby stracił pracę.

— Chcę się natychmiast widzieć z sir Peregrine'em! — zawołała baronówna dramatycznym głosem.
— Żądam tego! Żądam! Natychmiast!

— Nie widzę powodu, dla którego miałaby pani przeszkadzać kapitanowi — zauważyła Catriona. Bawiła ją ta rozmowa. — Nazywam się Catriona Keys i ten statek, jak i cała kompania żegluga, należy do mojej rodziny. W czym mogę pani pomóc?

Baronówna Zawisza zmarszczyła czoło i po chwili głęboko odetchnęła.

— No, nareszcie ktoś kompetentny — powiedziała z nie ukrywaną ulgą. — Może powiesz mi, moja droga, dlaczego żąda się ode mnie, żebym zostawiła Sabrana, niczym psa, pod drzwiami basenu. A nawet gorzej niż psa. Psa wpuszczono by na ten basen, pod warunkiem, że byłby suką!

— Proszę, niech pani wejdzie z Sabranem, jeżeli ma pani takie życzenie — powiedziała Catriona. — W tej chwili, oprócz mnie, nie ma tu nikogo, Sabran więc nie będzie przeszkadzał.

Twarz Sabrana, wyrażająca do tej pory nieopisane znużenie, ożywiła się. Catriona dotknęła dłonią ramienia stewarda i powiedziała spokojnie:

— Jeżeli pan Willowby będzie miał coś przeciwko temu, skieruj go do mnie.

— Tak, panno Keys — odparł steward. — I... dziękuję pani bardzo, panno Keys.

— No, wreszcie jest porządek — stwierdziła baronówna Zawisza. — Krysia! — zawołała do jednej ze służących. — Podaj mi czepek. Trochę popływam. Sabran, idź do baru i zamów szampana. Nienawidzę szampana — zwierzyła się Catrionie — ale ktoś, kto nie pija go pasjami, od razu staje się podejrzanym towarzyszem. Co za głupota. Moja droga, czy popływasz ze mną?

Służąca, młoda Polka o okrągłej buzi, uwolniła baronównę z płaszcza kąpielowego i nałożyła jej na głowę czepek. Pod płaszczem baronówna, równie chuda jak Sabran, miała czarny kostium kąpielowy w srebrne wzory. Gdy podchodziła do stopni basenu, Sabran, zmierzający właśnie do baru, obdarzył ją lubieżnym spojrzeniem.

Baronówna okazała się zadziwiająco dobrą pływaczką. Pływała bez przerwy przez dziesięć minut, co jakiś czas zmieniając styl.

— Dosyć już — powiedziała wreszcie, wychodząc z wody. — Ojciec zawsze mi mówił, że zbyt długi pobyt w wodzie jest szkodliwy dla organizmu.

Służąca Krysia natychmiast podała jej ręcznik, a potem luźną japońską szatę. Catriona, od dawna już sucha, zbliżyła się do niej i razem podeszły do małego, okrągłego stolika, przy którym Sabran od dłuższej chwili w milczeniu popijał szampana i gryzł orzeszki. Miał przy tym minę człowieka, który doszedł już w czekaniu na bogate kobiety do perfekcji.

— Sabran bardzo się wysiła, aby sprawić wrażenie, że nie jest moim utrzymankiem —

powiedziała baronówna Zawisza, jednocześnie nakazując ruchem ręki młodzieńcowi, aby podał

jej papierosa. — A ja zawsze mu powtarzam: „Sabranie, mój drogi, przecież to żaden dyshonor być utrzymankiem, czego się wstydzić”. Poza tym, jak chyba potrafisz zauważyć, trudno nie wyglądać na utrzymanka, skoro się nim jest i jest się zarazem chudym jak szkielet, i nosi się przy każdej okazji takie śmieszne, o wiele za duże spodnie. Sabran tymczasem zapalił papierosa i podał go baronównie.

— Nie wierzę, że jedna osoba może utrzymywać drugą — powiedziała Catriona z przekonaniem. — Finansowo może tak, ale nie emocjonalnie.

Baronówna popatrzyła na nią poprzez mgiełkę dymu ze swego papierosa.

— Chyba masz kochanka. Kochanka, z którym się niedawno rozstałaś — stwierdziła.

— Nie jestem pewna, czy rozstaliśmy się na zawsze.

— Nikt z nikim nie rozstaje się na zawsze — powiedziała baronówna — nawet po śmierci.

Tak przynajmniej twierdziła moja matka. Kiedy była bardzo młoda, jeszcze zanim poznała mojego ojca, miała kochanka o nazwisku Killinkoski pochodzącego z Finlandii. Którejś zimy wpadł do przerębli w jeziorze Mamry i utonął. Jednak do końca jej życia odwiedzał ją jako duch.

Mama mówiła mi, że kilka razy nawet się kochali.

— Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem podobnych bzdur — mruknął Sabran.

— Czy znacie się od dawna? — zaciekała się Catriona. — Nigdy jeszcze nie spotkałam kobiety, która utrzymuje mężczyznę — stwierdziła.

— To dlatego, że wciąż jeszcze jesteś bardzo młoda, gołąbeczko — odparła baronówna poważnym tonem. Popiła szampana, po czym pochyliła się ku Catrionie i głośnym szeptem powiedziała do jej ucha: — Sabran jest doskonałym kochankiem, mówię ci. Kiedy mnie...

rozumiesz, czuję się jak w niebie. Oczywiście, nigdy mu tego nie powiem, bo stałby się zbyt arogancki. Już teraz bywa czasami bardzo nieuprzejmy wobec mnie. Popatrz tylko na niego, jaką ma minę, jakby robił mi łaskę, że jest tutaj.

— Czy kochasz go? — zapytała Catriona. W normalnych warunkach, w towarzystwie, w którym Catriona obracała się w Londynie, zadanie takiego pytania, i to jeszcze w obecności kochanka, było nie do pomyślenia. Baronówna dała jej jednak do zrozumienia, że Sabran jest jej tresowanym zwierzątkiem, że robi to, co ona mu każe i gdyby spróbował się jej sprzeciwić, zawisłoby nad nim niebezpieczeństwo, że straci wszystko.

— Czy go kocham? — powtórzyła baronówna ze zdziwieniem. — Miłość, co to takiego? Ach, raz mi się coś takiego przydarzyło. Nie znoszę miłości — od tego czasu. Przeszkadza ludziom w normalnej egzystencji.

W chwili, gdy mówiła te słowa, stewardesa, stojąca za barem, upuściła szklankę. Z głośnym brzękiem szkło rozbija się w drobny mak. Catriona odruchowo odwróciła głowę, zobaczyć, co się wydarzyło, i ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzała nie tylko stewardesę, ale również i to, co odbijał, niczym zwierciadło, lśniący, nikłowy bar.

Pod niskim okrągłym stolikiem, przy którym siedzieli, Sabran niepostrzeżenie zdjął but i skarpetkę. Następnie uniósł bosą nogę i palcami, ostrożnie posuwając stopę po wewnętrznej stronie mokrego uda baronówny, starannie, powoli odsunął fragment kostiumu z łona, odsłaniając mokre, gęste włosy. W czasie gdy Catriona rozmawiała z nią, Sabran spokojnymi, regularnymi ruchami wsuwał i wysuwał z baronówny wielki palec, czemu towarzyszył cichy odgłos, niemal niesłyszalny dzięki pluszczącej wodzie. Catriona nie mogła widzieć dokładnie, co robi Sabran, ponieważ nikiel pokryty był cieniutką warstwą pary wodnej, zorientowała się jednak, że jego wielki palec co jakiś czas znika w pochwie baronówny.

Poczuła, że jej podbrzusze ogarnia miłe ciepło...

— Miłość... — odezwała się, próbując sobie przypomnieć, o czym przed chwilą rozmawiała.

— Jesteś akurat w odpowiednim wieku do miłości — powiedziała baronówna. Popiła szampana i sprawiała wrażenie, że w najmniejszym nawet stopniu nie zwraca uwagi to, co robi jej Sabran. — Myślę, że potrafiłabyś kochać. :abyś tak długo, dopóki nie rozczarowałabyś się mi

— A potem... Cóż, opowiedz mi coś o swoim ukochanym.

— Nie mam nawet pewności co do jego imienia... — zastrzegła Catriona.

— Nie wiesz, kim on jest? Taki jest tajemniczy?

— Nie... Nie wiem po prostu, który to z nich. Aha, rozumiem, zostawiłaś ukochanego na lądzie, a teraz wpadł ci w oko ktoś nowy. Nadzwyczajne! Zadasz im obu sporo bólu!

— Bólu?

— Oczywiście. Ile masz lat? Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden? Nie musisz zgrywać przede mną niewiniątka. Sprawisz im ból i będziesz z tego powodu zadowolona... Och, Sabran, delikatniej, na miłość boską!

Catriona spróbowała zignorować okrzyk bólu baronówny. Popiła szampana i spojrzała jej głęboko w oczy, szukając w nich odpowiedzi na dręczące ją pytania. Może Zawisza rzeczywiście powie jej, jak powinna postępować wobec Marka? A może odpowiedź już padła, właśnie przed chwilą, zanim pytanie zostało zadane?

— Chłopcy — powiedziała baronówna — lubią, gdy traktujemy ich jak przedmioty. Nie potrafiliby żyć bez westchnień i tęsknoty za nami, ich życie byłoby puste, gdyby nie zamartwiali się naszymi zdradami i niegodziwościami. Trzeba ich traktować jak powietrze, nie przejmować się nimi...

— Ale przecież to są ludzie!

— Ludzie! Tak, czasami bywają ludźmi. Wtedy, gdy się tego najmniej spodziewamy...

Baronówna Zawisza przymknęła na moment oczy i w tej samej chwili jej twarz poczerwieniała, pojawiły się na niej krople potu. Bez wątpienia nie zdawała sobie sprawy z niczego, co się dzieje dookoła. Nie trwało to długo, zaledwie tyle czasu, ile potrzebowałby fotograf, aby zrobić zdjęcie; stwierdziłby potem, że baronówna przeżyła głęboki orgazm, chociaż w czasie, gdy on trwał, doskonale nad sobą panowała.

— Mężczyźni — kontynuowała, otworzywszy oczy, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło — interesują się tylko trzema rzeczami: samochodami, walką i swoim własnym nasieniem. Gdy nie działają nadzwyczajne okoliczności, czyni ich to zaiste istotami wyjątkowo śmiesznymi i podatnymi na nasze wpływy.

Catriona przez długi czas milczała. Nie dlatego, że była zaskoczona albo przygnębiona, ale dlatego, że cynizm baronówny wobec mężczyzn zachwiał jej pewnością siebie. Pomyślała o swoim związku z Nigelem: pozwalała mu, by pokazywał jej, jak barwne i beztroskie może być życie, co zacierało pustkę przezierającą z ich wzajemnych stosunków. Nigel był zabawny i wiedziała, że ją kocha, być może kochał ją nadal, ale przecież ich zachowanie, gdy byli razem, nie miało w sobie nic z wielkiego romansu. Tymczasem Mark Beeney potraktował ją zupełnie inaczej niż Nigel, nie zobaczył w niej młodej dziewczyny, której w głowie tylko zabawa, lecz ujrzał kobietę zdolną do wielkich uczuć i poważnych czynów. W związku z Markiem mogła być więc mądrą kobietą, silną i niezależną, a jednocześnie czułą i kochającą.

— Tysiąc złotych za twoje myśli — powiedziała baronówna z uśmiechem.

Catriona powoli potrząsnęła głową.

— Rozmyślałam o czymś, co wydarzyło się bardzo dawno temu.

— Jak dawno?

— Przed dwu laty.

Baronówna spokojnie wstała i przeciągnęła się.

— Tak — odezwała się po dłuższej chwili. — Jeżeli przed dwu laty, to musiało to być dla ciebie

naprawdę bardzo dawno, dawno temu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

O dziewiętnastej było już zupełnie ciemno. Po niebie przewalały się grube, gęste cumulusy, a na krótko przed dziewiętnastą zerwał się wiatr pachnący deszczem. Powierzchnia Zatoki Dublińskiej wzburzyła się i najmniejsze spośród łódek, które otaczały „Arcadię”, czym prędzej popłynęły schronić się w Dun Loaghire albo jeszcze dalej na północ, w Howth Head.

— Wielkie siły natury, panie Philips — odezwał się sir Peregrine, nawet nie usiłując ukrywać irytacji. — Szlag by to trafił.

— Przecież zapowiadano chmury burzowe — powiedział u Budyard. W tej samej chwili pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły w szyby mostka.

— Zapowiadano? Zapowiadano? No i co z tego, do cholery. Czy z tej racji, że je zapowiadano, mam obowiązek je lubić?

— Nie, proszę pana — odparł Rudyard, pragnąc za wszelką cenę uniknąć otwartej sprzeczki.

Sir Peregrine wyciągnął z kieszeni zegarek i popatrzył na niego z niechęcią. Sprawiał

wrażenie, jakby zastanawiał się, czy nie wyrzucić go do morza. Na ścianie wisiał chronometr, funkcjonujący z dokładnością do jednej tysięcznej sekundy, ale sir Peregrine dowierzał

wyłącznie własnemu zegarkowi. Podarował mu go ojciec w dniu, w którym wyruszał z Harwich na swój pierwszy rejs. Była to chwila, w której widział ojca po raz ostatni i wspomnienie tej chwili to było wszystko, co pozostało mu po ojcu, którego tak kochał.

— Czy jesteśmy gotowi do drogi, panie Philips? — zapytał. — Czy wszyscy pasażerowie są na pokładzie, kotwice podniesione? Możemy uwolnić się wreszcie od tych irlandzkich chuliganów?

— Jesteśmy gotowi, żeby wyruszyć o wyznaczonej godzinie — odparł Rudyard głucho. —

Dokładnie o dwudziestej.

— Dwudziestej — warknął sir Peregrine. — A więc jeszcze przez pół godziny będziemy tutaj sterczeć, po to tylko, żeby zadowolić tych pieprzonych rudych Fenianów. Cholera, wolałbym przybijać do Semarang w samym środku pory deszczowej. Ci cholerni Jawajczycy przynajmniej nie dostają bzika na widok statku pasażerskiego.

— Tak, proszę pana. — Rudyard cierpliwie skinął głową. Mniej więcej przed godziną zapukał

do drzwi mademoiselle Narron i nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Może robiła akurat wtedy zakupy albo spacerowała, albo piła herbatę, cokolwiek jednak było przyczyną jej nieobecności w kajucie, czekało go teraz co najmniej sześć albo siedem godzin niepewności. Dopiero po służbie będzie miał czas, aby ponownie zajrzeć do mademoiselle.

Ciemność dookoła była tak nieprzenikniona, że sir Peregrine zarządził włączenie wszystkich świateł na pokładzie, łącznie z dekoracyjnymi. Ktoś na brzegu musiał wziąć to za sygnał, że

„Arcadia” właśnie odpływa, ponieważ prawie natychmiast rozległy się stamtąd krzyki, wrzaski, odgłosy wybuchów, a w szare niebo wzbily się kolorowe snopy zimnych ognii.

— Cholerni głupcy — skomentował sir Peregrine.

Na pokładzie trwały przygotowania do bankietu, który miał się rozpocząć o godzinie dwudziestej trzydzięci, w pół godziny po wyruszeniu „Arcadii” w podróż. W kajutach pierwszej klasy mężczyźni już od dłuższego czasu poddawali się zabiegom stewardów, którzy starannie nakładali im fraki, wiązali krawaty, czyścili do połysku buty. Sami tylko pasażerowie pierwszej klasy użyli do kąpieli tyle gorącej wody, że utonęłaby w niej niewielka łódź rybacka. W

powietrzu unosił się zapach perfum i wód po goleniu. Na każdym poziomie dziewięciopokładowego liniowca wyczuwało się nastrój podniecenia: niemal dwa tysiące ludzi przygotowywało się do spędzenia na morzu pierwszej nocy na pokładzie największego i najbardziej luksusowego statku pasażerskiego świata, który wkrótce miał wypłynąć na prawdziwy, otwarty ocean, porzucając ciasne wody Morza Irlandzkiego i kanału św. Jerzego.

W Grand Lounge stewardzi przygotowywali stoły, rozkładając obrusy, rozstawiając nakrycia, strojąc miejsca, gdzie najbogatsi będą wkrótce spożywać posiłek, w najpiękniejsze kwiaty. W

kuchniach panował nieopisany gwar, jednak mimo hałasu, nerwowej bieganiny i pozornego bezładu nad wszystkim doskonale czuwał i panował monsieur Vincent.

Równie intensywnie pracowała obsługa w salonach jadalnych drugiej i trzeciej klasy. W

drugiej klasie cała jadalnia udekorowana była świeżymi kwiatami z angielskich ogrodów, a do jedzenia przygotowano rosół wołowy, sałatki, lody i pieczeń wieprzową. Podczas posiłku miał

grać niewielki zespół jazzowy, a później do tańca Ted Bagley Sextet. W menu trzeciej klasy dominowały pieczone kurczaki, kotlety i, co dziwne, bożonarodzeniowe krakersy.

Podczas gdy sir Peregrine zrzędził na mostku, Catriona przygotowywała się do bankietu w swojej kajucie. Dokładnie o godzinie dziewiętnastej przyszedł do niej Trimmer z przekąską na srebrnej tacy. Nalał jej dzinu do szklaneczki, lecz alkohol Catriona odstawiła na bok, chcąc wydać polecenie Alice, żeby natychmiast go wylała.

— Nie chcę po płostu zbyt często pani przeszkadzać — Wyjaśnił Trimmer powód samodzielnego przygotowania drinka.

— Dobrze, rozumiem — odparła Catriona i zachichotała. Trimmer wprawiał ją w dobry humor.

Catriona nie mogła doczekać się początku bankietu. Tego wieczoru planowała włożyć wieczorową sukienkę ze srebrnymi koronkami, sięgającą nieco powyżej kolan. Do kompletu miała przygotowane srebrne pantofelki, duże kolczyki wysadzane perłami i diamentami oraz przepiękną opaskę na głowę

z opalami, diamentami i perłami.

Próbowała sama przed sobą udawać, że zupełnie nie zależy jej, aby tej nocy podobać się Markowi Beeneyowi. Udawała, że przygotowuje się jedynie do jak najlepszego odegrania swojej roli na tym statku w interesie rodziny i Keys Shipping Line. Im dłużej się jednak nad tym zastanawiała, tym głępsze wydawało jej się ukrywanie prawdy przed sobą. Dlaczego właściwie nie miała się przyznać, że Mark Beeney wydał się jej najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Był niesamowicie przystojny, a przy tym inteligentny, bogaty i...

wiedział, jak postępować z kobietami. Fakt, był przez to niebezpieczny, groźny, mógł też okazać się playboyem najgorszego rodzaju. I, prawda, przebywał na „Arcadii” w towarzystwie kobiety.

Ale czy to miało znaczenie? Catriona do tej pory drżała na wspomnienie jego pocałunku.

Właściwie to nienawidziła go za to zniewolenie, ale czyż nie był to doskonały punkt wyjściowy do wielkiej i wspaniałej miłości?

Pasażerowie pierwszej klasy powoli zaczęli wyłaniać się ze swych kajut i spacerować po pokładzie, od czasu do czasu zaglądając do Grand Lounge, gdy sir Peregrine otrzymał na mostku informację z dublińskiego portu, że może płynąć w dalszą drogę. Kapitanat doradzał mu, aby nie przekraczał czterech węzłów, dopóki nie odpłynie od Dun Loaghire na odległość większą niż trzy mile, gdyż na wodach przybrzeżnych wciąż znajdowało się mnóstwo małych jednostek, które tego dnia wypłynęły na powitanie transatlantyku. Kapitanat poza tym — nadając depezę alfabetem Morse'a, oczywiście — życzył „Arcadii” spokojnego morza, udanej podróży i protekcji króla mórz Neptuna. Otrzymawszy depezę, sir Peregrine zmiął kartkę w dłoni.

— Co oni sobie myślą? — warknął. — Że to jest jakaś cholerna Odyseja? Za chwilę każą nam uważać na syreny i zaopatrzyć się w bawełniane wkładki do uszu!

Rudyard Philips popatrzył na swoje odbicie w ciemnej szybie mostka. Tego wieczoru czuł się, jakby nie był sobą.

— Tak, proszę pana — powiedział. W szybie widział wyraźnie, jak poruszają się jego usta.

— Unosimy kotwice i ruszamy — zarządził sir Peregrine. — Panie Philips, powoli naprzód podczas jednej mili, a potem cała naprzód. Pokażmy tym barbarzyńcom irlandzkim, co potrafi nowoczesny liniowiec pasażerski.

— Ostrzegano nas przed małymi jednostkami...

— No i co z tego? Im szybciej odpłyniemy od tej przeklętej Irlandii i znajdziemy się na otwartym oceanie, tym lepiej.

— Z całym szacunkiem, jednak, sir...

— Panie Philips, niech się pan ze mną nie kłóci. Na władnym statku będzie pan mógł robić to, co się będzie panu żywnie podobało. Tutaj jest pan moim pierwszym oficerem i nie życzę sobie, żeby się pan sprzeciwiał poleceniom, które wydaję.

— Rozumiem, sir.

— I bardzo dobrze, panie Philips. A teraz, jazda. Ja tymczasem wreszcie przygotuję się do kolacji.

Wśród silnej wichury, na niespokojnym morzu, powoli podniesiono kotwice „Arcadii” i statek majestatycznie wyruszył w dalszą podróż.

Rudyard Philips stał na mostku z rękami złożonymi za plecami. W chwili gdy zaczęły się obracać wielkie śruby „Arcadii”, pokład pod jego stopami zaczął leciutko drzeć, jakby cały statek niecierpliwiał się, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie będzie mu dane z pełną szybkością pruć fale otwartego oceanu. W momencie gdy to pływające miasto poruszyło się, wciąż otaczały je dziesiątki małych łódek i łodzi, na których, mimo paskudnej pogody, ludzie cierpliwie trwali w oczekiwaniu na tę historyczną chwilę. Kiedy nadeszła, wystrzelono w niebo tysiące kolorowych rakiet. Kilka minut trwały głośnie wiwaty na cześć „Arcadii”. Rudyard polecił odpowiedzieć na nie sygnałem mgłowym. Wkrótce usłyszał:

— Przepłynęliśmy jedną milę, sir.

Sir Peregrine wciąż przebywał w swojej kabinie. Rudyard długo patrzył w szybę przed sobą, milcząc, wreszcie zarządził stanowczym głosem:

— Utrzymujemy prędkość czterech węzłów.

Wciąż widział wokół „Arcadii” światełka małych jednostek. Uznał, że niezależnie od tego, jak szybko sir Peregrine pragnął opuścić wody terytorialne Irlandii, ostrzeżenie z kapitanatu należało potraktować z największą powagą. Postanowił utrzymywać prędkość czterech węzłów tak długo, aż „Arcadia” nie opuści irlandzkich wód.

Minęła zaledwie minuta, gdy usłyszał gwizdek z tuby i musiał, aczkolwiek niechętnie, pochylić się nad nią.

— Panie Philips — usłyszał głos sir Peregrine’a. — Proszę pojawić się w mojej kajucie.

Rudyard wydał rozkaz, aby utrzymywać dotychczasowy kurs i prędkość, i udał się do sir Peregrine’a. Zapukał do drzwi i czekał tak długo, dopóki kapitan nie krzyknął:

— Wejść! Nie stój pan pod drzwiami jak ciele.

Sir Peregrine był już wystrojony w galowy mundur ze wszystkimi medalami, złotymi epoletami i sztywnym białym kołnierzykiem. Siwe włosy natarł brylantyną, a na jego lewym policzku widniała drobna plamka krwi; zaciał się podczas golenia.

— Panie Philips, czy nie nadszedł czas, żebyśmy przyśpieszyli? — zapytał.

— Wciąż otaczają nas małe jednostki — odparł Rudyard. Sir Peregrine podszedł do iluminatora i zniecierpliwiony wyjrzał na zewnątrz.

— Jakie małe jednostki? Ci poławiacze śledzi?

— Nie tylko. Z powodu deszczu widoczność jest bardzo utrudniona.

— Tak, być może nam jest trudno ich wszystkich wypatrzeć — odparł sir Peregrine, hamując wściekłość — jednak my, panie Philips, jesteśmy widoczni jak sklepy Harrodsa na Boże Narodzenie. Życzę sobie, aby natychmiast wydał pan rozkaz „cała naprzód”, zgodnie z moim życzeniem. Zresztą... Nie mam ochoty spierać się z panem przez resztę tej podróży. Gdzie jest pan Charles?

— W pokoju nawigacyjnym, sir.

— Bardzo dobrze. Proszę, aby pan przekazał jemu swoje obowiązki. Sam może pan przygotowywać się już do kolacji. Skoro nie potrafi pan prowadzić statku, niech pan będzie przynajmniej miły dla pasażerów.

— Sir, ja...

Sir Peregrine uniósł do góry rękę, uciszając Rudyarda.

— Dostyc. Dziękuję panu, panie Philips, proszę odejść. Rudyard wciągnął powietrze w płuca.

— Zrozumiałem, sir. Bardzo dobrze. Dziękuję panu bardzo. Wyszedł, nie starając się przesadnie cicho zamknąć za sobą drzwi. Szybkim krokiem pognął do swojej kabiny. Ku swemu zdziwieniu zastał tam, dzielącego ją razem z nim, Dicka Charlesa. Siedział wygodnie, rozparty na fotelu, i popijając herbatę, czytał „Pictorial Weekly”. I — Stary cię potrzebuje — powiedział

Rudyard zmęczonym głosem.

Dick odłożył gazetę, wstał i poprawił mundur. — M...mmam na...nadzieję, że...że nie...nie chce, że...że — iJy w...w...wi...witał pa...pa...pa...sażerów — powiedział. — Je...jestem ca...cały prze...przera...żo...żony, że...że mógłbym wpaśść na tę la...lady Dia...Dianę Fitz...Fitz...

— Wiem, kogo masz na myśli — stwierdził Rudyard. — Nie martw się jednak za bardzo.

Kiedy dotrzesz na kolację, Diana FitzPerry będzie już od dawna miała innego adoratora.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kabiny zajrzał Monty Willowby.

— Panie Charles, pan Peel powiedział, że może zainteresuje pana fakt, iż lady Diana FitzPerry poprosiła o miejsce przy pańskim stole dzisiejszego wieczoru. Dokładnie o dwudziestej trzydzięci podajemy koktajle, panowie. Kolacja punktualnie o godzinie dwudziestej pierwszej.

Dick Charles niepewnie popatrzył na swoją filiżankę z herbatą.

— Myślę, że wreszcie utkwiała w pańskim sercu strzała amora — powiedział Monty Willowby z uśmiechem.

Kiedy wyszedł, Rudyard powiedział:

— Nie przejmuj się, Dick. Na świecie istnieją gorsze rzeczy niż pożądanie ze strony najgorętszej kobiety w Londynie.

— Chy...chyba tak — odparł Dick bez entuzjazmu.

— Myślę o tym jak o obowiązku, i to całkiem przyjemnym.

— Cho...chole...lera — jęknął Dick. — To...tobie to...to dobrze. Je...jesteś żo...żonaty.

Rudyard popatrzył na niego szybko, a potem natychmiast wbił wzrok w podłogę.

— Tak — powiedział cicho. — Jestem żonaty.

Nieprzyjemną ciszę, która zapadła po tych słowach, przelał Monty Willowby. Jeszcze raz stanął w drzwiach.

— Za przeproszeniem, panie Charles, pan Peel powiedział mi, iż słyszał, że pewne talenty, które posiada lady Diana FitzPerry, mogą być przydatne przy leczeniu wad wymowy. Jeżeli rozumie pan, co pan Peel miał na myśli...

Rudyard nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Dick z impetem rzucił gazetę w Monty'ego Willowby'ego, ten zaś roześmiał się głośno i natychmiast zatrzasnął drzwi.

Rudyard postanowił już nie zwlekać ani chwili dłużej i poszedł na mostek, aby przekazać rozkaz sir Peregrine'a, „cała naprzód”.

Już wkrótce wzrosła moc silników „Arcadii”, a przez pokłady przeszła wibracja, która ostatecznie uzmysłowiła pasażerom, że rozpoczęli oceaniczną podróż. Już w ciągu najbliższych kilkadziesiąt minut statek powinien osiągnąć prędkość dwudziestu sześciu węzłów.

„Arcadia” potrzebowała przestrzeni trzech do czterech mil, by osiągnąć prędkość podróżną, podobnie jak potrzebowała półtorej mili, aby zatrzymać się w miejscu w przypadku niebezpieczeństwa. Znajdując się dwie mile od wybrzeża Irlandii, statek płynął z prędkością zaledwie dwudziestu węzłów, chociaż było to i tak szybko, jak na tego rodzaju kolosa, niewiele oddalonego od brzegu. Sir Peregrine opuścił już swoją kajutę i wraz z Edgarem Deaconem, Percym Fearsonem, Ralphem Peelem i resztą oficerów zszedł do Grand Lounge, gdzie rozpoczęli witać powoli gromadzących się pasażerów. Orkiestra grała jazzowe przeróbki mazurków Chopina, a stewardzi niczym kuglarze balansowali pomiędzy pasażerami, unosząc na srebrnych tacach kieliszki z szampanem. Uczestnicy, a przede wszystkim uczestniczki tego przyjęcia, mieniły się wszystkimi barwami najdroższych kreacji, jakie znał świat w 1924 roku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Usłyszawszy delikatne stukanie do drzwi, Catriona zawołała:

— Alice! Ktoś puka!

W drzwiach stał jeden z chłopców hotelowych zatrudnionych na pokładzie pierwszej klasy.

Trzymał w ręce kartonowe pudełko, przewiązane różową atlasową wstążką.

— To dla pani — powiedziała Alice, odebrawszy je od chłopca i wręczywszy mu sześciopensowy napiwek. — Myślę, że w środku jest kwiat — dodała z uśmiechem, podając pudełko Catrionie.

Catriona była już prawie gotowa. Pozostało jej jeszcze wybrać właściwą broszkę, która pasowałaby do sukienki. Wziąwszy przesyłkę, powiedziała do Alice:

— Podaj mi papierosa, dobrze? Chyba jestem zdenerwowana, muszę się uspokoić. Czuję się taka podekscytowana!

Rzeczywiście, wewnątrz znajdowała się jasnioletowa orchidea, lśniąca kropelkami wilgoci.

Nadawcą przesyłki był Mark Beeney. Na karcie, również umieszczonej w pudełku, napisał: „Dla dziewczyny, o której marzy milioner. ‘ Z pozdrowieniami, Mark’”.

Catriona delikatnie ujęła orchideę w dwa palce i przyłożyła kwiat do swego policzka.

— Spójrz — zwróciła się do pokojówki. — Orchidea ma taki sam kolor jak mój makijaż.

Doskonale do niego pasuje.

— Myślę, że komuś się bardzo pani spodobała — stwierdziła Alice. — Czy wie pani, że orchidea oznacza nieustające pożądanie? Jeżeli mężczyzna ofiarowuje kobiecie orchideę, oznacza to, że

bardzo jej pragnie i nie zrezygnuje z niej tak długo, dopóki nie dostanie tego, czego chce. — Urwała na chwilę. — Tak, pasuje doskonale.

Nie mogła powiedzieć nic innego, tym bardziej że Mark dał jej pięćdziesiąt dolarów, aby powiedziała mu, jakiego koloru tuszem Catriona dzisiejszego wieczoru wymaluje sobie powieki.

— Czy uważasz, że powinnam ją sobie przypiąć do sukni? — zapytała Catriona.

— Oczywiście — odparła Alice.

— A ja nie jestem pewna. Chyba pozostawię ją w szklance z wodą. Albo nie, nie zrobię nawet tego. Niech sobie zwiędnie. Jeżeli pokażę się z nią, pan Mark Beeney pomyśli sobie, że mi się spodobał.

— Czyżby było inaczej? — zapytała Alice, robiąc porządek na toalecie Catriony i rozmyślając o swoich pięćdziesięciu dolarach.

— Oczywiście, że mi się spodobał. Ale jakie to ma znaczenie? Nie chcę, żeby myślał sobie, iż wystarczy kupić mi naszyjnik z rabinami i diamentami, a potem orchideę w pudełku, by mnie zdobyć. To by nie miało sensu. Dzisiaj będę wobec niego chłodna i oschła. Albo zupełnie go zignoruję. Mój Boże, przecież na tym statku są setki przystojniaków... No, może kilkudziesięciu.

W każdym razie kilkunastu na pewno. Będą się bili o taniec albo chociażby o rozmowę ze mną.

Alice była rozłoszczona i niemal dała temu wyraz.

— Nie sądzi pani, że postąpi pani niewdzięcznie, pozostawiając orchideę w kajucie? Tym bardziej po tych wszystkich trudach, jakie zadał sobie pan Beeney...

— Jakich trudach? Po prostu kupił ją w kwiaciarni na statku, to wszystko. Zapewne nawet nie uczynił tego osobiście, tylko posłał służącego.

— Ale ta orchidea ma dokładnie taki kolor, jaki mieć powinna.

Catriona uważnie popatrzyła na kwiat, obracając go w palcach.

— Rzeczywiście — powiedziała zamyślona. — Jestem ciekawa, skąd wiedział?

Znów ktoś zapukał. Alice otworzyła drzwi; tym razem stał w nich Edgar Deacon, nieskazitelnie elegancki w wieczorowym stroju.

— Dobry wieczór, panno Keys — odezwał się, stojąc w progu. — Czy mogę wejść?

— Oczywiście — odparła Catriona. — Może się pan nawet czegoś ze mną napić.

— Spójrz, co ci przyniosłem — powiedział, wyciągając w jej kierunku białą lilię, przewiązaną błękitną wstążką i owiniętą w celofan.

— Och! — zawołała Catriona. Na jej ustach pojawił się uśmiech. — Otrzymałam już dzisiaj jeden kwiat. Mark Beeney przysłał mi orchideę. Niech pan tylko popatrzy.

— Hmm... — mruknął Edgar i, zirytowany, chrząknął głośno. — Zapewne przypniesz więc do sukni orchideę.

— Być może. — Catrionę bawiła irytacja Edgara. — Jeszcze się nie zdecydowałam.

Edgar sięgnął do kieszeni fraka i wyciągnął papierośnicę.

— Prawdę mówiąc, ta lilia nie jest ode mnie — odezwał się, zapaliwszy papierosa. — To podarunek od kogoś innego. Od kogoś, kto bardzo chciałby się z tobą spotkać i cię poznać.

— Mam nadzieję, że to nie chodzi o Jacka Dempseya! — zawołała Catriona. — Widziałam go dziś po południu na pokładzie spacerowym. Jest taki groźny i ponury! Będę obawiała się powiedzieć mu „dzień dobry”, żeby w odpowiedzi nie przyłożył mi z pięści.

— Nie, nie, nie chodzi o niego — pośpieszył Edgar z wyjaśnieniem.

— To jeden spośród pasażerów, którzy weszli na ad u brzegów Irlandii.

— O’Hara? Ten z banku?

— Nie, nie on.

— No to w końcu który z tych Irlandczyków?

— To nie jest Irlandczyk. Nazywa się George Welterman reprezentuje International Mercantile Marine.

— Och! Oni przecież chcą kupić Keys Shipping!

— Tak, jest to kompania, której sprzedałbym Keys Shipping, gdybym musiał to zrobić i gdybym miał coś do powiedzenia w kwestii wyboru nabywcy.

— Aha, więc życzy pan sobie zapewne, bym była bardzo miła dla tego George’a Weltermana.

— Byłbym ci zaiste wdzięczny — odparł Edgar, strząsając popiół do niklowanej popielniczki.

— George Welterman nie jest, niestety, tak czarujący jak Mark Beeney, byłoby jednak nieźle, gdybyś zrobiła na nim dobre wrażenie. To od niego zależy, czy bank Morgana zgodzi się na wykupienie nas na rozsądnych warunkach.

Catriona pustym wzrokiem popatrzyła na lilię.

— Nie jestem przekonana, czy sprzedanie Keys Shipping jest najlepszym rozwiązaniem naszych problemów.

— Posłuchaj mnie, w chwili, w której przybijemy do nabrzeża w Nowym Jorku, nie będziemy już mogli rozważać, które wyjście dla nas jest najkorzystniejsze. Będziemy mówili już tylko o tym, co jest konieczne. Jeżeli nie zdobędziemy Błękitnej Wstęgi i nie przekonamy wierzycieli, że jesteśmy wypłacalni, nie pozostanie nic innego, jak sprzedać Keys Shipping. W tym przypadku postawa George’a Weltermana wobec kompanii będzie miała decydujące znaczenie.

— Chce mnie pan więc użyć jako przynęty.

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem.

— Mam nadzieję, iż nie obiecał mu pan, że spędzę cały wieczór z nim i tylko z nim.

— Obiecałem mu, że cię przedstawię.

— Czy z jego powodu mam dzisiaj kompletnie ignorować Marka Beeneya?

Edgar zaczął się niecierpliwić.

— Nikt nie powiedział, że kogokolwiek masz ignorować. Musisz jednak zrozumieć, że niezależnie od tego, jak bardzo przystojny jest ten Mark, może nam tylko zaszkodzić. Zależy mu na „Arcadii” i tylko na „Arcadii”. Nigdy nie kupi całej Keys Shipping, dla niego bowiem to, czy kompania będzie nadal istniała, czy też nie, nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Pomyśl tylko przez chwilę o małym Godfreyu Colehillu, pomyśl, co będzie oznaczał nasz upadek dla niego, jego ojca i matki.

— Niech pan tak do mnie nie mówi. Edgar umilkł.

Uspokoił się trochę.

— Rozumiem, co czujesz — powiedział po chwili łagodnie. — Musisz jednak pamiętać o swoim ojcu i o celach, które przyświecały jego morderczej pracy, pracy, której poświęcił całe życie.

— Pamiętam o nim aż za dobrze. Zależało mu jedynie na tym, żebym nigdy nie mogła robić tego, na co naprawdę mam ochotę.

Edgar roześmiał się krótko.

— Wiesz co, moja droga? Przypominasz tak bardzo swojego ojca, że jest to wręcz niewiarygodne. Gdyby on był kobietą, zachowywałby się dokładnie tak, jak ty teraz.

Rzeczywiście, wszyscy Keysowie są tacy sami.

Catriona bez słowa pozwoliła Alice, aby odkryła ją etolą z nutrii. Edgar przez chwilę się jej przyglądał, po czym wzruszył ramionami, jakby akceptując fakt, że już nic więcej nie może powiedzieć ani uczynić. Uniósł ze stolika lilię.

— Powiem panu Weltermanowi, że jego prezent nie został przyjęty — oznajmił.

— Poważnie? — zdziwiła się Catriona.

— Oczywiście. Skoro nie przypniesz tej lilii, z całą pewnością zada mi pytanie, co jest tego powodem.

— Ale przecież on nie miał żadnych podstaw, by spodziewać się po mnie takiej reakcji.

Nawet jeszcze go nie widziałam na oczy.

— Ofiarowanie tego kwiatu jest wyłącznie gestem symbolizującym poważanie i szacunek. Nie ma ono żadnego innego znaczenia.

Catriona przechyliła głowę na bok.

— Alice — powiedziała. — Alice, co powinnam zrobić?

— Wybrałabym orchideę pana Beeneya, gdybym była na pani miejscu — odparła Alice.

— Nie, nie, to by było zbyt proste. Już wiem. Panie Deacon, proszę oznajmić panu Weltermanowi, że dzisiejszego wieczoru nie zamierzam przypinać do sukni żadnych kwiatów.

Nie mam na to ochoty. Alice, jeżeli chcesz, możesz oba wrzucić do sedesu.

Edgar wzruszył znów ramionami.

— Skoro takie jest twoje życzenie...

— Tak, tego właśnie sobie życzę. Nie należę do nikogo, w tym, na co zwracam uwagę, i do pana.

— Chyba pozwolisz mi jednak dzisiaj na jeden wspólny taniec — powiedział Edgar niespodziewanie.

Catriona odwróciła się i popatrzyła mu w oczy. Edgar nie uciekł ze swym wzrokiem i przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami, które wyraziły więcej, niż mogła oddać nawet najbardziej szczerza albo gwałtowna rozmowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Orkiestra grała właśnie *Somebody Loves Me* z musicalu *Scandals of 1924* George'a White'a, kiedy Catriona zeszła Bo szerokich, wyścielanych dywanem schodach do Grand Lounge. Lewą dłoń trzymała na ramieniu Edgara. Sir Peregrine, który osobiście witał wszystkich gości, tym razem pił dwa kroki naprzód, żeby skłonić się przed Królową Atlantyku.

— Wygląda pan olśniewająco, sir Peregrine — powiedziała do niego Catriona przesadnie głośno. — Powinno się pana pokazywać na Wystawie Imperium Brytyjskiego w Wembley.

Sir Peregrine głośno chrząknął. Na taki komplement nie wymyślić na poczekaniu żadnej odpowiedzi,

tym bardziej dla kobiety, która dzierżyła w swoim ręku pokaźny pakiet akcji zatrudniającej go kompanii. Sztywno ujął natomiast dziewczynę pod rękę i poprowadził ją wzdłuż nieoficjalnego komitetu powitalnego, który na nią oczekiwał. Kolejno przedstawiał

Catrionę księżniczce Xenii, Douglasowi Fairbanksowi i Mary Pickford, baronównie Zawiszy (—

Już się zdołałyśmy poznać — zaszczębiotała Zawisza, a Sabran, stojący krok za nią, wyszczerzył

zęby do Catriony), Jackowi Dempseyowi (który uścisnął jej dłoń tak delikatnie, jakby dotykał

porcelanowej chińskiej wazy), damie Clarze Butt, seniorze Zelmirze Paz de Gainza (która stanowczo zbyt mocno pachniała gardeniami, a na palcach miała więcej diamentów, niż spotykało się wówczas w niejednym sklepie jubilerskim), Charlesowi Schwabowi z Bethlehem Steel i panu O'Hara z irlandzkiego banku.

Na Marka Beenleya przysła kolej prawie na końcu. W chwili gdy odezwał się do Catriony, stojąca obok niego Marcia Conroy, wystrojona w lśniącą, czarną suknię, zaprojektowaną przez Jeanne Lanvin, przybrała taki wyraz twarzy, jakby chciała Catrionę na miejscu zamordować.

Tylko wytrzymałości szkła należy zawdzięczać, że nie zgmiotła w dłoni kieliszka z szampanem.

— Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem kobiety, która byłaby tak śliczna, jak ty dzisiejszego wieczoru — powiedział Mark, składając pocałunek na dłoni Catriony.

— Dziękuję za orchideę.

— Ofiarowałem ci ją z prawdziwą przyjemnością. Sam ją wybierałem.

— Czy nie zastanawiasz się, dlaczego nie przypięłam jej do sukienki?

— Nie. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że będziesz ją miała.

— Aha.

Catriona odeszła od niego i uśmiechnęła się do wysokiej kobiety o rudych włosach, ubranej w krzykliwie czerwona suknię.

Mark, który ruszył za nią, trzymając się dwa kroki z tyłu, powiedział:

— Ucieszyłaś się, że pomyślałem o tobie, lecz za żadne skarby nie zamierzałaś tego okazać.

Pomyślałaś sobie: „Czyżby ten cowboy przypuszczał, że tak łatwo mu ulegnę?” Jestem ciekaw, co zrobiłaś z orchideą. Włożyłaś do wody? Albo między kartki pamiętnika, aby ją zasuszyć?

— Prawdę mówiąc, poleciłam służącej, żeby wrzuciła ją do sedesu i dobrze spłukała —

odparła Catriona z uśmiechem.

— Proszę mi wybaczyć, panno Keys... — Niespodziewanie rozmowę przerwał im Rudyard Philips. Nie sposób było nie zauważyć, że jest zdenerwowany i spocony, jakby przed chwilą ukończył długi bieg. — Chciałbym pani przedstawić mademoiselle Louise Narron, słynną sopranistkę.

— Miło mi panią poznać — powiedziała Catriona. — Ma i pani śliczną sukienkę.

— Właściwie to nie tę sukienkę chciałam włożyć na dzisiejsze przyjęcie. Okoliczności jednak zmusiły mnie...

Zapanowało nieprzyjemne milczenie.

— Nie rozumiem — odezwała się Catriona. — Mademoiselle Narron... miała wypadek — powiedział Rudyard niemal szeptem.

— Chciałam sobie podciąć żyły — wyjaśniła sopranistka i uniosła w górę ręce. Gdy jej długie rękawy opadły ku łokciom, Catriona zobaczyła bandażę na jej przegubach. — Głupi moment desperacji. Jednak pan Philips ocalił mnie, nie tylko od śmierci, ale wyleczył mnie też z głupoty.

— Przyłgnęła na moment do Rudyarda, który zrobił taką minę, jakby za chwilę miał zemdleć ze szczęścia. — Wszystko to, co mówi się o angielskich oficerach, jest prawdą.

Orkiestra w tej chwili rozpoczęła grać *I'll See You In My Dreams* i Mark Beeney, nie zwlekając, wyciągnął rękę do Catriony.

— Zatańczymy? — zapytał.

Catriona popatrzyła w kierunku Edgara, który wzruszył ramionami, co miało oznaczać:

„zatańcz, jeśli chcesz”.

Mark tańczył dobrze, zgrabnie, ale Catriona od razu wyczuła, że nie przychodzi mu to z łatwością. Miał ruchy mężczyzny, który wiele długich godzin spędził pod czujnym okiem instruktora i trudnej sztuki swobodnego tańczenia nauczył się tylko dzięki niemu oraz własnemu uporowi.

Catriona przez kilka minut milczała, wchłaniając w sienie bliskość Marka, zapach jego ubrania i wody kolońskiej.

Był o wiele wyższy od niej i kiedy usiłowała patrzeć przed siebie, jej wzrok z trudem sięgał ponad jego ramię.

— Twoja przyjaciółka, panna Conroy, nie jest zbyt zadowolona, że razem tańczymy — powiedziała wreszcie, usiłując przybrać jak najbardziej zdawkowy ton.

— Och, panna Conroy? — Mark rozejrzał się. — Tak, rzeczywiście wygląda na ponurą. O ile mi

wiadomo, otrzymała jakąś niezwykle nieprzyjemną depezę. Zresztą, powiem ci. Właśnie dzisiaj zmarł jej prapradziad.

— Nie powinieneś z niej kpić?

— A kto to robi?

W tym momencie Catriona po raz pierwszy spojrzała na mężczyznę o nazwisku George Welterman. Był wysoki i tęgi i widać było wyraźnie, że nieszczególnie czuje się w stroju wieczorowym. Ręce trzymał tak daleko od ciała, jakby rękawy fraka miał wypchane chusteczkami. Catriona uśmiechnęła się do niego, jednak jej uśmiech natychmiast zgasł, gdyż Mark mocniej uściśnął jej ramiona.

— Mam nadzieję, że to nie był George Welterman — powiedział Mark. Jego twarz była w tym momencie nieprzenikniona.

— Czy słyszałeś kiedyś o nim?

— Oczywiście, że słyszałem. Jest najbardziej drapieżną z grubych ryb w IMM. Jeżeli chcą coś kupić, nieważne, co to jest, nieruchomości, statki albo akcje, zawsze wysyłają do boju George'a Weltermana. Uważaj na niego. Wygląda na to, że ma ochotę na Keys Shipping.

— No i co z tego? Czy ktoś powiedział, że kompania jest na sprzedaż?

— Być może w pewnej chwili nie będziecie mieli wyboru...

— Co to ma znaczyć? Jestem właścicielką dwudziestu pięciu procent akcji, a moja matka dwudziestu sześciu. Czy uważasz, że w najbliższej przyszłości czekają nas jakieś trudne decyzje?

— Biznes jest biznesem, moja droga. Istnieje wiele sposobów, aby zmusić was do sprzedania kompanii i wkrótce wiele osób będzie się chwytać każdego z nich, aby ten cel osiągnąć. Możesz być pewna, że George Welterman jako jeden z nielicznych zna je wszystkie. W gruncie rzeczy większość z nich jest jego wynalazkiem. Nie jestem pewien, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale IMM już w tej chwili jest właścicielem dwunastu procent akcji Keys Shipping i jeżeli zaczną proponować udziałowcom lepsze dywidendy, niż otrzymują do tej pory, sugerując jednocześnie rozwiązania, które wzmocnią pozycję tej floty na oceanach, wówczas, cóż... Pozbędziesz się kompanii, zanim to zauważysz.

— Edgar uważa, że jeśli będziemy musieli sprzedać Keys Shipping, to sprzedanie kompanii IMM będzie najbardziej korzystnym rozwiązaniem. I najbardziej humanitarnym.

— Humanitarnym? Jak do tego doszedł?

Catriona zarumieniła się.

— Chodzi o to, że IMM nie rozbija Keys Shipping na części, nie rozsprzeda jej statek po statku, ale utrzyma ją całości, dzięki czemu nasi ludzie nie stracą pracy.

— I ty w to wierzysz?

— A nie powinnam? Podaj mi jakiś powód.

— Proszę bardzo. Chociażby taki, że George Welterman jest w tym biznesie typem najbardziej pozbawionym wszelkich skrupułów od czasu George'a Remusa. Zresztą, spójrz na wszystko z jego punktu widzenia. IMM już praktycznie rządzi w White Star poprzez angielską kompanię holdingową. Co, na Boga, skłoniłoby ich do utworzenia drugiego takiego tworu w celu zarządzania Keys Shipping? Gdybym ja był właścicielem IMM, po prostu wcieliłbym najlepsze statki twojej kompanii do floty White Star, a stare trupy sprzedałbym Grekom, Chińczykom, a może nawet Rosjanom.

— Skąd wiesz, że nie zastanawiałam się nad tym?

— Bo gdybyś się zastanawiała, to nie mówiłabyś jednym tchem o humanitaryzmie i George'u Weltermanie.

— Dziękuję ci, uważam jednak, że sama poradzę sobie ze swoimi interesami.

— Oczywiście. Służę jednak dobrą radą. Strzeż się George'a Weltermana, to wszystko.

— Nie myśl, że postąpię inaczej. I nie myśl, że nie dotyczy to również ciebie, Marku Beeney.

Tańczyli teraz obok hollywoodzkich gwiazdeczek, które podczas tańca drobily nóżkami niemal w miejscu, utrzymując na twarzach szerokie, sztuczne uśmiechy, na użytek specjalnych fotografów Keys Shipping.

— Panno Catriono Keys — powiedział Mark z uśmiechem. — Nie masz najmniejszego powodu, żeby się mnie strzec. Nie mam wobec ciebie żadnych zamiarów. No, może poza jeszcze jednym tańcem, kiedy będziesz wolna. I może również ostatnim tańcem wieczoru, jeżeli mi się poszczęści.

— A co z Marcją Conroy?

— Marcją? Powiedziałem ci. Jest jedynie stenotypistką. No, może nie tylko. Jest moją dobrą przyjaciółką, ale nikiem więcej. Martwisz się, że tak krzywo na ciebie patrzy? Nie przejmuj się, ona ma inne kłopoty niż zazdrość o mnie. Być może nie jest zadowolona z poziomu usług salonu piękności na tym statku.

Catriona nie zdążyła już nic powiedzieć, ponieważ taniec skończył się.

— Czy zatańczysz jeszcze raz? — zapytał Mark.

— Nie wiem — powiedziała Catriona i odwróciła się.

— Nie wiesz? — W głosie Marka brzmiało bezgraniczne zdziwienie. — A z kim jeszcze z tego towarzystwa mogłabyś z przyjemnością dzisiaj zatańczyć? Ze Schwabem? W porządku, tańcz z nim, jeżeli przez resztę wieczoru chcesz słuchać tylko o stali i pieniądzech. Catriono. —

Złapał ją za rękaw, próbując przytrzymać przy sobie. — Catriono, posłuchaj mnie tylko. Myślę, że mi się bardzo podobasz. Naprawdę, oczarowałaś mnie. Wiesz, co to znaczy? Otóż przez całe popołudnie myślałem tylko o tobie. Powinienem był myśleć o Marcii, ale nic z tego. Myślałem tylko o tobie. Czy to nie jest szalone?

Catriona pozwoliła mu na przysunięcie się do niej.

— Catriono — powiedział łagodnie.

Ani na moment nie spojrzała na niego. Odezwała się jednak:

— W porządku. Zatańczymy ostatni taniec, jeżeli rzeczywiście to, co mówisz, jest prawdą.

Położył dłoń na jej ramieniu.

— Jezu Chryste — niemal jęknął. — Dlaczego nie spotkałem cię, kiedy miałaś szesnaście lat?

Pragnąłbym cię od pierwszej chwili, od której byłoby to zgodne z prawem. Uczyłbym cię...

Catriona uśmiechnęła się.

— Jestem bardzo mało pojętną uczennicą — powiedziała. Odeszła od niego i dołączyła do Edgara.

Dick Charles przekazał przed chwilą służbę na mostku piątemu oficerowi i szybko przebrał się w galowy mundur, przy którym brakowało jednego guzika. W chwili gdy Edgar prowadził

Catrionę przez Grand Lounge, aby przedstawić ją George'owi Weltermanowi, on schodził po szerokich schodach z nisko opuszczoną głową, modląc się w duchu, aby tylko nie dostrzegła jego pojawienia się lady Diana FitzPerry.

Dojrzał go jednak sir Peregrine. W momencie, w którym Dick znalazł się przy barze, kapitan stanął za jego plecami 'i rzekł:

— Panie Charles, jest tutaj ktoś, kto bardzo chciałby pana poznać, chociaż między Bogiem a prawdą, nie mam naj —

[mniejszego pojęcia dlaczego.

— Ta...ta...ta...tak, sir — wyjąkał Dick. — Wła...właśśśnie chcia...chciałem na...na...napić się sza...szampana, sir.

— Steward poda panu szampana, panie Charles — powiedział sir Peregrine zdecydowanym tonem. — A teraz, bardzo proszę, niech pan pójdzie za mną.

Dick ruszył za kapitanem z ciężkim westchnieniem. Nie miał wątpliwości, kto taki pragnie go poznać. Dama, która miała na to ochotę, zapewne zwróciła się z taką prośbą do sir Peregrine'a, a on znany był z tego, że stara się spełniać wszystkie życzenia pasażerów, szczególnie tak łatwe do

zrealizowania, jak przedstawienie jednej z pasażerek któregoś z podlegających mu oficerów.

— Panie Charles, jakże się cieszę, że mogę pana poznać! — zawołała lady Diana FitzPerry z szerokim uśmiechem, w chwili gdy Dick nisko się przed nią uklonił. Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć. Jego mózg był w tej chwili tak pusty, jak przewód wentylacyjny.

Zapadła niezręczna cisza i dopiero sir Peregrine wybrnął z sytuacji.

— Drodzy państwo, zostawiam was samych. Chciałbym zamienić chociażby po kilka słów z każdym z gości. Czy rozmawialiście już z panną Pickford? To jest zaiste czarująca dama.

Dick Charles i lady FitzPerry pozostali sami. Dick uniósł rękę, chcąc powiedzieć „na zdrowie”, ale w ostatniej chwili spostrzegł, że nie ma kieliszka. W tej sytuacji po prostu podrapał

się po nosie, ale natychmiast pożałował tego prostackiego ruchu.

Lady FitzPerry była typową angielską kurwą z wyższych sfer. Na ten wieczór ubrała cienką wieczorową sukienkę ze złotych koronek, poprzez które Dick Charles bez trudu dostrzegł

ciemnobrązowe owale brodawek na jej drobnych, płaskich piersiach. Miała wąskie biodra, dzięki ściśle przestrzeganej diecie, i stanowczo zbyt małe kolana. Emanował z niej jednak taki erotyzm, że Dick mimo woli zaczął wyobrażać sobie ją nagą. Była wprost obwieszona diamentami: miała je na palcach, na uszach, na szyi i na przegubach. Dick zagapił się na jej pełne, czerwone usta i przez chwilę zastanawiał się, ile penisów, należących do bogatych mężczyzn, musiała pieścić tymi ustami, żeby zapracować na tę drogą biżuterię.

— M...m...mi...miło mi — wystękał wreszcie.

— Pan się jąka? — zdziwiła się lady FitzPerry. — Nie wiedziałam.

— T...trudno t...to za...zauwa...ważyć ze...ze zzznaczej o...odległości — powiedział

Dick.

— Ale to jest straszne! — zawołała. — Od jak dawna to trwa?

— Od...od...odkąd się...sięga...gam pa...pamięcią.

— Czy tego się nie da wyleczyć? Może hipnoza by panu pomogła? Albo akupunktura? Sama nie wiem. To straszne.

Dick wzruszył ramionami.

— Mo...mo...moja ma...ma raz wzię...wzięła mnie go...do pe...pe...

— Och, mój Boże — westchnęła lady Fitz Peerry. — I pan tak zawsze?

— Prawie — powiedział Dick. Po chwili dodał: — Do pediatry.

— No cóż — odezwała się lady FitzPerry trochę weselej. — Wygląda na to, że mam cztery dni, żeby ci to poprawić.

— Prze...przepraszam, nie ro...rozumiem.

— Nic nie szkodzi, mój kochany — odparła lady FitzPerry z uśmiechem. — Wszyscy mamy jakieś przeszkody do pokonania. Czy mógłbyś znaleźć dla mnie jeszcze jeden kieliszek szampana?

Dick Charles skinął na jednego ze stewardów, czując się jak dziewięciomiesięczna nutria, którą mają właśnie zarznąć, a futro przeznaczyć na etolę dla jakiejś damy z wyższych sfer.

Steward natychmiast podbiegł do niego z tacą pełną kieliszków i z lubieżnym spojrzeniem, które Dick wolał zignorować.

Ralph Peel, drugi oficer, poczynił sobie tymczasem o wiele lepiej. Znalazł mianowicie niewinną i entuzjastyczną admiratorkę swej osoby w postaci Alison Cabot White, (Siedemnastoletniej dziewczyny o dużych oczach, długich, króliczych zębach, mającą wielką ochotę pozbyć się natychmiast dziewictwa. Uwielbiała owłosionych mężczyzn i czarne kudły, które wystawały spod sztywnego kołnierzyka Ralpha, sprawiły, że niemal posusiała się w majtki z podniecenia.

— Postanowiłem zostać marynarzem, ponieważ byłem samotny — opowiadał jej Ralph. —

Myślałem, że morze jest właśnie miejscem dla samotników i będzie mi odpowiadało. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam kogoś takiego jak ty. Jeżeli do tej pory morze nie uczyniło dla mnie niczego, za co powinienem być mu wdzięczny, zrobiło to dzisiaj, sprawiając, że poznałem ciebie.

Od dzisiaj jestem mu bardzo wdzięczny.

Przechodząc obok Ralpha, usłyszał te słowa Monty Willowby i westchnął ciężko, w duchu współczując dziewczynie. Monty zmierzał właśnie w kierunku baru, gdzie planował zamienić kilka cichych słów z barmanem. Oceniał, że dzisiejszego wieczoru należy odłożyć na bok jedną butelkę Pierrier–Jouëta na każde pięć otworzonych. Normalnie Monty „zaoszczędzał” w ten sposób jedną na dziesięć, tym razem jednak zostanie wypitych ich tyle, że księgowi musieliby być geniuszami, żeby doliczyć się braków.

Kompania, oczywiście, zdawała sobie sprawę z rozmiarów machinacji Monty’ego, ale nigdy nie wysunięto przeciwko niemu żadnego oficjalnego oskarżenia. Prosta prawda była taka, że bardziej opłacało się patrzeć przez palce na jego „oszczędności”, gdyż prowadząc swoje interesy, czuwał nad tym, by personel najniższego szczebla nie kradł Wszystkiego, co tylko da się ukraść.

Na jednym z parowców Keys Shipping, „Elite”, pasażerowie podczas którejś podróży musieli jeść przez całą drogę wyłącznie kawałki ffileasa i kiełbaski, gdyż szef kuchni sprzedał niemal całą zawartość lodówek hurtownikowi z Sydney, który zaoferował mu korzystne ceny i natychmiastowy odbiór towaru mym transportem. Monty Willowby nigdy nie pozwoliłby sobie na takie jawne złodziejstwo, jak i przenigdy nie dopuściłby, żeby zabrakło dla pasażerów nakryć, sztuców czy

zapasowych żarówek na pokładzie. „Interes”, który prowadził, przynosił mu doskonałe zyski, nikomu jednak nie wadził i Monty dbał, aby tak było przez cały czas.

Teraz jednak, gdy zmierzał w kierunku baru, został niespodziewanie zatrzymany przez niskiego, lecz wytwornie ubranego mężczyznę. Mężczyzna ów musiał mieć w sobie odrobinę latynoskiej krwi i z pewnością był ogromnie bogaty; palił bowiem cygaro, w którym Monty z wprawą rozpoznał astronomicznie drogie Partagas Flor Special Cabinet numer siedem.

— To pan nazywa się Monty Willowby, prawda? — zapytał mężczyzna z akcentem, który zdradzał pochodzenie z Michigan.

— Owszem, proszę pana — odparł Monty. — A pan, jeśli nie popełniam fatalnej pomyłki, nazywa się Fribourg i pochodzi z Nowego Jorku.

— Widzę, że nauczył się pan na pamięć całej listy pasażerów, panie Willowby.

— Na tym, między innymi, polega moja praca. Czy jest pan zadowolony z podróży?

— Absolutnie — odpowiedział pan Fribourg z przekonaniem. — W gruncie rzeczy nie przypominam sobie, żeby tak doskonale o mnie dbano, przynajmniej od czasu, kiedy spędziłem dwie noce w hotelu Waldorff–Astoria.

— Bardzo mnie to cieszy. A teraz, jeżeli pan pozwoli...

— Jeszcze tylko jedno — przerwał mu Fribourg. — Jako biznesmena i podróżnika uderza mnie fakt, iż podczas tego historycznego rejsu nie ma dla nas, pasażerów, żadnych pamiątek.

— Pamiątek? — powtórzył Monty Willowby. Od razu stał się czujny.

Pan Fribourg wyciągnął cygaro z ust i uśmiechnął się do Monty’ego tak, jak sadystyczny dentysta uśmiecha się do pacjenta, któremu ma za chwilę bez znieczulenia wyrwać ząb.

— Chyba wie pan, co mam na myśli — powiedział. — Na przykład ręczniki z wyszytym słowem „Arcadia”. Albo sztuce z symbolem kompanii...

— Panie Fribourg, mamy doskonale wyposażony sklep z pamiątkami na galerii handlowej —

zauważył Monty. — Zakupi pan tam i łyżeczki Keys Shipping, i pocztówki z fotografią

„Arcadh”, i jeszcze tyle innych pamiątek, że całą pewnością będzie pan usatysfakcjonowany.

— Tak, te wszystkie drobne pamiątki są rzeczywiście bardzo miłe — przyznał pan Fribourg i jednocześnie położył dłoń na lewym epolecie Montyego. Bez sprzeciwów z jego strony odprowadził go na bok i bez przeszkód mogli spokojnie kontynuować dyskusję. — Pieniądze można jednak zarabiać tylko na oryginalnych przedmiotach. Najlepiej, jeśli dodatkowo mają jeszcze przeznaczenie, powiedzmy... intymne. To podnosi ich wartość.

— Obawiam się, że pana nie rozumiem. Obawiam się też, i nie mogę już poświęcić panu ani chwili. Mam, niestety, mnóstwo obowiązków na tym statku. Może porozmawialibyśmy jutro nad ranem.

— Niech pan da spokój, panie Willowby. Kiedy pana ujrzałem po raz pierwszy, od razu odniosłem wrażenie, że pan uszy i oczy otwarte oraz zmysł do interesów. Chciałbym z panem porozmawiać o wielkich pieniądzach. Tysiącach dolarów. Czy przypuszcza pan, że żartuję? —

Ani przez chwilę — powiedział Monty i westchnął.

— To dobrze — ucieszył się pan Fribourg. — Ponieważ mam doskonały pomysł. Otóż na pokładzie tego statku znajduje się co najmniej kilkuset sławnych ludzi, prawda? Zresztą, co ja będę się rozwodził, ma pan na ten temat o wiele lepsze informacje niż ja. Każda z tych osób ma własną kajutę, a w każdej z nich znajduje się luksusowo wyposażona łazienka, zgadza się?

— Tak, rzeczywiście — przyznał Monty. — Ale co z tego?

— Otóż przypadkowo wiadomo mi, że wszystkie łazienki na „Arcadii” wyposażała firma

„Orane”, znana z doskonałej jakości swych wyrobów. Firma ma taką markę, że nikt, dosłownie nikt, nie powstydziliby się jej urządzeń we własnej łazience w domu. Wszystkie są funkcjonalne i doskonale zaprojektowane. A teraz niech pan pomyśli, jak ogromną cenę mogłyby osiągnąć te spośród nich, których używano na „Arcadii” podczas jej dziewiczej podróży! Te, których osobiście używały gwiazdy ekranu, słynni bankierzy, sportowcy albo politycy.

Pan Fribourg zamilkł na chwilę, po czym niespodziewanie przybliżył usta do ucha Monty’ego i kontynuował przyduszonym szeptem. Monty wyczuł w jego oddechu zapach koniaku i tytoniu.

— Niech pan tylko pomyśli, panie Willowby, co by to było, gdyby posiadał pan w domu deskę klozetową, na której osobiście siadała rosyjska księżna Xenia. Niech pan tylko pomyśli, z jaką dumą mógłby pan mówić do swoich gości: „Moi drodzy, toaleta jest na półpiętrze.

Korzystając z sedesu, pamiętajcie, że siadała na nim sama Mary Pickford... Tak, w tę deskę była wyposażona jej kajuta podczas dziewiczego rejsu «Arcadii»,. Tak więc sedesy, znajdujące się w kajutach pierwszej klasy, mogą osiągnąć zawrotne ceny, gdyż są przedmiotami oryginalnymi i służącymi intymnym czynnościom. Przecież to prawie tak samo, jakby pocałowała pana słynna aktorka, jeżeli korzysta pan z tego samego sedesu, co ona. No i co pan sądzi, czy mój pomysł nie jest genialny?

Monty Willowby płynnym ruchem ściągnął dłoń pana Fribourga ze swego epoletu. Następnie odstąpił od niego na krok i gdy wreszcie znalazł się w takiej odległości, że nie czuł już jego nieprzyjemnego oddechu, powiedział:

— Sądzę, panie Fribourg, iż jeden z nas oszalał. A ponieważ pan jest pasażerem na tym statku, a ja otrzymuję pieniądze za to, żeby odnosić się do pana z szacunkiem, uznaję, że tą osobą muszę być ja.

— Nie podoba się panu mój pomysł?

— Nieważne, czy mi się podoba, czy też nie. On jest po prostu nie do zrealizowania. Poza tym wstrętem napawa myśl, że miałbym wynosić deski klozetowe z apartamentów pasażerów tego transatlantyku. Panie Fribourg, ja tutaj jestem płatnikiem, a nie hydraulikiem.

— Wiem — przytaknął pan Fribourg. — Wiem też, że był pan płatnikiem na statku

„Callipigic” z 1912 roku, prawda?

— No i co z tego?

— Co z tego? Zaraz panu powiem. „Callipigic” zatonął w październiku tego właśnie roku.

Szczęśliwie nikt nie utonął, ale morskie otchłanie bezpowrotnie pochłonęły bezcenny ładunek, pięć tysięcy funtów opium, potrzebnego brytyjskiemu przemysłowi farmaceutycznemu do produkcji morfiny, laudanu i tym podobnych. A kogo widziano w Singapurze, zaledwie tydzień później, w towarzystwie Kim Lima, handlarza opium? Czy przypadkiem nie pana?

— Niech pan uważa na słowa — powiedział Monty Willowby niepewnie. — Mógłbym nakazać, żeby zamknięto pana w kajucie za te bezczelności.

— A ja mógłbym spowodować zamknięcie pana w więzieniu Jego Królewskiej Mości, panie Willowby, i to na długo... Drobnych kradzieży nikt nie ma panu za złe, ale wszystko ma swoje granice. Mógłbym wymienić panu kilkanaście nazwisk ludzi, którzy daliby mi bardzo wiele pieniędzy na informację, co stało się z ładunkiem „Callipigica”. Sądzę, iż dyrektorzy Keys Shipping zajmowałiby na tej liście poczesne miejsce.

Monty Willowby wyciągnął z kieszeni czystą białą chusteczkę.

— A więc o to chodzi — stwierdził. Najwyraźniej nie spodziewał się po Fribourgu żadnej odpowiedzi, bo po chwili kontynuował: — Deski klozetowe, mówi pan?

Fribourg pokiwał głową.

— No cóż — powiedział Monty. — Będę musiał to przemyśleć. Nie jest to łatwa sprawa.

Muszę opracować plan, całą strategię, jak pozbierać te sedesy z kajut.

— Tylko niech pan nie straci za dużo czasu na samo myślenie — ostrzegł go Fribourg.

— Nie martw się pan — warknął Monty. — Dawałem sobie radę z większymi problemami.

Głęboki i dźwięczny gong, który rozlegał się w Grand Lounge, oznajmił gościom, że podano kolację. Sir Peregrine poprowadził Catrionę do salonu jadalnego w pierwszej parze. Za nim szedł

Edgar Deacon z księżną Xenią, a po Hich z kolei czerwony na twarzy Rudyard Philips, prowadzący mademoiselle Narron. Mark Beeney wszedł do jadalni w towarzystwie Marceli Conroy.

— Jesteś taka spięta — zauważył. — Co się stało?

— A jak myślisz? — odparła Marcia. — Czy uważasz, że nie spostrzegłam, jakim maślanym wzrokiem wodzisz za tą dziewczyną od Keysów? Bardzo mnie to krępuje.

— Dlaczego? Przecież to śliczna, słodka dziewczyna.

— Doskonale wiesz dlaczego.

Mark westchnął.

— Chyba nie rozumiesz, że panna Catriona Keys już wkrótce odziedziczy poważną liczbę akcji tej kompanii żeglugowej. Muszę żyć z nią w zgodzie.

— Zdarzyło mi się już wysłuchiwać mniej wykrętnych odpowiedzi.

— Marcia, ja nie muszę się wykręcać! Nie muszę się tłumaczyć ani przed tobą, ani przed nikim innym. Nie rozumiem, dlaczego nagle stałaś się taka zaborcza! Zdaje się, że zawsze żyliśmy na przyjacielskiej stopie. Co cię nagle napadło? Wiesz, jakie uczucia żywię wobec ciebie. Nic się nie zmieniło.

— Nie posłałaś mi orchidei dzisiaj wieczorem.

— Nie, ale posłałem ci gardenię. Jaka różnica?

Marcia skrzywiła się.

— Różnica jest taka, że jestem zazdrosna, to wszystko. — Ciężko westchnęła. — No, nareszcie odważyłam się ci to powiedzieć.

Mark popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Zazdrosna? Niby z jakiego powodu? Poza tym wydaje mi się, że nie jesteś typem zazdrośnicy. Jeszcze nie słyszałem, żeby Marcia Conroy była kiedykolwiek o kogokolwiek zazdrosna.

Marcia na chwilę zamknęła oczy, po czym otworzyła je i popatrzyła na Marka z wyrzutem, jakiego jeszcze nigdy w jej spojrzeniu nie widział.

— Nigdy ci tego dotychczas nie powiedziałam i jeżeli zapytasz mnie o to jutro, nie wyznam tego nawet na mękach, a jednak jestem zakochana od pierwszej chwili, w której cię ujrzałam.

Chyba nie sądzisz, że jestem kobietą zdolną do zrzucenia lodów truskawkowych na spodnie pierwszego lepszego mężczyzny, który się nawinie. Kocham cię, Mark, kocham cię tak, jak jeszcze nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny, nawet Woofiego Thomasa.

Zamilkła na chwilę, ale głęboko odetchnawszy, kontynuowała.

— Nie wyznałam ci tego do tej pory tylko dlatego, że wiedziałam, iż jeśli to usłyszysz, stracę cię na zawsze. To wszystko. A teraz złam mi serce i zabawiaj się dalej z panną Keys.

— Marcia, przecież ona jest jedynie niewinną, słodką dziewczynką.

— Wiem, kochanie. Wiem, jaka jest słodka i niewinna, i widzę, jaki masz apetyt na tę niewinność. Nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie zanurzysz twarz w jej olbrzymich piersiach, prawda? Powinnam przewidzieć, że prędzej czy później zadurzysz się w dziewczynie takiej jak ona. Freud coś by ci na ten temat powiedział. Zresztą, nie tylko Freud. Twoje skłonności są aż nadto widoczne.

— O czym ty mówisz, do diabła?!

— Och, Mark, przede mną nie musisz udawać. Jeżeli ona ci się podoba, idź i podbij jej serce.

Nie jestem w stanie cię powstrzymać. Pamiętaj jednak, że ja również znajduję się la tym statku i naprawdę nie lubię, jak mnie ktoś publicznie poniża.

Mark doprowadził ją wreszcie do kapitańskiego stolika przysunął jej krzesło.

— Przecież to ty sama wprosiłaś się na ten statek — powiedział. — Pamiętam również, co mówiłaś mi w Wenecji. Chyba pamiętasz tę noc w Wenecji w Grand Luxe Hotel?

— Miałaś na sobie szarą jedwabną pidżamę.

— A ty nie miałaś na sobie kompletnie nic.

Marcia zawahała się, po czym usiadła i uprzejmie skinęła głową baronównie Zawiszy, ubranej w niebieską suknię z głębokim dekoltem. Na jej piersi opadał potrójny naszyjnik z wielkich, różowych pereł. Sabran, wystrojony w białe spodnie i nie mający na nogach skarpetek, stał z ponurą miną za jej krzesłem.

Dotknąwszy dłonią policzka Marka, Marcia wyszeptała:

— Powiedziałam ci tej nocy, że jesteśmy dwoma stworzeniami żądnymi absolutnej wolności, kochankami raczej z przypadku niż z przeznaczenia. Że jesteśmy jak dwa płatki śniegu wirujące w nocy, czasami dotykające się, czasami oddalone od siebie, unoszone swobodnie przez wiatr.

— Właśnie. Dokładnie to mi powiedziałaś.

— I wierzyłeś mi?

— Dlaczego nie?

— Jeżeli nie wiesz, dlaczego nie powinieneś był mi wtedy uwierzyć, słabo znasz kobiety. Mój Boże, Mark, ty nie zdajesz sobie sprawy, jakim jesteś wspaniałym, przystojnym mężczyzną.

— Marcia — syknął Mark, nagle zrozumiałwszy, że baronówna Zawisza i jeszcze kilkoro innych

gości z nie skrywaną fascynacją przysłuchuje się jej słowom. — Marcia, nie czas teraz ani miejsce. Porozmawiamy później.

Marcii nie zmieszały ani słowa Marka, ani spojrzenia licznych pasażerów.

— Sądzę, że nie będzie żadnego później. W końcu masz na głowie inne, o wiele ważniejsze sprawy — powiedziała. Ujęła dłoń Marka i przycisnęła ją do swoich ust.

— Przestań! — warknął.

Baronówna Zawisza rozeźmiała się głośno i zaczęła klaskać. Mark wyrwał swoją dłoń z ręki Marcii i na krótką chwilę napotkał spojrzenie Catriony, siedzącej obok sir Peregrine'a.

Catrionę posadzono przy stole naprzeciwko George'a Weltermana i obok (po jej lewej ręce) Douglasa Fairbanksa. Podczas gdy Douglas Fairbanks zabawiał towarzystwo rozlicznymi głośnymi opowieściami, Catriona miała czas, aby uważnie przyjrzeć się Weltermanowi. Był

wysokim mężczyzną o wielkiej głowie i twarzy pokrytej zmarszczkami, a mimo to był na swój sposób atrakcyjny. W jego jasnoniebieskich oczach czały się młodzieńcze iskierki, które sprawiały wrażenie, że to dwudziestoletni chłopak za pomocą makijażu i siwej peruki przebrał

się za starszego mężczyznę. Na palcu nosił jeden pierścień: ciężki sygnet z dwudziestoczerokaratowego złota.

Skończywszy opowiadanie kolejnej ze swoich historyjek, Douglas Fairbanks zwrócił się ku Catrionie i uniósł w górę kieliszek z szampanem.

— No, ale dosyć się już nagadałem — stwierdził. — Chyba nadszedł czas, abyśmy usłyszeli kilka słów od naszej ślicznej gospodyni, prawda? Nie odpłynęliśmy jeszcze zbyt daleko, lecz już teraz muszę stwierdzić, że ta podróż jest jednym z najwspanialszych wydarzeń w moim życiu na przestrzeni wielu ostatnich lat, włączając w to kręcenie *Trzech muszkieterów* w roku 1921.

Proponuję wnieść toast za pannę Catrionę Keys, najwspanialszy klejnot w najwspanialszej oprawie, jaką jest „Arcadia”.

— Wypiję za to — powiedział George Welterman i również wznosił kieliszek. Miał niski, tubalny, ale bardzo wyraźny głos. — Moim zdaniem ta linia żeglugowa ma obecnie wielką przewagę nad konkurencją. Ma najpiękniejszą na świecie właścicielkę i dysponuje najpiękniejszym statkiem.

Catriona popatrzyła na Edgara i stwierdziła, że już od dłuższego czasu się jej przyglądał.

Kiedy George Welterman sięgnął ponad stołem po jej dłoń, aby ją pocałować, Edgar uśmiechnął się do siebie i wypił szampana z takim entuzjazmem, jakby czegoś sobie gratulował.

— Chyba pan przesadza — powiedziała Catriona do George'a Weltermana. Nie rozumiała, z czego Edgar jest taki zadowolony.

— Zapewniam panią, że nie leży w moim zwyczaju prawienie przesadnych i zbędnych komplementów — odparł Welterman.

— Słyszeliście to? — zawołał Douglas Fairbanks. — Myślę, że wypada uwierzyć na słowo temu dżentelmenowi!

— Jak się panu podoba Irlandia, panie Welterman? — zawołała Catriona, jakby od niechcienia, używając wyniosłego tonu. George Welterman z miejsca wyczuł, że dziewczyna zamierza trzymać go na dystans, toteż spróbował zniweczyć jej plany.

— Niech mi pani mówi po imieniu, dobrze? — powiedział. Wbijał w Catrionę wzrok, w ogóle nie mrugając oczyma i sprawiając, że odnosiła wrażenie, iż widzi jej nagie ciało poprzez materiał

sukni. Może jest nawet jeszcze bardziej przenikliwy i zagląda do jej mózgu? Spojrzała na chwilę w bok, kiedy jednak znów popatrzyła przed siebie, George Welterman wciąż przeszywał ją nieprzyjemnym, świdrującym spojrzeniem.

— Zgoda, George — powiedziała z nikłym uśmiechem na ustach, który natychmiast zgasł.

— Czy był pan w Irlandii w interesach, czy po to, żeby się napić Guinnessa? — zapytał

Douglas Fairbanks.

— Jeśli chodzi o mnie osobiście, nie potrafię wymyślić żadnego sensownego powodu, który tłumaczyłby jakąkolwiek wizytę w Irlandii — wtrącił sir Peregrine i nagle przypomniał sobie, że siedzi przecież obok pana O'Hary z irlandzkiego banku. Na szczęście pan O'Hara najwyraźniej rażony był w głębokiej dyskusji, omawiając z żoną pana Johna D. Rappermeyera różne sposoby pielęgnowania rododendronów i nie usłyszał wypowiedzi kapitana. Albo przynajmniej tylko dyplomatycznie tak udawał.

— Niestety, nie mam czasu na żadne inne podróże niż w interesach — powiedział George Welterman. — Od dwudziestu lat nie miałem wakacji i wątpię, czy skorzystał — gdyby mi je teraz oferowano. Co nie znaczy, że nie zwiedzać krajów, w których robię interesy. W Irlandii oddano mi do dyspozycji automobil, dzięki czemu zwiedziłem całkiem spory kawałek wybrzeża.

— Tak, zachodnie wybrzeże Irlandii jest takie romantyczne — zauważył Douglas Fairbanks.

— Ale pełne urwisk i bardzo niebezpieczne.

— W rzeczy samej uważam je za przerażające — powiedział George.

— Nie potrafię sobie wyobrazić niczego, co by pana przeraziło — stwierdziła Catriona figlarnie.

— Och, nie mam na myśli przerażenia w potocznym rozumieniu. Ani przez chwilę nic mi nie groziło. A Irlandczycy to bardzo przyjazny naród, być może nawet są bardziej otwarci wobec Amerykanów niż wobec Anglików.

— George, czy ty naprawdę nigdy nie wypoczywasz? Nie miewasz wolnego czasu, nie masz, poza pracą, żadnych zainteresowań, żadnego hobby? — zapytała Catriona.

— Czy zmartwiłabyś się, gdybym odpowiedział na to pytanie twierdząco?

— Tak, chyba tak. Skoro nigdy nie wypoczywasz, to nie potrafisz spojrzeć świeżym okiem na swoje interesy.

— Nie masz racji. Ale... Myślę, że nie potrafisz tego zrozumieć.

— Czy był pan kiedykolwiek żonaty? — zapytał Douglas Fairbanks.

— Nie — odparł George. — Ale byłem zakochany. — Tylko raz?

— Tak.

— Czy nie wie pan, że miłość jest podstawowym narzędziem, które służy do regulowania ludzkiego samopoczucia?

George uśmiechnął się, jednak nie odpowiedział mu bezpośrednio.

— Nazywała się Myrtle Greensleeves — odparł.

— Myrtle Greensleeves, ta wspaniała aktorka filmowa? — zawołał Douglas Fairbanks. —

Poważnie?

— Tak, naprawdę — powiedział George Welterman. Na jego twarzy tkwił wyraz śmiertelnej powagi.

— Hej, kochanie. — Douglas Fairbanks zwrócił się do Mary Pickford. — Słyszałaś? Nasz obecny tutaj przyjaciel był zakochany w Myrtle Greensleeves.

— Och, rzeczywiście — zawołała Mary Pickford, a jej twarz rozjaśniła się. Zaraz jednak zmarszczyła czoło. — Ale ona przecież...

George Welterman przez chwilę starannie układał widelec i nóż obok swojego talerza.

— Tak — rzekł. — Samoistny zanik mięśni. Tak to nazwali lekarze. Gasła na moich oczach.

— Była taka piękna — powiedziała Mary Pickford. Była wyraźnie zmieszana, dlatego nie przyszło jej do głowy nic mądrzejszego.

— Tak — zgodził się George. Była piękna i utalentowana, i zapewne dlatego ją pokochałem.

Są ludzie, dla których każde kolejne zauroczenie jest wielką miłością. Dla mnie wielką i jedyną prawdziwą była tylko miłość do Myrtle.

— To bardzo romantyczne słowa — powiedziała Catriona bez sarkazmu.

— Romantyczne? — zdziwił się George Welterman. — Chyba nie. Nie jestem romantykiem, panno Keys. Po prostu jćówię, jak było.

— Nigdy o tym nie słyzałem — przyznał Douglas Fairbanks. — Czy Myrtle, to znaczy...
chciałem zapytać, co się z nią stało.

— Wciãz żyje, jeśli o to panu chodzi. Znajduje się w sanatorium w górach Santa Catalina w Arizonie. Nie poznałby pan jej...

— Czy czasami ją odwiedzasz? — zapytała Catriona.

George przecząco potrząsnął głową.

— Wymogła na mnie obietnicę, że nie będę jej oglądał. Ostatnim razem, gdy ją widziałem, była bardziej podobna do szkieletu niż do żywego człowieka. W tej chwili może jedynie leżeć w łóżku i oglądać swe stare filmy. Patrzy na nie po kilka razy dziennie. Czy pamiętacie *Bitter Roses*? Kiedy kręciła ten film, po raz pierwszy ją zobaczyłem. Teraz ogląda go szczególnie często.

Z kuchni zaczęli wyłaniać się stewardzi z gorącymi potrawami. Catriona popatrzyła na George'a i powiedziała:

— Rozmawiajmy już o czymś innym. Wyrażę chyba zdanie nas wszystkich, jeżeli powiem, że absolutnie nie mieliśmy zamiaru przywoływać tutaj twoich najsmutniejszych wspomnień.

— Nie jest mi smutno — stwierdził George. — Przynajmniej teraz wiem, że zrozumieliście, dlaczego nie korzystam z żadnych wakacji, urlopów i możliwości wypoczynku. Zrozumieliście, że taki człowiek również ma duszę.

Douglas Fairbanks zawołał głośno:

— Czy ktokolwiek z państwa próbował przebiec jak najszybciej pięćdziesiąt stóp z pomarańczą między kolanami?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dokładnie o północy, gdy bankiet dobiegał końca, sir Peregrine poprosił wszystkich o uczczenie minutą ciszy pamięci Stanleya Keysa. Uczestnicy przyjęcia powstali z głowami opuszczonymi, a Catriona zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie najszcześniejsze chwile, jakie spędziła z ojcem. Dzień jego pogrzebu przeminął. Jutro minie tydzień od dnia jego śmierci.

Czas biegnie do przodu nieubłaganie, nic nie jest i nigdy nie będzie w stanie go zatrzymać.

W salonie jadalnym drugiej klasy skończono jeść prawie pół godziny wcześniej i teraz goście tańczyli walce, grane dla nich przez sextet Teda Bagleya. Stewardzi podawali panom

dwugwiazdkowy koniak i cygara, a paniom czekoladki i cukierki.

W salonie klasy trzeciej, znajdującym się na najniższym pokładzie pasażerskim, powietrze gęste było od dymu tytoniowego, a pasażerowie tańczyli conge*. Bar serwował whisky, lemoniadę i pięć różnych rodzajów butelkowego piwa. Ścisk i gwar panował tutaj taki, że z trudem było słyszeć muzykę, a prowadzenie jakichkolwiek rozmów było prawie niemożliwe.

Harry Pakenow niemal całą kolację przegadał z francuskim nauczycielem, komunistą, który miał zajęczą wargę i niemal dosłownie pamiętał treść wszystkich dzieł Karola Marksa.

Nauczyciel przekonany był, że dyktatura proletariatu jest najdoskonalszym lekarstwem na wszystkie nieszczęścia tego świata, i twierdził, że zrobi w życiu wszystko, czego tylko będzie od niego wymagała sprawa rewolucji. Słyszając ową deklarację, Harry jedynie nieznacznie się uśmiechnął. Nie mógł przecież powiedzieć nauczycielowi, że w bagażniku Marka Beeneya, stojącego w ładowni na „Arcadii”, umieścił trzydzieści lasek dynamitu, i nie mógł go także zapytać, czy gotów byłby poświęcić w ten sposób życie dla sprawy; tymczasem bez wątpienia jedna bomba warta była więcej niż miliony ulotek, które były głównym orężem walki rewolucyjnej Francuza.

Gdy ścisk i hałas w salonie stały się już nie do zniesienia, Harry wyszedł na pokład spacerowy i stanął przy burcie, wpatrując się w bezkresny ocean. W jednej ręce trzymał papierosa, a w drugiej butelkę piwa. Mimo że statek owiewany był przez południowo — zachodni wiatr, noc była ciepła i niezwykle jasna z setkami gwiazd, oświetlających nocne niebo. Ich widok zapierał

dech w piersiach tym pasażerom, którzy przekraczali Atlantyk po raz pierwszy. Wydawały się błyszczeć tak nisko nad głowami, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, aby ich dotknąć.

Ocean był wyjątkowo spokojny, toteż najodleglejsze z nich widoczne były niemal na linii horyzontu.

Harry oparł się o barierkę i popatrzył w kierunku promenady pierwszej klasy, gdzie po raz pierwszy tego popołudnia ujrzał Lucille Foster. Miał nadzieję, że kiedy jego dynamit wybuchnie, Lucille znajdzie się pod opieką kogoś, kto do końca zachowa zimną krew i czym prędzej zabierze ją do łodzi ratunkowej. Oczywiście, nie sposób było zapobiec zatonięciu wielu pasażerów, jednak Harry miał nadzieję, że Lucille nie będzie wśród nich. Niemal do końca wypalił papierosa, a potem wyrzucił niedopałek za burtę.

W półmroku usłyszał czyjś wesoły śmiech. Początkowo nie zwrócił na niego uwagi, lecz po chwili jego oczom ukazała się Philly. Ciągnęła za sobą drobną blondynkę o małym nosku i dużych brązowych oczach.

— Ach, to ty — powiedziała, ujrawszy Harry'ego.

* Conga — groteskowy taniec zespołowy.

— Tak, to ja — odparł Harry. — A to dziewczę obok ciebie to zapewne twoja przyjaciółka, Lydia.

— Nie mówiłam ci? — Philly zapytała Lydię. Miała na sobie srebrną sukienkę, ciasno przylegającą do ciała. — Spójrz, jaki on jest przystojny. Prawda, że jest niezwykle przystojny?

Lydia wyciągnęła do Harry'ego drobniutką dłoń.

— Rzeczywiście, masz rację — powiedziała do Philly i zaczęła chichotać.

— Słyszałem, że cierpisz na chorobę morską — zauważył Harry.

— Cierpiałam — potwierdziła — ale to minęło. To było takie straszne... Bez przerwy wymiotowałam, myślałam, że umrę. Ale teraz czuję się już znacznie lepiej. Myślę, że to wszystko było spowodowane przez pastę mięsną, którą zjadłam na promie z Francji. Nie wiem, co Anglicy ładują do takich mielonych potraw. Może mięso z psów i koni jednocześnie. Ale, w każdym razie, mam to już za sobą.

— Dlaczego obie nie tańczycie?

— Och, nie lubimy congi — odparła Philly. — Wolimy romantyczne spacerunki po pokładzie.

Zapadła chwila milczenia.

— Wiesz, masz bardzo zabawny akcent — powiedziała wreszcie Lydia do Hardego.

— To dlatego, że mieszkałem w Anglii przez ostatnie cztery lata — wyjaśnił. Wypił resztę piwa i otarł usta rękawem. — To taki liverpoolski akcent, który nabywa się zupełnie nieświadomie, podobnie zresztą jak liverpoolskie poczucie humoru. Czy wiesz, jak nazywają tam czarnoskórych? Mówią, że to uwędzeni Irlandczycy.

Lydia znów zachichotała. Harry uniósł pustą butelkę i powiedział:

— Może powinniśmy umieścić w tej butelce jakąś wiadomość i wrzucić ją do morza? Może wyłowi ją jakiś rozbitek, nudzący się na bezludnej wyspie, i dowie się, jak miło spędzamy czas w tej podróży?

— Nie mówiłam ci? — znów zapytała Philly, zwracając się do Lydii. — To morowy gość.

— Idźcie do salonu, bawcie się — zachęcił je Harry. — Bo jeśli chodzi o mnie, to mam zamiar popatrzeć trochę na gwiazdy, wypić jeszcze jedną butelkę piwa i iść spać.

— A może poszedłbyś z nami do naszej kabiny? — zaproponowała Philly. — Mamy butelkę wody ognistej, którą kupiliśmy jeszcze w Calais we Francji. Prawdziwy francuski koniak z winogron.

— Nikogo więcej nie ma w waszej kajucie?

— Była jeszcze jedna dziewczyna, Lorna, ale przeniosła się do swoich przyjaciółek. To chyba jakieś pływaczki i nie rozmawiają ze sobą o niczym innym, jak tylko o pływaniu. Harry jeszcze dłużej się zastanawiał. Właściwie nie miał nic innego do roboty, mógł z powodzeniem iść z dziewczętami. Alternatywą było wypicie kolejnego ciepłego piwa i pójście do kabiny, którą dzielił z dwoma litewskimi studentami i niemieckim muzykiem. Albo powrót do salonu, gdzie spoceni,

niedomyci ludzie tańczyli conge? Harry poczuł nagłe zniechęcenie. Jak ci ludzie mogą obalić rządy burżuazji, skoro wystarczy im trochę muzyki i alkoholu, aby bawić się, zapominając o bożym świecie. Ściągnął okulary i dwoma palcami potarł nos. Poczł już jutrzejszego kaca, który go nie ominie, jeżeli da się namówić na wspólną zabawę z dziewczętami.

— W porządku — powiedział do nich. — Na tym statku nie ma dla mnie niczego lepszego niż wasze towarzystwo.

Objął obie dziewczyny i ruszyli wzdłuż pokładu. W kątach i co ciemniejszych zakamarkach obejmowało się czule wiele par, pomrukując niczym mewy przed świtem, a na jednej z twardych ławek francuski nauczyciel — komunista, trzymając dłoń w dłoni swej kruczowłosej żony i paląc papierosa, demaskował przed nią słabe strony filozofii Hegla. Jakiś mężczyzna, który sprawiał

wrażenie dezertera z Legii Cudzoziemskiej, wpatrywał się w fale i nucił jakąś smutną piosenkę.

Harry pomyślał, że ten mężczyzna zadał już w życiu wielu ludziom ból i jest gotów postąpić tak jeszcze nie raz.

W kabinie Philly stały dwa drewniane, piętrowe łóżka i umywalka, którą można było schować w ścianę, kiedy jej nie używano. Pomiędzy parterowymi łózkami rozstawiony był składany stolik. Pod sufitem biegły trzy grube rury. Philly była pewna, że jedna z nich dostarczała ciepłą wodę do łazienek pierwszej klasy, gdyż co jakiś czas jakby się w niej coś gotowało i stawała się bardzo gorąca. Do ściany, pomalowanej na kremowo, Lydia przylepiła za pomocą gumy do żucia fotografię uśmiechniętego młodego mężczyzny, ubranego we wprost niewyobrażalnie szerokie spodnie.

— Zdejmij marynarkę — powiedziała Philly do Harry'ego. — Możesz czuć się u nas jak we własnym domu. — Sięgnęła pod materac swojego łóżka i wyciągnęła do połowy opróżnioną butelkę koniaku z napisem „Les Trois Mers” na etykiecie. — Oto i nasz pocieszyciel —

powiedziała, odkręcając nakrętkę. — Chociaż jeden Bóg tylko wie, dlaczego dano mu nazwę „Trzy matki”.

Lydia zdjęła buty, podciągnęła jasnoniebieską sukienkę i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przypominając w tej pozycji małego, jasnowłosego elfa.

— Proponuję — zawołała — żebyśmy wypili koniak, a potem zagrali w butelkę.

Philly wyciągnęła szczotecznię do zębów ze szklanek, stojących przy umywalce, po czym do połowy napełniła je koniakiem.

— Salut! — zawołała, uderzając swoją szklaneczką w szklanę Harry'ego i wychylając ją niemal do dna. Po chwili z załzawionymi oczyma wystękała: — We Francji mówią „na zdrowie”, prawda?

Harry pił o wiele wolniej. Nie przepadał za koniakiem, musiał jednak przyznać, że rozgrzewa go szybciej niż piwo.

— Jeżeli będziesz piła tak szybko — powiedział do Philly — zaczniemy grać w butelkę już za

— spojrzał na zegarek — za trzy minuty.

— Usiądź — poprosiła go Philly, a gdy to uczynił, natychmiast wskoczyła mu na kolana.

Podciągnęła suknię tak wysoko, że ujrzał skrawek jej majtek. — Podobasz mi się — powiedziała i pocałowała soczewki jego okularów, pozostawiając na nich ślady szminki. Ciało Philly było ciepłe, a dziewczyna pachniała jakimiś tanimi perfumami o zapachu kwiatów, których Harry uznał za podniecający. Pocałowała go w usta, raz, potem drugi, a gdy przywarła do jego ust po raz trzeci, nie odsunęła się już, lecz wsunęła język pomiędzy jego wargi i zaczęła przesuwając nim po jego zębach. Delikatnie ugryzł ją.

— Och! — jęknęła Philly.

— Mam nadzieję, że też będę się mogła z wami pobawić — powiedziała Lydia. — Teraz wiecie, dlaczego chciałam grać w butelkę. To jest przynajmniej sprawiedliwe.

Ani Philly, ani Harry nie zareagowali.

Pochyliwszy się, Lydia ściągnęła przez głowę sukienkę i rzuciła ją w poprzek kabiny.

Następnie z dzikim okrzykiem, ubrana jedynie w bieliznę i pończochy, skoczyła do Harry'ego i zaczęła całować jego uszy.

— Och, daj mi spokój! — zawołał Harry. — Przestań, mam łaskotki. Lydia, zejdz ze mnie!

Nie pomogło to jednak i cała trójka padła na podłogę.

Śmiejąc się i bez przekonania protestując, Harry udawał, że chce odpędzić od siebie dziewczyny. Oczywiście, musiał tę walkę sromotnie przegrać. Z okrzykami triumfu na ustach dziewczyny rozpięły pasek u jego spodni (kupiony w sklepie, w którym pracowała Janice), a następnie ściągnęły je z niego. Potem zerwały Harry'emu majtki i oczom ich ukazał się jego ciemnoczerwony sztywny penis.

— Eureka! — zawołała Philly.

To, co nastąpiło potem, trwało z krótkimi przerwami kilka godzin. Zakończyło się, gdy przez iluminator wtargnęły do wnętrza kabiny pierwsze promienie wschodzącego słońca. Przez większość czasu w kajucie było cicho i mimo że uprawiano seks, chwilami bardzo wyuzdany, był

on tak radosny i spontaniczny, iż Harry nie czuł wyrzutów sumienia. Najpierw wsiadła na niego Lydia, gdy tymczasem Philly całowała go i rozpięła koszulę. Lydia ujeżdżała go tak namiętnie, cicho pojękując, iż Harry'emu nie pozostało nic innego, jak zamknąć oczy i leżąc na plecach, cieszyć się tym, co się z nim dzieje. Gdy wystrzelił spermą w Lydię, ta zeszła z niego i zajęła się nim Philly. Ruchliwym językiem zlizwała z jego penisa to, co pozostało z jego zmagania z Lydią, a potem jeszcze całowała go i lizwała tam, gdzie nigdy dotąd nie dotykała go żadna kobieta. W

końcu Harry nie wiedział już, czy powinien być zadowolony, czy się sprzeciwiać. Rozkosz wzięła jednak górę. A potem jego penis znów stwardniał, z czego Philly skwapliwie skorzystała, ujeżdżając go tak, jak przedtem Lydia.

W chwili gdy niebo zaczynało rozjaśniać się ponad szklanym dachem Grand Lounge, Mark Beenej tańczył ostatniego walca z Catrioną, pewnie prowadząc ją po mokrym od rozlanego szampana parkiecie, pełnym wdeptanych w niego kwiatów i porozbijanego szkła, skrzypiącego pod butami.

Nigdzie nie było widać Marcii Conroy. Godzinę wcześniej powróciła do swojej kajuty, zażyła trzy aspiryny i padła na łóżko, zbyt pijana i zbyt zniechęcona do wszystkiego, żeby płakać. Nie było też George'a Weltermana. Dyskretnie, po jednym sztywnym tańcu z Catrioną, a potem jeszcze z księżną Xenią, wycofał się z sali i powrócił do kabiny. Nie poszedł jednak do łóżka. O

drugiej trzydzieści nad ranem zadzwonił na stewarda i poprosił o szklanekę gorącego mleka. O

czwartej zażądał sporego zapasu papieru do pisania. Kiedy Mark tańczył z Catrioną w Grand Lounge, George Welterman przy jednym z iluminatorów swej kabiny, ubrany w kasztanowy porannik, stał, wpatrując się w przestrzeń i paląc grube cygaro. Jego pocięta zmarszczkami twarz wydawała się w tej chwili jeszcze bardziej pomarszczona niż zazwyczaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tejże nocy doszło jeszcze do wielu spotkań. Niektóre spośród nich były fatalne w skutkach lub absurdałne, a jeszcze inne po prostu trywialne; wszystkie jednak na swój sposób miały w sobie coś dramatycznego. Broszury promocyjne, które otrzymali przed rejssem pasażerowie

„Arcadii”, nie pozostawiały wątpliwości, że uczestniczą oni w wydarzeniu, które kreuje historię marynistyki, toteż każdy z nich pragnął uczynić podczas tej przeprawy przez Atlantyk coś, co będzie miało też wielkie znaczenie dla jego własnego życia, co będzie można wspominać do śmierci.

Pan Joe Kretchmer, prezes Wisconsin and Agricultural Insurance Company, niski, łysy i dobroduszny mężczyzna, przedstawiony został panu Duncanowi Wilkesowi, wydawcy gazet z Anderson w stanie Indiana. Pan Wilkes miał sześć stóp i cztery cale wzrostu oraz wielkie mięsiste uszy, które przybierały szkarłatną barwę, kiedy słońce oświetlało je od tyłu. Mówił

bardzo powoli, przez co niemal każda jego wypowiedź przeradzała się w długie i nudne przemówienie. Jego gazety wprost roiły się od ogłoszeń o wystawach kwiatów, pogrzebach, ślubach, urodzinach i wszystkich innych wydarzeniach, o których mieszkańcy Anderson chcieli informować swoich sąsiadów.

— W małej społeczności gazety można sprzedawać tylko pod takim warunkiem, że pisze się o niej samej — mawiał Duncan Wilkes. — Tutaj nikogo nie interesuje wielka polityka i wydarzenia z dalekiego świata. Kładzenie nacisku właśnie na nie to najlepsza droga do szybkiej plajty.

Kretchmer i Wilkes mieli ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Kretchmer kochał swoją żonę, pięć córek oraz, a może przede wszystkim, swoje konie. Wilkes był nieprzejednanym wrogiem kobiet.

Nienawidził ich i przebywał prawie przez cały czas w pomieszczeniu klubowym przeznaczonym wyłącznie dla mężczyzn, wygodnie rozpostarty w wielkim skórzanym fotelu.

Obaj jednak, Kretchmer i Wilkes, byli łakomczuchami i obżartuchami, zdolnymi zjeść więcej, niż można sobie wyobrazić.

Stwierdziwszy, że Wilkes w skupieniu wlał w siebie trzy pełne talerze zupy żółwiowej, a potem zjadł pięć grubych pająd chleba, posmarowanego pasztetem z zająca i trzy porcje pieczonego drobiu, Kretchmer podszedł do niego i poklepał go po plecach.

— Zechce mi pan wybaczyć moją poufność — powiedział — ale wygląda na to, że jesteśmy osobnikami o podobnych sercach... A jeśli nie sercach, to przynajmniej żołądkach.

Wilkes połknął ostatni kęs kaczej piersi i otarł usta.

— Bardzo lubię dobrze zjeść, proszę pana, jeżeli o to chodzi. Moja matka była jedną z najznakomitszych kucharek w całym hrabstwie Madison w stanie Indiana; między innymi dlatego właśnie ożenił się z nią mój ojciec. Wychowywano mnie więc na człowieka, który musi dobrze i dużo zjeść. Ciasteczka, które wypiekała moja matka, przypominały raj na talerzu, tak zwykle mawiał mój ojciec. Renata, mówił, te ciasteczka to raj na talerzu... i w ustach.

— Wspaniale, proszę pana — stwierdził Kretchmer. — Może w takim razie zgodziłby się pan na małeńki zakład pomiędzy nami, abyśmy obaj mogli jak najlepiej skorzystać z tych wszystkich doskonałych potraw, które kuchnia „Arcadii” przygotowała na tę podróż. Załóżmy się, iż zjem każdą potrawę z każdego posiłku, jaki zostanie podany na trasie od tej chwili, aż do momentu, kiedy przybijemy do Nowego Jorku? Idę o zakład, iż pan tej sztuki nie dokona?

— Nigdy pan nie wygra, panie Kretchmer — wtrącił się któryś z pasażerów. — Widziałem jadłospisy przygotowane na tę podróż i, niech mi pan uwierzy, jestem przekonany, że człowiek, który chciałby spróbować wszystkiego, musiałby w końcu pęknąć. Jeżeli uważa pan, że dzisiejszy bankiet to coś nadzwyczajnego, to niech pan tylko poczeka do jutra. Dostaniemy wielkiego pieczonego barana i piersi z bekasów w likierze pomarańczowym.

— Mimo to założę się, że potrafię zjeść po jednej porcji z wszystkiego, co poda kuchnia —

powiedział Wilkes, wycierając kawałkiem bułki sos z talerza. — Zresztą, prawdę mówiąc, miałem taki zamiar od samego początku, zakład zaś z panem Kretchmerem byłby naprawdę sympatycznym dodatkiem do tego wyczynu. Panie Kretchmer, dziękuję za propozycję, przyjmuję ją.

— Panowie, chyba nie chcecie zamienić tego stołu w kasyno gry!

— Ależ nie przeszkadzajmy im! — zawołał lord Willunshaw z końca stołu. — Panowie będą robić to, co lubią, a więc jeść bez umiaru, natomiast my będziemy mieli doskonałą rozrywkę, obserwując ich zmagania. Poza tym... stawiam dwadzieścia funtów na pana Kretchmera.

— Tak, niech się panowie założą! — zażądała Grace Bunyon, aktorka. — Lubię patrzeć, kiedy ludzie obżerają się jak świnie. To mi tak bardzo przypomina te wszystkie historyczne przyjęcia w

królewskich ogrodach!

— Może jednak nie...

— Do diabła, człowieku! Oni w końcu zapłacili za to jedzenie i nie powinieneś przeszkadzać im! — zawołał lord Willunshaw.

Dyskusja była zakończona. Kretchmer wyciągnął dłoń w kierunku Wilkesa, który przyjął ją i potrząsnął nią.

— Mam cię — powiedział cicho, bardzo cicho, Wilkes. Grace Bunyon opowiadała później komuś, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszała w dwóch słowach, wypowiedzianych niemal szeptem, tak straszliwej i realnej groźby; nawet gdy Herbert Beerbohm Tree grał Otella na scenach londyńskich teatrów.

Joe Kretchmer popatrzył Duncanowi Wilkesowi prosto w oczy i odezwał się głośno:

— Do dzieła.

Zadrżałby zapewne, gdyby usłyszał poprzednie słowa Wilkesa.

Tymczasem w pomieszczeniu klubowym dla mężczyzn doszło do kolejnego spotkania, które miało fatalne skutki. Przebywał tam przystojny, trzymający ręce w kieszeniach, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w trochę podniszczony garnitur. Krążył od stolika do stolika, z pozoru nonszalancko, bez celu. Tylko uważny obserwator mógłby spostrzec, że mężczyzna powoli, lecz systematycznie zbiera ze stolików kanapki z serem i wpycha je do ust, pochłaniając je z taką żarłocznością, jakby podczas bankietu w ogóle niczego nie jadł. I tak było w rzeczywistości, ponieważ nie przygotowano dla niego miejsca przy stole. Mężczyzna ten nazywał się Maurice Peace i z zamiłowania oraz z aktualnie uprawianego zawodu był hazardzistą. Dopiero dwie godziny temu wynurzył się ze swojej gorącej i dusznej kryjówki w jednej z szaf gospodarczych.

Podszedł do niego steward i zapytał, czy chciałby się czegoś napić. Maurice Peace zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

— Tak, poproszę pół butelki najlepszego koniaku. Sam zdecyduj, jaki mi podasz.

— Bardzo przepraszam, niech mi pan poda numer swojej kajuty — poprosił steward. —

Wydaje mi się, że pana nie rozpoznaję.

— Oczywiście, że mnie nie rozpoznajesz — oświadczył Maurice z uśmiechem na ustach. —

To dlatego, że podróżuję incognito.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Steward oblizał czubek swojego ołówka i poprosił jeszcze raz, odrobinę drżącym głosem:

— Numer pańskiej kajuty, sir...

Maurice pochylił się ku stewardowi i wyszeptał:

— B — mmmszszsz...

Następnie szybko się odwrócił i radośnie zawołał w kierunku pierwszego osobnika, którego ujrzał w obrotowych mahoniowych drzwiach:

— No, nareszcie, przyjacielu. Czekałem już na ciebie tak długo.

Steward, bojąc się, że za niepokojenie pasażera pierwszej klasy może go spotkać surowa kara, napisał na zamówieniu numer „B-13”, o którym przypadkiem wiedział, że należy do pani Zuckerman, wdowy po niedawno zmarłym milionerze. Pani Zuckerman rozdawała banknoty pięciodolarowe, jakby to były ulotki Armii Zbawienia, z całą pewnością więc nie narobił rabanu o koszt butelki koniaku.

Mężczyzną, którego tak jowialnie i niespodziewanie powitał Maurice Peace, był Mark Beeney, który tylko na moment wpadł do pomieszczenia klubowego, by sprawdzić, czy nie zostawił tutaj swojej ulubionej złotej zapalniczki. Od niechcienia mruknął „cześć, stary”, to jednak w zupełności wystarczyło Maurice’owi.

— Wspaniały był ten bankiet — powiedział, niby to zwracając się do Marka. — Naprawdę wspaniały.

Steward, nie w pełni usatysfakcjonowany przedstawieniem, które odegrał nieznany pasażer, wyszedł mimo to z salonu, aby zrealizować jego zamówienie. Mark podniósł tymczasem kilka poduszek, popatrzył nawet na kamienną półeczkę nad kominkiem i wreszcie odezwał się do Mauri —

— Czy nie widział pan przypadkiem złotej zapalniczki?

— Przykro mi, ale nie — odparł Maurice. — Sądzę jednak, że jeśli ktoś ją znalazł, to oddał ją do płatnika.

— Mam nadzieję — powiedział Mark. — Czy ja pana znam?

Maurice Peace wyciągnął do niego rękę.

— Spotkaliśmy się w Nowym Jorku trzy lata temu — skłamał. — Wątpię, żeby pan mnie pamiętał. Nazywam się Maurice Peace.

— Mark Beeney — przedstawił się Mark, potrząsając ręką Maurice’a. — Widzi pan, bardzo mnie martwi ta zguba. Ta zapalniczka to bardzo osobista pamiątka. A poza tym nie lubię gubić żadnych rzeczy. Co najwyżej, mogę bez sensu tracić pieniądze.

— Czy lubi pan hazard? — zapytał Maurice z nadzieją. — Wierzę w swoją szczęśliwą gwiazdę, jeżeli o to panu chodzi.

— Czy będzie pan brał udział w zakładach oficjalnie organizowanych na statku?

— Oczywiście. Chyba nie uważa pan, że właściciel American TransAtlantic zmarnuje szansę obstawienia dystansu, jaki jest w stanie pokonać w ciągu dnia flagowy okręt Keys Shipping. Czy nie wie pan, kiedy będą przyjmowali zakłady?

— Prawdopodobnie już za pół godziny — odparł Maurice. Czas i miejsce tego wydarzenia były jedną z niewielu wiadomości, jakimi dysponował o rejsie; zapytał o to jednego ze stewardów niemal natychmiast po wyjściu z kryjówki. Uczynił tak dlatego, że oficjalne zakłady mogły być źródłem większego dochodu dla doświadczonego hazardzisty niż jakiegokolwiek inne, na przykład organizowane samorzutnie gry na statku. Oficjalnie zakłady były powtarzającą się co noc aukcją, podczas której kupowało się dwanaście potencjalnie wygrywających numerów, a prowadzili ją w pomieszczeniu klubowym oficerowie i licytator wybrany spośród pasażerów.

Numery wyznaczał pierwszy oficer i odpowiadały przewidywanej na całą następną dobę liczbie mil, które przepłynie statek. Dodatkowo można było kupić „opóźnienie” i „przyśpieszenie”. Jeśli więc przewidywano, że „Arcadia” będzie płynąć z prędkością dwudziestu sześciu węzłów, to można się było spodziewać, iż pokona 624 mile morskie od północy do północy. W związku z tym sprzedawano numery od 619 do 629 oraz „przyśpieszenie”, które wygrywałoby, gdyby kompania zarządziła niespodziewanie zwiększenie prędkości, i „opóźnienie”, które z kolei wygrywałoby w przypadku awarii silników albo pogorszenia się pogody, powodującego konieczność zredukowania prędkości. Jeżeli licytator dobrze spełniał swoją rolę, stawka mogła przekroczyć nawet tysiąc funtów, co było równoważnością pięciu tysięcy dolarów. W tych czasach za siedem tysięcy dolarów można już było kupić nowoczesny, dwuosobowy, szybki samochód.

— Chyba pójdę jeszcze potańczyć — postanowił Mark. — Zapewne zobaczymy się później.

— Czy chciałby pan prywatnie założyć się ze mną o dystans, jaki pokona nasz statek? — zapytał Maurice.

Mark, który już niemal przeszedł przez drzwi, zawrócił i badawczo popatrzył na Maurice’a.

Był zupełnie pewien, że widział już kiedyś tego człowieka, ale nie miał najmniejszego pojęcia gdzie i kiedy. Maurice Peace miał bowiem pospolitą twarz, nie odznaczającą się niczym szczególnym, z której nie sposób dokładnie zapamiętać i którą trudno później całkowicie zapomnieć. Krótkie, brązowe włosy z przedziałkiem na środku (jak miliony mężczyzn), piwne i niewielki, pospolity nos. Również jego usta nie wyróżniały się niczym nadzwyczajnym. Nad górną wargą miał wąs, ale w owych czasach wielu mężczyzn zapuszczało takie wąsiki, przede wszystkim od momentu, w którym na ekranach kin pojawił się *Złodziej z Bagdadu*.

— W porządku, załóżmy się — postanowił Mark. — Czy sto dolarów będzie dobrą stawką?

— Pomnóżmy ją przez pięć — zaproponował Maurice. Miał w kieszeni sto dwadzieścia funtów, kwotę wystarczającą na poważny zakład lub na grę w pokera.

— Nie znamy jeszcze numerów — zauważył Mark. — Jakie to ma znaczenie? Oto moja propozycja: obojętnie jaki kupi pan numer w oficjalnych zakładach, wyższy czy niższy od przeciętnego, wygram pańskie pięćset dolarów, jeżeli będzie to przynajmniej o trzy mile za dużo.

Mark uśmiechnął się. Przez cały wieczór z przyjemnością wsłuchiwał się w niemal nieuchwytnie dla laika delikatne odgłosy harmonijnej pracy silników „Arcadii” i wiedział, że statek płynie bez żadnych przeszkód i szybko. Bardzo pragnął, aby ten transatlantyk stał się jego własnością i wszelka dotycząca go krytyka brzmiała w jego uszach prawie tak samo, jak zrzęczenie jego prawników, iż dziewczyna, z którą się właśnie spotyka, cieszy się opinią „zbyt szybkiej”. Maurice Peace nie miał o tym pojęcia i instynktownie zaproponował Markowi zakład, którego przyjęcia ten nie mógł odmówić.

— Znakomicie — oznajmił Mark. — Postawię więc pięćset dolarów. Z przyjemnością odbiorę je od pana.

Maurice Peace wziął ze stołu kolejną kanapkę i wsunął ją sobie do ust. Mark, sam nie wiedząc, dlaczego, nie potrafił oderwać od niego wzroku. Przeczynał, że ten mężczyzna w dziwny sposób związany jest z jego losem albo przynajmniej był w przeszłości.

— Staram się przypomnieć sobie, gdzie już pana przedtem spotkałem — odezwał się do Maurice’a. — Może rozmawialiśmy ze sobą w Nowym Jorku? W The Marlboro Club na 6 I Ulicy? A może w The Tree na 55?

Maurice Pearce wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Byłem w Irlandii przez całe lato. Uwielbiam wyścigi konne w tym kraju. Irlandczycy wiedzą dosłownie wszystko o koniach.

— A więc wsiadł pan na statek w Dublinie — stwierdził Mark, marszcząc czoło.

Maurice wziął do rąk dwie kanapki i gryzł je teraz na zmianę.

— Wspaniale... Wspaniale tu karmią... — mówił pomiędzy jednym kęsem a drugim.

— Tak — mruknął Mark i wyszedł do Grand Lounge, aby tańczyć.

Na krętych schodach, prowadzących z holu pierwszej klasy na pokład spacerowy, nastąpiło spotkanie Rudyarda Philipasa i mademoiselle Narron. Mademoiselle Narron zdążyła już zdjąć swoją czerwoną suknię, gdyż poczuła pierwsze zwiastuny zbliżającego się ataku migreny. Kolor czerwony sprawiał, że ataki te były silniejsze niż zazwyczaj, dlatego zwykle unikała go. Teraz miała na sobie turkusową, lekką sukienkę, ozdobioną złotą nitką. Na piersiach śpiewaczki spoczywał zielono-złoty wisiołek, jeden z ostatnich prezentów, jaki otrzymała od Raymonda Waltersa, zanim ten wybrał żonę i szczęście rodzinne zamiast szaleńczego romansu.

— Mademoiselle — odezwał się Rudyard — musimy porozmawiać, pani i ja. Powinniśmy chyba wyjaśnić sobie parę spraw, aby nie doszło do nieporozumienia.

— Nieporozumienia? — Mademoiselle popatrzyła najpierw na swoje zielone pantofle, a potem na

twarz Rudyarda. Wyglądała na zdeorientowaną.

Rudyard ujął ją pod rękę i poprowadził na półpiętro.

— Wydaje mi się — powiedział — że mogła pani odnieść złe wrażenie...

— Aha — westchnęła śpiewaczka. — Co pan przez to rozumie?

— Zapytała mnie pani, czybym jej pomógł. I ja odparłem, że owszem, tak. — I nie zamierza mi pan już dłużej pomagać?

— Nie o to chodzi. Bardzo pragnę pani pomóc. Boję się tylko, że trochę opacznie zrozumiała pani moje słowa.

— Opacznie?

Rudyard splótł dłonie, ale zaraz zdał sobie sprawę, że wygląda jak anglikański kapłan i opuścił je wzdłuż bioder. Jedna z nauczycielek w szkole mówiła o nim „wielebny Philips” ze względu na tę jego dziwaczną manierę.

Szczerze mówiąc, jestem w takim samym kłopotliwym lżeniu jak pani — powiedział. — W związku z tym nie jestem pewien, czy potrafię być naprawdę pomocny.

— Powiedział mi pan, że musiał pan zostawić w Anglii kogoś, kogo bardzo pan kochał. Ale takie było widocznie pańskie przeznaczenie. Nie możemy zapobiegać ani sprzeciwiać się losowi.

Rudyard poprowadził mademoiselle Narron do okna. Odbite w szybie wizerunki utkwiły w nich tajemnicze spojrzenia niczym dwa wyniosłe duchy, magicznie wznoszące się w ciemności.

Rudyard poczuł zapach perfum śpiewaczki. Bliskość jej ciała sprawiła, że onieśmielony nie wiedział, co powiedzieć.

— Chyba oboje jesteśmy trochę oszołomieni — stwierdziła mademoiselle Narron. — Myślę, że powinniśmy nabrać pewności siebie w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Być może wtedy będziemy mogli nawzajem sobie pomóc, pan mnie i ja panu.

— Sam nie wiem — mruknął Rudyard. Wyciągnął z paczki papierosa i zapalił go. Dym wypuścił kącikiem ust, aby nie popłynął w kierunku twarzy mademoiselle Narron. — Uważam, że najlepiej będzie, jeżeli nie będziemy już się więcej spotykali. Najlepiej dla nas obojga.

Przez chwilę panowała cisza.

— Widzi pani, jestem żonaty — odezwał się Rudyard.

— No i co z tego? Oczywiście, że jest pan żonaty. Zauważyłam pańską obrączkę. Mam jednak

nadzieję, że nie uważa pan małżeństwa za więzienie.

— No, chyba nie...

— Proszę więc przyjąć zaproszenie do mojej kajuty na kawę i drinka.

— To ja powinienem panią zaprosić...

— Czy to ważne, kto kogo uwodzi? Jeżeli jesteśmy wobec siebie uczciwi, nie ma to chyba znaczenia.

— Pani mnie uwodzi?

— Oczywiście! Czy naprawdę sądzi pan, że potrafimy sobie pomóc nawzajem, jeżeli się razem nie prześpimy?

Była godzina pierwsza piętnaście nad ranem i „Arcadia” właśnie oddalała się od południowych wybrzeży Irlandii, wypływając już na dobre na otwarty ocean. Odtąd do Nowego Jorku nie było już nic, tylko bezkres morskiej wody.

— Przyjdzie pan? — zapytała mademoiselle Narron. Minął ich steward z butelką szampana na srebrnej tacy.

Rudyard poczekał, aż znajdzie się na tyle daleko, że nie będzie mógł usłyszeć jego słów i rzekł:

— Louise... Czy mogę mówić do pani Louise?

— A więc przyjdiesz?

Rudyard jedynie skinął głową, obawiając się, że gdyby Bóg w tej chwili usłyszał jego słowa, spuściłby na niego potężny grom. W końcu wciąż znajdował się pod tym samym niebem co Toy, wciąż pamiętał jej bladą, płaską chińską twarz, jej drobne piersi i prawie dziecienny wzniesienie Wenus, na którym w ogóle nie rosły włosy. Ale przecież, podczas gdy on był uwodzony na pokładzie „Arcadii” przez Louise Narron, Toy najprawdopodobniej spała ze swym kochankiem, Laurence’em i on, Rudyard, nie przyśnił się jej ani przez moment. To go chyba usprawiedliwiało.

— Wybacz mi moje wahanie — powiedział do Louise. — Nie zamierzałem cię obrazić.

— Nie mam ci nic do wybaczenia — odparła mademoiselle. — Nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia i nie oczekuję rozgrzeszenia również z twojej strony. Szukam u ciebie jedynie odrobiny czułości i pocieszenia.

— Tak, rozumiem — przytaknął Rudyard i zgniótł butem niedopałek papierosa. Gdyby ujrzał

to sir Peregrine, zapewne wygłosiłby mu dziesięciominutowe kazanie. Rudyard nigdy nie rzuciłby niedopałka na pokład swojej własnej furory”, dzisiejszej nocy mógł jednak postępować inaczej, ponieważ nie liczyły się żadne uznane zasady, żadne kanony postępowania. Nie liczyły się przynajmniej dla tych, którzy mieli dość odwagi, aby je łamać.

Gdy znaleźli się w kajucie, mademoiselle od razu dokładnie zamknęła drzwi i podeszła do barku.

— Mogę zaoferować ci koktajl, który wymyślono dla mnie w Rzymie, w 1921 roku, przed premierowym przedstawieniem *L'Incoronazione di Poppea*. Ja, oczywiście, byłam Popeą. Tego sezonu byłam naprawdę wspaniała! Mój głos jakby dostawał skrzydeł! Koktajl nazywa się właściwie „Poppea”, od imienia tytułowej bohaterki. Czy zgadniesz, z czego się składa? Nie sądzę, więc ci powiem: z brzoskwiniowej idy, dżinu i odrobiny cukru.

— Wolałbym napić się zwyczajnej szkockiej, jeśli dysponujesz czymś tak niewyszukanym.

— Szkockiej? To napój dla tych, którzy chcą wyrzucić z pamięci swe troski, a nie dla tych, którzy chcą się zabawić.

Rudyard poluźnił krawat i ściągnął marynarkę.

— Może jestem wyjątkiem? — zapytał.

— Hmm — mruknęła mademoiselle Narron i popatrzyła na Rudyarda uwodzicielsko. — Ze mną z całą pewnością dobrze się zabawisz, zapewniam cię. Czy wiesz, co zawsze mawiał

Raymond? Zresztą, nieważne, co mawiał. Już nigdy tego nie powtórzy, przynajmniej nie mnie.

Musisz jednak wiedzieć, że w łóżku, tak jak i w życiu, jestem szaloną kobietą.

Rudyard nieco zażenowany patrzył, jak mademoiselle Narron nalewa mu pół szklanki czystej szkockiej whisky.

— Wystarczy! — zawołał. — O czwartej nad ranem znów obejmuję służbę. Nie mogę sobie pozwolić na kaca.

— Jeżeli stać cię na pójście za głosem serca, wówczas stać cię na wszystko. Czy wiesz, kto to powiedział?

Rudyard odebrał od niej szklaneczkę.

— Nie jestem pewien. Czy to był Oscar Wilde?

Mademoiselle Narron przez chwilę w skupieniu przygotowywała swój koktajl. Dopiero gdy była zadowolona z efektów tej pracy, odpowiedziała Rudyardowi:

— Oscar Wilde nigdy nie powiedziałby czegoś tak romantycznego. To są słowa Raymonda.

Wypowiedział je któregoś dnia, podczas długiego spaceru ze mną. Gdybym tylko wówczas wiedziała, że mnie opuści...

— Czy masz jeszcze nadzieję, że któregoś dnia zmieni zdanie i powróci do ciebie? — zapytał

Rudyard.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Widziałam jego twarz, kiedy mówił mi, że wszystko jest skończone. Takie chwile czasami bywają trudniejsze dla osób, które porzucają kogoś, niż dla tych, które są porzucone. Gdybyś widział wówczas ten ból, jaki malował się na twarzy biednego Raymonda... — Wypiła spory łyk swojego koktajlu, a potem rozsiadła się wygodnie na sofie. — Czy chcesz mnie pocałować? —

spytała.

— Słucham?

— Czy chcesz mnie pocałować? Możesz mnie pocałować, jeżeli tego chcesz.

— Mademoiselle Narron... Louise... Zmierzwiła swe włosy szybkim ruchem dłoni i odrzuciła głowę do tyłu.

— Och, jak ja lubię angielskich dżentelmenów! Zawsze są tacy chłodni, zawsze tacy grzeczni.

Nawet nie wiesz, że ten chłód doprowadza mnie do szaleństwa. Rozpala we mnie płomień!

Gdybym poprosiła Francuza, żeby mnie pocałował, w mgnieniu oka rzuciłby się na mnie i obsypywał pocałunkami! A Anglicy... Podejdź do mnie. Żeby mnie pocałować, musisz się do mnie zbliżyć. — Louise...

— No, chodź! — krzyknęła. — Zbliź się do mnie. Nie bądź taki sztywny i chłodny. Nawet Raymond nigdy nie był taki chłodny! Ja drzę! Nie widzisz, co mi robisz? Nie bądź taki okrutny!

W sekundę opróżniła do dna swoją szklankę, po czym rzuciła ją w poprzek kajuty. Szklanka wpadła do szuflady w biurku i wbrew przewidywaniom Rudyarda nie rozbiła się. Gapił się w nią przez chwilę, zastanawiając się, czy śpiewaczka rzeczywiście chciała tam trafić.

— Ja płonę! — zawołała Louisa. — Ja płonę, a ty jesteś wielkim soplem lodu? Nie potrafię cię stopić, zanim cię nie obejmę.

Powstała na równe nogi. Na twarzy była tak czerwona, jak rozżarzona lawa wypływająca z Etny. Ściągnęła z ramion długie rękawiczki i rzuciła je na podłogę. Następnie z wprawą wydostała się z sukienki.

— Louise, naprawdę, chyba nie...

— Co powiedziałaś?

Rudyard wstał. Stwierdził, że siedzenie na krześle ze skrzyżowanymi nogami byłoby wysoce niestosowne, podczas gdy mademoiselle Narron z takim entuzjazmem pozbywa się ubrania.

Odstawił więc szklanę, ale zaraz znów wziął ją do ręki i wypił całą whisky jednym haustem.

— Louise, posłuchaj mnie tylko — zaczął. — Nie chcę powiedzieć, że mi się nie podobasz...

Wprost przeciwnie, jesteś wyjątkowo atrakcyjną kobietą.

Nie pozwoliła mu już powiedzieć ani jednego słowa więcej. Odrzuciła suknię i zawołała gromkim głosem:

— Wiedziałam, że ci się podobam od pierwszej chwili, w której na mnie spojrzełeś. I w tym samym momencie ja także ciebie zapragnęłam. Ten, podpowiedziało mi serce, ten mężczyzna jest stworzony dla mnie.

Rozneglizowana Louise Narron zaczęła się zbliżać do Rudyarda, pragnąc, aby ją objął.

Rudyard patrzył na nią rozszerzonymi, niemalże przestraszonymi oczyma i myślał: Boże, jestem zgubiony.

Oczywiście, mógł zbyć Louise krótkim pocałunkiem i pośpiesznym „do widzenia”. Mógł ją też po prostu odepchnąć. Mógł nawet udawać, że mdleje. Ale wówczas jak wyglądałaby dla niego reszta podróży, co by czuł, spotykając śpiewaczkę na pokładzie albo podczas posiłków?

Poza tym, mimo że Louise przerażała go, również go ekscytowała. Sprawiała, że jego umysł

wirował, jakby znajdował się pod wpływem zbyt dużej ilości szampana, a krew w jego żyłach zaczynała krążyć o wiele szybciej niż zazwyczaj. Rudyard jak przez mgłę zdał sobie sprawę, że podnieca go przede wszystkim własny strach przed uściskami potężnej śpiewaczki, że to strach powoduje, iż jego członek pęcznieje w spodniach.

— Louise, powinniśmy... — zaczął, ale nie pozwoliła mu dokończyć, lecz ujęła jego twarz w swe dłonie i z głośnym cmoknięciem pocałowała go w usta.

Rudyard pomyślał, że tak właśnie musi się czuć człowiek, który tonie. Usta Louise były tak szerokie, że gdy przywarły do jego ust i mocno się na nich zacisnęły, przez długą chwilę nie mógł oddychać. Pocałunek Louise trwał trzydzieści sekund i w tym czasie Rudyardowi najpierw pociemniało w oczach, a potem pojawiły się rozbłyskujące gwiazdy. Starał się myśleć o Toy, ale przecież nie mógł w nieskończoność pozostawać obojętnym wobec wielkich piersi, przyciskających się do niego z ogromną siłą oraz potężnego uda Louise, coraz silniej napierającego, aby znaleźć drogę pomiędzy jego kolanami. Wreszcie poczuł zadziwiająco sprawne palce, rozpinające guziki jego koszuli i dłoń, która wsunęła się w jego spodnie; wreszcie zrozumiał i przyniosło mu to nawet ulgę, że za chwilę zostanie zgwałcony.

Jeśli chodzi o Louise Narron, jej rozczarowanie kochankiem, który ją porzucił, oraz jej urażona duma sprawiły, że utraciła wszelkie poczucie wstydu. Zazwyczaj, mimo swej potężnej, myślącej wszystkich mężczyzn postury, bywała w takich sytuacjach delikatna i niemal chorobliwie nieśmiała. Kiedy kochała się z Raymondem, do niego zawsze należała inicjatywa i zawsze traktował ją jak najdroższy, najbardziej delikatny skarb, jak małego ptaszka czy płocheho i bezradnego motyla.

Raymond był najświeższym w całym łańcuchu jej życiowych rozczarowań. Rodzice Louise mieli bardzo konserwatywne nastawienie do życia i z ogromnymi podejrzeniami podchodzili do wszystkiego, co wiązało się ze sceną i teatrem. Jej ojciec, magistracki urzędnik, stłukł ją nawet kiedyś na kwaśne jabłko za to, że zbyt głośno śpiewała w domu jakąś zasłyszaną przypadkiem arię. Matka krytykowała dosłownie wszystko, co robiła Louise, i pewnego dnia wrzuciła nawet w ogień jakąś robótkę córki, przygotowaną do szkoły, gdyż Louise była z niej „zbyt dumna”. Tylko dzięki wysiłkom życzliwych urszulanek, prowadzących gimnazjum, do którego Louise uczęszczała, mogła pobierać lekcje muzyki. Nawet gdy Louise stanęła po raz pierwszy na deskach Metropolitan Opera, jej rodzice nie przyszli na spektakl, ich córka występowała bowiem w *Weselu Figara*, a matkę kiedyś bardzo zdenerwował pewien włoski lokator. Tymczasem Louise zaczęła odnosić ogromne sukcesy. Niestety, prywatne życie zupełnie się jej nie układało.

Wszystkie jej romanse były burzliwe i trwały krótko. Opuścili ją dwaj producenci, Guido Carlo, a potem Charles Feldman i wreszcie Raymond, muzyk. Zapewne jej łózkowi partnerzy, widząc jej ogromne ciało i mając przed oczyma silne postaci, które odtwarzała na deskach, spodziewali się,

‘ że to do niej zawsze i w każdej sytuacji będzie należała inicjatywa. A ona okazywała się kobietą zupełnie inną, niż Bobie wyobrażali. Po pewnym czasie zrozumiała to przynajmniej na tyle, że teraz, wobec Rudyarda, postanowiła być silna, agresywna i nieskrępowana. Postanowiła też sobie stanowczo, że już nigdy w życiu nie będzie godzinami przesiadywała przy telefonie, który nie zadzwoni, że nie będzie oczekiwała w obskurnych hotelach na cudzych mężów, którzy nigdy się nie zjawiali.

Teraz przycisnęła Rudyarda do łóżka i zmusiła go, żeby w nią wszedł. Chwyciła jego ramiona i trzymała je w taki sposób, jakby jechała na motocyklu i poruszała się na nim gwałtownie, że chcąc nie chcąc, wchodził w nią cały. Był czerwony na twarzy, co sprawiało dość śmieszne wrażenie, gdyż reszta jego ciała była zupełnie biała, z wyjątkiem wierzchów rąk. Zakaszłał i jego twarz przybrała niemal kolor purpury, kiedy wypełnił Louise nasieniem o wiele za szybko.

Zrozumiawszy, że to koniec, śpiewaczka stoczyła się z niego i położyła się na łóżku na plecach, z oczyma utkwionymi w sufit. Rudyard tymczasem natychmiast wstał i zaczął wciągać spodnie.

Oczywiście, nie czuł się winny, że jej należycie nie zaspokoił. W końcu był rok 1924 i mężczyźni nie rozumieli jeszcze, że kobiety pragną orgazmów tak samo, jak oni sami. Zresztą, słowo „orgazm” publicznie jeszcze nie funkcjonowało. Wszystko było w porządku, gdy mężczyzna strzelał spermą. Jeżeli kobieta była przy tym zadowolona, tym lepiej, jeżeli nie — nie stanowiło to dla nikogo problemu.

— Jesteś rozczarowany — stwierdziła Louise.

— Ależ skądże — odparł Rudyard. W tej właśnie chwili wiązał już krawat. — To było wspaniałe.

— Wcale nie było. To było smutne. Smutne i bezsensowne.

Rudyard wiedział że Louise ma rację. Nie rozumiał jednak dlaczego. W gruncie rzeczy był

kompletnie zdezorientowany.

Louise usiadła na łóżku. Pomiędzy jej rozłożonymi nogami powoli sączyły się białe kropelki spermy, błyszczące, grube, ciężkie jak krople miodu i osiadały na jej włosach łonowych.

Przypomniał się jej na chwilę poranek, kiedy Raymond siedział nagi na krześle i grał dla niej Mozarta na wiolonczeli. Smutna, słodka muzyka sprawiła wówczas, że Louise się rozplakała.

— Przykro mi — powiedział Rudyard. — Brak mi słów. — A dlaczego miałbyś coś mówić?

Przecież to wszystko stało się tak samo z mojej winy, jak i z twojej.

Rudyard założył marynarkę od munduru.

— Porozmawiamy jutro — stwierdził.

— Tak — odparła Louise.

Wciąż siedziała na łóżku, gdy Raymond wychodził z kajuty i zamykał za sobą drzwi, tak delikatnie jakby zamykał sejf kryjący mroczną tajemnicę.

Zaledwie kilka minut później telegrafista Willis pukał z należnym szacunkiem do apartamentu sir Peregrine'a. Kapitan słuchał właśnie muzyki z gramofonu.

— Wejść! — zawołał.

Popijał wodę mineralną z utopionym w niej plasterkiem cytryny i gryzł orzeszki. O tej porze dnia zawsze bywał głodny; kilkakrotnie widziano go na statkach, jak we wczesnych godzinach rannych, w samym tylko poranniku, zmierza do spiżarni i zabiera ciepłe bułeczki, świeżo wypieczone przez piekarnię na śniadanie.

— Wiadomość od komendanta portu w Dublinie — powiedział telegrafista, stanąwszy w progu.

— Naprawdę? Czego jeszcze chce ten cholerny Irlandczyk? Willis zaangażowany został na

„Arcadię” w ostatniej

chwili i do tej pory nie miał nigdy do czynienia z kapitanami tak sławnymi, tak owianymi legendami, jak sir Peregrine — ne Arrowsmith. Czuł się więc bardzo niepewnie przed takim majestatem, tym bardziej że znał treść depeszy, którą odebrał przed kilkoma minutami. Z trudem opanował więc drżenie ręki, w której trzymał depeszę, w chwili gdy sir Peregrine ją od niego odbierał. W czasie gdy kapitan czytał, szybko rozejrzał się dookoła. Salon w apartamencie kapitańskim na „Arcadii” obity był dębową boazerią i wyłożony grubymi indiańskimi dywanami.

Było tu cicho i niemal przytulnie.

Sir Peregrine przez cały czas gryzł orzeszki, lecz w połowie depeszy nagle przerwał tę czynność.

Dwukrotnie przeczytał: „Załoga irlandzkiej łodzi rybackiej wyłowiała w zatoce z wody jedenastoletniego chłopca Seana Joyce’a, który uratował się z katastrofy łodzi wycieczkowej o nazwie «Dro — gheda». Chłopiec twierdzi, że «Drogheda» została uderzona przez «Arcadię» płynącą z dużą szybkością i utonęła. Trwają poszukiwania Thomasa Dennisa, który wynajął łódź tego dnia. Wszystko wskazuje na to, że mężczyzna utonął”.

— Co to za nonsens? — zawołał sir Peregrine. — Kiedy to przyszło?

— Dosłownie przed chwilą, sir — odparł Willis.

— Co to ma znaczyć? Co to wszystko ma znaczyć, do cholery?! Jakiś gówniarz twierdzi, że rozjechałem mu jakąś przeklętą łajbę? Co to za nonsens?

— Nie wiem, sir — odparł Willis drżącym głosem.

— Wcale się nie spodziewam, że będziesz wiedział, nie przejmuj się — warknął sir Peregrine.

— Każda przeklęta depesza, jaką przysyłają mi ci Irlandczycy, jest albo niezrozumiała, albo bezczelna. Zadałem ci tylko pytanie retoryczne, jeżeli masz pojęcie, co znaczy to słowo. Inaczej mówiąc, pytam ciebie, mimo że i tak sam znam już odpowiedź na to pytanie, a ona jest taka, że Irlandczycy pozwolili sobie na oszustwo i zniewagę.

Przez chwilę krążył nerwowo po salonie, po czym odezwał się ponownie:

— Wyślesz depeszę do komendanta portu w Dublinie, jak on tam się nazywa? O’Shaughnessy albo jakoś podobnie idiotycznie. Zapytaj go, co on, do cholery, sobie myśli. Oczywiście, musisz to sformułować bardzo poprawnie. Na przykład: „Nie wiadomo nam o żadnej kolizji. Prosimy o szczegóły. I niech ta cała Irlandia zapadnie się w morze bez śladu”. Nie, cholera, tego ostatniego zdania nie pisz.

Znalazłszy się z powrotem przy telegrafie, Willis szybko założył słuchawki i nadał do Dublina depeszę, że „Arcadii” nie wiadomo o żadnym zderzeniu z „Droghedą” i prosi o więcej szczegółów na temat domniemanej kolizji. Właśnie kończył przekaz, gdy do jego pomieszczenia zajrzał Rudyard Philips. Wyglądał na zmęczonego i machinalnie poprawiał sobie ciągle krawat.

— Coś się dzieje? — zapytał, częstując Willisa papierosem. Willis machnął ręką, pokazując, że nie chce palić.

— Coś się stało? — znów zapytał Rudyard. W odpowiedzi Willis podał mu depeszę z Dublina, którą Rudyard uważnie przeczytał.

— Mój Boże — jęknął. — Kogoś zabiliśmy. Telegrafista ściągnął słuchawki i ciężko westchnął.

— To jeszcze nic pewnego, sir. Na razie to jest jedyna informacja na ten temat, jaką otrzymaliśmy.

— Co na to sir Peregrine? To znaczy, mam nadzieję, że już o tym wie.

— Och, tak, oczywiście. Zaniósłem mu depeszę natychmiast, gdy ją otrzymałem. Przyjął ją bardzo źle. Powiedział, że to nonsens.

— No i bardzo dobrze — stwierdził Rudyard i opuściwszy pomieszczenie telegrafisty, skierował się prosto do apartamentu kapitana. Jeszcze raz poprawił krawat i zapukał do drzwi.

— Ach, to pan — stwierdził sir Peregrine, kiedy Rudyard znalazł się w salonie.

Przygotowywał się do snu i był już ubrany w jedwabną pidżamę z symbolem Keys Shipping wyhaftowanym na piersi.

— Właśnie przeczytałem depeszę z Dublina, sir Peregrine — powiedział Rudyard.

— No i dobrze. — Sir Peregrine skinął głową. — Ci Irlandczycy przekraczają wszelkie granice przyzwoitości, tyle mogę panu w związku z tym wydarzeniem powiedzieć. Irlandia jest krajem złodziei, oszustów i lunatyków. Jakby tego było mało, ośmielają się jeszcze twierdzić, że „Arcadia” rozjechała im jakąś zakichaną łódkę.

— Opuściliśmy wody Irlandii ze znaczną prędkością — przypomniał mu Rudyard.

— Ze znaczną prędkością, powiada pan? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że płynęliśmy z pełną szybkością już w trzymilowej strefie, mimo że ostrzeżono nas, iż możemy napotkać na trasie niewielkie łodzie. Poza tym widzialność też nie była wówczas nadzwyczaj dobra.

Sir Peregrine spojrzał na niego szyderczo.

— Skoro tak, panie Philips, proszę mi powiedzieć, kto pełnił wówczas służbę na mostku?

— Ja, sir. I dokładnie wykonywałem pana wyraźne polecenia.

— Co? — zawołał sir Peregrine. — Jakie polecenia? Czyżbym kazał panu przepłynąć irlandzkie wody w szaleńczym tempie? Czyż może taką instrukcję panu wydałem? Czy nakazałem panu płynąć z pełną szybkością bez zważania na irlandzkie łodzie, których pełno było wokół „Arcadii”? Czy to właśnie pan ode mnie usłyszał?

— Nie słyszałem tak wielu słów, sir.

— A więc co? Jakie były te wyraźne polecenia, które zaszczepiły w panu przekonanie, że może pan rozwalić każdą cholerną irlandzką łódkę, jaka znajdzie się przed dziobem „Arcadii”?

— Rozkazał mi pan płynąć powoli przez milę, a potem całą naprzód. Powiedział pan, że musimy pokazać irlandzkim barbarzyńcom, do czego jest zdolny nowoczesny liniowiec.

Sir Peregrine usiadł na krześle.

— W takim razie przesłyszał się pan, panie Philips. Po prostu się pan przesłyszał i to trochę łagodzi pańską winę. Wyraźnie poleciłem panu płynąć powoli naprzód przez trzy mile i zwracać szczególną uwagę na małe obiekty.

— Niestety, nie mogę się z panem zgodzić. Kazał pan płynąć powoli naprzód przez jedną milę, a kiedy mimo to nie zwiększyłem prędkości po przepłynięciu owej mili, udzielił mi pan upomnienia za niewykonanie pańskich rozkazów. Odniosłem wrażenie, że życzy pan sobie oddalić się od Irlandii tak szybko, jak to tylko jest możliwe.

— Wrażenie? — zawołał sir Peregrine. Na jego usta wypłynęła ślina, a jego oczy błyszczały, gdy wstał i poszedł przez salon, aby przystanąć przed Rudyardem w odległości zaledwie sześciu cali. — Wrażenie? Podobno szczyli się pan tytułem kapitańskim, panie Philips. Czy wypada więc panu prowadzić największy liniowiec pasażerski, jaki istnieje na świecie, na podstawie wrażeń?

Rudyard przez chwilę milczał.

— Mieliśmy kolizję — powiedział po chwili grobowym głosem. — Zabiliśmy człowieka. W tej chwili próbuje pan na mnie zrzucić swoją winę.

Sir Peregrine odwrócił się.

— Rozumiem — mruknął. — Będzie pan z uporem starał się zwalić wszystko na mnie. Nie zamierza pan przyjąć odpowiedzialności za swoje głupie postępowanie. Czy tak właśnie powinienem rozumieć pańskie słowa?

— Wydał mi pan jasny rozkaz: powoli naprzód na dystansie jednej mili, a potem całą naprzód.

— Nonsens! — zawołał sir Peregrine. — Mówi pan bzdury! Jak pan w ogóle śmie sugerować mi coś takiego? Ty morski prymitywie! Życzę sobie, aby udał się pan do swojej kajuty i pozostał w niej tak długo, dopóki nie otrzyma pan innych rozkazów. Wykonać.

Rudyard ciężko westchnął.

— Czekał pan na to, prawda? — zapytał drżącym głosem. — Czekał pan na okazję, żeby usunąć mnie ze swej drogi. Może pan zrobić, co pan chce, ale nie uciszy mnie pan, a pamiętam rozkazy, które mi pan wydał na wodach Irlandii, do ostatniego słowa. Jeżeli „Arcadia” kogoś zabiła, jest to wyłącznie pana wina i dopilnuję, żeby otrzymał pan za to dokładnie to, co się panu należy. Jest pan niekompetentnym głupcem i nadszedł już czas, aby kompania zdała sobie z tego sprawę. Nie zasługuje pan na to, żeby pełnić funkcję kapitana na „Arcadii”.

Sir Peregrine stał dumny i wyprostowany.

— Proszę nie opuszczać swojej kabiny — powiedział do Rudyarda. — Tymczasem pan Peel

przejmie pańskie obowiązki. Wykonać.

Rudyard trząśł się. Z trudem panował nad sobą, a miał wielką ochotę po prostu uderzyć kapitana. Zdołał jednak w miarę spokojnie powiedzieć:

— Popełnia pan wielki błąd, sir Peregrine. Ten rejs to nie jest zwykła podróż przez Atlantyk.

To dziewicza podróż „Arcadii” i wszystko, co się podczas niej wydarzy, będzie bacznie obserwowane i komentowane. Poza tym musi pan pamiętać, że na pokładzie znajduje się Edgar Deacon, pan Fearson i panna Catriona Keys. Zapewne będą chcieli szczegółowo wiedzieć, co się wydarzyło u wybrzeży Irlandii.

— A pan wszystko im powie, oczywiście?

— Taki mam obowiązek.

— Zabraniam panu.

— Niczego nie może mi pan zabronić.

— Zabraniam panu! A teraz niech pan już stąd idzie. Proszę się czuć aresztowanym.

— Pan jest szalony — stwierdził Rudyard. — Jest pan kompletnym szaleńcem.

— A pan, panie Philips, jest kimś o wiele gorszym. Pan jest po prostu nudziarzem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W połowie ostatniego walca Catriona wiedziała już, że jest zakochana. Nie chciała tego, a przynajmniej nie chciała, żeby to była miłość tak głęboka i tak beznadziejna. Miała nadzieję, że uczucie, które ciągle żywiła wobec Nigela, uratuje ją i pozwoli jej oddalić się od zagrożenia, jakie niosła uroda i maniery Marka Beeneya. Niestety, podczas gdy orkiestra grała rzewne nuty *Ponad falami*, Catriona, jakby wbrew sobie, złożyła głowę na jego ramieniu i pozwoliła, aby przycisnął jej ciało mocniej do siebie. Już nie obchodził jej Nigel, nie obchodziła jej już również Marcia, która opuściła Grand Lounge z miną co najmniej ponurą.

— Chciałaś ze mną walczyć, prawda? — odezwał się Mark.

— Walczyć? — Catriona nie rozumiała go. — Co masz na myśli?

— Nie zabrałaś ze sobą mojej orchidei. Nie włożyłaś nawet moich diamentów.

Odwróciła wzrok.

— Tam było za dużo rubinów. Twój prezent zupełnie nie pasował do mojej sukni.

— Nonsens. Chciałaś mnie zbyć. I właściwie cieszę się z tego.

— Cieszysz się? Nie rozumiem dlaczego.

— Gdybyś nie podjęła tej walki, pomyślałbym, że moja osoba zupełnie cię nie interesuje.

Pomyślałbym, że sobie ze mną igrasz, ot, dla zabawy. Ale podeszłaś do tego całkiem poważnie.

Dlatego podjęłaś tę walkę. I mam powody do zadowolenia tym bardziej, że zwyciężyłem.

Catriona uniosła głowę.

— Kto ci powiedział, że zwyciężyłeś?

— Moje serce — odparł Mark z uśmiechem.

Catriona milczała przez chwilę, udając, że bardzo uważnie przygląda się srebrzystym filarom.

— Moja kajuta czy twoja? — zapytał Mark niespodziewanie, po czym uśmiechnął się i Catriona wcale się nie obraziła. Poranne słońce świeciło coraz jaśniej, „Arcadia” szybko sunęła po gładkiej wodzie, a w głowie Catriony szumiał szampan i pożądanie.

— Twoja — wyszeptała. — Jestem właścicielką ćwierci tego statku, a do tej pory widziałam wewnątrz zaledwie dwóch kajut. Moja nazywa się „Wiatr”. A twoja?

— „Księżyc” — szepnął Mark. — Chodź, pokażę ci ją. Tylko pozwól, że zamówię jeszcze jedną butelkę szampana, zanim pójdziemy.

— Upijesz mnie — mruknęła Catriona do jego ucha — i będę całkowicie bezbronna.

Było jej dobrze, czuła, że jest lekka jak piórko, a kiedy Mark pocałował ją w policzek i w czoło, czuła też, że jest dla niego gotowa. W końcu, czy nie zapragnęła go już w chwili, kiedy po raz pierwszy ją pocałował? Czy nie czuła tego pragnienia już wtedy, gdy po raz pierwszy dotknął jej dłoni?

Zakochała się w Marku. Była tego pewna i wiedziała też, że postępuje bardzo głupio. Mark był bogatym młodzieńcem i zapewne największym kobieciarzem po obu stronach Atlantyku. Nie dbał o kobiety. Bo przecież, czyż nie odrzucił beztróska Marcii, dziewczyny, którą zabrał ze sobą w podróż?

Ani się nie obejrzała, jak stała pod drzwiami kajuty Maroka, który niezwłocznie wprowadził

ją do środka. W kajucie paliły się wszystkie światła, a za małym biurkiem siedział John Cromby, nienagannie ubrany w smoking, przejadający jakieś księgi rachunkowe.

— Dzień dobry, John — powiedział Mark głośno.

— Och. — John zamrugał. — Dzień dobry. — Popatrzył poważnie na Catrionę i zaczął

porządkować papiery, które leżały na biurku. — Miałem nadzieję, że z samego rana będziemy mogli porozmawiać na temat naszych spraw w Cleveland.

— Oczywiście — odparł Mark, rzucając swój smoking na krzesło. — Jeżeli jednak „rano” to dla ciebie pora, którą mamy właśnie w tej chwili, to nic z tego. Moim zdaniem jest bardzo późno.

John Crombey wstał i westchnął.

— Tracimy w tym Cleveland zbyt wiele pieniędzy — powiedział. — Już w tej chwili straty wynoszą dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy.

— Porozmawiajmy o tym później, dobrze?

Kiedy John Crombey wyszedł, Mark ściągnął buty i podszedł do barku w samych tylko skarpetkach. Catriona rozpięła paski przy swoich balowych bucikach i usiadła wygodnie na sofie.

— Szampana? — zapytał Mark. W odpowiedzi skinęła ową.

Kajuta Marka była równie gustownie urządzona jak ta, której podróżowała Catriona. Temat

„Księżyc” wyrażały posrebrzane krzesła obite skórą, ciemnoniebieski dywan, i którym skrzyły się ręcznie wyszywane gwiazdy i błękitne ściany. Na biurku stała biała ceramiczna statuetka „Jej wysokość księżyc” autorstwa Francois–Louisa Schmieda; naga dziewczyna z przerzuconym przez ramiona płaszczem i kształcie półksiężyca.

— Czy wiesz, że panu Deaconowi bardzo się nie podoba, że jesteśmy razem? — zapytał

Mark, wypełniając dwa wysokie kieliszki zimnym szampanem. Usiadł obok Catriony i rozpiął kołnierzyk u swej koszuli.

— Nie dziwię mu się — odparła Catriona. — Jest pewien, że usiłujesz namówić mnie do sprzedania „Arcadii” twojej kampanii.

— A nie sądzisz, że być może rzeczywiście mam taki zamiar?

— Jeśli naprawdę tak jest, tracisz jedynie czas. Nie mam najmniejszego zamiaru nikomu sprzedawać tego statku. Za bardzo mi się on podoba.

Mark lekko uderzył swoim kieliszkiem w kieliszek Catriony.

— Wypijmy więc za to — powiedział. — Zważ jednak, że znajdziesz się w trudnej sytuacji, jeżeli Keys Shipping ogłoszona zostanie bankrutem.

— Skąd takie przypuszczenie? Mark uśmiechnął się.

— Daj spokój, Catriono, wszyscy wiedzą, w jakiej jesteście sytuacji. Powszechnie wiadomo, że

Keys Shipping ledwo zipie. Chyba nie sądzisz, że nie zauważyłem tych wszystkich bankierów i finansistów na pokładzie. Podczas dzisiejszej aukcji pomieszczenie klubowe wyglądało jak zgromadzenie kredytodawców.

Catriona wyprostowała się.

— Nie drwij ze mnie.

— Wcale nie drwię. Po prostu realistycznie oceniam twoją sytuację. Możesz sobie posiadać dwadzieścia pięć procent tego statku, ale ty z kolei należysz do banków. Czy zaobserwowałaś miny, jakie stroił ten cały O'Hara z Eire Credit Bank? Za każdym razem, gdy ktoś nakładał sobie drugą porcję kawioru, krzywił się niemiłosiernie. Zapewne rozważał, ile to wszystko go kosztuje, łyżeczka po łyżeczce.

Catriona poczuła się nagle zawiedziona. Oczywiście, Mark miał rację i doskonale sobie zdawała z tego sprawę, jednak nie chciała o tym rozmawiać, szczególnie teraz i szczególnie z Markiem. Cała przyjemność spotkania z nim związana była z przekonaniem Catriony, że skoro oboje posiadają linie żeglugowe, to ona jest mu co najmniej równa (jeśli nie lepsza od niego, gdyż „Arcadia” była liniowcem, jakiego nie posiadał nikt na świecie). Mark zaś, wspominając celowo czy też przypadkiem o możliwym bankructwie Keys Shipping, zepsuł Catrionie humor.

Cóż to za przyjemność być Królową Atlantyku, której panowanie w każdej chwili może się skończyć?

Wstała z sofy i podeszła do iluminatora. Mark obserwował ją uważnie, powoli popijając szampana. Catriona odsunęła kotarę i wyjrzała na zewnątrz. Atlantyckie słońce tak intensywnie, że w oczach dziewczyny pojawiły się drobne łzy od zbyt długiego patrzenia na wodę. Nie odwróciła się jednak.

— A więc płyniesz na „Arcadii” z tego samego powodu, co George Welterman? — odezwała się do Marka.

— Chyba cię nie rozumiem.

— Zebraliście się na tym statku jak sępy. Próbujecie rozkupić wszystko to, co pozostało z ambicji mojego ojca.

— Płynę tym statkiem dla przyjemności, jeżeli chcesz wiedzieć. Ale, oczywiście, ucieszę się, jeżeli ubiję przy tym jakiś dobry interes.

Catriona wreszcie spojrzała w jego kierunku.

— Trzydzieści pięć tysięcy dolarów za naszyjnik? Orchidea przed bankietem? Słodkie słówka i tańce? Czy w ten właśnie sposób zmierzasz do zrobienia życiowego interesu?

Mark uśmiechnął się.

— W tym wypadku nie chodzi o interes.

— Podobno złożyłeś ofertę na kupno „Arcadii” natychmiast, kiedy dowiedziałeś się, że mój ojciec nie żyje.

— Catriono, posłuchaj, ta rozmowa zmierza w niepożądanym kierunku. Nie przyszliśmy tutaj, by rozmawiać o interesach.

— Aha, jasne. Przyprowadziłeś mnie do swojej kajuty, żeby mnie zmiękczyć.

— Przyprowadziłem cię tutaj, ponieważ uważam, że jesteś piękna, niezwykła, atrakcyjna i że jesteś o wiele bardziej seksowna niż jakikolwiek z właścicieli kompanii żeglugowych na tym świecie, a znam ich niemal wszystkich.

— Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Jakie pytanie?

— Czy złożyłeś ofertę na „Arcadię” zaraz po śmierci mojego ojca?

Mark wstał i podszedł do Catriony z jedną dłonią w kieszeni spodni, drugą zaś położył na swych ustach. Stanąwszy przed nią, przypatrywał się przez długą chwilę. W jego oczach malował

się jej smutek. Catriona, mimo że usiłowała wmówić sobie, iż jedynym celem Marka jest kupienie „Arkadii”, nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Niechętnie wbiła spojrzenie w podłogę.

— No i co z tego, że złożyłem tę ofertę? Co to ma za znaczenie?

Catriona była już bardzo zmęczona. Twarz miała bladą, a oczy podkrążone. Brakowało jej sił, aby kontynuować tę rozmowę.

— Naprawdę, nie chciałem cię urazić, wspominając o możliwości bankructwa Keys Shipping

— powiedział Mark cicho. — Niestety, czasami bywam zbyt prostacki, zwykle wtedy, kiedy nieopatrznie mieszam interesy z przyjemnościami tego świata.

— Złożyłeś tę ofertę, prawda?

— No i co z tego? Czy uczyniłem przez to coś złego? Zrobiłem to, co zrobiłby każdy na moim miejscu, nic więcej. Muszę przecież myśleć o przyszłości mojej kompanii, która powinna rosnać i rozwijać się.

— Nie krytykuję cię za to, że postąpiłeś jak rasowy biznesmen — odparła Catriona bardzo cicho. — I uwierz mi, nie uważam cię też za prostaka. Potrafisz bowiem jednocześnie interesować się i mną, i moim statkiem. Jesteś sprytny i masz głowę do interesów. Ale, niestety, kogoś takiego trudno jest polubić.

— Catriono, daj mi już spokój — westchnął Mark. — Złożyłem ofertę, że kupię „Arcadię”, ponieważ jest to piękny statek i ponieważ American TransAtlantic potrzebuje właśnie takiego, majestatycznego, wielkiego, wspaniałego statku flagowego. Zatelefonowałem do Edgara Deacona w dniu, w którym umarł twój ojciec. Nie, zatelefonowałem następnego dnia, natychmiast gdy się o tym przykrym wydarzeniu dowiedziałem. Być może uznasz mnie za gbura, ale bardzo zależało mi, aby moja oferta była pierwsza. Zaoferowałem cztery miliony funtów w gotowce. Propozycja ta wciąż jest aktualna, chociaż będę pragnął uzyskać odpowiedź, zanim

„Arcadia” dobieje do Nowego Jorku. Jestem zdumiony, że Edgar ci o tym nie powiedział.

— Może uznał, że twoja oferta w ogóle nie jest godna rozważenia — zauważyła Catriona sucho.

— Nonsens. Za cztery miliony funtów moglibyście spłacić wszystkie wasze kredyty, unowocześnić dwa lub trzy najlepsze statki i nadal prowadzić Keys Shipping jako rodzinną firmę o średnich rozmiarach. Przynajmniej tak to obliczył John Crombey.

— Do diabła, co ty sobie myślisz, czym byłaby Keys Shipping bez „Arcadii”? „Arcadia” była największym marzeniem mojego ojca.

Mark uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Ludzie, którzy zbyt wiele marzą, czasami tracą poczucie rzeczywistości. Nie mogę krytykować twojego ojca za to, co zrobił; stworzył wspaniały statek. Tylko geniusz i wizjoner mógł dokonać czegoś takiego. Ale życie jest brutalne — trzeba kupować ubrania i trzeba jeść.

Rodzina Keysów jest w takiej sytuacji, że wkrótce zabraknie jej pieniędzy na jedno i drugie.

Będziecie musieli coś sprzedać: albo to „Arcadię”, albo nawet całą flotę.

— Oczywiście, w takim wypadku chciałbyś, żebyśmy sprzedali „Arcadię” właśnie tobie.

— Naturalnie. Nie robię z tego żadnego sekretu.

— I uważasz, że jeżeli mnie uwiedziesz, na dobry początek jedna czwarta kompanii będzie należała do ciebie?

— Nie mogę w to uwierzyć! — zawołał Mark. — Nie potrafię uwierzyć, że tak się do mnie zwracasz! Czy naprawdę sądzisz, że zainteresowałem się tobą jedynie po to, by łatwiej mi przyszło zdobycie „Arcadii”? Rzeczywiście tak uważasz?

Catriona zamilkła. Nie była już niczego pewna. Jeżeli naprawdę chciał dzięki niej wywrzeć nacisk na Edgara i zarząd Keys Shipping, dlaczego nie zaczął o tym otwarcie rozmawiać, kiedy znaleźli się w jego kajucie? Dlaczego rozkochał ją w sobie, dlaczego ją całował i dlaczego zaczęli rozmawiać o interesach tylko przez przypadek.

— Chyba oboje jesteśmy zmęczeni — powiedział Mark. — Może powinniśmy się przespać i porozmawiać ponownie jutro?

— Nie wiem, czy mamy jeszcze o czym rozmawiać.

— Może o nas? A może tylko się niepotrzebnie łudzę?

— O nas? — powtórzyła Catriona z drwiącym uśmiechem ustach. — O bogatym właścicielu kompanii żeglugowej i biednej właścicielce linii żeglugowej?

Mark potrząsnął głową.

— O kimś innym. O dwojgu młodych ludzi, którzy spotkali się na pokładzie pięknego statku podczas jego dziewiczej podróży. O Marku Beeneyu i Catrionie Keys.

— Cóż — powiedziała Catriona i ziewnęła. — Zobaczymy.

— A więc porozmawiamy, dobrze? Nie pozostawimy tej rozmowy w zawieszeniu? — Nie.

Nie pozostawimy. Catriona pochyliła się i zapięła paski przy butach.

— Dziękuję ci za szampana — powiedziała, zmierzając do drzwi.

— Nawet go nie spróbowałaś. Zostań jeszcze chwilę i wypij swój kieliszek. A może zostaniesz jeszcze trochę? Za godzinę podadzą nam śniadanie.

— Jedna czwarta tego statku należy do mnie. Dostanę śniadanie, kiedy tylko sobie tego zażyczę. I, jak sądzę, ty chyba też. Z twoim urokiem osobistym...

— Catriono...

Przymknęła na chwilę oczy. Nie chciała go już więcej widzieć ani słyszeć, przynajmniej nie w tej chwili. Chciała teraz tylko wrócić do swojej kajuty, rozebrać się wreszcie, paść na łóżko i rozplakać się w poduszkę. Cokolwiek by Mark teraz powiedział, nie potrafiła już mu uwierzyć.

Oszukiwałyby się, wmawiając sobie, że mówi jej prawdę. Czar nocnego romansu prysnął i pozostała szara proza codzienności.

— Zobaczymy się później, Mark. Żegnaj — powiedziała i zaczęła, aż otworzy jej drzwi.

Mark oblizał usta, tak jakby były bardzo suche.

— Chcę ci jeszcze powiedzieć coś, co do tej pory powiedziałem tylko raz w życiu — odezwał się. — Nie przychodzi mi to łatwo, bo nie jestem pewien, czy nie zabrmi to dla ciebie tak samo nieprzekonująco, jak wszystko, co powiedziałem dotychczas.

— Mark!

— Proszę, pozwól mi dokończyć. Nie chcę, żebyś stąd wyszła, nie usłyszawszy, że się w tobie

zakochałem.

Catriona z trudem przełknęła ślinę. Czuła się, jakby to wszystko już się jej kiedyś śniło, nagle rzeczywistość zaczęła jej się mieszać z marzeniami. Nie, to niemożliwe, pomyślała, jestem zmęczona, wypiliśmy za dużo szampana...

— Czy słyszałaś, co powiedziałem?

— Tak — odparła Catriona. — Słyszałam.

— Czy wierzysz mi? Popatrzyła mu w oczy.

— A powinnam?

Mark uśmiechnął się, a potem wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie.

— Może jednak dopijesz tego szampana? — zaproponował. — Będę bardzo pijany, jeżeli sam opróżnię butelkę.

— Wylej ją do morza. Mark westchnął ciężko.

— Do zobaczenia więc — powiedział. — Śpij dobrze.

— Dziękuję. Ty też.

Dziesięć minut później sir Peregrine otworzył małą szafkę w swoim salonie i po raz kolejny wyciągnął z niej butelkę haitańskiego rumu, która była już w jednej trzeciej opróżniona. Kapitan zdjął nakrętkę i napełnił rumem szklaneczkę do połowy. Jeszcze tylko ta jedna porcyjka, postanowił, nie wypiję ani grama więcej.

Stał na środku pokoju, pił i myślał. Wydarzenia ostatnich kilku godzin odbiły na nim wyraźne piętno.

Ktoś zapukał.

— Tak? — zawołał. W drzwiach stanął telegrafista. W ręce trzymał depeszę z prognozą pogody.

— No i co nas czeka po drodze? — zapytał sir Peregrine. — Przeczytaj mi.

— Znosi się na nie sprzyjające warunki we wczesnych godzinach jutro rano, sir. Zbliżają się do nas silne huragany.

— Rozumiem.

Sir Peregrine stał bez ruchu, ze spojrzeniem utkwionym w ścianę.

— Czy wszystko w porządku, sir? — zapytał telegrafista. Sir Peregrine uniósł głowę.

— Hmm?

— Pytałem, czy się pan dobrze czuje.

— A jak mam się czuć? Cholera, jeszcze tu jesteś?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Trzy minuty po godzinie siódmej w środowy poranek oficerem pełniącym służbę na mostku był Ralph Peel, który wyglądał na nadzwyczaj rozradowanego i zadowolonego z siebie, mimo podkrążonych oczu. Minionej nocy wypił całe morze szampana oraz kopulował kilka długich godzin z Alison Cabot White, kobietą, która czuła nieodparty pociąg do owłosionych mężczyzn.

Boże, myślał, szarpała mnie za te moje kudły tak mocno, że mój krzyk obudził jej matkę! Nie był

to jednak pierwszy raz, kiedy musiał zamykać się w obliczu niebezpieczeństwa w szafie na ubrania w kajucie pierwszej klasy, i prawdopodobnie nie ostatni.

Rudyard Philips przebywał w swojej kabynie, nie mając pewności, czy jest aresztowany, czy też nie. Już czterokrotnie telefonował do pana Deacona wewnętrznym telefonem „Arcadii”, Edgar jednak przed zaśnięciem odłożył słuchawkę z widełek i wysiłki Rudyarda dodzwonienia się do niego spełzły na niczym. W tej sytuacji pierwszy oficer przez cały czas spacerował

nerwowo po kasztanowym dywanie — sześć stóp w jedną stronę i sześć stóp w drugą. Kiedy w końcu usiadł na swojej mahoniowej koi, zapalił papierosa, wydmuchując kłęby dymu w kierunku kremowego sufitu. Był rozdrażniony i niespokojny, a poza tym nie wiedział, czy miał powody, aby tak właśnie się czuć. Sir Peregrine oświadczył mu, że jest aresztowany, tymczasem przed drzwiami kabiny nie było nikogo, kto pilnowałby przestrzegania tego rozkazu. Louise Narron była najwyraźniej rozczarowana tym, w jaki sposób ją posiadał, ale w końcu poradził sobie, prawda? Udowodnił jej, że go podnieca. Dlaczego był więc tak niepewny, zastanawiając się nad przyszłością ich związku?

Zdesperowany wykręcił numer Percy’ego Fearsona. Trzymał słuchawkę przy uchu prawie dwie minuty, gdy niespodziewanie usłyszał jego głos:

— Tak? O co chodzi?

— Pan Fearson? Tu Rudyard Philips. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

— Ja natomiast mam nadzieję, że dzwoni pan nie bez ważnego powodu.

— Wygląda na to, że jestem aresztowany, panie Fearson.

— Aresztowany? Czy dobrze usłyszałem? O czym pan mówi?

Rudyard ciężko westchnął.

— To rozkaz sir Peregrine’a. Oskarżył mnie o roztrzaskanie małej łódki i spowodowanie śmierci jednego z ludzi, którzy nią płynęli. Powiedział, że jestem aresztowany i nie mogę opuszczać swojej kabiny.

— Roztrzaskanie małej łódki? O czym pan mówi, do diabła? Jakiej łódki?

— Sir Peregrine zapewne panu jeszcze nie powiedział, ja jednak poczuwam się do tego obowiązku. „Arcadia” roztrzaskała małą łódź wycieczkową o nazwie „Drogheda”, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w Zatoce Dublińskiej.

— To niesamowite! Przecież wiedzielibyśmy, coś byśmy poczuli.

— Niekoniecznie. „Arcadia” to bardzo duży statek. Powiem panu, że na „Titanicu” bardzo niewielu ludzi odczuło zderzenie z górą lodową. Nie wiedzieli o niczym, dopóki nie ogłoszono alarmu. Mogliśmy rozciąć małą łódź tak samo, jak siekiera żółty ser.

Pan Fearson zamyślił się na chwilę.

— Rozumiem — powiedział. — Kiedy ta wiadomość dotarła do nas?

— Dzisiaj nad ranem, panie Fearson. Otrzymaliśmy telegram z Dublina. Wówczas sir Peregrine nakazał mi pójść do mojej kabiny i uważać się za aresztowanego.

— A więc ten wypadek wydarzył się z pańskiej winy?

— Absolutnie nie, proszę pana, chociaż sir Peregrine twierdzi coś wręcz przeciwnego.

— Dlaczego, skoro nie jest to prawda?

— Nie wiem, proszę pana — odparł Rudyard. — Nie chciałbym w pańskich oczach uchodzić za niełojalnego oficera, jednak... W chwili uderzenia rzeczywiście znajdowałem się na mostku, ale płynęliśmy pełną naprzód na podstawie wyraźnego rozkazu sir Peregrine’a, mimo że moim zdaniem powinniśmy byli posuwać się dużo wolniej. Komendant portu w Dublinie przesłał nam wcześniej depeszę, ostrzegając nas przed małymi łodziami. Jednakże sir Peregrine stwierdził, iż nie ma się czym przejmować i zarządził całą naprzód. O wiele za wcześnie.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z wagi swych słów? — zapytał Fearson poważnym głosem.

— Tak, dlatego zdecydowałem się pana obudzić.

— Dobrze pan zrobił.

— Co powinienem teraz uczynić?

— Niech pan pozostanie przez jakiś czas w kabinie. Skoro sir Peregrine wydał taki rozkaz, najlepiej będzie, jeśli na razie pan go nie złamie. Ale proszę mi wierzyć, natychmiast skontaktuję się z panem Deaconem, po czym, bez chwili zwłoki, obaj udamy się najprawdopodobniej do sir Peregrine’a.

— Dziękuję panu.

— Niech mi pan nie dziękuję, dopóki nie wyjaśnimy, co się wydarzyło i kto jest temu winien.

— Będę czekał na pana telefon.

— To się rozumie — stwierdził trzeźwo Fearson i odłożył słuchawkę.

Trzy minuty po siódmej Catriona siedziała w swej sypialni przed toaletką i gapiła się w swoje odbicie w lustrze. Kilka kroków za nią Alice rozkładała na łóżku kremową sukienkę oraz pończochy i jedwabne majtki. W saloniku zaś Trimmer rozstawiał śniadanie; dokładnie takie, jakiego zażyczyła sobie Catriona: pieczone grejpfruty, tosty, czarną kawę i schłodzony sok morelowy. Nucił przy tym jakąś wesołą piosenkę.

— Te pokładowe romanse są zawsze takie same — mówiła Alice, ubierając Catrionę. —

Zawsze kończą się łzami.

— To nie jest pokładowy romans.

— A jednak jest to romans, i to na statku, jakież inny może więc być?

— To zderzenie dwóch silnych osobowości, oto, co to jest. — Przecież powiedział, że panią kocha — przypomniała Alice. Alice uwielbiała gwałtowne pokładowe romanse, przede wszystkim pomiędzy najbogatszymi i najsłynniejszymi pasażerami. Zawsze długo i szczegółowo opowiadała o nich swej matce, kiedy powracała do Runcorn.

— Oczywiście, powiedział, że mnie kocha. Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że kocha mnie naprawdę. A przynajmniej tak mi się wydaje.

— A więc?

Catriona sięgnęła po papierosa.

— To nie ma sensu. On kocha mnie, ale jeszcze bardziej kocha „Arcadię”. Jest właścicielem wielu statków i uwielbia przede wszystkim statki; im wspanialszy statek, tym większa miłość.

Jak taka zwykła dziewczyna może konkurować z wielkim transatlantykiem?

— Niech pani tylko nie wpada w przygnębienie.

— Wcale nie jestem przygnębiona. To wszyscy dookoła chcą mnie pognać.

Do drzwi sypialni zapukał Trimmer. Nie patrząc na Catrionę, która była w negliżu, powiedział:

— Śniadanie gotowe, panno Keys. Jest także egzemplarz naszej pokładowej gazety.

Tak jak i wiele innych wielkich pasażerskich transatlantyków, „Arcadia” miała swoją własną gazetę. Gazety takie i drukowały przede wszystkim historyjki i plotki o najsłynniejszych pasażerach, a ponadto peany, wychwalające umiejętności i kompetencję załogi oraz krzyżówki.

Krzyżówki były w 1924 roku tak popularną rozrywką, że pewna gospodyni w Chicago uskarżała się dziennikarzom, iż jest „krzyżówkową wdową”, a nowojorska policja siłą wyprowadziła z restauracji pewnego mężczyznę, który już po zamknięciu lokalu nie chciał ruszyć się z miejsca, z mozołem usiłując rozwiązać jakąś krzyżówkę.

Catriona zasiadła do śniadania, czując się przygnębiona i nieszczęśliwa. Nie smakowały jej tosty, z trudem zmuszała się, by przełknąć choć trochę kawy. Soku morelowego, który dosłownie przed kilkoma minutami jeden z kucharzy „Arcadii” wycisnął ze świeżych moreli, nawet nie tknęła.

Może jednak źle osądziła Marka? W końcu, jeżeli pragnął „Arcadii” bardziej niż jej, dlaczego silił się na wyznanie, że ją kocha? Pomyślała o swoim ojcu. Nigdy nikomu nie dowierzał, zawsze wolał spodziewać się najgorszego, niż potem być rozczarowanym. Może ona, Catriona, przejęła tę właśnie cechę po nim i dlatego tak surowo oceniała Marka Beeneya? Mark zaoferował cztery miliony funtów w gotówce za „Arcadię” i bez wątpienia poparcie i przyjaźń Catriony były najprostszymi środkami do zrealizowania tej oferty, wprost pod nosem niezadowolonego Edgara Deacona.

Trimmer, który stał obok niej z serwetą przewieszoną przez ramię, zapytał:

— Czy podać coś jeszcze, płoszę pani?

— Nie, dziękuję ci, Trimmer. To mi wystarczy.

Catriona postanowiła właśnie, że wejdzie jeszcze raz do łóżka na trzygodzinną drzemkę, gdy rozległo się pukanie do kajuty. Trimmer otworzył i usłyszała, jak rozmawia z — sądząc po głosie

— młodym i wykształconym Anglikiem.

— Kto to jest, Trimmer? — zawołała.

— Przeplaszam, panno Keys, jakiś dżentelmen. Podał mi kartę wizytową. Płosi panią o kilka minut rozmowy.

— Hmm... — Catriona zmarszczyła czoło. Przyjęła podaną jej przez Trimmera wizytówkę, z której odczytała:

Philip Carter–Helm

3 Pont Street

London SW 1

— Chyba nie znam tego pana, prawda? — powiedziała ze zdziwieniem. — Oznajm mu, że spotkam się z nim później.

— Ten pan mówi, że jest przyjacielem Małka Beeneya, płoszę pani. Mówi także, że był znajomym pani szanownego ojca.

— Och — westchnęła Catriona. Wahala się przez moment, spoglądając w kierunku Alice i szukając w niej wsparcia. Alice, która nie lubiła udzielać rad ani czuć na sobie brzemienia odpowiedzialności, udawała, że jest czymś strasznie zajęta. Przyjaciół Marka Beeneya? —

rozważała Catriona. Może Mark chce za jego pośrednictwem ją przeprosić. Byłaby skłonna przyjąć owe przeprosiny.

— Musi pani sama zdecydować — powiedziała wreszcie Alice, czując ciągle na sobie ciężar jej wzroku. — Nie do mnie należy decyzja w takiej sprawie.

— W porządku. Wprowadź go w takim razie, Trimmer — postanowiła Catriona. — Ale powiedz mu, że możemy rozmawiać tylko chwileczkę. Jestem wprost niemiłosiernie zmęczona.

Trimmer wpuścił Philipa Cartera–Helma do środka. Ten wkroczył dość niepewnie, trzymając w dłoniach przed sobą kapelusz niczym koło ratunkowe.

— Panno Keys — zaczął — zapewne musi pani odnosić wrażenie, że jestem bardzo źle wychowany.

— Cóż, nie jest to pora na składanie wizyt. — Rozumiem to doskonale — zgodził się Philip Carter–Helm. Catriona zmierzyła go wzrokiem, który w jej zamierzeniu miał być srogi i karcący.

Musiała jednak przyznać, że Philip Carter–Helm jest przystojnym młodzieńcem. Było w nim też coś dziwnie znajomego, ale nie potrafiła sprecyzować, co to takiego. Z całą pewnością nigdy przedtem go nie spotkała, nawet na Balu Artystów.

— Moja przyjaźń z panem Markiem Beeneyem nie ma, niestety, długiej historii — stwierdził.

— Poprosił mnie jednak, abym odbył z panią krótką rozmowę w jego imieniu.

— Czyżby był tak zmęczony, że nie może przybyć na tę pogawędkę osobiście?

— Nie w tym rzecz. Obawia się, że zostałby źle zrozumiany.

— W porządku — odparła Catriona.

— Pan Beeney chciałby przekazać pani, że jego uczucia wobec pani to sprawa zupełnie odrębna od jego zamiaru zakupu „Arcadii”.

— Rozumiem — odparła Catriona chłodno. — Jestem skłonna mu uwierzyć. Chociaż nie ma to dla mnie znaczenia, ponieważ „Arcadia” nie jest na sprzedaż. A już na pewno nie dla pana Marka Beeneya.

— Och — westchnął Philip i rozejrzał się po pomieszczeniu tak, jakby coś tutaj zgubił. Po chwili cicho: — I uważa to pani za dobry pomysł?

— Co takiego?

— Nierozważanie nazwiska Marka Beeneya jako potencjalnego kupca „Arcadii”.

— A co to pana obchodzi? — zapytała Catriona ostro. — Już mówiłam panu, że wcale nie zamierzam sprzedawać „Arcadii”, nikomu.

— Przepraszam panią bardzo. Nie chcę być niegrzeczny, lecz w wąskim świecie armatorów sytuacja finansowa Keys Shipping jest dość powszechnie znana. Znałem poza tym pani ojca i...

— Mojego ojca znały tysiące ludzi.

— Oczywiście. Zawsze jednak odnosiłem wrażenie, że pomiędzy mną a pani ojcem przebiega taka specjalna iskierka wzajemnego zrozumienia.

— A więc pan także zawodowo zajmuje się statkami — zauważyła Catriona, niespecjalnie zainteresowana, czy jest tak w rzeczywistości. W gruncie rzeczy nużyła ją ta rozmowa. Była zmęczona i zirytowana.

— Zajmuję się ubezpieczeniami statków i innymi podobnie nudnymi sprawami — odparł

Philip.

— W takim razie wątpię, czy znajdował pan autentyczne porozumienie z moim ojcem; przynajmniej nie z takim Stanleyem Keysem, jakiego ja znałam. Nigdy nie zajmował się niczym, co byłoby nudne. Ja zresztą też nie lubię nudnych rzeczy i nudnych ludzi. To chyba dziedziczne.

— Przepraszam, jeżeli panią zanudzam. Mark prosił mnie jednak, abym przyszedł do pani i powiedział jej, co on czuje. A ja czuję, jestem wręcz przekonany, że mogłaby pani popełnić wiele gorszych błędów niż sprzedaż „Arcadii” American TransAtlantic.

— Czy Mark przysłał pana tutaj, aby wytłumaczył mi pan, dlaczego zachowywał się niegrzecznie, czy może dlatego, aby namówił mnie pan do sprzedania mu „Arcadii”?

— Bardzo panią proszę — powiedział Philip. Nerwowo poszukiwał miejsca, na którym mógłby położyć swój kapelusz. Nie mógł go znaleźć. — W kwestii „Arcaclu” i jej sprzedaży jestem gotów przedstawić pani moją własną opinię. Przede wszystkim uważam, że gdyby ojciec pani musiał

dokonywać wyboru pomiędzy sprzedażem całej reszty floty a sprzedażem tylko

„Arcadii”, największego statku i zarazem największego brzemienia finansowego kompanii, zaciśnąłby zęby i sprzedał samą „Arcadię”. Dzięki temu Keys Shipping pozostałby rodzinną kompanią. Sprzedając całą flotę, trudno uzyskać nawet połowę jej wartości, szczególnie, jeżeli jest się w przymusowej sytuacji.

— Dla pańskiej informacji — odezwała się Catriona, której irytacja gwałtownie wzrastała —

nasz naczelny dyrektor bardziej niż dokładnie przejrzał ostatnie księgi kompanii i stwierdził, że w przymusowej sytuacji najlepszym rozwiązaniem będzie sprzedaż całej floty poza „Arcadią”.

Cokolwiek pan wie o moim ojcu, muszę do tego dodać, że ponad wszystko dbał on o ludzi, którzy dla niego pracowali. Wiem też, że przenigdy nie sprzedałby „Arcadii” Markowi Beeneyowi, ponieważ gdyby tak uczynił, padłaby reszta kompanii i połowa ludzi w Liverpoolu znalazłaby się na bruku.

Philip Carter–Helm jakby chciał w odpowiedzi rzucić coś gwałtownego, jednak powstrzymał

się. Skłonił głowę i powiedział jedynie:

— Jeszcze raz panią przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że byłem wobec pani impertynencki i zarazem nudny. W pewnym sensie ma pani rację. Byłoby niewątpliwie trudno utrzymać Keys Shipping po sprzedaży „Arcadii”. Nawet cztery miliony funtów to w dzisiejszych czasach nie jest olśniewająca suma pieniędzy, przynajmniej dla armatorów.

— Czy Mark oczekuje z mojej strony jakiejś odpowiedzi? — zapytała Catriona.

— Nie wiem. Natomiast jeżeli zechciałaby pani jej udzielić... Catriona była zmęczona i senna. Z trudem już zbierała myśli.

— Nie wiem — powiedziała. — Być może Mark nie zasługuje na żadną odpowiedź. Ale, z drugiej strony, może jednak.

— Sądzę, że będzie zadowolony, jeżeli powie pani chociaż, że się na niego nie gniewa.

— Nie, nie gniewam się na niego. Ale chyba mnie rozdrażnił. Sama nie wiem. Przypuszczam, że miał dobre zamiary. Proszę mu przekazać, że wszystko jest w porządku i niech mi pan wreszcie da spokój.

— Wszystko w porządku?

— Taka jest wiadomość dla niego. Philip Carter–Helm stał nieporuszony.

— To wszystko, dziękuję panu — powiedziała Catriona, ale w tym momencie Philip zaczerwienił się i głośno przełknął ślinę. Wyglądał na zakłopotanego.

— Poprosił mnie też, żebym pocałował panią od niego — wystękał wreszcie.

— Pocałował?

— Tak.

— Jaki to wielbiciel przekazuje pocałunki przez posłańca? — Nieśmiały wielbiciel, jak sądzę.

— Mark Beeney i nieśmiałość. Cóż za niedorzeczność!

— Fakt, zwykle bywa inny. Jak widać nie w tym przypadku.

Catriona zastanawiała się tylko przez chwilę.

— Dobrze — postanowiła. — Skoro Markowi tak na tym zależy...

Philip głośno chrząknął, zakrywając usta pięścią, po czym postąpił do przodu i szybko pocałował Catrionę w policzek. Był to krótki, braterski pocałunek.

Catriona popatrzyła na niego. W jego oczach błyszczały jakieś dziwnie znajome jej iskierki; jakby rozpoznawała je, nie miała jednak pojęcia, kiedy po raz pierwszy je zobaczyła.

— Czy?.. — zaczęła, lecz była zbyt zdezorientowana, by dokończyć pytanie.

— Dziękuję, że mnie pani wysłuchała — powiedział Philip. — Mam nadzieję, że dostąpię zaszczytu zatańczenia z panią podczas tej podróży.

Po wyjściu Philipa Cartera–Helma do kajuty niespodziewanie wszedł Edgar. Wyglądał na zmęczonego i trochę rozkojarzonego, lecz mimo to był nieskazitelnie ubrany, a jego buty lśniły jak dwa mokre rekiny.

— Kto to był? — zapytał.

— Przyjaciel Marka Beeneya, nikt ważny. Nudziarz, jeżeli chce pan wiedzieć.

Edgar wyciągnął papierośnicę i poczęstował Catrionę. Zaprzeczyła, kręcąc głową, ale po chwili zmieniła zdanie i przyjęła papierosa.

— Zapewne dobrze wiesz, że niezbyt podobają mi się twoje kontakty z Markiem Beeneyem

— powiedział. — Mam nadzieję, że dosyć jasno wyraziłem się jeszcze przed podróżą: ten człowiek nie ma nam niczego do zaoferowania, poza kłopotami. Oczywiście, jest młody i przystojny. Interesują go jednak wyłącznie American TransAtlantic i wesola zabawa.

— Tak, tak, wcale się nie spodziewałam, że w tej chwili będzie pan miał inne zdanie.

— Chciałbym, żebyś uważała, w co się pakujesz. Siebie i kompanię.

— Naprawdę?

— Nalej mi dżinu, dobrze — odezwał się Edgar do Trimmera. Następnie zwrócił się ponownie do Catriony: — To, że zaufałem ci i przedstawiłem od podszewki sytuację finansową Keys Shipping, wcale nie oznacza, iż spodziewam się, że aktywnie włączysz się w zarządzanie kompanią. Jestem jej naczelnym dyrektorem i kierowanie nią jest moim obowiązkiem.

— Obawia się pan, że mogłabym sprzedać „Arcadię” za pańskimi plecami, prawda? I to tylko dlatego, że polubiłam Marka Beeneya?

— Nie, oczywiście, że nie. Masz tylko dwadzieścia pięć procent udziałów, a to nie wystarczy, aby podjąć podobną decyzję. Poza tym...

Catriona przymknęła oczy. W tej chwili marzyła tylko o tym, by Edgar sobie poszedł i przestał ją męczyć. Cholera, dlaczego wszyscy nagle uparli się, aby o tej upiornej godzinie rozmawiać z nią o interesach? Postanowiła, że ścierpi Edgara tylko tak długo, jak długo będzie się palił jej papieros, a potem go wyprosi. Lubiała Marka, lubiała tańczyć, natomiast nie cierpiała tych idiotycznych rozmów.

— Poza tym co? — zapytała.

— Poza tym wyglądasz na rozsądną dziewczynę, to wszystko — odparł Edgar. Spróbował się uśmiechnąć. — Wiesz już, jaka duża odpowiedzialność ciąży na nas wszystkich. Wiesz, co ofiaruje nam IMM. Osobiście czuję się przygnębiony, gdy muszę rozważyć sprzedaż choćby najmniejszego fragmentu Keys Shipping komukolwiek, ale wiem, na czym polegają moje obowiązki, i myślę, że ty je także rozumiesz.

— Do licha, chyba nie myśli pan, że zechcę sprzedawać „Arcadię” Markowi Beeneyowi tylko dlatego, że wczoraj zatańczyłam z nim kilka razy! — wykrzyknęła Catriona.

— Jesteś nowoczesną dziewczyną — powiedział Edgar i popatrzył na nią uważnie.

Catriona przez chwilę w ciszy paliła, po czym gwałtownie zdusiła papierosa. Dość już tego.

Była zmęczona, zirytowana, skacowana i zamierzała poczołgać się do łóżka, zamknąć oczy i spać, spać i jeszcze raz spać.

— Czy naprawdę uważa pan, że będziemy musieli sprzedać Keys Shipping? — zapytała. —

Chyba rozmawiał pan z tym człowiekiem z Irish Bank. Z całą pewnością „Arcadia” zrobiła na nim wrażenie.

— Nie powiem, że nie — przyznał Edgar ostrożnie. — Z drugiej strony rzecz ujmując, będzie się zachowywał tak samo jak wszyscy inni nasi inwestorzy. A raczej kredytodawcy. Będzie czekał i obserwował rozwój sytuacji.

— Czy uważa pan, że zdobędziemy Błękitną Wstęgę?

— To wie jedynie Bóg. Sir Peregrine powiedział mi, że silniki chodzą wspaniale. Doskonale funkcjonują rozwiązania, które wynalazł twój ojciec. Był wielkim człowiekiem pod każdym

względem.

— Czy mamy szansę utrzymania całej Keys Shipping w rodzinie?

Edgar przez chwilę milczał.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Obawiam się, że zbyt wielu wierzycieli naciśnie na nas zbyt prędko. Sukces ma swoje złe i dobre strony. Jeżeli uzyskamy opinię, że wiedzie nam się dobrze, natychmiast zaleje nas deszcz rachunków z hoteli, od hurtowników, dostarczycieli paliwa... Nie będziemy w stanie spłacić nawet połowy z nich.

— Ile zaoferował nam George Welterman?

— Za całą flotę? Osiemnaście milionów funtów.

— To chyba nie jest wiele. Sama „Arcadia” warta jest cztery.

— Wątpię, czy otrzymamy lepszą ofertę. Nasza flota ma swoją sławę, oczywiście, lecz większość statków jest już bardzo przestarzała.

— Och, już nic z tego nie rozumiem — westchnęła Catriona. — Zaczyna mi się kręcić w głowie od tego wszystkiego.

Zadzwonił telefon. Trimmer natychmiast podniósł słuchawkę i powiedział:

— Kajuta panny Keys... — Słuchał przez chwilę, po czym popatrzył na Edgara: — Panie Deacon, to do pana. Pan Fearson.

Edgar podszedł do telefonu.

— Percy? — odezwał się. — Co się dzieje?

Catriona skorzystała z okazji i wymknęła się do sypialni. Tymczasem Percy Fearson wyjaśnił

Edgarowi, co powiedział mu Rudyard Philips o „Droghedzie” i swoim aresztowaniu. Catriona spała już, gdy po skończeniu rozmowy Edgar poprosił Trimmera o jeszcze jedną porcję dzinu i ciężko usiadł na sofie, z twarzą tak szarą jak północny Atlantyk zimą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

O godzinie siódmej dwadzieścia jeden w środowy poranek, osiemnastego czerwca, na pokładzie „Arcadii” działo się równocześnie wiele ciekawych rzeczy. Edgar Deacon i Percy Fearson niechętnie zmierzali do apartamentu sir Peregrine’a, aby poznać jego reakcję na wiadomość o staranowaniu „Droghedy” przez „Arcadię”; telegrafista otrzymał właśnie kolejną informację z Dublina, że właśnie wyłowiono z Zatoki Dublińskiej szczątki Thomasa Dennisa; Catriona spała; Harry Pakenow natychmiast, bezustannie się drapiąc, spacerował po pokładzie i wdychał świeże poranne powietrze; stewardzi śpieszyli się, aby na czas podać śniadanie.

Identyczny pośpiech trwał w kuchniach, gdzie przygotowywano setki potraw dla tysięcy ludzi.

Pełną parą pracowała pralnia i piekarnia, a także na korytarzach z głośnym szumem elektryczne odkurzacze... „Arcadia” była małym miastem pływającym po Atlantyku i dzień musiał się tutaj zaczynać tak samo jak w każdym miasteczku.

Harry Pakenow, ubrany w szarą koszulę i bawełnianą marynarkę, przysiadł wreszcie na jakiejś ławeczce. Zapalił papierosa i zaczął rozmyślać, jak to będzie, kiedy wybuchnie jego bomba.

Wielkość tego, czego chciał dokonać, docierała do niego w pełni dopiero teraz, po dobie, którą spędził na „Arcadii” i jak trochę poznał ten statek oraz niektórych z płynących na nim ludzi.

Kiedy detonował ładunek na Wall Street, wszystko wyglądało inaczej. Moment wybuchu oznaczał dla niego głośny huk, szcęk pękających szyb i wrzask bogatych ludzi. W ogóle nie znał

Wall Street i żadnej spośród osób, które zabił. A przecież „Arcadię” znał już prawie tak dobrze jak Bootle albo Mersey Docks, a spośród jej pasażerów chociażby Philly i Lydię, jeśli nie kogoś jeszcze.

Podszedł do niego steward i zapytał:

— Czy czegoś pan sobie życzy?

Harry jedynie potrząsnął głową.

— Coś się nam pogoda pogarsza — powiedział steward, wskazując na cumulusy, które gromadziły się na południowo-zachodnim horyzoncie. — Nie będę zdziwiony, jeśli po południu wszyscy będziemy wymiotowali.

— Nie musi pan tak się z tego cieszyć — ofuknął go Harry. Pomyślał, że nie powinien był zapalać tego papierosa. Czuł się niezbyt dobrze.

Steward nie dawał za wygraną.

— Morska choroba to nic strasznego — powiedział. — Dobrze przeczyszcza człowieka. Wie pan, co kiedyś oferowano w Zatoce Bantry w Irlandii? Przejazdkę po zatoce za sześć pensów; ludziom, którzy podczas rejsu nie zrzygali się, zwracano pieniądze. Mówię panu, było wielu chętnych.

— Niech pan już odejdzie — poprosił go Harry. — Usiłowałem zabawić pana rozmową — stwierdził steward, posłusznie jednak sobie poszedł.

To nie coraz wyższe fale sprawiały, że Harry czuł się źle, mimo że modlił się, aby kołysanie statku chociaż na pięć minut, chociaż na minutę, ustało. To niecierpliwe motylki w jego żołądku przyprawiały go o mdłości, nerwowe skurcze wynikające z oczekiwania na to, co nieuchronnie wkrótce musi nastąpić.

Wysadzę ten cholerny statek w powietrze, rozmyślał. Wysadzę tę ich kapitalistyczną dumę, chorobliwą pychę, rozpieprzę ten bastion bezwstydne bogactwa. Kiedy pochłonie go ocean, wówczas zobaczymy, kto na tym świecie jest najważniejszy. Mój Boże, co to będzie za wydarzenie!

Niespodziewanie cienki głosik wyrwał go z rozmyślań:

— Czy dobrze się czujesz?

Popatrzył za siebie i ujrzał Lucille Foster w kapeluszu i bladoliliowej porannej sukience.

— Zobaczyłam cię z pokładu pierwszej klasy — powiedziała — i pomyślałam, że wyglądasz na chorego.

Harry uśmiechnął się, mile zaskoczony obecnością dziewczynki.

— To chyba dlatego, że ten statek ciągle przechyla się z jednej strony na drugą — odparł.

— Ależ to jest cała przyjemność z płynięcia statkiem! — zawołała Lucille, przysiadając obok niego.

— Takie, które się nie kołyszą, niczego nie są warte. Musiałbyś płynąć „Berengerią”. Na niej dopiero jest zabawa.

— Tak, to jest z pewnością zabawa dla kogoś, kto jest do tego przyzwyczajony. Ja płynę dopiero drugi raz, młoda damo.

— Nie jestem już taka młoda. W sierpniu skończę jedenaście lat. To poważny wiek.

Lucille przez chwilę milczała.

— Wiesz, wczoraj byłam bardzo oburzona, że cię tak okropnie potraktowali — powiedziała.

— Moja mama by do tego nie dopuściła. Mówiła, że zawsze należy być grzecznym i uczynnym absolutnie wobec wszystkich, niezależnie od tego, jak są biedni i nieszczęśliwi.

— Twoja mama była mądrą kobietą.

— Tak. Tata kochał ją do szaleństwa.

— Przykro mi było, kiedy usłyszałam, że oboje nie żyją — powiedział Harry. Po chwili zastanowienia jednak dodał: — Nie, wówczas nie było mi przykro, ponieważ dla mnie twój tata i mama byli jedynie bogatymi ludźmi, o których czyta się w gazetach. Teraz jednak spotkałem ciebie i im współczuję. A przede wszystkim współczuję tobie. Nie zasługujesz na taki los.

— Pani Hal mówi, że to było romantyczne. Twierdzi, że takie ich było przeznaczenie.

— Kim jest pani Hal?

— To dama, z którą podróżuję. Jest gospodynią wuja Roberta. Jest bardzo miła, trochę jednak

staroświecka, jeśli chodzi o takie sprawy, jak chłopcy, późne kładzenie się do łóżka i tańczenie.

— Masz chłopców? — zapytał Harry.

— Miałam, w Paryżu. Był to Francuz o nazwisku Armand Lautier. Miał dwanaście lat i był

taki słodki. Czasami mama pozwalała mi, żebym zaprosiła go na obiad i wówczas nawet częstowała nas szampanem. Mówiła, że na świecie nie ma niczego wspanialszego niż młodzieńcza miłość. Oczywiście, tak naprawdę to nie byliśmy w sobie zakochani. Byliśmy jedynie przyjaciółmi. Ale raz pozwoliłam Armandowi, żeby mnie pocałował, w sypialni.

— I podobało ci się to?

— Nie wiem... On miał takie mokre usta... Ale nie mogę powiedzieć, że to było tak całkowicie przyjemne. Harry roześmiał się.

— Jesteś już najprawdziwszą młodą damą, czy wiesz o tym?

— Tak, ale tylko dlatego, że urodziłam się w bogatej rodzinie. To wielka różnica, czy twoi rodzice mają masę pieniędzy i mogą wydać je na twoją edukację, czy też nie. W Paryżu miałam aż pięciu prywatnych nauczycieli, wyobrażasz to sobie? I damę, która uczyła mnie, jak należy poprawnie zachowywać się w towarzystwie.

— Hmm... — mruknął Harry. — To mi imponuje.

Z pokładu pierwszej klasy ponad ich głowami wiatr przyniósł odgłosy pianina. Muzyka towarzyszyła tym pasażerom, którzy stwierdzili, że są głodni, a kac nie dokucza im zbyt mocno, by wyjść ze swych kajut na śniadanie. Zaspokajali głód także ci, którzy przypuszczali, że jeśli wypełnią żołądki, skończą się dokuczające im coraz bardziej objawy morskiej choroby. Jedli i ci, którzy po całej nocy tańczenia, picia albo kopulowania, stwierdzili, że jest zbyt późno, aby teraz iść spać.

Wśród pasażerów, którzy nie spali, znajdowali się także Joe Kretchmer i Duncan Wilkaes.

Przed każdym z nich stały talerze, wypełnione górami jaj, bekonu, zimnego drobiu oraz kedgeree*. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia, że je ze specjalnym apetytem. Pan Kretchmer był

szary na twarzy, Wilkes jedynie odrobinę jaśniejszy, mimo to nie poddawali się i jedli miarowo, powoli, jakby do rytmu granej przez pianistę nostalgicznej wersji *Blue Morning*.

— To musi być bardzo dziwne nie być bogatym — zauważyła Lucille, patrząc na Hanyego.

— Dziwne? Cóż, być może. Jednak gdyby wszystkie pieniądze tego świata dzielone były bardziej sprawiedliwie, nikt nie wiedziałby, jak to jest być bogatym i jak to jest być naprawdę biednym. Ludzie nie piliby szampana i nie jedli kawioru, ale też nie głodowaliby.

— Naprawdę w to wierzysz? — zapytała Lucille.

— Oczywiście. A ty nie?

Przez minutę lub dwie Lucille milczała. Grube chmury, które jeszcze niedawno widoczne były tylko nad południowo-zachodnim horyzontem, zwisały już nad masztami „Arcadii”. Wiatr wzrósł, a pokład pod nogami stawał się coraz mniej stabilny. Hanyemu zdawało się, że z każdym przechyłem statku jego żołądek wędruje co najmniej osiem stóp do góry.

— Czy jesteś komunistą? — zapytała Lucille niespodziewanie. — Jesteś nim, prawda?

Przyjaciel mojej mamy, Pascal, mówił tak samo jak ty. Mówił, że pewnego dnia wszyscy na całym świecie będziemy nosić takie same ubrania i będziemy mieszkali w takich samych domach, i wszyscy będziemy otrzymywali co tydzień tyle samo pieniędzy. Mama się z niego śmiała.

— Dlaczego?

— Twierdziła, że komunizm to coś sprzecznego z ludzką naturą. Posłuchaj, Harry, czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

— Oczywiście.

— Nie boisz się, że nasz statek zatoni, prawda? — Oczywiście, że nie. Jego zatonięcie byłoby wyrazem woli Boga.

— Jesteś komunistą, a komuniści przecież nie wierzą w Boga. Przynajmniej Pascal nie wierzył. — Na chwilę zamilkła, po czym rzuciła kolejne pytanie: — Jak myślisz, czy i ty i ja możemy zostać przyjaciółmi?

Harry popatrzył jej prosto w oczy.

— Tak — odparł. — Nie wiem dlaczego, ale możemy.

— W porządku więc — powiedziała Lucille. — Ponieważ jesteś moim przyjacielem, mam coś dla ciebie. Kup sobie drinka.

Otworzyła swoją liliową torebkę i wyciągnęła z niej pięciodolarowy banknot starannie złożony. Rozwinęła go i po dała Harry'emu.

— Nie mogę tego wziąć — oświadczył.

— Musisz. Przecież ocaliłeś Margaret.

— Ocaliłem ją tylko dlatego, że nie chciałem, abyś utraciła lalkę.

— Ale przecież jesteś komunistą. Wierzysz, że bogaci ludzie powinni dzielić się z biednymi.

Te pięć dolarów zostało mi z kieszonkowego i nimi właśnie chcę się z tobą podzielić.

Harry zacisnął dłoń na jej piąstce tak, iż wciąż Lucille, a nie on, trzymała banknot.

— Posłuchaj mnie — powiedział. — Naprawdę nie chcę tego. Nie chcę cię zranić, ale nie mogę przyjąć tego banknotu.

* Kedgeree — potrawa podawana na ciepło, w skład której wchodzi ryż, ryby i jajka.

Lucille zmarszczyła czoło.

— A więc nie jesteś prawdziwym komunistą.

— Być może nie jestem.

— Oczywiście! Komuniści są ludźmi bez skrupułów, a ty nie jesteś taki. Ani trochę!

Harry przez chwilę palił w milczeniu papierosa i przyglądał się Lucille, mrużąc oczy.

— Wiesz co? — odezwał się wreszcie. — Być może wy, bogaci ludzie, macie jednak na nas, biednych, jakiś sposób.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Potraficie czytać w naszych myślach, wiesz?

— Nie, nie wiem. Ale odnoszę wrażenie, że masz wkrótce zamiar zrobić coś strasznego. Mam rację?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Sześć minut przed ósmą, kiedy Lucille powracała na pokład pierwszej klasy pod troskliwą opiekę pani Hall, na „Arcadii” działo się kilka innych rzeczy.

Maurice Peace w salonie klubowym pierwszej klasy zamaszyście wyłożył na stół dużego streeta, przebijając fulla pana Huberta Hubbarda, właściciela ponad połowy Minneapolis, i zgarniając jedenaście tysięcy pięćset dolarów wygranej. Douglas Fairbanks w swojej kajucie, której temat stanowiła „Muzyka”, głośno chrapiąc, przewracał się właśnie na drugi bok.

Baronówna Zawisza w kajucie „Pożądanie” leżała na plecach na łóżku z szeroko rozrzuconymi nogami, rozmyślając o wiośnie i o Zatoce Pomorskiej, podczas gdy Sabran niczym młody kot wylizywał jej pochwę. Rudyard Philips po raz kolejny bez powodzenia próbował dodzwonić się do Percy’ego Fearsona i nerwowo gryzł paznokcie. Monty Willowby natomiast znajdował się w łazience kajuty książężnej Xenii i usiłował wykręcić mahoniowy sedes oraz zastąpić go tańszym, który zabrał z łazienki trzeciej klasy.

Z kolei Dick Charles powoli otwierał oczy, leżąc na swej wąskiej koi i próbując przypomnieć sobie wydarzenia ostatniej nocy. Był zupełnie pewien, że obudził się obok lady Diany FitzPerry, a mimo to był sam w swojej własnej kabinie. Jego mundur wisiał starannie zawieszony w szafce, a czapka leżała na półeczce i o tym, że coś jest nie tak, przypominał tylko przeogromny kac. Dick z trudem

uniósł się i spróbował skupić wzrok na zegarze stojącym na stole. Jeszcze raz z ulgą rzucił się na łóżko. Dzięki Bogu, miał jeszcze godzinę do służby.

Ale w jaki sposób się tu dostał? I gdzie była teraz lady Diana? I czy to wszystko, co przeżył w nocy, wydarzyło się naprawdę, czy też było tylko idiotycznym, pijackim snem?

Pamiętał, jak lady Diana namawiała go, aby poszli do jej kajuty na ostatniego drinka. Już w tym momencie oboje byli dobrze wstawieni i objęci w pól, z trudem zmierzali do wytyczonego celu, bezustannie objając się o ściany korytarza, na przemian czkając i chichocząc. Raz nawet oboje się przewrócili i gdy Dick padł na jej plecy, wrzasnęła jak nastolatka, której ktoś niespodziewanie zadarł spódnicę. Całe Szczęście, że większość pasażerów pierwszej klasy nie była zdolna zwrócić na tę scenę uwagi.

Natychmiast gdy dotarli do kajuty Diany (temat: „Złoto”), lady FitzPerry demonstracyjnie rozebrała się. Naga, zgrabna, podbiegła do Dicka i zaczęła obsypywać go tak namiętymi pocałunkami, że wkrótce niemal stracił oddech.

— Oto nadszedł moment prawdy! — zawołała. — Otwórz j więc butelkę szampana i wypijmy za prawdę. Wypili za prawdę. A potem...

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Dick zupełnie nie pamiętał, jak ta noc się skończyła. Jak przez mgłę Spamiętał jedynie picie szampana i szaloną orgię, podczas której oboje stracili wszelkie hamulce, a potem nagle nic. Pamiętał, jak lady Diana pieściła ustami jego członek, jak śmiała się z jakiegoś jego szczegółu, w którymś momencie wspomnienia się urwały i następowało przebudzenie we własnej kabinie, z ogromnym kacem rozsadzającym czaszkę.

Podszedł do umywalki, odkręcił kran i wypełnił zlew letnią wodą. Zaczął spryskiwać nią swoją twarz w bezskutecznym wysiłku doprowadzenia się do stanu używalności. W owalnym lustrze ujrzał swe odbicie: tak wyglądałaby zapewne jego podobizna w gabinecie figur woskowych Madame Tussaud. B...B...Bóg wwwwie, co po...powie sssir Peregrine, kkie...kiedy zo...zobaczy go w t... t...takim sta...stanie na... na mo...mo...mo...stku, pomyślał.

Tajał powoli, wciąż zastanawiając się nad tym, co mu się przydarzyło tej nocy. Przecież kobieta taka jak lady Diana mogła owinąć sobie wokół palca każdego z przynajmniej dwudziestu młodych arystokratów, którzy podróżowali „Arkadią”. Było tu nawet dwóch parów, dlaczego więc wybrała właśnie jego, czwartego oficera, Dicka Charlesa? Przecież to nie miało sensu.

Owszem, wiedział, że jest w miarę przystojnym i inteligentnym młodym człowiekiem, mimo że się jąkał. Potrafił jeść rybę dwoma widelcami, dobrze znał francuski i portugalski, od biedy kantoński, ale i tak nie mógł zrozumieć, dlaczego lady Diana... Przecież gdyby chodziło jej o seks i nic więcej, nawet w trzeciej klasie znajdowali się młodzi i przystojni mężczyźni, którzy dobrze potrafiliby jej dogodzić.

Otworzył trzy szuflady, zanim znalazł parę czystych majtek i podkoszulek. Niepewnie ubrał

je, jakby należały do kogoś innego. Następnie włożył niebieskie skarpetki i wreszcie zadzwonił

na stewarda, by przyniósł mu gorącą czarną kawę, trzy aspiryny i kanapkę z szynką.

W tym samym czasie Edgar Deacon pukał do drzwi apartamentu sir Peregrine'a. Percy Fearson stał obok niego z fryzurą rozwianą przez wiatr.

— Proszę! — zawołał sir Peregrine, po czym chrząknął głośno.

Edgar otworzył drzwi i obaj weszli do środka. W salonie kapitana było gorąco i unosił się zaduch właściwy tylko liniowcom oceanicznym: zapach farb, oleju, skóry i świeżo wypieczonego pieczywa.

— Dzień dobry, sir Peregrine — powiedział Edgar tonem człowieka, który z trudem nad sobą panuje.
— Czy dobrze pan spał?

Pytanie było niespodziewane, dlatego sir Peregrine najpierw uniósł głowę, potem przymrużył oczy, jakby z trudem skupiając spojrzenie na swych gościach, i dopiero wtedy odpowiedział:

— Dziękuję, panie Deacon, nieźle. A pan?

Sir Peregrine siedział w fotelu wystawionym na środek salonu, w pozie starego i niepopularnego monarchy. Wciąż miał na sobie płaszcz kąpielowy i skórzane klapki, a przez szyję przewieszono okulary do czytania. Czytał właśnie *Vanity Fair* i książka przełożona była przez poręcz fotela tak, by kapitan mógł w każdej chwili kontynuować czytanie od tego samego miejsca. Teraz jednak patrzył na Edgara z niechęcią. Nie cierpiał go i przypuszczał, że z wzajemnością.

Mylił się gruntownie. Edgar ze współczuciem obserwował tragedię sir Peregrine'a, jej głębia przejmowała go wręcz bólem.

— Dowiedziałem się, że rozkazał pan Philipowski, aby nie opuszczał swojej kajuty — powiedział Edgar. Ręce trzymał w kieszeniach spodni.

— Poleciałem panu Philipowski, aby uważał się za aresztowanego, jeśli o to panu chodzi — odparł sir Peregrine.

— Czy będę niegrzeczny, jeżeli zapytam dlaczego? Sir Peregrine znów chrząknął.

— Jestem kapitanem tego statku, panie Deacon. Jako taki, mam zarówno prawo, jak i obowiązek czynić wszystko, co jest legalnie dozwolone, w celu ochrony statku przed niebezpieczeństwem, a także jego załogi, ładunku i pasażerów.

— Rozumiem, że uznał pan w związku z tym za niezbędne zamknięcie pana Philiposa w jego kabinie.

— Czyżby kwestionował pan mój autorytet? — zapytał gwałtownie sir Peregrine. — Czy z tym pan tutaj przyszedł?

Z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w Edgara.

— Chcemy po prostu wiedzieć, co się tutaj dzieje. — Niespodziewanie do rozmowy wtrącił się Pearcy Fearton. — Pan Philips zatelefonował do mnie przed kilkunastoma minutami i opowiedział mi swoją wersję wydarzeń. Uważam, że teraz powinniśmy wysłuchać pańskiej.

— Tak? — zapytał sir Peregrine i westchnął. — A cóż takiego pan Philips powiedział?

— Zachowuje lojalność wobec pana, jeżeli o to chodzi. Nie powiedział niczego przeciwko panu.

— To nie oznacza jeszcze lojalności.

— Nie tym jednak chcemy się teraz zajmować. Aresztowanie pierwszego oficera przez kapitana statku to poważne wydarzenie. Pan Philips jest szanowanym oficerem Keys Shipping, jak panu wiadomo, sprawuje również funkcję kapitańską. Dlatego tym bardziej chcemy wiedzieć, co zaszło, i to jak najszybciej. Nie życzymy sobie skandali, szczególnie podczas tej podróży.

— Nie będzie żadnego skandalu — stwierdził sir Peregrine, krzywo się uśmiechając. —

Poleciałem panu Philipsowi zamknąć się w kajucie, gdyż wyniknęło między nami nieporozumienie co do metod sprawowania władzy na statku. To nieprzyjemna historia i nikomu nie zależy na jej nagłaśnianiu, zapewniam pana. Czasami jednak, niestety, z bólem serca trzeba podejmować środki dyscyplinarne wobec podwładnych oficerów.

Edgar przez chwilę bawił się modelem żyroskopu stojącym na stoliku. Spokojnie, nie podnosząc wzroku, odezwał się:

— Jak mi się wydaje, pan Philips odnosi wrażenie, iż jego aresztowanie ma związek ze staranowaniem przez nas łodzi rybackiej o nazwie „Drogheda”.

— Co? — zawołał sir Peregrine.

— Według pana Philipsa „Arcadia” rozbiła małą łódź rybacką — powtórzył Edgar. —

Twierdzi, że opuściliśmy irlandzkie wody terytorialne z pełną szybkością przy słabej widoczności i rozbiliśmy tę łódź, tak małą, że nikt na pokładzie tego nie odczuł. Zabiliśmy człowieka.

— Tak — przytaknął sir Peregrine. — To prawda.

— Od jak dawna pan o tym wie?

— Wiadomość dotarła na pokład przed kilkoma godzinami.

— Kilkoma godzinami? I dlaczego nie przyszło panu na myśl, żeby mnie o tym poinformować?

— Oczekiwałem na potwierdzenie. Zna pan Irlandczyków, lubią fantazjować.

— Tak poważną informację uznał pan za irlandzką fantazję?

Sir Peregrine zaczął mówić powoli i dobitnie, wkładając w słowa całą powagę swego stanowiska na „Arcadii”.

— Proszę pana, niech pan nie zapomina, iż stawałem już na mostkach największych statków oceanicznych naszych dni. Kiedy pan siusiał w pieluchy, ja przepływałem północny Atlantyk jako kapitan furory”, „Eximiousa”, a potem „Lustrousa”. Pływałem wśród burz, sztormów, huraganów i tajfunów. Znam więc swój zawód, panie Deacon. Jeśli chodzi o wiadomość z Irlandii, moim obowiązkiem było sprawdzenie, czy jest prawdziwa ze względu na jej powagę.

Ponieważ „Arcadii” nic nie zagrażało i nie zagraża, ostatnią rzeczą, na jaką mogłem sobie pozwolić, było podnoszenie alarmu i hysterii, na co pan sobie właśnie w tej chwili pozwalała.

Wstał z fotela, zrzucając książkę na podłogę.

— W momencie domniemanego wypadku na mostku znajdował się pan Philips. Oczekuję od niego pełnego raportu w tej sprawie. Odnoszę wrażenie, że powodem kolizji było zlekceważenie przez pana Philipsa mojego rozkazu, nakazującego utrzymanie bezpiecznej prędkości aż do końca trzymilowej strefy wód terytorialnych. Być może fakt, iż po raz pierwszy dowodził tak wielkim transatlantykiem, uderzył mu do głowy. Być może stwierdził, że jestem za stary i zbyt ostrożny jak na kapitana takiego statku; chciał mi pokazać, czego to on nie potrafi. Nieważne.

Faktem jest, że „Arcadia” płynęła o wiele za szybko w strefie wód przybrzeżnych, nie uwzględniając ograniczonej widoczności. Efektem tego zaniedbania okazał się tragiczny w skutkach wypadek.

— Pan Philips twierdzi coś wręcz przeciwnego — powiedział Percy Fearson. — Pan Philips kategorycznie twierdzi, że to pan nakazał mu płynąć całą naprzód mimo ostrzeżeń władz irlandzkich, nawet mimo jego własnego stanowiska, które panu przedstawił.

—Pan Philips był wówczas oficerem dowodzącym na mostku — odparł sir Peregrine. —

Mimo że ja osobiście ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się na tym statku, muszę panom jeszcze raz przypomnieć, że to pan Philips znajdował się na mostku w chwili wypadku.

Na nim więc spoczywała cała odpowiedzialność za kurs i prędkość „Arcadii”. Skoro widoczność była słaba, powinien był płynąć powoli. Czy słyszeliście panowie o kapitanie, który rozkazałby płynąć całą naprzód, nie bacząc na pogodę i inne okoliczności, wpływające zwykle na sposób żeglowania? Jeżeli chcecie oskarżyć kogokolwiek o staranowanie „Droghedy”, to szukacie pod niewłaściwym adresem. Obiektem waszych oskarżeń powinien być pan Philips. Przykro mi, ale zgodnie z prawem morskim sprawa tak właśnie wygląda. Jeśli chodzi o moją opinię, to po prostu młody, zdolny kapitan na kilkanaście minut stracił głowę i to jest przyczyną nieszczęścia.

Percy Fearson westchnął i popatrzył na Edgara.

—Wiadomo mi — powiedział — że pan Philips ma jakieś kłopoty w domu. Prawdopodobnie porzuciła go żona, odchodząc z kimś innym.

Edgar zastanawiał się nad czymś, wpatrując się w sufit.

— W porządku, kapitanie — powiedział w końcu. — Pragnę, aby w wyniku tej rozmowy zapamiętał pan, że na przyszłość życzę sobie, by wszelkie ważne informacje, które docierają do nas za pomocą telegrafu, natychmiast pojawiały się na moim biurku. Chcę, aby przekazywał mi pan wszystkie wiadomości natychmiast, gdy pan je otrzyma. Jest pan legendarnym wilkiem morskim i cenionym kapitanem, lecz nie jest pan biznesmenem ani bankierem i ma pan niewielkie doświadczenie, jeżeli chodzi o kształtowanie wizerunku Keys Shipping w prasie.

— To ja będę oceniał wagę każdej wiadomości, panie Deacon — powiedział sir Peregrine z naciskiem. — I ja będę decydował, co komu należy przekazać.

— Oby więc nasze oceny zawsze się pokrywały — odparł Edgar. — Chodź, Pearcy — dorzucił. — Myślę, że już czas najwyższy, abyśmy zjedli jakieś śniadanie.

Wyszli z apartamentu kapitana i starannie zamknęli za sobą drzwi.

— Co o tym myślisz? — zapytał Percy Fearson.

— Szlag by go trafił! — warknął Edgar. — Czy naprawdę uważasz, że pozwolę, aby ten stary kozioł zwracał się do mnie w ten sposób bez żadnych konsekwencji? Skoro na czas otrzymaliśmy ostrzeżenie od władz irlandzkich, z całą pewnością telegrafista w odpowiednim czasie zaniósł je na mostek. Kto był wówczas przy sterze?

— Chyba Bunyan.

— A więc, zanim zjemy, chodźmy najpierw do Bunyana.

Bunyan obudził się właśnie po sześciu godzinach snu. Jego niewielka kabina śmierdziała piwem i potem. Do ściany przypięta była fotografia dużego domu w Manchesterze oraz Anny Q.

Nilsson, ówczesnej piękności. Bunyan siedział na skraju koi w szerokich spodniach i poplamionej podkoszulce, mrugając oczyma i ziewając.

— Chcemy dokładnie dowiedzieć się, jakie ostrzeżenie napłynęło z portu w Dublinie, kiedy

„Arcadia” opuszczała irlandzkie wody terytorialne — powiedział Edgar najcieplejszym głosem, na jaki było go w tej chwili stać.

Bunyan jeszcze raz ziewnął.

— Ostrzegali, że wokół nas aż roi się od niewielkich jednostek.

— I?

— I że powinniśmy płynąć powoli przynajmniej na odcinku jednej mili.

— Czy jesteś pewien, że taka właśnie była informacja?

Bunyan pokiwał głową.

— I zastosowałeś się do tych zastrzeżeń? — Tak, proszę pana. Zresztą sir Peregrine rozkazał powoli naprzód jedną milę, a potem całą naprzód.

— A więc całą naprzód po przebyciu jednej mili bez względu na warunki?

— Wcale nie, proszę pana. Cała naprzód po przebyciu jednej mili, jeśli warunki na to pozwolą.

Edgar popatrzył na Percy Fearsona, a potem znów na Bunyana.

— Czy byłbyś gotów powtórzyć to przed sądem przysięgłych?

Bunyan pokiwał głową i zamrugał oczyma. — Rozumiem. Bardzo dobrze — stwierdził Edgar i wyszedł. Na zewnątrz Percy Fearson zapytał go:

— No i co?

— Teraz już sam nie wiem — odparł Edgar. — A właściwie... Przypuszczam, że kazano mu tak opowiadać.

— Tak myślisz?

— Wystarczyłoby pięć funtów, żeby go przekupić, Percy. Drobną kwotę pieniędzy i obietnica awansu w ciągu roku lub dwóch.

— Chyba musimy jeszcze porozmawiać z telegrafistą — zauważył Percy.

Edgar popatrzył na zegarek.

— Zgoda — powiedział. — Przeczytajmy sami tę wiadomość.

Poszli do pokoju telegrafistów. W chwili, gdy „Arcadia” opuszczała Zatokę Dublińską, służbę miał ktoś inny niż obecnie, jednak młody, nerwowy człowiek z wielką brodawką na końcu nosa, który ich teraz przyjął, szybko pokazał im wszystkie depesze, jakie napłynęły na statek podczas poprzedniej zmiany.

Edgar przejrzał dokładnie jedną po drugiej. Młody telegrafista patrzył na niego z przestrawieniem w oczach. Wreszcie Edgar znalazł to, czego szukał.

— Mam — powiedział. — Komendant portu w Dublinie do „Arcadii”. „Możecie ruszać.

Życzymy spokojnego morza, sukcesów...” Jest tu coś jeszcze o królu Neptunie oraz ostrzeżenie przed

niedużymi jednostkami pływającymi i prośba o małą prędkość na przestrzeni jednej mili.

Podniósł depeszę do światła. Następnie, dla porównania, uniósł jeszcze jedną, telegram z Londynu dla pana Charlesa Schwaba.

— Nasza wiadomość zapisana została tęym ołówkiem, a następna ostrym — powiedział.

Wiadomość poprzednia również ostrym — zauważył. — Coś się tutaj nie zgadza.

Telegrafista był blady jak kartka papieru. Przez chwilę milczał, po czym przesunął w kierunku Edgara mały szklany pojemnik, w którym znajdowało się ponad dziesięć różnych ołówków.

— Tutaj przechowujemy przybory do pisania, proszę pana — odezwał się odrobinę drżącym głosem. — Niektóre spośród nich są ostre, a niektóre przytępione.

Edgar przypatrywał mu się przez kilka sekund, po czym złożył razem depesze i położył je na skraju stolika.

— Dajmy sobie spokój — postanowił Percy Fearson. Nie zadawali już telegrafście żadnych pytań, lecz zgodnym krokiem udali się do Orchid Lounge na śniadanie.

— Teraz naprawdę nie wiem, co myśleć — powiedział Edgar. — Ale nie chce mi się wierzyć, że Philips beztrząsco rozkazał płynąć całą naprzód. To nie ten typ. Ale skoro, jak mówisz, ma kłopoty rodzinne... Hmm, być może przyszło mu do głowy, że może zaćmić legendę sir Peregrine'a. Ludzie zdradzeni przez żony wpadają czasami na najbardziej głupie pomysły. A może to była zwykła lekkomyślność i spraw prywatnych Philipsa nie powinniśmy z tym wiązać.

— Człowiek na bocianim gnieździe nie zobaczył „Droghedy”, pamiętaj o tym. A przecież z bocianiego gniazda zwykle wszystko jest widoczne najwcześniej. Odnoszę wrażenie, że w warunkach, jakie panowały na morzu, „Arcadia” nie miała szans na uniknięcie zderzenia przy żadnej szybkości. Irlandczyk miał po prostu pecha.

Tymczasem sir Peregrine dopijał w swoim apartamencie resztki „śniadania”. Trzymał butelkę po rumie do góry dnem przez blisko minutę, oczekując, aż ostatnie, najbardziej niechętne krople alkoholu wpadną do szklanki. Wreszcie z westchnieniem odstawił butelkę. Jeden trup, ale przecież tylu tych Irlandczyków jeszcze pozostało. Wiedział, że teraz, skoro zaczął, nie potrafi nie pić do końca rejsu. Bolała go głowa, a w ustach czuł smak starych szmat.

Ale przecież co znaczyło kilka drinków dla człowieka o jego charakterze i sile woli? W końcu historia zapamiętała wielu wspaniałych ludzi o pociągu do mocnych trunków. Alkohol pozytywnie wpływał na ostrość widzenia, uspokajał, pozwalał lepiej zebrać myśli, dodawał

zdecydowania. Do cholery! Przechylił szklankę i opróżnił ją do dna.

Catriona w tym czasie spokojnie spała. Śniło się jej, że tańczy, a potem że biega po korytarzach „Arcadii” i szuka Marka. Śniła, że usta Marka znajdują się przy jej ustach, a z oddali dobiegają dźwięki *Pokocham cię za pieniądze*.

W miarę upływu godzin „Arcadia” zaczęła skakać po falach jak dziki koń. Jej dziób wpijał się w spienione grzywy coraz wyższych i gwałtowniejszych fal. Ocean stawał się szary i groźny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Catriona spóźniła się całe pięć minut na pokaz mody przygotowany w Grand Lounge. Nie przyznawała się nawet sama przed sobą, że czuje mdłości; to jedynie kawa, którą poczęstowała ją Alice zaraz po przebudzeniu, przelewała się przez jej żołądek, gdy kołysał się pokład „Arcadii”.

A jednak lekarze mieli już pełne ręce roboty. Na pomoc przeciwko morskiej chorobie czekała cała długa kolejka pasażerów. Tych, którzy do białego rana tańczyli, jedli, pili i kopulowali, pogoda pokarała najciężej; drugi oficer, Ralph Peel, nazywał to „atlantycką sprawiedliwością”.

Najsłodsze dziewczyny i najbardziej przystojni panowie, bladzi i cierpiący, najniżej pochylali się teraz nad zlewami w swych kabinach; do oczu wielu spośród nich zaglądała, oczywiście najzupełniej niepotrzebnie, czarna wizja śmierci.

Stewardzi zaś byli cisi i ugrzecznieni, krążąc pomiędzy kajutami i kabinami z minami na twarzach porównywalnymi jedynie z obliczami piętnastowiecznych włoskich świętych.

Natomiast kiedy spotykali się w kuchniach i swych komórkach, z radością przekazywali sobie z ust do ust informacje o swoich cierpiących sławnych podopiecznych. Największym zainteresowaniem cieszyła się opowieść tego spośród nich, który przydzielony był do Jacka Dempseya. Doskonale naśladowując słynnego boksera, mówił on: „O Boże, już nigdy nikogo nie uderzę w żołądek, nigdy!”

Catriona dotąd nie cierpiała na żadną z chorób związanych z podróżowaniem. Z radością jeździła konno, fascynowały ją też przejażdżki na karuzeli, na które regularnie zabierał ją Nigel.

Jednak podskoki i kołysania „Arcadii” na falach to było coś, czego jeszcze nie doświadczyła.

Zbliżając się do Edgara Deacona i pana Victora Delaina z „Gazette du Bon Ton”, który był organizatorem pokazu, odnosiła wrażenie, że dzieje się z nią coś nierealnego, gdyż w jednej chwili biegła ku nim w dół, aby w następnej mozolnie wspinać się pod górę.

Za Edgarem stał George Welterman. Obserwował Catrionę, próbującą dotrzeć do mężczyzn jak najelegantszym krokiem, lecz jego twarz nie zdradzała żadnego uczucia.

— Widzę bardzo mało osób — powiedziała Catriona, rozglądając się dookoła. Wzdłuż długiego kasztanowego chodnika, biegnącego przez całą Grand Lounge, rozstawiono dwa podwójne rzędy małych, połączonych krzesłek. Niewiele więcej niż jedna trzecia z nich było zajętych i niewiele więcej niż połowa zgromadzonych na nich dam uśmiechała się. Od czasu do czasu któraś z nich powstawała, odkładając na krzesło notes i srebrny ołówek, dostarczony przez Keys Shipping, i szybciućko biegła do toalety.

— To się nazywa mieć pecha — narzekał Victor Delain. — Organizuję najbardziej ekskluzywny

pokaz mody poza Francją i jaka mnie spotyka nagroda? Sztorm, wszyscy chorzy...

Zachorowała nawet moja najlepsza modelka.

— Może byśmy już zaczęli? — zaproponował Edgar zmęczonym głosem.

Catriona starała się odszukać Marka Beeneya albo Marcie, ale po żadnym z nich nie było nawet śladu. Natomiast George Welterman pochylił się ku niej i powiedział:

— Czy zezwoli mi pani, abym usiadł obok niej?

Catriona popatrzyła na Edgara. Nikt dookoła nie byłby w stanie odczytać wyrazu jego twarzy.

Ona jednak nie miała wątpliwości, co wyraża: bądź miła dla George'a Welter — mana, bardzo cię proszę. Oznaczał, że od jej zachowania zależy wszystko. Nie tylko przyszłość Keys Shipping, ale warunki bytu całej rodziny, to, w jakich ona, Catriona, będzie chodziła sukienkach i jaką będzie miała biżuterię. Oznacza, że nie zrobiono jej Królową Atlantyku jedynie dla kaprysu.

Nadszedł czas, by na ten tytuł zapracowała.

— Oczywiście, panie Welterman — odparła. — To dla mnie zaszczyt.

— Prosiłem, abyś mówiła mi po imieniu.

Catriona uśmiechnęła się szeroko, fałszywie.

— Ach, ależ oczywiście. Przepraszam cię. A więc usiądź obok mnie, George.

George Welterman z galanterią ucałował jej dłoń i dopiero potem usiadł na poślacany krześle.

— Czy nie cierpisz tak jak inni na morską chorobę? — zapytała go Catriona.

Potrząsnął przecząco głową.

— Powodem morskiej choroby jest zawsze nadmierna wyobraźnia.

— A ty nie masz wyobraźni?

— Naigrawasz się ze mnie — stwierdził bez cienia humoru. Był jednak na tyle wychowany, że nie okazał rozdrażnienia. — Ale cóż, takie twoje prawo. Jesteś młodą dziewczyną.

— Czy więc dzięki mej młodości mam dyspensę od drwin z ciebie, George?

— Nie — odparł Welterman. — Ale ten młody wiek oznacza, że wszelkie nietakty wybaczam ci szybciej niż komukolwiek innemu.

— A kto ci powiedział, że ja chcę, abyś mi wybaczał?

George Welterman sięgnął do kieszeni swej niesłychanie drogiej, szarej marynarki i wyciągnął z niej chusteczkę kremowego koloru. Otarł nią kąciki ust, a potem czoło.

— Chyba mnie nie lubisz — powiedział wreszcie.

— Nie powiedziałam tego.

— Prawie powiedziałaś. Jeżeli uważasz, że twoje drwiny ze mnie nie wymagają mojego wybaczenia, zatem mnie nie lubisz.

Catriona popatrzyła na niego uważnie. W szarej, pomarszczonej twarzy tkwiły lśniące, niemal młodzieńcze oczy. George Welterman czegoś od niej chciał, nie miała jednak najmniejszego pojęcia czego. Nie kochał jej. Nie pożądał. Może tylko zwyczajnie mu się podobała? Ale w końcu dlaczego tak bogaty i poważny człowiek miałby po prostu podziwiać urodę dwudziestojednoletniego podlotka?

— Odnoszę wrażenie, jakby... jakby coś ci leżało na sercu — powiedziała Catriona. — Nie jesteś nieśmiały, ale taki jakiś... chłodny.

— Czy sądzisz, że byłem chłodny wobec Myrtle?

— Myrtle? Nie wiem Skąd mam wiedzieć?

— Powiem ci — postanowił George Welterman, zakładając nogę na nogę. — Zawsze byłem czuły dla niej. Z jej postacią związałem wszystkie moje nadzieje na przyszłość. Oczywiście, to nie jej wina, że pozostałem sam.

— Trudno, żebyś ją winił, skoro zachorowała na dystrofię mięśniową.

Zapadła cisza, podczas której oboje z udawanym zainteresowaniem przyglądali się pokazowi.

Catriona niespodziewanie dla samej siebie zaczęła się zastanawiać, jak George Welterman wygląda, kiedy jest nagi. To musi być odrażające, pomyślała. A kochać się z podobnie nieapetycznym typem? Tego już nie potrafiła sobie wyobrazić. Nie rozumiała też, co takiego zauważyła w nim Myrtle. Może jedynie pieniądze?

— Następnym razem ujrzę Myrtle w dniu jej pogrzebu. — George przerwał ciszę panującą pomiędzy nimi. — Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak trudny będzie to dla mnie dzień?

Przypuszczam, że tak. Niedawno przecież straciłaś ojca.

— Czy piszesz czasami do niej, telefonujesz?

— Piszę do niej codziennie.

— Odpisuje ci? George opuścił głowę.

— Nie — odparł. — Jeszcze nigdy nie odpisała.

— Piszesz do niej, że ją kochasz?

— Piszę jej o wszystkim. Dokąd jeżdżę, co robię, o czym myślę... Myrtle jest jedyną osobą na świecie, przed którą całkowicie się odkrywam. I nigdy na moje listy nie odpowiada.

— Zdaje się, że opowiadasz o tym ludziom bez żadnego skrępowania — zauważyła Catriona.

— A niby dlaczego miałbym czuć się skrępowany?

— Nie wiem. To wszystko wydaje mi się takie osobiste, a przecież wczoraj wieczorem nie poruszałeś żadnego innego tematu. Tylko Myrtle...

George Welterman wzruszył ramionami. Milczał.

— Czy pragniesz, aby wszyscy ludzie ci współczuli? — zapytała Catriona.

— Ludzie?

— Och, przepraszam, może źle cię zrozumiałam — powiedziała Catriona i na chwilę zacisnęła usta.

— Czy pragniesz, żebym ja ci współczuła?

— Jesteś zupełnie wyjątkową młodą damą. — stwierdził George. — Jesteś nie tylko piękna, ale także potrafisz zrozumieć ludzi.

— Odziedziczyłam to po ojcu. Niestety, problem tkwił w tym, że oboje nigdy się nie rozumieliśmy.

— Czy wypijesz koktajl w mojej kabinie? — zapytał George niespodziewanie. — Oczywiście, możesz przyjść z pokojówką, jeżeli potrzebujesz przyzwoitki. Powiedzmy, o szóstej, co ty na to?

— O szóstej zero trzy — odparła Catriona i uśmiechnęła się do Weltermana.

Popatrzył: na nią nieodgadnionym wzrokiem, a później pokiwał głową.

Część Grand Lounge oddzielona była od reszty pomieszczenia złotą kurtyną, na którą padało światło zielonych i czerwonych reflektorów. Victor Delain wynurzył się spoza niej po raz kolejny i oznajmił:

— Panie i panowie. W dniu dzisiejszym zamierzałem zaprezentować państwu wszystkie lub niemal wszystkie paryskie kreacje, przygotowywane w największym sekrecie na najbliższą jesień i zimę. Niestety, ocean okazał się nam nieprzychylny i niektóre spośród modelek zapadły na chorobę morską.. (Na dźwięk tego słowa kilka kolejnych dam zerwało się z krzeseł i pobiegło do toalety). Uczynię jednak wszystko, aby wasze gusta i wola oglądania piękna zostały mimo tych trudnych warunków zaspokojone.

Był to i tak najwspanialszy pokaz mody, jaki kiedykolwiek zdarzył o się oglądać Catrionie.

Nadzwyczaj wystrojone w najnowsze kreacje najstłynniejszych paryskich projektantów, długonogie dziewczęta robiły, co mogły, aby mimo kołysania pokładu jak najlepiej zaprezentować się zgromadzonym obserwatorom. Zadanie miały niezwykle trudne i z pewnością dodatkowo komplikowały je pantofle na szpilkach, w które obowiązkowo wszystkie były obute.

Nie mogło w tej sytuacji odbyć się bez przykrych wypadków. Jedna z dziewcząt, w chwili kolejnego głębokiego bocznego przechyłu „Arcadii”, siadła na kolana damy Clary Butt. Było to tak niespodziewane, że Clarze wypadł z ust papieros i wypalił dziurę w sukience.

Stroje, prezentowane przez dziewczyny, były piękne jak z baśni; i można je było nabyć rzeczywiście za wyłącznie baśniowe pieniądze. Catrionie szczególnie spodobała się czarna muślinowa sukienka bez rękawów, w czerwone i żółte kwiaty, zaprojektowana przez Doeuilleta.

Zwróciła też uwagę na fioletową dzienną sukienkę Lelonga. Żadna z nich nie kosztowała mniej niż siedemset funtów.

Najwspanialszą sukienką pokazu była jednak bez wątpienia czarna, koronkowa sukienka wieczorowa Douceta, sprawiająca wrażenie kruchej, delikatnej i niezwykle lekkiej. Efekty przepychu podkreślały liczne diamenty, którymi obszyto jej brzegi.

— Podoba ci się? — zapytał George, widząc, jak Catriona bije brawo.

— Oczywiście. To nadzwyczajna kreacja.

— A więc jest twoja — powiedział George Welterman. Uniósł notes i ołówek, po czym zapytał: — Kto ją zaprojektował?

— Doucet. Ale przecież nie możesz mi jej kupić. George Welterman powoli napisał:

„Doosay”*. Następnie popatrzył na Catrionę zupełnie poważnie.

— Gdybyś naprawdę nie chciała, żebym kupił ci tę sukienkę, nie powiedziałabyś mi nazwiska projektanta przed odmową.

Catriona westchnęła.

— Dobrze, wygrałeś. A teraz nie rozmawiajmy już o sukienkach.

— A o czym?

— Nie wiem?

— Może o statkach? Czy zgodzisz się sprzedać IMM całą Keys Shipping?

— Nie, tylko nie o tym. Dostaję szału, kiedy ktoś zaczyna rozmawiać przy mnie na ten temat.

— Szału?

— Owszem, odnoszę wrażenie, że nikt w moim towarzystwie nie ma zamiaru mówić o niczym innym. Już nie mam siły.

— Współczuję ci — stwierdził George Welterman. — My wszyscy chyba robimy na tobie wrażenie okropnie nudnych. Jednak musisz wiedzieć, że przyszłość Keys Shipping to bardzo ważna sprawa dla wielu ludzi siedzących w tym interesie. A ty, młoda damo, przez przypadek będąc dziedziczką olbrzymiej fortuny, będziesz miała ogromny wpływ na ich los.

— Edgar powiedział, że nie powinnam mieszać się do interesów — zauważyła Catriona.

— Czy wiesz, co mam do zaoferowania twojej kompanii?

— Chyba tak.

—A więc niezależnie od tego, czy rozumiesz problemy kompanii żeglugowych, czy też nie, musisz zdawać sobie sprawę, że złożyłem wam doskonałą ofertę. Więcej niż doskonałą. Jej przyjęcie rozwiązałoby wiele waszych problemów; nie wspominając o kilku moich.

—Nie wygląda pan na człowieka, który ma problemy, panie Welterman.

— George, proszę. Oczywiście, jak każdy, mam swoje problemy. Wiele statków White Star starzeje się i wymaga zastąpienia nowymi. Wiele tras White Star przynosi straty. Gdybym kupił

Keys, mógłbym w krótkim czasie zmodernizować moją flotę, zmienić system przewozów na deficytowych trasach, na których w tej chwili Keys i White Star niepotrzebnie konkurują między sobą, ponieważ obie kompanie przewożą zbyt mało pasażerów i zbyt mało ładunków. Nadeszły nowe, zupełnie inne czasy, panno Keys. Nie możemy sobie już pozwalać na luksusy z czasów króla Edwarda, kiedy to wielkie liniowce pasażerskie pływały z dwudziestką pasażerów na pokładzie i blisko dwustoma osobami załogi.

— Czy znałeś mojego ojca? — zapytała Catriona.

— Oczywiście. Każdy w tym biznesie go znał.

— Ale czy znałeś go dobrze?

George Welterman popatrzył ostrożnie na Catrionę.

— Tak jak każdy, przypuszczam. Kiedyś płynęliśmy razem do Irrawaddy.

— I mimo to przypuszczasz, że sprzedamy wszystko IMM, tylko dlatego, że kompania wpadła w drobne kłopoty?

— Widzę, że nie rozumiesz sytuacji. Gdyby twój ojciec żył, o tych trudnościach nikt by w ogóle nie mówił. Być może również, gdyby Stanley Keys dochował się syna, który przejąłby po nim firmę i zdobył zaufanie banków i wszystkich akcjonariuszy... Niestety, to bardzo smutne, ale

* Doosay — celowy błąd autora. Tak zapisałby to nazwisko ktoś, kto posługuje się językiem angielskim, nie znając francuskiego.

największym problemem wydaje się to, że twój ojciec pozostawił po sobie tylko jedno dziecko i jest nim dziewczyna.

— Czyżbyś chciał mi wmówić, że kompanię będzie trzeba sprzedać z mojego powodu? —

zawołała Catriona. Była oburzona i zszokowana. Nie przyszło jej dotąd do głowy, że wierzyciele mogli stracić zaufanie do Keys Shipping, wątpiąc, czy potrafi nią zarządzać dziewczyna. Teraz, gdy o tym pomyślała, stwierdziła też, że sama się pograżała, pokazując się w towarzystwie Nigela, nie interesując się zupełnie sprawami ojca.

— Stanley Keys miał, niestety, pecha — odezwał się George. — Zmarł nagle, nie doczekawszy pierwszej podróży „Arcadii”, swego najwspanialszego dzieła. To tragiczna postać.

Tak żałuję, że nie ma go teraz z nami. To tragedia dla całej kompanii, gdyż wraz z jego śmiercią pojawiły się kłopoty.

— A mimo to uważam, że sprzedaż Keys Shipping nie byłoby najlepszym ich rozwiązaniem. Philip Carter–Helm twierdzi, że najlepiej byłoby sprzedać jedynie „Arcadię”; oczywiście wcale nie znaczy to, że „Arcadia” jest na sprzedaż. Według niego dzięki takiemu posunięciu kompania uzyskałaby dość pieniędzy, aby utrzymać resztę floty.

— Kto to taki, ten Philip Carter–Helm? — zapytał George podejrzliwie.

— Tak naprawdę to nie wiem. Jest przyjacielem Marka Beeneya.

— I twierdzi, że powinniście sprzedać samą „Arcadię”? Rozumiem, że Markowi Beeneyowi.

— Tak, oczywiście.

— I mówi, że jak sprzedacie „Arcadię”, wystarczy wam pieniędzy na utrzymanie reszty kompanii? Catriona przytaknęła. George Welterman wolno pokręcił głową.

— Nie, moja droga. Widzę, co ten człowiek knuje, ale to mu się nigdy nie uda. Przejrzałem wszystkie księgi Keys za ostatnie pięć lat i możesz mi wierzyć: nikt nie wynajdzie sposobu, żeby cztery miliony Beeneya cudownie się rozmnożyły. One nie uratują kompanii, przynajmniej w sytuacji, gdy brakuje twojego ojca. To był wyjątkowy człowiek. Podjął decyzję o budowie

„Arcadii” właśnie w chwili, gdy kompanii najbardziej brakowało kapitału. A jednak potrafił tak rozgłosić dookoła tę ideę, że zaczęły do niego płynąć pieniądze, i to szerokimi strumieniami. Ale to się nikomu więcej nie uda. Nie urodził się jeszcze drugi Stanley Keys. Przerwał na chwilę i w milczeniu dłubał w zębach długim paznokciem.

— Przy okazji, ten Philip, jak–mu–tam, czym się zajmuje?

— Nie wiem — przyznała Catriona. — Coś wspominał o ubezpieczeniach statków.

George Welterman pochylił się nad nią tak nisko, że poczuła zapach jego pasty do zębów.

— Wyjaśniłem już panu Edgarowi Deaconowi, że IMM potraktuje nabycie Keys Shipping jako wyjątkową transakcję — powiedział. — Będziemy starali się postępować z waszą flotą tak, abyśmy kiedyś mogli powiedzieć, że ocaliliśmy wszystkie marzenia twojego ojca. Zamierzamy też ocalić te tysiące ludzi, których życie związane jest z funkcjonowaniem Keys Shipping.

Zdajemy sobie sprawę, co znaczyłoby dla Formby'ego z Liverpoolu zamknięcie kompanii.

Między innymi ta świadomość jest jedną z przyczyn, dla których składamy ofertę. Dobrze wiemy też, że upadek jednej linii żeglugowej wcale nie przyniesie niczego dobrego pozostałym.

— Co mam więc robić? — zapytała Catriona. — Co powinnam zrobić, jeżeli zaaprobuje transakcję z IMM?

— Powiedz o tym jedynie Edgarowi. On będzie wiedział, co czynić.

— Naprawdę uważasz, że Keys Shipping nie jest w stanie przetrwać? A jeśli „Arcadia” zdobędzie Błękitną Wstęgę? Jeśli całą zimę będziemy wozili komplety pasażerów?

George Welterman potrząsnął głową, pragnąc, aby Catriona zauważyła, że czyni to ze smutkiem.

— Przykro mi. Znam wszystkie wasze księgi i nie widzę dla was żadnego innego wyjścia.

Morze było coraz bardziej niespokojne. Modelki nie potrafiły już utrzymać równowagi na wąskim wybiegu, toteż pokaz przerwano. Goście z trudem, ale i z ulgą, zaczęli rozchodzić się do kabin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Podczas pokazu mody rozgorzała potężna kłótnia pomiędzy Markiem Beeneyem a Marcją Conroy.

Mark zapukał do drzwi jej kajuty, żeby wytłumaczyć się z poprzedniej nocy i powiedzieć Marcii, że nie przespał się z Catrioną, że w ogóle o niej poważnie nie myśli i że wcale nie zamierzał ponizac Marcii tak otwarcie, wobec tak wielu osób. Catriony tego dnia jeszcze nie widział. Nie ośmielił się ponownie wysłać Philipa Cartera–Helma do jej kajuty. I był zupełnie pewien, iż flirt z nią nieodwołalnie się skończył.

Mimo to wciąż jej pragnął. Było w niej coś takiego, co sprawiało, że jego krew krążyła szybciej. Musiał jednak stawić czoło faktom: jego zaloty trafiały w próżnię. Nie pomogła mu Alice, przekonując swoją panią, że Mark jest najbardziej godnym zainteresowania mężczyzną na pokładzie, i nie pomógł Philip ze swą misją. Wszystko wskazywało na to, iż Mark obstawił

niewłaściwego konia.

Marcia była blada i miała podkrążone oczy. Palila słabego papierosa z taką furją, jakby czyniła to z

kimś na wyścigi, a błędząc wzrokiem po kajucie, cały czas omijała Marka. Tematem przewodnim dekoracji jej kabiny była „Wiosna”, toteż dominującym kolorem była zieleń soczystej trawy.

— Dzięki Bogu, że nie zrobiłeś mi tego w Londynie — powiedziała. — Stałabym się ofiarą każdego plotkarza z Fleet Street. Już widzę te tytuły w gazetach. „Dziewczyna, którą uwiódł

Mark Beeney”.

Mark, jak zwykle nienagannie ubrany, usiadł przy biurku.

— Marcia — westchnął. — Przepraszam cię. To się już więcej nie powtórzy.

— Ależ nie musisz się mną krępować. Wcale nie zamierzam wścibiać nosa pomiędzy amerykańskiego potentata żeglugowego a angielską laleczkę.

— Wiesz doskonale, że ona wcale nie jest pierwszą lepszą laleczką. To dziedziczka czwartej części Keys Shipping, nie wyłączając tego statku. Wiesz przecież, jak bardzo pragnę stać się jego właścicielem.

— I dlatego snujesz się wokół tej damy jak spragniony seksu samiec, czy tak?

— Posłuchaj, Marcia, dla mnie najważniejsze są interesy.

— Tak, interesy, ale nie godność dziewczyny, którą zabrałeś ze sobą do Nowego Jorku.

Mark wyciągnął w jej kierunku wskazujący palec.

— Nie zapraszałem cię na ten statek. Sama się wprosiłaś.

— A więc musiałeś mi przypomnieć! Musiałeś mi przypomnieć, że jestem dla ciebie osobą niepożądaną podczas tej podróży!

— Wprosiłaś się na ten rejs, bo miałaś jakieś cholerne przeczucie! Mam nadzieję, że rzeczywiście wkrótce coś się stanie, bo obie, i ty, i ta Angielka, zachowujecie się tak, że mam już dosyć wszystkiego.

— Aha! — zawołała Marcia. — A więc dlatego tu przyszedłeś! Ona cię nie chce! Mała, słodka cipka nie jest tobą zainteresowana! I bardzo dobrze! Masz nauczkę, wstrętny podrywacz.

— I kto nazywa mnie podrywaczem? — oburzył się Mark. — To przecież ty przybiegłaś do mnie do hotelu jak pierwsza lepsza dziwka! Nie nazywaj mnie więc podrywaczem!

— Ty nędzniku! Codziennie dziękuję Bogu, że nie zgodziłam się zostać twoją żoną!

— Nigdy cię o to nie prosiłem! I nigdy nie poproszę!

— Zawodzi cię pamięć. Tracisz ją wraz z umiejętnością podrywania angielskich podlotków.

Już zapomniałeś ten wieczór w Brukseli! Czyżbyś nie proponował mi wtedy małżeństwa? I czyż nie pamiętasz, jak cię sprowadziłam na ziemię?

Mark głęboko odetchnął. Przez chwilę milczał.

— Oboje wypiliśmy wtedy za dużo wina.

Marcia przyłożyła sobie dłoń do czoła, jakby natychmiast potrzebowała zimnego kompresu.

— Wiesz co? — powiedziała prawie spokojnym głosem. — Rzeczywiście, jesteś mistrzem w poniżaniu kobiet.

— Wcale nie zamierzam cię poniżać — odparł Mark. — Przyszedłem do ciebie z przeprosinami. Albo je przyjmiesz, wyrzucisz mnie za drzwi. Decyzja należy do ciebie. Mimo wszystko mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Marcia po raz ostatni zaciągnęła się papierosem, po czym siła niedopałek w popielniczce.

— Przypuszczam, że czułbyś się nieszczególnie, gdybyś nie miał z kim spać do końca tego rejsu.

— Nie o to mi chodzi.

— A o co?

Mark nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

— Cóż, może i o to. W każdym razie w tej chwili nie wyobrażam sobie, żebym mógł spać z kimkolwiek innym niż z tobą.

— I nie dbasz o to, czy twoja dziedziczka przypadkiem nie zmieni zdania co do ciebie?

Mark podrapał się po głowie.

— Wszystko będzie w porządku, jeżeli skończysz z niej drwić. W końcu to bardzo miła dziewczyna.

Marcia wstała z sofy.

— W porządku — powiedziała. — Po prostu jestem zazdrosna. Zwykle tak się nie zachowuję, ale tym razem wszystko jest inaczej. Kiedy jesteśmy na łodzi, mogę wsiąść do pociągu, złapać taksówkę i zniknąć, oszczędzając sobie widoku ciebie, bałamucącego kolejną dziewczynę. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Kocham cię. Jesteś pięknym mężczyzną. Wiem jednak, że nigdy nie będę miała ciebie na własność; dlatego czasami muszę udawać.

Mark opuścił głowę i zapytał:

— Napijemy się czegoś?

— Tak.

Odkorkował butelkę szampana, a Marcia tymczasem zapaliła kolejnego papierosa.

— Chyba wszystko zepsułam — powiedziała. — Teraz nie będziesz chciał nawet ze mną rozmawiać w obawie, że spróbuję cię wciągnąć w pułapkę.

— Nie przyszło ci do głowy, że bardzo cię lubię?

— Lubisz? Co za starannie dobrane słowo! A ja lubię psy, dzieci, papierosy i jeszcze wiele innych rzeczy.

Mark nalał szampana do dwóch wysokich kieliszków. — Mam ci to udowodnić? — zapytał.

— Miłości nie można udowodnić, Mark. Miłość trzeba okazywać na każdym kroku. Nawet akt seksualny niewiele znaczy.

— A co powiesz na to? — zapytał Mark i z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl kolia, mieniaca sie szmaragdami i diamentami. Byla piekna. Ulozyl ja na dloni i wyciagnal w kierunku Marcii. Gdy zawahala sie, czy wykazac nia zainteresowanie, przechylnl na bok glowe i przez chwile patrzyln na nia jakby z drwiną.

— Chcesz mnie przekupic — wyszeptala Marcia.

— Ten upominek to przeprosiny. Czy uwazasz, ze to zla forma przeprosin?

Marcia odwrócila glowe.

— Nie wiem — powiedziala. Dwukrotnie zaciagnela sie papierosem i dopiero w owczas znów sie odezwala: — A wiec ponownie ze mną wygrales, prawda? Boze, ty mój wstrętny podrywacz.

— Nie proszę cię, żebyś poszła ze mną do łóżka.

— Przecież nie musisz mnie prosić. Szmaragdy lśniły na rozłożonej dłoni Marka.

— To jest śliczne — stwierdziła Marcia. — Z tego, co o tobie wiem, najprawdopodobniej kupiłeś tę kolia dla niej.

— Czy musisz wszystko wiedzieć?

Potrząsnęła przecząco głową. W jej oczach zalśniły łzy. Wyciągnęła przed siebie rękę i wzięła kolia. Potem przybliżyła ją do oczu i po chwili na jej twarzy zalśniły tysiące iskier.

— Chciałbym zobaczyć ją na twojej szyi — powiedział Mark. — Czy mogę ci ją nałożyć?

Marcia skinęła głową.

— Ty wstrętny draniu — wyszeptwała.

Mark wyciągnął papierosa z jej ręki i zgasił go. Następnie nałożył jej kolieć, a potem powoli zaczął ścierać z niej sukienkę. Pocałował jej szyję i uszy. Potem delikatnie zaczął głaskać dłońmi piersi, aż sutki stały się twarde, sterczące. Po chwili sukienka opadła na podłogę. Przyłgnęła do Marka niczym naga sierota, jej piersi przywarły do guzików jego marynarki. Zaczęli się namiętnie całować.

Później przenieśli się do łóżka. Pieszczoty i pocałunki Marka wzbudziły w Marcii pożądanie, jakiego od dawna nie czuła, jakby przez wiele miesięcy je w sobie tłumiała. Leżała z przymkniętymi oczyma, czując dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

— Wiesz co, nigdy ci tego nie wybaczę — szeptała podniecona.

A Mark, posługując się obiema rękami, rozłożył jej nogi i ułożył kolieć na jej jasnych włosach łonowych, starannie przyciętych nożyczkami do paznokci. Największy szmaragd utkwiał pomiędzy jej rozwartymi wargami — żywa zieleń na tle intensywnego różu.

Potem kochali się w ciszy. „Arcadia” kołysała się i podskakiwała na falach, lecz im to nie przeszkadzało, wręcz nadawało dodatkowego smaczku radosnej kopulacji. Gdy skończyli, Mark nalał szampana i zapalił papierosy.

— Wciąż jej pragniesz, prawda? — odezwała się Marcia, usiadłszy na łóżku. Na jej małych, sterczących piersiach lśniły krople potu.

— Kogo?

— Doskonale wiesz kogo. Nie spocznieś, dopóki jej przynajmniej nie przelecisz.

Mark powrócił do łóżka. Był niemal brązowy, a jego opalenizna podkreślała błądź stóp i bioder. Zamyślony i zupełnie nieświadomy, że Marcia uważnie go obserwuje, zaczął się bawić swym wiotczającym penisem, jak wielu mężczyzn w podobnej sytuacji. Dotykał go zupełnie inaczej niż Marcia. Ona czyniła to powoli, delikatnie, pragnąc mu sprawić przyjemność, a Mark tymczasem dusił go, ciągnął i drapał; zupełnie niewinnie, bez żadnych erotycznych myśli, leżąc swobodnie i rozkoszując się zacisznym spokojem kajuty, podczas gdy „Arcadia” pogrążała się w letnim sztormie.

— Mogłabym cię tak obserwować całymi dniami — powiedziała Marcia.

— I całymi latami?

— Aż tak fascynujący to nie jesteś — odpowiedziała i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Mark wybuchnął głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Celowe wywoływanie wymiotów, aby w ten sposób przygotować w żołądku miejsce dla jeszcze większej ilości jedzenia, było postępowaniem sprzecznym z regułami rywalizacji, mimo że po

gwałtownej dyskusji zgodzono się, iż w związku ze sztormową pogodą wymiotowanie spowodowane kołysaniem statku jest dopuszczalne. Było dziesięć minut po godzinie jedenastej.

Po obfitym śniadaniu złożonym z jajecznicy, bekonu, bażantów na zimno, wędzonej szynki, tostów i żeberek, panowie Joe Kretchmer i Duncan Wilkes przenieśli się do pomieszczenia klubowego pierwszej klasy, gdzie przez chwilę mogli odetchnąć przy szklaneczce whisky z wodą sodową; tymczasem stewardzi donieśli kanapki z szynką, sery, wielkie czarne oliwki i pełne talerze smażonych grzybów.

Rozpoczęli swoje zawody jako niemalże przyjaciele. Wystarczyła jednak wczorajsza kolacja i dzisiejsze śniadanie, które upłynęło w nerwowej atmosferze, podsycanej dodatkowo niemiłosiernym kołysaniem się statku, aby patrzyli na siebie z wrogością. Prawie wcale nie odzywali się do siebie; wzajemna wymiana zdań ograniczyła się do zdawkowego „dzień dobry” przed śniadaniem. Sprawy, które wymagały wzajemnego komunikowania się, omawiały w ich imieniu sekundantki, które właściwie same mianowały się na te stanowiska: Henrietta Chinball reprezentująca Kretchmera (ponieważ bardzo pragnęła i wierzyła w to, że Kretchmer już wkrótce stanie się żalonym, słabym i chorym okazem nieodpowiedzialnego mężczyzny) oraz aktorka Grace Bunyon, przedstawicielka Wilkesa. Postanowiła reprezentować go w tym dziwnym pojedynku, gdyż uważała, że ma aparycję klasycznego bohatera, dajmy na to, Herkulesa. Ze szczególnym uwielbieniem przypatrywała się jasnym włosom, które wyrastały mu z uszu.

Pozostali pasażerowie jedynie z ostrożnym zdumieniem przyglądali się, jak łysy Kretchmer unosił do ust kolejną kanapkę i wgryzał się w nią. Wilkes chwilę żuł oliwkę, lecz zanim ją połknął, najpierw wypluł pestkę na swą dłoń.

Oczywiście, nie mogło tutaj zabraknąć Maurice’a Peace’a. Instynkt do hazardu i zamiłowanie do wszelkiego rodzaju zakładów przyniosły go do pomieszczenia klubowego w ślad za rywalizującymi zawodnikami.

— Czyżby panowie założyli się, kto więcej zje? — odezwał się, nie zwracając się szczególnie do żadnej osoby. — Nie mogę uwierzyć.

— Niestety, to prawda — powiedział wysoki mężczyzna, który stał najbliżej niego. — Prawie w każdej podróży znajdzie się Amerykanin, który chciałby zjeść więcej, niż wkalkulowano w cenę jego biletu. Nie zdziwię się, gdy pewnego dnia któryś z nich przy tym umrze.

— Czy pan jest lekarzem? — zapytał Maurice Peace. — Tak, jestem lekarzem „Arcadii”.

Doktor Cumberland Fields — przedstawił się wysoki mężczyzna.

— Miło mi pana poznać. Mój pradziad był lekarzem podczas wojny secesyjnej. Powtarzał, że pod Chancellorsville ocalił siedem nóg przed amputacją. Nóg konfederatów, ma się rozumieć.

Doktor Fields uśmiechnął się nieznacznie. Jako Brytyjczyk nie miał pojęcia, dlaczego Maurice wspominał o konfederatach i dlaczego dodał „ma się rozumieć”. Kompania jednak wyraźnie nakazywała swym pracownikom jak najczęściej uśmiechać się i przytakiwać pasażerom.

— Mam nadzieję, że ci dwaj nie znajdują się w poważnym niebezpieczeństwie — powiedział

Maurice.

Doktor Fields zamrugał oczyma.

— Przepraszam, jakie niebezpieczeństwo ma pan na myśli?

— Takie, że któryś z nich na przykład umrze podczas jedzenia.

— Cóż, ludzkie ciało to przedziwna maszyna — stwierdził doktor Fields. — Toleruje różne głupie wyskoki swych właścicieli, włączając w to nieuzasadnione obżarstwo. Jednak jeśli chodzi o tego wyższego faceta, Wilkesa czy jak mu tam, nie jestem całkiem pewien, czy może przetrzymać każde obżarstwo.

— Dlaczego? — zainteresował się Maurice.

— Sprawia wrażenie człowieka, który ma zbyt wysokie ciśnienie krwi. Być może ma też jakąś drobną wadę serca, choć sam prawdopodobnie nawet jeszcze o tym nie wie. Niewykluczone, że w tej chwili popełnia właśnie samobójstwo, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Hmm...

— Uważam, że kapitan powinien zdecydowanie wkroczyć pomiędzy tych dżentelmenów i przerwać ich głupią zabawę. To niesmaczne, jak na mój gust. A poza tym ci panowie robią z siebie ostatnich idiotów.

— Zapewne. — Maurice pokiwał głową. Jego umysł już roztrząsał możliwości, jakie stwarza mu maraton obżartuchów, szczególnie w kontekście wypowiedzi doktora Fieldsa. Jeżeli Duncan Wilkas rzeczywiście jest tak chory, być może powstaje niespodziewana okazja zarobienia bez ryzyka kilku tysięcy funtów.

Podjąwszy decyzję, przepchnął się przez krąg pasażerów, otaczających rywalizujących zawodników i delikatnie położył dłoń na ramieniu Kretchmera. Następnie przesunął wzrokiem po twarzach kibiców, chcąc upewnić się, iż jego gest został zauważony. Wreszcie odezwał się:

—Szanowni państwo! Stanowczo protestuję przeciwko kontynuowaniu tego pojedynku.

Kretchmer, z policzkami wypchanymi kanapką z szynką, popatrzył na niego i powiedział:

— Co się dzieje? O co chodzi?

Wypadło mu przy tym kilka okruszynek chleba na ubranie i Grace Bunyon natychmiast zawołała gwałtownie:

— Niech pan nie oszukuje, panie Kretchmer! Maurice zignorował pytanie Kretchmera i natychmiast

przystąpił do realizacji swojego planu.

— Rywalizacja pomiędzy dżentelmenami nie powinna się toczyć w sytuacji, gdy reszta podróżnych nie ma szansy na popieranie swojego faworyta. Przypuszczam, że wielu z państwa zawarło już prywatne zakłady. Niemniej proponuję założenie oficjalnej księgi zakładów i oferuję się ją poprowadzić. Panie i panowie, od tej chwili Maurice Peace przyjmuje oficjalne zakłady w wielkim pojedynku toczonym na pokładzie „Arcadii” pod hasłem „kto zje więcej”.

Ktoś się roześmiał, ale natychmiast został zagłuszony przez rześiste oklaski.

—Księgę zakładów otworzę za pięć minut przy barze. Zapraszam wszystkich, którzy uwielbiają mocne wrażenia. Przy okazji nikomu nie zabraniam postawienia mi drinka.

Znów rozległ się śmiech, jednak wycofując się w kierunku baru i poszukując w kieszeniach ołówka i papieru, Maurice był śmiertelnie poważny. Znalazłszy się przy kontuarze, skinął na młodego stewarda o imieniu Minchin, pochodzącego z Newcastle chłopaka z zajęczą wargą.

— Słucham pana — powiedział Minchin.

— Masz tutaj dwadzieścia dolarów. — Maurice wsunął mu w dłoń dwa zmięte banknoty.

Rozejrzał się jeszcze, chcąc się upewnić, że nikt ich nie obserwuje. — Chciałbym, abyś rozniósł

po statku wiadomość, że pan Kretchmer ma największe wrzody na dwunastnicy od czasów Napoleona i że podróżuje do Nowego Jorku tylko po to, by spotkać się z lekarzem, wybitnym amerykańskim fachowcem. Mów wszystkim, iż pan Rretchmer powinien pić jedynie mleko, a jeśli tknie jakiś alkohol, wyzionie ducha, zanim zdołamy zobaczyć Statuę Wolności.

— Czy to prawda, proszę pana? — zapytał Minchin zmartwionym głosem. — Sam zamierzałem na niego postawić.

— Prawda? A jakie to ma dla ciebie znaczenie? Zarobiłeś właśnie dwadzieścia dolarów i zarobisz jeszcze więcej, jeżeli się dobrze spieszysz. Taka właśnie jest prawda.

Minchin długo wpatrywał się w Maurice’a zaniepokojonym wzrokiem. Maurice wreszcie nie wytrzymał i spytał:

— No? O co ci jeszcze chodzi?

— Ojciec mówił mi, żebym nigdy w życiu nie kłamał.

— No i co z tego? Przecież ojciec o niczym się nie dowie. Chyba nie wyślesz do niego telegramu?

— On nie żyje, proszę pana.

— No właśnie, więc w czym problem? Chcesz zarobić?

— Właściwie to chcę.

— No to na co czekasz? Do roboty.

Maurice zamówił drinka, a potem odwróciwszy się, z satysfakcją obserwował, jak młody Minchin krąży od pasażera do pasażera, grzecznie przyjmując zamówienia i przy okazji informując przyciszonym głosem, że pan Kretchmer cierpi na wrzody dwunastnicy. Do chwili gdy pierwsi gracze zaczęli docierać do Maurice'a z wielkimi banknotami pięciofuntowymi, faworytem zakładu był już tylko jeden człowiek, a Maurice znajdował wielką przyjemność w informowaniu wszystkich, iż pan Kretchmer wygląda na okaz zdrowia. Reakcja była taka, jakiej się spodziewał: ludzie z krzywymi uśmiechami na twarzach nieszczercze potwierdzali jego słowa.

Gdy wszyscy chętni przystąpili już do zakładu, okazało się, że Maurice dysponuje siedmiuset dwudziestoma pięcioma funtami postawionymi na Wilkesa i trzydziestoma pięcioma funtami na Kretchmera. Oznaczało to, że jeśli nastąpi to, co sugerował doktor Fields i Wilkes przegra maraton, Maurice zarobi na czysto pięćset pięćdziesiąt funtów. A przecież jak do tej pory przyjął

zakłady jedynie w pomieszczeniu klubowym. Zamierzał przejść się jeszcze po Palm Lounge, Orchid Lounge, a nawet zajrzeć na basen.

Tymczasem jednak czekały go inne zadania. Poprzedniego wieczoru w oficjalnym zakładzie odnoszącym się do prędkości statku w ciągu doby, Mark Beeney wylosował kartkę z liczbą 627; zwyciężyłby, gdyby „Arcadia” przebyła w dwadzieścia cztery godziny taką właśnie odległość.

Mimo że pogoda przez cały czas pogarszała się i było mało prawdopodobne, że „Arcadia” przeplynie więcej niż oficjalnie założone sześćset dwadzieścia trzy mile, Maurice nie zamierzał

ponosić nawet najmniejszego ryzyka, o ile nie było to konieczne. Hazard był hazardem, szaleństwo zaś szaleństwem. Według Maurice'a lekkomyślnością było zaniechanie jakichkolwiek dostępnych kroków, które ułatwiały otrzymanie właściwych kart, zwycięstwo właściwego konia czy zatrzymanie właściwej kulki we właściwej przegródce. Poza tym Maurice'owi wciąż brakowało żywej gotówki.

Wesoło pogwizdując, wjechał windą na pokład służbowy i ruszył w kierunku biura płatnika.

Lśniące, wylakierowane drzwi były nie domknięte, mimo wszystko Maurice grzecznie zapukał, zanim wsunął do środka głowę i ciekawie rozejrzał się po gabinecie Monty'ego Willowby.

Na jego widok Monty niezdarnie spróbował ukryć za plecami deskę klozetową. Próba nie mogła mu przynieść powodzenia, deska bowiem była akurat jedną z większych na statku, a sam Monty był dość chudy.

— Och — powiedział Maurice. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Monty Willowby zrezygnował z maskarady i popatrzywszy na mahoniową deskę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, cisnął ją w róg pomieszczenia.

— Właśnie przymierzałem się do tego przyrzędu — stwierdził, pragnąc, aby w jego głosie

zabrzmiała nonszalancja. —Znaleźli się pasażerowie, którzy narzekają na ten typ desek. Podobno ostre brzegi wpijają się niektórym damom we wrażliwe nogi. Mam nadzieję, że pańska deska klozetowa jest w porządku, proszę pana.

Maurice zmarszczył czoło, popatrzył na deskę wciśniętą w róg, a potem jeszcze raz na Monty'ego.

— W porządku? — zdziwił się.

— Czy nie ma ostrych brzegów?

— Och, nie, nic z tych rzeczy. Jest delikatna i gładka jak pupa niemowlaka.

Maurice chciał coś dodać, ale zmienił zdanie. Monty Willowby i tak by go w tej chwili nie słuchał. Usiadł ciężko za biurkiem z miną człowieka, który jest do wszystkiego zniechęcony.

Przez moment z rezygnacją wpatrywał się w zalegające biurko papiery. Zwykle panował tutaj porządek, teraz jednak sterty rachunków, telegramów, planów i notatek dosłownie piętrzyły się przed nim.

— Cholera, nie mam już do tego siły — westchnął.

Od chwili gdy wczorajszego wieczoru odbył rozmowę z panem Fribourgiem, w wyniku której zmuszony został do odkręcenia luksusowych desek klozetowych w toaletach pierwszej klasy, uregulowana egzystencja Monty'ego legła w gruzach. Dwadzieścia minut, jakie musiał poświęcić każdej desce, sprawiło, iż nie potrafił normalnie pełnić swoich podstawowych obowiązków na statku. Dosłownie przed chwilą Ralph Peel powiedział mu o narzekaniach pasażerów, którzy spodziewali się, iż poświęci im więcej czasu podczas śniadania.

Prawda była taka, że Fribourg ciężko przestraszył płatnika. Surowce dla przemysłu farmaceutycznego, które nigdy nie dotarły do Anglii na pokładzie „Callipygic”, przyniosły mu dochód netto w wysokości czternastu tysięcy pięciuset funtów, i to w cenach z 1912 roku. Teraz ta kwota byłaby przynajmniej dwukrotnie wyższa. Zorganizował tę kradzież, w swoim własnym mniemaniu, z najbardziej szlachetnych pobudek. Jego matka, pani Enid Willowby, łagodna i czuła kobieta, której zdrowie zrujnowało urodzenie ośmiu synów i dwóch córek, mieszkająca w małej wiosce na południe od Londynu, otrzymała od domowego lekarza radę, aby przenieść się do bardziej suchego klimatu, gdyż w przeciwnym razie wkrótce umrze. Za pieniądze zdobyte na ładunku z „Callipygic” Monty kupił jej dom w Tangierze, załatwił regularne odwiedziny dobrych lekarzy z Europy, mauryjską służącą i nawet samochód. Za to poświęcenie Monty'ego spotkała wspaniała nagroda: jego matka ożyła i wkrótce stała się w Tangierze jedną z najbardziej szanowanych i najbardziej ekscentrycznych Angielek. Na przykład każdego wieczoru wysyłała służących na ulice, aby karmili rybimi łbami i końskim mięsem bezpańskie koty. Innej nagrody Monty nie otrzymał; matka nie była mu specjalnie wdzięczna, a zresztą nie liczył na to. Uważał

bowiem, że tak jak rodzice wobec dzieci, tak i dzieci wobec rodziców mają obowiązki i powinności, za które nie należy spodziewać się podziękowań. Miał jedynie nadzieję, że matka któregoś dnia opuści ten świat i pozostawi dla niego dom, który jej kupił.

W każdym razie kradzież z „Callipygic” była oszustwem na wielką skalę i gdy okazało się, że Fribourg o niej wie, Monty przestraszył się nie na żarty. Dlatego właśnie zgodził się spełnić idiotyczne żądanie szantażysty i już od kilku godzin wymieniał deski klozetowe w kajutach pierwszej klasy.

Spokojnym głosem, jakby rozmawiał o pogodzie, Mauri—ce odezwał się do niego:

—Właściwie to nie wiem, czy powinienem o tym panu wspominać, jednak niedawno widziałem łódź.

Monty uniósł głowę.

— Łódź? — powtórzył. — Przepraszam pana, łódź?

— Właśnie — odparł Maurice. Starał się, aby jego głos brzmiał możliwie naiwnie. — Jakieś pięć minut temu, po naszej lewej stronie. Przynajmniej to wyglądało jak łódź.

— Jaka łódź? Rybacka? Coś w tym rodzaju?

— Chyba nie. To bardziej przypominało łódź ratunkową.

— Łódź ratunkową? Czy ktoś się w niej znajdował?

— Nie wiem. — Maurice wzruszył ramionami. — Nie widziałem dokładnie. Wie pan przecież, jaka jest pogoda. To była z całą pewnością łódź ratunkowa, wystawało z niej kilka wioseł.

Monty powstał i spod sterty papierów na biurku wy dostał telefon. Wykręcił właściwy numer, po czym odezwał się:

—Mostek? A, to pan, panie Peel... — Zwróciwszy się do Maurice’a, powiedział: — Niech pan nie odchodzi.

— Nie mam takiego zamiaru. — Maurice uśmiechnął się.

— Halo, panie Peel, tu Monty Willowby. Mam tutaj pasażera, który twierdzi, że widział łódź

dryfującą po oceanie. Mówi, że jakieś pięć minut temu. Tak. Nie, mówi, że nie widział ludzi, jedynie wiosła. Oczywiście. Tak. Przyprawdzą go na mostek.

Szansę na odszukanie łodzi, dryfującej po wzburzonym oceanie, były równe zeru. Prawo morskie było jednak w takiej sytuacji jednoznaczne: należało z całą intensywnością poszukiwać ludzi pozostałych przy życiu niezależnie od tego, jak marne były szanse ich zlokalizowania.

Dlatego właśnie sir Peregrine wydał rozkaz, aby bezzwłocznie wziąć kurs na lewo i szerokim łukiem okrążyć miejsce, w którym mogliby znajdować się domniemani rozbitkowie. Manewr ten musiał sprawiać, że „Arcadia” przebędzie tej doby trasę krótszą o co najmniej pięć do sześciu mil morskich. Marynarzom na bocianim gnieździe polecono wpatrywać się dookoła ze szczególną uwagą, a na pokłady spacerowe wylegli pasażerowie w nieprzemakalnych płaszczach, zadowoleni, że drobny

dramat, rozgrywający się na otwartym oceanie, pozwoli im na chwilę zapomnieć o własnej chorobie morskiej.

Maurice Peace, oczywiście, wcale nie miał ochoty gapić się na spieniony ocean. Poszedł

natomiast do baru koktajlowego pierwszej klasy i kontynuował przyjmowanie zakładów w pojedynku Wilkes–Kretchmer. Był z siebie zadowolony: właśnie zagwarantował sobie wygranie pięciuset dolarów w zakładzie z Markiem Beeneyem. Uznał, że w tej sytuacji zasługuje na dobrego drinka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

O godzinie pierwszej po południu, po blisko półtoragodzinnym bezskutecznym krążeniu po morzu, Ralph Peel zarządził odwrót „Arcadii” na pierwotny kurs. Wiatr wiał już z prędkością huraganu i statek przechylał się z boku na bok co najmniej o dwadzieścia stopni. Tylko najodważniejsi i najbardziej chorzy spośród pasażerów pozostali na zewnątrz. Wiatr huczał i świszczał, a przez dziób „Arcadii” przewalały się setki tysięcy ton wody.

Niezależnie od sztormu, lunch podano jak zwykle. W jadalni pierwszej klasy przewidziano nadzwyczajny posiłek dla uhonorowania projektantów „Arcadii”, mimo że większość spośród nich przebywała w kabinach, z nosami iv poduszkach, modląc się, aby ich dzieło wytrzymało dziesięciostopniowy sztorm. Stewardzi uwijali się jak w ukropie, mocując na stołach uchwyty, których zadaniem było uniemożliwienie przesuwania się podanych posiłków.

Catriona właśnie powróciła do swej kajuty, aby przebrać się na lunch. Przez chwilę obserwowała przez iluminator wielkie, szare fale, wysokie już teraz na dwadzieścia do trzydziestu stóp. Potem położyła się. Alice przyłożyła jej na czoło zimny kompres, a Trimmer podał schłodzony szampan.

— Nigdy nie przypuszczałam, że statek tak wielki jak „Arcadia” może się aż tak mocno kołysać — powiedziała Catriona. Zaczynała odczuwać mdłości.

— Kilka dodatkowych ton na falach nie stanowi dla oceanu żadnego problemu — zauważył

Trimmer.

— Najwyraźniej — zgodziła się Catriona.

O godzinie pierwszej czuła się jednak na tyle dobrze, że zdołała się przebrać i w towarzystwie Edgara udała się na lunch. Edgar był dziwnie cichy i miał szarą twarz. Patrząc na jego policzki, można było odnieść wrażenie, że tego ranka się nie ogolił.

Przejście do lśniącej jadalni i zajęcie miejsca przy stole, podczas gdy statek przez cały czas gwałtownie kołysał się na boki, było doświadczeniem, które pozostało w pamięci pasażerów

„Arcadii” na całe życie. A potem sztuce nie chciały leżeć na swoich miejscach. Kieliszki do wina na szczęście tkwiły mocno w uchwytych, ale i tak można było łać do nich płyn tylko do wysokości jednej trzeciej. Wszystkie krzesła i stoły, oczywiście, również starannie przymocowano do podłogi.

Mark Beeney pokazał się w jadalni na kilka minut przed podaniem zupy, idąc pod ramię z Marcją Conry. Uchwycił spojrzenie Catriony i zanim usiadł na przeznaczonym dla niego krześle, na moment uśmiechnął się do niej w niemym pytaniu. Chciała odwzajemnić mu się tym samym, jednak nie zareagowała na czas. Kiedy odwróciła się do Edgara, stwierdziła, że ten spogląda na nią z nie skrywaną troską.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak. A pan? Jest pan dziwnie blady.

— Niewykluczone — odparł sucho.

Siedzący obok Catriony Douglas Fairbanks odezwał się:

— To wszystko kwestia siły woli. Powinniśmy wmawiać sobie, że znajdujemy się właśnie w ulubionej restauracji i jemy w absolutnym spokoju ulubiony posiłek. Zapomnijcie państwo, że pokład się kołysze. Kołyszcie się razem z nim.

— Zawsze mówisz, że wszystko zależy od siły woli — stwierdziła Mary Pickford. — Może częściowo masz rację. Problem polega jednak na tym, że razem z tym statkiem kołyszą się nasze żołądki i wszystko, co się w nich znajduje.

Niespodziewanie po stole potoczyła się połówka bułki i spadła na podłogę dokładnie pomiędzy Mary i Douglasa. Catriona zainteresowała się, skąd pochodzi bułka, i jej wzrok spoczął

na baronównie Zawiszy. Trzymała w uniesionej dłoni nóż brudny od masła. Jej druga ręka była pusta, lecz wciąż ułożona tak, jakby trzymała w niej bułeczkę.

— Dobry strzał, baronówno — zauważył Douglas Fairbanks.

Pierwszym daniem serwowanym podczas tego posiłku przy szalejącym sztormie na pełnym morzu była zupa szparagowa. Szef kuchni mógł bez trudu zmienić menu i podać teraz peklowane śledzie albo wędzone pstrągi, albo drób na zimno; byłoby to posunięciem rozsądnym i zrozumiałym w istniejących warunkach. Jednak dla monsieur Vincenta taka decyzja oznaczałaby kompromis niegodny szefa wykwintnej kuchni. Oznaczałaby też nieodwracalne naruszenie planu żywienia gości, opracowanego z wielką skrupulatnością na cały rejs, od początku do końca.

Duma nie pozwalała Vincentowi na taki krok, w związku z czym postanowił, że plan realizowany będzie bez żadnych zmian, mimo iż podłoga w jego kuchni już wprost lepiała się od zupy szparagowej.

Stewardzi parami przynosili od stołu do stołu duże wielkie porcelanowe wazy z zupą, zachowując się, jakby byli clownami w niemieckim cyrku. Jeden z nich nalewał zupę na talerze, podczas gdy drugi przez cały czas starał się jedynie, aby nie wylewała się ona z wazy. Ich wysiłki nie zawsze były skuteczne i co jakiś czas struga lała się na podłogę.

Początkowo wszyscy byli tym przerażeni. Tymczasem gdy stewardzi napełnili talerze w jednej czwartej i łyżki dały się złapać, a mimo to zupa wylewała się na stoły, absurdalność sytuacji

wprawiła w dobry humor wszystkich tych, którzy jeszcze mieli siłę, aby się śmiać. Zupa szparagowa była dosłownie wszędzie: na obrusach, na eleganckich marynarkach i damskich sukienkach. Od czasu do czasu, przy głębszym przechyle, przelewała się nawet z jednego talerza do drugiego. Mark Beene złapał na łyżkę odrobinę swej własnej zupy, która wylawszy się z talerza, szeroką strugą popłynęła po stole w jego kierunku; wzbudziło to szczery śmiech Marcii i Catriony. Jedyne Edgar zachowywał kamienną twarz. Gdy po raz piąty z rzędu nie udało mu się trafić łyżką w tę resztkę zupy, która pływała w jego talerzu, trzasnął łyżką o stół i wyprostował

się, rezygnując ze zmagania.

Po zupie Marcia przeprosiła wszystkich i korzystając z pomocy jednego ze stewardów, poszła do toalety. Catriona tkwiła na swoim miejscu, starając się jednak nie patrzeć ani na Marka, ani na George'a Weltermana, który siedział niedaleko niej obok Clary Butt. Mimo to Mark wpatrywał się w nią usilnie przez cały czas.

— Catriono — powiedział wreszcie tak cicho, że w pierwszej chwili odniosła wrażenie, iż się przesłyszała. Toteż popatrzyła nie na Marka, lecz na George'a Weltermana, który również na nią spoglądał. Gdy zrozumiała, że się pomyliła, spojrzała na Marka i nawet się uśmiechnęła.

— Nie jestem na ciebie zła — stwierdziła.

— Zła? — zawołała Mary Pickford. — Kto jest na kogo zły? Catriono, czy to ty jesteś zła na Marka? To prawda? Słuchajcie, uwielbiam kłótnie. Douglas, posłuchaj tylko, oni będą się kłócić.

— Nic mnie to nie obchodzi, próbuję się wyczyścić po tej pieprzonej zupie.

— Spotkajmy się później — powiedział Mark do Catriony. — Porozmawiajmy.

Catriona wzruszyła ramionami. Wiedziała, że zrobi z nim teraz wszystko, co tylko będzie chciała. A im usilniej będzie mu odmawiała, tym gwałtowniej będzie za nią chodził. Mimo to nie zamierzała doprowadzać go do rozpacz. Złość, która ją ogarnęła ostatniej nocy, kiedy stwierdziła, że Mark zajmuje się nią tylko dlatego, że chce kupić „Arcadię”, już prawie całkowicie minęła. W końcu Mark był biznesmenem. I był wręcz nieludzko przystojny. Tak, był

przystojnym mężczyzną, takim, którego atutem jest raczej uroda niż postępowanie.

— A co z Marcją? — zapytała. — Nie będzie zła?

— Och, Douglas, słuchaj tylko, to jest nadzwyczajne! — zawołała podekscytowana Mary Pickford.

— Na miłość boską, to nie twoja sprawa! — Douglas Fairbanks był już zdenerwowany nie na żarty.

— Nie masz prawa tego słuchać.

— Ale to takie romantyczne...

— Marcia zrozumie — skłamał Mark. — Wie, co do ciebie czuję.

— Ona po prostu twierdzi, że zrozumie — zauważyła Catriona. — Ale czy zrozumie na pewno?

— Chcesz ją o to zapytać?

— Nie potrafiłabym zdobyć się na coś tak okrutnego. — A więc uwierz mi. I pójdziemy razem na kolację o ósmej.

Catriona popatrzyła na Edgara. Widać było, że nie aprobuje tego pomysłu. Spojrzała z kolei na George'a Weltermana. Jego twarz nie wyrażała niczego. Malowała się na niej jedynie lodowata czujność.

— Musisz pójść na kolację z Marcją — powiedziała do Marka stanowczo. Mark z trudem usłyszał jej przytłumiony głos, gdyż stewardzi z hałasem sprząтали talerze po zupie. — Możemy jednak spotkać się o dziesiątej, po przedstawieniu teatralnym. Wiesz, gdzie jest moja kajuta.

— Chryste, jakie to romantyczne — westchnęła znów Mary Pickford.

Tymczasem z toalety powróciła Marcja. Była bledsza niż przed chwilą, lecz jej krok był zdecydowanie pewniejszy. Usiadła obok Marka i słabo się uśmiechnęła. Mark delikatnie musnął wargami jej policzek i w tym momencie nie było chyba kobiety przy stole, która nie pomyślałaby o nim „Judasz”. Oczywiście oprócz Catriony, gdyż nagle zrozumiała, że pożąda go o wiele bardziej, niż kiedykolwiek pożądała Nigela. Nigel był kochankiem i kumplem, ale Mark był zbyt przystojny i miał zbyt duży temperament, żeby mogła myśleć o nim podobnie: zaistniawszy bowiem w jej życiu, musiałby stać się kimś o wiele ważniejszym.

Bez przeszkód, jakie towarzyszyły konsumpcji zupy, pasażerowie przystąpili do drugiego dania. Spokój nie trwał jednak długo. Niespodziewanie do jadami wkroczył piąty oficer, Derek Holdsworth. Odszukawszy wzrokiem Dicka Charlesa, podszedł do niego i przez chwilę szeptał mu coś do ucha. W odpowiedzi Dick Charles szepnął coś do niego i zerwał się na równe nogi.

Bardziej doświadczony oficer, oczywiście, grzecznie przeprosiłby towarzystwo i spokojnie wyszedł, Dick jednak nie był doświadczony, a wiadomość, którą przed chwilą usłyszał, podekscytowała go. Stojąc, klasnął w dłonie, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— Panie i panowie. Po...po...poją...jawiło ssssie niebez—pie...pieczeń...pieczeństwo.

Wy...wy...gląda na t...t...to, że ma...mała dzie...dziewczynka zap...zap...latała się wwww ta...ta...kie...kielunku. Grozi...zi je...jej utoto...nięcie. Mu...—mu...muszę pa...pa...państwa na...naty...tychmiast opuścić i zro...zrobi...bić wszy...wszysstko, co w mo...mojej mo...mocy, że...żeby ją u...u...uraratować.

Cisnąwszy zmiętą serwetkę na talerz, Dick Charles udał się za czekającym niecierpliwie na koniec przemówienia piątym oficerem.

Przez kilka sekund wśród pasażerów panowała głucha cisza, a potem, tak jakby nagle dowiedzieli się o wybuchu kolejnej wojny, wszyscy zerwali się z miejsc i pędem ruszyli za Dickiem.

— Co się dzieje? — zawołał Edgar.

Mark Beeney podszedł do Catriony i ująwszy ją pod ramię, powiedział półgłosem:

— Zdaje się, że masz kłopoty.

Na krótką chwilę tłoczący się pasażerowie rozdzielili ich, ale niemal natychmiast na miejscu pojawił się Philip Carter–Helm, który grzecznie, lecz stanowczo odsunął dwie Francuzki i Catriona ponownie znalazła się przy Marku.

— Dziękuję — powiedziała.

Philip jedynie uśmiechnął się do niej. Bez wątpienia był przystojny, lecz z nie znanego jej powodu Catriona nie potrafiła uznać go za atrakcyjnego mężczyznę. Może dlatego, że zawsze wyglądał na zadowolonego z siebie. Patrząc na niego, miała wrażenie, że wie on coś ważnego, o czym ona nie ma zielonego pojęcia, a powinna wiedzieć.

— Nie wychodziłbym na pokład na pani miejscu — powiedział teraz. — Pogoda po prostu oszalała.

Mark znów ujął Catrionę pod rękę.

— Dziękuję ci, Philipie — powiedział.

— Właśnie poradziłem panie Keys, żeby nie wychodziła na odkryty pokład.

Mark uśmiechnął się szeroko.

— Myślę, że panna Keys sama doskonale będzie wiedziała, co powinna zrobić. Nie zawsze podejmuje trafne decyzje, ale nigdy nie pozwala ich sobie narzucać. Tak będzie zapewne i tym razem.

—Rzeczywiście, potrafię sama dbać o siebie. I sama wiem, co mam robić. Jednak dziękuję za troskę, panie Carter–Helm.

Ujrzawszy Catrionę, Charles Schwab, amerykański magnat przemysłu stalowego, zatrzymał się w drzwiach wyjściowych i zawołał:

— Muszę pani powiedzieć, panno Keys, że jest to najbardziej ekscytująca dziewczicza podróż, w jakiej kiedykolwiek miałem przyjemność uczestniczyć. To jest po prostu wspaniałe! Czy to tonące dziecko to też jedna z atrakcji przygotowanych przez Keys Shipping?! Naprawdę, doskonale pani wie, co robić, żeby pasażerowie się nie nudzili.

Mimo że wszyscy pasażerowie stłoczyli się już na klatce schodowej, stewardzi grzecznie, lecz

stanowczo, odmawiali wypuszczenia ich na pokład. Rzeczywiście, szalał potężny wiatr, a sir Peregrine wolał nie ryzykować, że ktoś wypadnie za burtę.

Na pokład wolno było wyjść jednak Edgarowi i Catriona podeszła do niego w chwili, gdy nakładał żółty płaszcz nieprzemakalny i czarne kalosze.

— Co tam właściwie się dzieje? — zapytała. Musiała przekrzykiwać podekscytowanych pasażerów.

— Jakaś dziewczynka wyszła na zewnątrz, aby sobie popatrzeć na sztorm — odkrzyknął. —

Derek Holdsworth twierdzi, że fale prawie zmyły ją z pokładu, zaplątała się jednak w jakieś liny.

Tylko tyle wiem. Najwyraźniej nikt nie może do niej dotrzeć.

— Idę tam! — postanowiła Catriona.

— Nie możesz! Pierwsza lepsza fala zmyje cię z pokładu!

— Idę! — Catriona była nieugięta. — To mój statek i muszę tam iść.

Mark Beeney otoczył Catrionę ramieniem i powiedział do Edgara:

— Wszystko w porządku. Ja również wyjdę na pokład i przypilnuję tej damy. Nic złego jej się nie stanie.

Edgar starannie zapiął płaszcz. Przez chwilę patrzył w twarz Marka, jakby nie wiedział, co powinien teraz zrobić.

— Zgoda — wykrztusił wreszcie. — Steward! Pomóż temu panu włożyć nieprzemakalny kombinezon. I pannie Catrionie Keys również.

— Panie i panowie, bardzo proszę o spokój! — niespodziewanie zawołał Percy Fearson. —

Sytuacja na zewnątrz jest tak zła, że nie możemy wypuścić was na pokład. Bardzo proszę, powróćcie do swoich talerzy. Nie jesteście, niestety, w stanie nam pomóc, a ufam, że nie jest waszym zamiarem stwarzanie nam przeszkód w tej dramatycznej sytuacji. Będziecie na bieżąco informowani o wszystkim, co się wydarzy!

Do Catriony zbliżył się Douglas Fairbanks, z trudem utorowawszy sobie drogę wśród stłoczonych ludzi.

— Panno Keys — powiedział. — Jak rozumiem, mała dziewczynka została uwięziona w zwoju lin. Bardzo chciałbym osobiście jej pomóc. Odegrałem podobną rolę w filmie i chciałbym wierzyć, że nie okażę się gorszy w sytuacji, gdy niebezpieczeństwo jest realne.

Catrioną nie wyglądała najciekawiej w tym momencie. Steward zdążył już podać jej długi do kostek płaszcz nieprzemakalny z rękawami, które sięgały jej do kolan oraz parę gumowych kaloszy, tak

wielkich, że dziewczyna ledwo mogła zrobić w nich chociażby krok.

Popatrzyła jednak na Fearsona i zapytała:

— Jak pan sądzi, czy możemy zgodzić się na propozycję pana Fairbanka?

— Nie widzę przeszkód — odparł Percy Fearson. — Wciąż jeszcze mam w pamięci jego wyczyny w *Złodzieju z Bagdadu*.

— Widział pan ten film? — zawołał Fairbanks z uśmiechem. — Podobał się panu?

W tej chwili Marcia zrozumiała, że Mark zamierza wyjść na pokład razem z Catrioną.

Spróbowała przepchać się do niego przez tłum, lecz George Welterman przytrzymał ją za rękę.

— Słyszała pani, co mówili? — zapytał. — Powinniśmy wszyscy wrócić i dokończyć posiłek.

— Ale Mark chce wyjść na zewnątrz.

— To doświadczony żeglarz. Nic złego mu się nie stanie.

— On nic nie wie o takim morzu!

— Aha. — George przyjrzał się jej uważniej. — Martwi panią to, że będzie w pobliżu tej dziewczyny od Keysów. Tak, być może ma pani powód do niepokoju. Jednak zapewniam panią: Markowi chodzi o statek tej dziewczyny, a nie o jej uczucia.

Marcia spojrzała mu w oczy.

— Jej statek? — zapytała. Po czym natychmiast odwróciła się i zaczęła zbiegać po schodach.

Było to sygnałem dla pozostałych pasażerów. Większość podążyła za nią, powracając do posiłku.

Derek Holdsworth tymczasem otworzył drzwi na pokład i pomógł Markowi i Catrionie wydostać się na zewnątrz. Wiatr i krople wody uderzyły dziewczynę w twarz z siłą lodu wyrzuconego z wiaderka. Zachwiała się, nawet poślizgnęła, lecz Mark mocno ją przytrzymał i pewnie poprowadził we właściwym kierunku wzdłuż barierki, której trzymali się oboje.

— Dacie sobie radę? — zawołał Derek Holdsworth. — Zaraz tu wrócę z panem Fairbanksem.

Dziewczynka jest na pokładzie spacerowym!

— W porządku! — odkrzyknął mu Mark.

Ani widoki przez iluminator, ani chwilami komiczne wydarzenia podczas lunchu nie przygotowały Catriony na to, czemu musiała stawić czoło w tej chwili. Wielki statek rozcinał

ściany wody, których wysokość dochodziła do trzydziestu stóp. Spienione fale z hukiem opadały na

pokłady, chociaż wydawało się, że wiatr jest tak silny, że zagłusza wszystkie inne dźwięki.

Catriona z trudem łapała oddech, prowadzona przez Marka w kierunku pokładu, na którym uwięziona była dziewczynka.

Gdy dotarli do ostatniego bezpiecznego miejsca, ujrzeni Edgara, drugiego oficera — Ralpa Peela oraz czwartego oficera — Dicka Charlesa. Poniżej sześciu lub siedmiu członków załogi wiązało liny, które miały im pomóc w dotarciu do dziewczynki.

— Co się dzieje?! — krzyknął Mark. — Gdzie jest to dziecko? Nie widzę!

Edgar pociągnął go za rękę i wskazał mu niewyraźną sylwetkę. Catriona spojrzała w tym samym kierunku i wreszcie ją dojrzała. Uwięziona pomiędzy zwojami lin, drobna figurka o bladej twarzy, przyodziana w różową sukienkę, kurczowo przytrzymywała się barierki.

— Jak ona się tam dostała? — zawołał Mark.

— Skąd mam wiedzieć? — zapytał Ralph Peel. — W każdym razie, jak dotąd, ma szczęście, że nie została zmyta z pokładu.

— Czy naprawdę żaden z pańskich ludzi nie może tam pójść i jej uwolnić?

— Przy takiej pogodzie? Tak po prostu? Niczego nie da się zrobić bez pomocy lin. Każda próba wyjścia na otwarty pokład to niemal pewna śmierć. Ale już się przygotowujemy. Ktoś obwiązany liną dostanie się do dziewczynki, po czym oboje zostaną wciągnięci w bezpieczne miejsce.

— Jak ona się nazywa? — zapytała przytomnie Catriona. — Czy jej rodzice są na pokładzie?

Jak można nie upilnować dziecka w taką pogodę?

Ralph Peel otarł twarz wierzchem dłoni. Panował taki hałas, że normalne rozmowy były niemożliwe, pozostawało tylko wzajemne przekrzykiwanie się. Przez cały czas „Arcadia” kołysała się i podskakiwała na spienionych falach.

— Nazywa się Lucille Foster! — zawołał. — Jest córką Winthropa Fostera Trzeciego i Gall Jones! Tej dwójki, która rozbiła się w wypadku automobilowym w Paryżu! Właśnie wraca do Ameryki z opiekunką, panią Hal! Pani Hali jest obecnie w kajucie, niemal żółta od choroby morskiej! Nie jest w stanie w niczym nam pomóc!

W końcu pojawił się Douglas Fairbanks, ubrany w ciemny, gumowy płaszcz. Wyglądał w nim tak zabawnie, że Catriona nie potrafiła powstrzymać się od uwagi:

— Pański krawiec tym razem się nie spisał.

— Nic na to nie poradzę. A teraz, gdzie jest dziewczynka?

— Przed nami, na końcu pokładu spacerowego — odparł Ralph Peel. — Staramy się działać jak

najszybciej. Wkrótce do niej ruszy ktoś przewiązany liną.

— Jak ona się tam dostała? — dopytywał się Douglas Fairbanks.

— Sami chcielibyśmy to wiedzieć! — stwierdził Mark.

— I dlaczego wyszła na zewnątrz w taki sztorm? — dodał Fairbanks.

— Czy próbowaliście z nią rozmawiać? — zapytała Catriona.

— Próbowaliśmy, proszę pani — odparł Ralph Peel. — Jednak nie odpowiadała. Wątpię, czy w ogóle słyszała nasze pytania.

Catriona pożyczyła od Dereka Holdswortha przemoczoną lornetkę i skierowała ją na Lucille Foster. Dziewczynka, wciąż przywierająca do barierki, wyglądała na spokojną, całkowicie opanowaną. Nie patrzyła w kierunku swych ratowników, wpatrywała się natomiast w jakiś odległy punkt w przestrzeni. Może przypominała sobie chwilę, w której dowiedziała się, że jej ojciec rozbił samochód o granitowy pomnik? A może próbowała wyobrazić sobie ostatnie sekundy życia matki?

Jeden z marynarzy ruszył właśnie w kierunku dziewczynki. Mimo asekuracji poruszał się powoli i bojaźliwie. Wiatr, zamiast słabnąć, z każdą chwilą jeszcze się wzmacniał i nie było nadziei na jakąkolwiek poprawę pogody w najbliższym czasie. Catriona nie wiedziała o tym, że pasażerowie pierwszej klasy niemal w komplecie zrezygnowali już z jedzenia, a w drugiej klasie kuchnia zaprzestała serwowania posiłku po tym, jak rozlał się ogromny kocioł z wrzątkiem, ciężko parząc jednego z kucharzy. Na najniższych pokładach, wśród pasażerów trzeciej klasy, odbywało się coś w rodzaju sztormowego party; najwięksi wielbiciele piwa zgromadzili się wokół baru i pili z postanowieniem, że zanim burza się uspokoi, opróżnią wszystkie trzy otwarte beczki. Wśród nich znajdował się Harry Pakenow; on ograniczał się jedynie do lemoniady. W

światlicy trzeciej klasy przed kilkoma minutami z zabezpieczeń wyrwał się fortepian i niczym miniaturowy ekspres, przemknął przez całe pomieszczenie, cudem tylko nie czyniąc krzywdy żadnemu człowiekowi. W spiżarni drugiej klasy przy kolejnym przechyle „Arcadii” otworzyły się źle zatrzaśnięte drzwi jednej z szafek i na podłogę poleciało, tłukąc się doszczętnie, ponad dwieście porcelanowych kubków i podstawek.

— Co ten Peregrine robi, do diabła? — mruczał do siebie Ralph Peel. — Przecież podczas takiego sztormu powinien trzymać statek ukosem do fal.

Tymczasem Stokes, marynarz, który wyruszył na ratunek Lucy, pokazał, że nie jest w stanie posunąć się ani odrobinę dalej, i zaczął się wycofywać. Nie powodowało nim tchórzostwo, lecz prosty instynkt samozachowawczy. Kontynuowanie próby oznaczało dla niego pewną śmierć.

Dlatego, gdy powrócił do pozostałych marynarzy, z uznaniem pokleпали go po plecach. Zrobił wszystko, co było w ludzkiej mocy.

Przechyli i podskoki „Arcadii” były teraz tak wielkie, że utrzymywanie się na nogach zakrawało na

prawdziwy wyczyn. Większość pasażerów, chorych i wyczerpanych, znajdowało się w kajutach i kabinach. A jednak Maurice Peace grał w pokera w pomieszczeniu klubowym, a Wilkes i Kretchmer siedzieli obok siebie w wiklinowych fotelach w Orchid Lounge i żuli kanapki oraz ciasteczka owocowe; było to danej chwili wszystko, co mógł przynieść im steward.

Żaden z nich, jak do tej pory, nie zachorował. Najprawdopodobniej dlatego, że ich żołądki były zbyt pełne, by ich zawartość mogła się w nich swobodnie przelewać. W Grand Lounge przy dobrze przymocowanym fortepianie siedział pianista i grał; zdawało się, że nic nie jest w stanie mu przerwać.

Gdy kołysanie „Arcadii” stało się nie do wytrzymania, ze swej kajuty wypadła krańcowo przerażona mademoiselle Narron. Postępując i pojękując, pędem ruszyła w kierunku kwater oficerskich. Ponieważ elektryczne windy nie działały, musiała pobiec po schodach. W białym, rozwianym negliżu, z rozszerzonymi oczyma, przypominała Lady Macbeth. Z trudem dotarła do kabiny Rudyarda Philipsa i załomotała w drzwi.

Rudyard, który z markotną miną siedział na koi, natychmiast zeskoczył na podłogę i otworzył drzwi.

— Louise! — zawołał. — Moja droga Louise, nie powinnaś była przychodzić tutaj! Moja droga, jesteś cała mokra.

Mademoiselle Narron padła w ramiona Rudyarda, zmuszając go, żeby cofnął się trzy kroki; tylko w ten sposób mógł utrzymać równowagę. Piętą zatrzasnął drzwi kabiny, po czym tak delikatnie, jak tylko mógł, ułożył mademoiselle Narron na swojej koi. Kiedy pochylił się, aby rozwiązać jej negliż pod szyją, ścisnęła w dłoniach jego głowę i przycisnęła ją do swojej wielkiej klatki piersiowej.

— Rudyard! Tak się boję! Przecież my utoniemy!

Rudyard ujął ją za nadgarstki i zwolnił uścisk, oswobadzając głowę.

— Louise! Louise, posłuchaj mnie! Nie utoniemy. To nonsens. Żaden zagłowiec pasażerski w tym wieku już więcej nie zatoni. Musielibyśmy nabrać tysiące galonów wody, żeby znaleźć się w niebezpieczeństwie!

—Aleja tak się boję! Nie wiedziałam, co robić, musiałam przyjść do ciebie.

— Nie powinnaś była tego robić. I tak mam już wystarczająco dużo kłopotów.

— Kłopotów? Jakich?

Rudyard podszedł do szafki, wyciągnął dwa małe kieliszki i nalał do nich brandy.

— Niestety, nic więcej nie mam w kabynie — powiedział. — Ale to dobre lekarstwo na żołądek. Otóż, moja droga, prawda jest taka, że zostałem aresztowany. Nie wolno mi opuszczać mojej kajuty, dopóki kapitan nie postanowi inaczej.

— Uwięziony we własnej kabinie? Co takiego zrobiłeś? Za co cię mogli aresztować?

— Kapitan na statku ma taką władzę, że może aresztować, kogo tylko chce. W tym przypadku postanowił zaaresztować mnie. Twierdzi, że jestem odpowiedzialny za wypadek, który wydarzył się „Arcadii” na irlandzkich wodach terytorialnych. Roztrzaskaliśmy łódź rybacką i ktoś przez to zginął.

— Ten statek? „Arcadia” kogoś zabiła? Rudyard pokiwał głową.

— Żaden z pasażerów nie miał szansy niczego spostrzec. Ta łódka była zbyt mała. Jednak to ja znajdowałem się wtedy na mostku i to mnie kapitan obarcza odpowiedzialnością za wypadek.

— To straszne! Ale przecież jesteś takim dobrym żeglarzem, prawda?

Rudyard popatrzył na swój kieliszek z koniakiem.

— Chyba tak. Zawsze przynajmniej tak uważałem. Prawdę mówiąc, nie potrafię niczego innego.

— Jak możesz tak mówić? — zawołała Louise i wyprostowała się na koi. Jej rude włosy lepiły się do mokrych policzków i ramion. Różowe brodawki piersi prześwitywały przez cienki negliż. — Jak możesz twierdzić, że nie znasz się na niczym poza żeglowaniem?

— Raczej marny ze mnie Romeo, prawda? — zapytał Rudyard, ze wzrokiem wciąż wbitym w kieliszek. Nie potrafił w tej chwili wymówić słowa „kochanek”. — Nawet nie umiałem zatrzymać przy sobie własnej żony.

— Wciąż przebywasz na morzu. To nie twoja wina, że ona cię porzuciła. Co takiego mogłeś zrobić, by temu zapobiec?

— Och, dajmy temu spokój — powiedział Rudyard i chwycił się poręczy przy umywalce w chwili, gdy „Arcadia” mocniej się zakołysała.

Mademoiselle Narron głośno westchnęła.

— To była moja wina, że tak źle poszło nam w łóżku — oświadczyła niespodziewanie. —

Zbyt wiele się po tym spodziewałam.

— Nie poprawi mi to samopoczucia. W każdym razie najlepiej będzie, jeżeli już pozostawimy ten temat, dobrze?

— Aleja przecież tak wiele o tym myślałam! Kochany, ty potrzebujesz kogoś, kto cię na nowo odkryje. W tej chwili jedyne, co robisz, to spełniasz swe obowiązki, skrupulatnie, dokładnie, lecz bez polotu, jakbyś był zmęczony i zniechęcony. Jakbyś się bał wszystkiego dookoła. A popatrz na mnie. Przecież przez cały czas robię z siebie wariatkę! Udaję, że się zabijam! Wpadam ci w ramiona jak jakaś słodka idiotka. Ale nawet jeżeli ludzie będą się ze mnie śmiać, to co z tego?

Przynajmniej robię to, na co mam ochotę. Przeżywam życie w pełni, nie kryjąc swych uczuć. A ty? Zachowujesz się z taką rezerwą! To przez nią była ta katastrofa w łóżku.

— Och! — jęknął Rudyard. — Nie sądziłem, że uznasz to aż za katastrofę.

Louise zeskoczyła z koi i przeszedłszy przez kabinę, ujęła Rudyarda za rękę. Na jej twarzy pojawił się wyraz takiej przyjaźni i współczucia, że wyglądała niemal jak święta. Nad jej splątanymi, rudymi włosami powinna była teraz zapłonąć złota aureola.

— Zachowywałam się wobec ciebie tak beztrosko — powiedziała cicho. — Nie myśl o mnie źle, już nigdy więcej taka nie będę. Jeżeli dasz mi szansę, pokażę ci, jak chciałabym się z tobą kochać. Nie bój się, i ty potrafisz doprowadzić mnie do spazmów rozkoszy. Już nigdy więcej nie będę cię krytkowała, po prostu nauczę cię tego, co najwspanialsze. Wierzę, że pragniesz mnie, a to najważniejsze, dzięki temu potrafimy stać się doskonałymi kochankami.

Rudyard odwrócił spojrzenie i sięgnął po paczkę papierosów.

— Nie jestem pewien — powiedział. — Sam nie wiem, czy tego chcę. Mam teraz tak wiele na głowie. Jestem aresztowany z rozkazu kapitana, a to już nie są żarty.

—Najlepiej uwolnisz swój rozum od rozmyślań o tych okropnościach, kochając się ze mną —

stwierdziła Louise i położyła dłonie na jego ramionach. — Kochając się, możesz zapomnieć w jednej chwili o wszystkim i o wszystkich.

W tym momencie „Arcadią” zakołysało tak mocno, że oboje padli na podłogę. Mimo przeraźliwego wrzasku Louise, Rudyard usłyszał, jak setki galonów wody przewalają się przez pokład i wpadają z powrotem do oceanu.

— Och, mój Boże! — krzyknęła Louise. — Toniemy! Teraz już na pewno toniemy.

— Nie toniemy! Wszystko w porządku — zawołał Rudyard i spróbował chwycić się poręczy łóżka, aby powstać. — Po prostu przebijamy dziobem ogromne fale.

„Arcadia” wspięła się na kolejną falę i po chwili znów opadła. Odgłosy z zewnątrz świadczyły, że woda przepływająca przez pokłady czyni wiele zniszczeń. Boże, pomyślał

Rudyard, przyciskając do siebie mademoiselle Narron, jeżeli natychmiast nie ustawimy się ukosem do tych fal, to statek naprawdę zatonie. Do cholery, dlaczego sir Peregrine zwleka z tą decyzją?

Transatlantyk tymczasem sunął dokładnie pod fale. Pokład spacerowy wyglądał jak po przejściu huraganu, na innych pokładach też było wiele zniszczeń. Z niemal wszystkich pomieszczeń na statku dochodziły jęki cierpienia i przerażenia. W trzeciej klasie, gdzie najslabiej działała wentylacja, a kabiny były najbardziej zatłoczone, wymiociny swobodnie pływały po podłogach, sprawiając, że nawet ci, którzy do tej pory nie poddali się morskiej chorobie, dorzucali do nich zawartość swoich żołądków. Na wszystkich dziewięciu poziomach statku przeznaczonych dla pasażerów rozlegały się okrzyki desperacji, jęki chorych, hałasy czynione przez przedmioty, których w porę nie

przymocowano i teraz luzem przewalały się po „Arcadii”.

Pianisty z Grand Lounge słuchał już tylko jeden pasażer, osiemdziesięciosiedmioletni mężczyzna o twarzy pomarszczonej jak wysuszona śliwka. Do tej pory przepłynął Atlantyk tyle razy, że stracił już rachubę i, jak dotąd, nigdy nie zachorował.

Tymczasem na pokładzie Douglas Fairbanks przygotowywał się do wyprawy po Lucille Foster. Przewiązano mu już linę wokół bioder, a Ralph Peel krzyczał mu jeszcze do ucha, że powinien zawrócić natychmiast, kiedy wyczuje jakieś kłopoty.

— Pańscy wielbiciele ukrzyżują nas, jeżeli wypadnie pan za burtę tego statku! Tak samo pańscy agenci! A przede wszystkim kompanie ubezpieczeniowe!

Mark spróbował namówić Catrionę, żeby ukryła się w środku, odmówiła mu jednak i pozostała na miejscu, wciąż kurczowo przytrzymując się barierki.

—Ale uważaj na siebie! — krzyczał do niej Mark. — Bo jeśli wypadniesz za burtę, będę musiał skoczyć za tobą, a widzisz, że już i tak jestem dosyć przemoczony.

Popatrzyła na jego twarz, mokrą od morskiej wody. Była tak szczerą, że uwierzyła mu. Tak, wiedziała, skoczyłby za nią bez wahania, mimo że dla obojga z nich oznaczałoby to śmierć w morskiej kipieli. Udowodniłby jednak, że bardzo ją kocha. Nie miała zamiaru przeprowadzać testu, aby to sprawdzić.

Douglas Fairbanks był gotowy do działania, przywiązany do liny, której drugi koniec trzymali marynarze, znajdujący się na pokładzie poniżej.

—Kto ma aparat fotograficzny? — krzyknął. — Szybko, postarajcie się o aparat. Chyba nie przypuszczacie, że zamierzam ryzykować życie, jeżeli ten moment nie zostanie uwieczniony.

Nie minęła minuta i znalazł się ktoś z aparatem Kodaka i lampą błyskową. Douglas Fairbanks przybrał heroiczną pozę i został sfotografowany. Dopiero wtedy zrobił krok w kierunku dziewczynki, lecz momentalnie poślizgnął się i upadł.

— Cholera! — zawołał. — Chyba skręciłem kostkę. Znów błysnęła lampa błyskowa, co rozwścieczyło słynnego aktora.

— Nie teraz, ty idioto! — krzyknął. — Jeśli gdziekolwiek zamieścisz tę fotografię, załatwię cię.

Mimo sprzeciwów Marka, Catriona zrobiła parę kroków do przodu i pochyliła się nad Douglasem Fairbanksem. Zamieniła z nim kilka słów, które zagłuszył wiatr, a do Marka powróciła dopiero wtedy, gdy nieszczęśnika zniesiono z pokładu.

— To beznadziejne, prawda? — stwierdził Mark. — A ocean z każdą chwilą jest coraz bardziej wzburzony. Jak my się do niej dostaniemy?

— Może potrafi sama wrócić, skoro sama się tam dostała — zasugerowała Catriona.

— To niemożliwe. Gdyby była w stanie zejść z pokładu, już dawno by to zrobiła.

— A może nie chce? Może ma jakiś powód, żeby tam pozostawać?

— Wybacz, ale chyba nie wiesz, co mówisz. Dlaczego zależałoby jej, żeby tam tkwić?

— Nie mam pojęcia. O ile wiem, jej matka i ojciec zginęli w wypadku samochodowym. Może to przez nich? Ta tragiczna historia mogła odbić się na psychice dziecka.

Mark przez chwilę się zastanawiał.

— Cóż, może i masz rację — przyznał. — Ale co my powinniśmy robić w obecnej sytuacji?

— Nie wiem. Może jej opiekunka pomogłaby nam zgadnąć. Czy nie nazywa się Hall?

W tym właśnie momencie na pokładzie pojawił się Monty Willowby. Ubrany był w ociekający wodą gumowy płaszcz i takiż kapelusz, który sprawiał wrażenie, jakby jego zadaniem była ochrona jego właściciela przed potokiem wody z trąby niesfornego słonia.

— Panie Peel! — zawołał Monty. — Właśnie dowiedziałem się, co się tutaj dzieje.

— No i co z tego? — wrzasnął z kolei Ralph Peel. — Nic tu po panu. Proszę zejść z pokładu i nie narażać swego życia.

Monty jednak pochylił się do ucha drugiego oficera i krzyknął:

— W trzeciej klasie płynie facet, który prawdopodobnie zawarł bliższą znajomość z tym dzieckiem! Myślę, że można by go tutaj ściągnąć! Może namówi tę dziewczynkę, żeby się nie wygłupiała!

Ralph Peel spojrzał na drobną różową figurkę, kurczowo przyciskającą się do barierki.

— Może ma pan rację? — zawołał. — I tak nikt stąd nie potrafi do niej dotrzeć.

„Arcadia” rozbiła kolejną potężną falę i zimna woda znów zalała pokład. Ralph Peel zachwiał się, poślizgnął i z trudem chwycił się balustrady.

— Dobra, ściągnij go pan tutaj — polecił Monty’emu. — A ja tymczasem porozmawiam z sir Peregrine’em.

Gdy Monty schodził z powrotem pod pokład, Ralph skinął na Marka.

— Proszę mieć oczy i uszy otwarte, panie Beeney. Wrócę, kiedy tylko będę mógł. Nigdy nie dostaniemy tej dziewczynki żywej, jeżeli będziemy płynąć prosto pod fale.

Mark pokiwał głową i mocniej przycisnął Catrionę do siebie. Mimo mokrych gumowych płaszczy, jakie mieli na sobie, poczuła, jak muskularne jest jego biodro, jak silne są ramiona.

Problem, czy Mark Beeney chce kupić Keys Shipping, czy też nie, jakby stracił w tej chwili na znaczeniu. W końcu nie była dzieckiem, które można oczarować byle uśmiechem i pocałunkiem albo chociażby ekstrawaganckim naszyjnikiem. Nie była romantyczną idiotką, na którą podziała szampan czy kwiat orchidei. Tą bronią Mark niczego nie zdziałał. Chociaż... Drżąc, rozumiała, że pragnie, aby jak najczęściej Mark taką właśnie bronią się posługiwał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sir Peregrine tkwił za sterem wyprostowany i nieruchomy, mimo wszystkich przechyłów

„Arcadii”. Wzrok utkwiony miał w samej linii horyzontu, której przecież i tak nie mógł widzieć poprzez tumany wody, zalewające okna mostka. Sternik stał obok, blady i przestraszony, wpatrując się na zmianę to w kapitana, to w spieniony ocean.

Ralph Peel, ociekający wodą jak foka, z trudem przeszedł przez próg, a potem szybko zatrzasnął drzwi, odcinając mostek statku od odgłosów wiatru, deszczu i wody przewalającej się przez pokład. Otrząsnął się jak pies, chcąc zrzucić z siebie jak najwięcej wody. Następnie ściągnął nieprzemakalny kombinezon i podszedł do sir Peregrine’a.

— Pan Peel? — zapytał sir Peregrine, nawet nie odwracając wzroku. Lekko trzymał dłoń na kole sterowym, jakby zastanawiając się, czy je trzymać, czy też puścić. Ralph milczał, po chwili więc kapitan odwrócił głowę i powtórzył: — Pan Peel?

— Z całym szacunkiem, sir Peregrine, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy płynęli ukośnie do fal, pod kątem czterdziestu pięciu stopni? W takim przypadku „Arcadią” nie rzucaloby tak potężnie.

Mamy na pokładzie poważny kłopot; musimy ściągnąć z niego dziewczynkę, która utkwiała w zwoju lin.

Sir Peregrine głośno odchrząknął.

— Wybrałem najlepsze w tej chwili położenie dla statku, panie Peel. Pragnę też zauważyć, że dzięki niemu posuwamy się bardzo szybko, co oznacza, że odrabiamy straty, które ponieśliśmy, poszukując tej przeklętej szalupy na pełnym morzu. Płyniemy całą naprzód, i to zgodnie z zaplanowanym wcześniej kursem.

Ralph Peel popatrzył na sternika, ten był zbyt zajęty wpatrywaniem się w następną ścianę wody, sunącą na statek, by zwrócić na niego uwagę.

— Z całym szacunkiem, sir — kontynuował Ralph — to nie ma sensu. Każdy pasażer na tym statku jest chory jak pies, a na pokładzie mamy, przypominam, uwięzioną dziewczynkę. Poza tym prawdopodobnie w przedniej części statku mamy poważne szkody, połamane poręcze i tak dalej.

Sir Peregrine lekko się zachwiał po kolejnym przechyle „Arcadii”, ale jakiś nadzwyczajny mechanizm, tkwiący w jego wnętrzu, pozwolił mu niemal natychmiast przyjąć poprzednią postawę. Ralph musiał mocno chwycić się mosiężnej poręczy, biegnącej wzdłuż wszystkich ścian, i to obiema

owłosionymi dłońmi.

— Sir Peregrine, to jest szaleństwo! Rozerwie pan statek na drobne kawałki!

Kapitan popatrzył na niego spode łba i po raz pierwszy Ralphowi przyszło do głowy, że jest on po prostu pijany. Nawet nie pijany, ale tak zalany haitańskim rumem, że po wytrzeźwieniu nawet nie będzie pamiętał swoich wyczynów na mostku. Przyjrzał się więc mu uważniej. Odniósł

wrażenie, że sir Peregrine tkwi w tej chwili w swym własnym świecie, świecie fantazji, w którym z nieposłusznym morzem walczy wspaniała i nieugięty żeglarz. Nie zważając na przeciwności, żeglarz ten pędzi po morzu całą naprzód w kierunku Nowego Jorku, ku butelkom szampana i wiwatom oszalałych z zachwytu tłumów, ku zaszczytom i nagrodom należnym zdobywcy Błękitnej Wstęgi Atlantyku, ku sławie, dającej miejsce w podręcznikach historycznych.

Sir Peregrine zrobił krok w kierunku Ralpha i pociągnął go za rękaw.

— Musimy... koniecznie musimy płynąć całą naprzód.

— Nie, sir! Powinniśmy zmienić kurs! Błagam pana!

— Nie, nie — odparł sir Peregrine i jeszcze mocniej pociągnął Ralpha za rękaw. — Nie chcę nawet o tym słyszeć. Nie możemy tego zrobić. Ja wiem, co robię. Jest pan dobrym człowiekiem.

Doskonałym drugim oficerem. Owłosionym, zdaje się. Tak, bardzo owłosionym. Nie widziałem wielu facetów tak owłosionych jak pan.

— Sir Peregrine... — Ralph Peel nalegał, głosem cichym i niemal błagalnym. — Musimy zmienić kurs. Nie możemy przez cały czas walić dziobem w te czterdziestostopowe bałwany.

Sir Peregrine wyprostował się i poprawił węzeł krawata.

— Nie ma pan racji — powiedział. — A poza tym, nie tylko nie ma pan racji, ale okazuje pan niesubordynację. Aresztuję pana. Proszę udać się do swojej kwatery i tam czekać na moje dalsze polecenia... No, co pan jeszcze tu robi? Niech pan już stąd idzie.

— Sir Peregrine!

— Niech pan mi teraz nie przeszkadza! Jestem zajęty. A pan jest aresztowany i nic więcej nie mam panu do powiedzenia. Proszę opuścić mostek, zanim usunę pana stąd kopniakiem!

Ralph wahał się przez moment, ciężko oddychając. Wreszcie jednak podjął decyzję, założył

kombinezon i otworzył drzwi. Do środka znów wpadł wiatr i drobiny wody.

— Ostrzegam pana, ma pan kłopoty, kapitanie! — krzyknął Ralph. — Wpadł pan w potężne kłopoty. Idę stąd prosto do pana Deacona.

— Niech go pan ode mnie serdecznie pozdrowi! — krzyknął do niego sir Peregrine. — I proszę zamknąć te cholerne drzwi!

Ralph Peel ruszył wśród huku fal i wycia wiatru ku kabynie Rudyarda Philipsa. Znalazłszy się przed drzwiami, uderzył w nie pięścią. Rudyard otworzył niemal natychmiast, ale uchylił drzwi zaledwie na trzy cale. Był blady, miał zmierzwione włosy, a z wnętrza jego kwatery dolatywał

zapach dymu tytoniowego. Ralph prawie nigdy nie palił; uważał, że papierosy źle wpływają na prezencję i potencję seksualną.

— Byłem na mostku! — krzyknął do Rudyarda. — Sir Peregrine jest pijany jak świnia. Nic i nikt nie jest w stanie zmusić go do zmiany kursu. Uszkodził już całą infrastrukturę na dziobie i aż boję się myśleć, co będzie, jeśli morze zacznie wariować jeszcze bardziej.

— Czy powiedziałeś o tym Edgarowi Deaconowi? — Mam taki zamiar! Ale przecież to ty jesteś pierwszym oficerem! Wyłaż z tej nory i ratuj nas wszystkich!

— Jestem aresztowany — zauważył Rudyard. — Muszę pozostawać w miejscu zakwaterowania.

— Pociesz się, że ja też od kilku minut! Ale jakie ma to, 1 I do cholery, w tej chwili znaczenie? Kapitan jest tak pijany,

że nie ma pojęcia, co wyprawia!

Rudyard zagryzł wargi.

— Nie wiem! — zawołał, przekrzykując wiatr. — Mam już takie kłopoty, że w sumie powinno mi być obojętne, co się dzieje ze statkiem.

Przechył „Arcadii” spowodował, że drzwi kabiny otworzyły się trochę szerzej i oczom Ralpa ukazała się postać mademoiselle Narron w mokrym, a przez to niemal przejrzystym negliżu.

Rudyard zbladł jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to jeszcze możliwe; przepisy Keys Shipping wyraźnie zabraniały oficerom przyjmowania w swych kabinach pasażerek i zakaz ten był ściśle przestrzegany. Ralph Peel jednak nawet nie mrugnął okiem na widok śpiewaczki, co najwyżej strzepnął krople wody z rzęs. Według niego zakaz był wymysłem najwyższych rangą oficerów, za starych na zabawy z panienkami, a przez to zazdrosnych o młodszych oficerów.

— Kapitan jest pijany? — zawołała mademoiselle.

— Bardzo pijany — odparł Ralph Peel. — Swoim chuchem zabiłby muchę w locie.

Louise Narron otoczyła ramionami Rudyarda i przywarła do niego ciasno. Rudyard popatrzył

bezzadnie na Ralpa niczym podróżnik, którego w samym sercu puszczy napadła stara orangutanica.

— Mój drogi! — zawołała Louise. — Nadeszła twoja chwila. Nadeszła chwila, w której możesz mi

pokazać, jak wielkim jesteś bohaterem! Nasz statek tonie! Słyszałeś, co powiedział

pan Peel? Musisz natychmiast pójść na mostek i przejąć dowodzenie. Musisz!

— W porządku — powiedział Rudyard i z desperacją pokiwał głową. — W porządku, uczynię to, skoro taka jest moja powinność.

Sięgnął po swoją czapkę, wiszącą na haczyku na drzwiach i energicznym ruchem włożył ją na głowę.

— Mój Boże, jaki ty jesteś piękny! — Mademoiselle Narron była zachwycona. — Jaki wspaniały, odważny. Wielki bohater całej Anglii.

— Louise, powinnaś wrócić do swojej kajuty — przytomnie zauważył Rudyard. — Weź mój płaszcz, który wisi w szafie. I uważaj, schodząc po schodach. Później przyjdę do ciebie i powiem ci, co się wydarzyło.

— A czy nie mogłabym poczekać tutaj?

Rudyard zdecydowanie potrząsnął przecząco głową.

— Nie, lepiej będzie, jak znajdziesz się w swojej kajucie. Zawołaj stewardesę i poproś o coś gorącego do picia. Najlepiej z rumem, to cię uspokoi.

— Pocałuj mnie — zażądała.

Rudyard spojrzał na Ralpha. Ten czekał przy drzwiach z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Pocałuj, jeżeli to ją uszczęśliwi — zachęcił go teraz. Rudyard pocałował Louise w policzek.

Kiedy wyszli na pokład, Ralph skomentował:

— Natrafiłeś na piękność o wspaniałych rozmiarach. Cyce ma jak bufory. Przeleciałeś ją już?

— Nie bądź taki cholernie wulgarny — warknął Rudyard. Uniósł wyżej kołnierz dla osłony przed wiatrem.

— Uwierz mi, stary, nie chciałem cię urazić — powiedział Ralph wesoło i uderzył go przyjaźnie w ramię. — Zdaje się, że twoja pani śpiewa w operze. Ma tę moc w płucach, co?

— Przestań wreszcie i idź po Edgara Deacona — polecił mu Rudyard. — Im szybciej kompania zajmie się tym bałaganem, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

— Już mnie nie ma — oznajmił Ralph i poszedł.

Z trudem utrzymując równowagę, Rudyard dotarł do mostka i otworzył drzwi. Sir Peregrine siedział na stołku i wielce się trudząc, usiłował zapalić fajkę. Sternik trzymał koło sterowe, utrzymując kurs dokładnie na wprost fal, ściśle według wskazówek kapitana. Przez cały czas wpatrywał się przed

siebie, mimo iż było oczywiste, że niczego nie widział; uniemożliwiały mu to potężne tumany wody, bijące w szyby oraz choroba morska w zaawansowanym stadium. Na mostku znalazł się również, zgodnie z poleceniem sir Peregrine'a, Dick Charles, który jedynie trzymał się poręczy.

Rudyard zatrzasnął za sobą drzwi, strząsnął wodę z ramion i w trzech krótkich krokach zbliżył się do kapitana.

— O ile dobrze pamiętam, zabroniłem panu opuszczać kajutę — powiedział sir Peregrine z niechętnym wyrazem twarzy. — A może się myłę?

— W gruncie rzeczy ma pan rację — odparł Rudyard. — Aha — mruknął sir Peregrine i poprawił się na stołku.

Wreszcie udało mu się zapalić fajkę. — Mam przez to rozumieć, że myłę się w innej sprawie?

— Oczywiście, sir. Poza tym musi pan zmienić kurs statku.

— Pan Peel też tak uważał. Czy będzie naiwnością z mojej strony, jeżeli wyrażę przypuszczenie, że to właśnie pan Peel podsunął panu ten pomysł?

— Nikt mi niczego nie podsunął, sir. Musimy zmienić kurs, bo w przeciwnym razie znacznie uszkodzimy statek.

Sir Peregrine wyciągnął fajkę z ust i przyjrzał się jej uważnie, zmieniając jej odległość od oczu, jakby trudno mu było skupić wzrok.

— Cóż, panie Philips, więc taka jest pańska opinia. Jednak moim zdaniem, jeżeli nie popłyniemy pod fale, stracimy o wiele więcej niż kilka stóp poręczy na pokładzie.

— Panie kapitanie...

Sir Peregrine popatrzył na niego niechętnie.

— Został pan aresztowany, panie Philips, za nieostrożne dowodzenie tym parowcem, gdy znajdowaliśmy się na irlandzkich wodach terytorialnych. Już zjawiając się w tej sytuacji na mostku, dokonał pan aktu niesubordynacji, który powinien doprowadzić do pańskiego zwolnienia z kompanii. Jednak ponieważ jest pan dobrym marynarzem i ma pan pod swoją opieką „Aurorę”, a ja nie jestem mściwym osobnikiem, wybaczam panu to zachowanie, rozumiejąc intencje, które panem kierują. Jeżeli zaś nie powróci pan natychmiast do swojej kabiny i nie przestanie pan wtrącać się w dowodzenie statkiem, będę musiał złożyć na pana raport oraz zażądać zwolnienia pana z Keys Shipping.

— Pan jest pijany — powiedział Rudyard zdesperowanym głosem. — Niech pan tylko na siebie popatrzy. Pan jest pijany, kapitanie!

Sir Peregrine wyjął fajkę z ust.

— Nawet pijany — oznajmił — potrafię dowodzić tym statkiem dziesięć razy lepiej niż pan na trzeźwo. A teraz niech pan stąd wreszcie wyjdzie i niech pan nie robi z siebie jeszcze większego głupca!

Rudyard stał w miejscu nieporuszony.

— Przejmuję dowództwo nad tym statkiem! — oznajmił.

Sir Peregrine przez chwilę wpatrywał się w niego jak i zamurowany.

— Przepraszam — powiedział wreszcie. — Czy pan coś powiedział?

Rudyard ze zdziwieniem stwierdził, że cały drży. Nie chciał teraz się trząść. Nie chciał nawet przyznać sam przed sobą, że jest przestraszony. Nagle uzmysłowił sobie, w jakiej fatalnej znalazł

się sytuacji. Louise Narron uzależniła dalszy rozwój ich romansu od tego, czy on, Rudyard, uda się na mostek i udowodni, że jest bohaterem. Rudyard wiedział, że jeśli nie wywrze wrażenia na Louise, nigdy nie będzie mógł odzyskać Toy. Rozumiał, jak wiele ma do stracenia jako kapitan żeglugi i pierwszy oficer na „Arcadii”; właściwie całą karierę. Oświadczenie sir Peregrine’owi, że przejmuje dowództwo nad tym statkiem, było ponadto ciężkim przestępstwem morskim, mogącym zakończyć się dla niego wieloletnim więzieniem, jeśli nie strykiem. „Arcadia” była w końcu małym, lecz ważnym fragmentem Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, a nieposłuszeństwo wobec władzy sir Peregrine’a było zdradą, taką samą jak zdrada Jego Królewskiej Mości. Rudyard wyobraził sobie nagłówki w gazetach, oczyma wyobraźni widział

poniżenie swojej rodziny i swój własny los; jeżeli nawet nie zostanie powieszony, to z całą pewnością spędzi długie lata w więzieniu.

Rudyard był prostolinijnym człowiekiem, jednak na tyle bystrym, że zrozumiał, iż pytanie sir Peregrine’a „Czy pan coś mówił” wcale nie było spowodowane jego nagłą głuchotą; kapitan dawał mu ostatnią szansę, aby się wycofał i oszczędził sobie poniżenia i niesławy. Skoro ten stary pili jak w takiej sytuacji zdobył się na tak wielką łaskawość, i może nie był do samego szpiku kości złym człowiekiem? No i może miał rację, utrzymując ten właśnie, a nie inny kurs

„Arcadii”? Czy „ukośny” kurs rzeczywiście byłby lepszym rozwiązaniem?

Zapadła długa cisza, podczas której sir Peregrine spokojnie palił fajkę. Jedyne Dick Charles, stojący w milczeniu pod ścianą, przez cały czas obracał głowę, patrząc w kierunku Rudyarda, jakby błagał go: „Proszę cię, wycofaj się z tego. Dla twojego własnego dobra”.

Wreszcie otworzyły się z trzaskiem drzwi i na mostek wszedł Edgar Deacon w towarzystwie Ralpa Peela. Obaj mieli blade twarze i ociekali morską wodą. Edgar spojrzał na Rudyarda, a potem, bez żadnych wstępów, podszedł do sir Peregrine’a i zapytał:

— Co się tutaj dzieje? Pan Peel powiedział mi, że utrzymuje pan kurs, który jest niebezpieczny dla statku.

Sir Peregrine wyświadczył Edgarowi dużą grzeczność, wyciągając fajkę z ust, które oblizał, zanim się odezwał:

— Pan Peel jest oficerem o stosunkowo małym doświadczeniu. Zdobywał je zresztą głównie na statkach o wyporności dwudziestu tysięcy ton lub mniejszych. Jego ocena, jaki kurs jest niebezpieczny dla pięćdziesięciotysięcznego liniowca, znacznie różni się od mojej. To wszystko.

— Frontowe bariery na statku zostały zniszczone. Straciliśmy z pokładu wiele metalowych części, a nawet flagę kompanii.

— Tak — przyznał sir Peregrine. — Ma pan rację. Wolę jednak utracić sprzęt za dwieście lub trzysta funtów niż cały statek, co mogłoby nastąpić, gdybym zmienił kurs. — Przerwał na chwilę.

— A jeśli chodzi o barwy kompanii — dodał — dysponuję dwiema lub nawet trzema zapasowymi flagami. Polecę wywiesić jedną z nich natychmiast, gdy pozwoli na to pogoda.

Po chwili milczenia Edgar rzucił pytanie:

— Uważa więc pan, że aktualny kurs jest bezpieczniejszy od ukośnego do fal?

Sir Peregrine pokiwał głową. A potem już tylko palił fajkę.

Edgar skierował spojrzenie na Rudyarda Philipa.

— Panie Philips, jaka jest pańska opinia? Czy powinniśmy zmienić kurs, czy utrzymać ten, którym aktualnie płyniemy?

Rudyard zawahał się. Oczekiwał, że sir Peregrine popatrzy na niego, może mrugnie do niego okiem albo chociaż zachęci go do poparcia skinieniem głowy. Ale nic z tego. Kapitan nie miał

najmniejszego zamiaru wyręczyć Philipa. Tymczasem na „Arcadię” spadła kolejna potężna fala i wszyscy obecni na mostku, z wyjątkiem sir Peregrine’a, musieli kurczowo chwycić się mosiężnej bariery, aby nie upaść.

Rudyard unikał świdrującego go wzroku Ralpa Peela. W końcu odezwał się, ale zbyt cicho, by ktokolwiek mógł go usłyszeć.

— Obecny kurs jest przypuszczalnie najlepszy.

— Co? — zapytał Edgar.

— Powiedziałem — Rudyard uniósł głowę i w tej chwili spojrzał prosto w oczy Ralpa Peela

— że płyniemy w tej chwili najbezpieczniejszym kursem dla tego statku.

Ralph Peel otarł usta wierzchem dłoni, a potem uderzył się pięścią w biodro. Nie miał pojęcia, jak w tej chwili się zachować.

— Czy jest pan pewien, że nie doznamy większych uszkodzeń niż tylko powierzchowne i łatwe do naprawy, sir Peregrine? — zapytał Edgar. — Chodzi mi o to, czy zdołamy naprawić uszkodzenia, zanim dopłyniemy do Nowego Jorku.

— Wszystko zależy od pogody.

— Zgadza się pan z tym? — zapytał Edgar Rudyarda. Rudyard czując, że się poci i jest mu bardzo gorąco, pokiwał twierdząco głową.

— A więc, panie Peel — powiedział Edgar — wszystko wskazuje na to, że był pan zbyt kategoriyczny i pochopny w swoich ocenach, by łagodnie to ująć. Skoro kapitan jest przekonany, iż prowadzi ten statek zgodnie z najlepszym z możliwych kursów, skoro pierwszy oficer jest tego samego zdania, nie ma tu chyba nic więcej do powiedzenia, prawda? Poza tym, że zapewne będzie potrzebna pańska pomoc przy ratowaniu tej dziewczynki Fosterów, oraz tym, że gdy tylko poprawi się pogoda, zechcę powrócić do kwestii tego incydentu i wyjaśnić jego podłoże i przyczyny.

— Niech się pan nie martwi, panie Deacon — odezwał się nagle sir Peregrine głosem zmęczonym, lecz pełnym wyższości. — Jestem przekonany, że w odpowiednim czasie sam wyciągnę wnioski z zachowania pana Peela.

Ralph Peel chciał coś powiedzieć, zmienił jednak zdanie i gdy Edgar Deacon wychodził z mostku, bez słowa ruszył za nim. Gdy obaj wyszli, Rudyard przez długi czas w milczeniu wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń za szybą. Był przekonany, że wybrał

najlepsze rozwiązanie, ale co z tego, skoro i ono było złe? Jak mógł teraz wrócić do Louise i powiedzieć jej, że mimo wszystko nie zdecydował się na wyrwanie dowództwa nad statkiem z rąk sir Peregrine'a? Jak mógł jej powiedzieć, że zamiast tego zgodził się z kapitanem, iż prowadzi statek najlepiej, jak tylko w obecnych, warunkach można?

Jak mógł przyznać się, że zdradził przyjaciela — oficera wobec właścicieli „Arcadii” i wypowiedział słowa, które najprawdopodobniej doprowadzą do wyrzucenia Ralpha Peela z kompanii?

Sir Peregrine pochylił się w kierunku jakiejś niskiej półki i po chwili w jego dłoni pojawiła się butelka haitańskie — go rumu.

— Napije się pan, panie Philips? — zapytał. — Ot, ociupinkę, na poprawę samopoczucia.

— Nie — odparł Rudyard. Potem niespodziewanie dorzucił gromkim głosem: — Dziękuję, kapitanie, ale nie piję podczas służby.

— Jak pan uważa — powiedział sir Peregrine, po czym wlał sobie do gardła kilka łyków alkoholu prosto z butelki. — Wypiłem za pańskie zdrowie — powiedział do Rudyarda, gdy skończył.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Monty Willowby znalazł Harry'ego Pakenowa w jakimś kącie baru trzeciej klasy, wciąż

ściskającego w dłoniach szklanę z lemoniadą. Jego twarz była szara, jak wymiętolona kartka papieru. Obok niego, opierając policzek o blat stolika i głośno chrapiąc, siedziała śliczna młoda dziewczyna. Była to Philly, do kresu wymęczona morską chorobą, francuskim koniakiem i nocą dzikiego seksu. Śniła, że jej sąsiad z domu w Minnesocie, łysy, pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna, zlizuje właśnie loda waniliowego spomiędzy jej rozłożonych ud. Często miewała takie sny.

Harry natomiast o niczym nie śnił. I był poza wszystkim, co się wokół niego działo. Gapił się tylko w oprawioną w ramę fotografię pary królewskiej i czekał; czekał, kiedy ta podróż wreszcie dobiegnie końca. Niewiele brakowało, by porzucił swe rewolucyjne poglądy i zaczął się modlić o ten koniec.

— Halo, pan Pakemoff, nieprawdaż? — zawołał Monty, starając się, aby jego głos brzmiał jak najbardziej wylewnie. — Jak się panu podoba nasza mała huśtawka? Dobrze się pan bawi?

Harry poprawił okulary i zmarszczywszy czoło, przyjrzał się Monty'emu.

— Och, wspaniale — odparł bez przekonania. — Nie pamiętam już, kiedy ostatnio było mi tak dobrze.

— Czy mogę na chwilę usiąść przy panu, przyjacielu? — zapytał Monty. Gdy Harry skinął głową, zajął miejsce obok niego i powiedział: — Widzi pan, mamy pewien problem.

— Jaki problem? — spytał Harry bez zainteresowania.

Monty zdobył się na słaby uśmiech.

— Niedawno zaszło pomiędzy nami drobne nieporozumienie z powodu tej lalki — powiedział.

— Nieporozumienie, powiada pan?

—Cóż... — Monty niepewnie chrząknął. — Prawda jest taka, że muszę, niestety, przestrzegać przepisów kompanii, nawet wtedy, gdy ich osobiście nie popieram. Musi pan to zrozumieć.

Gdybym postępował inaczej, na statku zapanowałby chaos.

— Rozumiem. My z trzeciej klasy nie możemy patrzeć na kawior i szampany, bo w przeciwnym razie zbuntowalibyśmy się i opanowalibyśmy statek.

—Żartowniś z pana. Ale, widzi pan, przyjacielu, wcale nie przyszedłem tutaj po to, żeby z panem żartować. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

—Mojej pomocy? — zdziwił się Harry i podrapał się po głowie.

— Tak. Chodzi o tę dziewczynkę, Lucille Foster. Ugrzęzła między zwojami lin na pokładzie spacerowym i nie możemy wydostać jej z pułapki.

— Czy powiedziała, dlaczego się tam znalazła?

Monty potrząsnął głową.

— Jest zbyt silny wiatr, nie słyszymy jej. Poza tym wątpię, czy miałaby teraz ochotę z kimkolwiek rozmawiać.

— No i co? Co ja mam zrobić?

— Mam wrażenie, że się zaprzyjaźniliście podczas tej podróży. Uratował pan jej lalkę, rozmawialiście, i tak dalej...

— Tak — przyznał Harry. — Ale to wszystko. Wątpię, by uważała mnie za swojego przyjaciela. Prawdopodobnie traktuje mnie tak, jak i wszystkich innych biednych ludzi, jako swego rodzaju ciekawostkę.

— Ale pomoże nam pan ściągnąć ją z pokładu?

— Chyba będę musiał.

— Żadne „chyba”, przyjacielu. Jeżeli szybko jej stamtąd nie ściągniemy, bez wątpienia znajdzie się za burtą. Może już wpadła do oceanu, podczas gdy my sobie tutaj spokojnie rozmawiamy.

Harry podrapał się po zarośniętym policzku. Nie był w swojej kabinie od czasu, gdy niemiecki handlarz zwymiotował na środek podłogi całą niedawno zjedzoną kiełbasę. Nie miał więc czym się ogolić, nie miał też możliwości przebrać się w coś czystego. A brudu Harry bardzo nie lubił.

— Chodźmy więc. — Nagle podjął decyzję i wstał od stołu.

— Czy z tą młodą damą wszystko w porządku? — Monty wskazał na Philly.

— Och, jasne. Trochę jednak wczoraj przedobrzyła... i to w każdej dziedzinie.

Monty zrobił kwaśną minę.

— Te dzisiejsze dziewczęta — westchnął. — W moich czasach młode damy były zupełnie inne.

— Czasy się zmieniają — mruknął Harry i zapytał: — Którędy?

— Schodami na górę, niestety. Podczas dużych przechyłów statku nie używamy wind ze względów bezpieczeństwa.

Dotarli do wyjścia na pokład spacerowy drugiej klasy, gdzie steward ubrał Harry'ego w nieprzemakalny kombinezon. Po chwili Monty wypchnął go na otwarty pokład i natychmiast obaj znaleźli się w samym sercu szalejącego żywiołu. Czekali już na nich Derek Holdsworth, Mark Beeney i Catriona; wszyscy troje wykrzykiwali coś do Lucille, starając się dodać dziewczynce odwagi.

Harry był kompletnie nie przygotowany na hałas i gwałtowność huraganu, który na niego natarł. Przez moment stał sztywno, kurczowo trzymając się poręczy, z ramionami uniesionymi wysoko, by osłonić twarz przed wodą i wiatrem. Po raz pierwszy w życiu widział naturę w tak szaleńczym działaniu i po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał. Najbardziej jednak przeraziło go poczucie własnej bezradności wobec żywiołu, świadomość, że choćby nie wiadomo kim był, wichura i fale gotowe są zmieść go z pokładu „Arcadii” jak każdego, niezależnie od przynależności klasowej.

— Czy to ten człowiek? — krzyknął Mark Beeney prosto do ucha Monty'ego.

— Tak, proszę pana! To pan Pakemoff!

— Pakenow! — wrzasnął Harry.

— Co? — zawołał Mark.

— Nieważne! — odkrzyknął mu Harry. — Gdzie jest dziewczynka?

Mark ścisnął jego ramię i wskazał na zwoje lin.

— Widzi ją pan? — krzyknął. Harry kilkakrotnie zamrugał oczyma, a potem skinął twierdząco głową.

— Musimy namówić ją, żeby wychyliła się mocniej z tego zwoju — krzyczał nadal Mark. —

Jeżeli posłucha, wówczas obwiązany liną zbliży się do niej i zdoła ją wyciągnąć!

Harry nagle uprzytomnił sobie, że obok niego stoi wysoka dziewczyna w mokrym kombinezonie i kaloszach. Mimo wiatru i wody pryskającej dookoła, wyczuł delikatny zapach jej kosmetyków, oznaczający pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Twarz dziewczyny była uderzająco piękna.

— Niech pan jej powie, że wszyscy rozumiemy, co ona czuje — powiedziała dziewczyna. —

Niech pan jej powie, że wcale nie musi się poddawać.

Harry posłał pytające spojrzenie Markowi, który natychmiast zareagował:

— Och, przepraszam. Przedstawiam panu pannę Keys. I Catriono, oto jest pan Pakemoff.

— Cieszę się, że pan do nas dołączył — powiedziała Catriona. — Nie mamy pojęcia, jak długo jeszcze ta dziewczynka jest w stanie tam wytrzymać.

— Czy to pani jest tą panną Keys z Keys Shipping? — zapytał Harry.

Catriona pokiwała głową.

— Aha — mruknął Harry. Nie wiedział, o czym właściwie powinien rozmawiać z tymi młodymi i egzaltowanymi kapitalistami. Znał, oczywiście, Marka Beeneya. Widział jego fotografie w gazetach dziesiątki razy. Jednak te kilka zdjęć Katriony, które dane mu było obejrzeć wcześniej, nie przygotowało go na spotkanie z osobą tak śliczną. Ze szczególną mocą odczuł w tej chwili niechlujność swego brudnego ubrania i to, że jest nie ogolony i właściwie zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

— Czy moglibyście dać mi tubę? — poprosił grzecznie.

— Potrzebna jest tuba, panie Holdsworth! — zawołał Mark Beeney.

— W jaki sposób udało się panu poznać kogoś takiego jak Lucille Foster? — zapytała Harry'ego Catriona niespodziewanie ostro.

— Czy to takie zdumiewające? — zdziwił się Harry, po czym wzruszył ramionami i sam sobie odpowiedział: — Właściwie tak. Nasze życia toczą się na zupełnie różnych obszarach.

— Pan Willowby mówił coś, że uratował pan jej lalkę.

— Zgadza się. Cóż, ona spadła z pokładu. Chwyciłem ją i oddałem dziewczynce, to wszystko.

Właściwie to próbowałem jej oddać, ale przecież zna pani przepisy panujące na tym statku. Nie wypuszczono mnie z tej części, która przeznaczona jest dla pasażerów trzeciej klasy.

Catriona popatrzyła uważnie na Harrygo. Był nawet przystojny i taki dziwnie chłopięcy; przypominał jej jednego z młodych aktorów, którego poznała, kiedy żyła z Nigelem. Złośliwego, sarkastycznego, utalentowanego

młodego

człowieka,

ciągle

denerwującego

się

niesprawiedliwościami tego świata. Pomyślała jednak, że Harry ma łagodniejszy charakter i może go polubić.

— Hej, Catriono, popatrz! — krzyknął w tym momencie Mark. — Dziewczynka macha do nas. Patrz! Ona do nas macha!

Wszyscy spojrzeli w kierunku dziewczynki, osłaniając oczy przed wiatrem. Rzeczywiście, niczym mechaniczna lalka, dziewczynka powoli wymachiwała ramionami. Catriona odniosła wrażenie, że przez wycie wiatru przebija się jej głosik: „Harry! Harry!”

— Harry? — zapytała Catriona. — Czy to pańskie imię?

Harry z trudem przełknął ślinę. Z jakiegoś dziwnego powodu ogarnęły go nagle sentymentalne uczucia. Wytarł nos, chrząknął, a potem zaczął wymachiwać ramionami, krzycząc:

— Lucille! To ja! Zaraz cię uratuję!

Cały czas machając, Lucille odkrzyknęła mu: — Harry! Przyjdź po mnie! Nie mogę się stąd wydostać! Harry popatrzył na Catrionę.

— Ona jest tam uwięziona — powiedział poważnym tonem — Ktoś musi jej pomóc, inaczej nie wydobędzie się z tego zwoju. Tymczasem powrócił Derek Holdsworth z tubą.

— Pan Pakemoff twierdzi, że dziewczynka jest przytrzaśnięta w tym zwoju lin. Ktoś musi ją z nich uwolnić — powiedział do niego Mark.

— Pakenow — powiedział Harry.

— Co? — zdziwił się Mark.

Derek Holdsworth nie miał najszcześniejszej miny.

— Miałem nadzieję, że sama jest w stanie wydostać się na zewnątrz i złapać ratownika —

powiedział. Miał chudą, trójkątną twarz, mały wąsik, a nad nim wielki nos. Harry ściągnął kaptur z głowy. Włosy miał już i tak mokre.

— Im szybciej zaczniemy, tym szybciej ją stamtąd ściągniemy — powiedział. — Przywiążcie mnie do liny.

— Jasne — pokiwał głową Mark Beeney. — Jednak już tego próbowaliśmy; właściwie to próbował Douglas Fairbanks. A skoro on nie dał rady...

Harry westchnął i ściągnął okulary.

— To może pan da radę? — zapytał.

Mark popatrzył na niego, potem na Catrionę i na Dereka Holdswortha.

— W porządku — zdecydował. — Niech pan idzie, skoro pan tego chce. Co pan na to, panie Holdsworth?

— Skoro tego chce...

— Przy okazji — powiedział Harry, unosząc nieprzemakalny kombinezon na tyle, by mógł

obetrzeć szkła okularów o nogawki spodni — nazywam się Pakenow. Proszę poprawnie wymawiać moje nazwisko.

— Jasne — pokiwał głową Mark Beeney. — Jednak już tego próbowaliśmy; właściwie to próbował Douglas Fairbanks. A skoro on nie dał rady...

Harry westchnął i ściągnął okulary.

— To może pan da radę? — zapytał.

Mark popatrzył na niego, potem na Catrionę i na Dereka Holdswortha.

— W porządku — zdecydował. — Niech pan idzie, skoro pan tego chce. Co pan na to, panie Holdsworth?

— Skoro tego chce...

— Przy okazji — powiedział Harry, unosząc nieprzemakalny kombinezon na tyle, by mógł

obetrzeć szkła okularów o nogawki spodni — nazywam się Pakenow. Proszę poprawnie wymawiać moje nazwisko.

— Jasne — zgodził się Mark. Jako pracodawca był przyzwyczajony do tego typu wypowiedzi robotników. — Już więcej nikt z nas się nie pomyli.

Harry został obwiązany tą samą liną, której z tak fatalnym dla siebie skutkiem użył Douglas Fairbanks. Następnie, nie zwlekając ani chwili, asekurowany przez Dereka, zaczął schodzić ku pokładowi, na którym uwięziona była dziewczynka.

Kilkakrotnie „Arcadia” zadrżała tak mocno, że Harry musiał chwytac się różnych występów, aby nie stracić równowagi i z niczym się fatalnie nie zderzyć. Dotarcie do dziewczynki zajęło mu niewiele ponad trzy minuty. Catriona obserwowała jego ruchy z fascynacją; odnosiła wrażenie, że zdeterminowanie tego człowieka było silniejsze niż przeciwne mu siły natury. Pragnienie uratowania dziewczynki było tak silne, że nie dostrzegał niemożliwości tego czynu w tych warunkach. A Harry nawet nie zapytał, co zrobiono do tej pory, aby pomóc dziewczynce. Nie potrzebował uczyć się na cudzych błędach.

Drżąc z zimna, zaczął oswobadzać Lucille. Jej noga fatalnie zaplątała się w grube liny i nic dziwnego, że dziewczynka w anormalnych warunkach nie potrafiła jej wyplątać. Na tym zresztą polegało jej szczęście w nieszczęściu. Gdyby sama wy dostała się ze zwoju, woda natychmiast zmyłaby ją z pokładu. Dopiero po dziesięciu minutach Harry osiągnął zamierzony cel i wtedy przycisnął Lucille do siebie, krzycząc jej do ucha:

— Lucille! — Mimo że musiał wrzeszczeć, aby go usłyszała, pragnął, by jego głos brzmiał jak najczulej. — Lucille, kocham cię.

Dziewczynka łkała, nie próbując nawet powstrzymać łez. Harry nie widział tak wymizerowanej twarzy, tak wykrzywionej przez ból, od czasu pogrzebu któregoś z przywódców związków zawodowych w Queens w 1919 roku, gdy córka chowanego właśnie człowieka klęczała pół godziny nad trumną, zraszając ją rzewnymi łzami. Ból i żal, cholera, były ponadklasowymi cechami człowieka. Przecież Lucille była bogatsza niż jakikolwiek z dotychczasowych znajomych Harrego, bogata jak wszyscy diabli, a mimo to była opuszczona przez wszystkich, straszliwie samotna, tak samotna jak córka tego związkowca w 1919 roku. Po raz pierwszy w życiu Harry zaczął się zastanawiać nad losem wszystkich ludzi, który jest taki sam, niezależnie od pozycji społecznej. Czy to całe gadanie o rewolucji ma więc jakikolwiek sens?

— Lucille — powiedział Harry, przyciskając ją jeszcze bardziej do siebie. — Co ty tutaj, u licha, robiłaś?

— Bawiłam się — odparła dziewczynka.

— W taką pogodę bawiłaś się na pokładzie?

— Kiedy tu przyszłam, wcale nie było tak źle. To wszystko stało się tak nagle, tak okropnie się przeraziłam.. — A potem chciałam umrzeć, chciałam rzucić się do oceanu.

— Aż taka jesteś samotna?

— Nie wiem. Ale myślałam, że skoro mama i tata są niebie, mogę do nich dołączyć. Nie potrafię znieść tego, że mnie tutaj zostawili.

— Lucille, nie ma żadnego nieba — powiedział Harry z przekonaniem. — Twoja mama i tata na zawsze od ciebie odeszli. Żyli, kochali cię, może czasami nienawidzili, ale odeszli na zawsze.

Wiesz, do czego zmierzam? Nie możesz rzucić się do wody, bo wtedy i ty odejdziesz z tego świata :

zawsze, nie przeżywszy nawet połowy tego, co przeżyła moja mama. — Jestem taka nieszczęśliwa — jęknęła Lucille.

— Oczywiście, że jesteś nieszczęśliwa. Straciłaś ojca i matkę i jest to największa tragedia, jaka może spotkać dziecko. Ale jak myślisz, co powiedziałaaby twoja mama, gdyby wiedziała cię w tej chwili? Czy chciałaby, żebyś wpadła do wody? Czy chciałaby, żebyś tak głupio, z własnej woli, zginęła?

Przez dwie lub trzy minuty oboje milczeli. Drżąc, Lucille mocno ścisnęła Hardego i sprawiała wrażenie, że na tyle jest jej dobrze, iż nie ma najmniejszego zamiaru się ruszyć. — No, kurczaczku, wracamy? — zapytał wreszcie Harry tonem, jaki w Liverpoolu podsłuchiwał u ojców, zwracających się do swoich córek.

— Chyba tak — powiedziała Lucille słabym głosem. — Moja sukienka jest zupełnie mokra.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W miarę jak zbliżał się wieczór, morze uspokajało się, a wiatr niemal z każdą chwilą był coraz słabszy. O wpół do leju niebo na południowym zachodzie rozjaśniało się pasażerowie „Arcadii” ujrzeli zachód słońca, nieodparcie rodzący na myśl dzień Sądu Ostatecznego. Potężna kula rzucała na powierzchnię oceanu purpurowe promienie, które natychmiast odbijały się od niej milionami oślepiających iskier. Brzegi chmur skąpane były w purpurze i szkarłacie, jakby ostrzegały, że za chwilę wyłoni się zza nich sam Bóg.

Kiedy tylko skończył się sztorm, Monty Willowby wydał polecenia, aby wszystkie pomieszczenia dla pasażerów natychmiast wyczyszczono i zdezynfekowano. Była to zaiste robota Augiasza; należało wyszorować tysiące jardów kwadratowych korytarzy i jadalni, wysuszyć dziesiątki dywanów, wymienić pościel w ponad tysiącu łóżek i koi. Zbierano potrzaskane talerze i naczynia, czyszczono zlewy i wanny, szorowano ubikacje i nawet ściany.

Stewardzi krążyli od kabiny do kabiny z herbatą, kawą, kanapkami i środkami wzmacniającymi. Każdy pasażer, który wciąż czuł się źle, mógł udać się po pomoc do szpitala

„Arcadii”, znajdującego się dokładnie nad basenem. Monty Willowby zarządził, aby drukarnia natychmiast przygotowała dwa tysiące „świadczeń sztormowych”, w których umieszczono nazwiska pasażerów i wręczono jako pamiątki po przebytych doświadczeniach. Sztorm, który przeżyli, był najsilniejszym letnim sztormem na Atlantyku od czterech lat.

Zbliżała się godzina koktajlu i życie na statku zaczynało wracać do swego normalnego trybu.

Na pokładzie pracowali już spawacze i stolarze, szybko likwidując uszkodzenia, spowodowane przez wodę i wiatr. Stewardzi gorączkowo przygotowywali jadalnię do kolacji, odpinając od stołów umocnienia dla zastawy, które niezbędne były podczas lunchu. Rozpoczęły pracę kuchnie, skąd wkrótce znów zaczęły roznosić się smakowite aromaty.

„Arcadia” miała oto za sobą sztormowy chrzest. Już nie unosiły się na niej zapachy świeżej farby i

lakieru, ale ledwie uchwytny zapach morskiej choroby. Było to i tak nieuniknione; tak związane z podróżami przez Atlantyk, jak bal maskowy w ostatni wieczór czy widok Statuy Wolności przy wejściu do portu w Nowym Jorku.

Sir Peregrine przekazał posterunek na mostku Derekowi Holdsworthowi, a sam poszedł do swojego apartamentu i najpierw przez godzinę w milczeniu i samotności siedział na fotelu, a potem polecił swemu stewardowi, aby przygotował mu kąpiel i przyniósł jeszcze jedną butelkę haitańskiego rumu. Wciąż był kompletnie zalany, jego umysł funkcjonował jednak tak sprawnie jak nigdy od wielu, wielu lat. Wiedział, że Neptun zesłał na „Arcadię” ogromne zagrożenie po to tylko, aby potwierdzić jego, Peregrine’a, wielkość i odwagę. Swoją nieugiętą postawą uratował

wspaniały statek, co przyniesie mu sławę, a przede wszystkim poczesne miejsce na kartach historii Anglii.

Lucille Foster spała, oszołomiona kodeiną, w pokładowym szpitalu. Pani Hall tymczasem, w brązowej sukience, sterczała przy jej łóżku z wyrazem męczeństwa na twarzy, i poty oblewały ją na myśl, jak bliska śmierci była jej podopieczna.

Harry Pakenow, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, Ogłoszony został bohaterem.

Oszołomiony, przemoczony drżący niczym przestraszony pies, zaprowadzony został przez dwóch stewardów do kajuty Catriony i opatulony w dwa wielkie koce. Potem ubrano go w eleganckie, czyste ubranie i zaproszono do Orchid Lounge na drinka. Edgar uścisnął jego dłoń i wręczył mu czek na dwadzieścia funtów. Catriona poprosiła, by wypił z nią lampkę szampana.

Uważała, że wydarzenia ostatnich godzin, zakończone tak szczęśliwie, były absolutnie wspaniałe, tym bardziej że pozwoliły jej jeszcze efektowniej niż do tej pory, odgrywać rolę Królowej Atlantyku. Z dziecięcą radością reagowała na niezręczne zachowanie Harry’ego; chłoneła wzrokiem, jak niepewnie siada na krześle, jak z niedowierzaniem mruga oczyma, ukrytymi za okularami, jak przypatruje się sukniom i lśniącej diamentami biżuterii. Trochę przypominało jej to dzieciństwo, kiedy z równym zaciekawieniem i zdziwieniem przypatrywała się odwiedzającym rodziców damom.

—Był pan bardzo dzielny — odezwała się łaskawie do Harry’ego.

Harry, który trzymał kieliszek z szampanem w obu rękach, niepewny, w jaki sposób unieść go do ust, odpowiedział szybko:

— Cóż, zrobiłem chyba to, co powinienem. Lucille nie dałaby rady sobie sama.

— Nikt na statku nie potrafił jednak tego dokonać — zauważyła Catriona.

— Z pewnością trudno było dotrzeć do dziewczynki. Pogoda była wprost okropna.

Catriona przez chwilę przyglądała się Harry’emu. Wreszcie upił łyk szampana, po czym głośno chrząknął.

— Chyba niezbyt dobrze się pan tutaj czuje — powiedziała.

— Trochę niezręcznie.

— Nie ma pan ku temu żadnego powodu. Wszyscy pana podziwiamy.

Harry rozejrzał się dookoła.

— Nie jestem przyzwyczajony do towarzystwa tak bogatych ludzi, to wszystko — oznajmił.

— A czyż do nas trzeba się przyzwyczajać?

— Z pewnością wie pani, o co mi chodzi. Żyję w innym świecie niż wy. Jesteście zupełnie inni.

— Nie rozumiem pana. A gdybym panu zaproponowała, by resztę podróży spędził pan w pierwszej klasie?

— Słucham? — Harry popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Dlaczego się pan tak zdziwił? Uważam, że w pełni pan na to zasługuje. Nie mogę przyznać panu medalu za pański wyczyn. Jedyne, co mogę dla pana zrobić w podziękowaniu, to pozwolić panu odbyć resztę podróży w luksusowych warunkach.

— Hmm... — Harry nie dowierzał własnym uszom. — Myślę, że... Dziękuję, ale nie skorzystam z tej propozycji. Bardzo pani dziękuję, ale naprawdę nie skorzystam.

— Moglibyśmy panu pożyczyć odpowiednie ubrania, jeżeli martwi się pan takim drobiazgiem jak ich brak.

Co takiego?, pomyślał Harry. Ona naprawdę myśli, że niepokoi mnie brak strojów, podobnych do tych, jakie oni noszą? Przecież moim największym zmartwieniem jest zrobienie wielkiej dziury w tym statku i zatopienie wszystkich bogaczy, którzy nim podróżują.

— Wolałbym... Cóż, wolałbym pozostać w trzeciej klasie, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu — powiedział głośno.

W tym momencie pojawił się Edgar. Wyciągnął z kieszeni zegarek, po czym spojrzał nań i z głośnym trzaskiem zamknął metalową osłonę.

— Zdaje się, że masz umówione spotkanie podczas koktajlu — zwrócił się do Catriony.

— Wszystko w swoim czasie — odparła. — Przy okazji, właśnie usiłuję namówić naszego bohatera, aby resztę podróży odbył z nami w pierwszej klasie.

Edgar uścisnął dłoń Harry'ego i uśmiechnął się.

— To doskonały pomysł. Musi pan dalej podróżować z nami. I nie chciałbym słyszeć żadnych sprzeciwów. O ile dobrze pamiętam, mamy jeszcze jedną wolną kajutę w pierwszej klasie.

Płatnik zaraz przygotowuje ją dla pana.

Miłującemu Boga wszystko obraca się ku dobremu

(Rz 8,28)

— Nie sprawiasz żadnych kłopotów, przyjacielu — oznajmił łaskawie Monty Willowby.

Swoją ciężką rękę położył na ramieniu Harry'ego; za nic w świecie nie zdobyłby się na taką zażyłość wobec żadnego autentycznego pasażera pierwszej klasy. — Wykorzystaj okazję, która się przed tobą pojawiła. Nigdy już nic takiego ci się nie przydarzy. To trafia się raz w życiu, przyjacielu. Będziesz jeszcze o tym opowiadał dzieciom i wnukom.

Harry popatrzył na niego rozszerzonymi oczyma. Stwierdził, że nie ma wyjścia, musi zgodzić się na wszystko, co mu proponują. Ci ludzie są tacy zaborczy, tacy pewni siebie, nie znoszący sprzeciwu. Jedyne wyjście z tej trudnej sytuacji było robienie wszystkiego, co każą.

— W porządku — wyszeptał. — To jednak jest wspaniała oferta. Przyjmuję ją.

Monty pochylił się ku niemu i odezwał się: — Mów głośniej, przyjacielu! Nie zrozumiałem cię! Harry skonsternowany oblizał usta i rozejrzał się dookoła w nadziei, że gdzieś pojawi się steward z szampanem; był bardzo spragniony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Zmierzając do swojej kajuty, Catriona niemal zderzyła się z Philipem Carterem-Helmem.

Przemierzał właśnie szybkim krokiem korytarz. Ręce trzymał w kieszeniach, a jego krawat nie do końca był zawiązany.

— Och, dzień dobry — powiedziała Catriona, odrobinę oszołomiona.

Philip skłonił głowę.

— Witam panią. Przepraszam za ten galop.

— Rozumiem, że się pan śpieszy.

— W gruncie rzeczy, tak. Biegnę do pokoju telegrafisty. Spodziewam się wiadomości.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Cheshire.

— To bardzo niedaleko ode mnie.

— Rzeczywiście.

Catriona uśmiechnęła się. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła zrozumieć, czuła się przy Philipie bardzo swobodnie. Zupełnie nie dbała o obowiązek prowadzenia grzecznej i zdawkowej rozmowy w przypadkach takich, jak to niespodziewane spotkanie.

— Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy? — zapytała Philipa. — Odnoszę wrażenie, że już widziałam pańską twarz.

— Nie, o ile nie bywa pani w barze Crown and Anchor.

— Cóż, nigdy tam nie byłam. Czy podróżuje pan do Nowego Jorku czy jeszcze gdzieś dalej?

— Tylko do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, natychmiast wracam następnym statkiem, a dokładnie następnym rejsem „Arcadii”. To tylko taka krótka podróż dla rozerwania się.

— A więc nie podróżuje pan w interesach? Czy nie zajmuje się pan ubezpieczeniami morskimi?

Philip grzecznie roześmiał się.

— Rzeczywiście, co za pamięć! Ale tym razem nie podróżuję w interesach. Chyba że nazwalibyśmy interesami sprawy rodzinne, które mam do załatwienia w Ameryce.

— Ma pan krewnych w Nowym Jorku? Philip zawahał się na chwilę, po czym odparł:

— Mam taką nadzieję.

Zaczęli iść korytarzem obok siebie. Philip przemierzał dokładnie tę drogę, którą zrobił przed chwilą w przeciwnym kierunku.

— Powiem coś pani — oznajmił po chwili. — Uważam, że krewni czasami mają nieprawdopodobny wpływ na członków swej rodziny. I nieważne, czy zna się ich dobrze, czy też prawie wcale.

— Nie jestem pewna, czy za panem nadążam — powiedziała Catriona.

Philip uniósł rękę.

— Niech pani popatrzy na przykład na ten statek. Zbudował go pani ojciec, prawda? Co za wspaniałe osiągnięcie! Proszę, jaki ten liniowiec ma wpływ na pani życie. A przecież tak naprawdę, to nie znała pani ojca zbyt dobrze, prawda?

— Chyba ma pan rację.

Philip zatrzymał się w miejscu. Wciąż trzymał ręce w kieszeniach.

— Moje osobiste doświadczenia z pani ojcem, a także rozmowy z ludźmi, którzy go znali, wskazują, że był nietuzinkowym człowiekiem, bardzo silnym i zdecydowanym. Ale także, w pewnym sensie, tajemniczym; chociaż, tak mniemam, o każdym, kto umarł, można powiedzieć, że nosił w sobie jakieś

tajemnice. Zawsze pozostaje wiele wątpliwości, wiele niejasności, gdy kogoś złożymy w grobie. Mój Boże, gdyby tylko było można zadać każdemu, kto umiera, kilka ważnych pytań...

— Chyba nie podoba mi się ta rozmowa — powiedziała Catriona.

Philip patrzył na nią przez chwilę, po czym nagle jakby powrócił do rzeczywistości.

— Och, przepraszam panią! — Uderzył się otwartą dłonią w czoło. — Czasami się zapominam. Nie zamierzałem powiedzieć niczego w złym guście. Przepraszam raz jeszcze. Czy panią uraziłem?

— Nie... A może trochę. Nieważne.

Philip spojrział w głąb korytarza.

— Pójdę i zobaczę, czy jest już moja wiadomość.

— Tak. — Catriona skinęła głową.

— Chciałbym... — zaczął Philip i przerwał, jakby się zaciął.

— Cóż takiego pan by chciał? — zapytała Catriona.

— Właściwie to nic. Chyba jestem niepoprawnym marzycielem.

— Marzycielem?

— Tak, czasami chciałbym, żeby życie było zupełnie inne. Z każdym rokiem człowiek staje się mądrzejszy i z tej perspektywy pokierowałby swoją przeszłością zupełnie inaczej.

— Czy zawsze mówi pan zagadkami? — zapytała Catriona z uśmiechem.

— To wcale nie miała być zagadka.

— Może i nie była — zgodziła się Catriona. — Może była to odpowiedź na nie zadane pytanie. — Z każdą chwilą nabierała do Philipa Cartera–Helma coraz większej sympatii. I to wcale nie z powodu tego, co mówił, ale dlatego, że był po prostu miłym, ciepłym, szczerym kompanem. I, co było niezwykle u młodego i przystojnego mężczyzny, nawet nie próbował

zalecać się do niej.

— Kim pan jest? — zapytała, właściwie zupełnie nie zastanowiwszy się uprzednio nad tym pytaniem.

— Kim ja jestem? — powtórzył. Zamilkł, zrobił zdziwioną minę, a potem odezwał się: — Kto wie. W pewnym stopniu jestem wszystkim naraz. Facetem ubezpieczającym statki. Wędkarzem

— amatorem. Szachistą. Synem mojego ojca i bratem mojej siostry. Aha, i jestem jeszcze całkiem

dobry w krykieta.

Tym razem minęła długa chwila, zanim Catriona się odezwała.

— Któregoś dnia powiedział mi pan, że dobrze zrobię, jeżeli sprzedam „Arcadię” Markowi Beeneyowi; jeżeli w ogóle będę musiała ją sprzedać.

— Tak. — Philip pokiwał głową. W jednej chwili stał się jakby bardziej czujny.

— Niech mi pan teraz zdradzi, dlaczego wtedy tak właśnie pan powiedział? Czy miał pan jakiś osobisty interes?

— Hmm — mruknął, jakby nie mógł zdecydować się na odpowiedź.

— No, niech pan mówi — naciskała Catriona.

— Hmm — powtórzył Philip. — Lepiej jeszcze poczekajmy.

Pożegnali się przez drzwi kajuty Catriony. Alice kręciła się już niespokojnie po salonie. Gdy Philip ją ujrzał, powiedział Catrionie „do widzenia”, głośno chrząknął i szybko sobie poszedł.

— Niechlujny jest ten młody dżentelmen — zauważyła Alice, gdy Catriona została z nią sama.

— Niechlujny?

— Nie obchodzi go nawet to, że ma niestarannie zawiązany krawat. Porządny dżentelmen w obecności damy nie przebywa z nie zawiązanym krawatem. Chyba że są sobie szczególnie bliscy.

— Catriona popatrzyła na drzwi, które przed chwilą za sobą zamknęła.

— Kto wie? — powiedziała w zadumie. — Może naprawdę jesteśmy sobie szczególnie bliscy?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kolacja z powodu sztormu rozpoczęła się dopiero o dziewiątej. Rudyard Philips powoli ubierał się w swojej kabine przed lustrem, słusznie przekonany, że poparcie, którego udzielił sir Peregrine’owi, zakończyło jego areszt. Był jednak również pewien, że ani Ralph Peel, ani Louise Narron już nigdy w życiu się do niego nie odezwą.

Czuł się fatalnie. Ogarnęła go pewność, że wszystko, co powiedział i zrobił, odkąd opuściła go Toy, było złe i nie miało sensu. Wiedział, że na mostku powinien był stanąć po stronie Ralpha i odebrać ster kapitanowi, by udowodnić Louise, że jest bohaterem. Ale zarazem wiedział, że sir Peregrine, nieważne jak bardzo pijany, zapewne prowadził statek prawidłowym kursem; potwierdził to zresztą fakt, iż „Arcadia” wyszła z potężnego sztormu tylko z powierzchownymi zniszczeniami.

Niestety, doskonale zdawał sobie sprawę, że sir Peregrine niczym nie wynagrodzi mu poparcia, którego mu udzielił kosztem przyjaźni Ralpha Peela i uczucia Louise Narron. W końcu nie wykazał

wobec kapitana niczego więcej oprócz lojalności, której ten spodziewał się po nim na co dzień.

No cóż, rozmyślał, poprawiając krawat przed lustrem, gdy ta podróż się skończy, już nigdy nie zobaczę Louise na oczy. Ani nie będę służył na żadnym statku razem z Ralphem Peelem. Kiedy wrócę z tego rejsu, „Aurora” będzie po naprawach w suchym doku i, jak zwykle, obejmę nad nią dowództwo. Szczęście, że ma swoją „Aurorę”. Na niej również trafiają się wśród pasażerek prawdziwe ślicznotki. Kiedyś znów znajdę sobie kobietę: miłą, prostą, ładną, sympatyczną.

Ktoś zapukał do drzwi jego kabiny. Wyjął papierosa z paczki i zawołał:

— Wejść!

W drzwiach ukazał się chłopiec na posyłki. W ręce trzymał kopertę z papeterii „Arcadii”, na której ktoś napisał „Pan R. Philips” ładnym, pochyłym charakterem pisma. Rudyard dał

chłopakowi sześciopensówkę i kciukiem rozerwał kopertę.

Zaczął czytać:

„Mój najdroższy Ruddy,

Odwiedził mnie twój przyjaciel, oficer Peel, i powiedział mi wszystko o tym, co się wydarzyło na mostku... Powiedział mi, że nie miałeś wyboru i nie powinnam źle cię oceniać, bo i on nie ma do ciebie pretensji, ponieważ zapewne postąpiłby tak samo, gdyby stanął wobec identycznego dylematu. W każdym razie uważam, że ukazałeś mi, iż żadna kobieta na świecie nie powinna być sama i rządzić się tylko własnymi prawami, nie uznając nikogo ani niczego. Jesteś łagodnym i miłym człowiekiem, którego prostota i honor będą na zawsze dla mnie przykładem... Przygotowałam się na to, że będę myśleć o tobie jedynie najgorzej, tak wiele ran bowiem pozostawiła we mnie poprzednia miłość, a tymczasem wszystko ułożyło się zupełnie inaczej. Jesteś wspaniałym człowiekiem.

Wybacz. Louise”.

Rudyard ostrożnie położył list na skraju biurka i w końcu zapalił papierosa. Zmrużywszy oczy, wpatrywał się w kartkę, jakby chciał się upewnić, że to prawda, że list za chwilę nie zniknie albo nie zamieni się w popiół.

A potem stwierdził, że łka, zamknął więc oczy i przycisnął kciuki do powiek. Po jego policzkach potoczyły się łzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Dokładnie wtedy, gdy Catriona przebierała się na koktajlowe spotkanie z George’em Weltermannem, Trimmer i przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy spotkał Philipa Cartera—

Helma. Odczekał, oczywiście, aż dziewczyna się ubierze i dopiero wtedy, zdążywszy jeszcze wyrazić najwyższy zachwyt nad jej strojem, odezwał się:

— Płoszę pani, ten dżentelmen, który był tu dzisiaj łano...

— Tak? — zainteresowała się Catriona. Zaciśnęła palce na nosie, gdy Alice spryskiwała ją perfumami.

— Łozmawiał z panią, jakby był bliskim przyjacielem ojca, o ile dobrze pamiętam.

— Rzeczywiście. No i co z tego?

— Sam zastanawiałem się, co z tego, płoszę pani, i wtedy przypomniałem sobie dzień, w którym widziałem pani ojca w towarzystwie młodego mężczyzny niezwykle niepodobnego do pana Całteł–Helma. Było to jakieś trzy lata temu, kiedy wiozłem pani ojca samochodem. Wtedy, oczywiście, pan Całteł–Helm wyglądał młodziej.

— Gdzie to było? — zapytała Catriona. Rozłożyła dłonie i uważnie przyjrzała się swoim paznokciom.

— W Fołmby, płoszę pani. Wówczas po łaz piełwszy pojawiły się plany zbudowania

„Arcadii”. Wiozłem panów do Livełpoolu, a oni przez cały czas łozmawiali tylko o jednym: ile pieniędzy będzie potrzeba do zbudowania „Arcadii”. Pamiętam to, bo się w końcu pokłócili.

— Philip Carter–Helm posprzeczał się z moim ojcem?

— Tak, płoszę pani. Doskonale to pamiętam.

— Ale o co konkretnie się pokłócili? Przecież „Arcadii” jeszcze wtedy nie było. Mów, Trimmer, z całą pewnością wiesz więcej, niż mi dotąd powiedziałeś.

Trimmer wbił spojrzenie w dywan.

— Och, nie zgrywaj się, człowieku — zawołała Catriona. — Przecież nikt na świecie nie ma pretensji do kierowców za podsłuchiwanie rozmów pasażerów. Tym bardziej teraz, gdy mój ojciec nie żyje...

— Płoszę pani, w ich łozmowie często pojawiała się nazwa statku, który w owych dniach należał do Keys Shipping. Nazywał się „Ołange”.

— Zdaje się, że „Orange” zatonał, prawda?

— Tak, płoszę pani. Dokładnie dwa tygodnie potem, jak pan Keys i pan Całteł–Helm tak strasznie się posprzeczali. Pan Całteł–Helm mówił coś o ubezpieczeniu, a pani biedny ojciec krzyczał na niego i powtarzał bez końca: „To szaleństwo, szaleństwo”.

Catriona milczała, czekając, aż Trimmer doda coś jeszcze, do końca wyjaśni jej istotę sporu.

Trimmer jednak uznał, że powiedział już wszystko, i czekał w milczeniu, aż pani pozwoli mu odejść.

— To wszystko? — zapytała wreszcie Catriona. — Niestety, tak, płoszę pani. Niczego więcej nie pamiętam z tej jazdy.

— Cóż, to i tak wiele — przyznała Catriona. — „Orange” zatonął gdzieś u wybrzeży Indii, prawda?

— Tak, płoszę pani. W Zatoce Khambhat. Szczęśliwie wszyscy pasażerowie i załoga uładowali się. Ale co za słata. To był piękny statek, jeden z najlepszych, jaki mieliśmy.

— Cieszymy się, że sami nie zatonęliśmy podczas dzisiejszego sztormu — wtrąciła Alice. —

W pewnej chwili myślałam, że Pan wezwał mnie już do siebie.

Catriona przyłożyła do uszu diamentowo — szafirowe klipsy, by sprawdzić, czy pasują do stroju.

— Ten statek zaprojektował mój ojciec, Alice — powiedziała. — Chyba nie sądzisz, że jakiś głupi sztorm mógł go zatopić?

— Nno... nie, oczywiście, że nie, proszę pani.

— Może to Bóg przypomniał nam, że nie powinniśmy być tak pyszni i zadowoleni z siebie?

— Kto to wie, płoszę pani? — odezwał się Trimmer. — Niezbadana jest jego wola.

Catriona była prawie gotowa, gdy do drzwi kajuty zapukał Edgar. Jeszcze raz przypomniał jej, że ma spotkanie z George'em Weltermanem.

— Pamiętam, pamiętam — powiedziała niechętnie i zanim zdołał zamknąć za sobą drzwi, zawołała: — Panie Deacon!

— Tak?

Catriona wahała się przez chwilę, w końcu się jednak przemogła i powiedziała:

— Czy mogłabym pana o coś zapytać?

Jego oczy natychmiast stały się nieprzeniknione i czujne.

— Słucham.

— Chciałabym... — zaczęła Catriona, w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że oboje, Trimmer i Alice, bacznie jej słuchają, mimo że całą swoją energię wkładają w pucowanie szklanek i porządkowanie jej kosmetyków. — Może lepiej porozmawiajmy na pokładzie. Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Edgar ujął ją pod rękę i poprowadził na pokład spacerowy pierwszej klasy. Wiatr ciągle był dość silny, lecz już przyjazny, toteż flagi i proporce na „Arcadii” łopotały wesoło.

— Czy rozmawiał pan może już z tym młodzieńcem o nazwisku Carter–Holm? — Catriona zapytała Edgara bez żadnego wstępu.

Edgar spojrział na nią uważnie.

— O ile pamiętam, tak — odparł. — Ma taką młodą, rumianą twarz. Interesująca postać w każdym razie.

— O niego mi chodzi. Czy spotkał go pan już kiedykolwiek wcześniej?

Edgar potrząsnął głową.

— Chyba nie. A powinienem?

— Sama nie wiem. Jednak on sam powiedział mi, że był przyjacielem mojego ojca. A teraz Trimmer opowiedział mi, jak był świadkiem kłótni mojego ojca z Carterem — Hoknem jakieś trzy lata temu, kiedy wioził ich obu do Liverpoolu.

Edgar wyglądał na zakłopotanego.

— Czy Trimmer powiedział, czego mogła dotyczyć ta kłótnia?

— Statku o nazwie „Orange”. I ubezpieczenia. Było to na dwa tygodnie przed zatonięciem „Orange”.

Edgar wybuchnął śmiechem. Śmiech ten był jednak tak sztuczny, że Catriona ani przez chwilę nie wątpiła, iż wesołość Edgara jest udawana.

— Z czego się pan śmieje? — nie wytrzymała po chwili.

— Rozbawiłaś mnie, to wszystko. Trimmer to specjalista od rozsiewania takich plotek i podobnych. Nie zwracaj uwagi na to, o czym bredzi.

— Myślałam, że to jest ważne...

— Moja droga, nie mam najmniejszych wątpliwości, że to nie Philip Carter–Holm kłócił się z twoim ojcem. Służący często wymyślają coś, żeby zaimponować swym chlebodawcom. Zanim któregoś weźmiesz na serio, musisz poważnie zastanowić się nad tym, co usłyszysz.

Catriona zrezygnowała z dalszej rozmowy.

— Mój Boże, dochodzi siódma! — zawołała. — A o wpół do siódmej miałam spotkać się z George’em Weltermanem. Muszę iść po Alice.

— Alice? Po co?

— Będzie moją przyzwoitką.

Edgar machnął lekceważąco ręką.

— Nie będziesz potrzebowała Alice. George to dżentelmen w każdym calu. Przynajmniej taką ma opinię.

— Czy jest pan pewien?

— Oczywiście! — Edgar roześmiał się. — Czyżbyś się bała?

— Nie, oczywiście, że się nie boję. Ale skoro uważa pan to spotkanie za bardzo ważne, chcę, aby wszystko odbywało się poprawnie, zgodnie z przyjętymi zasadami.

— Wszystko będzie w porządku, jeśli George poczuje się w twoim towarzystwie dobrze i odniesie wrażenie, że wszyscy w Keys Shipping cenią go i poważają. Obawiam się, iż jest to jeden z tych typów, wobec których, aby na nich wpływać, trzeba użyć oprócz perswazji również trochę kokieterii. Pamiętaj, że złożył ofertę kupna kompanii.

Gdy zeszli na wewnętrzny korytarz, natknęli się na Dicka Charlesa. Edgar uklonił się Catrionie i zwrócił się do Dicka:

— Panie Charles, bardzo proszę zaprowadzić pannę Keys do kabiny pana Weltermana. Pragnę też, aby będąc tam, przekazał pan mu moje najserdeczniejsze ukłony.

—O...o...o...oczywiście, pa...panie Deacon. Idąc korytarzem obok Dicka, Catriona nie mogła nie zauważyć, że jest on śmiertelnie blady.

— Czy z panem wszystko w porządku, panie Charles? —zapytała. — Nie jest pan przypadkiem chory?

— Nnn...nie, pa...panno Keys. Jessstem w wyśśmie...mienitej formie. Pie...pierwsza klasa.

—Mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za natręta, ale pański wygląd zaprzecza pańskim słowom. Jest pan blady.

— D...drobne pro...problemy, pa...panno Keys. Nic, czy...czym mmmógłbym za...za...zawrawracać pa...pani głowę.

— W każdym razie, jeżeli coś pana gnębi, zawsze może pan zwrócić się do mnie po poradę, proszę o tym pamiętać.

Dick Charles zasalutował jej.

— To...to ba...bardzo miło z pa...pani stro...rony, panno Keys.

Już bez słowa poprowadził ją do kajuty George'a Weltermana. Chyba nie jest najlepszym

marynarzem, pomyślała. Jego bladeść jest zapewne wspomnieniem po sztormie. Chociaż... W

sumie załoga miała takie samo prawo ulec chorobie morskiej jak pasażerowie. Catriona nie mogła zgadnąć, że problemy Dicka nie dotyczą sztormu, lecz lady Diany FitzPerry.

George Welterman osobiście otworzył drzwi swojej kajuty. Tematem jego apartamentu była

„Góra Olimp” i ściany udekorowane były freskami greckich i rzymskich bogów.

Sam George Welterman, mroczny i ponury, sprawiał w tym otoczeniu wrażenie wszechwładnego Zeusa. Ubrany był na czarno. Palił papierosa, a gęsty, gryzący dym niósł się przez cały salon w kierunku otworu wentylacyjnego.

— Czy on jest pani przyzwoitką? — zapytał George, wskazując na Dicka Charlesa.

— Nie — odparła. — Pan Charles właśnie wychodzi.

— Pa...pan Deacon prze...przesyła pa...pa...panu wy...wyrazy najjgłębszego sza...szacunku, pro...proszszszę pa...pana.

— A więc — powiedział — uznałaś, że będziesz przy mnie bezpieczna nawet, jeżeli przyjdiesz sama.

Uśmiechając się, zgasił papierosa w srebrnej popielniczce.

— Czy myliłam się?

George zrobił niewinną minę, a następnie schylił się ku dłoni Catriony; ucałował ją nieprzyjemnymi w dotyku, suchymi wargami.

— Bywały kobiety — powiedział z westchnieniem — które bały się pozostawać ze mną sam na sam.

— Bały się? Nie rozumiem dlaczego? Wyglądasz na niegroźnego niedźwiadka.

George jakby się zdziwił.

— Niedźwiadka? Po raz pierwszy jakaś kobieta nazwała mnie niedźwiadkiem. Hmm, może w trakcie wieczoru zmienisz o mnie zdanie.

— Zamierzasz pokazać mi pazury?

— Być może. Najpierw jednak podam ci coś do picia.

— W porządku — powiedziała Catriona, odwracając się do niego plecami. — Może być dzin.

George przyrządził jej drinka i podszedłszy do niej ze szklaneczką, powiedział:

— Żyłaś z aktorem, prawda?

— A co ci do tego?

George wzruszył ramionami.

— Właściwie nic. Jeśli młoda dziewczyna życzy sobie żyć niemoralnie, prowadząc się z aktorami, ustawicznie grzesząc, jest to jej sprawą; ja nie mam nic do tego.

Catriona zaczerwieniła się.

— Nie podoba mi się ta rozmowa — oznajmiła. — Nie po to przyjąłem twoje zaproszenie, abys mógł czynić niestosowne uwagi na temat mojego prywatnego życia.

— Nie sądz mnie źle, Catriono, nie zamierzam cię krytykować. Po prostu, dla takich starych baranów jak ja, trochę trudno jest przywyknąć do tego, co dzieje się w dzisiejszych czasach.

Pamiętam, że kiedy ja zaczynałem interesować się płcią przeciwną, skandalem było już to, że dziewczyna paliła papierosy, nawet w zaciszu własnego domu. A ty... możesz palić, gdzie zechcesz, kiedykolwiek ci się to spodoba i nikt już nie zwraca na to uwagi. Jesteś dziewczyną takiego rodzaju, jakiego w swym życiu nie miałem okazji napotkać i trudno mi się z tym pogodzić.

Usiadł na największym spośród foteli w salonie, na dużym tronie z Olimpu, nie proponując tego samego Catrionie. Upił trochę alkoholu, a potem mówił dalej:

— Nie zrozum mnie źle, jednakże oprócz twojej, hmm, swobody, jeszcze jedna rzecz jest dla mnie nie do pojęcia. Mianowicie, twoje zainteresowanie biznesem — związane z faktem, że posiadasz tak ogromne udziały w Keys Shipping. W moich czasach kobiety pozostawiały interesy mężczyznom. Co mogła wiedzieć dziewczyna o kupowaniu i sprzedawaniu? Wówczas to nie był ich świat. Światem dziewcząt były tańce, popołudniowe przyjęcia, truskawki i słodkie ciasteczka.

— Masz przeromantyzowane spojrzenie na kobiety — powiedziała Catriona i w końcu usiadła na skraju miękkiej sofy, przykrytej czarnym atłasem. — A przynajmniej na kobiety z Londynu; nie chcę wypowiadać się za panienki z Cheltenham czy z Oksfordu. Mam nadzieję, że dziewczęta stamtąd wciąż są tak świeże i niewinne, jak to sobie wyobrazasz. Tańce, przyjęcia, suknie za kolana i tak dalej. No i, oczywiście, wszystkie są dziewczycami.

George znów popił, zaciągnął się papierosem i jakby melancholijnie pokiwał głową.

— Obyś miała rację. Zresztą... wiem, że tak jest. Podobnie jest zresztą w Ameryce w porządnym rodzinach ze średnich klas. Doskonale utrzymane, wymalowane domy, lśniące, nowe packardy, dziewczęta, które nigdy nie ulegają złym wpływom. Tak, to czyni kapitalizm silnym.

— Chyba cię nie rozumiem? Co niby czyni kapitalizm silnym? Te domy i packardy? Błony dziewicze na swoim miejscu?

George popatrzył na nią. Najwyraźniej dziwił się, że dziewczyna może głośno wypowiedzieć w obecności mężczyzny słowa „błona dziewicza”; nawet tak wyzwolona i niezależna jak Catriona Keys.

— Cóż — odezwał się w końcu — musisz pamiętać, że państwo, które opiera swoją siłę na kapitalizmie, potrzebuje silnej bazy w postaci klasy średniej: światłych i efektywnych zawodowo ludzi, którzy nie tylko dążyć będą do uzyskiwania dóbr, które oferuje im kapitalistyczny przemysł, ale też będą w stanie za te dobra płacić; którzy będą zadowoleni i usatysfakcjonowani tym, co otrzymają za swoje pieniądze, ale nie na tyle, by po którymś zakupie osiąść na laurach i zrezygnować z dalszej wydajnej pracy dla swojego kraju. Szczęście w systemie kapitalistycznym polega na tym, by ludzie przez cały czas mieli odrobinę za mało. Dotyczy to przede wszystkim przedstawicieli klasy średniej. Stąd te domy, samochody, dobrze wychowane córki. Im więcej rodzin znajduje się w takiej sytuacji, tym szybszy musi być rozwój gospodarki, takie są prawa ekonomii.

Umilkł, jakby wyczerpany tym przemówieniem. Chcąc, aby wreszcie ruszył się z tego swojego wielkiego fotela, Catriona poprosiła go:

— Czy mógłbyś poczęstować mnie papierosem?

Otworzył srebrne pudełko i wyciągnął je w kierunku dziewczyny. Przez cały czas, gdy brała papierosa i wsuwała go sobie do ust, obserwował ją uważnie. Catriona odniosła nieprzyjemne wrażenie, że te gesty go podniecają. Nigel opowiadał jej kiedyś o jakimś swym przyjacielu z Niemiec, który płacił kobietom tylko za to, by ubrane jedynie w czarne, jedwabne pończochy, siedziały przed nim na drewnianych krzesłach i paliły papierosy. A Welterman — to brzmiało bardzo po niemiecku.

— Czy zastanawiałaś się ostatnio, chociażby troszeczkę, nad moją ofertą kupienia floty Keysów? — zapytał George, przypalając jej papierosa.

— Nie bardzo. Chyba nie ma pośpiechu, prawda? Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Rozumiesz chyba, że bardzo zależałoby mi na twoim poparciu w tej sprawie?

Catriona przez chwilę w milczeniu paliła papierosa. George Welterman irytował ją jeszcze bardziej niż Edgar. Jeśli chodzi o Edgara, to przynajmniej wiedziała, że niezależnie od tego, co planuje, ma na uwadze przede wszystkim dobro Keys Shipping, a także interesy tych wszystkich biednych rodzin z Liverpoolu, których los tak bardzo zależał od losu kompanii. Natomiast George przypominał rybaka, który niespodziewanie złowił syrenę i nie zamierza wrzucić jej z powrotem do wody, a motywy jego postępowania są niejasne: czy chodzi mu o sprzedanie na targu jej rybiego ogona za dwa i pół funta, czy też urzeka go piękno jej ciała. Nie potrafiła go rozgryźć. Fakt, że tak szczerze mówił o seksie, miłości i o Myrtle Greensleeves, nie ułatwiał jej zadania. Nagle stwierdziła, że zaczyna się bać tego człowieka.

— Chyba w ogóle nie sprzedamy Keys Shipping — powiedziała wreszcie. — Edgar doradza sprzedaż, lecz ja nie jestem do tego całkowicie przekonana. Nie zamierzam też podejmować decyzji w pośpiechu. Wiem, że ojciec nie sprzedałby Keys Shipping. W każdym razie na pewno nie całej floty.

— Z przykrością muszę ci przypomnieć, że twojego ojca nie ma między nami. Ty zaś nie masz chyba wielkiego wyboru. Natomiast moja oferta jest najbardziej realistyczna...

— Po prostu uważam, że pośpiech jest niewskazany. Poza tym ojca jeszcze dobrze nie pochowano, a już wszystko to, czego dokonał, chcielibyście wystawić na aukcję.

— Niestety, w biznesie nie ma miejsca na sentymenty — stwierdził George. — I nie jest to świat dla kobiet. Byłem szczerze zdziwiony, kiedy się dowiedziałem, że Stanley Keys zostawił ci w kompanii tak wiele udziałów.

— Być może wiedział, że ich nie roztrwonię.

— Moja droga Catriono — powiedział George z uśmiechem; i nie musiał mówić nic więcej, aby wyrazić swoją pogardę dla pomysłu, że dwudziestojednoletnia panienska może być poważnym udziałowcem wielkiej kompanii żeglujowej.

— Nie musisz być taki nadęty, George. Ja, na przykład, o wiele lepiej od ciebie tańczę i wcale nie lekceważę cię z tego powodu.

— Och, nie wątpię.

— Co zrobisz, jeżeli się uprę i za nic w świecie nie zgodzę się sprzedać Keys Shipping? — zapytała Catriona. Uważnie obserwowała oczy George'a, te jednak ani drgnęły.

— Najprawdopodobniej zostaniesz przegłosowana przez współwłaścicieli kompanii. Wiem, że twoja matka bardzo pragnie ją sprzedać, by zapewnić sobie na starość bezpieczeństwo finansowe.

Odnoszę wrażenie, iż banki dostrzegają same korzyści z dostania się Keys Shipping pod opiekuńcze skrzydła International Mercantile Marine.

— A więc nikt nie musi się martwić tym, co ja myślę, prawda? Ty również.

— Preferuję jednomyślność — powiedział George. — Jednomyślność bowiem lepiej wygląda w oczach opinii publicznej. A Keys w aktualnej sytuacji potrzebuje jak najwięcej zaufania ze strony ludzi.

— No cóż — westchnęła Catriona. — Jeśli chodzi o mnie, na pewno zamierzam poczekać i zobaczyć, co się stanie, kiedy dopłyniemy do Nowego Jorku.

— Niewiele się wydarzy, moja droga, uwierz mi. Oprócz tego, że najprawdopodobniej nie będziesz miała pieniędzy na przeprowadzenie „Arcadii” z powrotem do Anglii. A jeśli nie spłacisz kilku najpoważniejszych rachunków, które Keys Shipping ma w Ameryce, może się okazać, że „Arcadia” zostanie aresztowana w porcie na tak długo, dopóki nie znajdziesz środków na ich uregulowanie. Co wtedy zrobisz? Czy będziesz tańczyła w Battery Park dla pieniędzy?

— Nie musisz mnie obrażać — warknęła Catriona.

— Prawda jest zawsze najbardziej bolesna, co? — George uśmiechnął się. — Przepraszam cię, moja droga, ale sama się o to prosiłaś.

— Nie dziwię się, że Myrtle Greensleeves nie odpisuje na twoje listy — powiedziała Catriona jadownicie.

George spojrział jej w oczy i patrzył w nie przez długą, bardzo długą chwilę. W tym momencie Catriona uświadomiła sobie, że zraniła go zbyt mocno.

— Co? — powiedział, a jego głos zabrzmiał niczym łoskot połówki cegły uderzającej o kamienny mur w pustej alei.

— Widzisz? Bardzo mi przykro, ale sam się o to prosiłeś. Nie powinieneś rozmawiać z kobietami tak, jak rozmawiasz z wszystkimi innymi swoimi partnerami w interesach. A gdy jesteś gościem na czyimś statku, nie powinieneś ujawniać swych fatalnych manier i zachowywać się, jakbyś sam był właścicielem statku. Być może uda ci się go kupić; na razie jednak jesteś tutaj tylko gościem i aż gościem.

— Czy chcesz, żebym cię zrujnował? — syknął George. — Uwierz mi, jestem w stanie to zrobić.

— Z przyjemnością będę obserwowała, jak podejmujesz nieudolne starania.

— Nie jesteś tego warta — powiedział George, który z trudem nad sobą panował.

— Tak uważasz? — krzyknęła Catriona. — Pięknie! Jestem jeszcze ciekawa, co tak naprawdę sądzisz o tej swojej pannie Greensleeves!

Poczuła się bardzo pewna siebie, stwierdziwszy, że trafiła w najbardziej czuły punkt George'a i potrafi go zdenerwować.

W towarzystwie ludzi starszych od siebie Catriona czuła się zwykle niemal jak gwiazda: była adorowana, rozpieszczana, rozbawiana. Czasami jednak odnosiła wrażenie, że starsi jej nie lubią.

Obawiała się, że George, Edgar i Mark Beeney za jej plecami wypowiadają na jej temat lekceważące uwagi. Owszem, byli dla niej mili, ale nie traktowali jej jak osoby dorosłej. Skoro jednak było się piękną dziewczyną, czy należało się spodziewać czegoś innego?

Catriona nie zdołała jeszcze odkryć cienkiej linii granicznej pomiędzy flirtowaniem a kuszeniem. Tak mało wiedziała o sobie, o uczuciach i namiętnościach, jakie wywołuje. Nie mógł

jej tego nauczyć Nigel, jej jedyny kochanek. Nie zrobił też tego ojciec, gdyż przeważnie na siebie tylko krzyczeli. Mimo to stopniowo dochodziła do przekonania, że Stanley Keys kochał ją prawdziwą, ojcowską miłością. Natomiast towarzystwo starego, zakłamanego satyra, George'a Weltermana, uświadomiło jej całe niebezpieczeństwo, jakie czai się w kontaktach z ludźmi jego pokroju.

— Nie znęcam się nad słabszymi — powiedział George.

— Nic mnie to nie obchodzi. Nie jestem dziewczyną, która pozwoliłaby, żeby ktoś się nad nią znęcał.

— Jesteś przebiegłą, zimną kobietą.

— Jestem niedoświadczoną dziewczyną, jeśli chcesz wiedzieć. Gdybym była przebiegłą, już dawno wiedziałabym, jak pozbyć się ciebie i całej tej twojej oferty. Rozumiesz?

George Welterman rzucił się na oparcie krzesła, skrzyżował nogi na kolanach i roześmiał się.

— Lubię cię — zawołał. — Naprawdę cię lubię. Jak tam drink? Wypiłaś go już? — Więcej nie będę piła, dziękuję ci.

— Och, daj spokój. To może wypij jeszcze połówkę tej porcji.

— Nie. Już i tak dzisiaj rano miałam zbyt dużego kaca. Poza tym, wkrótce zostanie podana kolacja.

— Musimy uczcić fakt zawiązania wspólnie spółki. Posłuchaj tylko, jak to będzie brzmiało: Welterman i Keys!

— Wiesz co? Lepiej zacznij pisać do Myrtle.

— Hmm — mruknął George. Na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. — Możesz zranić mnie raz, lecz nie możesz zranić mnie dwa razy w ten sam sposób. W swoim czasie zrozumiesz, dlaczego tak jest. A więc Myrtle może poczekać. Myrtle i tak nie odpowie na żaden mój list.

Podczas gdy ty...

Znów wstał. Rękę trzymał w kieszeniach i pochylił się nad Catrioną, mówiąc:

— Bardzo mija przypominasz, wiesz? Naprawdę, bardzo. Czasami z trudem nad sobą panuję, gdy patrzę na ciebie. Patrzę na ciebie, a widzę Myrtle. Ten sam profil. To samo prowokacyjne spojrzenie. Ta sama nieśmiałość, zmieszana z pewnością siebie... Wiesz, kogo mi jeszcze przypominasz? Tegoroczną miss Austin z Teksasu. Ten sam uśmiech, ta sama anielska figura!

Kiedy zobaczyłem fotografie, zaproponowałem jej telefonicznie spotkanie, odmówiła mi jednak.

— George, muszę już iść.

— Daj spokój, dopiero zaczęliśmy rozmawiać. Napijesz się jeszcze, zanim pójdziesz.

— Ja... Ja nie powinnam.

— Kto tak twierdzi? Właśnie, że powinnaś. Kolejny drink cię uspokoi. A dlaczego właściwie nie miałabyś wyjść ode mnie spokojna?

Catriona wypaliła papierosa i zdusiła w popielniczce.

— No i co, jeszcze jednego? — zapytał George.

Sposób, w jaki zaciskał ręce, sprawił, że postanowiła mu odmówić. Był jednocześnie ujmujący, przymilny i zarazem groteskowy. Catriona wstała z kanapy.

— Nie — oznajmiła. — Muszę przygotować się na kolację. W każdym razie dziękuję ci, mimo wszystko. Jeżeli „dziękuję” jest tutaj odpowiednim słowem.

Postąpiwszy jeden długi krok do przodu, George niespodziewanie zacisnął dłoń na ramieniu Catriony. Catrioną jednak zdołała się wyrwać i przez moment oboje stali w bezruchu, mierząc się spojrzeniami, oboje bardzo zdziwieni: George swoim własnym zachowaniem, a Catrioną swą błyskawiczną reakcją. Była szybka, jakby ruch ten ćwiczyła przez wiele lat dla tego jednego, jedyne momentu w życiu.

— W Stanach mamy specjalne słowo, którego używamy wobec dziewczyn takich jak ty — powiedział wreszcie George.

— Na facetów takich jak ty jest również specjalne określenie, i to znane na całym świecie.

— Catriono, denerwujesz mnie.

— Przestań, George. To ty mnie denerwujesz. Wydaje mi się, że zupełnie nie rozumiesz dzisiejszych dziewcząt. Być może jesteśmy swobodniejsze niż twoje dawne znajome, ale nie pozwalamy się dotykać pierwszemu lepszemu staremu satyrowi. Boże, jaki ty jesteś obrzydliwy.

— Ty suko — jęknął George.

— Wychodzi z ciebie prawdziwy mężczyzna. Niestety, mój drogi George, jestem suką nie dla ciebie. Jesteś ostatnim samcem, któremu pozwoliłabym się dotknąć.

— Cholera. — George ciężko oddychał. — Jesteś wstrętną dziwką, wiesz?

— Może i masz rację — odparła Catriona. — Może jestem dziwką. Ale taką, o jakiej facet taki jak ty może sobie tylko pomarzyć.

George przez chwilę chodził po pokoju, najwyraźniej starając się zapanować nad sobą.

Wreszcie zatrzymał się i popatrzył na Catrionę. Wyraz jego twarzy sugerował, że w tej chwili podjął jakąś ważną decyzję.

— Coś ci pokażę — oznajmił.

— Nie jestem niczym zainteresowana — powiedziała Catriona. — Wychodzę stąd.

— Poczekaj! — krzyknął George. Dwoma szybkimi ruchami ściągnął krawat i rozdarł koszulę na swoim torsie.

Catriona, która właśnie ruszyła w kierunku drzwi, zatrzymała się zaszokowana. George Welterman

był dobrze i zbudowany, jak na swój wiek, może miał niewielką nadwagę, jednak nie budowa jego ciała zatrzymała Catrionę w miejscu. Powodem jej zaskoczenia była purpurowa blizna na klatce piersiowej George'a. Blizna, wręcz straszliwa rana, którą był wycięty na ciele wyraz: MYRTLE.

George nie poprzestał na tym, po chwili zrzucił z siebie obuwie i zaczął rozpinąć pasek u spodni.

— Myślisz, że masz prawo tak spokojnie stąd odejść? — zapytał. — Myślisz, że ujdzie ci to na sucho? Uważasz, że po tym, jak mnie obraziłaś, wypuszczę cię stąd, jak gdyby nic się nie stało? Uważasz tę pływającą łajbę za swój statek? Oczekujesz szacunku, poważania? Na swoim statku? Powiem ci, kto jest właścicielem tego statku, kochanie. Właścicielem jest pan O'Hara i National Marine Bank i jeszcze setka innych wierzycieli. Moja kompania, IMM, jest jednym z nich. Kiedy więc mówisz o szacunku, zapamiętaj, że jest to nasz wspólny statek, najdroższa, i możesz z mojej strony spodziewać się jedynie takiego samego szacunku, jaki mi okazujesz. Ty suko...

Catriona poczuła, że z coraz większym trudem oddycha. W tym strasznym momencie George skoczył w jej kierunku, chwycił jej rękę i tak silnie wykręcił, że krzyknęła z bólu. Wolną ręką zaczął szybkimi ruchami zdzierać z niej suknię. Po chwili w świetle dziennym zajaśniała jej pierś, różowy sutek, biały brzuch... Tym razem Catriona nie zdołała się uwolnić, George gwałtownie popchnął ją na kanapę.

Zerwał z niej suknię, po czym padł na nią, przyciskając ją całym ciężarem swego ciała.

— Duszę się... — usiłowała krzyczeć, lecz George natychmiast położył dłoń na jej ustach.

Spróbowała gryźć jego palce, ale uniknął tego i jego ucisk stał się jeszcze silniejszy. Catriona przerażona myślała w kółko: On mnie zabije! On mnie zabije! On mnie zabije!

Niespodziewanie cofnął dłoń z jej ust, by skierować ją ku jej majtkom. Poczuela, jak rozerwał je jednym, gwałtownym ruchem. Uczyniwszy to, przykrył jej usta pluszową poduszką.

— Boże! — usiłowała krzyczeć. — Boże, złaż ze mnie! Natychmiast ze mnie zejź!

Jego penis był tak twardy, jakby był kawałkiem kości. George wepchnął go w Catrionę i natychmiast zaczął poruszać nim szybkimi, gwałtownymi ruchami. Był wielkim, silnym i zdecydowanym na wszystko mężczyzną. Catriona znów krzyknęła, lecz George ponownie położył dłoń na jej ustach. Zdołała go ugryźć, poczuła na języku smak jego krwi, niczego to jednak nie zmieniło. George Welterman wchodził w nią gwałtownymi, silnymi, nieregularnymi pchnięciami.

— Ty suko — mruczał. — Ty suko. Ty wstrętna, niemoralna suko.

Prawie go nie słyszała. Szumiało jej w uszach, z trudem łapała powietrze. Jego wielki, sztywny penis sprawiał jej ból. On mnie zabije, myślała. Zaraz umrę.

George krzyknął coś i nagle wszystko się skończyło. Puścił ją i stoczył się z sofy na podłogę.

Usiadł, ciężko oddychając, czerwony penis powoli miękł mu pomiędzy nogami.

— Mój Boże — jęknął. — Myrtle, Myrtle, mój Boże.

Catriona łkała, mimo że bardzo pragnęła teraz nie płakać, nie okazywać George'owi, jak bardzo ją poniżył i jak wielki zadał jej ból. Powoli wstała z kanapy. Drżała. Naciągnęła na siebie podartą suknię i przycisnęła palce do ust, chcąc sprawdzić, jak bardzo George pogryzł jej wargi.

Nie mogła wydobyć słowa. Czuła dziwny ucisk w gardle, odnosiła wrażenie, że już nigdy nie będzie w stanie mówić.

George tymczasem ubrał się. Następnie podszedł do stolika, wziął szklanę ze swoim drinkiem i wypił alkohol dwoma szybkimi łykami.

— Chcesz jednego? — zapytał. Po czym zaraz odpowiedział sam sobie: — Nie, prawdopodobnie nie chcesz.

— Idę stąd — wykrztusiła wreszcie Catriona. Głos, który usłyszała, należał jakby do kogoś zupełnie innego, nie do niej. Zmierzając w kierunku drzwi, boleśnie zderzyła się z krzesłem.

George zagroził jej drogę.

— Rozumiem, że spodziewasz się przeprosin — powiedział. Jego oczy były rozbiegane; z trudem skupił spojrzenie na Catrionie.

— Po prostu chcę stąd wyjść. — A potem?

— A potem opowiem o wszystkim kapitanowi statku : i zażądam, aby cię aresztował.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli to zrobisz, zrujnuję cię.

— Mówisz, jakbyś miał w tym wprawę.

— Catriono — powiedział cicho, położywszy dłoń na klamce. — Uważam, że zanim stąd wyjdiesz, powinnaś spokojnie przemyśleć, co zamierzasz zrobić. Catriona wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Zgwałciłeś mnie, ty świnió! — krzyknęła. — A teraz jeszcze śmiesz udzielać mi rad?

Wypuść mnie stąd, natychmiast!

— Nie mogę, Catriono. Nie wypuszczę cię, dopóki nie obiecasz mi, że to, co się tutaj wydarzyło, na zawsze pozostanie naszą tajemnicą. Rozumiesz? Naszą wspólną, osobistą tajemnicą, twoją i moją. Małym, romantycznym epizodem, o którym nikt nigdy, oprócz nas, się nie dowie.

— Romantycznym epizodem! Ty chyba postradałeś zmysły! Jesteś chory psychicznie! A teraz natychmiast mnie stąd wypuść! — Catriona na poły szeptała, na poły krzyczała, zupełnie nie panując nad swoim głosem. Pragnęła tylko jednego: aby ten wstrętny mężczyzna natychmiast zniknął sprzed jej oczu. Mężczyzna ów zranił ją tak, że już mocniej chyba nie można, można ją jeszcze tylko zabić.

— Muszę stąd wyjść — powiedziała. A potem znów rozplakała się: — Chcę stąd wyjść!

— Nie wypuszczę cię, Catriono. Nie wypuszczę, dopóki nie złożysz mi obietnicy.

Catriona poczuła mdłości. Pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

— Nie mogę cię wypuścić — powtórzył George.

W tym momencie, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki, otworzyły się drzwi. Ktoś, kto przechodził korytarzem, pchnął je pod wpływem nagłego impulsu, nie zwracając sobie głowy pukaniem. Niewiarygodne, ale w progu stanął Mark. Po chwili wszedł do środka i z niedowierzaniem przenosił spojrzenie z George'a na Catrionę i znowu na George'a.

— Catriono — odezwał się. — Co się tutaj dzieje?

Drzwi za jego plecami jednostajnie kołysały się w zawiasach.

— Och, Mark — jęknęła Catriona. — Och, mój Boże.

Zemdlała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Śniło się jej, że żegluje przez dziwne szklane morze w łodzi, wydrążonej z pnia drzewa, a wiatr wieje jej w twarz. Słyszała czyjś odległy śpiew i dźwięk grającego fletu. Odwróciła głowę i obok niej stał Mark Beeney. Jego twarz była opuchnięta, jakby się utopił i przez długi czas przebywał w wodzie.

— „Orange” — ktoś wyszeptał.

— Co? — zapytała opuchniętymi ustami, wiedziała jednak, że jest sama.

„Orange”. Tym razem szept był niemal bezgłośny. Niespodziewanie ogarnął ją strach i przeczucie, że morską wodą za chwilę wedrze się do niej przez iluminatory, i porażające przekonanie, że świat zapada się pod jej stopami.

Słyszała, że ktoś się kłóci. Słyszała głos swojego ojca, bez przerwy powtarzający:

— Nie, nie, człowieku, na pewno nie.

Oboje jednak, i ona, i ojciec, wiedzieli, że ta kłótnia nie ma sensu, że „Orange” i tak zatonie, i na nic się zdadzą, żadne protesty. A może ojciec tak naprawdę nie protestował? Może tylko udawał? Ponieważ kiedy spozjrzała ku nie — I mu przez cały pokój, uśmiechnął się do niej z satysfakcją ‘wymalowaną na twarzy i popatrzył w jej oczy z takim napięciem, jakby chciał ją zahipnotyzować.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Edgar odwiedził ją po kolacji. Doktor Fields zaaplikował jej środki uspokajające, a potem kazał resztę wieczoru spędzić w łóżku. Catriona nie powiedziała mu, co się naprawdę wydarzyło, a jedynie, że zasłała po wypiciu dużej porcji i dzinu. Nie potrafiła stwierdzić, czy doktor Fields uwierzył jej, czy też nie. Siedział przy niej na łóżku, nie mówiąc ani słowa, niemal przez minutę.

Odchodząc, rzekł:

— Jeżeli będzie pani potrzebowała jeszcze czegoś albo będzie pani chciała mi coś powiedzieć, proszę mnie bez lania wołać. Zresztą i tak zajrzę tu jeszcze raz przed nocą, żeby sprawdzić, jak się pani czuje. Na blisko godzinę zapadła w urywany, nerwowy sen. W tym czasie Edgar przychodził do kajuty dwukrotnie i stał obok Alice u stóp łóżka z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

Był na serio zaniepokojony. Ten cholerny George Welterman tym razem posunął się za daleko. Zachowywał się, jakby cały świat istniał tylko po to, aby on, Welterman, mógł się dobrze bawić. Jedynie Myrtle Greenslives usidliła go, a to i tak tylko ze względu na swą dystrofię mięśniową; George nie mógł jej tego wybaczyć, lecz zarazem nie potrafił jej zapomnieć i wyrzucić ze swego życia. Zabrał jednak za daleko, znieważając Catrionę Keys; konsekwencje tego nieodpowiedzialnego wyczynu mogły okazać się dla Keys Shipping i dla Edgara katastrofalne.

Poza tym, chociaż przed nikim by się do tego nie przyznał, Edgar czuł ogromny ból, spowodowany tym, że George Welterman zgwałcił jedyną kobietę, która w nim, Edgarze, wzbudzała podniecenie.

Obserwował Catrionę od jej najmłodszych dni, kiedy była małym dzieckiem, dorastała, a potem przemieniała się w piękną kobietę. Zawsze uważał, że odgrywa ona w jego życiu specjalną rolę — nie dlatego, by miał nadzieję, iż kiedyś będzie należała do niego, nie łudził się co do tego, ale dlatego, że zawsze widział ją młodą, pełną życia, nowoczesną i była bez wątpienia najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką spotkał w życiu. Edgar chyba słusznie zakładał, że mężczyzna, który poświęcił się całkowicie pracy, który całe życie przepracował dla linii żeglugowej i znajduje się nieustannie pod władzą dyktatora, jakim jest ręczny zegarek w bocznej kieszonce kamizelki, może mieć swoje sekretne marzenie, nawet jeśli jest nim dwudziestojednoletnia córka szefa. Bo po cóż w końcu Bóg dał człowiekowi dar wyobraźni?

Wiedział doskonale, że George Welterman stanowi dla Catriony zagrożenie. Nie przypuszczał

jednak, że George ośmieli się ją zgwałcić. Od tej chwili gra, skomplikowana gra, którą Edgar rozgrywał na pokładzie „Arcadii”, stawała się o wiele trudniejsza. A jeśli on, Edgar, poniesie w niej klęskę, Keys Shipping zbankrutuje i wybuchnie skandal, który dla niego skończy się więzieniem.

Uniósłszy dłoń Catriony, odezwał się cicho:

— Tak mi przykro.

Dziewczyna popatrzyła na niego poprzez opuszczone rzęsy.

— Przykro? Z jakiego powodu?

— Z powodu tego, co się wydarzyło. Z powodu ciebie. Z powodu George’a. Lekko uśmiechnęła się.

— Chyba już za późno na żal, prawda?

— Tak — przyznał. Rzucił okiem na Alice, która tkwiła przy łóżku zaledwie kilka stóp od niego. — Tak. Za późno.

— Proszę jej już nie męczyć, dobrze, panie Deacon? — odezwała się Alice. — Doktor Fields powiedział, że potrzebny jest jej spokój.

Edgar posłał Alice grymas, który przypuszczalnie miał być uśmiechem zrozumienia.

— Nie osądzaj George'a zbyt surowo — powiedział do Ca — triony. Zdziwił się, że te słowa zdołały mu jednak przejść przez gardło. — Miał ciężkie życie, nie wychodziło mu z kobietami.

To wszystko, co w sobie tłumił, musiało kiedyś eksplodować.

— Biedny George — odezwała się Catriona drżącym głosem.

— Hmm, nie taki znowu biedny — poprawił ją Edgar, odrobinę zbyt pośpiesznie. — Może George zbłądził? A może po prostu jest głupi?

Edgar przez chwilę przypatrywał się Catrionie, po czym uniósł głowę i ciężko westchnął.

— Spodziewam się, że zamierza pan coś z tym zrobić — powiedziała Catriona. — On na mnie napadł. Przez kilka chwil myślałam nawet, że mnie zamorduje.

— Nie zrobiłby tego. George... cóż, czasami traci panowanie nad sobą, bywa arogancki. Ale przecież nie jest zabójcą. Nie zraniłby cię nawet. Przenigdy.

Catriona popatrzyła na Edgara z niedowierzaniem.

— Jak pan może mówić tak o nim? — zdziwiła się. — Przecież mnie zgwałcił, niemal udusił

na śmierć. A pan traktuje go, jakby ten łotr co najwyżej powiedział do mnie kilka obraźliwych słów. Panie Deacon, on mnie zgwałcił!

Usiadła na łóżku. Na jej twarzy malowała się krańcowa i wściekłość. Zmieszany Edgar wbił spojrzenie w podłogę. Jak do tej pory, traktował ją z odrobiną wyższości, pilnując jedynie, aby zachowywała się odpowiednio i by we właściwych chwilach znajdowała się tam, gdzie powinna.

Tymczasem Catriona przez cały ten czas miała nadzieję, że on zawsze wkroczy, kiedy będzie jej coś zagrażało, że będzie jej bronił i chronił ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami, które mogą czyhać na Królową Atlantyku.

Natomiast Edgar wepchnął ją niemal w łapy George'a Weltermana, niczego nie podejrzewającą, bezbronną. I teraz, gdy tak boleśnie odczuła jego poglądy na miłość i namiętność, Edgar niewiele się

przejmował bólem, który został jej zadany. Zaczęła płakać; po jej policzkach potoczyły się duże, ciężkie łzy, wcale nie spowodowane tym, co uczynił jej George Welterman, ale tym, iż nagle poczuła się opuszczona przez kogoś, kogo uważała za swego wielkiego stronnika.

Do tej pory Edgar kojarzył się jej z przedłużeniem męskiej opieki Stanleya Keysa. To ojciec zlecił mu czuwanie nad nią. A tenże Edgar najwyraźniej nie ma zamiaru wywiązywać się z owego zadania; świadomość, że wola ojca została zlekceważona, zabolęła Catrionę bardziej niż jakiekolwiek inne rozczarowanie spośród wielu, których doznała od dnia jego śmierci.

— Sir Peregrine mnie zrozumie — powiedziała. — Sir Peregrine każe go zamknąć.

Edgar potrząsnął przecząco głową.

— Sir Peregrine jest naszym pracownikiem, Catriono. Może robić tylko to, na co otrzyma pozwolenie.

— Jestem dla ciebie panną Keys — syknęła Catriona. — Życzę sobie, abyś od tej chwili o tym pamiętał.

Edgar przysunął sobie krzesło i usiadł obok jej łóżka.

— Proszę więc mnie posłuchać, panno Keys — powiedział cicho. — Odczuwam wobec George'a taką samą złość, jak i pani. Czuję się też współodpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

Nie powinienem był pozwolić, aby znalazła się pani w jego kajucie bez przyzwoitki. Ale... ale, cóż, stało się inaczej i w rezultacie George zachował się jak dzikie zwierzę. Niestety, padła pani ofiarą jego przekonania, że wszystko i wszystkich na tym świecie może sobie kupić, a jeśli nie kupić, to wziąć siłą.

— Ale przecież tego tak nie można zostawić! — zawołała Catriona. — Czyżby miał pan zamiar pozwolić, by uszło mu to bezkarnie? Czyżby nie miał ponieść konsekwencji gwałtu na pańskiej wymarzonej Królowej Atlantyku? I w końcu, czy moje uczucia się nie liczą? Miałabym nie zareagować, gdy ta bestia zrobiła mi najgorszą rzecz, jaką mężczyzna może uczynić kobiecie? Czyżby to się też nie liczyło?

Edgar niepewnie otarł usta wierzchem dłoni.

— Każda sprawa ma dwie strony, panno Keys — powiedział. — Jednak, jeśli po przemyśleniu wszystkich argumentów, wciąż będzie pani chciała, aby George'a aresztowano, spowoduję, aby tak się stało. W porcie w Nowym Jorku będzie na niego czekała policja i zostanie formalnie oskarżony o czynną napaść i gwałt na pani.

Catriona zdziwiła się.

— Jakie dwie strony? — zawołała. — Co może być ważniejsze od bólu zadanego mi przez George'a Weltermana i kary, na którą zasłużył?

— A jednak musisz wziąć pod uwagę dobro Keys Shipping — zauważył Edgar. —

Powodzenie w naszych pertraktacjach z IMM w bardzo dużym stopniu zależy od George'a osobiście. Tylko niewielu wpływowych dyrektorów z White Star jest równie mocno zainteresowanych nabyciem floty Keysów jak Welterman. Oczywiście, jeśli oskarżymy go o gwałt i spowodujemy jego aresztowanie... Nie przeczę, bardzo mnie martwi to, co zrobił.

Głęboko martwi i boli. Niestety, niezależnie od naszych emocji, musimy przede wszystkim pamiętać o tych biednych ludziach, którzy pozostali w Anglii i których życie tak bardzo zależy od losu Keys Shipping.

— Nie wierzę...

— Proszę też pomyśleć o sobie. O własnej reputacji, o reputacji rodziny i reputacji kompanii.

Nie ma żadnych wątpliwości, że zjawiła się pani w kajucie George'a Weltermana bez towarzystwa; dla wielu sędziów będzie to wystarczającym dowodem, że w ten sposób zachęciła pani George'a do tego, co zrobił.

— Chyba nie mówi pan poważnie.

— Mówię bardzo poważnie. Tak właśnie pomyślą sędziowie, jeszcze zanim prawnicy George'a zaczną udowadniać, że go pani sprowokowała. George zadba, aby proces miał

odpowiedni rozgłos. Już widzę wielkie tytuły w gazetach. Nie będzie już pani Królową Atlantyku, ale Kusicielką z Atlantyku. Pojawią się artykuły o tym, jak to żyła pani w grzesznym związku z jakimś młodym aktorem. Pojawią się pani fotografie w skąpych sukienkach oraz świadkowie, którzy stwierdzą, że flirtowała pani z każdym mężczyzną, jaki się nawinął na pokładzie „Arcadii”. Czy Mark Beeney nie ofiarował pani naszyjnika? A dlaczego? — zaczną się pytania. Czy za nic? A może ma pani po prostu zwyczaj, że oddaje pani swe ciało bogatym mężczyznom w zamian za biżuterię, futra i butelki szampana? Z ofiary stanie się pani obiektem niewybrednych ataków.

Catriona opadła z powrotem na poduszki. Popatrzyła na Alice, lecz ta wpatrywała się w ścianę tępy, niewidzącym spojrzeniem.

— Pan to wszystko dobrze przemyślał, prawda? — Powiedziałem po prostu, czego powinna się pani spodziewać, jeżeli wniesie pani oskarżenie.

— Cóż...

— Proszę mi wierzyć, że gdybym chociaż przez chwilę przypuszczał, że wydarzy się coś takiego...

Catriona odwróciła głowę, aby na niego nie patrzeć.

— Za późno na podobne słowa. Nawet nie mam szansy, żeby się zemścić, skoro nie wygram sprawy przed sądem. George zgwałcił mnie i ujdzie mu to bezkarnie. Niech pan już stąd idzie.

— Panno Keys, proszę mi wierzyć...

— Wierzę panu — powiedziała. I, co najgorsze, naprawdę mu wierzyła. — Ale niech mnie pan wreszcie zostawi samą.

Edgar wstał.

— To w tej chwili najlepsze, co może pan zrobić — powiedziała Alice. — Ona teraz nie jest sobą.

Edgar niezgrabnie odstawił krzesło i wyszedł z kajuty. Na korytarzu minął się z Trimmerem, który przeszedł obok niego z kamienną twarzą, nie zareagowawszy nawet na słaby uśmiech, którym, nie wiedzieć dlaczego, Edgar spróbował pozdrowić służącego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

George Welterman siedział w wannie z mokrym flanelowym ręcznikiem na twarzy i wyglądał jak zapomniana mumia egipska albo ktoś, kto każe sobie wykonać gipsowy odlew twarzy. W

garderobie służący przygotowywał dla niego wieczorowy strój na kolację. Nie zadał żadnego pytania, kiedy George nakazał mu przygotować kąpiel po raz drugi tego wieczoru, niecałe dwie godziny po pierwszej. Wystarczył mu zapach perfum w salonie i porzrzucone poduszki na sofie, aby się zorientować, co przydarzyło się George'owi, tej świni na dwóch nogach. Służący bardzo nie lubił swego chlebodawcy.

George nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Był jedynie trochę zmęczony. Bez wątpienia miał prawo korzystać z każdej przyjemności, na jaką miał ochotę. A ta Catriona po prostu sama wpadła mu w ręce; trudno było się jej oprzeć. Był zły, że musiał brać ją siłą. Nie przywykł, aby dziewczyny mu się sprzeciwiały. Zresztą takie, które się opierały, zdaniem George'a, stanowiły rzadkość.

Wciąż przeżywał w myślach swój wyczyn, kiedy usłyszał, że zamykają się drzwi łazienki.

— Duncan? — powiedział, nie zdejmując ręcznika z twarzy.

Nikt mu nie odpowiedział. Ściągnął ręcznik i powtórzył:

— Duncan?

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że obok niego ktoś stoi. Był to Mark Beeney, w białej koszuli i nienagannie skrojonym smokingu. Jego opalona twarz była poważna i skupiona.

— Kąpię się — powiedział George. Nagle zawstydził się i nakrył dłonią swe zaczerwienione genitalia, leżące na powierzchni wody.

— Nie ma to dla mnie znaczenia — powiedział Mark.

— Duncan! — zawołał George. — Duncan, gdzie jesteś, do cholery?!

— Chwilowo Duncan jest głuchy.

— O czym ty, do diabła mówisz? Duncan! Duncan! Masz tu natychmiast przyjść, słyszysz?

Nikt mu nie odpowiedział. Zrozumiawszy, że nie ma co liczyć na służącego, George zapytał

Marka:

— Czego chcesz? — A jak myślisz?

— Na miłość boską! Skąd mogę wiedzieć?

Mark ściągnął smoking i powiesił na drzwiach. Następnie przyglądał dłońią włosy na głowie i powiedział:

— Skoro tego nie wiesz, George, nie ma już dla ciebie faadziei, ani na tym, ani na tamtym świecie.

— Tylko spróbujesz mnie dotknąć — warknął George — i zniszczę cię.

— Tak bardzo się tobą brzydzę, że za nic w świecie nie chciałbym cię dotknąć. Niestety, muszę.

— Ostrzegam cię...

Nie zdołał dokończyć, gdyż Mark błyskawicznym ruchem złapał jego głowę i wepchnął pod wodę. George natychmiast szeroko otworzył oczy i usta, bezskutecznie usiłując złapać powietrze.

Jednocześnie rozpoczął rozpaczliwą walkę o życie. Mark był jednak zbyt silny i zbyt zdeterminowany, aby go puścić. Nie zrobił tego nawet wtedy, gdy George, wysunąwszy dłoń na powierzchnię, ostrymi paznokciami podrapał jego ramię do krwi.

Trwało to dobrą minutę. Wreszcie Mark uznał, że wystarczy, i głowa George'a wystrzeliła ponad powierzchnię wody. Głośno oddychał, łapczywie wciągając i wypuszczając powietrze, sapał, charczał i jęczał, próbując się uspokoić. Mark tymczasem stał obok i przyglądał mu się z niesmakiem na twarzy.

W końcu, wciąż pokaszłując, George uniósł się i znalazłszy ręcznik, owinał się nim. Z jego ust wciąż płynęła woda, zmieszana z flegmą.

— Ty skurwysynu — zdołał wreszcie wystękać. — Zapłacisz mi za to, nie daruję ci.

— Zwierzę — warknął Mark.

George sięgnął dłońią do klamki, ale w tym samym momencie Mark stracił panowanie nad sobą i uderzył go. Najpierw wyprowadził cios pięścią w żołądek, a potem poprawił potężnym uderzeniem w ciemę. George zachwiał się, a potem poślizgnął się na mokrej posadzce i upadł, przy okazji boleśnie uderzając się w plecy. Upadłszy, nie poruszył się, a jednak zakrył twarz dłońmi, spodziewając się dalszych ciosów.

— Coś ci powiem — odezwał się Mark. — Powiem ci to raz i tylko jeden raz. Od tej chwili, jeżeli znajdziesz się w odległości mniejszej niż dwadzieścia stóp od Catriony, jeżeli podniesiesz słuchawkę telefonu i spróbujesz z nią porozmawiać, skręcę ci kark. Ja nie żartuję, George. Zabiję cię.

— Urodziłeś się trochę za późno — wycharczał George. — Powinieneś być jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu. Biegałbyś po kraju i dokonywał bohaterских wyczynów dla dam i damulek. Ty przeklęty idioto.

Mark poprawił koszulę, po czym ściągnął smoking z wieszaka i włożył go.

— Ja nie żartuję, George — powtórzył.

— W porządku — odparł Welterman. — Wierzę ci. A teraz, do cholery, pomóż mi wstać.

Mam nadzieję, że nie złamałeś mi zębra.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Jeszcze przed kolacją ogłoszono smutną wiadomość, że tego wieczoru Catriona jest

„niedysponowana z powodu choroby morskiej”. Nie było powodu, aby którykolwiek z pasażerów pierwszej klasy nie uwierzył w to wyjaśnienie; w końcu i tak mniej niż dwie trzecie spośród nich miało w tym momencie żołądki na tyle zdrowe, by wyłonić się z kajut i wziąć udział w czymś, co pokładowa gazeta określiła jako „gastronomiczną ucztę we francuskim stylu”. Nawet dla tych, którzy znaleźli w sobie dość siły, by włożyć wieczorowe suknie i smokingi, perspektywa obfitego posiłku składającego się z *la feuillete de queues d’ecrevisses*, *le suoffle de truite au homard* i *côte de boeuf St Christophe au fleurie a la moelle* nie była tego wieczoru zbyt zachęcająca. Tym bardziej że „Arcadia” wciąż wyraźnie kołysała się, chociaż teraz już nie tak intensywnie, jak podczas sztormu.

Mark Beeney pojawił się na kolacji w towarzystwie Mar — cii Conroy. George Welterman przyszedł dopiero, gdy podawano *le rissole de foie gras Perigourdine* i był zadziwiająco małomówny. Nie miało to jednak znaczenia: wszystkich zabawiał Douglas Fairbanks, opowiadając wesoło, jakim to on jest frajerem, że tak głupio skręcił sobie kostkę. Nie obawiał

się, że współpasażerowie poznają prawdę. Istotne dla niego było jedynie to, by prasa napisała, że jego kontuzja jest rezultatem „heroicznej próby uratowania życia małej dziewczynki uwięzionej na pokładzie statku podczas sztormu”.

Maurice Peace siedział przy stoliku razem z Rudyardem Philipsem i pochłaniał danie za daniem, jakby od kilku dni głodował. Baronówna Zawisza odbyła, już po sztormie, hałaśliwą kłótnię z Sabranem i teraz jadła w ciszy i samotności, pozostawiając prawie nie ruszone langusty i gęsią wątróbkę, w nadziei, że Sabran zauważy, jak bardzo cierpi z jego powodu. Zarazem jednak rzucała powłóczyście spojrzenia w kierunku siedzącego naprzeciwko niej Claude’a Grahama-White’a. Nie miała pojęcia, że Claude przez cały czas powtarza sobie w pamięci *The English Flag* Kiplinga, aby zapanować nad podnieceniem, o który go przyprawiała.

Lady Diana FitzPerry siedziała przy stoliku Dicka Charlesa i ani na moment nie spuszczała z niego oczu, nawet wtedy, gdy popijała *crème de tortue blonde d'Alexandre Dumas*. Jej wzrok jednak działał na Dicka jedynie kojąco, dzięki czemu kilkakrotnie zdołał wtrącić do dyskusji kilka sylab, i tak dla nikogo niezrozumiałych.

Głównym tematem wieczoru był nieustający pojedynek pomiędzy Joe Kretchmerem i Duncanem Wilkesem. Jak do tej pory żaden nie zamierzał się poddać. Obaj (ku nieskrywanemu zadowoleniu Maurice'a Peace'a) pocili się jak wieprze i mieli purpurowe twarze, a ponadto Duncan Wilkes jakby miał trudności z pakowaniem jedzenia do ust; co rusz nie potrafił ucelować w nie widelcem. Każdy kęs dokładnie przeżuwał, co jakiś czas zasłaniając usta dłonią, gdy czekał.

Pił niezliczone ilości wody mineralnej, wspomagającej trawienie. Maurice, który zebrał już prawie cztery tysiące funtów od pasażerów, którzy obstawili to jednego, to drugiego pojedynekowicza, cieszył się, że oprócz zarobku ma z tego zakładu również dobrą zabawę.

Sir Peregrine spożywał kolację razem z Clarą Butt i był w doskonałej formie. Ożywiony, uprzejmy i energiczny, opowiadał skandalizujące anegdoty o bardziej i mniej sławnych ludziach podróżujących statkami, którymi on dowodził. Twierdził, że któregoś poranka nakrył lorda Curzona próbującego jeździć na rowerze o jednym kole na pokładzie spacerowym pierwszej klasy. Twierdził też, iż pewien bardzo szacowny mąż stanu (nie chciał zdradzić jego nazwiska) pomylił drogę do swojej kabiny po suto zakrapianej kolacji i całkowicie przez pomyłkę znalazł

się w łóżku słoniowatej żony niemieckiego ambasadora z Nowego Jorku. Nad ranem, gdy odkrył swój błąd, zaczął ambasadorową grzecznie przepraszać, okazało się jednak, że była ona nawet zadowolona z jego pomyłki. „Zwiąłem stamtąd tak szybko, jak było to możliwe bez narażenia honoru na szwank”, opowiadał później mąż stanu kapitanowi. „Od tego czasu jednak aż za dobrze wiem, co oznacza słowo *Achtung!*”

Harry Pakenow, w smokingu tylko o jeden numer za dużym dla niego, siedział obok Monty'ego Willowby'ego, dzięki czemu płatnik przez cały czas mógł się nim opiekować. Z

każdą minutą zaczynało mu się coraz bardziej podobać w pierwszej klasie — mimo jego rewolucyjnych przekonań. Otrzymał kabinę, co prawda niewielką, ale za to miał w niej własną łazienkę i szerokie łóżko zamiast koi. Gdy się w niej znalazł, początkowo przekonany był, że zdradził proletariát, korzystając z gościnności bogatych, zaraz potem jednak nawiedziła go kolejna myśl: przecież wkrótce tych wszystkich bogaczy utopi, dlaczego więc nie miałby najpierw pobawić się trochę na ich koszt?

Poza tym byli dla niego bardzo uprzejmi i mili. Mężczyźni podchodzili do niego, gratulowali mu i potrzęsali jego dłonią, a co młodsze kobiety trzepotały zalotnie rzęsami i poprawiały włosy, patrząc w jego kierunku. Chichotały przy tym tak zaczepnie, że Harry aż się czerwienił.

Spodziewał się, że wszyscy będą go tutaj traktowali z góry, a wcale tak nie było. Rozmawiano z nim swobodnie, normalnie, tak jakby był tu jednym z nich. Cóż, Harry nie miał pojęcia, że wszyscy pasażerowie przyzwyczajeni są do uprzejmości wobec swoich służących (szczególnie w tych

ciężkich czasach, kiedy dobry kucharz kosztował nawet i dwieście czterdzieści funtów rocznie), i że w gruncie rzeczy traktowany jest jak szofer, który wyratował dziecko jakiejś zamożnej rodziny z płonącego samochodu.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Monty'ego w kolacji brał udział również pan Fribourg.

Siedział przy jego stoliku i po pierwszym daniu mruknął mu do ucha:

— Jak tam posuwają się nasze sprawy z siedzeniami? Monty rozejrzał się dookoła niepewnym wzrokiem.

— Mam pięć — powiedział, unosząc szybko rozczapierzoną dłoń.

— Pięć? Potrzebuję co najmniej piętnastu.

— To nie takie proste — zaprotestował Monty. — Dzisiaj rano próbowałem zdemontować sedes Alana Cobhama, ale okupował go przez cały czas.

— Muszę mieć piętnaście. Za piętnaście sedesów sławnych ludzi dostanę fortunę!

— Na miłość boską, Fribourg, to wszystko nie ma sensu! Dlaczego nie kupi pan po prostu piętnastu sedesów i nie wmówi swoim klientom, że właśnie na nich siadywali sławni ludzie?

Fribourg zamilkł i przez długi czas wpatrywał się w Monty'ego, jakby ten podsunął mu właśnie wspaniały pomysł, na który wcześniej nie wpadł. Wreszcie jednak potrząsnął krótko głową i powiedział:

— Nie. Uważasz pan, że chcę odpowiadać za oszustwo? Jestem uczciwym człowiekiem.

W tym momencie zaczęła grać orkiestra.

W drugiej klasie została podana zupa szparagowa i beef Wellingtona, a akcentem muzycznym był występ sopranistki, której starania szósty oficer, cyniczny młody człowiek o nazwisku Spratt, określił jako „powolne i nieudolne zarzyniecie starej gęsi”.

W klasie trzeciej pasażerowie otrzymali zupę pomidorową, smażoną wątróbkę i pieczony drób. Niemal wszyscy rozmawiali o Harrym Pakenowie, którego wyczyn podczas sztormu pozwolił mu na przeniesienie się z klasy trzeciej od razu do pierwszej. Philly tęskniła za Harrym, ale najwyżej przez godzinę albo dwie. Wkrótce zainteresowała się młodym nauczycielem fizyki z Bangs w stanie Teksas, noszącym brązowo — żółty trzyczęściowy garnitur i pochłaniającym każde danie, jakie pojawiło się na jego stole. Kiedy Philly odzywała się do niego, ze względu na pełne usta był w stanie jedynie odburknąć: „Yhmm”, „Ee”.

Tymczasem w jadalni pierwszej klasy, podczas gdy stewardzi zbierali puste naczynia, Edgar Deacon pochylił się nad George'em Weltermanem i zapytał:

— Wszystko w porządku?

George zmiął w lewej ręce papierową serwetkę.

— Nie, Edgar — odparł. — Nie wszystko jest w porządku.

Odwrócił głowę, aby Edgar mógł zobaczyć siniak na jego ciemieniu.

— Oto — powiedział — grzeczność, jaką mi wyświadczył pan Mark Beeney.

— Beeney to zrobił? — zapytał Edgar, z trudem ukrywając zadowolenie.

— Żebyś wiedział. Wdarł się do mojej kajuty, zapłacił mojemu służącemu pięćdziesiąt dolarów, żeby niczego nie widział i nie słyszał, potem prawie mnie utopił, a następnie pobił.

— Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo mi przykro, George.

— Nie musi ci być przykro. Po prostu wsadź tego śmiesznego gnoja za kratki.

— Chyba nie wniesiesz formalnego oskarżenia o napaść?

— A niby o co? Że ten młokos mnie wyczałował?

Mimo woli Edgar poczerwieniał na myśl o całujących się mężczyznach.

— George, musisz zrozumieć, że jeśli wniesiesz oskarżenie przeciwko Markowi Beeneyowi, z całą pewnością wyjdzie na jaw, iż zgwałciłeś Catrionę Keys.

— Catrionę Keys! Tę gówniarę! To kolejna sprawa, o której musimy porozmawiać, Edgarze.

O ile dobrze pamiętam, powiedziałaś mi, że dziewczyna się puszcza. Prawdziwa młoda, gorąca puszczańska, tak mówiłaś. A tu okazało się, że łatwiej by mi było przelecieć górską kozicę!

Podrapała mnie...

— To nie czas i miejsce na podobne rozmowy — syknął Edgar, rozglądając się dookoła.

Niektórzy pasażerowie zaczęli już zwracać na nich uwagę. — Porozmawiamy później, w mojej kajucie. Myślę, że butelka dobrego koniaku trochę cię uspokoi i sprawi, że chłodniej spojrzysz na pewne sprawy.

— Jestem spokojny i chłodny, zapewniam cię. Na grób mojej matki, jestem zupełnie spokojny. Jednak ostrzegam cię, ani ty, ani ta cała Catriona Keys, nie próbujcie już ze mną żadnych swoich sztuczek, bo bez IMM Keys Shipping będzie wyglądać bardzo blado. A panna Keys będzie skończona, jeśli naśle na nią paru znajomych dziennikarzy. Wyobrażasz sobie te tytuły w gazetach? „Panna Keys daje dupy bogatym pasażerom za ratowanie jej linii żeglugowej!” Co ty na to? Nie będzie Królową Atlantyku, lecz Kurwą Atlantyku.

Na twarzy Edgara pojawił się kwaśny uśmiech.

— Lepiej wycofaj swe ostatnie słowa, George — powiedział. — Niczego nie wycofam, czy ci się to podoba czy nie.

A teraz powiedz mi wreszcie, czy panna Keys poprze pomysł sprzedania tej floty dla IMM?

— Nikt niczego nie poprze, dopóki nie wycofasz swojej ostatniej uwagi na temat panny Keys.

— Co cię napadło? — zdziwił się George. — Jeszcze jeden błędny rycerz?

— Spodziewam się, że mam do czynienia z dżentelmenem, George — powiedział Edgar. —

Tylko z dżentelmenami mam przyjemność prowadzić interesy.

— Dobra, zapomnij więc o tym, zapomnij, niech ci będzie. Skupmy się lepiej na wspólnych sprawach.

— George — powiedział Edgar ostrzegawczym tonem i w tej samej chwili odgadł, że nie musi już nic więcej mówić. George nie mógł wypuścić z łap interesu z Keys Shipping i doskonale to rozumiał. George wiedział też, że wybrał sobie absolutnie nieodpowiednią chwilę na tę rozmowę.

— W porządku — westchnął. — Oczywiście, panna Keys nie jest kurwą. Przepraszam.

Chociaż, szkoda... — Umilkł i nie zaryzykował już ani słowa więcej.

Tymczasem od stolika kapitańskiego dotarł ostry odgłos uderzeń noża o kryształowy kieliszek. To sir Peregrine w ten sposób zwracał na siebie uwagę, chcąc wygłosić przemówienie.

Tymczasem przy sąsiednim stoliku Rudyard Philips pozwolił sobie nakryć swoją dłońią dłoń Louise Narron, siedzącej obok niego. W nagrodę otrzymał czułe spojrzenie.

Sir Peregrine poprawił krawat i rozłożył ramiona.

— Szanowne panie, szanowni panowie... — zaczął. — Dzisiejszy dzień jest dla nas wszystkich pomyślnym dniem, mimo że prze... — czknął — przebywamy właśnie na morzu.

Rudyard zaniepokoił się. Z boku dobiegł go czyjś szept:

— On jest pijany. Kapitan jest pijany!

Sir Peregrine tymczasem kontynuował. Z każdą chwilą coraz bardziej plątał mu się język.

— Żeglować... jak my właśnie żeglujemy... w dziewiczej podróży na... — urwał, aby poszukać trafego określenia — najwspanialszym liniowcu oceanicznym, na Wenus morskich fal... jest wyróżnieniem dla mnie jako wilka morskiego i dla wszystkich pasażerów, którzy mieliście szczęście albo zostaliście wybrani... — Jeszcze raz czknął.

— Co on bredzi? — odezwał się ktoś głośno.

Zaczęły się szept, niespokojne uwagi, które sprawiły, że po chwili w sali jadalnej zapanował

głośny szum. Sir Peregrine rozejrzał się zdziwionym wzrokiem, po czym uniósł ręce, chcąc uciszyć salę. Jakaś kobieta krzyknęła jednak:

— Nie wierzę własnym oczom i uszom. On jest naprawdę pijany. Nie może się nawet poprawnie wysławić.

Rudyard powstał z krzesła i szybko podszedł do sir Peregrine'a. Chwycił go za łokieć i podtrzymał, gdy kapitan się zachwiał.

— Panie Philips — powiedział sir Peregrine. — Co, do cholery, pan robi? Właśnie przemawiałem do pasażerów. Czy zechciałby pan powrócić na swoje miejsce?

— Źle się pan czuje, kapitanie — odparł Rudyard. — Bardzo proszę, niech pan pójdzie ze mną. Zaprowadzę pana do pańskich apartamentów. Położę pana do łóżka.

— Do łóżka? Do łóżka? Czy pan oszalał? Przecież właśnie przemawiam do pasażerów. Nie mogę mówić do nich na leżąco!

— Wszystko w porządku, kapitanie. Już im pan powiedział to, co należało, wystarczy. Teraz najlepiej będzie, jeżeli powróci pan do siebie.

Sir Peregrine wyrwał się, wyprostował i wbił w Rudyar — da Philipsa rozwścieczone spojrzenie.

— Panie Philips, chcę, żeby pan wiedział, iż całkowicie panuję nad sobą i nad tym, co robię i co mówię; nie życzę sobie pańskiej opieki. Ponadto zwracam panu uwagę, że naruszył pan wszelkie regulaminy panujące na statku. Dziwię się, że pana tutaj widzę, panie Philips, gdyż jak mi się wydaje, poleciłem panu nie opuszczać swej kwatery.

— Kapitanie, bardzo pana proszę...

Nie musiał już mówić ani słowa więcej. Twarz sir Peregrine'a niespodziewanie skrzywiła się w nie kontrolowanym grymasie i zanim Rudyard zdołał go podchwycić, kapitan padł nosem prosto w krem truskawkowy, a potem zsunął się na podłogę. Przez chwilę wstrząsały nim drgawki, a potem znieruchomiał.

Rudyard skinął na jednego ze stewardów.

— Idź do jadalni drugiej klasy i natychmiast przyprowadź tutaj doktora Fieldsa — polecił. —

I pośpiesz się. Powiedz mu, że kapitan miał atak serca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Jak się okazało, diagnoza Rudyarda nie była do końca poprawna. Doktor Fields ocenił, że kapitan doznał ataku apopleksji spowodowanego zerwaniem naczyń krwionośnych w mózgu, co z kolei było

efektem nadużywania przez sir Peregrine'a rumu w ostatnich godzinach oraz ogromnego napięcia, w jakim ostatnio funkcjonował. Swoje zrobiła też ostatnia sprzeczka z Rudyardem, odbyta na oczach tak wielu pasażerów.

— Nie powinien się pan jednak obwiniać, panie Philips — powiedział doktor. — I tak nastąpiłoby to wcześniej czy później.

— Czy on umrze? — zapytał Rudyard.

Doktor Fields szukał czegoś po kieszeniach swojej marynarki.

— Czy umrze? Cóż, niewykluczone. Prawdę mówiąc, jest to bardzo prawdopodobne. Może nie przeżyć tego ataku, gdyż jest już naprawdę bardzo chorym człowiekiem.

Rudyard popatrzył ponad ramieniem doktora poprzez nie domknięte drzwi do sypialni Peregrine'a. Kapitan leżał na łóżku. Jego twarz w dziwnym kremowym kolorze miała już normalny wyraz, jedynie jego policzki były odrobinę zaróżowione.

— Jest w śpiączce — powiedział Fields. — To normalne po ataku apopleksji. Powoli może z tego wyjść, lecz z równym powodzeniem może umrzeć w ciągu kilku najbliższych godzin, nigdy już nie odzyskując świadomości. Niewiele mogę dla niego zrobić.

— Jeśli wydobrzeje...

Doktor Fields był doświadczonym lekarzem, poza tym nie lubił owijać spraw w bawełnę.

— Jeśli wydobrzeje, panie Philips, prawdopodobnie całą prawą stronę ciała będzie miał sparaliżowaną. Potrafię to ocenić po tym, jak opadają jego ręce i nogi, gdy je unoszę. Nie będzie mógł więc powrócić do swoich obowiązków przez całe długie miesiące, jeżeli jeszcze w ogóle kiedyś mu się to uda. Wątpię, czy kiedykolwiek stanie jeszcze na mostku kapitańskim jakiegoś statku, nie mówiąc o „Arcadii”.

Rudyard popatrzył doktorowi w oczy i tak głośno przełknął ślinę, że był pewien, iż lekarz to usłyszał. Skoro sir Peregrine nie był w stanie dowodzić „Arcadią”, to Rudyard jako najstarszy rangą oficer floty Keysów powinien przejąć jego obowiązki. A więc zwyciężył, mimo wszystko.

Rozejrzał się po apartamencie sir Peregrine'a. Tam, gdzie na ścianie wisiał olejny obraz przedstawiający okolice Shannon, postanowił zawiesić chińską akwarelę, którą Toy podarowała mu w pierwszą rocznicę ślubu; ptaki, unoszące się na niebie w letni wieczór. A na biurku stały oprawione w ramki fotografie Matthew i Janet.

— Sir Peregrine nie jest złym człowiekiem, proszę pana — odezwał się ponownie doktor Fields. — Bywa pompatyczny i napsuszony, ale myślę, że ma do tego prawo. Najsmutniejsze jest to, że zawsze chciał być wielkim i sławnym kapitanem liniowca, kimś takim jak sir James Charles, i niestety, w końcu mu się to nie udało. Mam nadzieję, że kiedy pan będzie dowodził

tym statkiem, co jakiś czas przypomni pan sobie sir Peregrine'a i nie będzie to dla pana przykre wspomnienie.

— To piękne słowa — powiedział Rudyard z uśmiechem na ustach.

— Lojalność i szacunek wobec przełożonego same w sobie są równie pięknymi cechami — zauważył doktor.

— Tak, rzeczywiście — przyznał Rudyard, nieco drżącym głosem. Po chwili postanowił: — Chyba pójdę na mostek.

— Teraz wszystko zależy od pana, panie Philips.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Dramat zupełnie innej natury rozegrał się mniej więcej dwie godziny później w pomieszczeniu klubowym pierwszej klasy. Zebrali się tam najbogatsi hazardziści na statku, aby po raz kolejny obstawiać liczby w loterii „Arcadii” oraz poznać rezultaty ostatnich dwudziestu czterech godzin żeglowania. Sala była pełna dymu z cygar i papierosów, co chwilę rozbrzmiewał czyjś wesoły śmiech, a szmer beztroskich rozmów nie cichnął ani na chwilę. Pasażerowie byli swobodni i rozluźnieni, ponieważ port, z którego wypłynęli, znajdował się już daleko za nimi, natomiast miejsce przeznaczenia było ciągle przed nimi i nie musieli się martwić tym, co czekało ich w Ameryce. Do amerykańskiego brzegu pozostało bowiem jeszcze dwa i pół dnia żeglugi.

Maurice Peace, oczywiście, przebywał na posterunku. Właściwie to nieustannie grał w karty i jadł kanapki. Mark Beeney siedział obok Marcii przy sztucznym kominku na skórzanej sofie.

Marcia przez cały czas miała przyklejony do jaskrawo pomalowanych ust szeroki uśmiech.

Ubrana była jedynie w zieloną atlasową sukienkę, wyjątkowo podkreślającą brak bielizny. Tego wieczoru postanowiła sobie, iż pokona Catrionę w walce o Marka. „Niedyspozycja” Królowej Atlantyku była dla niej przyjemnym zaskoczeniem. Oto nadszedł wreszcie wieczór, podczas którego ten podłotek nie będzie robił jej konkurencji. Na cały wieczór miała Marka wyłącznie dla siebie.

Philip Carter-Helm, rozłożony wygodnie w klubowym fotelu, palił papierosa za papierosem i obserwował, jak kółka z dymu unoszą się powoli ku sufitowi. Douglas Fairbanks, z obandażowaną nogą opartą o drewniany stółek, opowiadał kolejnym słuchaczom o tym, co przydarzyło mu się podczas sztormu na pokładzie. Rudyard Philips wstąpił tu tylko na chwilę, z mademoiselle Narron uwieszoną u jego ramienia, i udzielił kilku ostrożnych odpowiedzi pasażerom, którzy interesowali się stanem zdrowia sir Peregrine'a.

— Kapitan był przemęczony — mówił. — Przeżywał ciężkie chwile podczas sztormu. Nie spał w ciągu ostatnich dwudziestu sześciu godzin ani przez chwilę.

Louise Narron, w jaskrawej, turkusowej sukience, której fałdy niczym kaskada opadały ku podłodze,

wyglądała radośnie i beztrąsko, tak jak kobieta, która właśnie postanowiła się zakochać. Kiedy Rudyard coś mówił, nieważne co, uśmiechała się promiennie w jego kierunku i składała usta, jakby w każdej chwili chciała go pocałować.

Jack Dempsey spał w jednym z foteli w rogu, głośno chrapiąc. Niedawno dwudziestokrotnie okrążył biegiem pokład spacerowy, chcąc wszystkim pokazać, w jak doskonałej jest formie.

Zdziwił się, gdy zaczął ogarniać go sen.

Tymczasem baronówna Zawisza, przy przesadnym aplauzie wszystkich zgromadzonych, weszła na niewielkie podwyższenie, które ustawiono specjalnie do przeprowadzenia loterii.

Piękna i wyniosła, nieco zmęczonym wzrokiem rozejrzała się po klubowym pomieszczeniu.

Musiała pokazać Sabranowi, jak strasznie cierpi z jego powodu. Niestety, Sabran grał właśnie w karty i co chwila tracił gwałtownie panowanie nad sobą, ponieważ przegrywał ostatnie pieniądze, które otrzymał od baronówny na całą podróż.

— Odnoszę wrażenie, że dzisiejsza aukcja będzie wyjątkowo emocjonująca — powiedziała baronówna z melodyjnym, polskim akcentem. — Dzięki letniemu sztormowi płynęliśmy o wiele szybciej, niż zakładaliśmy przed wyruszeniem w rejs. Pragnę wspomnieć, że mamy szczęście, iż pokonaliśmy tak wiele mil morskich i wciąż znajdujemy się na powierzchni oceanu, zamiast leżeć bez życia gdzieś na jego dnie. Tyle tytułem wstępu. Za chwilę rozerwę kopertę i powiem wam, ile mil morskich przepłynęła „Arca dia” podczas swych pierwszych dwudziestu czterech godzin. Panie i panowie, liczba ta wynosi... sześćset dwadzieścia dwa!

Niemal natychmiast rozległ się radosny pisk lady FitzPerry.

— Wygrałam! — zawołała. — Zwyciężyłam. Mam sześćset dwadzieścia dwa. Czy to nie jest wspaniałe?

Rozległy się oklaski i głośne pochwały, a lady FitzPerry w zwiewnej, organdykowej sukience ruszyła w kierunku podwyższenia. Przy każdym kroku jej małe piersi podskakiwały radośnie razem z nią. Maurice Peace rzucił krótkie spojrzenie Markowi Beeneyowi i uśmiechnął się. W

końcu wygrał właśnie pięćset funtów od niego.

Kiedy opadło zamieszanie spowodowane wygraną lady FitzPerry, powoli wstał i podszedł do sofy, na której siedzieli Mark i Marcia Conroy.

— Cóż — powiedział, a na ustach błąkał mu się lekki uśmieszek. — Wygląda na to, że

„Arcadia” nie sprostała pańskim wymaganiom.

Mark sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnąwszy portfel, odliczył pięć banknotów stu-funtowych i podał je Maurice'owi bez słowa. Maurice, który z mlekiem matki wyssał nieufność do wszystkich i do wszystkiego, jeszcze raz uważnie przeliczył pieniądze, zanim schował je do

własnego portfela.

— Czy życzy pan sobie założyć się o jutrzejszy dystans? — zapytał Marka. —

Prawdopodobnie już przez cały czas będziemy mieli dobrą pogodę. Przynajmniej tak twierdzą oficerowie na tym statku.

Mark przypatrywał mu się przez kilka sekund, po czym niespodziewanie wyciągnął palec w jego kierunku i powiedział:

— Ja pana znam, prawda? Maurice wzruszył ramionami. — Nie sędzę. Chyba nie.

— Widziałem już pana kiedyś, jestem tego pewien. Czy podróżował pan kiedykolwiek na „Melusine”, należącej do linii American TransAtlantic?

— Znam „Melusine” — odparł Maurice niechętnie.

— A ja pana. Tak, znam pana z całą pewnością. Pan jest hazardzistą. Zawodowym pasażerem statków oceanicznych, by ująć to grzecznie.

— Nie zmuszałem pana do zakładu ze mną.

— Jestem pewien, że spotkałem pana na pokładzie „Melusine”, kiedy ostatni raz podróżowałem do Rio de Janeiro. Wielu pasażerów przegrało w karty mnóstwo pieniędzy podczas tego rejsu. Nie zdziwiłbym się, gdyby większość z nich trafiła do pana.

— Widzi pan — powiedział Maurice, wciąż się uśmiechając. — Pamięć płata nam czasami różne figle.

— Figle to pan robi, grając w karty — stwierdził Mark. Maurice popatrzył na Marcie.

— Ten młody człowiek jest bez wątpienia dobrym żartownisiem — odezwał się do niej. —

Czy obiecał już pani małżeństwo?

— Jeszcze nie.

— Jestem pewien, że niedługo to nastąpi. A więc, panie Beeney? Jeszcze jeden zakładzik? O jutrzejszy dystans?

— Nie musisz się z nim zakładać, Mark — powiedziała Marcia. — I lepiej tego nie rób. To zawodowiec. Bez sensu przegrasz swoje pieniądze.

— Panno Conroy — zganił ją Maurice. — Nie powinna pani przeszkadzać dżentelmanowi, gdy przyjmuje zakład, gdy się modli i... jeszcze w paru innych sytuacjach. W każdym razie tego moja

babcia nauczyła moją matkę.

Marcia zmarszczyła czoło. Nie potrafiła udzielić mu błyskawicznej odpowiedzi. Na szczęście nie musiała, gdyż z kłopotu wybawił ją Mark. Uniósł prawą dłoń, jakby za chwilę miał

przysięgać na Biblię, i oznajmił poważnym tonem:

— Panie Peace, powiem panu, co zrobimy. Każdy z nas poda, ile mil przepłyniemy podczas najbliższej doby. Który z nas będzie bliższy rzeczywiście przebytego dystansu, ten wygra.

Oczekuję, że postawi pan w tym zakładzie kwotę co najmniej zbliżoną do sumy, którą wygrał pan do tej pory na „Arcadii”. Czy przyjmie pan zakład o pięć tysięcy funtów? Maurice był zaskoczony.

— Pięć tysięcy funtów? — zapytał ze zdziwieniem. Uniósł prawą rękę do ucha, jakby się obawiał, że źle usłyszał słowa Marka. — Funtów, a może się pomyliłem, może chodziło panu o dolary?

— Funtów — potwierdził Mark z szerokim uśmiechem na ustach.

— Ależ to jest wszystko, co zarobiłem! — zaprotestował Maurice. — Jeżeli wysiądę z tego statku bez grosza przy duszy, jaki sens będzie miała dla mnie ta podróż?

— Cóż za dziwne pytanie? Przecież przepłynie pan do domu aż z Irlandii, wypoczęty, syty, zupełnie za darmo, nie zapłacił pan bowiem za bilet. W tej sytuacji podróż w pierwszej klasie to już jest spory zarobek.

Po raz pierwszy Mark zauważył na spokojnym, statecznym obliczu Maurice’a Peace’a nerwowy grymas. Trwało to tylko chwilę, nie dłuższą niż ułamek sekundy, wystarczyło jednak, aby Mark doszedł do wniosku, że Maurice robi się zbyt stary i zbyt ostrożny na zakłady o tak wielką stawkę. Owszem, wciąż był mistrzem w pokera i z całą pewnością z gry w karty będzie mógł dobrze żyć jeszcze co najmniej przez dwadzieścia lat, jeżeli nie do samej śmierci. Ale ogromny zakład, który zaproponował mu przed chwilą Mark, cóż, to było coś zupełnie innego.

Wymagało odporności, na którą Maurice’a nie było już raczej stać. Maurice wiedział, co stało się z hazardzistami w jego wieku, gdy przekraczali bariery, do których nawet nie powinni się zbliżać. Na jego oczach w mgnieniu oka stary Jack „The Spot” McLinton stracił dom nad morzem, który wybudował sobie na stare lata. Wiedział, jak zginął Walter Lillard z Red Onion w Nevadzie, nakryty przez przeciwnika na prymitywnym oszustwie podczas gry w karty. I wreszcie widział w wielkim ściennym lustrze starzejącego się hazardzistę, który miał tak wiele do stracenia.

— Powiem panu, co zaoferuję w zamian — odezwał się Mark, otaczając ramieniem kibić Marcii. — Ze swej strony postawię w tym zakładzie mój samochód.

— Samochód? — powtórzył Maurice podejrzliwie.

— Właśnie, samochód — potwierdził Mark. — Chodzi o marmona, sto dwadzieścia pięć koni mechanicznych, wyprodukowanego zaledwie przed dziesięcioma miesiącami. Podróżuje razem ze mną; w tej chwili znajduje się w przedziale bagażowym „Arcadii”, może go pan więc dokładnie obejrzyć, jeśli życzy pan sobie tego. Kosztował mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Ma kremową tapicerkę ze skóry, barek, połączoną chłodnicę i mnóstwo takich gadżetów, o jakich panu się nawet nie śniło.

— Mark! — zawołała Marcia z przerażeniem. — Przecież to twój najnowszy samochód! Nie możesz go po prostu przegrać w jakimś idiotycznym zakładzie. To jest piękny, wręcz przepiękny samochód! Poza tym stawiać go przeciwko pięciu tysiącom funtów...

— Nie, nie, proszę pani, nie ma pani racji. — Maurice wreszcie odzyskał głos. — Ten dżentelmen proponuje, abym zaryzykował wszystkie pieniądze, jakie przy sobie posiadam. Po prostu postępuje uczciwie, oferując ze swej strony coś, co ma dla niego równie wielkie znaczenie jak dla mnie te pieniądze. Pieniądze przecież nic dla niego nie znaczą, prawda? Czym jest dla Marka Beeneya pięć tysięcy funtów? Niczym! To jedynie kwestia prostego podpisu na czeku.

Ale takie wspaniałe auto, proszę, to już jest coś. Jeśli je utraci, boleśnie to odczuje. Czy mam rację, panie Beeney?

— Tak — przyznał Mark. — Strata tego pojazdu byłaby dla mnie bolesnym ciosem.

Maurice się uśmiechnął, jednocześnie nerwowo bawiąc się palcami obu rąk.

— Oczywiście, będę chciał obejrzyć przedmiot zakładu. W końcu chcę wiedzieć, co wygram.

— Jest pan bardzo pewny siebie.

— Cóż, ja po prostu zawsze wygrywam — powiedział Maurice. — W końcu sam pan określił mnie mianem profesjonalisty.

W tym momencie w sali pojawił się Harry Pakenow. Wpadł do środka jak burza, jakby go ktoś gonił. Był potargany i miał rozbiegane spojrzenie.

— Witam, panie Pakemoff — zawołał Mark w jego kierunku. — Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi — dodał z uśmiechem na ustach.

— Pakenow — poprawił go Harry. — Owszem, świetnie. Właśnie odkryłem, jak wspaniałym napojem jest szampan.

— Och, szampan jest fatalny — powiedział Maurice. — Przyjmij moją radę, dobry człowieku, i przerzuć się na wodę sodową. Szampan to eliksir idiotów.

— Może i ma pan rację — przyznał Harry. Jego oczy były rozbiegane; ani na moment nie potrafił zatrzymać ich w jednym miejscu. — Mimo to szampan mi smakuje. Usłyszałem fragment rozmowy o marmonie pana Beeneya. Czy się nie mylę?

Mark popatrzył na Harry'ego z odrobiną irytacji. Marcia natychmiast rozpoznała to spojrzenie. Pojawiało się u Marka czasami, gdy dzwonek telefonu przerywał im niespodziewanie miłosne uniesienie. Marmon był jedną z najcenniejszych osobistych rzeczy Marka i nie lubił o nim rozmawiać. Nawet z nią. Wiedziała, ile kosztowała go ta decyzja. Był to samochód jedyny w swoim rodzaju i z całą pewnością Mark przegrawszy go, nie zamówi drugiego ani identycznego, ani nawet podobnego.

— Marmon pana Beeneya stał się przedmiotem zakładu — powiedział tymczasem Maurice Peace. — Postanowiliśmy, że obaj podamy pewną liczbą mil morskich, które „Arcadia” powinna przebyć w ciągu dwudziestu czterech godzin, počawszy od północy dnia dzisiejszego. Ten, którego typ będzie bliższy prawdziwej liczbie, stanie się zwycięzcą. Ja postawiłem na szale eee...

pieniądze, pan Beeney natomiast swoje auto, które jak twierdzi, czeka już na mnie w ładowni tego statku.

Harry Pakenow niepewnie podrapał się po szyi.

— Słyszałem, że zamierza pan obejrzeć to auto — powiedział do Maurice'a.

— Rzeczywiście — potaknął Maurice. — Przecież nikt nie zakłada się, nie sprawdzwszy uprzednio, czy przeciwnik ma pieniądze, prawda?

— Owszem, ma pan rację — zgodził się Harry i roześmiał się. Był to właściwie hałaśliwy, nieprzyjemny chichot. — Ale I przecież... marmon to marmon.

— Zgadzam się — powiedział Maurice i ujął Harry'ego pod rękę. — Marmon to marmon.

Niech mi pan powie, panie Pakenow, jak wiele marmonów posiadał już pan w życiu?

Harry spróbował się uwolnić, ale Maurice nie puścił go. Zrezygnowawszy więc ze swych wysiłków, Harry przyznał z kwaśnym uśmiechem:

— Prawdę mówiąc, ani jednego.

Maurice rozejrzał się dookoła z zadowoloną miną.

— Słyszeliście, co powiedział ten człowiek? Ani jednego. A może miał pan packarda albo stutza, albo pierce'a-arrowa? Jak się spodziewam, również żadnego z nich.

— Nie — powiedział Harry. — Prawdę mówiąc, nigdy nie posiadałem żadnego samochodu.

Nigdy nie miałem dość pieniędzy, by sobie jakiś kupić.

— Wielka szkoda — stwierdził Maurice Peace. — Przez chwilę wnioskowałem z pańskich słów, że jest pan ekspertem od marmonów i zamierzałem poprosić pana o zejście razem ze mną do ładowni. Przedstawiłby mi pan swoją opinię, co warte jest auto, o które zakłada się pan Beeney.

— Naprawdę planuje je pan obejrzyć? — zapytał Harry.

— Oczywiście, drogi chłopcze. Mam zamiar przyjrzeć się mu tak dokładnie, jak jeszcze nikt nigdy nie przyglądał się żadnemu samochodowi. Mam zamiar poskakać trochę na siedzeniach, aby sprawdzić, jak wytrzymałe są ich sprężyny. Mam zamiar zajrzeć pod maskę. Mam zamiar wypić lampkę koniaku z barku tego auta. Mam zamiar wąchać skórę, aby upewnić się, że każde siedzenie wykonane jest ze zwierzęcia tego samego gatunku.

— Srebrne klamki wykonał Buccellati, bagażnik zaprojektowany został przez Abercrombiego i Fitcha — wtrącił się Mark. — Spodziewam się, że nie jest panu obojętne również, z jakiego szkła wykonane są kieliszki w barku.

— Oczywiście — powiedział Maurice, a potem roześmiał się głośno. — Powiem coś panu.

Zawsze marzyłem o pięknym samochodzie. Nigdy w życiu nie byłem właścicielem ekstrawaganckiego auta. Kilka lat temu miałem fliwera. Wygrałem go w pokera w Elizabeth w stanie New Jersey. Ale kiedy zniszczyłem opony, sprzedałem go za pięć dolarów jakiemuś sklepikarzowi z Queens. Od tego czasu znów żyję bez samochodu.

— Ma pan więc teraz szansę to zmienić — zauważył Mark. Wyciągnął dłoń, a Maurice nią potrząsnął. — Typuje sześćset trzydzieści mil, a pan?

— Sześćset trzydzieści! — zawołał rozpromieniony Maurice. — „Arcadia” tyle nie przepełnie. Jeśli o mnie chodzi, mówię sześćset dziesięć.

— Czy naprawdę ma pan zamiar obejrzyć samochód? — zapytał jeszcze raz Harry niespokojnie.

— Oczywiście. Wprost nie mogę doczekać się chwili, kiedy do niego wsiądę.

— Nie jestem pewien, czy pasażerom wolno wchodzić do pomieszczeń ładowni — zauważył Harry.

— Och, dam sobie radę — zapewnił go Maurice. — A poza tym, co to pana obchodzi? Niech pan pilnuje swoich spraw.

— Zaraz, zaraz... — Harry nie dawał za wygraną. — Pan Beeney przyjął zakład, nie sprawdzając, czy ma pan pieniądze. Dlaczego więc upiera się pan, żeby obejrzyć jego s samochód?

— Ponieważ już od urodzenia jestem niedowiarkiem, do bry człowieka, i ponieważ lubię wdychać zapach luksusu. I Istnieją zapachy, które każdy prawdziwy mężczyzna musi I poczuć w swoich nozdrzach przynajmniej raz w życiu, jeśli łechce przed obliczem świętego Piotra twierdzić, że z całą pewnością żył.

Harry Pakenow był wstrząśnięty. Zdawał sobie sprawę, i że przesadza, lecz nie potrafił się powstrzymać. Wyobraźnia podsuwała mu przed oczy obraz Maurice'a Peace'a, otwierającego bagażnik marmona i znajdującego w nim trzydzieści lasek dynamitu. Już sama myśl o tym

doprowadzała go do paniki, ale nie ze strachu przed aresztowaniem. Od dawna pogodzony był z myślą, że za swoją działalność może spędzić długie lata w więzieniu, a nawet zawisnąć na stryczku. Przed nim wielu młodych marksistów stało się męczennikami sprawy rewolucji: wieszano ich, zabijano na krzesłach elektrycznych, torturowano, gnębiono. Harry najbardziej obawiał się niepowodzenia swej misji, tego, że „Arcadia” z nim na pokładzie zawinie do Nowego Jorku. Już dawno temu przesłał do wszystkich swoich przyjaciół w Ameryce zakodowane listy, informujące ich o planowanym sabotażu. Nie przeżyłby swego wstydu, gdyby w Nowym Jorku musiał się przyznać przed nimi, że wielką rewolucyjną akcją pokrzyżował mu starzejący się hazardzista w poplamionej marynarce; nie, to było nie do pomyślenia.

— Zbladł pan, panie Pakenow — zauważyła Marcia. — Czy dobrze się pan czuje?

— Wypił za dużo szampana, to wszystko — stwierdził Maurice z przekonaniem. — Usiądź

spokojnie, przyjacielu, i opuść głowę jak najniżej pomiędzy nogi, a ja już dopilnuję, żeby steward przyniósł ci filiżankę mocnej kawy.

— Nie może pan oglądać... — wystękał Harry. Cały drżał, dzwoniły mu zęby, a na czole i twarzy pojawiły się grube krople potu. Maurice Peace usadził go wygodnie w fotelu.

— Wszystko będzie dobrze, człowieku — powiedział do Harry’ego. — To najprawdopodobniej spóźniona reakcja na wszystko, co ci się dzisiaj przydarzyło. Steward! Podaj temu człowiekowi filiżankę gorącej kawy. Prawdopodobnie poczuł się trochę słabo.

W tej chwili, niczym ciemna chmura zasłaniająca słońce, pojawił się w sali George Welterman. Zlustrował wszystkich złym spojrzeniem, po czym zatrzymał je na Marku. W ręce trzymał kieliszek z koniakiem i nerwowo obracał go w dłoni.

— Coś się stało? — spytał Maurice’a, nie spuszczając wzroku z Marka.

— Harry Pakenow nam zemdlał — odparł Maurice. — Chyba nie jest przyzwyczajony do szampana.

— Nie powinien pan... — stęknął Harry. — Nie może pan... — Kto czego nie może? —

zdziwił się George. — Facetowi coś się pomieszało — powiedział Maurice. — Ubzdurał sobie, że nie powinienem oglądać marmona pana Beeneya. Jestem pewien, że wkrótce mu to przejdzie.

— A dlaczego niby chce pan oglądać ten samochód? — zdziwił się George.

— Ponieważ zamierzam go wygrać. Pan Beeney założył się, że „Arcadia” zrobi jutro do północy sześćset trzydzieści mil morskich. Ja twierdzę, że tylko sześćset dziesięć. Jeżeli pan Beeney przegra zakład, będzie musiał pożegnać się ze swoim samochodem.

— Proszę, proszę! Z tego, co mi wiadomo, to jakiś nadzwyczajny egzemplarz. Czy nie czytałem o nim przypadkiem w „Popular Finance”?

— A także w „Collier’s” — uzupełnił Mark. — Opublikowali na temat mojego samochodu cały długi

artykuł.

George Welterman przyjął tę ostatnią uwagę za ostateczne zaproszenie do towarzystwa. Stał na chwilę przy Marku i Marcii, z jedną ręką w kieszeni i drugą wciąż zaciśniętą na kieliszku; zgodnie z późniejszym twierdzeniem Maurice'a, niemal było słychać węże syczące w jego mózgowicy.

— Interesujący zakład — odezwał się wreszcie. — Chętnie bym się do niego przyłączył. —

Popatrzył na Marka. — Prawdę mówiąc, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż odebranie panu tego samochodu.

— Co by pan zrobił z marmonem wartym dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, na dodatek ze srebrnymi klamkami? — zdziwiła się Marcia.

— Och, nic, zapewniam panią — odparł George z uśmiechem. — Z przyjemnością wjechałbym nim prosto w twardą, betonową ścianę.

— Filister — mruknął Maurice.

George zignorował go. Upił łyk koniaku i nie odrywając oczu od Marka, powiedział:

— Założę się, że „Arcadia” przepłynie więcej niż sześćset trzydzieści mil. Przynajmniej pięć mil więcej.

— To oznacza, że musiałaby płynąć przez cały czas ze średnią prędkością dwudziestu sześciu i pół węzła — zauważył Mark.

, — To żaden problem dla tego statku.

— Wydaje mi się, że musimy przyjąć ten zakład — wtrącił się Maurice. — Co pan położy na szali? Jeśli chodzi o mnie, to ryzykuję pięć tysięcy funtów.

— Panie Peace — powiedział George, wciąż nie spuszczać spojrzeń z Marka. — Nie mam chyba nic poza pieniędzmi, co by pana zadowoliło w przypadku pańskiego zwycięstwa. Oferuję więc tyle, co i pan, pięć tysięcy funtów. Czy odpowiada to panu?

— A jeśli wygra pan Beeney?

— Jeśli wygra pan Beeney, wycofam ofertę, którą złożyłem Keys Shipping; więcej mnie ta kompania nie będzie interesować. Dam przez to panu Beeneyowi szansę kupna „Arcadii”. Chyba to panu odpowiada, prawda, panie Beeney?

— Czy potrafiłby pan się na to zdobyć? — zapytał Mark ostrożnie. — Co powiedzą inni dyrektorzy IMM, gdy się pan wycofa z tej historii?

— Będą musieli to przeżyć. Zresztą, nie bierze pan pod uwagę jednej rzeczy: ja wcale nie zamierzam

przegrać. Wręcz przeciwnie, wygram, jak zwykle.

— A więc, obstawia pan sześćset trzydzieści pięć? — upewnił się Maurice.

— Tak. Czy podamy sobie dłonie na znak, że zakład został zawarty?

Mark wahał się przez chwilę, po czym wyciągnął dłoń.

Maurice popatrzył na Marka i George'a. Nagle zdał sobie sprawę, że to wszystko ma z nim już niewiele wspólnego. Dzięki prostemu zakładowi, dwaj najbogatsi i najpotężniejsi mężczyźni na pokładzie „Arcadii” mogli wreszcie stanąć do bezpośredniej rywalizacji pomiędzy sobą. Na szali znalazło się znacznie więcej niż tylko jakiś samochód czy oferta złożona Keys Shipping. W grę wchodziła męska duma, honor i reputacja.

— Czy będzie pan chciał obejrzeć auto razem ze mną? — zapytał Maurice Weltermana.

George przez chwilę zastanawiał się.

— Nie — odparł wreszcie. — Nie jest to konieczne. Wiadomo mi, jak drogo ten marmon kosztował pana Beeneya. Ręczna tapicerka prosto z Francji, silnik wytłumiony osobiście przez Wolfa Barnato; czytałem o tym wszystkim w ilustrowanych magazynach. Poza tym wolę poczekać do chwili, w której będę mógł usiąść za kierownicą tego pojazdu, nazywając go swoim.

— Rozumiem. Cóż, może ma pan rację?... Harry uniósł głowę i zapytał z niedowierzaniem:

— A więc obaj nie macie zamiaru tego oglądać?

— Chyba nie — odparł Maurice. — Obejrzy go dopiero zwycięzca.

Harry milczał.

— Dwadzieścia cztery godziny... — mruknął po chwili.

Maurice pochylił się nad nim i ujął w dłonie jego twarz.

— Drogi chłopcze, czy na pewno dobrze się czujesz? — zapytał. — Może powinieneś się położyć?

Jednak Harry gwałtownie potrząsnął głową i energicznie odsunął od siebie dłoń stewarda z gorącą kawą. Nagle odzyskał całe swe zdecydowanie. Wiedział, że jeśli ma podłożyć bombę na tym statku, pozostały mu tylko dwadzieścia cztery godziny. Albo zrobi to w tym właśnie czasie, albo już nigdy. Nie miał wyboru.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

O godzinie pierwszej nad ranem na pełnym oceanie, teraz spokojnym i lśniącym, Rudyard Philips po raz drugi został kochankiem Louise Narron — jednak wszystko odbyło się zupełnie inaczej, okrzyki Louise wyrażały jedynie ekscytację i krańcową rozkosz. Tym razem jej uda śpieszyły na spotkanie

jego ud z siłą i niecierpliwością. Louise ujmowała w dłonie głowę swego kochanka i przyciskała jego usta do swych piersi, aby ssał je i ssał bez końca. Nawet kiedy skończyli, nie puściła Rudyarda, nie pozwoliła mu, aby odszedł, przytrzymywała go na sobie tak długo, że zdawało się to trwać przez całe godziny.

— Ależ byłam głupia — szeptała mu do ucha. — Widziałam tylko swe własne nieszczęścia, respektowałam tylko własne prawo do tego, by być kochanką. Nie brałam w ogóle pod uwagę tego, że i ty potrzebujesz miłości. Oczekiwałam silnego i zdecydowanego na wszystko bohatera, takiego, jacy zdarzają się przecież tylko w moich operach. Dlaczego on jest taki nieśmiały?, zastanawiałam się. Dlaczego jest taki niespokojny? Dopiero po tym sztormie zrozumiałam, że tylko głupiec mógłby odgrywać takiego bohatera, jaki mi się wymarzył.

— Wkrótce będę musiał wrócić na mostek — powiedział Rudyard.

— Ale wrócisz przed świtem?

— Postaram się.

Pocałowała jego czoło, oczy i nos, po czym powiedziała:

— Jesteś takim wspaniałym, melancholijnym Anglikiem. Czy myślisz, że zawsze już będziemy się kochali tak jak dzisiaj?

— Chyba tak. To znaczy tak, z całą pewnością. Rudyard podniósł się z łóżka i popatrzył przez iluminator na Atlantyk. Statek pod jego stopami lekko wibrował, gdyż „Arcadia” płynęła z pełną szybkością. Prędkość jej wynosiła w tym momencie dwadzieścia siedem i pół węzła, za rufą statku rozciągało się szerokie pole białej piany — wody przemielonej przez potężne śruby.

Oczy Louise Narron lśniły równie intensywnie jak gwiazdy, które odbijały się w morskiej wodzie. Jej rude włosy rozrzucone były po całej poduszce. Rudyard miał dziwne uczucie, że w jakiś zagadkowy sposób dostał się na scenę teatru i uczestniczy w przedstawieniu, w którym Louise gra główną rolę. Nie zgadzało się tu tylko jedno: kwestie, które wypowiadał, dotyczyły jego prawdziwego, realnego życia, a nie wymyślanego, wymyślanego przez autora przedstawienia. Jednak to przecież Louise, główna bohaterka, wymusiła na nim obietnicę, że się z nią ożeni; wcale nie zamierzał tego dzisiaj mówić.

— Czy to nie dziwne — odezwała się Louise — jak dwoje samotnych, odrzuconych, obawiających się życia ludzi, potrafiło siebie nawzajem odnaleźć? Jak potrafiło odkryć, że pragną od tej pory spędzić razem całą wieczność jako kochankowie i wspaniali przyjaciele?

— Pamiętasz, jak poprzednim razem, kiedy skończyliśmy się kochać, powiedziałaś, że to jest smutne i bezsensowne? Nie rozumiem, dlaczego nagle tak dramatycznie zmieniłaś zadanie.

— Nie rozumiesz, ukochany? Cóż... być może poprzednim razem oczekiwałam zbyt wiele.

Być może czekałam na coś, czego nie powinnam była się spodziewać. Może wypiałam za dużo alkoholu, po którym zazwyczaj jestem nadpobudliwa. A teraz... Nie widzisz, że oszalałam na twoim

punkcie? Czy nie widzisz, że jestem gotowa na wszystko dla ciebie? Zawsze i wszędzie?

— Pamiętaj, że jestem żonaty.

— Oczywiście, pamiętam. Ale cóż to właściwie jest za małżeństwo? Ze wspomnieniami?

Przecież ten związek już nie istnieje, spalił się na popiół. Powinieneś użyć tego popiołu, aby użyźnić ziemię, na której wzrośnie twoje nowe życie i nasza wielka miłość.

— Louise...

— Powiedz, że mnie kochasz, uwielbiasz — przerwała mu. — Wiesz dobrze — urwał —

wiesz dobrze, że cię Kocham i uwielbiam.

— Pocałuj mnie.

Podszedł do niej. Na jego wargach lśniły drobne kropelki potu. Gdy ją całował, stwierdził, że jej pot smakuje jak morska woda.

— Obiecaj mi, że będziesz mnie kochał przez całą wieczność.

Rudyard zawahał się. Odniósł wrażenie, jakby na jego piersiach leżał wielki i ciężki kamień.

Następne słowa przeszły mu przez gardło z wielką trudnością, spełnił jednak życzenie Louise.

— Będę cię kochał przez całą wieczność.

Pocałowała go, po czym padła na poduszkę, pociągając go za sobą.

— Jesteś taki cudowny — wyszeptała.

Louise pachniała kwiatami. Zapach ten przypominał Rudyardowi słodkie williamsy, takie, jakie miał kiedyś w ogródku. Zaczął błędzić dłońmi po brzuchu Louise, aż w końcu dotarł do gęstwiny futra pomiędzy jej nogami.

— Kocham cię, melancholijny Angliku — wyszeptała ponownie, patrząc w sufit.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Mimo że była godzina pierwsza w nocy, Mark zapukał do kajuty należącej do Catriony. A kiedy w progu stanęła i Alice, zapytał, czy jej pani wciąż śpi i czy mógłby z nią porozmawiać.

Marcia była już u siebie. Zdążyła włożyć jedwabną pidżamę, poprawić makijaż i wyperfumować się. Spodziewała się, że Mark czyni w tej chwili podobne przygotowania do nocy z nią i przyniesie do niej butelkę szampana, którą razem wypiją.

— Pani nie śpi, wątpię jednak, by chciała teraz kogoś , przyjąć — powiedziała Alice. — Miała koszmarne sny podczas ostatnich godzin, sam pan rozumie.

Mark podał jej przez szparkę w lekko uchylonych drzwiach pięćofuntowy banknot.

— Powiedz jej, że rozmowa z przyjacielem dobrze na nią wpłynie — poprosił.

Alice przez chwilę wpatrywała się w pieniądze, wreszcie wzięła je i wsunęła płynnym ruchem do kieszeni fartucha.

— Spróbuję ją przekonać, panie Beeney — powiedziała. — Zrobię, co będę mogła.

Po minucie powróciła i skinęła na niego, żeby wszedł do środka.

— Panna Keys czuje się o wiele lepiej. Doktor Fields był tutaj przed godziną i powiedział, że najgorsze już minęło.

Ten mężczyzna, który ją skrzywdził, to monstrum, wręcz dzikie zwierzę. Słyszałam, jak pan z nim postąpił później; bardzo się z tego cieszę.

— Słyszałaś? — zapytał Mark z uśmiechem.

— Tak, to było w jego łazience, prawda? Gdyby go pan utopił, byłaby to dla niego zbyt lekka śmierć, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Poprowadziła Marka do sypialni. Catriona siedziała w łóżku, oparta o trzy grube poduszki, blada, lecz odprężona. Miała na sobie jasnoróżową pidżamę z brukselskimi koronkami. Popijała gorące kakao i czytała egzemplarz „Elitę Styles”. Kiedy Mark pojawił się przy jej łóżku, uśmiechnęła się i lekko klepnęła kołdrę otwartą dłonią, wskazując mu, aby przy niej usiadł.

— Nie wiem, co by się stało, gdyby nie ty — powiedziała. — On by mnie chyba zamordował.

— Jak się czujesz?

— Jestem zmęczona. Czuję się taka... taka sponiewierana. Opuściły mnie już koszmary i czarne myśli, które miałam jeszcze przed kilkoma godzinami.

— Czy pan Deacon zgłosi sprawę policji?

— Nie wiem. To chyba zależy tylko ode mnie.

— Ale, jak sądzę, pan Deacon zasugerował ci, byś milczała, bo mogą na tym ucierpieć interesy Keys Shipping i IMM, gdybyś wystąpiła przeciwko George'owi, prawda?

Catriona ze smutkiem pokiwała głową.

— Spodziewałem się tego — powiedział Mark z westchnieniem. — Cóż, ze swego punktu widzenia

pan Deacon ma rację. Dlatego właśnie zadałem sobie odrobinę trudu i osobiście złożyłem wizytę Weltermanowi.

— Wiem. Alice mi wszystko powiedziała. Z tego, co twierdzi służący George'a, prawie go utopiłeś, a potem przyłożyłeś mu tak mocno, że przez pół godziny nic nie słyszał na lewe ucho.

— Zasługiwał na coś znacznie gorszego. Ale to bardzo wpływowy człowiek i zupełnie pozbawiony skrupułów.

— Gdy tylko o nim myślę, zaraz czuję mdłości. — Catriona zadrżała.

— Chyba wiesz, w jaki sposób sama możesz się na nim zemścić?

— Nie mam pojęcia, czy tego pragnę.

— Mogłabyś skutecznie zablokować pomysły sprzedaży? Keys Shipping jego firmie, IMM.

— I w zamian za to tobie sprzedać „Arcadię”. Mark, jesteś tak samo pozbawiony skrupułów jak i on.

— Przepraszam cię — powiedział Mark. — Wcale nie chciałem wyrzucić na tobie takiego wrażenia.

— Ale wywarłeś. Wy mężczyźni wszyscy jesteście tacy sami.

I Mark dotknął jej dłoni.

— Możesz mi wierzyć albo nie, ale zależy mi przede wszystkim na tobie. Tak, bardzo mi na tobie zależy.

Catriona zamilkła. Czowała się oszukana i była w tej chwili zniechęcona do całego świata.

— Cokolwiek powiedział ci Edgar — mówił Mark — nie wszyscy akcjonariusze Keys Shipping chcą, aby kompania została wchłonięta przez IMM. Jeżeli zagłosujesz przeciwko George'owi Weltermanowi, uzyskasz z całą pewnością poparcie, które sprawi, że skutecznie zablokujesz jego plany, przynajmniej na jakiś czas.

— Ale Edgar twierdzi, że nie mamy wyboru. Jeżeli Keys Shipping nie przejdzie w ręce IMM, zbankrutujemy, a wszyscy ludzie, którzy pracują dla Keys, znajdą się nagle na bruku. Uwierz mi, Mark, Edgar pokazał mi rodzinę mieszkającą niedaleko doków; widziałam, jak ci ludzie żyją, to straszne! Nie chcę przyczynić się do tego, by ich los jeszcze się pogorszył. Gdybym tak postąpiła, czy byłabym w stanie pójść na grób mojego ojca i złożyć na nim kwiaty?

— Oto podłotek o wrażliwej duszy — powiedział Mark, głaszcząc Catrionę po ramieniu.

— Po prostu osoba, która martwi się o los innych ludzi — zaprotestowała Catriona.

— Naprawdę?

— Mam dwadzieścia jeden lat i pragnę zachowywać się »tosownie do mego wieku. Chcę cieszyć się życiem, ale to Iwcale nie znaczy, że muszę być osobą o kamiennym sercu, f prawda?

Mark wstał.

— Czy pamiętasz tego przystojnego młodzieńca, którego niedawno do ciebie przysłałem?

Philipa Cartera–Helma?

— Tak, pamiętam. Co z nim? Był ostatnio jakby nieswój.

— Hmm — mruknął Mark. — Czasami sprawia takie wrażenie. Musisz wiedzieć, że Philip ma na temat Keys Shipping o wiele więcej informacji niż ja. Podejrzewam, że wie o Keys nawet o wiele więcej od ciebie.

— Znał mojego ojca, przynajmniej tak twierdzi.

— Rozmawiałem z nim w Londynie — powiedział Mark. — Opowiedział mi dokładnie, jak rozkładają się akcje Keys Shipping. W tej chwili wśród ich właścicieli zwolennicy sprzedaży kompanii na rzecz IMM są w stanie zebrać pięćdziesiąt jeden procent głosów. Oczywiście, jeżeli nie będziemy liczyć twojego własnego pakietu akcji. Jeżeli posłuchasz Edgara, to Keys zostanie sprzedana IMM bez żadnej dyskusji. Natomiast, jeżeli postąpisz inaczej, cóż, zawsze istnieje szansa, że jakiś drobny akcjonariusz, który teraz opowiada się za IMM, zmieni zdanie. Na przykład pan Fearson. Nie lubi IMM i zawsze to okazywał; nie ma wątpliwości, że jeśli kompania zostanie przejęta przez IMM, on natychmiast straci posadę. Twoja ciotka, Isabelle, też wydaje się niezbyt przekonana do IMM.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Muszę przyznać, że większość tych informacji przekazał mi Philip Carter–Helm. Jest chodzącą encyklopedią, jeśli chodzi o Keys Shipping. Zna wielkość rocznych obrotów kompanii za wiele lat wstecz, wie, ile przewieźliście ładunków, ilu pasażerów, potrafi wymieni ć wszystkie porty, do których zawijają statki Keys Shipping. Ponadto zna nazwiska waszych zagranicznych agentów, wie także, ile macie statków, i doskonale orientuje się, gdzie one wszystkie się teraz znajdują. Powiedz tylko nazwę któregoś z nich, a on w jednej chwili określi ci jego położenie.

Catriona chciała coś powiedzieć, lecz Mark nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę. International Mercantile Marine przejęła trzy lata temu Blue Funnel Line. Może nie pamiętasz tej linii. Była niewielka. Taka rodzinna kompania wielkości jednej szóstej Keys Shipping. Kursowała głównie z towarami pomiędzy Galveston, Pensacolą i Nowym Jorkiem. Czasami statki zabierały na pokład po kilku biznesmenów, podróżujących w interesach, ale zawsze niewielu. Zakupiwszy kompanię, IMM ogołociła ją z majątku w ciągu sześciu miesięcy. Statki zostały sprzedane Chińczykom i Japończykom, wszystkich pracowników wyrzucono na bruk, za bezcen zostały wyprzedane magazyny w portach. Nie minął rok i nikt nie pamiętał, że Blue Funnel Line kiedykolwiek istniała.

— Ale Edgar powiedział, że IMM obiecała zatrzymać w całości flotę Keysów —

zaprotestowała Catriona. Nie chciała się teraz kłócić, zdawała sobie jednak sprawę, że Mark nie przerwie teraz tej rozmowy.

— Jak myślisz, co warta jest obietnica George’a Weltermana? — zapytał. — Co warta jest obietnica człowieka, który potrafi zaatakować bezbronną kobietę? Możesz uwierzyć chociaż w jedno słowo kogoś takiego?

— Ja... Ja nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie chcę już o tym rozmawiać, chcę zapomnieć, że Welterman w ogóle istnieje.

— Czy rzeczywiście uważasz, że próbuję cię uwieść tylko po to, abyś sprzedała mi „Arcadię”? Naprawdę tak myślisz?

Catriona zamknęła oczy. Nagle poczuła się zmieszana.

— Przyszło mi to do głowy — odpowiedziała. — Naturalnie, że o czymś takim pomyślałam.

— Dlaczego nie zapytałaś mnie o to wprost? Otworzyła oczy i natrafiła wzrokiem na jego szczere, jasne spojrzenie.

— Zapytam cię więc teraz. Czy tylko o to ci chodzi? O „Arcadię”?

— Czy chcesz usłyszeć romantyczne kłamstwo czy nagą prawdę?

— Zawsze wolałam nagą prawdę.

— Skoro tego pragniesz... Postanowiłem, na samym początku, poznać cię, ponieważ stwierdziłem, że jesteś uderzająco piękna...

— I wcale nie chcesz „Arcadii”?

— Oczywiście, że zależy mi na „Arcadii”. Zależy mi na was obu. Na tobie i na twoim statku.

Niestety, widocznie ślepy los chce, żeby to wszystko było takie skomplikowane. Pragnę was.

— Ty chyba nie masz serca, Mark — powiedziała Catriona.

Zrozumiała, że nie powinna była go tutaj zapraszać; przynajmniej jeszcze nie teraz, gdy czuła się tak słabo, tak zbrukana przez innego mężczyznę. Odniosła wrażenie, że Mark jest jeszcze gorszy niż George Welterman: gorszy, bo jest hipokrytą i jest o wiele bardziej przystojny; gorszy, bo George Welterman zaledwie ją zgwałcił, a Mark co chwila rani słowami.

Alice przerwała szydełkowanie i popatrzyła groźnie na Marka. Wiedziała, że potrafi w każdej chwili przerwać tę rozmowę. W przeszłości ratowała swe panie przed mężczyznami o wiele bardziej

namolnymi niż Mark, czasami nawet bardzo pijanymi. Zwykle wystarczyło wmówić im, że postąpią honorowo, jeżeli zaraz pożegnają się i sobie pójdą. Czasami trzeba było pomóc sobie, wbijając im końcówkę szydełka w pośladki.

Na razie jednak nie interweniowała. Mark tymczasem pochylił się nad Catrioną, ujął jej dłonie w swe ręce i powiedział:

— Może to tylko chwilowe zaślepienie, chociaż mam nadzieję, że jest inaczej. Tak mi dobrze przy tobie. Musisz zrozumieć, że to, co wczoraj powiedziałem o mojej miłości do ciebie...

Mówiłem szczerze. Ale to nie zmienia stanu moich interesów w tym sensie, że nie mogę pozwolić sobie na zrezygnowanie z kupna „Arcadii”. Okłamałbym cię, gdybym teraz powiedział, że zmieniłem zdanie w tej sprawie. Pragnę i ciebie, i twojego statku. I nie zamierzam przenigdy poświęcić jednego pragnienia na rzecz drugiego. Jeżeli nie potrafisz mnie kochać tak, jak ja ciebie, ale sprzedasz mi „Arcadię”... Cóż, będę miał przynajmniej nagrodę pocieszenia. Jeżeli natomiast pokochasz mnie, ale nie zgodzisz się, by „Arcadia” przeszła w moje ręce, zaakceptuję i to, prawdę mówiąc, z większą łatwością.

— A jeżeli cię nie kocham i nie sprzedam ci „Arcadii”? — wyszeptwała Catrioną.

Mark opuścił wzrok, wciąż zaciskając swą dłoń na dłoni Catriony. Wysadzany diamentami, złoty Jaeger-le-Coultré na jego przegubie, wskazywał, że minęło właśnie kilkanaście sekund po wpół do drugiej.

— Nie wiem, co wtedy — odparł. — Jeszcze nigdy w życiu nic takiego mi się nie przytrafiło.

Oczywiście, wierzę, że istnieją przelotne romanse. Ale czy to jest właśnie taki romans? Nie wiem. Nie potrafię opisać ci swoich uczuć. Zwykle rozmawiam z ludźmi prostym językiem interesów o giełdzie, cenach, akcjach, procentach... Nie potrafię tym samym językiem opisać ci, jak cię kocham.

Wreszcie uniósł głowę. Catriona nagle zapragnęła pogłaskać go po jasnej czuprynie, lecz Mark trzymał jej dłonie w swoich, nie pozwalając na żaden ruch, jakby była zakładniczką uczuć, które tak głęboko w nim tkwiły.

— Czuję się odpowiedzialny za to, co ci się przydarzyło wieczorem — powiedział. —

Powinienem pilnować tego Weltermana od pierwszej minuty, w której pojawił się na pokładzie.

— Czy to... wydarzenie nie zmienia twoich uczuć do mnie?

— A powinno?

— Chyba rozumiesz, co ze mną zrobił? — zapytała Catriona. Pragnęła, aby jej głos był w tej chwili silny, by nie załamał się, lecz to okazało się zbyt trudne.

Mark wreszcie uwolnił jej dłonie. Nie była pewna, co ten nagły gest ma znaczyć, następne jednak słowa Marka uspokoiły ją:

— Znam George’a od wielu lat, i to ja powinienem przestrzec cię przed tym, co ci grozi. Nie zrobiłem tego. To moja wina.

Catriona zmarszczyła czoło.

— Nie możesz siebie winić... A teraz już idź. Dobranoc, panie Beeney. Cieszę się, że zainteresował się pan stanem I mojego zdrowia.

Niespodziewanie znad robótki odezwała się Alice:

— Przepraszam na chwilę, panno Keys. Zdaje się, że zapomniałam wyłączyć gramofon. —

Wypowiedziawszy te słowa, podniosła się i przeszła do salonu. Oczywiście starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Droga, wspaniała Alice — westchnęła Catriona. — Rozumie wszystko bez jednego zbędnego słowa.

Jej włosy lśniły w świetle lampy stojącej przy łóżku, dodając tajemniczości urodzie, której Mark nie potrafił się oprzeć. Wiedział już, że zakochał się w Catrionie od pierwszego wejrzenia, zakochałby się w niej nawet, gdyby była siostrą wstrętnego, znieawidzonego George’a Weltermana.

Pochylił się nad nią, lekko otworzywszy usta, i przez chwilę oboje wpatrywali się w swe twarze z odległości zaledwie trzech cali. Niecierpliwe oczekiwanie na pocałunek, pomyślała Catriona, jest równie przyjemne jak sam moment pocałunku. Powoli, stopniowo, jakby zasypiała, przymykała oczy, a Mark przybliżał do niej swoją twarz. Wreszcie dotknął swymi ustami jej ust, najpierw lekko, delikatnie, a potem mocniej, smakując językiem jej wargi. Catriona lekko westchnęła, jakby chciała coś powiedzieć, ale przecież nie przychodziły jej do głowy żadne słowa. Było to radosne westchnienie kochanej kobiety.

Język Marka rozsunął wargi Catriony, a potem delikatnie wsunął się do jej ust, przesuwał się po zębach i wreszcie napotykał koniuszek jej języka.

Catriona otworzyła na chwilę oczy i ujrzała czoło Marka, na które opadały krótkie kosmyki włosów. Wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po głowie, a potem przez chwilę pieściła palcami jego uszy. Był taki męski, taki pachnący i taki przystojny. Zacisnęłyby zęby na tych złotobrazowych muskułach i powoli, nie śpiesząc się, schrupałaby go, kęs za kęsem.

Długi pocałunek wreszcie się skończył. Mark wyprostował się i wciąż wpatrywał w twarz Catriony; nie mógł oderwać od niej wzroku tak samo, jak ona nie potrafiła oderwać spojrzenia od niego.

— No i cóż — odezwał się. — Co powiesz, panno Catriono Keys?

— A co ty powiesz, Marku Beeney?

— Dokąd nas to zaprowadzi?

— Czy naprawdę chcesz, żeby nas to dokądś zaprowadziło?

— Nie w tej chwili. Ale jutro? Pojutrze? Albo w sobotę, kiedy wpłyniemy do Nowego Jorku?

Catriona dotknęła jego ramienia. W tym momencie do sypialni powróciła Alice.

— Czy dobrze się pani czuje, panno Keys? — zapytała. — Nie jest pani zanadto zmęczona?

— Czuję się wspaniale. Alice.

— Cieszę się. Niech pani jednak pamięta, co powiedział doktor. Nie wolno pani wstawać z łóżka ani się denerwować. Przeżyła pani straszny szok i najgorsze jego skutki jeszcze nie minęły.

— Wiem.

Mark chrząknął.

— Pójdę już — powiedział. — Nie chcę cię przemęczać.

— Ucieszę się, jeżeli przyjdiesz rano i zjesz ze mną śniadanie. Co ty na to? —

zapropozowała Catriona.

— Z prawdziwą przyjemnością, jeżeli tylko tego pragniesz.

— Oczywiście — przytaknęła Catriona i uśmiechnęła się do Marka. — Nie uwierzysz mi, ale czuję się, jakbym dzisiaj rozpoczęła nowe życie.

Mark powstał.

— Przy okazji — zatrzymała go jeszcze Catriona. — Jak się czuje sir Peregrine? Czy masz jakieś wiadomości na jego temat? Edgar opowiedział mi, co się stało podczas kolacji.

— Niczego się nie dowiedziałem, oprócz tego, co wszyscy widzieli. Mówi się, że był

zmęczony, przepracowany i dobił go jeszcze sztorm, któremu musiał stawić czoło. Płatnik mówi, że kapitan teraz odpoczywa.

— Mark...

— Co takiego?

— Nie wiem. Właściwie to nic.

Mark nie ruszał się z miejsca. Wiedział, że Catriona chce powiedzieć mu coś ważnego.

Czekał. Jego cierpliwość została wreszcie wynagrodzona.

— Mark, dasz mi trochę czasu, prawda? — Na co?

— Na wszystko. Muszę wszystko przemyśleć. — Jasne. — Podeszedł do niej, pochylił się i pocałował ją jeszcze raz.

— Powinna pani odpoczywać, panno Keys — odezwała się Alice spod ściany. — Jak na jeden wieczór, ma pani już dosyć wrażeń. Jeżeli chce pani jutro wcześniej wstać...

— Tak, już dość na dzisiaj — zgodziła się Catriona. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się aż tak zmęczona.

Znów uśmiechnęła się do Marka, po czym przymknęła oczy. Delikatny trzask drzwi, zamykających się za Markiem, był ostatnim odgłosem, który usłyszała, zanim zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

— Gdzie byłeś? — zawołała Marcia. — Nawet się nie przebrałeś! I gdzie jest szampan?

Mark popatrzył na swoje puste dłonie.

— Czy mówiłem coś o szampanie? — zdziwił się.

— No nie. Nie mówiłeś tego wprost. Ale mogłam przypuszczać...

— Och — westchnął Mark. Zamknął za sobą drzwi do kajuty. Marcia siedziała skulona na sofie, trzymając w dłoni papierosa w długiej lufce, a na stoliku obok stała szklanka z wodą sodową.

— Nie wiem, co ostatnio w ciebie wstąpiło — powiedziała Marcia. Złość wypisana na twarzy i jasnozielona pidżama z krótkimi rękawami dodawały jej urody. — Kręcisz się po tym statku jak lunatyk.

— Marcia, mam tysiąc problemów. Jednym z nie mniej ważnych jesteś ty.

— A pozostałe dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć? Panna Catriona Keys, panna Catriona Keys, panna Catriona Keys i tak dalej, jak przypuszczam.

— Czy zechcesz zapomnieć o pannie Keys?

— Tylko wtedy, jeżeli ty o niej zapomnisz.

Mark rozluźnił krawat i usiadł w szerokim zielonym fotelu.

— Znów próbujesz mną rządzić — zauważył.

— Dziwne, prawda? Przecież tak niedawno podarowałeś mi w dowód miłości naszyjnik ze szmaragdów i diamentów.

Mark zmęczonym ruchem przetarł oczy.

— Zawołam stewarda — powiedział. — Napijesz się szampana czy będziesz wolała kawę?

— Kawę?

Mark popatrzył na zegarek.

— Dochodzi druga nad ranem — zauważył. — Wkrótce będą podawać śniadanie.

— Wiesz co? — syknęła Marcia. — Jeżeli chcesz iść do łóżka, nie będę cię zatrzymywała, skoro moje towarzystwo cię nudzi.

— Przestań bredzić.

— Ja bredzę? Drogi Marku, nie bredzę i nigdy nie bredziłam! To z tobą jest coraz gorzej.

Chciałabym w końcu wiedzieć, czy mnie kochasz, czy tylko udajesz?

— Ja udaję?

— Tak, mój drogi. Bawisz się mną tak samo, jak bawisz się pieniędzmi i jak bawisz się statkami. Chyba nigdy nie robiłeś niczego poważnie, co? Żadnych prawdziwych dążeń, żadnej prawdziwej miłości, prawdziwego rozczarowania, nigdy niczego takiego nie było w twoim życiu.

Nawet twój ulubiony samochód jest tylko efektem chwilowej zachcianki. Nic dziwnego, że jesteś gotowy go przegrać z zawodowym hazardzistą; on nic dla ciebie nie znaczy. Podobnie jest ze mną. Kobieta, która miała być jedynie twoim chwilowym kaprysem, okazała się ludzką istotą —

ku twemu widocznemu zdziwieniu i zaambarasowaniu — kierującą się w swym postępowaniu określonymi zasadami i uczuciami. Jakie to nieprzyjemne, gdy ktoś, kogo uważałeś jedynie za zabawkę, przypomina ci teraz o przysięgach i obietnicach wcześniej złożonych.

— Jesteś pijana — zauważył Mark. — Zamówię kawę.

— Mój Boże, czyżby dla ciebie wszystko było aż tak proste? Wytrzeźwiałabym natychmiast, gdybym tylko była pewna, że przez to mnie pokochasz.

— Pleciesz bzdury. Przez cały czas doskonale wiem, co do ciebie czuję.

— I w tym cały kłopot.

— Nie wiem, dlaczego właściwie płyniesz tym statkiem. Od samego początku nieustannie atakujesz mnie wybuchami zazdrości. I to zupełnie bez żadnego powodu.

— Czyż wystarczającym powodem nie jest panna Catriona Keys?

— Do cholery, a nawet jeżeli jest? — A jest?

— Niby czym?

— Przyczyną mojej zazdrości. Do diabła, słuchaj mnie, przynajmniej kiedy do ciebie krzyczę.

— Na miłość boską, dziewczyno, weź się w garść. Im bardziej okazujesz swoją głupią zazdrość, tym bardziej wydajesz mi się wstrętą.

Marcia rzuciła przez cały salon szklanką z wodą sodową. Szkło uderzyło w ścianę i rozprysnęło się w drobny mak.

— Ty draniu — syknęła. — Weź sobie swoje diamenty, zachowaj dla siebie swoje obietnice i udław się nimi! Nie chcę cię znać!

Mark wstał i uniósł do góry obie ręce.

— Marcia, zachowujesz się jak idiotka. Przedobrzyłaś z alkoholem.

Marcia wpiła w niego spojrzenie oczu niebieskich jak bławatki.

— Wyruszyłam w tę podróż, ponieważ miałam przeczucie, że się utopisz. To było tak silne...

Prawie czułam na sobie chłód morskiej wody.

Mark milczał. Opuścił ręce.

— Jestem na tym statku, ponieważ desperacko i nieskończenie cię kocham. Nawet jeśli nie jest nam dane przejść razem przez życie, chcę być pewna, iż jesteś bezpieczny. Chcę wiedzieć, że jesteś szczęśliwy.

Mimo diamentów, które jej ofiarował, mimo szampana, którego wypili razem wielkie ilości, mimo wspólnie spędzonych nocy, Marcia dobrze wiedziała, że Mark i tak jej nie kocha. Trudno było jej się z tym pogodzić i przyznać do tego zarówno przed nim, jak i przed sobą.

— Przecież wiesz, że nigdy cię nie oszukiwałem — powiedział Mark łagodnym głosem. —

Nigdy też nie złożyłem ci żadnej obietnicy, której nie miałem zamiaru dotrzymać.

W oczach Marcii błysnęły łzy.

— Nie musiałeś — powiedziała. — Ty sam byłeś dla mnie jedną wielką nadzieją i obietnicą.

— Kocham cię.

Marcia z trudem powstrzymywała głośny szloch. Jej głos drżał.

— Tak — westchnęła. — Wiem. Jakie to jest wspaniałe, prawda? To wspaniałe, jak wiele rodzajów miłości istnieje na świecie, prawie tyle, ile rodzajów cukierków można kupić w sklepie ze słodyczami.

Dopiero w tej chwili się rozplakała. Zaczęła głośno łkać, a ciężkie łzy popłynęły jej po policzkach, kapiąc na pidżamę i pozostawiając na niej wilgotne, ciemne ślady. Mark usiadł obok niej, otoczył ją ramieniem, lecz nie pozwoliła mu, by przytulił ją do siebie.

— Wiem, że byłeś przed chwilą u Catriony — powiedziała, szlochając Marcia. — Moja stewardesa widziała cię przed jej kajutą.

— Catriona jest chora — stwierdził Mark. Nie poinformował Marcii, że George Welterman ją zgwałcił. Mark, Alice i Edgar byli jedynymi osobami, które o tym wiedziały, chociaż zapewne prawdy domyślał się również doktor Fields.

— Tak chora, że musisz składać jej półgodzinną wizytę o pierwszej w nocy?

— Czy ty myślisz, że wskoczyłem do jej łóżka?

— Już nie wiem, co myśleć. Wiem, że czekałam na ciebie, aż przyjdiesz z butelką szampana, wiem, że spodziewałam się, że będziemy się dzisiaj kochać. Ale najwidoczniej miałeś coś o wiele ważniejszego do załatwienia.

— Marcia, tak nie wolno.

— A niby dlaczego? Postępujesz wobec mnie nieuczciwie.

Mark odsunął się od niej. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym wstał.

— Przyjdę do ciebie rano — powiedział.

— Och, wychodzisz? A więc taka jest twoja odpowiedź? — Marcia, gdybym był tobą, zamówiłbym wielki dzban czarnej kawy, wypił wszystko do dna, a potem poszedłbym do łóżka.

— Pieprz się ze swoją kawą. — Nagle kobieta z wyższych sfer przemieniła się w prostą ulicznicę. Podziałało to na Marka jak płachta na byka.

— W porządku, idę sobie. Wrócę rano, kiedy dojdiesz do siebie. W tej chwili nie podoba mi się ani twoje towarzystwo, ani słownictwo, którego używasz. Takim bełkotem, Marcia, nikogo nie zmusisz, żeby cię kochał.

Mark odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i szybko się oddalił. Nie chciał bowiem słyszeć rozpaczliwego płaczu, który rozległ się w kajucie natychmiast, gdy ją opuścił. Wyciągnął z paczki papierosa i z kamiennym wyrazem twarzy ruszył w kierunku swojej własnej kabiny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Rudyard otworzył drzwi i znalazł się na mostku. W ręce trzymał kubek pełen gorącego kakao.

Był już tutaj Dick Charles; jego twarz, oświetlona przez żarówki instrumentów pokładowych, miała nienaturalnie zieloną barwę. Szyby, za którymi w nieprzeniknionej ciemności rozpościerał

się bezkresny ocean, odbijały wewnątrz pomieszczenia, w tym i sylwetki obecnych tutaj ludzi, jakby przypominając im o ich własnej śmiertelności.

— Dobry wieczór — powiedział Dick do Rudyarda. O dziwo, wcale się nie zająknął.

— Dobry wieczór, panie Charles — odparł Rudyard i postawił kubek na półeczce przy szybie.

— Wszystko w porządku?

— Ja... jak najbardziej. Wiatr ma prędkość tylko czterech węzłów, a nasza prę...prędkość wynosi dwadzieścia osiem.

— Czy moglibyśmy płynąć jeszcze szybciej?

— Chy...chyba tak. Ale pan Sawyer powiedział, żeby nie przekraczać dwudziestu ośmiu i pół węzła. Mówi, że nie chce, żeby kotły wybuchły podczas pierwszej podróży.

Rudyard uśmiechnął się.

— Nie wybuchną. Nie ma takiej możliwości. Nastąpiła chwila przerwy w rozmowie. Rudyard wykorzystał ją, aby sprawdzić kurs na kompasie.

— Czy widział pan sir Peregrine'a, panie Philips? — zapytał Dick.

— Przed chwilą rozmawiałem o nim z doktorem Fieldsem.

— Czy jest jakaś po...poprawa? Rudyard potrząsnął przecząco głową.

— Wciąż śpi. Doktor Fields uważa, że nie obudzi się jeszcze podczas najbliższych dwunastu godzin. Niestety, nie ma żadnych wątpliwości, że do końca życia będzie sparaliżowany.

Dick Charles nie powiedział tego, ale wymowne spojrzenie rzucone Rudyardowi bez wątpienia znaczyło: „A więc, mimo wszystko masz to, czego tak bardzo chciałeś”.

— Sir Peregrine to wspaniały marynarz — powiedział Dick głośno. — Jeden z najwspanialszych, jakich znam.

— Właśnie — przytaknął Rudyard. Przyszło mu do głowy, że Dick Charles nie lubi go.

— Przypuszczam, że „Aurorę” dostanie teraz Ralph Peel — odezwał się Dick.

— Nie wiem. Na razie nikt nikomu jeszcze niczego nie dał. Sir Peregrine jest ciągle najstarszym

rangą marynarzem w kompanii i wciąż jest kapitanem „Arcadii”.

— Ale p...przecież jest sparaliżowany.

— W tej sytuacji pan Deacon wraz z resztą zarządu kompanii musi podjąć jakąś decyzję. Do mnie ona nie należy.

Dick zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Och, Boże. Dobrze, że to jest takie oczywiste. Rudyard popatrzył na niego ze zdziwieniem, jednakże Dick Charles tylko się uśmiechnął i podniósł z krzesła swą kurtkę wodoodporną.

— Kończę służbę, panie Philips, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Skądże. Będę zobowiązany, jeżeli zechce pan tu poprosić na chwilę pana Peela.

— Ściągnę go na mostek.

Dick Charles wyszedł i Rudyard został sam na sam ze swym zielonkawym odbiciem w szybie.

Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że być może nie jest zbyt lubiany wśród swych kolegów oficerów; myśl ta, która pojawiła się niespodziewanie, bardzo go przygnębiła. Uniósł kubek i w zamyśleniu zaczął pić kakao.

Nagle otworzyły się drzwi i na mostek wszedł Willis, telegrafista. W ręce trzymał kartkę z tekstem telegramu.

— To do pana, panie Philips, osobiste i poufne.

— Skąd?

Willis nie miał zbyt tęgiej miny.

— Z Liverpoolu.

Rudyard wziął od niego kartkę. Jak na telegram przystało, tekst był krótki. A jednak Rudyard bez trudu odgadł, jak trudno było coś takiego napisać, ile bólu i wahania poprzedziło przelanie tych kilkunastu słów na papier. Kiedy przeczytał telegram po raz pierwszy, bezsilnie opuścił rękę z kartką i głęboko zaczerpnął powietrza, żeby się uspokoić. Treść brzmiała następująco:

„Zapomnijmy o próbie rozstania. Laurence odszedł. Mam nadzieję, że wrócisz. Ale może znajdziesz pracę na ładzie? Twoja nieobecność tak trudno znieść. Proszę cię, odpowiedz mi natychmiast. Pani Philips”.

— Czy będzie pan chciał od razu przekazać odpowiedź? — zapytał Willis cichym, łagodnym głosem.

Rudyard jeszcze raz szybko przebiegł wzrokiem telegram.

— Muszę się nad nią zastanowić — powiedział. — Czy za I jakąś godzinę będzie pan ciągle na służbie?

— Tak. Czy jest pan pewien?

— Oczywiście.

— Rozumiem, proszę pana.

Po wyjściu Willisa Rudyard powoli zmiażdżył kartkę w dłoni i wcisnął ją do kieszeni munduru. A więc, zupełnie niespodziewanie Toy stwierdziła, że chce jednak pozostać przy nim. Tylko pod jakimi warunkami? „Może znajdziesz pracę na lądzie?” On tymczasem stał na mostku największego liniowca świata i dowództwo nad „Arcadią” pchało mu się do rąk, właściwie było w tej chwili już tylko kwestią czasu. Dowództwo nad pływającym miastem, nad ponad tysiącem ludzi, nad kolosem o długości ponad jednej szóstej mili.

„Mam nadzieję, że wrócisz”, napisała Toy, a on musiał przeczytać te słowa akurat dwadzieścia minut po tym, jak opuścił łóżko Louise i niemal przywykł do myśli, że rozwiedzie się, a potem, najszybciej jak to tylko możliwe, poślubi śpiewaczkę operową. Gdy ubierał się w jej kajucie, oczyma wyobraźni widział się podczas wspaniałych premier w Metropolitan Opera i La Scali, dumnie przyglądającego się swej wybrance, zasypywanej deszczem kwiatów z każdego balkonu i łoża.

Właśnie w tej chwili musiała go dopaść depecha cichej, spokojnej Toy. „Zapomnijmy o próbie rozstania”. Z pewnością chciała przez to powiedzieć „wybaczmy sobie”, nie mogła bowiem napisać tak w telegramie. On przecież nie uczynił niczego, co wymagałoby jej wybaczenia.

„Może znajdziesz pracę na lądzie?”

Rudyard zapatrzył się w ciemną, martwą szybę. „Arcadia” bez przeszkód płynęła swym kursem, z każdą sekundą coraz bardziej zbliżając się do Ameryki. Jej światła przypominały szybko poruszające się gwiazdy na tle ciemnego nieba. Była magicznym, luksusowym statkiem i już niemal należała do niego. Musiał jedynie przekonać sam siebie, że bardziej kocha „Arcadię” niż Toy.

Co powinien jej odpowiedzieć? „Praca na lądzie niemożliwa, przepraszam”. Nie, nie miał

żadnego powodu, aby przeproszać Toy. Wkrótce miał objąć dowództwo nad największym statkiem morskim na ziemi. Lepiej udzielić jej dumnej, stanowczej odpowiedzi: „Poślubiłem północny Atlantyk. Żegnaj”. Tak, właśnie w ten sposób jej odpowie. Podniósł słuchawkę interkomu.

— Panie Willis, chciałbym wysłać telegram. Tak, teraz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

— Mavis, gdzie położyłaś moją fajkę? — zapytał niespodziewanie sir Peregrine.

Otworzył oczy. Ujrawszy doktora Fieldsa, zmarszczył czoło.

— Mavis? — zapytał jeszcze raz.

— To ja, doktor Fields, kapitanie. Nie ma tutaj nikogo o imieniu Mavis.

— Ach — westchnął sir Peregrine. — Mógłbym przysiąc, że przed chwilą rozmawiałem z Mavis. — Przez moment zastanawiał się nad czymś. — Czy jesteś pewien, że nie ma tutaj Mavis?

— W tej chwili jestem tu tylko ja i siostra Queensland. — Siostra?...

— Queensland, proszę pana. Czy pamięta pan siostrę Queensland?

— Ach! — Sir Peregrine znów westchnął. — Tak...

— Jest pan bardzo chory — powiedział doktor Fields. Wyciągnął termometr ze skórzanego etui i dwoma szybkimi ruchami strząsnął w dół słupek rtęci. — Ma pan szczęście, że jeszcze pan żyje.

— Szczęście?... Ale zdaje się, że właśnie byłem na herbatce u Borage'a, prawda? Gdzie ja ostatnio byłem?

— Nigdzie pan nie był, sir Peregrine. Od wielu godzin leżał pan tutaj bez przytomności.

— Mógłbym przysiąc... Mógłbym przysiąc, że rozmawiałem z Borage'em. Mówił coś o nowej odmianie truskawek, Black Prince. Chyba chciał uzyskać wczesny wysyp spod t szkła. Nie słyszałeś go? Był zaledwie... tym... był gdzieś »tutaj.

Doktor Fields usiadł na skraju łóżka sir Peregrine'a.

— Jest pan bardzo chory — powiedział poważnie. — Pękły jakieś naczynia krwionośne w pana mózgu. To cud, że nie zmarł pan natychmiast.

Delikatnie ujął dłoń kapitana, po czym, patrząc na swój ręczny zegarek, sprawdził jego puls.

— Puls ponad sto — stwierdził. — Nie wolno się panu denerwować. — Pochylił się i wsunął termometr pod język sir Peregrine'a. — Niech pan go tylko nie przegryzie. To ostatni, jaki mam.

Sir Peregrine, zupełnie zaskoczony, leżał na łóżku ze zdziwioną miną, a tymczasem doktor Fields czekał, aż podniesie się słupek rtęci na termometrze. Kiedy wreszcie wyjął go z ust kapitana, ten powiedział:

— Nie rozumiem, dlaczego nie ma tutaj Mavis.

— Może na chwilę wyszła — odparł doktor Fields, najłagodniej jak potrafił. Sir Peregrine niespokojnie przewracał oczyma; był bardzo zmartwiony.

— Wyszła? — zdziwił się. — Ale dokąd? Dlaczego by miała gdzieś wychodzić?

— Myślę, że wkrótce wróci. Może poszła poprawić makijaż? A może tylko zaczerpnąć świeżego powietrza?

— Ale byłem pewien, że...

— Tak? Czego był pan pewien?

— Nie wiem — odparł sir Peregrine niepewnym tonem. — Nie jestem pewien, czego byłem pewien. W ogóle niczego nie jestem pewien.

Doktor Fields pogłaskał starego marynarza po ramieniu, pomarszczonym i pełnym brunatnych plam. Na palcu miał sygnet z symbolem Keys Shipping Line.

— Kim jest Mavis? — zapytał kapitana.

— Mavis? — powtórzył sir Peregrine i popatrzył mu w oczy. — Nie znasz swojej własnej siostry? Co ty mi tutaj opowiadasz, Borage? Nie udał ci się ten kawał. A teraz gadaj, gdzie ona jest, gdzie się schowała? Szukam jej przez całe popołudnie. Nie wmówisz mi, że...

Głowa starego człowieka opadła do tyłu i mógł patrzeć tylko na sufit. Bezskutecznie próbował skupić na nim wzrok; gdy się poddał, jego twarz poszarzała z bezsilności, a w oczach zaślniły łzy.

— Nie rozumiem — powiedział drżącym głosem. — Nic z tego nie rozumiem. Mówiłeś przecież, że ona tutaj będzie. Napisałem do niej. Popatrz, mój list wciąż leży przy zegarze: Musiała go widzieć. Z całą pewnością go przeczytała. Nie rozumiem dlaczego?...

Zamilkł niemal na minutę. Przez ten czas ciężko oddychał i oblizywał usta. Wreszcie wyszeptał:

— Moja droga Mavis, nie jestem człowiekiem przyzwyczajonym do proszenia i błagania.

Nikogo o nic w życiu nie prosiłem. Lecz teraz, błagam, usłysz i zrozum mnie. Bez ciebie, Mavis, moje życie nie będzie miało prawie żadnego znaczenia. Cóż mnie będą obchodziły wschody słońca, Mavis, skoro nie będę miał nadziei, że cię ujrzę w ciągu dnia? Po co będę pił i jadł, po co będę utrzymywał się przy życiu, skoro nie będę mógł przeżyć go razem z tobą? Mavis...

Zakrztusił się flegmą. Doktor Fields uniósł jego głowę i zawołał na siostrę Queensland, aby przyniosła szklankę wody. Pojawiła się natychmiast. Była dobrą pielęgniarką ze starej szkoły.

Uczyła się w Barts. Służyła w szpitalach polowych nad Sommą. Miała dużą, czerwoną twarz, ozdobioną szerokim nosem, którego czubek przywodził na myśl przycisk alarmu przeciwpożarowego.

— Majaczy — powiedział doktor Fields. — Mówi do kogoś o imieniu Mavis.

— Widziałam chłopaków w podobnym stanie w Passchendaele — odparła siostra Queensland.

— Niedługo żyli. Rozmawiali z ukochanymi dziewczynami, jakby te stały przy ich łóżkach,

tyczasem one były oddalone wiele mil od nich. Co to była za wojna...

— Dzięki niej nigdy nie będzie już następnej — zauważył doktor Fields. Sam służył podczas wojny przez rok na okręcie na Morzu Śródziemnym i na własne oczy widział agonię osiemnastoletniego chłopaka, której istoty do teraz nie potrafił zrozumieć, mimo wielu lat praktyki medycznej. Widział nastoletniego marynarza, który jeszcze dobrze nie posmakował

życia, a już zginął w strasznych męczarniach, pozbawiony przez szrapnele rąk, połowy twarzy i genitaliów.

Ułożył sir Peregrine'a wygodniej na łóżku. Stary marynarz oddychał już w miarę spokojnie.

Oczy miał zamknięte i wszystko wskazywało na to, że zapadł w głęboki sen.

— Niech pan odpocznie, doktorze — powiedziała siostra Queensland. — Na razie nie musi się pan martwić kapitanem. Ja się nim zajmę.

Doktor Fields popatrzył na sir Peregrine'a i skinął głową.

— Dziękuję, siostro. Z pewnością sobie pani poradzi. Tylko... proszę pamiętać o jednej rzeczy. Jeżeli zacznie mówić o Mavis, proszę go nie rozczarowywać. Niech mu siostra mówi, że Mavis wkrótce pojawi się przy nim, że nie powinien się o nią martwić.

— Biedny, stary marynarz — powiedziała siostra z westchnieniem. — Pewnie przez całe swoje życie rozmyślał o tej Mavis i z nikim nie mógł się podzielić swoją troską.

— Tak — przyznał doktor Fields. — Tak to zwykle bywa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Czwartkowe śniadanie miało być nadzwyczajnym wydarzeniem. Jadalnia pierwszej klasy przystrojona została na tę okazję girlandami róż, które zostały specjalnie przygotowane przez królewskich kwiaciarzy z Londynu i do tej pory przechowywane były w chłodni „Arcadii” pomiędzy wołowiną a cielęciną.

Już o godzinie dziewiątej jadalnia roziskrzona była promieniami słonecznymi i rano pachniała kwiatami oraz drogimi kosmetykami. Dwanaście ślicznych dziewcząt w greckich tunikach, z różami wpiętymi we włosy, przemykało między stołami w takt muzyki z baletu Ravela *Dafnis i Chloe*, podczas gdy stewardzi biegali z tacami, na których piętrzyły się góry świeżo usmażonych jaj, bekonu, pieczonych rybek, duszonych nerek, mózdków w czarnym maśle i całe ławice brązowych śledzi z Loch Fyne.

Serwowano szampana, herbatę z południowo-zachodnich Chin i kawę z Kostaryki. Na stołach leżały różowe obrusy i na każdym stał wielki wazon białych róż. Mimo tak wczesnej pory wszyscy pasażerowie pierwszej klasy, zgodnie z zaleceniem płatnika Willowby'ego, ubrani byli właściwie w stroje wieczorowe.

Mark czekał na Catrionę przy małym okrągłym stoliku w rogu naprzeciwko orkiestry. Gdy tylko się pojawiła, powstał i ruszył w jej kierunku. Jego nieskazitelnie biała marynarka, z wyszytym na piersi czerwona i złotą nicią herbem American TransAtlantic, podkreślała ciemną opaleniznę.

Odrobinę jeszcze zbyt bladą Catrionę wprowadził do jadalni Edgar Deacon. Nie była ubrana ani na biało, ani na różowo, chociaż te właśnie kolory zalecano pasażerom na dzisiejszy poranek.

Włożyła natomiast jasnopurpurowy kaftan z luźnymi, zwiewnymi rękawami i spódnicę tego samego koloru, mocno ściągniętą w pasie. Na głowie miała kapelusz, ozdobiony wstążką, której końce sięgały znacznie poniżej jej pleców.

— Wyglądasz o wiele lepiej niż doskonale — powiedział Mark, wyciągając swoją rękę, aby ująć jej dłoń. Rozmowy w sali stały się jakby głośniejsze, gdy pasażerowie spostrzegli serdeczność tego powitania i uśmiechy, jakimi nawzajem się obdarzyli.

— A ty wyglądasz jak Rudolf Valentino podczas wakacji na jachcie — odparła Catriona.

— Czy to jest komplement? — Mark zwrócił się do Edgara. Ten jednak ani mu nie odpowiedział, ani się nie uśmiechnął, lecz zeszywniał, ujrawszy George'a Weltermana, zaledwie dwa stoliki dalej, głośno rozmawiającego z Charlesem Schwabem.

— Smacznego — powiedział jedynie do Catriony i podsunął jej krzesło. — Wybacz, ale muszę zamienić kilka słów z panem Philipsem.

Rudyard Philips w białym, galowym mundurze, siedział na krześle kapitana i z ożywieniem opowiadał, jak podczas któregoś z rejsów „Aurory” ktoś pozamieniał buty, wystawione przed kajutami do czyszczenia. (Księżniczka Maria, znalazłszy nad ranem pod swoimi drzwiami wielkich rozmiarów męskie tenisówki zamiast własnych srebrnych bucików wieczorowych, dała wyraz swemu niezadowoleniu i pojawiła się w nich na śniadaniu).

Edgar pochylił się nad Rudyardem i powiedział przyciszonym głosem:

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym zamienić z panem dwa słowa na osobności.

Rudyard powstał, przeprosił słuchających go do tej pory pasażerów i udał się za Edgarem do przedsiönka.

— Widzę, że zdążył już pan przejąć na siebie ciężar obowiązków kapitana tego statku — zauważył Edgar.

— Tak, proszę pana. Staram się, jak mogę. Edgar pokiwał głową.

— Rozmawiałem przed chwilą z doktorem Fieldsem — powiedział. — Wszystko wskazuje na to, że sir Peregrine nigdy nie odzyska już władzy w prawej ręce ani w prawej nodze. A jeśli nawet, to po długich miesiącach rehabilitacji.

— Rozumiem.

Edgar położył dłoń na ramieniu Rudyarda, ozdobionym złotym epoletem.

— Wszyscy musimy zdać sobie sprawę, że jest to zapewne kres morskiej kariery sir Peregrine'a, chociaż prawdopodobnie pozostanie on w Keys Shipping jako doradca kompanii. W

tej sytuacji brakuje nam kapitana „Arcadii” i komandora całej floty.

— Tak — przytaknął Rudyard. Stał przed Edgarem sztywny, prosty jak słup telegraficzny.

— Rozumiem, że tęskni pan za swoją „Aurorą” — kontynuował Edgar. — W tych okolicznościach jednak zarząd kompanii jest zmuszony poprosić pana o objęcie funkcji kapitana

„Arcadii” do końca tej podróży, a także o doprowadzenie statku z powrotem przez ocean do portu w Liver — poolu. Potem... Cóż, nie jest tajemnicą, że przyszłość kompanii nie rysuje się zbyt różowo.

— Przejęcie dowództwa nad „Arcadią” to dla mnie prawdziwy zaszczyt — powiedział

Rudyard. — A o ile dobrze zrozumiałem, IMM gwarantuje ciągłość zatrudnienia dla wszystkich naszych oficerów i załóg.

— Jeżeli tylko względy ekonomiczne na to pozwolą. Chciałbym jednak, aby pan wiedział, że mogą minąć dwa albo trzy miesiące, zanim znajdziemy marynarza, który godnie zastąpi sir Peregrine'a na stanowisku dowódcy „Arcadii”. A nawet, gdy kogoś takiego znajdziemy, musi jeszcze minąć kilka tygodni, zanim zaznajomi się on ze statkiem. W związku z tym musi się pan przygotować, że jeszcze przez dość długi okres nie powróci pan na „Aurorę”.

Rudyardowi zdawało się, że nic z tego nie rozumie. Ujrzał swe odbicie w wielkim lustrze, zawieszonym na ścianie. Był blady i usta miał otwarte. Sprawiał wrażenie przypadkowego przechodnia, który właśnie był świadkiem strasznego wypadku samochodowego. Wrażenie to było mylne, gdyż dosłownie przed chwilą wypadek przydarzył się właśnie jemu.

— Czy zgadza się pan z takim rozwiązaniem? — zapytał Edgar, odrobinę zdziwiony przedłużającym się milczeniem Rudyarda.

— Właściwie to przyjąłem za pewnik, iż to ja jestem sukcesorem sir Peregrine'a —

powiedział Rudyard, bardzo się starając, aby jego głos nie drżał. — I że przejmę po nim dowództwo „Arcadii”.

— Tak? — rzucił Edgar. Najwyraźniej spodziewał się, że Rudyard powie coś więcej.

— Zakładałem, że jeżeli coś przytrafi się sir Peregrine'owi... to znaczy nie spodziewałem się jego nagłej choroby... ale raczej przejścia na emeryturę... lub decyzji, że pływanie na statku jest dla człowieka w jego wieku zbyt ciężkim zajęciem... Przepuszczałem, że wówczas ja przejmę po nim „Arcadię”.

— Właśnie ją pan przejmuje — zauważył Edgar.

— Ale tylko tymczasowo.

— Tak.

— Dlaczego? Uważam, że jestem naturalnym sukcesorem sir Peregrine'a. Poza tym wiele lat spędziłem na morzu i mam wystarczająco duże doświadczenie, aby dowodzić tym statkiem.

Edgar objął Rudyarda w pasie i odezwał się do niego ciepłym, ojcowskim tonem:

— Wszystko to wiemy, panie Philips. Znamy przebieg pana służby i wiemy, od jak wielu lat służy pan wiernie kompanii. Ale, wyznaczając komandora floty, musimy też brać pod uwagę, jak ten wybór wpłynie na ocenę kompanii przez podróżujących naszymi statkami pasażerów. Czy mnie pan rozumie? Potrzebujemy komandora, który jest nie tylko doświadczonym marynarzem, ale ma również prezencję doświadczonego marynarza. Takiego starego wilka morskiego, który pływał już po wszystkich morzach, jeżeli pan woli. Musi to być mężczyzna o odpowiednim wyglądzie, postawie i wieku.

— Czyżby miał pan zastrzeżenia do mojej postawy? — Panie Philips, przecież zupełnie nie o to mi chodzi.

Usiłuję panu wytłumaczyć, że potrzebny jest nam człowiek, który odpowiadałby powszechnym wyobrażeniom o tym, jak powinien prezentować się najwyższy rangą oficer w całej flocie.

— Pomija pan moją kandydaturę tylko dlatego, że nie mam siwej brody?

— Oczywiście, że nie. Poza tym, nikt pana nie pomija. W końcu jest pan nadal kapitanem na drugim co do wielkości naszym luksusowym parowcu. Przecież nie może pan kręcić nosem na

„Aurorę”.

— „Aurora” to nie „Arcadia”, panie Deacon, i cholernie dobrze pan o tym wie. „Aurora” jest stara, ociążała i nie ma w sobie ani krzty elegancji.

— Panie Philips, niech pan nie przesadza. Jeśli Keys Shipping nadal pozostanie niezależną kompanią, zarząd wkrótce wybierze nowego komandora floty. Tymczasem będzie pan pełnił funkcję kapitana „Arcadii”. To wszystko.

— Nie do końca pana rozumiem — stwierdził Rudyard. Złość, strach i rozczarowanie sprawiły, że w swym odświętnym mundurze pocił się niczym portier w łaźni tureckiej. —

Liczyłem, że bezwarunkowo obejmę funkcję po sir Peregrinie.

— Liczył pan na to? — powtórzył Edgar, przechylając głowę na bok. — Cóż, bardzo mi przykro, że się pan rozczarował.

— Liczyłem — warknął Rudyard, lecz zabrakło mu słów, aby powiedzieć Edgarowi, jak bardzo. Był poniżony i zdesperowany, tym bardziej że tak niedawno przecież wysłał do Toy telegram, informujący ją, iż w żadnym wypadku nie może rozważać jej propozycji podjęcia pracy na lądzie i że spotkał kobietę, z którą chce się związać na dalsze życie. A teraz dowiedział się właśnie, że „Arcadia” nigdy nie będzie należała do niego i z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczał, że i Louise w tej sytuacji nie będzie go chciała.

— Nie powinien pan być zanedo rozczarowany — powiedział Edgar, mimo że Rudyard prawie go w tej chwili nie słuchał. — Jeżeli Keys zakupiona zostanie przez IMM, otworzy się przed panem możliwość dowodzenia kilkoma innymi statkami, należącymi do tej właśnie kompanii. Na przykład „Mauretanią”.

— Lepiej będzie, jak powrócę do pasażerów — przerwał mu Rudyard gwałtownie.

— Panie Philips, chyba nie był pan na serio przekonany, że automatycznie przejmie pan ten statek, co? Nie otrzymał pan przecież żadnej obietnicy ani ustnej, ani pisemnej.

— Nie, nie otrzymałem. Edgar westchnął, jakby z ulgą.

— Niech pan wraca do pasażerów — powiedział.

Gdy Rudyard ponownie znalazł się przy kapitańskim stoliku, jeden ze stewardów podsunął mu krzesło. Zaczął jeść automatycznie jajecznice i kielbaski, kiwając głową i uśmiechając się od czasu do czasu do pasażerów, którzy siedzieli naprzeciwko niego i usiłowali zabawiać go rozmową. Była wśród nich baronówna Zawisza, tego ranka w doskonałym nastroju. Sabran przegrał w nocy ostatniego centa, a próbując się odegrać, dodatkowo pozostawił przy karcianym stoliku weksel na pięćset funtów. Nie miał więc innego wyjścia, jak udać się z prośbą do baronówny o wykupienie weksla. Zawisza uczyniła to chętnie, zażądała jednak w zamian całej nocy niewolniczych usług, w tym i swej ulubionej pieszczoty, to znaczy pieprzenia jej, gdy śpi.

Albo przynajmniej, gdy prawie śpi.

— Wygląda pan na zamyślonego, kapitanie — odezwała się teraz do Rudyarda. — A miał pan nam opowiedzieć o tym, jak zgubił pan śrubę okrętową u wybrzeży Krety.

— Właśnie dowiedziałem się, że nie zostanę na stałe kapitanem „Arcadii” — odparł Rudyard.

Sprawy personalne były wewnętrznymi problemami kompanii i za nic w świecie nie należało wtajemniczać w nie pasażerów; Rudyard popełnił w tej chwili niewybaczalny błąd. Rozmowa z Edgarem tak głęboko go jednak załamała, że musiał się z kimś podzielić swoim rozczarowaniem.

Tym kimś nie mógł być nikt z załogi ani nawet Louise Narron. Widział ją, jak wesoło rozmawia, na zmianę odwracając głowę w kierunku Jacka Dempseya i George’a Weltermana; czuł, że w tej chwili byłby w stanie ją udusić.

— Musi pan być bardzo zawiedziony — stwierdziła baronówna Zawisza.

— Ja... — zaczął głośno Rudyard, ale zaraz zniżył głos do szeptu. — Tak, jestem rozczarowany. To jest naprawdę wspaniały statek. Nie przypomina żadnego innego spośród tych, które obecnie pływają po Atlantyku, nie wykluczając „Mauretanii”.

Sabran, siedzący obok baronówny, zapalił papierosa, dwa lub trzy razy wciągnął dym, po czym zgasił go pomiędzy resztkami swoich śledzi. Baronówna lekko uderzyła go w rękę, a następnie ponownie zwróciła się do Rudyarda:

— Widzi pan, wszyscy mamy swoje problemy. Któregoś razu podróżowałam brzegiem rzeki i ujrzałam wieśniaka, leżącego na ziemi pod ciężarem ogromnej beli drewna, spod której nie mógł się wydostać, a i ja nie byłam w stanie mu I pomóc. Co mogłam zrobić? Zwilżyłam mu spieczone wargi, szampanem, nakarmiłam wędzonym mięsem przepiórczym i ruszyłam w swoją drogę.

— Bardzo mu pani ulżyła — stwierdził Rudyard.

— Kobieeeeety — westchnął Sabran. — Jakie one są okrutne. Tymczasem Maurice Peace z apetytem jadł śniadanie.

Przepisowo wsunął pod kołnierzyk serwetkę i delektował się na zmianę bekonem i smażonymi rybkami, popijając kawę i wodę sodową. Ostatniej nocy wygrał sporo pieniędzy i w tej chwili jedynym jego zmartwieniem był brak chmur na horyzoncie. Był bowiem piękny, spokojny dzień i

„Arcadia” płynęła bardzo szybko. Zastanawiał się, czy nie spowodować pożaru na statku; przepisy i zdrowy rozsądek nakazywały gasić płomień przy minimalnej szybkości.

Gdzieś w kącie Joe Kretchmer i Duncan Wilkes z trudem kontynuowali swój pojedynek.

Siedzieli naprzeciwko siebie, oddzieleni blatem stołu i siedemnastoma potrawami, przygotowanymi na śniadanie. Na widok mózdków w czarnym maśle Duncan Wilkes niemal się poddał; wczorajszego dnia zjadł dwie porcje i bardzo mu nie smakowały, a teraz powróciły do niego na talerzu niczym najgorszy koszmar.

Henrietta Chibnall, sekundantka pana Kretchmara, zaczynała się nudzić całą tą głupią zabawą.

Jej podopieczny wcale nie wyglądał tak źle, jak się tego spodziewała, a ją coraz bardziej denerwowały jego głośne jęki, postękiwania i puknięcia, które wymykały się z jego trzewi coraz częściej. Już z prawdziwym wstrętem wykonywała jeden ze swoich podstawowych obowiązków, to jest ocieranie tłuszczu, nieustannie kapiącego z jego ust.

Grace Bunyon z kolei, sekundantka Duncana Wilkesa, niemal kompletnie straciła dla niego głowę i zamartwiała się bez przerwy, że pod koniec podróży Duncan będzie tak gruby, iż już do niczego nie będzie się nadawał, a szczególnie do romansowania. Dzielnie jednak ocierała jego spocone czoło i cytowała Szekspira, chcąc natchnąć go duchem do dalszej walki. Nie miała pojęcia, że Duncan Wilkes ma niezachwiane przekonanie, iż jego serce nie wytrzyma tego pojedynku i zanim „Arcadia” dotrze do Nowego Jorku, on będzie martwy.

Myśl ta nie przerażała go. Przez całe życie, budując swoje własne gazetowe małe imperium, nie unikał konsekwencji podejmowanych decyzji, czy były one dobre, czy też złe. Tym razem postanowił, mądrze albo głupio, że będzie toczył pojedynek z Joe Kretchmerem, i wiedział, iż raczej umrze, niż się podda. Wierzył w Boga i niebo, do którego po śmierci trafiają dobrzy, prawi ludzie; za takiego uważał i siebie, dlatego też był przekonany, że pewnego dnia zasiądzie w towarzystwie aniołów przy boskim stole. Owszem, będzie tęsknił za wszystkimi ziemskimi przyjemnościami, ale będzie mógł w niebie jeść bez końca i to osłodzi mu tę drobną gorycz.

Maurice Peace wrażliwym nosem zawodowego hazardzisty bezbłędnie wyczuł rezygnację Duncana Wilkesa i przyjął ją z wielką ulgą. Zbyt wiele już razy widział w życiu ludzi umierających w imię wygranej, by wobec cichej tragedii Duncana Wilkesa odczuwać jakikolwiek smutek.

Mark Beeney, który zamówił na śniadanie jedynie grejpfruta, trzy tosty i butelkę szampana, zerknął w kierunku stołu Wilkesa–Kretchmera i uśmiechnął się.

— Szczerze podziwiam tych facetów — powiedział. — Wątpię, czy gdy skończą, będą jeszcze kiedykolwiek chcieli jeść.

— Pan Deacon najprawdopodobniej każe wpisać to, co zjedzą, w koszty kompanii. Twierdzi, że obaj robią Keys Shipping dobrą reklamę. Tym bardziej że przecież pan Wilkes posiada własne gazety — zauważyła Catriona. Podszedł steward i zamówiła jajka i kawę.

— Czy czujesz się już lepiej? — zapytał Mark.

— Chyba tak. Przespałam się dzięki tabletkom doktora Fieldsa i najgorsze mam już za sobą.

Dziwię się jednak, jak on ma czelność siedzieć tutaj, jak gdyby nic się nie wydarzyło. —

Wskazała ruchem głowy na George'a Weltermana.

— To w jego stylu. Taki gruboskórny goryl. Nie ma w nim ani trochę przyzwoitości.

— Wiesz, że on ma okropne szramy na piersiach? — zapytała Catriona. — To straszne.

Prawdopodobnie sam to sobie zrobił. Wyrył na klatce piersiowej słowo MYRTLE.

— Idiota — mruknął Mark. Było widać, że nie chce rozmawiać o George'u Weltermanie. Dla Catriony był to widoczny znak jego oddania. Mężczyzna, który kocha, nigdy nie chce rozmawiać z kobietą o innych znanych jej mężczyznach. Chce, aby udawała, że to on jest pierwszym.

Pierwszym, który kupił jej biżuterię, pierwszym, który razem z nią pił szampana. Pierwszym, który kocha ją tak bardzo, że gwiazdy zdają się eksplodować nad jej łóżkiem.

Catriona położyła dłoń na różowym obrusie i Mark natychmiast przykrył ją swoją opaloną ręką.

— Czuję się, jakbym nie miała ci nic do ofiarowania — powiedziała do Marka. — Czuję się, jakby George Welterman wszystko wydarł mi siłą.

— Nonsens. Rozumiem cię, rozumiem, co czujesz, ale to wszystko jest nonsensem.

— Naprawdę tak myślisz?

Mark pochylił się ku niej i powiedział cicho:

— George Welterman niczego ci nie odebrał. Zniszczył jedynie samego siebie i odarł z własnej godności.

Catriona bardzo pragnęła mu uwierzyć. Niestety, szok po gwałcie zadany przez George'a Weltermana ustąpił jedynie miejsca niezmiernie pustce, która ją ogarnęła. Pragnęła Marka.

Miała nadzieję, że będzie potrafiła mu ufać. Jednak... Czowała się zdradzona i sponiewierana przez tak wielu ludzi, a nie jedynie przez George'a Weltermana. Czowała się zdradzona przez tych wszystkich, którzy dopuścili, by George zrobił z nią to, co chciał, i pozostał bezkarny. Życie i interesy toczą się dalej, Catriono. Nie możesz wywrócić kruchej łodzi na pełnym morzu tylko dlatego, że ktoś cię zgwałcił. A poza tym, jak udowodnisz, że to był gwałt? Zresztą, jeśli to nawet był gwałt... Ciesz się, że zrobił ci to biały i powszechnie szanowany mężczyzna... Masz szczęście, że nie tknął cię nikt z trzeciej klasy... Wtedy dopiero poczułabyś naprawdę, co to jest gwałt!

— Jedz — powiedział Mark. — Musisz odzyskać siły.

Catriona pokiwała głową. W jej oczach niespodziewanie pojawiły się łzy.

— Przepraszam cię. — Uwolniła rękę spod jego dłoni. — Nie powinnam być taka roztrzęsiona, przecież jest już po wszystkim. Powinnam się opanować.

Mark wpatrywał się w nią przez chwilę.

— Teraz żałuję, że go nie zabiłem — powiedział.

— Zabiłbyś go?

— Nie wiem. Wczoraj wyciągnąłem nawet rewolwer z biurka i załadowałem go. Niestety, zabicie George'a Weltermana nie rozwiązałoby żadnego problemu, a tylko by wszystko jeszcze pogorszyło. Skończyłaby się dla nas przyszłość...

— Chyba masz rację — przytaknęła Catriona. — Dziękuję ci jednak, że o tym pomyślałeś. To taki wstrętny typ.

Mark potrząsnął głową.

— Przestań mi dziękować — powiedział. — Porozmawiajmy lepiej o interesach.

— Nie chcę rozmawiać o interesach. Jeżeli powiesz słowo na ten temat, zacznę krzyczeć.

Mark podniósł głowę znad tostów.

— Nie krzycz, dookoła jest zbyt wielu skacowanych ludzi. Zamierzałem ci powiedzieć, iż nie chcę, aby koniec tej podróży był jednocześnie końcem naszej znajomości. Prawdę mówiąc, pragnę, abyś po zacumowaniu „Arcadii” w Nowym Jorku pojechała ze mną na tydzień lub dwa do Bostonu. Mogłabyś wziąć ze sobą Alice jako przyzwoitkę.

Po chwili milczenia Mark kontynuował bardzo poważnym tonem.

— Oszalałem na twoim punkcie, Catriono, jeżeli chcesz znać prawdę. Może to brzmi zbyt absurdalnie i niewiarygodnie, ale tak właśnie jest. Kocham cię. Jeszcze nigdy tak nie kochałem.

Catriona wahała się przez moment, po czym znów dotknęła jego dłoni i odezwała się:

— To, co się stało wczorajszego wieczoru... Mark skrzywił się.

— Są ludzie, dla których to wydarzenie miałoby negatywny wydźwięk. Ale nie dla mnie.

Wiem, jaki jest George, i wiem, że nie było w tym ani trochę twojej winy. Mam jedynie nadzieję, że wybaczysz mi, iż nie zjawiłem się tam znacznie wcześniej.

— Musisz dać mi trochę czasu...

— Wiem.

— Powiedziałaś, że mnie kochasz. Wierzę ci. Muszę się jednak zastanowić nad sobą. Mark ciężko westchnął.

— Catriono Keys, przyjmę z pokorą każdą twoją decyzję. Lecz pamiętaj, że cię kocham i że czekam.

W chwili, gdy Catriona pochylała się nad stolikiem, aby pocałować go w policzek, Mark kątem oka zauważył Marcie Conroy. Pojawiła się właśnie w drzwiach ubrana w białą-różową sukienkę. Stała przez chwilę u wejścia do jadalni; stała tak długo, dopóki nie spostrzegła Marka i Catriony. Sytuacja była jednoznaczna, a reakcja Marcii natychmiastowa: odwróciła się na pięcie i wybiegła na zewnątrz, potrącając stewarda niosącego tacę pełną koktajli.

Życie na liniowcu oceanicznym pełne jest plotek i towarzyskich skandali. Pasażerowie zgromadzeni w jadalni zauważyli, co się wydarzyło, i chociaż nie wszyscy to zrozumieli, z całą pewnością wydarzenie owo dostarczyło im tematów do rozmów na cały, właśnie się rozpoczynający dzień.

Tylko jeden pasażer pierwszej klasy nie widział ucieczki Marcii, ponieważ miał tego dnia na głowie coś o wiele poważniejszego niż zajmowanie się towarzyskimi nieporozumieniami. Harry Pakenow powrócił do trzeciej klasy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Harry już raz tego rana próbował dostać się do ładowni, położonej obok pralni i dokładnie pod basenem; tam właśnie umieszczono wszystkie samochody, które przewoziła „Arcadia”.

Ładownia znajdowała się poniżej linii wody, a prowadzące do niej drzwi opatrzone były napisem: PRZEJŚCIA NIE MA. DRZWI WODOSZCZELNE. Harry zapytał nawet kogoś z załogi, czy mógłby mimo wszystko dostać się do środka, ale otrzymał stanowczą odpowiedź

odmowną. Nie wpadł na to, że sprawę rozwiązałby jeden suty napiwek.

Dowiedział się jednak, że klucz do drzwi prowadzących do ładowni posiada płatnik. Bez jego zgody wejście do ładowni jest niemożliwe.

Wcześniej Harry'emu nie przyszło nawet do głowy, że dotarcie do marmona podczas rejsu okaże się prawie niemożliwe. Miał pecha. Jedynym człowiekiem, który mógł mu teraz pomóc, był Monty Willowby, facet, którego nie lubił jak nikogo innego na pokładzie statku i który z całą pewnością nie spełni prośby Harrego. No bo w końcu, czego mógłby szukać pasażer z trzeciej klasy wśród samochodów należących do podróżnych z klasy pierwszej?

Zrezygowany Harry powrócił na swój pokład i rozpoczął poszukiwania Philly i Lydii.

W jadalni trzeciej klasy podawano właśnie śniadanie. Pasażerowie siedzieli przy długich stołach przykrytych czerwonymi obrusami, a stewardzi serwowali soki owocowe, bekon, jajka, owsiankę, śledzie i tosty. Za dodatkowe trzy pensy każdy mógł kupić sobie klopsa lub kotlet, a za sześć pensów czarny pudding, pieczone banany i frytki. Sprzedawanie dodatkowej żywności pasażerom z trzeciej klasy nie było właściwie inicjatywą kompanii, lecz stewardów i szefów kuchni, którzy umożliwiali im zamawianie za drobne pieniądze porcji zwiększających skromne i niezbyt urozmaicone racje, jakie należały się im z tytułu wykupienia biletu. Jeżeli biedni nauczyciele, studenci czy polscy imigranci mieli trochę więcej pieniędzy, mogli zamawiać szampana po trzy szylingi za szklaneczkę.

Większość podróżnych z trzeciej klasy miała jednak bardzo mało pieniędzy, a nawet ci, których byłoby na to stać, krępowali się zajadać czarny pudding i frytki z wielkich talerzy w towarzystwie ludzi, którzy musieli zadowalać się śledziami w oleju. Zresztą i tak woleli wydać te pieniądze wieczorem na piwo.

Harry natknął się na Philly akurat, gdy wychodziła z toalety. Miała świeżo upudrowany nos i starannie wymalowane usta. Ubrana była w krótką, zieloną sukienkę, jej głowę zdobił tani kapelusz z piórkiem.

— Harry! — zawołała. — Myślałam, że podróżujesz z możnymi tego świata!

— Tak jakby — odparł Harry. — Przyszedłem tutaj jednak, bo potrzebuję pomocy.

— Pomocy? — zapytała Philly podejrzliwie.

— Och, to nic nadzwyczajnego. Chociaż sprawa jest trochę skomplikowana, mętna...

Rozumiesz, co mam na myśli?

— Mętna?

— Cicho — syknął Harry, przykładając palec do ust. — Powiem ci prawdę, jestem jakby...

przemytnikiem. Przewożę do Nowego Jorku dużo alkoholu. Zawarłem kontrakt z Hoy — le's Homelike Club z Drugiej Alei. To bardzo ekskluzywne miejsce. Wiozę dla nich prawdziwą szkocką whisky i dżin z Londynu.

— No i co z tego? — zapytała Philly. Wyznanie Harry'ego nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Każda amerykańska studentka w owym czasie uznałaby przemyt alkoholu za samo dobry sposób zarabiania pieniędzy, jak każdy inny.

— Widzisz, w jednym z pasażerów pierwszej klasy rozpoznałem agenta federalnego zajmującego się zwalczaniem kontrabandy. Nie dowiedziałbym się, że płynie tym statkiem, gdyby mnie tam nie zaprosili. Otóż ten facet dostał w Liverpoolu cynk, że ukryłem alkohol w bagażniku jednego z pojazdów przewożonych w ładowni „Arcadii”. Najprawdopodobniej w Nowym Jorku będzie czekał przy tym samo — chodźcie, żeby mnie aresztować.

— Czy w pierwszej klasie naprawdę jest tak pięknie? — zapytała Philly, zupełnie nie na temat.

— Wspaniale — odparł Harry niecierpliwym tonem.

— Naprawdę wspaniale?

— Naprawdę, możesz mi wierzyć. Philly... Czy mi pomożesz?

— Martwisz się, ponieważ jakiś gliniarz będzie chciał cię przyskrzynić przy jakimś samochodzie? Przesadzasz, Harry. Przecież możesz spokojnie opuścić statek i iść w swoją stronę.

A on niech sobie pilnuje samochodu tak długo, aż mu urośnie broda. Przecież nie może udowodnić, że cokolwiek w tym automobilu należy do ciebie, prawda?

Harry ujął ją pod ramię.

— Nic nie rozumiesz, Philly — powiedział. — Wydałem na te alkohole mnóstwo pieniędzy.

Własnych pieniędzy. Zainwestowałem w to niemal wszystko, co przez trzy lata zarobiłem w Anglii. Jeżeli nie ukryję tego w jakiś sposób przed agentem i nie sprzedam w Nowym Jorku, będę kompletnie bez grosza. Będę skończony!

— Ale jak ja ci mogę pomóc?

— To bardzo proste. Po prostu musisz na chwilę odwrócić uwagę płatnika. Ja w tym czasie wślizgnę się do jego biura i pożyczę sobie klucze do ładowni.

— Odwrócić uwagę? — zapytała Philly podejrzliwie.

— Chyba wiesz, co mam na myśli. Po prostu musisz udawać, że go uwodzisz.

Philly zmarszczyła nos. Zadanie nie przedstawiało dla niej żadnych trudności, uważała jednak, że Harry złożył jej propozycję zbyt bezpośrednio i zbyt szybko założył, że ona się na coś podobnego zgodzi.

Harry tymczasem zapalił papierosa.

— Jeżeli wszystko się uda, dostaniesz setkę — powiedział. — Co ty na to?

— Sto dolarów?

— Chyba powiedziałem wyraźnie.

Philly namyślała się jeszcze tylko przez chwilę.

— Zgoda, Harry — postanowiła. — Ale będę tylko odwracała jego uwagę, na nic więcej nie licz. Nie zrobię z siebie dziwki za nędzną setkę. Tak przy okazji, kiedy ją dostanę?

— Kiedy tylko sprzedam przemycony alkohol. Jeżeli zostawisz mi swój adres, wyślę ci czek.

— Hmm... Będę miała na książki. Harry ujął jej dłonie i uściśnął je.

— Jesteś wspaniała, Philly. Wiedziałem, że będę mógł na ciebie liczyć.

Poszli do windy. Philly nie była pewna, czy wpuszczą ją tam, gdzie wstęp zarezerwowany był tylko dla pasażerów pierwszej klasy, lecz Harry uspokoił ją:

— Jesteś ze mną, a ja jestem tutaj bohaterem. Pozwolą mi na wszystko.

Poprowadził ją prosto do biura płatnika. Monty (choć oboje tego nie wiedzieli) powrócił

właśnie z bezowocnej wyprawy do kajuty baronówny Zawiszy, gdzie usiłował odkręcić deskę klozetową. Niestety, przeszkodziła mu Krysia, służąca baronówny; zjawiała się w kajucie po perłowe klipsy swej pani, Zawisza bowiem zwykle zmieniała biżuterię cztery, a nawet pięć razy w ciągu dnia. Musiał wystękać jakieś usprawiedliwienie, że sprawdza sedesy, gdyż niektórzy pasażerowie narzekają, iż woda spływa w nich zbyt głośno, po czym natychmiast wyszedł, zrezygnowany i wściekły. Nic dziwnego, że w chwili, gdy Harry zapukał do jego gabinetu, płatnik nie był w najlepszym humorze.

— Ach, nasz bohater! — zawołał. — Dlaczego nie ma pana na śniadaniu? Wszystkim pasażerom pierwszej klasy zaproponowaliśmy dzisiaj nadzwyczajne śniadanie. Coś, dla Czego warto zwlec się z łóżka i zejść do jadalni.

— Ja... właśnie zastanawiałem się, czy mógłbym zabrać ze sobą na śniadanie tę młodą damę.

— Co? Tę damę? Z trzeciej klasy? Niestety, to niemożliwe.

— Och, jestem pewien, że bekonu i jajek wystarczyłoby również dla niej — powiedział Harry.

— Poza tym ona wcale i nie je, prawda, kochanie?

Philly zachichotała, a Harry pomyślał: Cholera, Philly, masz go uwodzić, a nie śmiać się jak dziewięcioletnia dziewczynka.

— Nie o to chodzi, przyjacielu. Przecież nie przygotowaliśmy dla tej pani miejsca — zaczął

wyjaśniać Monty. — I nie ma już na to czasu, nakrycia bowiem muszą znajdować się na swoich miejscach przed rozpoczęciem posiłku. Poza tym ta pani jest nieodpowiednio ubrana. Wszystkie damy z pierwszej klasy poproszono, aby tego ranka pojawiły się w jadalni w strojach różowych lub białych, tak aby kolory ich sukienek współgrały z dekoracją sali. Natomiast ta młoda kobieta

— niemal z pogardą zmierzył wzrokiem Philly, chcąc wyrazić swój niesmak dla taniego, znoszonego stroju, jaki miała na sobie, i dziwaczного w jego pojęciu, kapelusza — ubrana jest na zielono.

Harry tymczasem rozglądał się po całym gabinecie, chcąc zorientować się, gdzie są klucze, których potrzebuje. Nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że wiszą w otwartej gablocie nad sejfem i pudełkami depozytowymi.

— Na zielono? — powtórzył za Montym i roześmiał się. — Powiem coś panu: jeżeli można tę kobietę kojarzyć z jakimkolwiek kolorem, to z całą pewnością nie z zielonym.

Monty albo nie zrozumiał tego, co zasugerował Harry, albo nie chciał zrozumieć. Wziął kilka kartek papieru z grubego stosu na biurku i zaczął je przeglądać. Po chwili podniósł głowę i popatrzył na Philly i Hardego, jakby nie bardzo wiedział, dlaczego sobie jeszcze nie poszli.

— Słuchaj pan — odezwał się do Harry'ego. — Nic na to nie poradzę. To nie mój pomysł ani również załogi tego statku. Spełniamy jedynie życzenia pasażerów. Nie płacą wielkich pieniędzy za podróż w pierwszej klasie po to, żeby jadać w towarzystwie ludzi z trzeciej klasy.

Philly uśmiechnęła się do niego zalotnie.

— A czy pan nie ma takiej władzy, żeby dla mnie uczynić wyjątek?

Monty potrząsnął przecząco głową. Philly tymczasem przysiadła na skraju jego biurka. Jej spódniczka, i tak już skandalicznie krótka, jak na standardy roku 1924, uniosła się wysoko ponad kolana, odsłaniając nawet drobne fragmenty bladych ud, i to od wewnętrznej strony.

— Ale pan jest przystojny — powiedziała i roześmiała się. — Gdybym miała nadzieję, że nie wybrał pan sobie jeszcze jakiejś kobietki z pierwszej klasy, czy wie pan, co bym zrobiła?

Monty nie mógł oderwać wzroku od jej ud.

— Nie wiem — odparł. — Co byś zrobiła?

— Obsypałabym pana pocałunkami — zachichotała Philly, po czym niespodziewanie pocałowała go w czoło, pozostawiając na nim ślad po szmince.

Monty popatrzył na nią całkowicie zaskoczony. Pocałunek jakby obudził w nim nowego człowieka.

— Niestety — powiedział z żalem. — Nie możesz tego zrobić.

— Jak to nie? Przecież właśnie zrobiłam!

— Nie możesz zjeść śniadania w pierwszej klasie, to miałem na myśli. Przepisy są przepisami.

Nie mają najmniejszego związku z tym, co chcesz...

Philly znów roześmiała się piskliwie. Zeskoczyła z biurka i błyskawicznie wskoczyła Monty'emu na kolana.

— Jaki jesteś słodki — powiedziała, drażniąc palcem koniec jego nosa. — Dlaczego taki słodki chłopczyk miałby martwić się jakimiś głupimi przepisami?

Monty spróbował zsunąć Philly ze swoich kolan, starając się jednocześnie nie dotknąć jej w żadnym niestosownym miejscu. Philly jednak zareagowała zupełnie dla niego nieoczekiwanie: objęła go za szyję, zaczęła machać w powietrzu nogami i głośno się śmiać. Harry tymczasem, z kwaśnym uśmiechem przyklepionym do twarzy, okrążył biurko Monty'ego, zbliżając się do gabloty z kluczami. Wreszcie znalazł się przy niej bez żadnych przeszkód, gdyż Philly na dobre zaczęła zasypywać pocałunkami czoło i policzki płatnika. Ujrzał kilkanaście pęków kluczy zawieszonych na haczykach. Każdy z nich, na szczęście, był opisany.

— Halo, kobieto! — zawołał Monty. — Daj mi spokój, wstawaj, zostaw mnie w spokoju.

— Strasznie niepoprawna młoda osóbka, prawda? — odezwał się Harry zza pleców Monty'ego. — A co potrafi, przekonałem się już na własnej hmm... skórze.

Monty zdołał uwolnić się od Philly, po prostu nagle wstając i zrzucając ją na podłogę. Nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, dziewczyna potoczyła się aż pod ścianę. Jej sukienka na chwilę zadarła się tak wysoko, że Monty bez trudu mógł zobaczyć majtki, teraz jednak dość skutecznie szukał spojrzeń w jej kierunku.

— Dętka jesteś — narzekała Philly, wstając.

— Może pani sobie o mnie myśleć, co się pani żywnie podoba — stwierdził Monty — lecz doskonale znam swoje obowiązki na tym statku i Bóg mi świadkiem...

Niespodziewanie odwrócił się i popatrzył na Harry'ego, który właśnie zbierał się w sobie, aby wyciągnąć rękę i sięgnąć po klucze. Monty nie powiedział ani słowa, ale wyraz jego twarzy wystarczył za wszystko. Harry musiał uśmiechnąć się i cofnąć o kilka kroków; sprawiał wrażenie chłopca, którego właśnie przyłapano podczas próby zrobienia jakiegoś głupiego figla. Próbował

zachowywać się swobodnie, nonszalancko, a mimo to na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

Minęła już godzina dziesiąta i jeżeli się nie dostanie do marmona w ciągu najbliższych dwóch godzin, najprawdopodobniej dynamit w bagażniku auta zostanie odkryty przez Maurice'a Peace'a albo George'a Weltermana, a wówczas „Arcadia” wpłynie do Nowego Jorku równie dostojnie i elegancko, jak opuściła Liverpool, niczym pływający triumf dekadencji i ucisku.

Fakt, podczas tego rejsu Harry uzyskał o bogaczach znacznie więcej informacji, niż posiadał

ich do tej pory. Po raz pierwszy w życiu skłonny był uznać ich niemal za ludzi takich samych jak i on, nawet czasami równie sympatycznych jak jego towarzysze—rewolucjoniści. Zarazem jednak zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu mieszać politycznych idei z osobistymi odczuciami, na które przecież zgubny wpływ miał niewątpliwy komfort, jaki go otoczył w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Niezależnie od tego, jak miłe potrafiły być poszczególne jednostki z grona bogatych, razem tworzyły zbiorowość, którą Harry potrafił określić wyłącznie pogardliwymi słowami: wyzyskiwacze, oszuści, kryminaliści.

— Ja... ja rozumiem, że w żadnym wypadku nie mogę zabrać tej damy na śniadanie... —

wystękał Harry, odzyskawszy mowę.

— Przykro mi, człowieku — odparł Monty. — Jest to absolutnie niemożliwe. A teraz wybaczcie mi oboje, ale...

Monty Willowby zawiesił głos i nastąpiła niezręczna chwila, w której żadne z trojga ludzi znajdujących się w jego biurze nie wiedziało, co dalej, w którą stronę się ruszyć. Sprawa Harry'ego była definitywnie przegrana, chyba że pomógłby mu jakiś szczęśliwy traf, uśmiech fortuny. I niewiarygodne, ale coś takiego nastąpiło. W drzwiach bowiem pojawił się Dick Charles, blady na twarzy, i zawołał:

— Panie Willowby! Proszę natychmiast za mną.

— O co chodzi? — zdziwił się Monty.

— Nie mo...mogę pa...panu powiedzieć — wyjąkał Dick. — Ale szy...szy...szybko! Tak ka...kazał p...p...pan Deacon.

Monty zacisnął zęby i popatrzawszy na Harry'ego i Philly, powiedział:

— Przepraszam państwa.

Po czym bez chwili zwłoki pobiegł za Dickiem Charlesem. Harry aż zatarł dłonie z radości.

— Po raz pierwszy w życiu dopisało mi szczęście — stwierdził. — Facet wybiegł, jakby go ktoś gonił, i na dodatek zostawił otwarte biuro. Cholera, może jednak Bóg istnieje?

Philly stanęła przed lustrem i poprawiła makijaż.

— Co za dziad! — odezwała się. — Gdybym wiedziała, że jest taki wstrętny, nigdy nie przyjąłabym twojej propozycji. Nie zapomnij o mojej stówie, dobra?

— Pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt? Co to za żarty? Mówiłeś, że sto.

— Powiedziałem sto, jeżeli ci się powiedzie. A ty w niczym mi nie pomogłaś. Facet po prostu wybiegł stąd i zostawił nam całe biuro do dyspozycji. Nie ma w tym ani odrobiny twojej zasługi.

Ciesz się, że daję ci pięćdziesiąt.

— Jeżeli nie dasz mi setki, zacznę wrzeszczeć, że mnie gwałcisz.

— A wrzeszcz sobie.

— W porządku. Ludzie! Ratunku! Gwałci mnie...

— Za cicho, Philly — powiedział Harry. Stał przed gablotą z kluczami i poszukiwał karteczki oznaczającej klucz do ładowni.

— Co to znaczy, że za cicho? — zdziwiła się Philly.

— To, co słyszysz — odparł Harry. W pośpiechu odczytywał napisy na karteczkach: pralnia, biblioteka, magazyn bielizny nr 1, magazyn bielizny nr 2...

— A co powiesz teraz? Gwałt! Na pomoc, ludzie, on mnie gwałci!

— Głośniej — ponaglił ją Harry.

— W porządku, ty sukinsynu. Na pomoc! On mnie gwałci! Claude Graham–White, który właśnie przechodził korytarzem, wsunął głowę do środka i zapytał:

— Co tu się dzieje! Czy wszystko w porządku?

— Nic nie jest w porządku — odparła Philly z oburzeniem. — Ten facet mnie gwałci.

Claude Graham–White popatrzył najpierw na Philly, stojącą przy biurku z zaciśniętymi pięściami, a potem na Hardego, który zwrócony był do dziewczyny plecami.

— Nie chciałbym się wymądrzać — stwierdził — ale ten mężczyzna znajduje się w odległości przynajmniej ośmiu stóp od pani i na dodatek stoi do pani tyłem. Nie rozumiem, jak w takiej sytuacji możliwy jest gwałt.

— Niech mi pan uwierzy na słowo, jeszcze przed chwilą ten cham dobierał się do mnie.

— Ale jak?

— Powiedział, że da mi sto dolarów, a potem nagle stwierdził, że jestem warta tylko pięćdziesiąt.

— Hmm — mruknął Claude Graham-White. — Wygląda na to, że przeszkadzam w zawarciu poważnej transakcji. Cóż, to chyba nie moja sprawa.

— Sugeruje mi pan, że... — zawołała Philly piskliwie, Harry jednak błyskawicznie jej przerwał.

— W porządku, zgadzam się na sto. Ale teraz bądź już cicho.

Claude Graham-White, odrobinę zdziwiony całą tą sceną, powrócił do swojej kajuty. Zjadł na śniadanie zbyt wiele wędzonych śledzi i czuł, że czekają go już wkrótce niemiłe chwile.

— Cholera jasna — powiedziała Philly i odetchnęła. Czuła się oszukana, chociaż nie wiedziała za bardzo dlaczego.

Chyba najgorsze było to, że Monty Willowby nie zgodził się, by zjadła śniadanie w pierwszej klasie; mimo że Harry jej tam nie zaprosił, była głęboko rozczarowana.

Harry tymczasem interesował się nie stanem jej ducha, lecz kluczami. Właśnie znalazł właściwy pęk.

Zabrał go i szybko wypchnął Philly z biura, po czym wyprowadził ją na pokład.

— No, wracaj do trzeciej klasy. Ja tymczasem sprawdzę, czy mi się te klucze przydadzą — powiedział.

— Ale pamiętaj o forsie. Nie wycofasz się tym razem? Setka?

Harry pocałował ją w policzek.

— Setka. Masz to jak w banku. Kiedy tylko sprzedam towar. A teraz wsiadaj do windy i zjedź na nasz pokład. Ja zejść schodami.

Harry był tak skupiony na tym, co czekało go w najbliższych chwilach, że nie zauważył dziwnego poruszenia na pokładzie. Nawet zderzył się z dwoma pasażerami śpieszącymi się w kierunku przeciwnym niż on, ale i to nie zrobiło na nim wrażenia.

Zbiegając po schodach po dwa i trzy stopnie naraz, wkrótce znalazł się przed drzwiami do ładowni. Drżącą ręką wsunął klucz do dziurki i przekręcił go bez żadnego problemu. Pchnąwszy ciężkie drzwi, odczuł ogromną ulgę. Niepokój o klucze, który trawił go cały czas, sprawił, że niemal zapomniał o wielkości wyczynu, którego miał dokonać, a także o niebezpieczeństwie, jakie groziło jemu osobiście.

Ładownia oświetlona była tylko przez kilka słabych żarówek. W jej przepastnym wnętrzu Harry słyszał zwielokrotniony odgłos turbin „Arcadii”, pracujących na maksymalnych obrotach.

W powietrzu unosił się zapach smarów, paliwa i lakierów samochodowych. Harry starannie zamknął za sobą drzwi i powoli podszedł do pierwszego rzędu aut. Było to siedem rolls-

royce'ów. Wszystkie lśniły, jakby znajdowały się na wystawie w salonie. W kolejnym rzędzie stały pierce-arrowy i austro-daimlery.

Stracił blisko dziesięć minut, zanim odnalazł marmona Marka Beeneya w przedostatnim rzędzie, niemal przy ścianie. Ucieszyło to Harry'ego, gdyż dzięki temu eksplozja wywoła maksymalny efekt. W momencie gdy pęknie burta statku poniżej linii wody, nikt nie będzie w stanie powstrzymać naporu żywiołu. „Arcadia” pójdzie na dno oceanu jak cegła.

Dennis miał rację: otworzenie bagażnika marmona było bardzo łatwe. Harry potrzebował jedynie drutu i śrubokrętu o szerokiej końcówce. Szczęście wciąż mu dopisywało, gdyż znalazł

śrubokręt porzucony na podłodze kilka jardów od marmona. Wkrótce pokrywa bagażnika z suchym trzaskiem odskoczyła do góry. Trochę przestraszony hałasem, Harry przycupnął za autem i niemal przez pół minuty tkwił bez ruchu, nasłuchując wszelkich odgłosów. W ładowni panowała jednak niczym nie zmacona cisza, jeśli nie liczyć monotonnego odgłosu wydawanego przez pracujące silniki. Harry pociągnął nosem. Gdy był podekscytowany, zawsze miał lekki katar.

Wyciągnął z bagażnika zegar, który miał regulować czas wybuchu bomby i uważnie obejrzał

go pod światłem. Następnie powoli nakręcił zegar, do oporu. Ustawił mechanizm tak, aby wybuch nastąpił dokładnie o godzinie dwunastej. W chwili gdy miał schować zegar z powrotem w bagażniku, niespodziewanie usłyszał jakiś obcy dźwięk, jakby ktoś w ładowni bawił się piłką.

Uniósł głowę i zamarł.

Przez prawie minutę nic się nie działo. W końcu jednak usłyszał dziwny, przytłumiony okrzyk. Wciąż trzymał w ręce mechanizm zegarowy. Harry'ego wprost zżerał strach, jego serce zdawało się bić przynajmniej trzy razy szybciej niż zwykle.

— Kto tam jest? — zawołał ochrypłym głosem.

Znów zapanowała długa cisza, pełna niepewności. Ale w końcu, krok po kroku, ruszyła w jego kierunku Lucille Foster. Miała na sobie żółtą letnią sukienkę i biały, słomkowy kapelusz z wianuszkami kwiatów na rondzie.

— Lucille? — zdziwił się Harry. — Co ty tutaj robisz?

Dziewczynka nie wydawała się ani trochę zmieszana.

— Właśnie wychodziłam ze śniadania z panią Hall, gdy ujrzałam, jak zbiegasz po schodach, ruszyłam

więc za tobą.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem — odparła. — Wyglądałeś jakoś dziwnie. Pomyślałam, że może będziesz mnie potrzebował.

— Powinnaś wciąż leżeć w łóżku.

— Ze mną już wszystko w porządku, naprawdę. Sam doktor Fields to powiedział. Przeżyłam jedynie ciężki szok, to wszystko.

— Ale przecież pani Hal nie wie, że jesteś tutaj. Będzie się martwić i szukać ciebie.

Lucille podeszła bliżej do Harry'ego. Na rękach miała długie, białe rękawiczki. Bawiła się małą, żółtą torebką ze złotym zatraskiem.

— Oczywiście, że będzie mnie szukać. Ale to nie jest ważne. Ważne jest, że przyszłam tutaj, żeby się dowiedzieć, co się z tobą dzieje.

— Nic się ze mną nie dzieje.

— A co robisz z tym zegarem?

— Zegarem?

— Tym, który trzymasz w ręce. — Ach, tym... To jest prezent.

— Prezent? Dla kogo? Czy ktoś ma urodziny?

— Coś w tym rodzaju. Ktoś, kogo spotkałem w pierwszej klasie, był wobec mnie bardzo wspaniałomyślny, dlatego postanowiłem podarować mu ten zegar.

— Ale dlaczego chowasz go do samochodu?

Harry nie potrafił odgadnąć, dlaczego Lucille zadaje mu te wszystkie pytania. W końcu jednak pomyślał: Uspokój się, Harry, to jest przecież tylko dziecko. Przyszła tutaj z ciekawości. Lubi cię i czuje się wobec ciebie zobowiązana za uratowanie jej życia. To naturalne, że chciałaby wiedzieć, co robisz w tym dziwnym miejscu. Nie ma żadnych złych zamiarów, żadnych podejrzeń. Cholera, przynajmniej nic na to nie wskazuje.

— Ja...ee... było mi głupio — powiedział.

— Dlaczego było ci głupio?

— Widzisz, to jest bardzo tani zegar. Nie stać mnie na nic droższego. Ale wstydziłbym się dać ten prezent temu człowiekowi osobiście. Postanowiłem więc włożyć go do bagażnika jego samochodu

razem z kartką z podziękowaniami. Może zatrzyma ten zegar, a może go po prostu wyrzuci? Nie wiem. Ale przynajmniej nie będzie musiał udawać przede mną, że mu się podoba.

Lucille uśmiechnęła się.

— Wiesz co, jak na komunistę, jesteś bardzo taktowną osobą.

— Moja droga, na tym właśnie polega komunizm. Jesteśmy taktowni zawsze, we wszelkich okolicznościach. A przynajmniej taki jest ideał komunisty. Niestety, niewielu spośród nas stać na takie postępowanie.

— Bo bywacie grzeczni przede wszystkim wobec biednych. Uznajecie, że bogaci ludzie zupełnie pozbawieni są uczuć.

— Mylisz się — powiedział Harry. — Wszyscy ludzie mają swoje uczucia.

— Moja matka powiedziałaby w tym momencie, że sam siebie oszukujesz.

— Być może. Każdy czasem sam siebie oszukuje. Są ludzie, którym to wchodzi w nawyk.

Lucille podeszła jeszcze bliżej i dotknęła ręki Harry'ego. Uniosła głowę i spojrzała na niego oczyma jasnymi, pełnymi zaufania i tak zielonymi jak najczystsze szafiry.

— Widzisz, Harry, nie oszukasz mnie — powiedziała. — Nie oszukasz mnie ani na moment.

Nagle do uszu Harry'ego ze zdwojonym natężeniem dotarło tykanie zegara, który wciąż trzymał w ręce.

— Naprawdę nie? — zapytał.

— Ani na chwilę — powtórzyła Lucille, potrząsając głową. — Gdy tylko cię ujrzałam, od razu wiedziałam, że jesteś człowiekiem, który nie potrafiłby nigdy nikogo skrzywdzić. Mama знаła wielu mężczyzn, którzy ją ranili. Mawiała do nich: „Och, Friedrich, zadałeś mi ogromny ból” albo „Och, Jean, co ty mi zrobiłeś”. Ty nie jesteś takim człowiekiem. W przeciwnym razie nie ryzykowałbyś życia, żeby mnie uratować.

Harry odwrócił wzrok.

— Lucille — powiedział. — Zrobiłem to tylko dlatego, że cię lubię.

— Nieprawda. Zrobiłbyś to dla każdej osoby, która znalazłaby się w niebezpieczeństwie.

Jesteś bardzo uczynnym i dzielnym człowiekiem, Harry. Wiem, że taki właśnie jesteś.

Harry znów spojrzał na Lucille i wpatrywał się w nią przez nieskończenie długą chwilę.

Dziewczynka uśmiechała się do niego jasnym, szczerym uśmiechem. Jej wiara w niego

niespodziewanie zachwiała jego pewnością siebie; w tej chwili nie był przekonany, czy rzeczywiście chce zatopić „Arcadię”.

— Coś cię gryzie, Harry, prawda? — zapytała Lucille.

— Nie. — Harry potrząsnął głową. — Nic mnie nie gryzie.

— Lubię cię, wiesz?

— Tak, zaczynam zdawać sobie z tego sprawę. — Kiedy zostałam uwięziona na otwartym pokładzie, a dookoła szalał sztorm, modliłam się o ratunek, chciałam, żebyś to właśnie ty pojawił

się i mi pomógł. Nie myślałam o nikim innym. A już z pewnością nie o pani Hal.

— Hmm... Cieszę się, że to mówisz, ale skończ już z tymi pochlebstwami, bo zaczynam się rumienić.

Lucille rozejrzała się dookoła.

— Czy długo zamierzasz tkwić tutaj, czy też pójdziesz na górę na drugie śniadanie?

— Idź pierwsza, ja zaraz do ciebie dołączę. Muszę ładnie zawinąć ten zegar, napisać liścik i zamknąć wszystko w bagażniku.

— To jest chyba marmon pana Beeneya, prawda?

— Skąd wiesz?

— A kto by o tym nie wiedział? Pisały o nim wszystkie magazyny. Czy to pan Beeney był taki miły dla ciebie?

Harry pokiwał głową.

— Co zrobisz, jeśli powiem panu Beeneyowi, że schowałeś dla niego prezent w samochodzie?

— Proszę cię, Lucille, nie mów mu tego. To musi być niespodzianka.

— Ale jesteś pewien?

— Wtedy przełożę cię przez kolano i spiorę ci tyłek. Lucille roześmiała się wesoło.

— Będziesz musiał mnie najpierw złapać.

Pobiegła i schowała się przed nim za wielkim zielonym daimlerem. Harry ruszył za nią, obierając inną drogę. Zorientowała się jednak w jego zamiarach i minęła kilka kolejnych rzędów samochodów. Tym razem Harry okazał się sprytniejszy. Przyczaił się za beżowym piercem-

arrowem i będąc przekonana, że od niego uciekła, Lucille niemal zderzyła się z Harrym.

— Mam cię! — zawołał wesoło.

Wyciągnął ku niej wolną rękę. Nie próbowała uciekać, lecz i ona wyciągnęła ku niemu swoją dłoń.

— Wiesz, czasami chciałabym, żeby to już był koniec świata — powiedziała melancholijnym głosem.

— Dlaczego? — Do Harry'ego znów ze zdwojoną siłą dotarło tykanie zegara. Pozostało już mniej niż dwie godziny.

Lucille uśmiechnęła się.

— Nie wiem. Chyba jestem niemądra.

Niespodziewanie odskoczyła od niego i głośno się śmiejąc, znów zniknęła pomiędzy samochodami. Harry spróbował ją dogonić, zahaczył jednak o zderzak rolls-royce'a, potknął się i bezcenny zegar wypadł mu z rąk, potoczywszy się po metalowej podłodze.

Natychmiast podniósł go przerażony, że mógł się popsuć.

Kiedy jednak przyłożył go do ucha, wciąż tykał, równie głośno i regularnie jak przed chwilą.

— Nie zniszczyłeś go? — zawołała Lucille.

— Nie, na szczęście wciąż chodzi.

— Gdybyś podarował panu Beeneyowi zepsuty zegar, to by dopiero był powód do wstydu, co?

— Tak — powiedział Harry i po chwili dodał: — Tak, to byłby dopiero wstyd.

— Idziesz na drugie śniadanie?

— Tak. Daj mi tylko kilka minut. Zaraz się spotkamy na górze.

— W porządku. I pamiętaj, kocham cię!

Harry stał w miejscu obok rolls-royce'a, a tymczasem Lucille, wesoło podskakując, pobiegła do wyjścia. Przy drzwiach jeszcze raz mu pomachała. Kiedy wreszcie zniknęła, Harry popatrzył

na tarczę zegara. Było dwadzieścia po dziesiątej. „I pamiętaj, kocham cię”, powiedziała. Mała dziewczynka, tak bogata, że nawet nie potrafił sobie wyobrazić jej fortuny. „I pamiętaj, kocham cię!”

Powrócił do marmona Marka Beeneya i przyklęknął obok otwartego bagażnika. Szybkimi ruchami pewnie podłączył zegar z zapalnikiem i położył go obok trzydziestu lasek dynamitu.

Zatrzasnął bagażnik, a potem dodatkowo kilkakrotnie dźgnął zamek śrubokrętem; teraz ponowne otworzenie bagażnika, nawet właściwym kluczykiem, było wręcz niemożliwe. Na pewno nie przed

dwunastą.

Następnie szybko dotarł do drzwi i wyszedłszy z ładowni, starannie je za sobą zatrzasnął i zamknął na klucz. A więc „Arcadia” nie uniknie już swego przeznaczenia, pomyślał. Nic już nie może jej uratować. Za kilka godzin znajdzie się na dnie oceanu, tam, gdzie jest jej miejsce, obok

„Titanica”. Tam, gdzie będą lądować wszystkie jej następczynie, dopóki kapitaliści nie przestaną ich budować i nie oddadzą swych bogactw tym ludziom, którzy naprawdę na nie zasługują.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Zamieszanie na górnym pokładzie spacerowym, którego nie zauważył Harry, śpiesząc do ładowni, spowodowane było powtarzaną od kilku minut z ust do ust informacją, że jakaś pasażerka z pierwszej klasy właśnie wyskoczyła za burtę, prosto do oceanu.

Sam skok widziało tylko dwoje pasażerów: emerytowany brygadier policji i jego żona, która nigdy nie jadała śniadania, była bowiem przekonana, że jądanie o zbyt wczesnej porze źle wpływa na wątrobę. Zaobserwowali, jak jakaś kobieta ubrana jedynie w białą pidżamę wchodzi na barierkę, po czym skacze do wody głową w dół i ginie w ciemnej toni. Natychmiast pobiegli w kierunku mostku, krzyząc: — Kobieta za burtą!

Przez cały czas, gdy Harry przebywał w ładowni, „Arcadia” robiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a pasażerowie tłoczyli się na pokładach, chcąc ujrzeć ciało nieszczęsnej kobiety na wodzie. Już krążyła plotka, że popełniła ona samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości, a podróżujący „Arcadią” dziennikarze, pijąc o wiele więcej whisky z wodą sodową niż zazwyczaj, przeglądali nerwowo listę pasażerów, próbując odgadnąć, która spośród znajdujących się na niej kobiet postanowiła zginąć.

O wydarzeniu poinformowano sir Peregrine’a, lecz on skomentował je krótko i zupełnie od rzeczy:

— Rozumiem. Ale lepiej powiedzcie mamie.

Dowiedziawszy się o incydencie, Edgar natychmiast pojawił się na mostku. Po kilku minutach dołączyła do niego Catriona i Mark Beeney.

— Co się dzieje? — zapytała Catriona. — Słyszałam, że ktoś wyskoczył za burtę.

— To jeszcze nie potwierdzona informacja — stwierdził Rudyard Philips. — Brygadier Repson twierdzi jednak, że na własne oczy widział skaczącą kobietę.

— Czy wie, kto to był? — zapytał Mark.

Edgar potrząsnął przecząco głową.

— Niestety, jest krótkowidzem. Ale powiedział, że z całą pewnością była to kobieta w białej pidżamie.

— Czy można zwołać wszystkich pasażerów, aby przekonać się, kogo brakuje?

— Zrobimy to później, jeżeli jej nie znajdziemy i przerwiemy poszukiwania na morzu. Teraz wolę, aby wszyscy jej wypatrywali. Każda para oczu może okazać się nieoceniona w takiej sytuacji. Czasami zwyczajny pasażer potrafi dostrzec na wodzie o wiele więcej niż doświadczony marynarz.

— To mogła być ta francuska śpiewaczka operowa, prawda? — powiedział Mark. — Przecież próbowała popełnić samobójstwo już na początku podróży.

Nie odwracając się, Rudyard odparł:

— Ta sama myśl przyszła mi do głowy, panie Beeney i natychmiast to sprawdziłem. Jednakże ta dama jest teraz bardziej szczęśliwa niż wówczas, toteż zaprzestała prób samobójczych.

Na mostku nie byli do niczego potrzebni, Mark z Catrioną dołączyli więc do pozostałych pasażerów próbujących wypatrzeć ciało samobójczyni. Szansę, że je ujrzą, były jednak bardzo nikłe. Wiał silny, poranny wiatr, a prądy morskie były w tej części Atlantyku niezwykle silne; kobieta mogła więc znajdować się już bardzo daleko. Nawet jeżeli przeżyła skok do zimnej wody z wysokości siedemdziesięciu pięciu stóp, do tej pory i tak musiała już nie żyć: z powodu wycieńczenia i wychłodzenia organizmu. Północny Atlantyk nigdy nie był najlepszym miejscem do pływania.

— Boże, oby to była tylko pomyłka — westchnęła Catriona.

— Cokolwiek to jest — powiedział Mark — chciałbym jednak, żeby te poszukiwania jak najszybciej się zakończyły. Przyjąłem wysoki zakład dotyczący dystansu, który pokonamy w dzisiejszym dniu.

Catriona nie uwierzyła własnym uszom.

— Mark, zagrożone jest życie jakiejś nieszczęśliwej kobiety, a ty potrafisz myśleć jedynie o swoim głupim zakładzie?

— Nie wzbudisz we mnie poczucia winy — odparł Mark. — Dla mnie ważny jest ten zakład.

Ktokolwiek skacze ze statku do oceanu, czyni to tylko po to, żeby się zabić, a nie po to, żeby sobie popływać. I taki był też zamiar tej kobiety. Dlaczego nie mielibyśmy uszanować jej postanowienia? Tym bardziej że w tej chwili i tak z całą pewnością już nie żyje. A poza tym, jeżeli ją uratujemy, czy na pewno będzie to zgodne z jej życzeniem?

W tej samej chwili, jak zwiastun nieszczęścia, pojawił się przy Marku steward z kartką papieru, położoną na srebrnej tacy.

— Otrzymałem to przed minutą, sir, z poczty „Arcadii” — powiedział. Mark wręczył mu pół korony, po czym rozłożył kartkę i zaczął czytać:

Mój drogi Marku,

Kiedy przeczytasz ten list, będę już spoglądała na Ciebie z nieba, jeśli takie miejsce w ogóle istnieje. Wiem, że nie zawsze byłam dobra dla Ciebie i dla innych ludzi. Mam jednak nadzieję, iż wybaczysz mi, że tak strasznie Cię kochałam i że straciłam ochotę do życia, kiedy zrozumiałam, że nigdy nie będziesz całkowicie mój. Nie czuj się winny z powodu tego, co zrobiłam. To moja własna decyzja; wolę śmierć niż dalsze życie bez Ciebie. Wiem, że nigdy mnie nie pokochasz, chociaż, na miłość boską, zupełnie nie mam pojęcia dlaczego. Obiecuj mi tylko jedno: że od czasu do czasu o mnie pomyślisz, a może nawet wrzucisz wieniec do oceanu, przepływając tam, gdzie pochłonęła mnie morska toń.

Beznadziejnie Twoja, Marcia

Nie było wątpliwości, co ten list oznacza. Wpatrując się gdzieś w dal, Mark mechanicznie złożył kartkę i wsunął do kieszeni. Czuł w sobie pustkę, a z jego twarzy w jednej chwili zniknęła cała opalenizna. Był blady jak nieboszczyk.

— Mark — powiedziała Catriona ze zdziwieniem, ciągnąc go za rękaw.

— To był list od Marcu — z trudem wystękał Mark. — To ona wyskoczyła za burtę. Utopiła się, popełniła samobójstwo. Przeze mnie.

Zachwiał się lekko, usiadł na drewnianej ławeczce.

— Nie mogę w to uwierzyć — mówił. — Zawsze twierdziła, że mnie kocha. Ale nigdy przecież nie przyszło mi do głowy, że mówi serio. Myślałem, że się zgrywa. Ani mi się nie Leniło...

Catriona usiadła obok niego. Ogromnie mu współczuła, i ale jednocześnie nie potrafiła odsunąć od siebie myśli, iż jej jedyna poważna rywalka do serca Marka niespodziewanie zniknęła. Boże, ale jestem wstrętna, stwierdziła.

— To przecież nie twoja wina — powiedziała głośno. — Nikt normalny nie rzuca się do oceanu z powodu nie spełnionej miłości. Ludzie robią różne dziwaczne rzeczy, ale przeważnie są to osobnicy niezrównoważeni.

— Niezrównoważeni? — powtórzył Mark gorzko. Jeszcze raz wyciągnął list i podał go Catrionie, aby przeczytała. — Może tobie Marcia wyda się osobą niezrównoważoną, na mnie jednak ten list robi wrażenie napisanego przez rozsądną i racjonalnie postępującą osobę.

Catriona dotknęła jego dłoni.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam...

Mark ciężko westchnął.

— Nic się nie stało. Po prostu ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Pójdziemy więc na mostek, by powiedzieć Rudyardowi Philipsowi, kogo poszukuje.

Na mostek tymczasem dotarł kolejny pasażer i gdy Catriona ujrzała go, instynktownie wycofała się na zewnątrz, pozwalając, by Mark sam wszedł do środka i opowiedział o swym odkryciu Philipsowi. Był to George Welterman, w żółtym kapeluszu i kamizelce w czerwone i czarne pasy. Wyglądał na zdenerwowanego, a z twarzy Edgara Catriona odgadła, że ludzie z Keys Shipping mają z nim akurat ciężką przeprawę.

Ujrzawszy Catrionę, Rudyard wyszedł na zewnątrz.

— Właśnie powiedziałem panu Beeneyowi, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć tę młodą damę — rzekł przyciszonym głosem. — Ostrzegłem go jednak, że szansę mamy bardzo niewielkie.

— Mark ma swoją własną kompanię — zauważyła Catriona. — Z całą pewnością wie o tym równie dobrze jak pan.

Mark zerknął z mostka w kierunku Catriony. Wyraz jego twarzy mówił, że doskonale wie, jak małe są szanse znalezienia Marcii, ale w tej chwili jeszcze nie chce w to uwierzyć.

Niespodziewanie George Welterman zawołał głośno:

— Panie Philips! Ile mil jeszcze będziemy płynęli do tyłu?

— Dopóki nie znajdziemy dziewczyny — odpowiedział mu Edgar. — Albo przynajmniej tak długo, dopóki nie będziemy pewni, że ona nie żyje.

George nerwowo bawił się palcami.

— Chyba zdajecie sobie sprawę, że straciecie w ten sposób wszelkie szansę na zdobycie Błękitnej Wstęgi? To już drugi raz zawracamy.

— Błękitna Wstęga to sprawa drugorzędna w stosunku do konieczności zapewnienia bezpieczeństwa statkowi i jego pasażerom, panie Welterman — odparł Rudyard.

— Tak, tak — zauważył George z sarkazmem. — Widzę, że mówimy już i zachowujemy się jak kapitan, co?

Catriona, która z niesmakiem przysłuchiwała się tej żalostnej rozmowie, nieoczekiwanie zawołała ze złością:

— Panie Welterman!

George powoli odwrócił głowę w jej stronę. W jego oczach czaiła się głęboka złość. Catriona nie spoglądała w nie od tego wieczoru, gdy ją zgwałcił, zapomniała więc, jak straszliwe i budzące grozę jest jego spojrzenie. Zadrzała, nie zdając sobie sprawy, czy ze strachu, czy też z wściekłości.

— Panie Welterman — ciągnęła jednak zdecydowanym, stanowczym głosem — życzę sobie, aby wszelkie uwagi na temat oficerów Keys Shipping adresował pan do zarządu kompanii, a nie

bezpośrednio do tychże oficerów. A teraz może zechce pan łaskawie opuścić mostek. Prawo pobytu na nim mają jedynie pasażerowie, którzy uzyskają na to zgodę. Chcę od razu pana uprzedzić, że podczas akcji ratowniczych zezwoleń takich nie wydajemy; a zdaje pan sobie zapewne sprawę, że właśnie prowadzimy taką akcję.

— Oczywiście żartuje pani, panno Keys — powiedział George. — Jestem przecież dyrektorem europejskiego oddziału International Mercantile Marine.

— „Arcadia” zarejestrowana jest w Liverpoolu przez Keys Shipping Line, o czym panu uprzejmie przypominam. A teraz grzecznie proszę, aby pan opuścił mostek — odparła Catriona.

Jej głos był silny i ostry i żaden z otaczających ją mężczyzn nie mógł odgadnąć, że jest bliska łez.

George Welterman niepewnie zerknął na Edgara, który mimo to zachowywał całkowitą obojętność: nie zamierzał ani poprzeć, ani zakwestionować słów Catriony. George z kolei nie zamierzał dać za wygraną. Roześmiał się nerwowo.

— Przecież to jest niedorzeczne, Edgar! Powiedz jej, że to i jest niedorzeczne!

Teraz jednak do wszystkiego postanowił włączyć się Rudyard:

— Niestety, panna Keys ma rację, panie Welterman. Przepisy Keys Shipping są jednoznaczne.

Musi pan opuścić mostek.

George Welterman w jednej chwili stał się biały jak płótno.

— Bardzo dobrze — wyszeptał złowieszczo. — Skoro tego sobie państwo życzyście... Ale ostrzegam was, nie zostanie to wam zapomniane.

— My także mamy z panem porachunki, panie Welterman — powiedziała Catriona. W tym momencie nienawidziła go całym sercem i całym umysłem.

Uniósłszy w górę kapelusz, George z sarkazmem uklonił lę Catrionie, po czym szybko wyszedł.

To Douglas Fairbanks pierwszy zauważył Marcie na falach oceanu, zmywając w ten sposób z siebie piętno niesławy w związku z nieudaną próbą ratowania Lucille Foster.

— Tam! Ludzie, patrzcie, ona tam jest! Kapitanie, po prawej stronie, za rufą.

Bez chwili wahania Rudyard Philips zarządził:

— Cała wstecz! — „Arcadia” musiała jednak jeszcze przepłynąć całą milę morską, zanim całkowicie się zatrzymała. Dopiero wtedy Rudyard Philips wyszedł na pokład spacerowy, aby z jak najmniejszej odległości przyjrzeć się sylwetce swej zagubionej pasażerki.

— Unosi się na falach! — krzyknął ktoś. Zawtórowało mu parę osób, ale nad wszystkimi górował

wyraźny głos baronówny Zawiszy, która wołała:

— Wy idioci — ona pływa! Ona pływa!

— Mój Boże! — zawołał Mark, stojący obok Catriony. — Mój Boże, ona żyje! — Popatrzył na Catrionę, nie wiedząc, czy powinien się cieszyć, czy się rozpłakać.

Tymczasem Rudyard krzyknął do Dicka Charlesa:

— Siatki na burtę! A potem opuścić łódź ratunkową. I to szybko!

Był to widok zaiste godny uwiecznienia: największy oceaniczny liniowiec na świecie, zatrzymujący się na samym środku Atlantyku, aby wyłowić z wody drobną kobietę w białej szacie, która miarowymi, spokojnymi ruchami toruje sobie w mrocznej toni drogę nie wiadomo dokąd i w jakim celu.

— Nie mówiła mi, że potrafi pływać — odezwał się Mark zdziwiony. — Przynajmniej nie aż tak dobrze.

Catriona ujęła go za rękę szczęśliwa, że Marcia żyje, ale zarazem czując winę z powodu myśli, które ogarnęły ją w momencie, kiedy dowiedziała się, że Marcia wyskoczyła za burtę. Nie potrafiła powstrzymać łez, które napłynęły jej do oczu, toteż musiała otrzeć je palcami. Mark zauważył to, lecz nie mógł jej pomóc, sam bowiem był bliski łez.

Wkrótce Marcia znalazła się w odległości niecałych pięćdziesięciu jardów od wielkiego statku. Żaden z pasażerów nie był pewien, czy płynąca kobieta widzi „Arcadię”, gdyż ani na chwilę nie uniosła głowy w jej kierunku, ani też w żaden inny sposób nie dała znaku, że jest świadoma zbliżającej się pomocy. Wszyscy jednak radośnie wiwatowali i machali kapeluszami.

Na chwilę przed opuszczeniem łodzi ratunkowej Rudyard Philips zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Nagle ściągnął czapkę, poluźnił krawat i zdjął mundur.

— Panie Philips! — zawołał Edgar zdziwionym głosem.

Rudyard nawet nie zareagował. Pochylił się natomiast i ściągnął buty. Zaraz potem zrzucił z siebie koszulę.

— Panie Rudyard, chyba nie skoczy pan po nią! — zawołał Edgar. — Panie Philips, to nie ma sensu.

Było już jednak za późno, aby go powstrzymać. Rudyard wspiął się na barierkę, przez moment balansował na niej, a potem skoczył szczupakiem siedemdziesiąt stóp w dół, prosto do oceanu.

Pasażerowie, którzy obserwowali skok, wydali okrzyki zdziwienia i zadowolenia, obserwując, jak wyprężone ciało tymczasowego kapitana statku leci do wody, a potem przecina jej powierzchnię, prawie jej nie rozpryskując. Był to doskonały skok, wykonany zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki. Gdy Rudyard wynurzył się i zaczął płynąć w kierunku Marcii, wszyscy na pokładzie klaskali.

Dotarł do niej w ciągu dwóch lub trzech minut. Woda w oceanie była lodowata, a Marcia na skraju całkowitego ‘ wyczerpania. Biała pidżama zrobiła się tak ciężka, że niemal całkowicie wciągała dziewczynę pod wodę.

Rudyard przyjął klasyczną pozycję ratownika, chwycił farcie i z trudem zawołał:

— Uspokój się!

Przecinając fale silnymi, miarowymi ruchami, zaczął płynąć z Marcją na plecach w kierunku

„Arcadii”. Łódź ratunkowa z Ralphem Peelem na pokładzie znajdowała się już w wodzie, a marynarze wiosłowali w kierunku Rudyarda i Marcii. Słona woda dostała się na chwilę do ust Rudyarda; zakrztusił się.

W momencie gdy Ralph Peel odebrał Marcie z rąk Rudyarda, okrzyki i wiwaty pasażerów sięgnęły zenitu. Kobieta w białych szatach, teraz niemal zupełnie przejrzystych, została uratowana! Zaległa bez tchu na dnie łodzi ratunkowej wreszcie bezpieczna, natomiast na statku zapanowała nieopisana radość.

Wśród tej radości nikt nie dostrzegł kolejnej tragedii. Nikt bowiem nie zauważył, kiedy Rudyard Philips puścił burtę łodzi ratunkowej i zniknął pod powierzchnią oceanu. Dopiero po trzech albo i czterech minutach zauważono jego brak. Było jednak za późno.

Rudyard nie miał pojęcia, co dalej zrobić ze swoim życiem, dopóki nie spostrzegł Marcii unoszącej się na falach. Gdy ją zobaczył, jakby niespodziewanie spadło na niego olśnienie, wszystko nagle wydało się takie oczywiste i proste. Oto nadeszła chwila, w której mógł wybrać honor zamiast hańby, sławę zamiast degradacji. Marcia była jego pasażerką, ponosił za nią osobistą odpowiedzialność jako kapitan „Arcadii” i wszelkie prawa morza nakazywały mu, aby osobiście ją uratował. Miał okazję zakończyć życie w blasku chwały, ofiarnie wypełniając swe obowiązki. Czy wówczas Toy nie byłoby przykro, że opuściła go dla jakiegoś tam Laurence’a?

Czy Louise Narron nie płakałaby za nim rzewnymi łzami? Sir Peregrine, nawet sir Peregrine, sparaliżowany i samotny w swym apartamencie, wspominałby go ciepło i z żalem. A Ralph Peel wybaczyłby mu, że wziął stronę starego kapitana podczas sztormu.

Tak, najlepiej będzie, gdy się utopi. Tak będzie najlepiej dla niego i dla wszystkich ludzi, którzy go znali. Podjąwszy taką decyzję, rozebrał się i skoczył do oceanu. Nie uczynił tego dla Marcii (choć była ona dla niego doskonałym alibi), ale ratując ją, postanowił napić się jak najwięcej morskiej wody, by potem szybciej opaść na dno zimnego oceanu.

Ostatni odgłos słyszany przez Rudyarda to odgłos fal uderzających o burtę łodzi ratunkowej.

Widział jeszcze przez moment Ralpha Peela unoszącego Marcie Conroy; słyszał wiwatowanie setek ludzi zgromadzonych przy burcie „Arcadii” i nawet pomyślał: to na moją cześć, jak wspaniale jest umrzeć w takiej chwili. Na morzu, pod słonecznym niebem, wśród burzy oklasków. Powoli rozwarł ręce, tracąc łączność z łodzią i zaczął opadać w kierunku dna morskiego. Nie uczynił nic, aby to

opadanie powstrzymać.

Słyszał przytłumione dudnienie turbin statku, wzmocnione przez doskonale przenoszącą wszelkie dźwięki morską wodę. Przysłuchiwał się temu przez krótką chwilę, po czym nagle, w jednej sekundzie, całe powietrze, jakie miał w płucach, wydmuchnął do Atlantyku. Nigdy w życiu nie wykazał większej siły woli niż w tym momencie. Potem jeszcze wciągnął do płuc morską wodę i stracił świadomość, gdyż jego mózg umierał już z powodu braku tlenu. Powoli Rudyard sunął w dół, nieuchronnie zbliżając się do dna morskiego. Opadając, przeciął srebrną ławicę śledzi, a potem już, o wiele głębiej, znalazł się wśród ryb o kształtach, które człowiek może zobaczyć tylko w nocnych koszmarach. W kieszeni jego spodni wciąż znajdował się telegram od Toy, postanowił bowiem zabrać go ze sobą na dno oceanu.

Louise Narron, będąca razem z innymi pasażerami pierwszej klasy na pokładzie spacerowym, była pierwszą osobą, która zorientowała się, że Rudyard Philips zniknął.

— *Qu est* Rudyard? — krzyknęła. — Gdzie jest pan Philips? Panie Peel? Gdzie jest pan Philips?

Marynarze, znajdujący się w łodzi ratunkowej, rozejrzeli się dookoła, a potem po swoich twarzach.

— Nie ma go w łodzi — powiedział jeden z nich do Ralpha Peela.

Rozzłoszczony Ralph Peel wrzasnął:

— No to gdzie jest, do cholery? Rudyard! Do diabła, gdzie on się podział?

Krążyli wokół „Arcadii” przez ponad pół godziny, podczas gdy George Welterman stał samotny na pokładzie dziobowym i obserwował łódź ratunkową ze wzrastającą wściekłością.

Była godzina jedenasta dwadzieścia i jeśli „Arcadia” nie zrobi przed południem co najmniej trzynastu mil na trasie zgodnej z jej kursem, nie ma najmniejszej szansy na wygranie zakładu.

Maurice Peace, który postawił na mniejszą liczbę mil niż oceniano na mostku, siedział na ławce, jedząc banana i ze zdumieniem zastanawiając się, dlaczego los jest dla niego aż tak bardzo łaskawy. Zawsze pragnął mieć własny luksusowy automobil i wszystko wskazywało na to, że stanie się jego posiadaczem, gdy tylko „Arcadia” zawinie do portu w Nowym Jorku. Zadowolony z siebie, wręczył skórkę od banana wraz z jednofuntowym napiwkami przechodzącemu stewardowi.

O jedenastej dwadzieścia osiem George Welterman stracił wszelką cierpliwość. Wrócił na mostek, gdzie rządził teraz Ralph Peel i zawołał:

— Panie Peel! Musimy ruszać! Niektórzy pasażerowie mają wyznaczone ważne spotkania w Nowym Jorku.

— Większość straconego czasu nadrobimy, proszę pana — odparł Ralph. — W tej chwili poszukujemy naszego pierwszego oficera.

— Czy nie rozumie pan, że on utonął?

— Wszystko na to wskazuje, lecz zgodnie z przepisami musimy przeprowadzić rutynowe poszukiwania.

— Cholera jasna, z waszymi przepisami! Panie Peel, ten człowiek z całą pewnością już nie żyje! Utopił się! Nawet kompletny idiota by to panu powiedział. A my musimy już ruszać w drogę.

Ralph Peel zmierzył George'a Weltermana groźnym spojrzeniem. Gdy miał do czynienia z natarczywymi pasażerami, potrafił być bezkompromisowy i nieprzyjemny. Cały swój urok zachowywał właściwie dla młodych i niezamężnych pasażerek, z którymi lubił się zabawiać.

Pasażerów płci męskiej uważał za utrapienie, za zbędny balast na statku, wożony tylko z powodów finansowych.

— Jestem drugim oficerem na tym liniowcu, proszę pana, i w tej chwili to właśnie ja nim dowodzę.

— Chcę rozmawiać z panem Deaconem — zażądał George.

— Niech pan go sobie znajdzie. Obecnie jestem zajęty poszukiwaniem na morzu zaginionego członka załogi.

— Do diabła, natychmiast skontaktuj mnie z panem Deaconem! — wrzasnął George. — Co ty sobie wyobrażasz? Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz?

Krzyk George'a w najmniejszym nawet stopniu nie wzruszył Ralpha. Spokojnym głosem odpowiedział rozzłoszczonemu Weltermanowi:

— Jeżeli ma pan wobec mnie jakieś zastrzeżenia, powinien pan zgłosić je pisemnie do siedziby Keys Shipping w Liverpoolu lub w Nowym Jorku. Taka jest procedura. Nie przewiduje ona, bym musiał reagować na pańskie opętające wrzaski.

Krańcowo wściekły, George zrozumiał w końcu, że nie zajdzie daleko z Ralphem. Popędził więc do windy i zjechał na poziom, na którym znajdowała się kajuta Edgara. Dwukrotnie uderzył pięścią w drzwi, po czym pchnął je, nie czekając na zaproszenie ze strony gospodarza.

Edgar znajdował się w kajucie w towarzystwie Percy'ego Fearsona; akurat dyskutowali, kogo należy zatrudnić na miejsce zwolnione przez sir Peregrine'a. Gdy George Welterman wpadł do środka, Edgar wstał.

— George! — zawołał. — Wyglądasz na niezbyt zadowolonego z życia.

— Bo też wcale nie jestem zadowolony — warknął George, rzucając kapelusz na sofę. — Ten statek ma już za duże spóźnienie. Chcę, żebyś rozkazał swoim oficerom, aby natychmiast skierowali go na właściwą trasę. Zaraz, rozumiesz?

— Chwileczkę — wtrącił Percy Fearson. — Przecież poszukujemy zaginionego członka załogi. Mam jednak nadzieję, że za pięć minut...

— Myślisz, że o tym nie wiem? — krzyknął George. — Ale jeśli mamy w ogóle się ruszyć, musimy do dwunastej zrobić przynajmniej trzynaście mil albo ty i ja oraz Keys Shipping pogrążą się w dużej kupie gówna.

— Nie rozumiem — powiedział Edgar.

— To bardzo proste. Wczoraj w nocy założyłem się z Markiem Beeneyem, że dzisiejszego dnia do południa ten statek pokona trasę długości sześciuset trzydziestu pięciu mil. Jak dotąd, przepłynęliśmy tylko kilka jardów ponad sześćset dwadzieścia dwie mile.

Edgar odłożył papiery, które dotąd trzymał w ręce.

— Czy ja dobrze słyszę, George? Chcesz, żebyśmy zaprze stali poszukiwać Rudyarda Philipa tylko dlatego, że ty się z kimś założyłeś?

George wyzywająco uniósł głowę. — To nie jest zwykły zakład, Edgarze. Gra toczy się o wysoką stawkę, w tym i o Keys Shipping.

Percy Fearson z zaniepokojeniem spojrział na Edgara.

— Założyłeś się o Keys Shipping? — zapytał Edgar.

— W pewnym sensie tak. Powiedziałem, że jeśli „Arcadia” nie zrobi dzisiaj sześciuset trzydziestu pięciu mil morskich, wycofam moją ofertę kupna kompanii.

— George, nawet hazard musi mieć swoje granice! — zawołał Edgar. — Przecież podpisaliśmy już listy intencyjne!

George wzruszył ramionami.

— Porozumienia zawiera się po to, żeby je łamać. Jak myślisz, po co są prawnicy?

— To nieprawdopodobne — jęknął Edgar. Widać było, że wzbiera w nim złość. — Mamy więc zaledwie pół godziny, aby przepłynąć trzynaście mil z martwego stopu. To jest niewykonanie! Przecież w kotłach nie ma teraz nawet tyle pary, żeby osiągnąć pełną szybkość!

— Albo przepłyniesz te trzynaście mil, albo wszystko skończone.

— Opowiadasz bzdury — stwierdził Edgar. — Wiem dobrze, że zależy ci na tej transakcji tak samo jak i nam.

— Nieważne. Mówię wam po prostu, jak sprawa wygląda.

— Nic głupszego nie mogłeś wymyślić? — zawołał Edgar. George podszedł do iluminatora i

spojrzał na ocean.

Światło słoneczne przemieniło na moment jego twarz w czerwoną maskę.

— A może zamierzałem przegrać? — zapytał. — Może chcę was zrujnować? Nie wiem, czy jakikolwiek widok sprawi mi większą przyjemność niż widok was dwóch i tej całej Keys Shipping, zniszczonej, zrujnowanej, toczonej przez robale.

— Przecież wszystkie nasze rozmowy...

George wzruszył ramionami.

— Chyba musisz się jeszcze wiele nauczyć, Edgarze.

Edgar popatrzył na zegar.

— Raczej nie ma już nadziei na zrobienie tych trzynastu mil do południa — powiedział.

— Cóż... W takim wypadku jedynym wyjściem, aby zachować naszą umowę, jest pozostanie na miejscu. Jest jeszcze inny pasażer, który założył się z nami, że przepłyniemy tylko sześćset dwadzieścia mil; niech już lepiej wygra on, a nie Mark Beeney. Z nim założyłem się tylko o pięć tysięcy funtów. Rozumiem, że zwrócisz mi tę kwotę. Pięć tysięcy funtów to zawsze mniejsza strata niż cały nasz układ, prawda?

W tym momencie głośniej zadudniły turbiny „Arcadii” i cały statek zadrżał.

— Co panowie na to? — zapytał George.

— Nie możemy trzymać „Arcadii” w miejscu ani przez chwilę dłużej; przecież na szali jest jeszcze Błękitna Wstęga — powiedział Edgar. — Przed kilkunastoma minutami prosiłem pana Peela, aby zatoczył jeszcze jedno koło. Widocznie już to się stało i ruszamy w drogę.

— No cóż, wszystko zależy od tego, co jest dla ciebie ważniejsze. Błękitna Wstęga czy...

Pearcy Fearson wyciągnął fajkę z kieszeni marynarki i odezwał się:

— Panie Welterman, zawsze byłem słaby w interesach, może mi pan uwierzyć. Szczególnie tak krętych i pogmatwanych jak te, które prowadzimy z panem. Stwierdzam jednak, że zajmując się poważnymi sprawami, tocząc rozmowy z ludźmi interesu, nie zachował pan ani odrobiny powagi i odpowiedzialności. Prawda, panie Welterman? A teraz przyszedł pan tutaj do nas z płaczem, wołając: ratujcie mnie, bo wszystko przegramy. Pomóżcie mi, bo może nie wszystko jest stracone. Tak odbieram pańskie zachowanie. Mój staruszek ojciec ściągnąłby po prostu pas i porządnie zbiłby panu skórę.

— Przestań, Percy — uciszył go Edgar. — Nie pora teraz na umoralniające rozmowy.

George podszedł do barku na kółkach i nalał sobie porcję burbona.

— Wiecie co, ludzie? — powiedział gorzkim głosem. — Powinniście zarządzać misją wyznaniową, a nie linią żeglugową. Spójrzcie tylko na siebie. Jesteście w takich długach, że nawet wasze gacie są własnością banków. Dryfujecie po Atlantyku na statku wartym dziesięć milionów funtów, z pasażerami wartymi dwieście razy więcej, a dlaczego? Tylko dlatego, że jakiś głupi marynarz skoczył do oceanu, chociaż wcale nie musiał. Nie będę już dodawał, że ów człowiek już od blisko godziny nie żyje i szukacie go zupełnie niepotrzebnie.

Była godzina jedenasta trzydzieści dwie. Edgar wsunął dłonie do kieszeni i oznajmił:

— Będziemy poszukiwali pana Philipa jeszcze przez dziesięć minut, a potem ruszymy. Dla tej kompanii ludzkie życie ma większą wartość niż cokolwiek innego, w tym pieniądze, plany i porozumienia. Jeżeli stracimy Keys Shipping, bo próbowaliśmy znaleźć kogoś zagubionego na morzu, widocznie będzie to wola boska.

— Och, wy głupcy — westchnął George. Jednym haustem wypił burbona i podniósł z sofy swój kapelusz.

— Mam jednak pewną propozycję — powiedział Edgar cicho. — Możemy oficjalnie ogłosić, że „Arcadia” przebyła dzisiaj sześćset trzydzieści pięć mil; stratę pięciu mil nadrobilibyśmy jutro.

Potrafię tego dopilnować. Jeszcze nie płynęliśmy z maksymalną szybkością. Oceniam, że mamy sześć tysięcy koni mechanicznych mocy, której do tej pory nie wykorzystaliśmy. Wciąż możesz więc wygrać swój zakład.

Percy Fearson zerwał się na równe nogi ze zdumioną miną. George Welterman zamarł w bezruchu, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Po kilku sekundach skinął

jednak głową i wreszcie, bez żadnego słowa, wyszedł z kajuty.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Marcia wciągnięta została na pokład, owinięta kocami, a potem osobiście przez Marka przeniesiona do okrętowego szpitala, gdzie doktor Fields i pielęgniarki zdążyli już przygotować dla niej łóżko w izolatce. W drodze do szpitala Catriona szła kilka kroków za Markiem, obok Dicka Charlesa. Za nimi podążali amerykańscy dziennikarze i fotografowie, a potem tłum ciekawskich pasażerów. W pewnej chwili naprzeciw tej procesji wyszedł Monty Willowby (skorzystał z zamieszania i wymienił deski klozetowe w dwóch kajutach). Od razu pojął sytuację i zatrzymał dziennikarzy oraz pasażerów, dzięki czemu można było Marcie spokojnie położyć do łóżka. Ada, stewardesa Marcii, czekała już w szpitalu z czystą koszulą nocną z turkusowego jedwabiu. Gdy zaczęto Marcie kąpać i przebierać, grzecznie wyprosiła Marka do szpitalnej poczekalni.

Poczekalnia była niewielkim pokojem o ścianach pomalowanych na kremowo. Tylko jedną z nich zdobiła grafika Georgesa Barbiera.

Catriona wyciągnęła papierosa i Mark podszedł do niej, by zapalić. Potem przez trzy lub cztery minuty Catriona paliła w milczeniu i wreszcie odezwała się:

— Czy to coś zmienia?

— Dlaczego miałoby zmieniać? — zapytał Mark.

— Och, nie bądź taki naiwny. Przecież ona chciała się zabić, i to przez ciebie.

Mark wzruszył ramionami.

— Pokłóciliśmy się. Ale nie miałem pojęcia, że ona tak na to zareaguje.

— Zapewne powiedziałeś jej o nas.

— Prawdę mówiąc, jeszcze nie.

— Powinieneś był.

— Tak, ona też tak uważa — westchnął Mark. Teraz z kolei on zapalił papierosa. —

Powiedziała, że powinienem być wobec niej w porządku. Ale co to znaczy być w porządku?

Powiedz mi, bo ja nie wiem. Czy w porządku jest to, że zakochałem się w tobie? Że zakochałem się, a mimo to wciąż pragnę kupić od ciebie „Arcadię”? Powiedz mi, czy zachowuję się w porządku wobec ciebie?

— Och, Mark, na miłość boską, nie przesadzaj.

— Uważasz, że przesadzam? — krzyknął.

— O czym innym chcę z tobą rozmawiać. Obawiam się, że będziesz się od teraz czuł za Marcie odpowiedzialny. Przecież w każdej chwili może znów spróbować popełnić samobójstwo.

Oczywiście, z twojego powodu.

— Tak, będę czuł się za nią odpowiedzialny.

— Tak odpowiedzialny, że Marcia stanie pomiędzy nami?

— Oczywiście, że nie.

Catriona wypuściła nosem potężny kłęb dymu.

— Mówisz, „oczywiście, że nie”. Ale skoro czujesz się za kogoś odpowiedzialny, powinieneś zachowywać się zgodnie z wymogami zaistniałej sytuacji. To jest odpowiedzialne. Uważam więc, że jedynym możliwym przejawem twojej odpowiedzialności i sposobem na to, by powstrzymać Marcie przed kolejnym skokiem za burtę, może być tylko powiedzenie jej, że ją kochasz i kochałeś ją od niepamiętnych czasów. „Przepraszam cię, ale Catriona była nieporozumieniem”.

Mark ciężko westchnął.

— Dlaczego wy, dziewczyny, zawsze wszystko tak strasznie komplikujecie?

— Niczego nie komplikujemy — powiedziała spokojnie Catriona. — Po prostu my potrafimy odważnie stawiać czoło wszelkim problemom, podczas gdy mężczyźni tego unikają. I tak masz tylko zdecydować, czy pozostaniesz z Marcją, czy chcesz być ze mną.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, na szczęście w poczekalni pojawił się doktor Fields.

Przez chwilę spoglądał na Marka, po czym odezwał się:

— Cóż... Dokładnie ją zbadałem...

— Czy wszystko z nią w porządku? — zapytał Mark. — Hmm... Jest w takim stanie, w jakim należało się spodziewać, że będzie po tak długiej kąpieli. Ma solidne siniaki spowodowane skokiem do wody z dużej wysokości. Poza tym jest zszokowana, ma w płucach morską wodę, no i oczywiście jest wycieńczona. Jednak żadna z tych przypadłości nie zagraża na dłuższą metę jej zdrowiu. Jeśli będzie miała dość wypoczynku, jeśli nie będzie miała powodów do zmartwień i zdenerwowania, już w chwili, gdy dobijemy do Nowego Jorku, będzie zdrowa.

— Czy powiedziała panu, dlaczego skoczyła?

Doktor Fields spojrzał Markowi prosto w oczy, a potem pokiwał głową.

— Tak, wyjaśniła mi to. — No i?...

— No i nic — odpowiedział doktor Fields. — Czego pan się spodziewa, że co panu powiem?

Że nie powinien pan flirtować z kobietami, bo będą się zabijały? Cóż, jest to ryzyko, które ciąży na pewnych ludziach. Na mnie, niestety, nie.

— Ale co powinienem teraz zrobić?

Doktor Fields zakaszłał.

— Proponuję, aby w ciągu najbliższych dni okazywał jej pan jak najwięcej przyjaźni, pod warunkiem że nie wzbudzi pan w niej nadmiernych oczekiwań; nie powinna spodziewać się więcej, niż jest pan gotów jej dać. Proszę nie mówić, że ją pan kocha, skoro tak nie jest. Niech pan nie obiecuje jej małżeństwa ani nie składa żadnych innych, podobnie niedorzecznych obietnic. Może z ich pomocą szybciej wyszłaby z depresji teraz, ale później, gdy zorientowałyby się, że są to kłamstwa, zabiłoby to ją. Po prostu niech pan się zachowuje jak jej przyjaciel, to wszystko, co mogę powiedzieć. Ta dziewczyna zasługuje przynajmniej na tyle.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Tak, ale na krótko. W tej chwili najbardziej potrzebny jest jej sen.

We troje weszli do pomieszczenia, w którym leżała Marcja. Iluminator zasłonięty był grubą kotarą,

by do środka wpadało jak najmniej światła z zewnątrz. Na stoliku przy łóżku stał wazon ze sztucznymi piwoniami, a na ścianie zawieszony był obraz z uspokajającym dla oka krajobrazem. Głowa Marcii zawinięta była w grube bandaże, a jej ręce, spoczywające na śnieżnobiałym prześcieradle, były poranione i posiniaczone. Popatrzyła na Marka i Catrionę oczyma, które w wyniku działania środków uspokajających były na poły zamknięte.

— Mark? — wyszeptała.

Przysunął sobie do łóżka jedyne krzesło. Catriona usiadła w nogach Marcii.

— Jestem tutaj — powiedział. — Jak się czujesz?

— Jakoś tak nierealnie — odparła. — Nie wiem, czy wciąż jestem żywa, czy jednak martwa.

— Żyjesz, możesz mi wierzyć. Nie wiedziałem, że tak doskonale potrafisz pływać.

— Naprawdę pływałam? Sama nie wiem dlaczego. Myślałam, że wcale nie będzie trudno utopić się. Ale kiedy znalazłam się w wodzie, nakazałam sobie płynąć. W uszach słyszałam głos mojej starej instruktorki od sportu: „Płyn, Marcia, płyn”. No to płynęłam.

— Miałaś szczęście, że ktoś zauważył, jak skoczyłaś — odezwała się Catriona. — Na pokładzie były wtedy tylko dwie lub trzy osoby.

— Szczęście? — zdziwiła się Marcia. Po raz pierwszy spojrzała na Catrionę. — Czy można to nazwać szczęściem, skoro przeżyłam, utraciwszy najpierw wszystko to, czego pragnęłam?

— Przepraszam — powiedziała Catriona. — Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak głupio.

— Nie musisz mnie przeproszać. To nie twoja wina, że i Mark kocha ciebie bardziej niż mnie.

Taki już jest świat, prawda?

Mark uściśnął jej dłoń.

— Teraz nie myśl o tym. Najpierw musisz odzyskać siły. Marcia uśmiechnęła się ze smutkiem. Mrugając oczyma, na coraz dłuższe chwile zamykała je; było jasne, że zasypia.

— Ten oficer, który mnie uratował — wyszeptała. — Czy z nim jest wszystko w porządku?

Mark popatrzył na Catrionę. To ona ośmieliła się odpowiedzieć:

— Tak, o ile mi wiadomo, czuje się doskonale. — Kiedy dotarł do mnie, powiedział mi coś dziwnego...

Czy wiecie, co powiedział?

Catriona potrząsnęła przecząco głową, ale zrozumiałwszy, że Marcia już prawie nic nie widzi,

odezwała się głośno:

— Nie. Co takiego powiedział?

— Powiedział... „Ma pani rację, to najlepsze wyjście”. Nie miałam pojęcia, co to oznaczało.

Zasnęła z lekko otwartymi ustami. Odczekawszy dwie minuty, Mark i Catriona podnieśli się i cicho wyszli na zewnątrz.

Nie uzgadniając tego pomiędzy sobą, zgodnie skierowali się do Orchid Lounge, gdzie Mark zamówił drinki dla nich obojga. Potem przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, zagłębieni we własnych myślach. Wreszcie odezwała się Catriona:

— Zastanawiasz się, czy nie powinieneś mnie zostawić, prawda?

Mark szybko na nią spojrzał.

— Ależ skąd? Dlaczego ci to przyszło do głowy? — Przecież tak będzie najłatwiej. Nie musiałbyś więcej nosić poczucia winy wobec Marcii. Także wobec mnie. Przez te kilka dni dowiedziałam się o tobie jedynie tego, że nie potrafisz mieszać interesów z uczuciami. Mark zmarszczył czoło.

— Czy mówisz to wszystko poważnie? — zapytał. Po chwili, zmierzyszy ją uważnym spojrzeniem, dodał: — Tak, ty jesteś zupełnie poważna.

Catriona robiła wszystko, by się nie rozplakać. Z trudem panując nad swym głosem, powiedziała:

— To nie ma sensu, Mark. Inne postępowanie do niczego nas nie doprowadzi. Po prostu przez resztę życia udawajmy, że nigdy się nie spotkaliśmy.

— Catriono, nie masz racji. Posłuchaj mnie, kochanie. Jak myślisz, ile razy w życiu się zakochałem? Mam na myśli prawdziwe zakochanie się, kiedy czułem się, jakby piorun we mnie strzelił. Odpowiedź jest prosta: tylko dwa razy. Pierwszy raz, kiedy miałem dwadzieścia lat, zakochałem się w dziewczynie, która pozowała do kalendarzy. Na imię jej było Eunice i moja matka nienawidziła jej. Drugą dziewczyną, w której się zakochałem, jesteś ty. Ale pomiędzy Eunice a tobą nie było nikogo, jedynie drobne, przelotne flirty. — A Marcia? — zapytała Catriona, ocierając oczy.

— Jeśli chodzi o nią, zamierzam zrobić dokładnie to, o co prosił mnie doktor. Niczego nie będę jej obiecywał, po prostu będę zachowywał się jak jej przyjaciel. A jeśli chodzi o obietnice...

Zależy mi tylko na tobie.

— Kocham cię — powiedziała Catriona i po chwili dodała: — Cholera jasna.

— Pojedziesz ze mną do Bostonu?

— Jeszcze się nie zdecydowałam.

— Zdecyduj więc.

Catriona wahała się przez moment, ale zaraz zganiła się w myślach. Do diabła, dlaczego właściwie się zastanawiam? To wszystko dzieje się tak błyskawicznie, ale co z tego? Chyba tak właśnie musi być, kiedy kobieta spotyka mężczyznę swojego życia.

— Dobrze — powiedziała i lekko się uśmiechnęła. — Pojadę z tobą. Pod warunkiem, że pozwolisz mi zabrać ze sobą Alice.

— Możesz wziąć i pięćdziesiąt Alice.

Mark popatrzył na zegar. Brakowało dwóch minut do dwunastej.

— Muszę cię teraz opuścić — powiedział. — Mam spotkanie z Johnem Crombeyem, a potem muszę podyktować kilka telegramów. Mam jednak nadzieję, że będę mógł zaprosić cię na spacer po obiedzie. Poza tym... Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy pojawili się razem na dzisiejszym balu przebierańców?

Catriona przez kilka sekund milczała.

— Miałam zamiar pójść na ten bal w towarzystwie pana Philipa — odparła wreszcie. Nagle posmutniała. Edgar powiedział jej przy śniadaniu, że wywrze doskonałe wrażenie na pasażerach, jeśli przyjdzie na bal w towarzystwie oficera, który pełni obowiązki kapitana. Teraz Rudyard Philips nie żył, utopił się, i to kto wie, czy nie z własnej woli. Mark jakby czytał w jej myślach.

— Straciłem na morzu wielu dobrych przyjaciół, w tym i ojca. To smutne, ale nikogo z nich nie mogłem nawet pochować.

— Myślę, że pan Philips nie martwiłby się pogrzebem. Powiedział mi, że morze to jedyna rzecz, która ma dla niego znaczenie.

Jeszcze przez chwilę trwała cisza, po czym Catriona dodała:

— Spotkamy się o trzeciej w Palm Court. Była dokładnie godzina dwunasta w południe.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

W samo południe na pokładzie „Arcadii” zaszło kilka bardzo istotnych zdarzeń.

Najważniejsze — w bagażniku marmona, wciąż należącego do Marka Beeneya. Sprężyna w zegarze, który Harry upuścił, goniąc Lucille, w momencie uderzenia o metalową podłogę przesunęła się o jedną szesnastą cała i z tego powodu o godzinie dwunastej nie uruchomiła zapalnika, który miał zdetonować trzydzieści lasek dynamitu. Nieskomplikowany, lecz bardzo wrażliwy na wstrząsy mechanizm nie zadziałał.

Godzina dwunasta wybiła i przeminęła, a „Arcadia”, zaprzestawszy poszukiwań Rudyarda Philipa, z każdą chwilą zwiększając prędkość, majestatycznie płynęła w kierunku zachodniego horyzontu. Jej

burty lśniły, kominy wyrzucały potężne kłęby białego dymu, dziób zaś płynnie przecinał fale. Wielki liniowiec był coraz bliżej Nowego Jorku. Aby odciągnąć myśli pasażerów od niedawnych tragedii, Ralph Peel polecił poczęstować szampanem każdą osobę z pierwszej klasy. W drugiej klasie wszyscy otrzymali po kieliszku doskonałej sherry, a w trzeciej — po butelce piwa. Na pokład spacerowy pierwszej klasy wyległa orkiestra i wkrótce wszystkim udzielił się nastrój wesołej zabawy oraz niecierpliwego oczekiwania na bal przebierańców, zapowiadany na późny wieczór.

Wciąż wzbudzał emocje pojedynki pomiędzy Joe Kretchmerem a Duncanem Wilkesem.

Spodziewano się, że być może obiad przyniesie ostateczne rozstrzygnięcie rywalizacji, ponieważ już podczas drugiego śniadania obaj panowie zemdleli, gdy steward dostarczył im do pomieszczenia klubowego *le snac du jour*; składały się na to jaja siewek gotowane na twardo, krewetki z Zatoki Dublińskiej oraz wieprzowina przyprawiona na ostro, wszystko podane w zagęszczanym soku z dyni. Maurice Peace przewidywał to samo, co reszta pasażerów, w związku z czym przyjmował setki funtów z tytułu dodatkowych zakładów, dotyczących zakończenia rywalizacji tylko podczas tego jednego obiadu. Zainteresowanie nią, przez jakiś czas bardzo słabe, gdyż zdawało się, iż dwaj panowie do końca podróży nie będą już robić nic innego, tylko majestatycznie przeżuwać kolejne potrawy, znowu wzrosło.

Następnym istotnym wydarzeniem była nieoczekiwana poprawa samopoczucia sir Peregrine'a. Niespodziewanie usiadł na łóżku i oznajmił siostrze Queensland, że ma mu podać spodnie, jeśli nie chce zostać natychmiast zwolniona. Siostra Queensland zawołała po doktora Fieldsa, ten jednak był akurat zajęty przy lady Cressworthy, narzekającej na bóle pleców. Zanim doszedł do wniosku, że przyczyną jej kłopotów jest zbyt ciasny gorset (na plecach i brzuchu miała ogromne siniaki), sir Peregrine zdołał włożyć kompletny mundur i wyruszył w kierunku mostka.

— Czuję się doskonale, proszę pani — powiedział do siostry Queensland, klepiąc ją zdrową ręką po ramieniu. — Nie musi się pani wcale o mnie martwić, jasne?

Znalazłszy się na mostku, oznajmił zaskoczonemu Ralphowi Peelowi, że przejmuje dowodzenie nad „Arcadią”. Powiedział też, że planuje osobiście otworzyć bal przebierańców.

Ralph otrzymał polecenie skorygowania kursu statku o półtora stopnia. Ponadto kapitan zasypał

go pytaniami: Dlaczego „Arcadia” mknie z szybkością aż dwudziestu dziewięciu węzłów? Do cholery, czy to wyścigi? A jeśli nawet tak, to z kim się ścigają? I, do cholery, po co?

Najważniejsze jest bezpieczeństwo statku. Ostatni rozkaz sir Peregrine'a nakazywał Ralphowi udać się, natychmiast po wykonaniu poprzednich poleceń, do jego kabiny i porządnie się ogolić.

Sir Peregrine nie zamierzał tolerować na mostku oficerów, którzy wyglądają jak lemury.

— Przy okazji, niech pan zawoła mojego stewarda i każe mu przynieść mi dużą szklanekę rosyjskiej herbaty z łyżką syropu klonowego oraz dwie aspiryny. Jakie są najnowsze wieści z Ascot?

— Wyścigi w Ascot już się skończyły. Na „Arcadii” była godzina dwunasta, natomiast w Anglii już

kilka godzin później.

— Wygrała pani Jeffrey Dinkie na królewskim koniu Weathervane, sir — odparł Ralph Peel.

— Pani Jeffrey? Twierdzi pan, że królewskie wyścigi wygrała kobieta?

— Tak, proszę pana. — Widząc niezadowolenie na twarzy kapitana, Ralph dorzucił: —

Niestety, proszę pana.

— Co za czasy... Gdzie jest pan Deacon?

— Zaraz zawołam go na mostek.

— Nie, nie trzeba. Gdzie jest pan Philips?

Zapadła nieprzyjemna cisza. Ralph długo się wahał, zanim wreszcie wykrztusił z siebie:

— Nie powiedziano panu?

— Powiedziano? O czym?

— O panu Philipsie. Przypuszczałem, że doktor Fields już pana poinformował.

Sir Peregrine chwycił się oparcia kapitańskiego fotela, żeby nie upaść.

— A niby co takiego miałby mi powiedzieć?

— Nie jestem pewien, czy powinienem o tym mówić. Nie chcę, aby dopadł pana kolejny atak.

Może jednak lepiej będzie, jeżeli porozmawia pan z doktorem Fieldsem?

— Jeżeli wiadomość na temat pana Philipsa jest aż tak szokująca, że ma mnie rozłożyć na dobre, to muszę panu powiedzieć, że próżne to obawy. W moim zawodzie nie ma lepszej okazji do wykorkowania niż podczas dobrotycznego obiadu Shipwrecked Marines Society, w trakcie któregoś z tych wstrętnych przemówień Geralda Maude'a.

— No cóż, powiem więc panu — westchnął Ralph Peel. — Przykro mi, że to ja właśnie muszę przekazać panu pierwszy tę złą wiadomość. Otóż pan Philips nie żyje. Utopił się przed jakąś godziną, ratując życie pasażerke, która wypadła za burtę.

Sir Peregrine popatrzył na drugiego oficera z niedowierzaniem. Dopiero po chwili zdołał

wydożyć z siebie głos:

— Utopił się, mówisz pan?

— Tak.

— Rozumiem. Hmm... To bardzo smutna wiadomość. W gruncie rzeczy, tragiczna. Ten biedny facet niczego nie potrafił zrobić bez błędu. Rozjechał przecież tego Irlandczyka, potem miał zupełnie idiotyczne pomysły podczas sztormu. Co przypomina mi... Panie Peel, chyba poleciłem panu nie opuszczać kwatery z powodu pańskiej niesubordynacji.

— Eee... Tak, proszę pana. Jednak pan Deacon powiedział, że...

— Deacon, tak. — Sir Peregrine pokiwał głową. — Czy znaleźliście już ciało pana Philipa?

Mam nadzieję, że go szukaliście.

— Tak, panie kapitanie. Niestety, bez skutku. Chyba poszedł na dno jak kamień.

— Rozumiem. Jak kamień. Czy chociaż uratował tę pasażerkę?

— Tak. To była panna Marcia Conroy, która podróżuje z panem Markiem Beeneyem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na mostek wkroczył George Welterman.

— Panie Peel! — zawołał. — Zwolniliśmy! Dlaczego, do diabła, zwolniliśmy?

Sir Peregrine odwrócił się w jego kierunku i dopiero w tym momencie George zdał sobie sprawę z jego obecności. Niepewnie zamrugał oczyma, po czym głośno chrząknął. Sprawiał

wrażenie, że nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

— Czy uszy mnie zawodzą, proszę pana, czy też pan naprawdę zwraca się z prośbą do mojego oficera o informację o prędkości tego statku? — zapytał sir Peregrine.

George szybko zdołał odzyskać mowę.

— Pan Deacon obiecał, że „Arcadia” będzie obecnie płynęła z największą możliwą prędkością, aby nadrobić ogrom utraconego czasu — powiedział. — Prawdę mówiąc, osobiście mi to przyrzekł.

— Czyżby? — zdziwił się sir Peregrine. — Mimo częściowego paraliżu, wyglądał elegancko i dumnie, jak na dowódcę statku przystało. — Cóż, żałuję, jako kapitan „Arcadii” zmieniłem jednak decyzję pana Deacona. Poza tym obiecuję panu, równie osobiście jak pan Deacon, że jeśli jeszcze raz znajdzie się pan na mostku albo w jakiegokolwiek innej części tego statku nie przeznaczonej dla pasażerów, każę pana zamknąć w pańskiej kajucie i pozostanie pan tam tak długo, dopóki nie dobijemy do portu w Nowym Jorku. Ma się rozumieć, podejmę tę decyzję dla pańskiego bezpieczeństwa. Mógłbym nawet napomknąć stewardowi, żeby zapomniał przynosić panu posiłki.

Nie czekając na reakcję George’a, sir Peregrine odwrócił się do niego plecami i pochylił nad mapą Atlantyku rozłożoną na stole nawigacyjnym. George’a Weltermana natychmiast zaczęła ogarniać furia. W porę jednak przypomniał sobie, że już dwukrotnie podczas tego rejsu zaszkodził mu brak opanowania, toteż, czerwony na twarzy, odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Gdy George zamknął za sobą drzwi, sir Peregrine powiedział do Ralpha Peela:

— Jeżeli ten człowiek kiedykolwiek jeszcze odezwie się do pana na jakikolwiek inny temat niż kobiety, łowienie ryb albo ceny weekendu w Ostendzie, może pan udawać głuchego.

— Tak, kapitanie — odparł Ralph, raczej wstrząśnięty.

Harry Pakenow w tym czasie znajdował się na pokładzie spacerowym, starając się nie oddalać za bardzo od łodzi ratunkowych. Nerwowo palił papierosa i czekał na grzmot, który ogłosi światu wszem i wobec, że jego dynamit wybuchnął. Widział Lucille podczas drugiego śniadania, nie mógł jednak przysiąść się do niej, ponieważ pani Hal przypilnowała, aby wraz ze swą małą otrzymać miejsce przy niedużym, zaledwie dwuosobowym stoliku. Próbował nie spuszczać Lucille z oka, lecz nie było to łatwe; tym bardziej że na krótko przed dwunastą dziewczynka zniknęła wraz z opiekunką w kajucie. Harry nie był w stanie jej pomóc, mógł jedynie się modlić, by ktoś pomógł Lucille dotrzeć do łodzi ratunkowej po wybuchu.

Gdy zegary na statku zaczęły wybijać godzinę dwunastą, Harry zamarł i chwycił się rękami barierki w oczekiwaniu na wybuch. Gdy minęła minuta i nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, nie był specjalnie zdziwiony. Zegar, w który Dennis wbudował mechanizm, kosztował zaledwie jednego szylinga i jedenaście pensów. Niestety, rewolucjonistów nie było stać na zakup dokładnych chronometrów. W miarę jednak, jak mijały kolejne, wlokące się w nieskończoność minuty, a „Arcadia” nadal spokojnie zmierzała na zachód, Harry zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem czegoś nie sknocił. Chcąc się przynajmniej upewnić, która jest dokładnie godzina, podszedł do Dereka Holdswortha, piątego oficera, który zabawiał rozmową Constance Pruitt.

— Przepraszam, czy wie pan, która jest godzina? Zdaje się, że mój zegarek stanął.

Derek Holdsworth sięgnął do kieszeni i wyciągnąwszy z niej duży, srebrny zegarek, odparł:

— Dokładnie jest dwunasta zero pięć, panie Pakemoff.

Constance Pruitt, wysoka, śliczna brunetka, której urodę podkreślały odrobinę skośne oczy, wykorzystała okazję, aby odezwać się do Harrego.

— Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi, panie Pakemoff. Czyż dzisiejszy poranek nie był ekscytujący? A ten biedny oficer... Rozplakałam się, kiedy się dowiedziałam o jego śmierci.

— Nazywam się Pakenow — poprawił ją Harry. Przez chwilę wpatrywał się w nią nieprzyjaznym spojrzeniem.

Constance Pruitt nie mogła wiedzieć, że Harry tego dnia nie bawi się w ogóle i zupełnie nie interesuje go los Marcii Conroy i Rudyarda Philipisa. Harry Pakenow czekał bowiem na wybuch bomby.

Derek Holdsworth przerwał nieprzyjemną ciszę.

— Rozumiem, że czeka pan już na obiad, panie Pakenow. Dzisiaj wydajemy specjalny obiad na cześć irlandzkich inwestorów „Arcadii”.

Harry nie słuchał go jednak. Odwrócił się i pośpieszył w kierunku schodów. W połowie drogi zwolnił. Co będzie, jeżeli bomba wybuchnie, kiedy będę w ładowni? — pomyślał. Nie będę miał szansy na ratunek. Może powinienem poczekać jeszcze kilka minut?

Constance Pruitt przez chwilę patrzyła za Harrym, po czym powiedziała do Dereka:

— Klasa robotnicza jest bardzo dziwna, prawda? Właści — wie to do tej pory nie widziałam jeszcze nikogo spośród i nich z bliska. Och, oczywiście, oprócz służących. Są, nie wiem, tacy jakby nawiedzeni... Mój tato mówi, że należy trzymać ich krótko, bo inaczej szybko zapomną, jakie jest ich właściwe miejsce. Twierdzi, że to wszystko przez tę wojnę.

Minęły jeszcze trzy minuty i Harry zrozumiał już, że jego bomba nie wybuchnie. Trochę wolniejszym krokiem niż przed chwilą dotarł do klatki schodowej i zaczął schodzić w dół.

Zauważył go któryś ze stewardów i podszedł do niego:

— Czy życzy pan sobie wypić koktajl przed obiadem? — zapytał.

— Eee... nie, dziękuję — odpowiedział Harry. Po chwili dodał: — Prawdę mówiąc, trochę pobłądziłem. Proszę mi wskazać drogę do najbliższej windy.

Przed chwilą zdał sobie sprawę, że właściwie pozostało mu już tylko jedno do zrobienia. Musi zejść do ładowni i osobiście zdetonować ładunek.

Pokazawszy mu drogę do windy, steward nie interesował się nim dłużej. Harry zbiegł więc po schodach i wkrótce ponownie tego dnia znalazł się przed drzwiami prowadzącymi do ładowni.

Znów otworzył je kluczem, który ukradł Monty'emu. Tym razem bardzo szybko znalazł się przy marmonie Marka Beeneya. Śrubokręt, który posłużył mu do zniszczenia zamka od bagażnika, wciąż w nim tkwił, Harry chwycił więc za rączkę i pociągnął. Narzędzie jednak ani drgnęło; poprzednim razem wcisnął je zbyt głęboko w zamek. Mimo że pocił się i używał wszystkich sił, nic nie uzyskał. Jedynym efektem jego nerwowych poczynań było pęknięcie drewnianej rączki śrubokrętu. Tak więc Harry nie miał już najmniejszych szans na otwarcie bagażnika.

Głośno oddychając, wyprostował się. Ogarnęła go panika. Skoro nie otworzy bagażnika, nie zdetonuje też dynamitu; myśl ta sprawiła, że zadrżał na całym ciele. A więc nie zatopi „Arcadii”.

Symbol luksusu i zbytku klasy wyzyskiwaczy, nie uszkodzony, dumnie wpłynie do Nowego Jorku, dodając bogatym tego świata jeszcze więcej pewności siebie. Słabym pocieszeniem była dla Harryego kolejna myśl, że przynajmniej bezpieczna w tej chwili jest Lucille Foster, bezpieczne są Philly i Lydia oraz wszyscy pozostali pasażerowie trzeciej klasy, z którymi przecież przez długi czas wspólnie jadał posiłki, popijał piwo, zartował i bawił się.

Jeszcze raz, bez przekonania, spróbował otworzyć bagażnik marmona. Oczywiście, nie przyniosło to skutku i Harry poddał się. Może kiedyś, w przyszłości, będzie miał jeszcze jedną szansę. Może zniszczy „Arcadię” w suchym doku w Liverpoolu? Znał przecież mnóstwo ludzi pracujących w liverpoolskiej stoczni. Każdy z nich wpuści go na statek, niekoniecznie wiedząc, że Harry ma ze sobą kilkaset funtów dynamitu.

Myśl, że powróci do Liverpoolu, trochę poprawiła mu humor. W Nowym Jorku miał starych przyjaciół, partyjnych towarzyszy i kolegów ze szkoły. Jednak kto wie, jak bardzo w ciągu ostatnich lat się zmienili? A poza tym, chcąc nie chcąc, zaczynał coraz bardziej tęsknić za Janice.

Ożywiła go myśl, że powróci do niej cały i zdrowy. Pewnego dnia zrobi jej niespodziankę i zapuka do jej drzwi, a potem znów będą razem tak jak dawniej. A sprężyny w łóżku będą skrzypiały jak niegdyś.

Pogrążony w swych myślach, wolnym krokiem ruszył w kierunku drzwi. Ponieważ opuściła go wszelka czujność, dopiero kilka jardów przed nimi spostrzegł, że spokojnie czeka na niego przy wyjściu Derek Holdsworth oraz dwóch innych marynarzy.

— Wygląda na to, że wpadłeś w poważne tarapaty, stary — odezwał się Derek Holdsworth.

— Ta... tarapaty? — wyjąkał Harry.

— Pobyt pasażerów w tej części statku jest zabroniony, przyjacielu. Naruszyłeś regulamin podróży. Ponadto ja osobiście oraz ci dwaj marynarze widzieliśmy, jak próbowałeś włamać się do jednego spośród znajdujących się tutaj aut. Przykro mi to mówić, muszę cię jednak poinformować, że do końca rejsu zostaniesz zamknięty na klucz w kajucie, a w Nowym Jorku zostaniesz wydany policji z informacją, czego dopuściłeś się na pokładzie.

— Chcecie mnie wydać nowojorskiej policji? — zawołał Harry. — Przecież to jest brytyjski statek i policja z Nowego Jorku nie ma tu nic do gadania!

— Jesteś Amerykaninem, prawda? Tak przynajmniej powiedział mi pan Willowby.

Przestępstwo popełnione na statku przez amerykańskiego obywatela podlega amerykańskiemu prawodawstwu.

— Przecież niczego złego nie zrobiłem. Ja tylko oglądałem samochody.

— Jak się tutaj dostałeś?

— Drzwi były otwarte. Po prostu wszedłem do środka.

Derek Holdsworth westchnął i powiedział spokojnie:

— Johnson, Pettigrew, przeszukajcie go.

Harry zrobił krok do tyłu.

— Gdybym był pasażerem pierwszej klasy, nie rozmawialibyście ze mną w ten sposób — stwierdził.

— Pewnie nie — odparł Derek Holdsworth z uśmiechem. — Ale, niestety, nie jesteś pasażerem pierwszej klasy. Nie jesteś nawet pasażerem drugiej klasy.

— Niech pan posłucha, ja tylko oglądałem samochody.

— Mam uwierzyć, że tylko po to tutaj przyszedłeś?

— Oczywiście! Przecież niczego tu nawet nie dotknąłem!

Tymczasem jeden z marynarzy oglądał marmona. Nie minęło wiele czasu, nim dojrzał uszkodzony zamek przy bagażniku.

— Panie Holdsworth! — zawołał. — Znalazłem!

Derek Holdsworth popchnął Harry'ego i razem ruszyli w kierunku marmona. Gdy się przy nim znaleźli, Derek powiedział:

— Proszę, proszę, samochód pana Beeneya. Gratuluję, masz dobry gust, stary.

— Nie mogę go otworzyć — odezwał się marynarz. — Ten facet prawdopodobnie całkowicie zniszczył zamek bagażnika.

— Grzebałeś przy tym zamku? — zapytał Derek Harry'ego. Harry przetarł okulary.

— Nawet jeśli grzebałem, czy myśli pan, że przyznam się do tego? Nawet nie zbliżyłem się do marmona.

— Widzieliśmy cię — warknął grubszy z dwójki marynarzy.

— Jeśli mnie widzieliście, to chyba na jakimś filmie — odparował mu Harry. — Muszę wam powiedzieć, że wielkie studia filmowe bardzo cenią widzów o dużej wyobraźni.

— Tracimy czas — stwierdził Derek Holdsworth. — Idziemy do kapitana. Johnson, chwyć pana Pakenowa.

Harry spróbował się wyrwać, ale chudy nie zamierzał go puścić i zaczął ciągnąć go w kierunku drzwi.

Przy drzwiach Harry się załamał. To wszystko spadło na niego tak niespodziewanie, jakby ktoś uderzył go w głowę. Nagle doznał strasznego olśnienia, pojął, że kapitalistów ani ich stylu życia nie da się zniszczyć, że idiotyzmem było przypuszczenie, iż coś takiego jest możliwe.

Nieważne, jak wiele rzuciłby bomb, nieważne, ile luksusowych statków by spalił, i tak nie zrobi na nich żadnego wrażenia. Jest ich zbyt wielu i zbyt są bogaci, zbyt potężni. Ich wiary w słuszność systemu, który stworzyli, nie można było zniszczyć bombami. Jedną rzeczą było wyobrazenie sobie, jak żyją bogaci ludzie, co zdarzyło mu się, zanim zdetonował bombę na Wall Street, a inną osobiste ujrzenie ich życia. A Harry zobaczył to wszystko na własne oczy, widział

srebrne zastawy i sztuce, błyszczące klejnoty i brokatowe tapicerki. Jadł najlepsze mięso, egzotyczne ryby i popijał drogim winem. Już wiedział, iż bogacze za nic w świecie z tego nie zrezygnują i nigdy też z nikim się tym nie podzielą. Było beznadziejnym oszukiwaniem samego siebie, że coś takiego się wydarzy. Wspaniałość bogactwa oszołomiła go, a przecież zdawał sobie sprawę, że nie ujrzał nawet jego cząstki. W Bootle rozmawiał z rodzinami, które mieszkały po pięć osób w jednym pomieszczeniu i jadły chleb z ziemniakami sześć razy w tygodniu na kolację, a tutaj prozę: słyszał głośne rozważania, czy tegoroczne lato należy spędzać w Ameryce w domu, czy też lepiej w paryskim apartamencie. Przecież nie sposób było terroryzować ludzi, którzy wiedli właśnie takie życie.

Kawior zaskoczył go najbardziej. Ujrawszy jakąś kobietę, rozsmarowującą na kawałku chleba kilkanaście ciemnych jajeczek, które kosztują tyle, co dwudniowy posiłek dużej rodziny, wpadł po prostu w osłupienie. Niemożność zrozumienia tego, co go otacza na statku, nieudana próba detonacji bomby i wreszcie wstydliva ulga, że będzie mógł powrócić do Janice, rzuciły go na kolana. Padł do nóg Dereka Holdswortha i zaczął łkać jak małe dziecko.

Derek Holdsworth zmieszał się. Czym innym było prowadzenie biedaka do kapitana, a czym innym ujrzenie go nagle u własnych stóp. Poszedł za Harrym do ładowni tylko dlatego, że Constance Pruit zaobserwowała jego podejrzaną zachowanie i zasugerowała, że facet może zrobić coś nieprzyjemnego.

— Wiesz co? — odezwał się do Harry'ego. — Właściwie to wątpię, czy tak naprawdę chciałeś włamać się do tego samochodu.

Harrego paraliżował smutek. Mógł tylko płakać. Derek Holdsworth powiedział tymczasem do grubszego marynarza:

— Właściwie to on chyba niczego nie ukradł, co? Czy coś zniszczył?

— Jest parę zadrapań na lakierze...

— To tyle, co nic. Może trochę się za bardzo pośpieszyliśmy. Ten facet jest w końcu bohaterem, wiesz przecież.

Derek pochylił się i powiedział głośno do ucha Harry'ego:

— No, już w porządku, stary. Puścimy cię wolno. Rozumiesz mnie? Uwolnimy cię. Wracaj do swojej kabiny i zachowuj się rozważnie, a przede wszystkim nikomu nie mów o tym zdarzeniu.

No, co ty na to? W porządku?

Harry oparł się o kremową ścianę korytarza. Zdjął okulary i przetarł je krawatem. Czuł się poniżony i zawstydzony. Najgorsze dla niego było to, że naprawdę był winien tego wszystkiego, o co oskarżał go Derek Holdsworth, i rzeczy jeszcze straszniejszej. Gdyby zdołał włamać się do samochodu Marka Beeneya, zatopiłby cały statek i Dereka razem z nim.

Tymczasem Derek wyciągnął do niego rękę.

— No, dalej, stary. Wstawaj.

Harry przez chwilę się wahał, lecz wreszcie wyciągnął swoją rękę i pozwolił Derekowi Holdsworthowi, aby go podniósł na nogi.

— Dziękuję panu — powiedział chrapliwym głosem. — Nie wiem za co, ale dziękuję.

Derek Holdsworth obserwował, jak Harry się oddala, i przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze uczynił, puszczając wolno tego człowieka.

— Bardzo dziwne — powiedział do Johnsona. — Trudno zrozumieć tych ludzi, prawda? W

jednej godzinie facet był bohaterem, a teraz nagle spadł do roli zrozpaczonego złodziejaska. Nie można ich jednak traktować zbyt surowo. Facet miał zapewne trudne dzieciństwo.

Piętnaście minut po dwunastej na prośbę Maurice'a Peace'a drugi oficer Ralph Peel ogłosił, że podczas dwunastu godzin przed południem „Arcadia” przełynęła 636 mil morskich.

— Czy jest pan pewien? — zapytał go Maurice całkowicie zaskoczony. — Mimo że zawróciliśmy i poszukiwaliśmy tego oficera, który utonął?

— Taką mam informację — odparł Ralph i wręczył Maurice'owi małą kartkę papieru, na której nawigator napisał wyraźnie „636,02 mil morskich”.

Maurice popatrzył przez dym papierosowy, unoszący się w pomieszczeniu klubowym, na George'a Weltermana, który stał spokojnie ze szklaneczką whisky w ręce.

— No cóż, gratuluję — powiedział do niego kilka minut później, kiedy mijali się w korytarzu w drodze na lunch. — Wygląda na to, że ma pan nowy samochód.

George przystanął i zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Drogi panie, niech pan pamięta, że wcale nie chodziło mi o samochód — rzekł poważnym głosem.

— To o co chodziło? — zdziwił się Maurice.

— Zemściłem się na Marku Beeneyu.

— Uprawia pan hazard dla zemsty?

— A panu nigdy to się nie zdarzało?

— Nie, nigdy. Uprawiam hazard bez żadnego uzasadnienia.

— Ale przecież musi być jakiś powód, dla którego pan to robi, bo inaczej po cóż byłoby to wszystko?

— Po co? — zawołał Maurice. — Powiem ci coś, George, chyba nie masz nic przeciwko temu, że będę mówił ci po imieniu... Uprawiam hazard, ponieważ jest to jedyny sposób zarabiania pieniędzy, jaki mi dobrze wychodzi. Czy wyobrażasz sobie mnie gospodarującego na pięćdziesięcioakrowej farmie w Iowa? Albo zbierającego pomarańcze w Kalifornii? Robiłem już różne rzeczy w życiu, ale zostałem stworzony do czegoś innego. Urodziłem się hazardzistą.

Uprawiam go, bo tylko to potrafię, rozumiesz? Nawet pieniądze nie są tutaj najważniejsze.

— Bierzesz mnie pod włos — stwierdził George.

— Nie, George, to nie są żarty.

Weszli do sali jadalnej. Tym razem, ku radości i zaskoczeniu irlandzkich bankierów Keys Shipping, sala udekorowana była zielonymi koniczynami i białymi liliami, a orkiestra, wystrojona w zielone fraki, grała irlandzkie piosenki.

— Czasami zastanawiam się, jak Irlandczycy mogą znosić coś takiego — powiedział George Wełterman niechętnie.

— Ani śladu Marka Beeneya — zauważył Maurice.

— Niedobrze. Nie mogę się doczekać chwili, w której osobiście przekażę mu niepomyślne wieści.

— A w Nowym Jorku wjedziesz jego ukochanym marmonem prosto w mur.

George klepnął Maurice'a w plecy.

— Dokładnie zgadłeś.

— 1 jeszcze zabierzesz mi moje pięć tysięcy funtów.

George pokiwał głową ze złośliwym zadowoleniem malującym się na jego twarzy.

— A może, skoro masz już ten samochód, mógłbyś nie pozbawiać mnie moich pieniędzy?..

Nie, tego się chyba nie da zrobić.

— Nie — przyznał George. — Z całą pewnością nie. Jako nagrodę pocieszenia masz moje pozwolenie, by zejść na dół i obejrzeć mój wspaniały samochód.

Podszedł do nich główny steward i skinął im głową z szacunkiem.

— Czy życzą sobie panowie zasiąść do obiadu? — zapytał.

— Mam na dzisiaj zaproszenie do stolika kapitana — powiedział George.

Na twarzy stewarda pozostał uśmiech, ale z jego oczu zniknęły nagle przyjazne ogniki.

— Ach, pan Welterman. Przepraszam pana, chyba zaszła jakaś pomyłka.

— Pomyłka? O czym mówisz, człowieku?

— Obawiam się, że nastąpiły zmiany w rezerwacji miejsc. W związku z tym proszę usiąść przy stoliku pana Charlesa.

Na twarzy George'a pojawiło się niedowierzanie i oburzenie.

— Kto wydał ci to polecenie? — zapytał.

— Sir Peregrine Arrowsmith, proszę pana. Bardzo mi przykro.

George ponownie tego dnia z trudem zapanował nad sobą. Wziął jednak głęboki oddech i po chwili drżącym ze zdenerwowania, lecz opanowanym głosem powiedział:

— Proszę przekazać sir Peregrine'owi wiadomość ode mnie. Proszę mu powiedzieć, że zamierzam usiąść przy jego stoliku, czy mu to się będzie podobało, czy nie. Możesz mu też powiedzieć, że kiedy Keys Shipping zostanie przejęta przez White Star, zrobię wszystko, aby znaleźć mu pokój w domu dla emerytowanych marynarzy. Puszczę w niepamięć, że pan kapitan nie chce znaleźć miejsca dla mnie.

Steward poblądł na twarzy.

— Proszę chwilę poczekać — wykrztusił i szybko gdzieś poszedł.

A Maurice Peace powiedział do George'a z cichą satysfakcją:

— Nie masz przypadkiem uczucia, że nie jesteś tutaj nadmiernie popularny?

Ale George był zbyt wściekły, by mu cokolwiek odpowiedzieć. Uderzał kciukiem o kciuk i gapił się przez salę na sir Peregrine'a z wyrazem krańcowej złości.

W tym momencie do jadalni weszła Catriona. Towarzyszył jej Charles Schwab z Bethlehem Steel. Dosłownie o krok za nimi podążali: lady Cressworthy i Paul Hartley, piąty syn w bankierskiej rodzinie Hartleyow. Paul wsławił się kiedyś tym, że kupił Ingestere Hotel w Vancouver dla jednej tylko prostej przyczyny — aby wyrzucić operatora windy, który zirytował go swoją tępotą.

Catriona ubrana była w szmaragdową sukienkę Martiala i Armanda, bardzo prosto skrojoną, z długimi klapami i przodem obszytym wysadzaną kamieniami czarną krepą. Na głowie miała szeroki, biały kapelusz z jedwabnymi zielonymi wstążkami. Jej klipsy miały kształt łez. Buty ze skóry krokodyla były również zielone.

George spojrział z podziwem na Catrionę, po czym ukłonił się jej.

— Panno Keys — powiedział.

Catriona powoli i z pogardą zwróciła głowę w jego kierunku. Jej zwężone oczy, gdy napotkały jego wzrok, wyglądały jak zimne odłamki jakiegoś czarnego, twardego minerału.

— Spójrzcie tylko — zawołała. — Pan Waterman!

George w tym momencie nie miał wyboru. Choćby był nie wiadomo jak prostacki, był przede wszystkim mężczyzną swoich czasów, przestrzegającym wymaganej od niego etykiety. Przed chwilą odmówiono mu miejsca przy kapitańskim stole, a teraz Catriona celowo zniekształciła jego nazwisko...

— Przepraszam państwa — powiedział i wyszedł z sali jadalnej, gwałtownie stawiając szybkie, długie kroki.

— Co go gryzie? — zapytał Charles Schwab.

Cariona uśmiechnęła się.

— Nie wiem — odparła. — Pewnie zobaczył przed chwilą I ducha.

Charles z zadowoleniem mocniej uściśnął dłoń Catriony.

— Wiesz co? — powiedział. — Są na świecie dwie rzeczy, które mnie uszczęśliwiają. Widok

rozpalonego kominka w nocy, kiedy szalejący ogień sprawia wrażenie, że jestem w samym piekle, oraz piękne dziewczyny.

— W tej kolejności? — zapytał go Paul Hartley. Był chudy, miał drobny, jasny wąsik, lecz za pięć lat, kiedy zmężnieje, będzie niewątpliwie dużo bardziej przystojnym młodzieńcem.

— Nie bądź dziwny! — zawołał Charles Schwab. — Czyżbyś był domorosłym filozofem?

Może Platonem w nowej skórce? A kogo interesuje jakaś tam kolejność? To, co wymieniłem, jest na równi piękne. Co ma do rzeczy kolejność, w jakiej to zrobiłem? Może mi powiesz, co woli twój ojciec: twoją matkę czy pieniądze? Skąd masz to wiedzieć? I skąd on ma wiedzieć?

Catriona zachichotała. Śmiała się po raz pierwszy od czasu, gdy zaatakował ją George.

Charles Schwab zadowolony, że ją rozbawił, pocałował jej dłoń.

Przy stoliku sir Peregrine'a Edgar Deacon prowadził poważną rozmowę z Denisem O'Hara z Eire Credit Bank. To w trakcie tej konwersacji podjęte zostały najważniejsze decyzje w czasie godzin popołudniowych tego dnia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Podczas gdy większość pasażerów pierwszej klasy spożywała obiad, mademoiselle Louise Narron wciąż tkwiła w swojej kajucie, gapiąc się w trzy swoje odbicia w potrójnym lustrze na toaletce. Każde odbicie ukazywało z innej strony starzejącą się, nieszczęśliwą kobietę. Płakała przez całą godzinę, zanosząc się monotonnymi i głośnymi szlochami.

Jej stewardesa, Madge, cierpliwie czekała przy łóżku, na którym już od pół godziny leżały stroje diwy przeznaczone do ubrania na obiad. Madge uważała, że to los każe ją tym, iż zawsze dostaje pod opiekę jakieś nienormalne histeryczki. Pewnego razu na „Fatidical” główny steward przydzielił jej żonę brazylijskiego polityka, która wpadała w furję przy jakiegokolwiek okazji, a któregoś wieczoru podczas dyplomatycznego przyjęcia rozdarła do pasa swoją wieczorową suknię. Z kolei pani Wuldorf, żona milionera przemysłu spożywczego, uporczywie zmieniała kreacje co trzy godziny. Podczas trwającego cztery i pół dnia rejsu przez Atlantyk nigdy nie pokazała się w tej samej kreacji dwa razy.

— Madge, podaj mi papierosa — powiedziała w końcu Louise.

Madge wykonała polecenie, wyciągając ku śpiewaczce dłoń ze srebrną papierośnicą, lecz stwierdziła:

— Mówiła mi pani kiedyś, że nie powinna palić. To szkodzi pani głosowi i tak dalej...

Louise znów popatrzyła w lustro.

— A kogo obchodzi mój głos? Straciłam mężczyznę, którego zamierzałam poślubić. *Je suis desolee*. Czy wiesz, co to znaczy?

— Myślę, że ma pani wszystkiego dosyć.

— Wszystkiego dosyć? To znaczy, że cały świat wokół mnie nagle się zawalił.

— Czy on naprawdę poprosił panią o rękę? — zapytała Madge, pocierając zapałkę.

Louise przysunęła papierosa do płomienia, po czym pokiwała twierdząco głową.

— Przysięgliśmy sobie wierność przy świetle księżyca. Już na zawsze znienawidziłam księżyc.

Ktoś zapukał do drzwi i Madge zapytała:

— Czy mam otworzyć?

— Otwórz, skoro chcesz — odparła Louise.

Czuła się, jakby ogarniało ją szaleństwo. Przecież uczyniła tak wiele, aby wmówić sobie, iż kocha Rudyarda. W nowym świetle spojrzała na całe swoje dotychczasowe życie. I okazało się, że wszystko na nic, ponieważ Rudyard utopił się, oszedł na zawsze, zabierając ze sobą pod powierzchnię oceanu wszystkie jej wysiłki, aby zapomnieć o Malcolmie.

Widziała buty i mundur Rudyarda rozrzucone na mostku. Wydała wówczas z siebie tak żaloszny okrzyk, że wszystkie włosy Ralpa Peela stanęły dęba. Okrzyk ten jednak zwrócił

Ralphowi uwagę na postać rudowłosej Amazonki.

Charles z zadowoleniem mocniej uścisnął dłoń Catriony.

— Wiesz co? — powiedział. — Są na świecie dwie rzeczy, które mnie uszczęśliwiają. Widok rozpalonego kominka w nocy, kiedy szalejący ogień sprawia wrażenie, że jestem w samym piekle, oraz piękne dziewczyny.

— W tej kolejności? — zapytał go Paul Hartley. Był chudy, miał drobny, jasny wąsik, lecz za pięć lat, kiedy zmężnieje, będzie niewątpliwie dużo bardziej przystojnym młodzieńcem.

— Nie bądź dziwny! — zawołał Charles Schwab. — Czyżbyś był domorosłym filozofem?

Może Platonem w nowej skórce? A kogo interesuje jakaś tam kolejność? To, co wymieniłem, jest na równi piękne. Co ma do rzeczy kolejność, w jakiej to zrobiłem? Może mi powiesz, co woli twój ojciec: twoją matkę czy pieniądze? Skąd masz to wiedzieć? I skąd on ma wiedzieć?

Catriona zachichotała. Śmiała się po raz pierwszy od czasu, gdy zaatakował ją George.

Charles Schwab zadowolony, że ją rozbawił, pocałował jej dłoń.

Przy stoliku sir Peregrine'a Edgar Deacon prowadził poważną rozmowę z Denisem O'Hara z Eire Credit Bank. To w trakcie tej konwersacji podjęte zostały najważniejsze decyzje w czasie godzin

popołudniowych tego dnia.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Podczas gdy większość pasażerów pierwszej klasy spożywała obiad, mademoiselle Louise Narron wciąż tkwiła w swojej kajucie, gapiąc się w trzy swoje odbicia w potrójnym lustrze na toaletce. Każde odbicie ukazywało z innej strony starzejącą się, nieszczęśliwą kobietę. Płakała przez całą godzinę, zanosząc się monotonnymi i głośnymi szlochami.

Jej stewardesa, Madge, cierpliwie czekała przy łóżku, na którym już od pół godziny leżały stroje diwy przeznaczone do ubrania na obiad. Madge uważała, że to los każe ją tym, iż zawsze dostaje pod opiekę jakieś nienormalne histeryczki. Pewnego razu na „Fatidical” główny steward przydzielił jej żonę brazylijskiego polityka, która wpadała w furię przy jakiegokolwiek okazji, a któregoś wieczoru podczas dyplomatycznego przyjęcia rozdarła do pasa swoją wieczorową suknię. Z kolei pani Wuldorf, żona milionera przemysłu spożywczego, uporczywie zmieniała kreacje co trzy godziny. Podczas trwającego cztery i pół dnia rejsu przez Atlantyk nigdy nie pokazała się w tej samej kreacji dwa razy.

— Madge, podaj mi papierosa — powiedziała w końcu Louise.

Madge wykonała polecenie, wyciągając ku śpiewaczce dłoń ze srebrną papierośnicą, lecz stwierdziła:

— Mówiła mi pani kiedyś, że nie powinna palić. To szkodzi pani głosowi i tak dalej...

Louise znów popatrzyła w lustro.

— A kogo obchodzi mój głos? Straciłam mężczyznę, którego zamierzałam poślubić. *Je suis desolee.* Czy wiesz, co to znaczy?

— Myślę, że ma pani wszystkiego dosyć. — Wszystkiego dosyć? To znaczy, że cały świat wokół mnie nagle się zawalił.

— Czy on naprawdę poprosił panią o rękę? — zapytała Madge, pocierając zapałkę.

Louise przysunęła papierosa do płomienia, po czym pokiwała twierdząco głową.

— Przysięgliśmy sobie wierność przy świetle księżyca. Już na zawsze znenawidziłam księżyc.

Ktoś zapukał do drzwi i Madge zapytała:

— Czy mam otworzyć?

— Otwórz, skoro chcesz — odparła Louise.

Czuła się, jakby ogarniało ją szaleństwo. Przecież uczyniła tak wiele, aby wmówić sobie, iż kocha Rudyarda. W nowym świetle spojrzała na całe swoje dotychczasowe życie. I okazało się, że

wszystko na nic, ponieważ Rudyard utopił się, odszedł na zawsze, zabierając ze sobą pod powierzchnię oceanu wszystkie jej wysiłki, aby zapomnieć o Malcolmie.

Widziała buty i mundur Rudyarda rozrzucone na mostku. Wydała wówczas z siebie tak żaloszny okrzyk, że wszystkie włosy Ralpa Peela stanęły dęba. Okrzyk ten jednak zwrócił

Ralphowi uwagę na postać rudowłosej Amazonki. Dlatego też, kiedy Madge otworzyła drzwi kajuty, stał w nich Ralph. W dłoniach trzymał mały bukiet białych kwiatów, a wyraz jego twarzy można było określić jako bardzo współczujący.

— Mademoiselle... Przepraszam, że tak się wdarłem tutaj... Chciałem... Zapragnąłem jednak uczynić ten drobny, osobisty gest. Zważywszy na to, że pan Philips i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi...

— Och... — jęknęła Louise, nie ruszając się z miejsca. Po chwili jednak odwróciła się i powiedziała: — Och, niech pan wejdzie do środka. To bardzo miło z pana strony... Kwiaty! Wy, Anglicy, jesteście takimi dżentelmenami! To właśnie powiedziałam biednemu Rudyardowi, kiedy... właściwie nie wiem kiedy. Mój umysł pękł na tysiące kawałków niczym upuszczone lustro.

— Tak — powiedział Ralph niepewny, jakie znaczenie miały słowa śpiewaczki.

— Proszę się napić — zaproponowała Louise. — Czy zechciałby pan sam się obsłużyć?

— Cóż, właściwie nie powinienem — zauważył Ralph. — Zważywszy jednak na tragiczne okoliczności...

Położył kwiaty na stoliku, a sam sztywnym krokiem zbliżył się do barku, gdzie przystanął i wachając po kolei zawartość karafek, znalazł w końcu zwykłą whisky. Nalał sobie sporą porcję do szklanki, po czym jednym długim łykiem opróżnił ją do dna. Stał przy tym zwrócony plecami do Louise, by nie zauważyła, ile wypił.

— Czy i pan zechce się napić? — zapytał.

Louise delikatnym ruchem poprawiła swe rude włosy.

— Picie nie ukoji mego smutku — powiedziała.

— Racja. Ale przyniesie ulgę.

Louise powstała i popatrzyła uważnie na Ralpa. Zareagował na to spojrzenie niepewnym uśmiechem, który natychmiast znikł z jego twarzy.

— Czy wie pan, co to jest być kochaną albo kochanym — zapytała.

Ralph nie odpowiedział.

Louise w powiewnej, pomarańczowej szacie szybko zbliżyła się do Ralpa. Gdy stanęła przed nim,

wyraźnie było widać, że jest od niego o wiele wyższa. Ralph opuścił głowę i stwierdził, że piersi śpiewaczki znajdują się na poziomie jego oczu.

— Czy wie pani, co to znaczy stracić wszystko, co się ma? — kontynuowała Louise.

Ralph przez chwilę się wahał, po czym powiedział niepewnym głosem:

— Kiedyś zgubiłem całą moją wypłatę...

— Och, wy Brytyjczycy! Wszyscy jesteście tacy zimni, niewrażliwi. Lód płynie w waszych żyłach!

Zdezorientowany Ralph popatrzył na swoją szklankę, a potem na Madge. Madge wzruszyła ramionami i puściła do niego oko; miało to oznaczać: nie przejmuj się histeryczką. Mów swoje i wszystko będzie w porządku.

Ralph zakaszłał.

— Mademoiselle Narron — powiedział. — Czy zechciałaby pani w moim towarzystwie udać się na obiad?

— Nie mam nic czarnego do ubrania. W każdym razie nic odpowiedniego do chwili.

— Uważam, że to nie ma znaczenia, mademoiselle. Niewiele osób wie, iż pani i Rudyard byliście... bliskimi przyjaciółmi. Może nawet lepiej byłoby nie ogłaszać, nie rozpowiadać o tym fakcie.

Mademoiselle Narron powoli pokiwała głową. Następnie wyciągnęła rękę i dotknęła pokrytej ciemnym owłosieniem dłoni Ralpa.

— Jaki pan włochaty — wyszeptała. — Zawsze zastanawiałam się, jak by to było... być dotykana przez owłosionego mężczyznę.

Madge z rozdrażnieniem wydeła policzki. Ralph natomiast, głosem jak na niego niezwykle uprzejmym, powiedział:

— To bardzo przykra historia z Rudyardem. Przenigdy nie powinna była się wydarzyć. To było takie bezsensowne.

— Wszystko jest bezsensowne.

Ralph stanął na palce i pocałował policzek śpiewaczki.

— Mam zupełnie inne zdanie — stwierdził dwuznacznie i czekał na błysk zrozumienia, który w końcu pojawił się w oczach Louise.

— Może byłabym w stanie znów pokochać księżyc? — odezwała się. — Jak pan myśli?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Duncan Wilkes, zmierzający razem ze swą sekundantką i wielbicielką Grace Bunyon do sali jadalnej, zatrzymany został przez doktora Fieldsa.

— Czy mógłbym zamienić z panem słówko na osobności? — zapytał doktor. — Przepraszam, panno Bunyon, ale to bardzo ważne.

Wilkes dał ręką znak głównemu stewardowi.

— Proszę z łaski swojej zaprowadzić tę damę na obiad, dobrze? — zażądał. Następnie zwrócił się do Grace: — To nie potrwa długo, moja droga. Wybacz mi na chwilę.

Doktor Fields poprowadził Wilkesa w kierunku małej sofy w przedsionku i wskazał mu, aby usiadł. Wbrew zamiarom doktora, rozmowę rozpoczął Duncan Wilkes.

— Jeżeli zamierza mi pan wyperswadować kontynuowanie pojedynku ze względu na stan mojego zdrowia — powiedział — to zbędny pański trud. Wiem, co mi dolega. Mam chore serce, zbyt wysokie ciśnienie krwi i tak dalej. Raczy pan jednak zauważyć, że jest to prawdziwy pojedynek, najważniejszy w całym moim życiu, i zamierzam go wygrać niezależnie od tego, jak to zwycięstwo odbije się na moim zdrowiu.

Doktor Fields był zbyt subtelnym człowiekiem, by zaatakować prosto z mostu. Przez chwilę milczał, po czym odezwał się zamyślonym głosem:

— Nie o pańskie zdrowie mi chodzi, panie Wilkes. Nie trzeba być zresztą lekarzem, by zauważyć, że ma pan kłopoty z sercem. Jest pan jednak dużym, silnym człowiekiem. Nadmiar żywności panu nie zaszkodzi, jeśli zadba pan o zrzućcie wagi po przybyciu do Ameryki. Widzi pan, o wiele bardziej martwi mnie zdrowie pana Kretchmera. Obawiam się, że jeszcze ze dwa posiłki i poważnie zapadnie na zdrowiu. A być może przydarzy się coś gorszego.

Duncan Wilkes zrobił podejrzliwą minę.

— Mówi pan poważnie? Co z nim jest?

— To syndrom Beebe — odparł doktor cicho.

Duncan Wilkes oczekiwał, że lekarz powie coś więcej, ten jednak nie miał takiego zamiaru. W

zamian popatrzył na właściciela gazet ponad okularami i ułożył usta w taki sposób, jakby wypowiadał właśnie fatalne słowa brytyjskiego wyroku śmierci: „Zostaniesz zabrany stąd na miejsce egzekucji...”

— Hmm — westchnął Duncan Wilkes. Wyciągnął chusteczkę i otarł nią swoją szyję i kark. —

Syndrom Beebe, tak?

Doktor Fields pokiwał głową.

— 1 to może zakończyć się dla nas śmiercią?

— Muszę rozważyć takie rozwiązanie. Może ono nastąpić bardzo szybko, jeśli pan Kretchmer natychmiast nie przestanie się obżerać.

— Czy rozmawiał pan z Kretchmerem?

— Jak mógłbym? — zdziwił się doktor Fields. — Nie jestem przecież jego osobistym lekarzem. Jedynie okrętowym konowalem. Byłoby niewielkim nietaktem z mojej strony, gdybym postawił mu diagnozę, nie skonsultowawszy się wcześniej z jego własnym lekarzem.

— Ten... syndrom Beebe... Co to właściwie jest? — zapytał Duncan Wilkes.

Doktor Fields opuścił wzrok.

— To degeneracja promieniowania trzustkowego powodowana przez nadpobudliwość tłuszczów. Nie ma na to lekarstwa poza ścisłą dietą wegetariańską, której powinno towarzyszyć picie wody mineralnej w ogromnych ilościach.

Duncan Wilkes długo się zastanawiał. W pewnej chwili wydobyl papierosa z papierośnicy wykonanej ze skóry aligatora i wsunął go do ust.

— 1 naprawdę kolejny posiłek mógłby go zabić?

Doktor Fields pokiwał głową.

— Przystąpiliśmy do tego pojedynku z własnej, nieprzymuszonej woli — zauważył Duncan Wilkes.
— Kretchmer musiał wiedzieć, że ryzykuje zdrowie i swoje, i moje.

— Jeżeli lekarz nie powiedział mu do tej pory, że cierpi na syndrom Beebe, z całą pewnością nie był świadom, że stając do waszej rywalizacji, skazuje się właściwie na śmierć — powiedział

doktor Fields cicho.

— Rozumiem. Twierdzi pan więc, że jeśli będę kontynuował walkę, wiedząc, jak bardzo chory jest mój przeciwnik, mogę osobiście być odpowiedzialny za jego śmierć, czy tak?

Dokonom swego rodzaju gastronomicznego zabójstwa?

— Z pewnością będzie pan odpowiedzialny moralnie, a nie wobec prawa.

Duncan Wilkes wyciągnął papierosa z ust i potrząsnął głową.

— Trudno mi się z tym pogodzić, że to ja miałbym się wycofać — powiedział. — Jeżeli teraz rzucę ręcznik, mówię panu, będzie to pierwszy raz w moim życiu, kiedy się poddałem.

Doktor Fields znów spojrzał na Wilkesa.

— Jestem pewien, że w oczach Wszchemocnego nie będzie pan tym, który się poddał. Bóg doceni pański akt, akt prawdziwej chrześcijańskiej miłości. O postawie takiej mówi się

„poświęcenie”.

— Hmm... Chyba ma pan rację. Nie chciałbym mieć na sumieniu śmierci Kretchmera, kiedy stanę na Sądzie Ostatecznym.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym dodał:

— W porządku. Wygrał pan. Ustąpię. Prawdę mówiąc, chce mi się już rzygać tym wszechobecnym francuskim jedzeniem. Z przyjemnością posiłę się krakersem, popijając szklanką wody.

— Jest pan wspaniałym człowiekiem — powiedział doktor Fields. — Jednym na milion, panie Wilkes. Dziękuję panu. Może pan być pewien, że dzisiejszy uczynek nie zostanie panu zapomniany.

Podali sobie ręce, po czym Duncan Wilkes wszedł do sali jadalnej. Była już pełna i rozległy się gromkie oklaski, kiedy ruszył w kierunku stolika, przy którym zasiadał razem z Kretchmerem od dwóch dni. Zamiast usiąść, pochylił się nad Grace Bunyon i szepnął jej coś do ucha. Grace Bunyon najpierw zmarszczyła czoło, potem jednak uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Panie Kretchmer, panno Chibnall — odezwała się dźwięcznym, niemal dramatycznym głosem — pan Wilkes postanowił przerwać swój udział w pojedynku na jedzenie. Przekazuje państwu swe najszczerze gratulacje i wyraża nadzieję, że wypijecie razem z nim toast na waszą cześć... wodą sodową.

Po tych słowach na krótką chwilę zapanowała absolutna cisza, po czym nagle w sali rozległ się nieopisany zgiełk i gwar. Ludzie na przemian klaskali, ściskali się i podawali sobie dłonie.

Pierwsi uczynili to Wilkes i Kretchmer. Wilkes wycałował Henriettę Chibnall, nie kryjącą łez.

Kretchmer uścisnął rękę głównego stewarda i Olivera Lennox, baseballistę, a potem jeszcze lorda Willunshawa. Mary Pickford pocałowała Wilkesa, a Douglas Fairbanks Grace Bunyon.

Grace Bunyon wyściskała Philipa Cartera–Helma, a Claude Graham–White wyściskał Catrionę.

Catriona uścisnęła dłonie i Wilkesa, i Kretchmera.

Mark Beeney nie pojawił się na obiedzie; wciąż pracował w swojej kabinie razem z Johnem Crombeyem. George Welterman także tkwił w kajucie: dyktował pełne furii listy do głównych inwestorów Keys Shipping, a potem do nowojorskich gazet, ujawniając, w jaki sposób traktowano go na „Amidu”. Należy jednak dodać, że uspokoiwszy się, większość tych listów podarł.

Najszcześniejszym człowiekiem na statku był podczas obiadu Maurice Peace. Nie tylko wygrał tysiąc sześćset pięćdziesiąt cztery funty w chwili, gdy Duncan Wilkes poddał się; dokonał tego, mimo

że Wilkes nie dostał ataku serca i to też było samo w sobie radosne. Radość Maurice'a nie znała granic.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Catriona przebierała się na popołudniową przechadzkę po pokładzie, gdy do drzwi kajuty zapukał Trimmer i głośno zapytał:

— Czy jest pani ubrana, panno Keys? Czy mogę wejść?

— Oczywiście. Poprawiam tylko włosy.

— Czy nie mogłeś poczekać? — zapytała z irytacją Alice, kiedy znalazł się w środku.

— Bardzo mi przykro, ale muszę oddać rzeczy do prania, zanim w pralni zacznie pracować druga zmiana. Mają tam trochę bałaganu po wczorajszym dniu.

— Ten Monty Willowby powinien ich lepiej pilnować — zauważyła Alice. — Muszę powiedzieć, że dziwnie zachowuje się podczas tej podróży. Zupełnie nie jest sobą.

— Bądź sprawiedliwa, Alice — skarcił ją Trimmer. — „Arcadia” to niezwykle statek, więc i płatnik nie może zachowywać się zwyczajnie.

— Czy to dla mnie? — Catriona skinęła głową w kierunku brązowej koperty, którą przyniósł

Trimmer.

— Ach, tak, panno Keys. Znalazłem to w swoim notatniku. Czy pani wie, że w czasie każdego łeusu mam notatnik, w którym zapisuję najważniejsze wydarzenia, te, które pomagają mi potem przypomnieć sobie szczegóły im towarzyszące.

— Co sobie zapiszesz po tej podróży? — zapytała Catriona.

— Mam nadzieję, że zdobędziemy Błękitną Wstęgę, panno Keys. To będzie najważniejsze wydarzenie z naszej podróży. Pobjemy „Mauretanię”, prawda?

Nie spodziewając się odpowiedzi ze strony Catriony, otworzył kopertę i wyciągnął z niej kartę dań wydrukowaną na błękitnym papierze. Srebrny napis Ss „Orange”, wytłoczony na pierwszej stronie, nie pozostawiał wątpliwości co do pochodzenia karty. Poniżej wydrukowano jeszcze:

„Rejs śródziemnomorski, 1911 rok”. Na drugiej stronie karty widoczna była sylwetka statku.

— Tak właśnie wyglądała „Orange”, jeśli chce pani wiedzieć.

— Dziękuję ci, Trimmer — powiedziała Catriona. — Czy mogłabym to zatrzymać i pokazać panu Beeneyowi?

— Bądź płośnie, panienko.

Mark Beene przyszedł po Catrionę o trzeciej. Była już gotowa, więc od razu wyszli i dumnie spacerowali po pokładach przeznaczonych dla pasażerów pierwszej klasy. Ona ubrana była w niebieską sukienkę z rypsu, a on w marynarski sweter w białe i niebieskie pasy oraz białe spodnie. Dzień był ciepły i wesoły. Atlantyk błyszczał tak jasnymi iskierkami, jakby wszystkie damy z pierwszej klasy powrzucały do niego swe diamenty, a orkiestra na pokładzie grała na zmianę wesołe i sentymentalne melodie.

Mark z Catriona przystanęli w tylnej części pokładu spacerowego i patrzyli na długi pas białej piany unoszącej się za statkiem.

— W takich chwilach jak ta — powiedział Mark — najbardziej kocham morze. Spójrz dookoła. Czyż to wszystko nie jest wspaniałe?

Catriona uśmiechnęła się.

— Ocean zawsze wydaje mi się taki pusty i samotny...

— Może dlatego, że czujesz się samotna?

— Może trochę.

— Nie jest to dla mnie komplement.

— Och, nie o to chodzi. Przepraszam cię. Właściwie to myślałam przed chwilą o moim ojcu.

Włożył w ten statek całe swoje serce i duszę i nie doczekał jego dziewiczego rejsu. A przecież byłby z siebie tak dumny.

Mark zaoferował Catrionie papierosa.

— Jak się ma Marcia? — zapytała Catriona, usiłując zmienić temat rozmowy. Myśli o ojcu wprawiały ją w przygnębiający nastrój.

— Jeszcze nie najlepiej. Skok do oceanu z wielkiego statku zawsze musi wywołać silny wstrząs.

— Być może. Ale przecież powinna się cieszyć, że została uratowana, prawda?

Przez krótką chwilę oboje milczeli, po czym Catriona dotknęła dłoni Marka.

— Nie powinieneś czuć się winny z powodu tego, co się stało. Myślę, że nikt na statku nie wini cię za to. Cóż, bywają kobiety, które czasami reagują na niepowodzenia zbyt emocjonalnie, zbyt histerycznie. Ale... Chciałam porozmawiać z tobą o czymś innym. — Catriona otworzyła torebkę. — Czy znasz ten statek?

— Oczywiście — odparł Mark, zaledwie rzuciwszy okiem na menu. — To „Orange”, prawda?

Zatonął u wybrzeży Inadii, cztery albo pięć lat temu. W każdym razie krótko po zawieszeniu broni w Europie. Dlaczego pytasz?

— Hmm... Znasz Philipa Cartera–Helma, prawda?

— Jasne. Nie przyjaźnimy się, co prawda, ale pozostajemy w całkiem bliskich stosunkach.

Niespodziewany silniejszy powiew wiatru sprawił, że Catriona musiała przytrzymać dłonią kapelusz.

— Czy mógłbyś podać jakikolwiek powód, dla którego Philip Carter–Helm miałby kłócić się z moim ojcem na temat „Orange” dokładnie na tydzień przed zatonięciem tego statku?

Mark przez moment wpatrywał się w sylwetkę statku, a następnie popatrzył na Catrionę.

— Nie — powiedział.

— O ile wiem, zajmuje się ubezpieczeniami morskimi, prawda? — zapytała Catriona.

— Tak. Przynajmniej tak mi powiedział.

— Czy nie można by przypuścić, że...

Mark rzucił szybkie, krótkie spojrzenie za siebie; instynktowna reakcja biznesmena, który chce być pewien, że jego rozmowa nie zostanie przez nikogo podsłuchana.

— Chyba nie chcesz sugerować, że twój ojciec i Philip Carter–Helm celowo zaaranżowali zatonięcie „Orange”?

— Sama nie wiem. Ale ostatnio bardzo wiele o tym myślałam. Może to kompletna bzdura.

Jednak w katastrofie „Orange” nikt nie zginął, a pieniądze za niego, które wypłacił Lloyds, dały ojcu niezły kapitalik; wystarczający akurat, aby położyć stępkę „Arcadii”.

— To mógł być przypadek.

— Oczywiście, że mógł. Ale też wcale nie musiał. Mark po raz ostatni zaciągnął się papierosem, po czym

wyrzucił niedopałek do oceanu.

— Co o tym sądzisz? — nalegała Catriona. — Czy nie uważasz, że „Orange” mógł zostać zatopiony dla pieniędzy?

Mark wzruszył ramionami.

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Stanley Keys był twoim ojcem, a nie moim.

— Czy twój ojciec nigdy by czegoś takiego nie zrobił? — A przypuszczasz, że twój zrobił?

Sądzę, że powinnaś odrzucić od siebie tę myśl. Przecież Stanley Keys miał opinię jednego z najbardziej prawych i uczciwych ludzi w tym interesie.

— Wiem. A jednak, nie potrafię ci wyjaśnić, dlaczego odnoszę wrażenie, iż mógł to zrobić.

Jak ci wiadomo, był bardzo zapalczym człowiekiem i kiedy wytyczył przed sobą jakiś cel, robił wszystko, co było w jego mocy, aby go osiągnąć. Bardzo dobrze traktował ludzi, którzy dla niego pracowali; ceniono go za to i poważano. Ale zastanawiam się, czy taka jego postawa nie wynikała z prostej kalkulacji, że to jest najlepszy sposób, by dla niego lepiej i wydajniej pracowali, dłużej niż powinni, nie otrzymując dodatkowych pieniędzy? Przez cały czas mam przed oczyma kobietę, którą przedstawił mi Edgar Deacon, zanim wsiedliśmy na statek. Ojciec tak wiele dla niej zrobił... W pewnym sensie dbał o nią bardziej, niż kiedykolwiek dbał o moją matkę. Mimo że kochał całą rodzinę, wszystkich bez wyjątku, uważam, że traktował nas również trochę jako zło konieczne, ponieważ oczekiwaliśmy jego wsparcia, niczego nie dając w zamian kompanii. Ta kobieta powiedziała coś, co dało mi do myślenia. Ze jej mąż wiele by oddał, aby popłynąć w dziewiczym rejsie „Arcadii”. Włożył tak wiele wysiłku w jej budowę; zdawało się niemal przestępstwem, że na niej nie płynie. Jak wiesz, na statku nie ma w tej chwili ani jednego robotnika kompanii, z wyjątkiem ludzi, którzy są niezbędni do utrzymania i konserwacji

„Arcadii” podczas podróży. Mój ojciec nigdy niczego nie dawał innym za darmo. Niczego.

Nawet swojej przyjaźni. Mark oparł się o barierkę.

— Myślę, że oceniasz go trochę zbyt surowo.

— Nie wiem. Być może.

— Może powinniśmy już pójść na herbatę? — Dotknął dłoni Catriony.

— A zapłacisz za nią? — zapytała Catriona figlarnym tonem, nie cofając swej dłoni. — Jak wiesz, moja kompania jest bankrutem.

Ruszyli powoli w kierunku schodów. Już mieli zejść do Orchid Lounge, gdy zauważył ich John Crombey i pomachał ręką.

— Mark, koniecznie muszę porozmawiać z tobą o tych oskarżeniach, które pojawiły się w

„Newport News”.

— Czy koniecznie teraz? — Mark zniecierpliwiał się. — Panna Keys i ja właśnie schodziliśmy na herbatę.

— To nie zajmie nam więcej niż minutę — nalegał John Crombey.

Zeszli więc razem. John i Mark pograżyli się w rozmowie, z której Catriona rozumiała zaledwie pojedyncze słowa, nic ponadto. Gdy wreszcie usiedli przy stoliku, wzrok Johna padł na okładkę okrętowego menu, które Catriona otrzymała od Trimmera.

— Co to takiego? — zapytał niespodziewanie.

— Niby co? — zdziwił się Mark.

John Crombey wyciągnął rękę i zabrał ze stolika kartę dań z Ss „Orange”.

— Zastanawiające — powiedział.

— Co w tym zastanawiającego? — zdziwił się Mark ponownie.

— Napisane jest tutaj, że ta karta pochodzi z Ss „Orange”. I zapewne rzeczywiście pochodzi z tego statku. Ale to wcale nie jest sylwetka Ss „Orange”.

— Nie rozumiem — odezwała się Catriona.

— Ten statek krąży obecnie po Morzu Południowochińskim, to znaczy identyczny statek, i wcale nie nazywa się Ss „Orange”. O ile dobrze pamiętam, nazywa się „Funabasbi” i należy do Kyoto Shipping and Trading Company.

— John — powiedział Mark z naciskiem — „Orange” zatonął prawie pięć lat temu.

— Wiem — odparł John Crombey i wykręcił swój mały, czarny wąsik. — Fakt pozostaje jednak faktem: to jest „Funabashi”. Żaden inny statek na świecie nie ma takiej sylwetki.

Mark popatrzył na Catrionę. Z wyrazu jego twarzy odczytała, że powinna się przygotować na przyjęcie smutnej prawdy, że jej ojciec wcale nie był takim kryształowym i nieskazitelnym człowiekiem, jak do tej pory sądzono. Postanowiła, że zniesie to dzielnie.

— Skoro „Funabashi” to „Orange”, „Orange” wcale nie zatonęła, a mimo to Keys otrzymała za nią pełne ubezpieczenie.

John Crombey popatrzył niepewnie na Marka. Nie był przyzwyczajony do tego, iż partnerzy w interesach wypowiadają się aż tak szczerze. Widząc, że Mark zamierza milczeć, odezwał się:

— Widzi pani, tak się dzieje przez cały czas. Takie postępowanie wcale nie jest niezwykle, szczególnie ze starymi statkami, które wymagają wielu napraw i remontów.

Zapadła długa, ciężka cisza. John Crombey kilkakrotnie chrząknął, wydając przy tym odgłos, jakby zapalał zdalnie sterowany silniczek modelu jakiejś łodzi.

Wreszcie przemówił Mark.

— Catriono, zdajesz sobie zapewne sprawę, że jeśli twój ojciec zamieszany był w jakąkolwiek aferę związaną z zatonięciem „Orange”, prawdopodobnie zamieszany był w nią również Edgar Deacon?

— O Philip Carter–Helm? Myślę, że to właśnie Philip był tym, który podsunął im ten pomysł.

— Nie wiem. John, co wiesz o Kyoto Shipping and Trading Company? Czy ktoś mógłby telegraficznie przekazać nam informacje na jej temat? Może Takemitsu? On chyba kiedyś dla nich pracował.

— Tak, rzeczywiście — odparł John. — Jednak Kyoto Shipping zostało jakieś cztery lata temu wchłonięte przez International Mercantile Marine.

Catriona zmarszczyła czoło.

— A więc ludzie z IMM najprawdopodobniej wiedzą o całej sprawie — zauważyła.

— Nie można tego wykluczyć — stwierdził John Crombey. — Jednakże statek wystawiany na sprzedaż po oszustwie ubezpieczeniowym jest bardzo tani, a IMM nie ma zwyczaju zaglądania do ust darowanemu koniowi. To dobry zwyczaj: im mniej pytań zadajesz, tym mniej kłamstw słyszysz w odpowiedzi.

Kelnerka przyniosła im chińską herbatę i słodkie ciasteczka. Jedno z nich od razu porwał

Mark.

— Kto był wówczas dyrektorem dalekowschodniego oddziału IMM? — zapytał Johna. —

Tylko mi nie mów, że George Welterman.

John uśmiechnął się nieznacznie i pokiwał głową.

— A któżby inny? Właśnie George Welterman — odparł. — Zastanówmy się więc nad tym wszystkim. Dlaczego Edgar Deacon tak bardzo pragnie, aby oddać Keys za osiemnaście milionów Weltermanowi? Dlaczego zaś George tak bardzo pragnie, aby ta transakcja doszła do skutku? Z całą pewnością IMM przydałoby się kilka statków Keys Shipping, ale po co im cała flota, łącznie z „Arcadią”, skoro posiadają „Mauretanię”? I skąd ten ogromny, niestosowny pośpiech? Właściwie cała flota miałaby zostać sprzedana, zanim ktokolwiek zorientowałby się w aktualnym stanie finansów kompanii.

— Wszystko to mogą być jednak tylko domysły, a Edgar Deacon okaże się najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Mimo to nie byłbym zdziwiony, jeśli Edgar Deacon chciałby tak bardzo sprzedać, a George Welterman kupić Keys Shipping, właśnie ze względu na to, że obaj aktywnie uczestniczyli przy machlojce z „Orange”; jeżeli takowa w ogóle miała miejsce. Jeśli nasze przypuszczenia są nawet słuszne, sprawa nie ma szans wyjścia na światło dzienne, jeżeli wszelkie dokumenty z nią związane pozostaną w rękach ich obu albo jednego z nich. Co o tym sądzisz, John?

John Crombey jeszcze raz zerknął na ilustrację Ss i „Orange” i wzruszył ramionami.

— Naprawdę, trudno cokolwiek powiedzieć. Ale fakty, zdaje się, przemawiają same za siebie.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam najmniejszych wątpliwości, że „Orange” i „Funabashi” to ten sam statek.

— Catriona? — Mark popatrzył w jej kierunku. Catriona pochyliła się i wzięła do ręki menu „Orange”.

— Nie wiem — powiedziała. — Ale zamierzam się dowiedzieć prawdy. Myślę, że odrobinę zbyt długo pozwoliłam sobie być ozdobą u boku Edgara Deacona.

Mark dotknął jej dłoni, jakby pragnąc dodać jej odwagi.

— Być może okaże się, że „Orange” była zaledwie wierzchołkiem góry lodowej — zauważył.

— Góra lodowa zatopiła i „Titanica” — stwierdziła Catriona.

— Oby „Arcadia” nie poszła w jego ślady.

— Co zamierza pani zrobić? — zapytał John Crombey i spojrzawszy na swe kolano, strzepnął

ze spodni niewidzialny pyłek. — Nie chciałbym, aby uznała mnie pani za zarozumialca. Jesteśmy przedstawicielami rywalizujących kompanii, lecz... skoro pani była tak otwarta wobec nas... do tej pory...

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała Catriona. — Ale spodziewajcie się, że będziecie pierwszymi, którzy się dowiedzą.

Dokończyli herbatę i Catriona powiedziała:

— Przejdźmy się jeszcze trochę, Mark. Czuję, że potrzeba mi dużo świeżego powietrza.

Rozpoczęli spacer po pokładzie odrobinę oddaleni od siebie. Mark trzymał ręce w kieszeniach.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że cała ta sprawa z „Orange” może okazać się jedynie bezpodstawnym przypuszczeniem — powiedział Mark.

— Nie sędzę — odparła Catriona, patrząc na ocean. Mark ujął ją wreszcie pod rękę.

— Jeżeli to wszystko prawda, cóż, na świecie żyją tysiące facetów, którzy popełnili podobne oszustwa, broniąc się przed bankructwem i ochraniając swoje rodziny. Życie jest dżunglą, już się o tym przekonałaś; a biznesmeni są lwami i tygrysami.

— 1 szakalami — dodała Catriona.

Przystanęli za ścianą sali gimnastycznej, osłonięci od wiatru. Tutaj przez odgłosy natury przebijał cichy szum turbin statku.

Mark próbował pocieszać Catrionę.

— Myśl przede wszystkim o tym, że spodoba ci się Boston. Mam dom na Commonwealth Avenue.

Będziemy jeździli powozem na dalekie wycieczki.

— Mark, czy mogę ci ufać?

— Ufać mi? Oczywiście, że możesz. Jestem chodzącym uosobieniem dyskrecji.

— Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy mogę ci ufać, że nie wykorzystasz uczucia, które żywię dla ciebie. Wiem, że to brzmi okropnie naiwnie, musisz jednak wiedzieć, iż nie chcę pewnego dnia obudzić się z romantycznego snu po to tylko, aby przekonać się, że pozbawiłeś mnie wszystkiego bez mojej wiedzy.

— Catriono, przecież nie robię żadnego sekretu z tego, że pragnę i ciebie, i „Arcadii”.

— Wiem. Nie chcę jednak, żebyś był podstępny.

Mark ujął jej dłoń. Następnie pochylił się i bardzo delikatnie pocałował Catrionę w usta.

Spojrzał głęboko w jej oczy i powiedział:

— Czy naprawdę sądzisz, że mógłbym uczynić coś, co by cię zraniło?

— Nie — odparła natychmiast Catriona. Zaraz dodała: — Nie wiem. Przecież na twoje postępowanie, na twoje decyzje, wpływa tak wiele różnych spraw...

— Zakochałem się w tobie, Catriono.

Odwróciła się od niego i popatrzyła na ocean. Bała się uczucia, którym darzył ją Mark, lecz równocześnie napawało ją ono szczęściem i dumą. Kiedy z powrotem odwróciła się twarzą do niego i ujrzała, jak ciepło i z jakim oddaniem na nią spogląda, zrozumiała, że jeżeli nie kocha go jeszcze w tej chwili, zakocha się w nim wkrótce.

— Czy wiesz, co mawiał mój ojciec? — zapytała go. Mark potrząsnął przecząco głową.

— Mawiał: „Nie zakochaj się nigdy w mężczyźnie, którego byś się troszeczkę nie bała”.

— Czy się mnie boisz?

— Troszeczkę. Nie za bardzo, ale troszeczkę.

Całowanie się na pokładzie, gdzie wszyscy ich widzieli, byłoby zachowaniem niewłaściwym, więc Mark mocno uściśnął rękę Catriony, a jego spojrzenie wystarczyło za pocałunek. Przeszli do przedniej części pokładu spacerowego i tam usiedli na ławeczce, i nie opuszczali jej przez następne pół godziny. Cicho rozmawiali, czasami wybuchali śmiechem, ale przede wszystkim nie odrywali oczu od siebie nawzajem. Sir Peregrine, który w towarzystwie siostry Queensland obchodził pokład, chcąc zaprezentować wszystkim, że jest zdrowy i znów sprawuje pełnię władzy na statku, chrząknął z niezadowoleniem, mijając ich nie zauważony.

— Od kiedy to bratamy się z wrogiem? — mruknął.

— Nie widzi pan, że to miłość? — zapytała siostra Queensland. — Uważam, że każdy powinien się zakochać, płynąc przez Atlantyck. Sama chciałabym się zakochać podczas takiej podróży.

— Mam nadzieję, że nie we mnie — powiedział sir Peregrine.

Siostra Queensland zamilkła, ale pomyślała o osobie, którą kapitan wspominał w majakach: o Mavis. Wybaczyła mu oschłość, gdyż doskonale wiedziała, jak ogromny zawód miłosny sir Peregrine przeżył w dalekiej przeszłości.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Monty Willowby zabrał George'a Weltermana do ładowni, aby mógł obejrzeć pojazd Marka Beeneya. Maurice Peace, z brzoskwinią w ręce, zszedł razem z nimi i obchodząc samochód dookoła, przyglądał się mu z niekłamanym podziwem.

— To świństwo, że pan to właśnie wygrał — powiedział do George'a. — I jeszcze większe świństwo, że wkrótce zniszczy pan tak piękne auto. Czy nie lepiej przeznaczyć je na jakiś szlachetny cel, na przykład Cincinnati Hospital dla głuchych albo jeszcze lepiej, dla mnie?

George zabębnił palcami po masce.

— Nie, panie Peace. To jest moja zemsta. Muszę wrócić do mojego biura w Nowym Jorku triumfujący.

— Czy jest pan pewien, że nie powinienem biec przed tym samochodem Piątą Aleją i rzucać kwiatów pod koła? — zapytał Maurice. Otarł przy tym usta, gdyż były wilgotne od soku dojrzałej brzoskwini, którą przed chwilą ugryzł.

— Panie Welterman, czy chce pan zajrzeć do środka? — zapytał Monty Willowby. — Mam przy sobie kluczyki.

George popatrzył na zegarek.

— Może na chwileczkę. Później mam jeszcze coś pilnego do zrobienia.

Monty Willowby otworzył drzwiczki kierowcy i George Welterman zajrzał do środka. We wnętrzu auta pachniało mocno skórą, koniakiem i ostrą wodą kolońską. Jasnoszara kierownica zrobiona była z drewna atlasowego, podobnie zresztą jak tablica rozdzielcza; drewno to było tak drogie, że zwykle wykonywano z niego jedynie niewielkie pudełka na biżuterię i ramy do obrazów o małych rozmiarach. Wszystkie znaki na zegarach — prędkościomierzu, wskaźniku ciśnienia oleju, obrotomierzu i wskaźniku przejechanych mil — były pozłacane i umieszczone na tablicy z lazurytu. Sama tylko srebrno — złota gałka, wieńcząca rączkę dźwigni zmiany biegów, warta była tyle, ile kosztował dom w stanie surowym w dobrej dzielnicy na przedmieściach Londynu.

— Tak, to jest auto — powiedział Maurice z westchnieniem. — Czy jest pan pewien, że nie

zasługuje na niego Cincinnati Hospital dla głuchych?

George Welterman nie był jednak w nastroju do żartów. Wyciągnął z portfela funta, podał go Montemu i mruknął:

— Wracajmy na górę. Może spojrzę na niego ponownie jutro.

— Cholera jasna — westchnął Maurice i dotknął jeszcze posrebrzanych reflektorów.

Monty Willowby zamknął marmona, po czym pośpieszył za George'em. Dopadł go na schodach i lekko pociągnął za rękaw.

— Panie Welterman, mam nadzieję, iż nie uzna mnie pan za zuchwalca — powiedział — ale skoro stał się pan już właścicielem tego pięknego samochodu, chciałbym, aby wyświadczył mi pan pewną przysługę. Drobną przysługę.

Nie zmieniając rytmu kroków, George uniósł jedną brew i popatrzył na Monty'ego.

— Otóż, widzi pan, mam ze sobą kilka przedmiotów, które muszę wyładować ze statku w Nowym Jorku — ciągnął Monty. — Problem polega na tym, że są one bardzo delikatne. Nie chciałbym, aby dostały się w łapy robotników portowych i zostały połamane. Chodzi o bardzo cenne, antyczne meble, widzi pan...

— Bezprawny eksport? — zapytał George.

— Och, nie, proszę pana. Nic z tych rzeczy. Chodzi tylko o to, że to są niezwykle kruche przedmioty.

George przystanął. Przez chwilę się zastanawiał, zanim powiedział:

— W porządku. Cokolwiek to jest, starannie to pan owiń i umieść w bagażniku albo na tylnym siedzeniu. Dopilnuję, aby przeszło przez kontrolę celną bez żadnych problemów.

— Wielkie dzięki, proszę pana. To bardzo wspaniałomyślne z pana strony, że chce mi pan pomóc. Gdybym mógł się w jakikolwiek sposób zrewanżować...

— Och, chodziłoby mi o drobiazg — przytaknął George. — Chciałbym dzisiaj podczas kolacji oraz w czasie pozostałych posiłków siedzieć przy kapitańskim stoliku.

— Hmm... Widzi pan, nie jestem pewien, czy potrafię... George uśmiechnął się, a Monty usłyszał, jak żmije syczą mu w głowie.

— Dobrze, proszę pana — powiedział. — Będzie pan miał miejsce przy kapitańskim stoliku.

Gdy George sobie poszedł, Monty zamknął ładownię i ciężko westchnął. Było to westchnienie ulgi. Miał już przygotowanych siedemnaście desek klozetowych, starannie opakowanych i opatrzonych nazwiskami osobistości, które na nich siadały. Był pewien, że pan Fribourg będzie z nich zadowolony. Równie ważny jak deski był sposób wydostania ich ze statku, bez narażania się na

dociekliwe pytania celników ani też, co byłoby jeszcze gorsze, na oskarżenie o kradzież własności kompanii. Uśmiechnął się do swoich myśli. Wkrótce skończą się wszystkie kłopoty.

Życie rysowało się w coraz jaśniejszych kolorach. Oprócz desek dla Fribourga, Monty Willowby przygotował do sprzedania w nowojorskich restauracjach dziesięć skrzyń szampana, osiemnaście kontenerów najlepszej szkockiej wołowiny, piętnaście kontenerów wędzonego łososia, kawioru tyle, że nie był w stanie całości zważyć, i jeszcze wiele innych artykułów spożywczych. Nie bez znaczenia był też fakt, że podczas rejsu zarobił osiemset pięćdziesiąt funtów gotówką w łapówkach i napiwkach.

Znów zaczynał czuć się jak cesarz. Należało teraz jedynie przypilnować, aby George Welterman zasiadł tego wieczoru przy kapitańskim stoliku.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Kiedy George Welterman otworzył drzwi od swojej kajuty i stwierdził, że w progu stoi Catriona z Alice u boku, jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia: nic więcej nie dał poznać po sobie. Był zbyt przebiegłym osobnikiem, aby okazać, jak niespodziewana jest dla niego wizyta, którą mu właśnie złożono.

— Panno Keys — powiedział odrobinę ochryłym głosem. — Pani wizyta to dla mnie zaszczyt.

Przez chwilę Catrionie zdawało się, że nie wypowie ani słowa, ale zdołała zapanować nad swymi emocjami.

— Nie dokończyliśmy rozmowy o interesach, panie Welterman — oznajmiła sztywno.

— Naprawdę? — George kwaśno się uśmiechnął i szerzej otworzył drzwi. — Proszę do środka.

Catriona zawahała się, zaraz jednak wkroczyła do kajuty George'a. Alice postępowała za nią nienaturalnie sztywno i blisko. Nienaturalny był też wyraz jej oczu, wpatrujących się w Weltermana z niesmakiem i strachem. George spróbował się uśmiechnąć również do niej, lecz uśmiech szybko zamarł na jego ustach.

— Czego panie się napiją? — zapytał George. — Niestety, musimy obsłużyć się sami, ponieważ mój służący załatwia dla mnie jakieś sprawy na zewnątrz.

— Dla mnie dzin z tonikiem — zażądała Catriona. — A dla?... — zapytał George, wskazując na Alice.

— Nie chcę niczego, dziękuję bardzo — wyrecytowała Alice i dumnie, jak jej się zdawało, uniosła głowę do góry.

— Usiądźcie, panie — zaprosił George. — Muszę powiedzieć, iż byłem przekonany, że nasze wzajemne stosunki powrócą do normalności jeszcze przed końcem tej podróży. Nie znam sposobu, aby wyrazić, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co zaszło. Całe to zajście było jedną wielką, okropną pomyłką, chciałbym, aby pani to rozumiała.

— Cóż, zapewne było pomyłką — stwierdziła Catriona. Usiadła na sofie i skrzyżowała przed sobą nogi. — Teraz jednak ważne jest to, że pan i ja będziemy musieli razem pracować, jeżeli zdecydujemy się sprzedać Keys Shipping reprezentowanej przez pana kompanii, IMM.

— Zgadza się — przytaknął George. Przygotował drinka i podał go Catrionie. — Cieszę się, że tak pani do tego podchodzi. Wiele dziewcząt na pani miejscu wpadłoby w histerię.

Catriona wypiła odrobinę dzinu.

— Można o mnie wiele powiedzieć, panie Welterman — stwierdziła — ale nie to, że jestem histeryczką.

— Czy tak trudno byłoby pani mówić do mnie George?

— Kto wie?

George usiadł obok Catriony nieprzyjemnie blisko.

— Czy czuje się pani... Czy już dobrze się pani czuje? Żadnych trwałych urazów?

— Jak dotąd, niczego takiego nie stwierdziłam — odparła Catriona.

— 1, mam nadzieję, nie przysłała pani do mnie po to, aby rozmawiać o swoim zdrowiu.

— Skądże. Przyszłam porozmawiać o „Orange”. George ze szklaneczką whisky w dłoniach powoli się wyprostował. Catriona obserwowała go z napięciem: oto rozgrywała jedyną kartę, jaką miała przeciwko niemu. Jej atutem było zaskoczenie, ale gdyby George perfekcyjnie teraz zapanował nad sobą i bez mrugnięcia okiem wszystkiemu zaprzeczył, szansa, że Catriona cokolwiek osiągnie, byłaby minimalna.

— Czy rozmawiała pani o tym z Edgarem? — zapytał George, powoli, starannie dobierając słowa.

— Jeszcze nie.

— Rozumiem jednak, że wie pani o wszystkim. Catriona w milczeniu pokiwała głową.

Zapadła długa, ciężka cisza. George przez chwilę intensywnie wpatrywał się w Catrionę, po czym wstał i zaczął szybkim krokiem przemierzać salonik, w tę i z powrotem.

— Ile pani wie? — zapytał.

— Wiadomo mi o nadzwyczaj podobnym statku nazywanym się „Funabashi”.

— Tak? — zdziwił się George. — Jest pani o wiele lepiej poinformowana, niż się spodziewałem.

— Należy do mnie czwarta część Keys Shipping, panie Welterman. Nie sądzi pan, że moim obowiązkiem jest wiedzieć o wielu rzeczach?

George wzruszył ramionami i powiedział:

— Teraz chyba pani rozumie, dlaczego musi pani sprzedać Keys Shipping właśnie mnie.

— Oczywiście.

— Reputacja pani ojca... reputacja biednego Edgara... no i, oczywiście, moja własna reputacja... stają pod znakiem zapytania, chociaż, jeśli chodzi o mnie, zawsze będę mógł się bronić, że kupiliśmy „Orange” w dobrej wierze, nie wiedząc, iż statek uważa się za zatopiony.

Widzi pani, wyszykowano go w Kalkucie, w doku należącym do Edgara Deacona. Muszę powiedzieć, że robota została wykonana wspaniale, a „Funabashi” to teraz doskonały, nowoczesny statek.

— Oczywiście, spodziewa się pan mojego poparcia w dążeniu do zakupu Keys Shipping — powiedziała Catriona. Jej głos zabrzmiał jeszcze chłodniej, niż tego pragnęła.

George popatrzył na nią zwężonymi oczyma.

— Nie chciałbym, abyś przypuszczała, Catriono, że naciskam na ciebie — odezwał się. — Nie chcę też, żebyś wyszła z tej kajuty z wrażeniem, iż jesteś szantażowana. Nic takiego nie wchodzi w grę i gdybyś nawet tak myślała, myliłabyś się.

— Wiem.

George powrócił do niej i usiadł na sofie, znów tak samo blisko jak poprzednio.

— Oferuję — mówił — osiemnaście milionów funtów za całą flotę. To doskonała cena, zważywszy, jaki jest wiek większości statków Keys Shipping.

— I nie zamierza pan rozbić floty?

— Zamierzam utrzymać ją w całości, jeśli to tylko będzie możliwe.

Catriona opuściła wzrok. George na chwilę przytrzymał dłoń kilka cali nad jej kolanem. Alice jednak głośno chrząknęła i zmierzyła go groźnym spojrzeniem. George jakby się przestraszył i wycofał dłoń.

— Nie chciałabym, aby powiedział pan Edgarowi, o czym rozmawialiśmy — odezwała się Catriona. — Widzi pan, on uważa siebie za mojego strażnika, opiekuna... teraz, gdy brakuje mojego ojca. Gdyby zorientował się, że dowiedziałam się prawdy o „Orange”... cóż, byłby chyba nieszczęśliwy. Bardzo więc proszę pana o milczenie w tej sprawie. Obiecuję, że jeszcze podczas tej podróży porozmawiam z nim sama i powiem mu, że zdecydowałam się poprzeć sprzedaż Keys Shipping pańskiej kompanii.

George nie potrafił powstrzymać uśmiechu, który wypełznął na jego usta.

— Jesteś dzielną, inteligentną dziewczyną, Catriono. Muszę przyznać, że dotąd źle cię oceniałem. Masz w sobie dużą klasę. Czy będziesz miała coś przeciwko temu, że cię pocałuję?

— Może mnie pan pocałować.

George pochylił się i musnął policzek dziewczyny. Dotyk jego ust sprawił, że Catriona spięła się, mimo to zapanowała nad sobą. Gotowa była zrobić wszystko, co konieczne, aby teraz każdy tańczył tak, jak ona zagra.

— Muszę już iść — powiedziała. — Dzisiaj wieczorem jest bal przebierańców. Jestem pewna, że się podczas niego spotkamy. Na jaki kostium pan się zdecydował?

— Podobno powinna to być niespodzianka.

— Oczywiście. Ale bardzo chętnie widziałabym pana jako Cyrano de Bergeraca.

George roześmiał się niepewnie.

— Naprawdę? — zapytał. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, po czym powtórzył pytanie: — Naprawdę?

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Catriona była cicha i spokojna, gdy Alice przygotowywała ją do balu przebierańców. Miała na nim wystąpić jako Kopciuszek, w białej, atlasowej bluzeczce z głębokim wcięciem i falbankowej krynolinie, ozdobionej wstążkami. Na głowę nałożyła wysoką, białą perukę, udekorowaną perłami. Strój uzupełniał mocny makijaż i mocno upudrowane policzki. W tym przebraniu nie ze swojej epoki Catriona czuła się trochę nieswojo.

Wciąż rozmyślała o George’u Weltermanie, Edgarze i dziwnej historii Ss „Orange”. Teraz wiedziała już, że wszystkie jej przypuszczenia były trafne; George to potwierdził. I mimo że bardzo bolało ją odkrycie, iż ojciec zaangażował się w nielegalne przedsięwzięcie, chcąc zgromadzić środki na rozpoczęcie budowy „Arcadii”, w chwili gdy jej podejrzenia sprawdziły się, odczuła ulgę. Palila papierosa i wpatrywała się w lustro, a tymczasem Alice układała jej perukę. Catriona zastanawiała się, co powinna teraz uczynić.

Ostatnie trzy dni na „Arcadii” wzbudziły w niej uczucie, którego do końca w pełni nie rozumiała, a wiedziała jedynie, że jest bardzo silne. Częściowo była to duma, częściowo ogromna pewność siebie, a częściowo ambicja; w każdym razie uczucie i sposób myślenia, jaki odziedziczyła po ojcu. Ale było jeszcze coś o wiele bardziej istotnego, coś, czego Catriona nie potrafiła pojąć, gdyż nigdy tego nie doświadczyła. Było to — w bardzo szerokim rozumieniu —

uczucie odpowiedzialności.

To ją zaniepokoiło. Niemal przyprawiało o zawrót głowy, ponieważ oddalało od niej poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło jej i do którego była przyzwyczajona od początku życia, a które

teraz opuszczała ją i nie wiedziała dlaczego.

Być może spowodowane to było brutalnym gwałtem, jakiego dopuścił się na niej George Welterman. A może ogromną i szczerą miłością, którą poczuła do Marka Beeneya. A może jeszcze czymś innym: niespodziewanym odkryciem, iż jej prostolinijny i święty ojciec okazał się człowiekiem nieuczciwym? A może zrozumieniem, że świat właścicieli statków jest drapieżnym i niebezpiecznym światem ludzi pozbawionych wszelkich skrupułów?

Catriona błyskawicznie dorastała. Rozkwitała i dojrzewała. Nie czuła już dziewczęcej ochoty do zabawy, stawała się kobietą ze wszelkimi tego konsekwencjami.

Nie wiadomo kiedy, zaczęła zastanawiać się, co powinna zrobić, aby Keys Shipping przetrwała. Aby przetrwała nie tylko kompania, ale również „Arcadia”, największy statek w jej barwach. Ojciec musiał wierzyć, że będzie w stanie utrzymać ten liniowiec, inaczej w ogóle by go nie budował. Musiał widzieć w nim największą nadzieję na przyszłość Keys Shipping. Skoro tak rozumował jej ojciec, dlaczego Catriona miałaby myśleć inaczej?

A może to był zwykły absurd? Może długi i kredyty były zbyt wielkie? Lecz w takim wypadku ojciec nie wierzyłby w „Arcadię” i w to, że Keys Shipping przetrwa i zacznie się rozwijać.

Przygotowując się do balu, Catriona miała jedynie mgliste pojęcie, co i jak zrobi w najbliższym czasie. Chciała jednak, aby Edgar i George Welterman nadal wierzyli, że wszystko jest w porządku; sama w tym czasie zamierzała zdobyć niepodważalne dowody, które świadczyły o udziale ich obu w małwersacji, polegającej na sfałszowaniu zatonięcia „Orange”. Mogłaby wówczas przekonać matkę, że Keys Shipping powinna nadal funkcjonować jako niezależna kompania; a we dwie dysponowały przecież większością akcji i tym samym większością głosów w kompanii.

Catriona nie wiedziała, czy ta większość cokolwiek da w obliczu bankructwa. Wiedziała jednak przynajmniej, że Keys Shipping nie należy sprzedawać w pośpiechu, a jeżeli nawet zajdzie taka konieczność, nie można kierować się zamiarem zatuszowania machlojek Edgara Deacona i George’a Weltermana oraz grzechów, które popełnił jej ojciec.

Nie chciała też sprzedać „Arcadii” Markowi Beeneyowi, mimo uczucia, jakie do niego żywiła.

Była już prawie gotowa na bal, gdy ktoś zapukał do drzwi jej kajuty. Usłyszała, jak Trimmer rozmawia z kimś na zewnątrz i zawołała:

— Kto tam?

— Pan Philip Carter–Helm! — odskrzyknął Trimmer przez zamknięte drzwi.

— Och, to dobrze. Poproś go, żeby wszedł.

Philip Carter–Helm przebrany był za d’Artagnana, w kapeluszu z piórami i z szpadą u boku.

Wszedłszy do kajuty, zdjął z głowy kapelusz i zamiótł nim podłogę, składając przed Catriona głęboki ukłon.

— Wezwałaś mnie, o pani — ‘ stwierdził pompatycznie.

— Tak — odparła Catriona, odwduzczając mu się równie dworskim ukłodem.

— A więc? — zapytał. — Czy masz jakieś specjalne życzenie, czy też po prostu chcesz udać się na bal w moim towarzystwie?

Catriona zrobiła kilka kroków w jego kierunku. Zaszleściły przy tym jej faldbanki.

— Miło mi, panie, że bierzesz i to drugie pod uwagę, ale na bal udam się w towarzystwie pana Beeneya.

— Jestem rozczarowany, panno Keys, i to bardzo. Mimo swego rozczarowania przyznam jednak szczerze, że wyglądasz absolutnie czarująco, o pani. Czyżbyś była Marią Antoniną?

— Kopciuszkim.

— Hmm, biorąc pod uwagę okoliczności, jest to dla pani jak najbardziej odpowiednie przebranie na dzisiejszy wieczór.

Catriona posłała mu ostre, pytające spojrzenie; Philip spróbował ukryć swoje zmieszanie kolejnym dworskim ukłodem i stwierdzeniem:

— Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich, prawda?

— Dlaczego pan i mój ojciec pokłóciliście się o „Orange”? — zapytała Catriona niespodziewanie.

Philip zamarł w bezruchu, nie mówiąc ani słowa. Cisza, która zapadła, stała się tak ciężka i w sposób oczywisty nieprzyjemna, że Trimmer spojrzał w kierunku Catriony i Philipa spod barku, gdzie przyrządzał drinki dla nich obojga.

Wolnym krokiem Catriona zaczęła okrążyć Philipa.

— Chcę wiedzieć, dlaczego pan i mój ojciec pokłóciliście się o „Orange”. Czy uważa pan, że żądam zbyt wiele?

— A kto powiedział, że my kiedykolwiek kłóciliśmy się o „Orange”?

— Obecny tutaj pan Trimmer wioził was wówczas automobilem. Wszystko słyszał.

— Naprawdę! — zawołał Philip. Nawet nie spojrzał w kierunku Trimmera. — Cóż, czasami nawet limuzyny mają uszy.

Catriona odezwała się nieco łagodniejszym głosem:

— Wiem wszystko o „Orange”, panie Carter–Helm. Wiem o wszystkim, co się wydarzyło.

Wiem nawet, że wciąż żegluje pod nazwą „Funabashi”.

— Rozumiem.

— Czy nie sądzi więc pan, że w tej sytuacji powinien pan być ze mną bardziej szczery?

— A niby dlaczego? — zapytał Philip, niespodziewanie ostrym tonem.

— Ponieważ jest pan gościem na tym statku, oto dlaczego. I ponieważ tak się składa, że jestem córką Stanleya Keysa i wszystko, co uczynił w życiu mój ojciec, mnie dotyczy i mnie interesuje.

Philip wyciągnął z kieszeni notatkę z zaproszeniem do kajuty Catriony; notatkę, którą Trimmer niedawno wsunął mu pod drzwi.

— Ta niezbyt przyjemna sprawa nie dotyczy pani i nie powinna się pani nią interesować.

Mówię to z przykrością tym większą, że na tym statku jestem jedynie gościem.

— Panie Carter–Helm...

— Panno Keys, nie mam pani nic więcej do powiedzenia. Pani ojciec i ja dość często dyskutowaliśmy, pojawiały się nawet różnice zdań pomiędzy nami, nie czuję się jednak zobowiązany do ich ujawniania i nie mam na to chęci.

Catriona wbiła w niego złowrogie spojrzenie; w tej chwili, mimo stroju Kopciuszka, sprawiała wrażenie zimnej i nieprzystępnej księżniczki.

— Panie Carter–Helm, zagrożona jest cała przyszłość Keys Shipping.

— Jeśli o to chodzi, już udzieliłem pani mojej rady. Proszę sprzedać „Arcadię” Markowi Beeneyowi.

— Ale przecież dla tej transakcji sprawa „Orange” ma kluczowe znaczenie.

— Nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Myślę, że powinienem już sobie pójść.

Nie czekając na zgodę Catriony, odwrócił się na pięcie i wyszedł, niemal trzasnąwszy za sobą drzwiami. Po chwili ciszy odezwał się Trimmer:

— Chyba nie był nastawiony na współpracę.

— Chyba — zgodziła się Catriona.

— Czy dobrze się pani czuje? — zapytała Alice z troską w głosie. — Wygląda pani na roztrzęsioną.

— Dziękuję, nic mi nie dolega — powiedziała Catriona. — W gruncie rzeczy nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się czułam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Podczas gdy pasażerowie pierwszej klasy zbierali się w Grand Lounge, czekając na rozpoczęcie balu przebierańców, na pokładzie „Arcadii” toczyły się dwie bardzo ważne rozmowy. Jedną z nich prowadził Walet Kier, wyglądem przypominający Maurice Peace’a, z Juliuszem Cezarem, bardzo podobnym do Dereka Holdswortha. Maurice jadł kanapkę z sardelą i serem i trzymał w dłoni kieliszek szampana. Derek Holdsworth natomiast nic nie jadł i z zaniepokojeniem rozglądał się dookoła, chcąc odnaleźć Harry’ego Pakenowa. Pluł sobie w brodę, że puścił go wolno, tym bardziej że wcześniej tego wieczoru pani Chalk–Herbert zgłosiła, iż zginęły jej diamentowe bransoletki. Ojciec Dereka dzielił rasę ludzką, tak jak ser, na trzy rodzaje.

Według niego po ziemi chodzili przyzwoici ludzie, nicponie oraz kobiety. To wszystko. Zanim podjęto się decyzję, jak się do kogoś odnosić, należało przydzielić go do którejś z tych trzech kategorii, potem wszystko już było jasne. Harry Pakenow był najwyraźniej hultajem. Z całą pewnością nie był kobietą. W podziale dokonany przez ojca jedynym wyjątkiem była matka Dereka, uznana zarazem za kobietę i porządną osobę. Za młodu Derek nie potrafił zrozumieć tego do końca; w gruncie rzeczy jeszcze teraz miał z tym kłopoty.

— Dziwne było to nasze wczorajsze płynięcie — zauważył Maurice.

— Dziwne? Nie rozumiem, co pan ma na myśli — powiedział Derek.

— Dziwne, że zdołaliśmy przepłynąć tak wielki dystans, mimo że przerwaliśmy podróż, aby ratować pAnne Conroy.

Derek zmarszczył czoło.

— „Arcadia” to bardzo szybki statek, panie Peace.

— Tak, jestem świadom tego. Ale trzysta trzydzieści pięć mil? To wydaje mi się nieprawdopodobne.

— Tak pan sądzi?

Maurice dokończył kanapkę i oblizał palce.

— Po prostu uważam, że jest w tym wyczynie coś podejrzanego, to wszystko — oznajmił.

— Nie ma pan racji, zapewniam — powiedział Derek. — Widzę, że nie we wszystkim jest pan zorientowany.

— Tak? — Maurice celowo wyraził przesadne zdziwienie. — W czym na przykład?

— Pan Deacon twierdzi, że każdego dnia powinniśmy pokonywać mniej więcej tę samą trasę; po to, aby inwestorzy byli zadowoleni z funkcjonowania maszyn statku. Codziennie musimy więc podawać jedynie zbliżoną liczbę przebytych mil. Dlatego właśnie ogłoszono, że podczas ostatniej doby pokonaliśmy sześćset trzydzieści pięć mil i dlatego teraz gnamy na łeb na szyję, by nadrobić utracony dystans.

Maurice popatrzył na niego, przechyliwszy głowę na bok.

— A więc twierdzi pan, że podczas ostatniej doby nie przepłynęliśmy tych sześciuset trzydziestu pięciu mil?

Derek Holdsworth pokiwał głową.

— Tak. Proszę nikomu nie mówić, że panu o tym powiedziałem. To ściśle tajna wiadomość.

Maurice mrugnął do niego okiem.

— Ani mi się śni komukolwiek o tym mówić — zapewnił go.

W tym momencie lord Willunshaw, w długiej, białej todze, przebrany za Diogenesa, przebrnął przez zatłoczoną salę i zbliżył się do Maurice'a. W jednej ręce trzymał mosiężną lampę, a w drugiej kieliszek z szampanem.

— Czy szuka pan uczciwego człowieka czy alkoholika? — zapytał go Maurice.

— W gruncie rzeczy żadnego z nich. Czy zechciałby pan znów zagrać ze mną w pokera dzisiejszego wieczoru? Daj mi pan szansę odegrać z powrotem trochę straconych pieniędzy.

— Lordzie Willunshaw, powiem panu coś i nie chciałbym, aby zabrzmiało to opryskliwie.

Uprawiam hazard przez całe życie i, zapewniam pana, gram w pokera w o wiele wyższej lidze niż pan. Nie chciałbym wygrać już od pana ani jednego funta więcej. Przypominam, że do tej pory przegrał pan na moją rzecz dwie szafy, sofę i jeden z domków dla służących. Teraz zacząłby pan stawiać na szalę swe konie, córki i tak dalej.

Lord Willunshaw głośno chrząknął.

— Cholera jasna — powiedział. — Może pan mieć, kiedy tylko pan zechce, każdą z moich córek. — Ale, do cholery, nigdy żadnego konia.

Tymczasem przez zatłoczoną, gwarną, roześmianą, lśniąca salę niepewnie kroczył Harry Pakenow. Nie miał żadnego własnego kostiumu, aby przebrać się na ten bal, jego steward jednak, niski, niezwykle dystyngowany rudzielec, pożyczył dla niego na tę okazję strój kłowna.

Nieszczęśliwy, samotny i zagubiony, Harry pojawił się więc na balu i do tej pory większość czasu spędził pod ścianami, uśmiechając się do każdego, kto do niego machnął ręką, czując się całkowicie wyizolowanym z otaczającego go rozbawionego tłumu.

Wypił już trzy kieliszki szampana, o wiele szybciej niż powinien, i zjadł nerkę zawiniętą w bekon. Widział, jak na bal przybywa Catriona, w baśniowym stroju i nieprawdopodobnie wysokiej, białej peruce. Widział też Marka Beeneya, przebranego za księcia z bajki, w długim, błękitnym płaszczu. Gdy kończył kieliszek szampana, natychmiast pojawiał się steward z następnym. Harry'emu zdawało

się, że ta zabawa z piciem i donoszeniem kolejnej porcji nie będzie miała końca.

— Halo! — Niespodziewanie usłyszał czyjś głos obok siebie. Odwrócił się i ujrzał Lucille Foster, wyglądającą w różowym kostiumie jak wróżka z bajki.

— Halo! — zawołał Harry. — Nie wiedziałem, że starsi pozwalają ci nie spać o tej porze.

Wyglądasz nadzwyczajnie.

— Pani Hal pozwoliła mi pozostać na balu do wpół do jedenastej. Wyobraź sobie, że mama zawsze się zgadzała, abym bawiła się do pomocy. Uważała, iż nie ma znaczenia, o której godzinie dzieci chodzą spać. Mówiła, że gdy są zmęczone, same zasypiają.

— Coś w tym musi być — stwierdził Harry, którego własna matka, mała, prosta kobieta, zawsze pachnąca lawendą, kładła do łóżka o siódmej. Czasami więc leżał beczynn timer u boku głęboko śpiącego młodszego brata, a tymczasem na dworze jeszcze świeciło słońce, jego rówieśnicy zaś bawili się w najlepsze.

Lucille jakby nieświadomie ujęła Harry'ego za rękę i powiedziała:

— Chyba nie uważasz mnie za okropną osobę, co? — zapytała.

— Nie — odparł Harry. Nie zdziwił się specjalnie jej pytaniem. Bywały chwile w życiu każdego, kiedy pragnęło się usłyszeć odpowiedź na takie pytanie. — Uważam, że jesteś mądra i miła. A poza tym jesteś śliczna.

— Chyba jestem za młoda, abys mógł poważnie myśleć o poślubieniu mnie.

Harry uważnie zmierzył ją wzrokiem. Była bogata i młodziutka, a już widziała w życiu o wiele więcej, niż Harry mógł marzyć. Mieszkała w najlepszych hotelach w Paryżu. Przemierzała Wersal wzdłuż i wszerz w letnich sukienkach z organdy. Jej matka była jedną z najśliczniejszych kobiet lat dwudziestych. A w tej chwili mała Lucille znajdowała się na pokładzie „Arcadii” na balu przebierańców, rozmawiając o małżeństwie. I to z kim? Nie do wiary, z nim, z Harrym Pakenowem.

Lekko zachrypniętym głosem odpowiedział:

— Nie mógłbym cię poślubić, Lucille. Żałuję, ale nie mógłbym. Uważam, że jesteś najśliczniejszą dziewczynką na ziemi. Zaprzyjaźniłaś się ze mną, gdy wszyscy patrzyli na mnie jak na wyrzutka. Zaufałaś mi, uwierzyłaś we mnie; dałaś mi więcej uczucia, niż to się zdarza w małżeństwie.

Lucille uniosła głowę.

— Mama zawsze mówiła, że przyjaciela można poznać już w pierwszej minucie, gdy się go spotka.

— Mama miała rację. Mogę być jednak jedynie twoim przyjacielem, nikim więcej. Ty i ja należymy do różnych światów. Mam w życiu wiele innych celów do osiągnięcia poza tańczeniem fokstrota i piciem szampana.

— Ja także — powiedziała Lucille. — Chociaż czasami nie wiem, o co w tym życiu chodzi.

— Szybko się zorientujesz — zapewnił ją Harry łagodnym głosem.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Harry — odezwała się Lucille ponownie. Jej głos brzmiał bardzo poważnie. — Mógłbyś pojechać z nami.

— Nie rozumiem.

— Mógłbyś pojechać z nami do państwa Hal. Mają wielki dom. Z całą pewnością potrzebowaliby kogoś do pomocy. Tym bardziej kiedy ja u nich zamieszkać. Moglibyśmy być wówczas razem...

— Nie mógłbym.

— Dlaczego nie? Dobrze by ci płacili. Wiem, że pani Hal bywa czasami nieznośna, ale to w gruncie rzeczy bardzo miła osoba. Powiedz, że pojedziesz z nami.

Harry przypomniał sobie trzydzieści lasek dynamitu znajdujących się w marmonie Marka Beeneya. Pomyślał o swych nowojorskich przyjaciółach, socjalistach i komunistach. Pomyślał o Janice i mieszkaniu w Bootle. O odgłosach, jakie wydają elektryczne tramwaje, sunące po metalowych szynach ulicami Liverpoolu. Niemal usłyszał śpiew Janice.

Rozumiał już, że bogaci wygrali batalię. I że zawsze będą ją wygrywali. Byli zwycięzcami, ponieważ rządzą światem w sposób nieprzewidywalny dla innych. Nie miała znaczenia jedna bomba podłożona im na złość. Cóż z tego, że zatonąłaby „Arcadia”, skoro i tak jeszcze przez długi czas luksusowe liniowce będą przemierzać w tę i z powrotem Atlantyk? Można było straszyć bogatych, nawet ich zabijać, lecz zniszczenie ich jako klasy pozostawało poza zasięgiem biednych. Gdyby w Londynie było niebezpiecznie, zawsze mogli przenieść się do Paryża. Gdyby spłonął Paryż, mogli z powodzeniem zamieszkać w Biarritz.

— Nie wiem, co powinienem zrobić — powiedział Harry do Lucille.

— Chciałabym, żebyś z nami pojechał — powtórzyła dziewczynka. — Przecież, jeżeli nie będzie ci się tam podobało, zawsze możesz nas opuścić. Wiem jednak, że polubisz dom państwa Hal tak, jak lubisz mnie.

— Czy sądzisz, że pani Hal...

— Kłopot z panią Hal pozostaw na mojej głowie. — Lucille... — Harry chciał kontynuować rozmowę, lecz dziewczynka już wbiegła w tłum i zniknęła mu z oczu. Harry przez chwilę patrzył za nią, po czym strzelił palcami na stewarda, by podał mu kolejny kieliszek szampana.

Natychmiast zawstydział się tego odruchu, tym bardziej że odebrał od niego pusty kieliszek, steward powiedział: — Dziękuję, proszę pana.

Harry nagle zapragnął pociągnąć go za rękaw i krzyknąć mu do ucha: „Nie mów do mnie w ten sposób. Jestem po prostu Harry, ktoś taki sam jak ty. Rozumiesz?” Wiedział jednak, że po tych słowach steward jedynie się zaczerwieni, a on sam zrobi z siebie głupca. Zrezygnowawszy z tej rozmowy, Harry podszedł do stolika i wziął niebieskiego, lekkiego papierosa z kryształowej papierośnicy; natychmiast pojawił się przy nim kolejny steward, służąc ogniem.

Wydmuchnąwszy dym, Harry pomyślał:

— Jestem skończony.

W tym momencie uważnie popatrzył na niego Sabran i Harry tylko dzięki temu zorientował się, że ostatnie słowa powiedział głośno.

Dziwaczne kostiumy i atmosfera wesołej zabawy niewątpliwie rozochociły pasażerów pierwszej klasy. Nawet Sabran, przebrany za demona, ośmielił się opuścić na dwadzieścia minut baronównę Zawiszę. Ralph Peel jako osioł z wielkimi uszami w najlepsze bawił się z Louise Narron, przebraną za Tytanie. Edgar Deacon, w kostiumie korsarza, z czarną opaską na oku, nie opuszczał żadnego tańca. Percy Fearson, w żółtym, jedwabnym turbanie, udawał Ali Babę.

Claude Graham-White pojawił się w białej, kartonowej zbroi jako Parsifal.

Baronówna Zawisza zaskoczyła wszystkich, przybywając na bal niemal nago, jeśli nie liczyć dwóch złotych listków na piersiach i trochę większego liścia pomiędzy nogami oraz wysokich, lśniących złotem butów.

Największy podziw wzbudzali jednak Catriona z Markiem. Catriona jeszcze nigdy nie czuła się tak wspaniale. Jej krynoliny sunęły za nią niczym lśniąca chmura, a jej urodę podkreślał

prześliczny naszyjnik, podarowany jej przez Marka na początku podróży. Dumny i wysoki Mark, zapatrzony w Catrionę jak w obrazek, był tego wieczoru szczęśliwy. Każdy jego krok obserwowały niemal wszystkie młode damy na sali, nie pozostawiając wątpliwości, że stanowi obiekt westchnień każdej z nich.

Gdy znudziły im się tańce, Mark z Catriona wyszli na pokład. Usiedli na ławeczce w cichym kąciku za Palm Court, gdzie było mało prawdopodobne, że się natknie na nich ktoś przypadkowy.

— To był najcudowniejszy wieczór w moim życiu — powiedziała Catriona.

— I w moim — dodał Mark. Jego twarz znajdowała się w cieniu, lecz z jego głosu Catriona mogła odczytać, że mówi jak najpoważniej.

— Wiesz co? — wyszeptwała. — To jest tak wspaniale, że zupełnie nie dbam o to, jak długo będzie trwało nasze szczęście. Nawet gdyby miało skończyć się na dzisiejszym wieczorze, uważam, że przeżyliśmy coś wspaniałego. Niczego więcej nie pragnę.

Mark objął ją i przycisnął mocno do siebie. Następnie pocałował ją, z całej siły wciskając swój

język do jej ust. Ssała go, a potem lekko gryzła; tak długo, dopóki oboje nie poczuli smaku krwi.

I nagle przyszło opamiętanie. W jednej chwili tuliła się do niego, nie zdając sobie sprawy z niczego, co się dookoła niej dzieje, a już w następnej głęboko oddychała, próbując się uspokoić, opamiętać, świadoma ogarniającego ją podniecenia, ale świadoma również tego, jak ważną rzeczą jest odrzucenie w tym momencie pożądania. Pora na miłość była zupełnie niestosowną.

Zbyt wiele spraw pozostawało do załatwienia. Zbyt wiele komplikacji piętrzyło się wokół.

Gdyby tej nocy została kochanką Marka, wystawiłaby na niebezpieczeństwo wszystko, co przypadło jej w momencie śmierci ojca.

— Co się stało? — zapytał Mark ze zdziwieniem.

— Nic — odparła. — Wszystko jest w najlepszym porządku.

Mark westchnął.

— Mówiłaś, że trochę się mnie boisz. Mam nadzieję, że nie boisz się również siebie.

— Chyba każdy trochę się obawia samego siebie.

— Nie wiem, być może. Jeśli chodzi o mnie, przeraża mnie jedynie perspektywa zestarzenia się.

— Starość nie jest taka straszna, gdy się jest bogatym — powiedziała Catriona.

— Wręcz przeciwnie. Myślę, że lepiej się starzeć, gdy jest się biednym człowiekiem. Przecież nic nie może wywołać głębszej frustracji niż posiadanie milionów dolarów i świadomość, że za te pieniądze nie można cofnąć czasu, nie można kupić sobie na powrót młodości.

— Wpadłeś w ponury nastrój.

— Chyba jestem trochę rozdrażniony.

— Z mojego powodu?

— Trochę. Kocham cię, a ty nagle postanowiłaś przytrzymać mnie na dystans.

Catriona uśmiechnęła się.

— Ja też cię kocham. Kocham i uwielbiam, jeżeli chcesz wiedzieć. Ale w tym momencie nad moją miłością górują interesy. Próbujesz kupić „Arcadię”, George Welterman próbuje kupić całą kompanię, a ja potrzebuję trochę czasu na spokojne przemyślenie wszystkiego.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

Wcześniej nad ranem następnego dnia Catriona wysłała z „Arcadii” trzy telegramy. Już przy herbacie,

którą piła na pokładzie razem z Mary Pickford i Markiem, telegrafista przyniósł jej dwie odpowiedzi. Mark wsunął do ust oliwkę i powiedział: — Jesteś dzisiaj bardzo tajemnicza, kochanie.

— Kobieta ma prawo być tajemnicza — odpowiedziała mu Mary Pickford. — Prawdę mówiąc, nawet powinna być tajemnicza.

— Są różne tajemnice — zauważyła baronówna Zawisza. Podśluchała ich, przechodząc wolnym krokiem obok. Ubrana była w śmiałą sukienkę, zaprojektowaną przez Beera. Sabran, trzymający się blisko niej, z takim wstrętem wciągnął powietrze przez nos, jakby już sam zapach herbaty sprawiał mu przykrość.

Catriona tymczasem dwukrotnie przeczytała depesze, po czym złożyła je i wsunęła do torebki.

— Zechciej mi wybaczyć niestosowną ciekawość — powiedział Mark.

— Wybaczam. — Catriona uśmiechnęła się. — Na twoim miejscu pewnie też byłabym bardzo ciekawa. Szczególnie gdyby wiadomości, które do mnie dotarły, zawierały właśnie to, co zawierają.

— Wodzisz mnie za nos, kochanie.

— Wcale nie — powiedziała Catriona głosem, który sprawił, że natychmiast i bez wahania jej uwierzył. Wzruszył jednak ramionami i wsunął do ust kolejną oliwkę, patrząc w kierunku iskrzącego się oceanu. „Arcadię” dzieliło już od Ameryki zaledwie półtora dnia podróży i wszystkim pasażerom na pokładzie powoli udzielał się nastrój niecierpliwego oczekiwania na koniec rejsu. Z sir Peregrine’em na mostku statek mknął jak nigdy dotąd i w pomieszczeniu klubowym zaczynało mówić coraz głośniej, że jeśli „Arcadia” utrzyma swe tempo do końca podróży, odbierze po trzynastu latach Błękitną Wstęgę Atlantyku „Mauretanii”.

— Czy te wiadomości cię cieszą, czy smucają? — zapytał Mark.

— Nie wiem — odparła Catriona. — Wybacz, ale opuszczę cię na chwilę. To słońce przyprawia mnie o ból głowy.

— Nic mi nie mówiłaś, że miewasz bóle głowy.

— Mark! — upomniała go Catriona i Mark natychmiast podniósł ręce do góry na znak poddania się. Podniósł się na chwilę, aby pomóc Catrionie wstać z fotelika.

Catriona poszła do kajuty Philipa Cartera–Helma. Kabina była jednak zamknięta na klucz, a na pukanie nikt ze środka nie odpowiadał. Catriona skierowała się więc do pomieszczenia klubowego, a potem do biblioteki. Philipa znalazła dopiero na basenie. Siedział samotnie przy stoliku i przerzucał kartki jakiegoś kolorowego magazynu. Na nosie miał okulary do czytania i wyglądał bardzo chłopięco. W niczym nie przypominał chłodnego mężczyzny, który z zaciętym wyrazem twarzy rozmawiał z nią poprzedniego wieczoru.

— Panie Carter–Helm — odezwała się Catriona cicho.

Odwrócił głowę.

— Panna Keys — zdziwił się. Zagiął stronicę, którą przed chwilą czytał i zamknął czasopismo.

— Proszę nie wstawać — powiedziała Catriona szybko, mimo iż było oczywiste, że Philip wcale nie ma takiego zamiaru. Catriona przysunęła krzesło i usiadła bardzo blisko niego. —

Wiele o panu myślałam.

— Tak? A to dlaczego?

— Och, niech pan nie będzie taki opryskliwy. Wcale nie myślałam o panu źle. Zastanawiałam się nad tym, co mi pan powiedział wczorajszego wieczoru.

— Przepraszam, jeżeli byłem niegrzeczny. Nie czułem się najlepiej.

— Niech pan o tym tak nie myśli. Nie był pan niegrzeczny. Bardziej mnie pan zaciekał, niż uraził.

— Zaciekał? — zdziwił się Philip. Ściągnął okulary z nosa i złożył je.

— Tak. Bardzo pana interesowało, czy sprzedam Keys Shipping, czy też nie. Komu sprzedam.

I za ile. Odniosłam wrażenie, że jest pan osobiście zainteresowany losami „Arcadii”. I w tym momencie zaczęłam się głęboko zastanawiać.

— Przecież ja tkwię po uszy w tych sprawach — powiedział Philip. — Oczywiście, że zajmuje mnie los Keys Shipping. Każdy w tym interesie, od Londynu po Tokio, zainteresowany jest, co się stanie z kompanią po śmierci Stanleya Keysa.

— Ale nie tak bardzo osobiście jak pan.

— Nie jestem pewien, czy wiem, do czego pani zmierza. Catriona dotknęła ramienia Philipa.

Popatrzył na jej dłoń, a potem spojrział jej w oczy i w tym momencie nie miała już wątpliwości, iż zorientował się, że maskarada się skończyła.

— Najważniejsze jest to, że nikt cię nie wydał. Sam się przede mną zdradziłeś.

— Nie rozumiem...

— Och, Philipie, wiem, kim jesteś. — Podsunęła mu przed oczy telegramy, które niedawno otrzymała. — Mam potwierdzenie z Anglii. Niczemu nie możesz zaprzeczyć. I jestem bardzo zadowolona. Rozumiesz mnie? Jestem uradowana!

— Niby dlaczego? — zapytał ostro. — Nie widzę żadnego powodu, który mógłby panią radować!

Catriona poklepała go po ramieniu.

— Widzisz, kiedy spotkałam cię na tym statku, odniosłam wrażenie, że już cię kiedyś widziałam. Skąd się wzięło to wrażenie? Po prostu jesteś bardzo podobny do ojca, bardziej niż ja.

Gdy to sobie uświadomiłam, nie trwało długo i...

Philip ciężko westchnął.

— Naprawdę, nie chciałem, żebyś wiedziała — powiedział.

— Wiem. Ale cóż, stało się, prawda?

— Tak. Cholera, ale się wszystko poplątało.

— Nie rozumiem, Philipie. Jak możesz tak mówić?

Philip zakrył dłonią usta i zamilkł jakby w obawie, że zaraz powie coś, czego potem będzie żałował. Po długiej chwili odezwał się jednak:

— „Orange” jest tylko czubkiem góry lodowej.

— Co masz na myśli?

— Klóciliśmy się niemal przez rok na temat budowy „Arcadii”. Ojciec był zdecydowany, by ją budować, wręcz się do tego palił! Chciał za wszelką cenę prześcignąć White Star i Cunarda.

Keys miała być kompanią większą niż te dwie razem wzięte. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że nie posiada ani aktywów, ani odpowiedniego zaplecza kapitałowego. Nie rozumiał, że wcale nie rządzi najlepiej kompanią nawet o takich rozmiarach, w jakich wówczas istniała.

A jednak był w jakimś sensie geniuszem. Wszyscy tak mówili. Potrafił wyciskać z ludzi ostatnie soki, nie oferując im w zamian niemal nic, a i tak byli zadowoleni. Na tym polegał jego swoisty talent. Umiał też budować statki. Wystarczy spojrzeć na „Aurorę”, by nie mieć wątpliwości, że jest dziełem Stanleya Keysa; to piękny statek. Nie potrafił jednak skupiać umysłu na wszystkich istotnych detalach jednocześnie, dlatego w wielu ważnych dziedzinach funkcjonowania kompanii występowały braki i uchybienia, spowodowane przede wszystkim złym zarządzaniem. Na przykład w 1919 roku, kiedy wszystkie kompanie żeglugowe robiły ogromne pieniądze, my ledwo wyszliśmy na swoje, ponieważ szef Keys Shipping miał w głowie tylko jedną rzecz: „Arcadię”. Mówi się, że jej budowa kosztowała cztery miliony funtów, ale uwierz mi, kosztowała dwukrotnie więcej z powodu złego planowania, ekstrawagancji i zwykłego marnotrawstwa. W pełni wykonano i wyposażono sześć kajut pierwszej klasy, po czym wszystko zostało wywrócone do góry nogami, do ostatniej klamki w drzwiach, tylko dlatego, że jemu nie spodobała się dekoracja tych kabin. Czy wyobrażasz sobie, ile to kosztowało? Silniki wmontowywano i wymontowywano czternaście razy! Był perfekcjonistą jak większość geniuszy.

Tracił mnóstwo czasu i pieniędzy, aby osiągnąć perfekcję.

— Ale „Orange” — przypomniała.

— Tak — powiedział Philip. — „Orange”. Zresztą nie tylko „Orange”, ale i „Hecate”, i „Phyllis”, i „Daphne”, i „Equitable”...

Catriona zmarszczyła czoło.

— Czy chcesz powiedzieć, że...

— Wszystkie spośród nich. — Pokiwał głową. — Wszystkie utonęły. I wszystkie z nich, poza „Phyllis”, która spaliła się u wybrzeży Hondurasu jakieś trzy lata temu, do tej pory pływają w różnych barwach, pod zmienionymi nazwami.

— Och, nie — wyszeptała Catriona.

— Och, tak. Oczywiście, kłóciłem się z nim, kiedy zaproponował „Orange”. Nie mieliśmy jednak pieniędzy, a on chciał jak najszybciej rozpocząć budowę „Arcadii”. Sprzeciwu nie przyjmował do wiadomości. Wtedy powiedziałem mu, że rezygnuję, a on w odpowiedzi tak mnie załatwił, że pozostałem bez przysłowiowego pensa.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Niestety, taka jest właśnie prawda. Być może wkrótce świat się dowie, co to wyczyniał

wielki, wspaniały, uczciwy Stanley Keys. Zatapiał swe własne statki, rabował własne magazyny, podpalał własne nabrzeża, wszystko po to, żeby uzyskać dodatkowe pieniądze, wszystko po to, by wybudować sobie ten dziwaczny, pływający pałac.

Ostatnie słowa Philip wypowiedział z taką goryczą, że Catriona nie bardzo wiedziała, jak się teraz zachować. Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy.

— Ojciec był dokładnym zaprzeczeniem Babbitta* — mówił Philip gwałtownie. —

Mężczyzną, który zna wartość wszystkiego, lecz nie zna żadnej ceny. Ale życie nie jest już takie proste, a dni króla Edwarda dawno minęły. Nigdy tego nie potrafił zrozumieć. Nie wiem, za kogo się uważał. W każdym razie zrujnował moją karierę. Nie posłuchał mnie, zatopił „Orange” i, jeśli chcesz znać moją opinię, to był koniec wielkiego Stanleya Keysa. Kradł. „Arcadia” powstała właściwie wyłącznie z pieniędzy ukradzionych i pożyczonych. Nie należy do Keys Shipping, nie należy do kompanii nawet jeden sworzeń, nawet fragment kadłuba, nawet jedna deska. Zresztą, spójrzmy prawdzie w oczy: Keys Shipping nie należy do nas.

— Czy to dlatego chciałeś, żeby „Arcadię” kupiła American TransAtlantic?

Philip pokiwał głową.

— Musimy zwrócić część pieniędzy, które Stanley Keys ukradł lub pożyczył, panno Keys. A może powinienem zwracać się do ciebie po imieniu?

— Tak, mów do mnie Catriona.

Philip powstał, wsunął ręce w kieszenie i wzruszył ramionami.

* Babbitt — bohater powieści Sinclaira Lewisa o tym samym tytule, będący uosobieniem przeciętnego amerykańskiego biznesmena.

— Honor to trudne zwierzę, moja droga. Być może jest przywilejem młodych, a może przywilejem naszym jest tylko wiara w jego istnienie. Jeśli jednak chcesz znać prawdę, namawiałem cię na sprzedanie „Arcadii” Markowi Beeney — owi w nadziei, że jeśli on ją kupi, ten wspaniały statek znajdzie przynajmniej dobry dom. Nieistotne, jak podstępnie i nieetycznie zdobyte zostały pieniądze na jego budowę, ponieważ to wciąż jest piękny liniowiec, najpiękniejszy na świecie; jest pomnikiem, na który nasz ojciec zasługuje, mimo wszystkich grzechów, jakie popełnił. Zapewne zdajesz sobie sprawę, a może nie, iż sprzedanie tego statku jedynie opóźni upadek całej Keys Shipping... Zapłacimy kilku kredytodawcom, którzy naprawdę zasługują na swe pieniądze, a potem nagle rzucą się na nas pozostali i wycisną z kompanii, co tylko się da.

— A co zostanie dla mnie i dla matki? — zapytała Catriona, z trudem panując nad swoim głosem.

Philip popatrzył na nią i szeroko się uśmiechnął.

— Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to nadmiernie interesowało — stwierdził. — To chyba zazdrość. Ty nigdy dla ojca nie pracowałaś. Nie spędziłaś pięciu lat w jakichś marnych biurach, sortując stosy rachunków i dokumentów, po to tylko, żeby jednego dnia, zupełnie nagle, znaleźć się na bruku, zostać wydziedziczoną. Zawsze byłaś jego ukochaną faworytą, prawda? Nie było dnia, żeby nie mówił o tobie. Trudno mi było to akceptować, bo z każdą chwilą stawałaś się coraz bardziej zepsuta, lekceważyłaś jego i jego miłość. Kiedy stracisz wszystko to, co ci pozostawił, nawet tego nie odczujesz. Tak zresztą jak i ja nie odczułem żadnej straty, gdy mnie wydziedziczył. A jeśli odczułem... wstydzę się tego.

— Co się stanie, jeśli będę chciała oddać kompanię w ręce IMM?

Philip roześmiał się przesadnie głośno.

— Wszystko, co najgorsze! Przede wszystkim IMM prawie na pewno opóźni płatności. Już George Welterman znajdzie jakąś wymówkę: jeden albo drugi szczegół w kontrakcie. Albo powie, że stan floty Keys Shipping jest dużo gorszy od tego, jaki mu przedstawiono w momencie sprzedaży. Zabierze twoje statki i nie pozwoli ci już ich tknąć, a sam będzie obserwował, jak powoli, lecz nieodwołalnie, pogrążasz się w ruinie. Robił tak już w przeszłości i robi tak jeszcze raz. W końcu łaskawie zgodzi się zapłacić ci kilka marnych milionów funtów i to będzie koniec wszystkiego. Natomiast jeśli zrobisz to, co ja ci proponuję, „Arcadia” wciąż będzie przemierzała Atlantyk i większość kredytodawców wycisnie z niej przynajmniej część tego, co w nią włożyli.

To już coś. Poza tym jest to najbardziej honorowe wyjście, o ile rozumiesz znaczenie tego słowa.

— Mark Beeney nic o tym nie wie, prawda? — zapytała Catriona. — To znaczy nie wie, dlaczego tak bardzo chcesz, żeby kupił „Arcadię”?

Philip milczał.

— Zastanawiam się, dlaczego postanowiłeś interweniować w bieg wydarzeń — mówiła Catriona. — Skoro George Welterman ma zamiar zrujnować Keys Shipping, jakie ma to dla ciebie znaczenie? Dlaczego nie chcesz do tego dopuścić? Mógłbyś się zemścić na ojcu po jego śmierci. Czego ci więcej potrzeba?

— Tak się składa, że sam posiadam trochę akcji Keys Shipping. Posiadają je również nieliczni moi przyjaciele. Razem mamy ich dziewiętnaście procent. Trzy lata temu próbowałem przejąć zarządzanie kompanią albo przynajmniej uzyskać prawo do decydowania o tym, jak powinna być zarządzana. Cóż, nie udało mi się. Nie zmienia to faktu, że gdy Keys Shipping upadnie, znów będę zrujnowany, podobnie zresztą jak moi przyjaciele.

Catriona popatrzyła na niego sceptycznym wzrokiem.

— To nie jest jedyny powód — dodał mniej stanowczo. — Chyba najważniejszy jest ten, że nie chcę, aby George Welterman stał się właścicielem „Arcadii”.

— Statku zbudowanego za ukradzione i pożyczone pieniądze? Dlaczego miałoby cię obchodzić, kto jest właścicielem „Arcadii”?

— Wiesz tak samo dobrze jak ja.

— Powiedz mi jednak — nalegała Catriona.

Philip stał przez chwilę zamyślony. W tej pozycji tak bardzo był podobny do ojca, że Catriona zdumiała się; z trudem zapanowała nad chęcią uszczypnięcia go, by stwierdzić, że to naprawdę jest Philip, a nie Stanley Keys. Nawet gdy się odezwał, jego głos bardzo przypominał głos ojca.

— To jego statek, statek ojca, oto dlaczego. Wobec tego faktu błędą wszystkie moje z nim kłótnie, podobnie jak nie ma też znaczenia to, że nie pochwalałem oszustw z „Orange” i tymi wszystkimi innymi statkami. To jego statek i musi pływać przez Atlantyk, ponieważ jeśli nie będzie tego robił, zginie, a wraz z nim wszystko to, czemu ojciec poświęcił swoje życie. My, Catriono, również zginęlibyśmy razem z tym statkiem, wkrótce nikt na świecie nie pamiętałby nazwiska Keys ani Stanleya Keysa. Przez chwilę milczał, po czym dodał:

— Chyba myślisz, że zwariowałem.

— Wcale tak nie myślę — powiedziała Catriona gwałtownie. — Jednak wciąż nie wiem, czego chcesz.

— Nazywasz się Keys, prawda? Przynajmniej tak długo, dopóki nie wyjdiesz za mąż. Cóż, ja nigdy

nie byłem Keysem i nigdy nim nie będę. Ojciec przedstawiał mnie jako syna swego dalekiego przyjaciela. Nawet Edgar Deacon nigdy nie dowiedział się, kim naprawdę jestem.

Oczywiście, ojciec nie chciał, by Doris cokolwiek wiedziała. Nigdy jej nie spotkałem, ojciec jednak często mówił mi, że jest bardzo wrażliwa i gdyby dowiedziała się, że on, Stanley Keys, miał romans z Isabelle przed ślubem z nią, że na dodatek miał nieślubnego syna... Lepiej nie ryzykujemy, synu, tak do mnie mawiał.

— Czy jesteś o mnie zazdrosny? — zapytała Catriona. — Nie wiem. Chyba nie wchodzi w grę zazdrość. Ale...

— Philipie...

— Nie. Nie rozmawiajmy na ten temat.

— Posłuchaj mnie więc. Przypuśćmy, że nie sprzedamy kompanii IMM, przypuśćmy, że nie sprzedamy również „Arcadii” Markowi Beeneyowi, przypuśćmy, że Keys Shipping pozostanie niezależną kompanią, przypuśćmy, że od dzisiaj razem będziemy dla niej pracowali... Czy widzisz taką możliwość? Philipie, jeżeli „Arcadia” zdobędzie Błękitną Wstęgę, stanie się najpopularniejszym liniowcem na Atlantyku. Jest zresztą piękna i ty doskonale o tym wiesz.

Uważam, że ojciec do swego ostatniego dnia wierzył, iż utrzyma kompanię w całości. Musiał wierzyć, w przeciwnym wypadku bowiem nie zainwestowałby tak wiele pieniędzy i nie poświęciłby tak wiele czasu „Arcadii”!

Philip podrapał się po głowie.

— Ty go przecież w ogóle nie znałaś. Ten statek powinien nosić nazwę „Megalomania”, a nie „Arcadia”. Wcale nie zbudował go dlatego, że uważał, iż problemy kompanii może rozwiązać potężny liniowiec. Decyzja o jego budowie nie miała nic wspólnego z ekonomią. Była efektem nadmiernych ambicji i dumy. Uważam zresztą, że na swój sposób my oboje jesteśmy równie dumni jak on. I równie pewni siebie. Mój Boże, posłuchaj tylko, co my pleciemy.

— Philipie — powiedziała Catriona cichym głosem — od chwili, w której zrozumiałam, kim jesteś, zastanawiam się nad tym wszystkim. I zrozumiałam, że chcę, abyś współpracował ze mną, że chcę, abyśmy oboje wspólnie przywrócili świetność Keys Shipping. A przynajmniej, abyśmy wspólnie spróbowali tego dokonać.

— Wbrew temu, co chciałem ci zrobić?

— Nie znałeś mnie wtedy. Nigdy mnie nie widziałeś. Jedynie słyszałeś o mnie od ojca.

Wyobrażam sobie, co czułeś, kiedy ci o mnie opowiadał.

— Naprawdę? — zawołał Philip i przygryzł wargi. — Tego z całą pewnością nie potrafisz sobie

wyobrazić. Przykro mi, ale ci nie wierzę.

— Philipie, to teraz nie ma znaczenia. Jeżeli mi nie pomożesz, będę musiała sprzedać Keys Shipping IMM. Będę musiała, niezależnie od tego, co ty i ja czujemy wobec George'a Weltermana.

— Będzie mi bardzo przykro, jeżeli to zrobisz.

— Tobie będzie przykro, lecz ludzie, którzy teraz pracują dla Keys, jak twierdzi Edgar, przynajmniej zachowają swoje posady.

— Wierz mi, skoro chcesz.

— Philipie, nie bądź taki zgryźliwy, proszę cię.

Philip popatrzył na nią. Zupełnie niespodziewanie w jego oczach rozblęły łzy.

— Prawie nie znałaś swojego ojca. Natomiast ja mam uczucie, że poznałem go dobrze.

Cholera, przez długi czas uwielbiałem tego człowieka. Zrobiłbym dla niego wszystko. I nagle postanowił zbudować ten przeklęty statek. Opanował go niczym obsesja: dzień i noc mówił tylko o nim. Odnosiłem wrażenie, że dla jego zbudowania gotów jest mordować ludzi, i w pewnym sensie, pod koniec prac mordował. Z całą pewnością zamordował mnie. Nienawidzę tego przeklętego statku i zarazem go kocham. Nienawidzę ciebie i wszystkiego, co nosi nazwisko Keys; zarazem czuję się dumny, kiedy widzę na maszcie statku flagę ze skrzyżowanymi kluczami*. Chciałem, żebyś sprzedała „Arcadię” Markowi Beeneyowi, tylko dlatego, żeby ją uratować. Jeśli jednak tego nie zrobisz, cóż... Nie mam nic więcej do powiedzenia. Naprawdę nie widzę lepszego wyjścia z tej sytuacji.

Philip odwrócił się i powoli ruszył w kierunku wyjścia.

Catriona chciała go zawołać, ale się powstrzymała. Zapewne przeszedł już dosyć jak na jedno popołudnie. Usiadła na krześle i zaczęła się zastanawiać co, na Boga, powinna powiedzieć Edgarowi Deaconowi.

To, co do tej pory robiła, przerażało ją, ale równocześnie ekscytowało. Być może kompania mimo wszystko padnie, być może George Welterman jednak zatriumfuje. Stanie się tak w każdym razie po otwartej walce, w której zostaną wyznane grzechy ojca. A ci, którzy mu ich nie wybaczą, być może przynajmniej go zrozumieją i zapomną wszystko.

Jeszcze raz rozwinęła dwa telegramy, które dzisiejszego dnia otrzymała z Londynu. Pierwszy wysłany został przez Nigela, a jego treść brzmiała następująco: „Philip Carter–Helm jest jednym ze współników Drago, Cox and Carter—Helm, Ubezpieczenia Morskie. Ma, według jego sekretarki, dwadzieścia dziewięć albo trzydzieści lat. Sekretarka twierdzi, że urodził się w Cheshire. Tęsknię szalenie. Kocham, N.” Drugi telegram przysłała Millicent Furr, szkolna koleżanka Catriony. „Philip Stanley George Walmsley urodził się 2 lutego 1895 roku w Winsford Nursing Home w hrabstwie Cheshire i został zarejestrowany w Winsford przez Isabelle Mary Walmsley, pAnne, oraz Stanleya Everetta Keysa, inżyniera morskiego. Brzmi intrygująco! Czy spotkamy się i o tym porozmawiamy? Mam nadzieję, że ta informacja ci wystarczy. Najlepszego, Millie”.

Catriona przypomniała sobie, jak ojciec mawiał: „Ta twoja ciotka Isabelle jest zawsze taka złośliwa”. Wówczas nie miała pojęcia, co jest przyczyną takiego zachowania. Teraz już wiedziała.

Znów złożyła telegramy, po czym podarła papier na drobne kawałeczki.

* Keys (ang.) — klucze.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

Marcia Conroy przez cały czas obserwowała Catrionę, dlatego nie uszło jej uwagi, że długo rozmawiała z Philipem. Gdy Philip ją wreszcie opuścił, poczuła przemożną pokusę, aby podejść do Catriony i z nią porozmawiać. Nie wiedziała dlaczego. Może chciała zapewnić ją, że nie wini jej za to, co się stało? Catriona jednak szybko gdzieś zniknęła i Marcia nie chciała znów jej szukać. Uznała, że jeszcze przyjdzie właściwy moment na tę rozmowę.

Marcia uzyskała pozwolenie doktora Fieldsa na dwa piętnastominutowe spacery po pokładzie w ciągu dnia. Korzystała z tej swobody, nie wiedząc, że za pośrednictwem sir Peregrine’a doktor poinstruował całą załogę, aby zwracano na nią szczególną uwagę, przede wszystkim gdyby znalazła się w pobliżu skrajnych barierek. Doktor Fields uważał, że nie będzie już więcej próbowała targnąć się na swoje życie, chociaż doświadczenie podpowiadało mu też, iż prawdziwi samobójcy, jeśli zechcą, potrafią, zmyliwszy wszystkich, i tak dopiąć swego celu.

Tymczasem Marcia odczuwała ogromny smutek, ale już nie desperację. Przechadzając się po pokładzie w białym płaszczu i białym kapeluszu, przypominała eleganckiego, sztywnego manekina. Tego dnia zjadła wreszcie śniadanie: dwa lekko ścięte jajka i figę. Wypiła też filiżankę chińskiej herbaty. Zdumiała samą siebie myślą, że chętnie zrobiłaby coś erotycznego, podniecającego.

W chwili gdy stwierdziła, że nawdychała się wystarczająco świeżego powietrza, na pokładzie pojawił się Sabran i oparłszy się o barierkę, popatrzył z bliska na Marcie. Ubrany był w marynarkę skrojoną w wojskowym stylu oraz w luźne białe spodnie. Na bosych stopach miał

rzemienne sandały; wszystkie paznokcie u nóg miał pomalowane.

— Wygląda pani na smutną — zauważył.

Marcia posłała mu krótki, słaby uśmiech.

— Ja też nie jestem z siebie nadmiernie zadowolony — powiedział.

Zapalił papierosa i wypuścił dym nozdrzami. Marcia odniosła wrażenie, że gdyby to było możliwe, najchętniej wydmuchiwałby go uszami.

— Widzi pani, ta baronówna potrzebuje niewolnika, a nie kochanka. Czyja wyglądam na niewolnika? Nie ma mowy, nigdy w tę rolę nie wejdem.

— Nie wątpię — zgodziła się Marcia.

— Kiedyś będę gwiazdorem filmowym jak Valentino, tyle że jeszcze więcej kobiet będzie padało u moich stóp...

Marcia jedynie się uśmiechnęła. Przez chwilę trwała cisza i nagle, zupełnie niespodziewanie, Sabran przyklęknął przed Marcia i wyjąkał:

— Proszę cię, napij się ze mną dzinu z tonikiem. Marcia dotknęła opuszkami palców jego policzka. Miał gładką, przyjemną w dotyku skórę.

— Dobrze — zgodziła się. — Chodźmy na ten dzin z tonikiem.

— A potem?... — zapytał Sabran.

— Och, nie wiem, co będzie potem. Zresztą, czy to ważne? Najpierw zrobmy jedno, a potem będziemy się zastanawiali, co będzie potem.

Sabran nie oponował.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

Edgar pił popołudniową herbatę z George'em Weltermanem, kiedy w drzwiach jego kajuty pojawiła się Catriona. George powstał i skinął jej głową, po czym powiedział:

— Proszę, proszę. Królowa Atlantyku we własnej osobie. Catriona zezwoliła mu na pocałowanie dłoni. Następnie usiadła, ściągnęła kapelusz i odezwała się lekkim tonem: — Nie przeszkadzajcie sobie, panowie, bardzo was proszę.

— Rozmawialiśmy o majątku Keys Shipping — pośpieszył Edgar z wyjaśnieniem. — George chce dokładnie wiedzieć, co otrzyma za swoje osiemnaście milionów. Spis własności kompanii mieści się na ponad trzystu siedemdziesięciu stronach; rozpoczyna się od „Arcadii”, a kończy na trzystu łopatach.

— Rozumiem... — przytaknęła Catriona. Odpowiadając na pytające spojrzenie Edgara, dodała: — Nie, nie, dziękuję za herbatę. Natomiast chętnie wypiłabym jakiegoś słabego drinka.

— Ja sam nigdy nie pijam, zanim słońce nie zniknie za horyzontem — stwierdził Edgar. —

Stary anglo-indiański zwyczaj, oczywiście. Tylko dzięki temu można trzymać w ryzach robotników, którzy najchętniej piliby przez cały dzień, od rana do wieczora.

George chrząknął.

— Edgar jest bardzo zadowolony z ciebie — powiedział do Catriony. — Jest dumny, że samodzielnie podjęłaś właściwą decyzję.

— Hmm — mruknęła Catriona. Pragnęła, aby zabrzmiało to obojętnie. Potem, gdy panowie powrócili do rozmowy, bardzo uważnie się jej przysłuchiwała. Uzgadniali właśnie spotkanie

prawników, które miało nastąpić jak najszybciej, gdy tylko „Arcadia” dobieje do Nowego Jorku. Z rozmowy jednoznacznie wynikało, że obydwu jej stronom zależy na czasie.

— Ile osób spośród obecnego zarządu znajdzie pracę w IMM? — zapytała Catriona. — Mam nadzieję, że obecny tutaj pan Deacon...

George wstał, uśmiechnął się, otoczył ręką barki Edgara i powiedział:

— Pan Deacon otrzyma nagrodę, którą mu obiecałem. Zostanie dyrektorem brytyjskiego oddziału IMM. Zasluguje na to. W chwili, gdy zmarł pani ojciec, to on podjął bezzwłocznie niezbędne działania. Uwierz mi, Catriono, dzięki niemu zaoszczędzimy wiele pieniędzy i unikniemy wielu prawnych komplikacji. — Mrugnął okiem do Catriony, chcąc być pewnym, iż ta rozumie, że chodzi o „Orange”.

— A co z panem Fearsonem?

— Cóż... Percy bywa czasami trochę zbyt uciążliwy. Nie ukrywam, że trudno będzie znaleźć dla niego odpowiednią posadę, chociaż jestem pewien, że znajdziemy również coś i dla niego.

— A co ze mną?

— Z tobą, panno Keys? — Edgar roześmiał się cierpko. — Cóż, powrócisz do Londynu i znów będziesz wesoło zabawiać się z aktorami.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Po kolacji tego wieczoru Catriona usiadła obok Marka na sofie w zacisznym saloniku i oboje słuchali muzyki granej przez pianistę. Catriona ubrana była w lśniąca, srebrną sukienkę od Poireta, opadającą wzdłuż ciała niczym wodospad. Oboje z Markiem pili tego wieczoru specjalny koktajl: poncz atlantycki.

— Czy widziałeś ostatnio Philipa Cartera–Helma? — zapytała Catriona.

— Nie pojawił się na kolacji — odparł Mark. — Ale widziałem za to Marcie, jak szła pod rękę z tym całym Sabranem. Uwierz mi, ta polska baronówna wcale się tym nie przejęła.

Catriona dotknęła dłoni Marka.

— Mniejsza o to, mam ci coś do powiedzenia — odezwała się. — Coś bardzo ważnego, a związanego z pewną propozycją. Posłuchaj...

Mark uciszył ją ruchem ręki.

— Ty posłuchaj mnie najpierw — powiedział. — Ja też mam ci coś ważnego do powiedzenia.

I mam też propozycję. A ponieważ jestem na tym statku gościem, a ty gospodynią, mam przywilej

przemówić pierwszy, nie sądzisz?

Catriona spojrzała mu prosto w oczy: w oczach tych lśniła miłość i zadowolenie. Po chwili namysłu powiedziała:

— W porządku, mów pierwszy. Ale niech to nie trwa przez całą noc.

— Dziękuję. — Mark poprawił krawat. — Widzisz, nad tym, co chcę powiedzieć, długo się zastanawiałem. Normalnie jestem bardzo gwałtowny. Szybko podejmuję decyzje, a po ich podjęciu zmierzam prosto do celu, bezwzględnie pokonując po drodze przeciwników i przeciwności. Lecz ta decyzja zaważy na całym moim życiu, a może i na twoim, zapewniam cię więc, że jest ona efektem bardzo długich rozważań i przemyśleń.

— Mów dalej — ponagliła go Catriona. Nie miała pojęcia, dlaczego serce jej nagle zaczęło bić bardzo szybko. Nie wiedziała, dlaczego też niespodziewanie czuje się taka spięta.

Mark sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małe czarne pudełeczko z pierścionkiem.

Otworzył je i przed oczyma Catriony rozbłysnął spoczywający na czarnym jedwabiu złoty pierścionek z trzema diamentami. Największy z nich musiał mieć co najmniej trzy lub cztery karaty.

— Catriono, chcę, żebyś została moją żoną. To jest moja propozycja. Uważam, że nie jestem najgorszą partią. Jestem nieprzyzwoicie bogaty, całkiem przystojny, a oprócz tego zakochałem się w tobie, tak jak jeszcze nigdy w żadnej innej kobiecie. Powiem ci coś, Catriono: kiedy wieczorem wychodzisz na pokład statku, wszystkie gwiazdy bledną ze wstydu, i jest to naukowo stwierdzony fakt.

Niespodziewanie w oczach Catriony pojawiły się łzy.

— Chyba cię nie zdenerwowałem, co? — zapytał Mark zaniepokojonym głosem.

Catriona potrząsnęła głową.

— Jestem szczęśliwa — wyjąkała przez łzy.

— Czy to znaczy?.. Pokiwała głową.

— Tak, ty idioto. Zgadzam się zostać twoją żoną.

Mark ostrożnie wydobyl pierścionek z pudełeczka, ujął dłoń Catriony i delikatnie wsunął pierścionek na jej palec. Następnie odsunął się od niej, wyciągnął chusteczkę i starannie wytarł czoło.

— Uff — westchnął. — Przez chwilę myślałem, że nici z tego.

Catriona mocno ścisnęła jego rękę.

— Czy może powinniśmy to ogłosić? — zapytał Mark. — Moglibyśmy przynajmniej zaproponować pianiście, żeby zagrał dla nas coś mniej łzawego.

— Na razie niech to będzie naszą tajemnicą — powiedziała Catriona. — Najpierw musisz wysłuchać mojej propozycji.

— To znaczy, że nie chciałaś prosić mnie, abym się z tobą ożenił?

— Nie wiem. Coś w tym rodzaju. Posłuchaj.

Mówiła do niego niemal przez kwadrans, a Mark uważnie słuchał. Gdy skończyła, skinął bez słowa głową i oboje zgodnie powstali, i ruszyli w kierunku schodów. W powietrzu unosił się zapach właściwy tylko luksusowym statkom pasażerskim. Pachniały drogie perfumy, oleje silnikowe, turecki tytoń, a wszystko przenikał naturalny zapach ozonu i soli.

— Szkoda, że nie ma tu z nami mojego ojca — westchnęła bez żalu Catriona, jakiś dziwny głos bowiem podpowiadał jej, że on tu jednak jest.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Była godzina pierwsza po północy w sobotę. Z całą mocą maszyn „Arcadia” mknęła na zachód, na swe pierwsze spotkanie Ameryki. Jej prędkość dochodziła do dwudziestu dziewięciu węzłów. Sir Peregrine szybko zakończył kolację i osobiście dowodził na mostku. Chociaż przynigdy by tego nikomu nie przyznał, nawet siostrze Queensland, zdobycie przez „Arcadię” Błękitnej Wstęgi, i to już w dziewiczej podróży, było jego marzeniem. Nie walczył o tę wstęgę dla „Arcadii” ani dla przyszłości Keys Shipping. Walczył o nią dla siebie. Dotarcie do Nowego Jorku w rekordowym czasie było dla niego jedyną nadzieją na utrzymanie pozycji komandora floty Keysów; o ile w ogóle taka nadzieja jeszcze istniała. Potrzebował morza. Cóż by począł bez niego? Siedziałby zapewne ponuro w wiktoriańskim domu w Lytham St Anne, nasłuchując gosposi dzwoniącej garnkami. Albo nasłuchiwałby kroków w korytarzu, popołudnie po popołudniu, albo słuchałby tykania starego, wiedeńskiego zegara, albo wpatrywałby się w ponure malowidła zdobiące ściany w holu.

Mavis? Czy rozmyślał jeszcze o Mavis? Nie, nie chciał już o niej myśleć. To morze właśnie było tym wspaniałym wybawicielem, który przez te wszystkie lata odwracał jego myśli od Mavis. Był zbyt zajęty dowodzeniem swoimi statkami, aby rozmyślać o Mavis. Mavis była dawno utraconą miłością, nie otwartym listem, leżącym na kominku w jakimś wiktoriańskim pokoju, dziewczyną, widzianą z daleka, w zwiewnej sukience i słomkowym kapeluszu. Była wspomnieniem czasu, gdy nie jeździły jeszcze automobile, nie było bezczelnych zalotnie, aeroplanów, jazzu i światła elektrycznego. Czasów, gdy dziewczęta nie ośmielały się ukazywać publicznie nawet kostek u nóg.

Mavis, Mavis. „Arcadia” mknęła na zachód, a wiatr jakby śpiewał imię Mavis. Sir Peregrine jednak przez cały czas tkwił dumnie na mostku jak nieugięty wilk morski. Nie pamiętał już o Mavis.

Harry Pakenow siedział beczynn timer w kajucie pierwszej klasy, nie mogąc spać; nerwowo gryzł

paznokcie. Wskazówki zegara w marmonie Marka Beeneya po raz kolejny już minęły godzinę dwunastą i tym razem mogło dojść do wybuchu. Zegar bowiem wciąż chodził i było bardzo prawdopodobne, że wskazówki jeszcze raz wskażą godzinę dwunastą: w sobotę w południe. Mogły też chodzić i do północy, a może nawet dłużej. W każdym razie dynamit miał

jeszcze przynajmniej dwie szansę. Harry mógł tylko nerwowo czekać, podczas gdy wszyscy pozostali pasażerowie „Arcadii” pili, tańczyli, gaworzyli, kopulowali albo rozmarzonym wzrokiem wpatrywali się w gwiazdy.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Coney Island wyłoniła się z ciepłej letniej mgły w niedzielę o godzinie siódmej pięćdziesiąt sześć nad ranem po nienaturalnie spokojnym sobotnim popołudniu i nocy. W tej chwili Catrionie, stojącej na pokładzie u boku Marka i wypatrującej po raz pierwszy Statuy Wolności, dziewczyna podróż „Arcadii” wydała się dziwnie krótka.

Dowiedziawszy się od Catriony, kim jest naprawdę Philip Carter–Helm, i usłyszawszy jej propozycję, Mark zgodził się, chociaż trochę niechętnie, opóźnić publiczne ogłoszenie ich zaręczyn. Nad ranem jednak, gdy się obudziła, na Catrionę czekał bukiet ponad stu drżących gardenii i liścik: „Uwielbiam cię”.

Pozostawiła kartkę pod drzwiami Philipa, prosząc go o spotkanie. Poprosiła też Monty’ego Willowby’ego, aby przyprowadził Philipa do niej natychmiast, gdy go spotka. W miarę jak

„Arcadia” zbliżała się do Nowego Jorku, Catriona coraz bardziej się niepokoїła, że nie porozmawia z Philipem przed przybyciem do portu. A przecież nie chodziło o zwykłą rozmowę; musiała bowiem nakłonić go do pomocy w realizacji jej propozycji. Gdyby Philip zszedł na brzeg, byłoby za późno. Catriona strasznie się bała, że Keys Shipping zostanie przejęta przez George’a Weltermana z powodu głupiej nieobecności Philipa.

— Może powinienem go poszukać? — zaproponował Mark.

— Jeśli nie życzy sobie, by go znaleziono, nic nie pomożesz — odparła. — Z równym powodzeniem mógłbyś szukać kogoś w centrum Fulham w dzień targowy.

— Musimy jednak próbować.

— Sama nie wiem. Mam przeczucie, że wkrótce sam się pojawi. Jeśli nie, będziemy czekali przy trapie, kiedy pasażerowie będą schodzić ze statku.

— Przecież on musi gdzieś być! — Najprawdopodobniej siedzi w tej chwili zamknięty w swojej kajucie i się zastanawia. Nie odpowiada na pukania, to wszystko.

— Może Monty Willowby dałby nam zapasowy klucz?

— Pewnie by i dał. Nie chcę jednak drażnić Philipa. Już i tak był dość rozdrażniony po ostatniej rozmowie ze mną.

Przez kolejne dwadzieścia minut oboje czekali i w milczeniu palili papierosy.

— Patrz, widać już Ambrose Light — powiedział Mark w pewnej chwili. — Jeszcze kilka minut i zobaczysz Statuę Wolności.

— Czy myślisz, że zdobyliśmy Błękitną Wstęgę? — zapytała Catriona.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Dick Charles, który stał niedaleko niej.

— P...p...pro...proszę nie ku...kusić losu, pa...panno Keys. A...ale sssir Pe...Peregggrine wiół na...nas z pre...prędkością dwu...dwudziessstu ośmiu węzłów p...przez o...os —
tat...tnią dobę. A wie...więc...

Nie dokończył, gdyż jego uwagę zwrócił nagle swąd wydobywający się nie wiadomo skąd.

Niemal równocześnie rozległ się kobiecy krzyk:

— Pożar! Mój Boże, pożar wybuchł w kajutach pierwszej klasy!

Mark ścisnął ramię Catriony i polecił jej:

— Nie ruszaj się z miejsca!

Catriona mimo to natychmiast ruszyła za nim i wkrótce oboje znaleźli się w przerażonym i podnieconym tłumie pasażerów, zebranych przed klatką schodową. Nie czekali długo. Niemal natychmiast na schodach pojawił się Ralph Peel z megafonem i głośno powiedział:

— Proszę państwa, nie ma powodu do najmniejszych obaw. Spalił się jedynie kawałek dywanu. Panie i panowie, nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

Gdy pasażerowie powoli zaczęli się rozchodzić, Catriona podeszła do niego.

— Co się stało? — zapytała.

— Prawdę mówiąc, dokładnie jeszcze nie wiemy, panno Keys. Jednak Monty Willowby powiedział mi, że jakiś pasażer zamknął się w kajucie i wzniecił w środku ogień. W tej chwili marynarze chyba już wyważyli drzwi.

— O mój Boże — jęknęła Catriona. — To Philip.

— Co? — Mark zmarszczył czoło.

— To Philip! — zawołała Catriona. — To musi być on. Nie czekając już na nic, zbiegła schodami w dół, zrzuciła buty i w pończochach pobiegła korytarzem pierwszej klasy. Gdy biegła, rozległ się dźwięk syreny przeciwpożarowej, głośny, krystalicznie wyraźny.

Dym w korytarzu gęstniał coraz bardziej, a gdy Catriona wyłoniła się zza załomu, z Markiem podążającym o krok za nią, był już tak zbity i gryzący, że natychmiast przestała się orientować, gdzie jest i dokąd powinna teraz biec.

Intuicja jednak jej nie zawiodła. Dym wydostawał się z kajuty Philipa Cartera–Helma; Monty Willowby i czterej marynarze właśnie sforsowali drzwi.

— Nie ma tu miejsca dla pani! — zawołał Monty Willowby, ujrawszy Catrionę. — Proszę stąd odejść, to niebezpieczne. Ktoś urządził sobie niezłe ognisko.

— Czy ktoś z nim już rozmawiał?

— Jak do tej pory tylko przez drzwi. Krzyczał, żebyśmy sobie poszli, to wszystko.

— Wpuście mnie tam, ja muszę z nim porozmawiać. Monty popatrzył ponad ramieniem Catriony na Marka. Ten nie ułatwił mu sytuacji.

— Czuje pani ten dym? — zapytał Monty. — W każdej chwili może tu wybuchnąć wielki pożar. Najlepiej będzie, jeżeli pani sobie stąd pójdzie.

— Tylko minutkę — niemal błagała Catriona.

Mark pokiwał głową i Monty zawołał do jednego z marynarzy:

— Belay, przepuść panią!

Catriona stanęła w progu kabiny. W środku było ciemno i nigdzie nie mogła dojrzeć Philipa.

Gryzący dym sprawiał, że co chwilę musiała przecierać oczy.

— Philipie! — krzyknęła. — To ja, Catriona! Nie było odpowiedzi.

— Philipie! — powtórzyła. — Opamiętaj się. Jeżeli nie odezwiesz się, za chwilę zginiesz!

W kajucie wciąż panowała cisza. Monty Willowby ujął Catrionę pod ramię i powiedział:

— Najlepiej będzie, jak szybko przeszukamyabinę. Ten nieszczęśnik być może stracił już przytomność.

Catriona zawołała raz jeszcze:

— Philipie, proszę! Na pamięć naszego ojca! Błagam cię!

Niespodziewanie w gęstym mroku rozległ się kaszel, po czym odezwał się Philip:

— Zostawcie mnie w spokoju! Wiem, co robię. Odejdźcie stąd!

— Philipie, jeżeli stąd odejdziemy, wkrótce spalisz cały statek.

— O to mi właśnie chodzi. A teraz idźcie stąd. Catriona postąpiła krok w głąb kajuty.

— Pal licha statek, Philipie. Najważniejsze, że jesteś moim bratem i nie pozwolę ci umrzeć.

Philipie, posłuchaj mnie...

— Nie, panno Keys, ty mnie posłuchaj. — Philip niemal już charczał, w pałacej się kabynie brakowało tlenu. — Posłuchaj wreszcie kogoś, kto wie, jakim człowiekiem naprawdę był twój ojciec. Wydziedziczył mnie, odrzucił mnie po tylu latach i przykazał mi, abym nigdy więcej nie pokazywał mu się na oczy. Syn powinien bez dyskusji popierać swojego ojca, oto, co mi powiedział. A ty... ty, córka... ty dostałaś od niego wszystko i nawet nie musiałaś go kochać.

Zaniósł się suchym kaszlem.

— Proszę, panno Keys — odezwał się Monty Willowby, lecz Catriona uciszyła go ruchem ręki. Tymczasem Philip odzyskał głos.

— Odrzucił mnie... Odepchnął od siebie... A teraz... teraz, jeżeli sprzedasz kompanię IMM, ty i twoja matka wciąż będziecie bogate, dzięki pieniądзом, na które ja pracowałem...

Wzbogacie się na tym, co ja powinienem odziedziczyć, a nie mogę... Ale powiem ci coś jeszcze. Jeśli Mark Beeney...

W tym momencie w kajucie pojawiły się małe, złote płomyki ognia i jednocześnie przed Catriona wynurzyła się z mroku sylwetka Philipa. Przez chwilę chwiał się, po czym padł u jej stóp.

Na miejscu natychmiast znalazł się Monty Willowby.

— Bill, bierzemy go! — zawołał.

Pomógł im również Mark. Kiedy wspólnymi siłami wynieśli go na korytarz, Mark krzyknął:

— Koc! Potrzebny nam jest koc!

Nie wiadomo skąd przyniesiono koc. Philip został na nim ułożony i wyniesiony na pokład, gdzie Mark w pośpiechu sprawdził jego oddech i puls. Philip kaszłał, sapał i charczał.

— Wszystko z nim w porządku — po chwili powiedział Mark. — Nawdychał się trochę dymu, to wszystko. Nic mu nie będzie.

Tymczasem pasażerowie pierwszej klasy gromadzili się nad ofiarą pożaru z zaciekawieniem i konsternacją. Sir Terence Harding — Crump zauważył:

— Chyba już wszystko mieliśmy podczas tej podróży, łącznie z ogniem i sztormem. Zupełnie jak na włoskim statku.

Ciekawskich rozepchnął doktor Fields, który nadbiegł ze swoją torbą lekarską. Szybko obejrzał

Philipa i zapytał:

— Czy zażyłeś jakieś tabletki, stary? Philip pokiwał głową.

— Najlepiej będzie, gdy od razu zabierzemy cię do szpitala. Dla twojego dobra wypłuczę ci żołądek. Nie pozwolę ci umrzeć, mimo że tego chciałeś. To wbrew przepisom.

Philip popatrzył na Catrionę, klęczącą obok niego.

— Chyba powinienem cię przeprosić — wystękał. — Tak — powiedziała Catriona, ujmując jego dłoń. — Powinieneś mnie przeprosić.

W tym momencie na pokład wyrzwał George Welterman, najwyraźniej chcąc sprawdzić, co jest przyczyną zamieszania; nie mógł wybrać stosowniejszej chwili. Stał blisko Catriony, w nadziei że okaże się jej pomocny, może choćby tylko po to, by podać jej rękę, gdy będzie powstawała z klęczek. Dzięki temu bardzo wyraźnie usłyszał słowa, które skierowała do Philipa:

— Nigdy nie pozwolę, żeby Keys Shipping dostała się w łapy IMM. Nigdy. Nie będę też ukrywała, co stało się z „Orange” i kilkoma innymi statkami. Być może zrujnuję przez to reputację ojca, ale przecież nigdy na nią nie zasługiwał, prawda? „Arcadia” jeszcze długo będzie przemierzała Atlantyk i ona właśnie uratuje resztki jego reputacji.

— Co więc zrobisz? — zapytał Philip. Dwaj marynarze właśnie rozkładali obok niego nosze.

— Szczegóły poznasz później. — Catriona uśmiechnęła się. — Na razie dowiedz się, że Mark kupi „Arcadię” i poręczy za długi kompanii na pięć lat w zamian za dwadzieścia pięć procent udziałów w Keys Shipping. Moich udziałów, udziałów, które oddaję mu z radością. Tym większą, że mam zamiar go poślubić... I coś jeszcze. Mark chciałby, aby na czele Keys Shipping stała kompetentna osoba, ktoś, kto kompleksowo zająłby się remontami starych statków i budową nowych, a jednocześnie kierował kompanią tak, by przynosiła zyski. Ktoś, kto naprawdę, z całego serca by o nią dbał.

George Welterman wpatrywał się w Catrionę z twarzą białą jak papier, a gdy obok niego pojawił się Edgar Deacon, wycharczał:

— Słyszałeś? Co to jest?

Nie wytrzymawszy nerwowo, chwycił mocno koszulę pod jego szyją, aż Edgarowi zabrakło tchu.

Tymczasem marynarze zanieśli Philipa do szpitala. Zanim go zabrali, Catriona dotknęła jeszcze jego wilgotnego czoła i powiedziała:

— Potrzebuję cię, Philipie. Chcę odnieść sukces tam, gdzie nie udało się to ojcu. Naszemu ojcu.

Później razem z Markiem patrzyła, jak nosze znikają we wnętrzu statku. Gdy Philipa nie było już na pokładzie, podszedł do nich Edgar, sztywny, blady, z zaciśniętymi pięściami.

— George właśnie mi powiedział — oznajmił. Mark otoczył Catrionę ramieniem i uśmiechnął

się.

— George zawsze lubił podsłuchiwać. I tym razem, jak zwykle, wszystko usłyszał bezbłędnie.

— Panno Keys, chcę panią poinformować, że nie ma pani ani wystarczającej władzy, ani wystarczającej liczby głosów w zarządzie kompanii, aby zrealizować te plany.

Mark popatrzył na Catrionę i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Powinien pan sobie zdać sprawę, panie Deacon — powiedział — że panna Keys dysponuje wystarczającą liczbą głosów, by jednak przeprowadzić swoją wolę. Jest to jej własne dwadzieścia pięć procent akcji plus akcje Thistle Maritime z pięcioma procentami, plus kilka trustów i kompanii ubezpieczeniowych, sprzyjających panu Philipowi Carterowi–Helmowi z dziewiętnastoma procentami... To chyba wystarczy.

Edgar nie dawał za wygraną.

— To wciąż zbyt mało, panno Keys. Dysponuję zapewnieniem pani matki, że poprze każdą decyzję, jaką jej zarekomenduję. Poza tym nie przypuszcza chyba pani, że Doris Keys zechce przekazać zarządzanie kompanią w ręce nieślubnego syna jej męża i rodzonej siostry, prawda?

— Obojętne, co myśli moja matka, matka Philipa Cartera–Helma myśli zupełnie inaczej. Dziś nad ranem otrzymałam telegram od ciotki Isabelle. Potwierdza swą zgodę na sprzedaż

„Arcadii” American TransAtlantic. Niestety, wszystko dokładnie przygotowałam, panie Deacon.

Jej dwa procent udziałów sprawiają, że zwolennicy American TransAtlantic mają ich w tej chwili w rękach dokładnie pięćdziesiąt jeden. Nawet jeśli panowie Fearson i Thurrock będą głosowali przeciwko nam, w co, prawdę mówiąc, szczerze wątpię.

— I w ten sposób panna Keys pozostanie gospodynią „Arcadii” — powiedział Mark do Edgara. — Co najważniejsze, zawdzięcza to tylko sobie; szczerze mnie to cieszy.

Przez długą chwilę Edgar stał w miejscu, nie potrafiąc zrobić kroku. Jego twarz była nieprzenikniona, a oczy przypominały dwa czarne kamienie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Z pokładu było już widać Statuę Wolności; niestety, pożaru w pomieszczeniach pierwszej klasy wciąż nie ugaszono. Dick Charles i dwudziestu marynarzy pracowało w pocie czoła i mimo że powoli, to z każdą chwilą byli coraz bliżej sukcesu.

Tymczasem „Arcadia”, otoczona dziesiątkami łodzi i jachtów, majestatycznie przepłynęła przez Verrazano Narrows i wpłynęła do Górnej Zatoki. Ze względu na dym, wydobywający się spod pokładu, otoczyły ją też łodzie strażackie. Reporter CBS pierwszy ogłosił, że zdobyła Błękitną Wstęgę Atlantyku; jednocześnie zaniepokojonym głosem relacjonował, iż na pokładzie dzieje się coś złego.

Sir Peregrine stał na mostku z wyrazem dumy na twarzy. Obok niego tkwił Ralph Peel. Bez powodzenia usiłował zachować spokój.

— Sir Peregrine, nasza prędkość... — wyjąkał. W tym momencie prędkość „Arcadii” wynosiła piętnaście węzłów; statek w ekspresowym tempie zbliżał się do basenu. Obserwatorzy odnosili wrażenie, że za chwilę przebije nabrzeże, przetnie Battery Park i zatrzyma się dopiero na Piątej Alei. A jednak sir Peregrine wszystko kontrolował.

— Prędkość siedmiu węzłów, panie Peel.

— Zrozumiałem, siedem węzłów.

— Co z pożarem?

— Wciąż się pali, sir. Wygląda, że sprawa jest poważna. Czy mam zażądać pomocy z nabrzeża?

— Nie potrzeba, panie Peel — odparł sir Peregrine i skinął na otaczające liniowiec łodzie strażackie. — Są przecież gotowi udzielić nam pomocy. Nie pozostaje nam nic innego, jak wpłynąć swoim kursem do portu. Prosto i bez wahania.

— Tak jest. Prosto i bez wahania, sir.

Ralph Peel dokładnie wiedział, jakie są zamiary sir Peregrine’a. Chciał z jak największą prędkością wpłynąć do basenu i w ostatniej chwili gwałtownie dać całą wstecz. Dopiero po tak spektakularnym podejściu do brzegu zamierzał się zająć taką drobnostką jak ogień na pokładzie.

Swoje plany bez przeszkód zrealizował. „Arcadia”, oznajmiając swoje przybycie tak głośno, że jej gwizd słychać było w całym Harlemie, na Brooklynie, a nawet w Elizabeth w stanie New Jersey, zastygła w bezruchu zaledwie kilka jardów przed końcową ścianą basenu.

— Panie Peel — zażądał wówczas — może pan wprowadzić łodzie strażackie do akcji. Niech pan tylko ostrzeże pasażerów. Nie chcę, żeby ktoś wpadł w panikę albo wyskoczył za burtę. Dość już mieliśmy tego na Atlantyku. Poza tym proszę porozdawać pasażerom te specjalne butelki szampana.

— Sir?..

— Pan Willowby wie, gdzie one są, panie Peel. Wokół każdej z nich przewiązana jest niebieska wstążka.

— Bardzo zapobiegliwie, sir — stwierdził Ralph Peel. — I, panie Peel...

— Tak?

— Niech pan poinstruuje stewardów, aby trzeci toast, po toaście za króla i toaście za

„Arcadię”, wypito za pana Rudyarda Philippsa.

Nastąpiła chwila ciszy, po której Ralph Peel odparł:

— Tak, sir.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Ogień ugaszono dopiero po dwóch godzinach, po czym na pokład osmolonej, lecz wciąż dumnej „Arcadii” wyszła orkiestra, a pasażerowie zaczęli gromadzić się przy barierkach od strony brzegu. BBC nadawała bezpośrednią transmisję z przybycia tej dumy Anglii do Nowego Jorku.

Mark i Catriona stali na pokładzie ramię przy ramieniu i przypatrywali się drapaczom chmur Nowego Jorku: Flatiron Building, Times Building, City Investing Company Building, Singer Building oraz zapierającemu dech w piersi Woolworth Building. W lekkiej letniej mgiełce wyrastały jak baśniowe zamki albo wielkie, szare symbole dobrobytu i powodzenia. Catriona obserwowała je przez łyzy radości i szczęścia.

George Welterman był jednym z pierwszych pasażerów, którzy opuścili pokład.

Rozwścieczony rozczarowaniem i upokorzeniem stanął na nabrzeżu, z szarym płaszczem przewieszonym przez ramię, niecierpliwie oczekując, aż zostanie wyładowany dla niego marmon Marka Beeneya. Właśnie nim zamierzał pojechać na Trzecią Aleję.

Podczas gdy się pakował, dwaj mężczyźni zdążyli jeszcze odwiedzić jego kajutę. Pierwszym był Maurice Peace. Bez dłuższej dyskusji zdołał wymóc na George’u weksel na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów jako „nagrodę pocieszenia” za utrzymanie w tajemnicy prawdziwej odległości, jaką „Arcadia” pokonała drugiego dnia podczas podróży na pełnym oceanie. Następnym gościem był Monty Willowby, który wylewnie mu podziękował za możliwość wydostania ze statku swych bezcennych pamiątek na tylnym siedzeniu marmona (bagażnik był tak zatrzaśnięty, że nie dało się go otworzyć) i zapewnił go, że nagroda spotka go najpóźniej w niebie.

— Cóż — powiedział Mark, patrząc, jak jego marmon powoli sunie nabrzeżem. — Tak oto opuszcza mnie auto moich snów.

— Czy mocno się tym przejmujesz? — zapytała Catriona.

Mark, po chwili zastanowienia, odparł:

— Tak. Chyba tak.

Po czym oboje roześmiali się.

Wkrótce pod statek podjechał ambulans i zabrał Philipa Cartera–Helma do East Side Clinic.

Kilka minut później pojawił się długi, czarny austro–daimler.

— Jest nasz — powiedział Mark. — Kupiłem go telegraficznie, gdy tylko dotarło do mnie, że straciłem marmona.

— Wygląda bardzo poważnie — stwierdziła Catriona.

— W sam raz na dzisiaj, przyszła pani Beeney. Potem możemy wymienić go na przykład na pierce'arrowa runabouta.

Po austro-daimlerze na portowym nabrzeżu pojawiła się cała procesja cadillaków, rolls-royce'ów i hispano-suizów, we wszelkich możliwych kolorach i ich odcieniach. Bogacze właśnie przybyli do Nowego Jorku i zamierzali wkroczyć na ulice miasta z właściwym sobie szykiem.

W pewnej chwili przed Catriona zatrzymał się chłopak z kwiaciarni.

— Panna Keys? — zapytał. — Tak.

— Kwiaty, panno Keys. Od pana Weltermana.

Było to około trzydziestu orchidei, zawiniętych w celofan. Do bukietu doczepiona była kartka:

„Są to niezwykle rzadkie kwiaty, znane jako Enid Cattleya, krzyżówka Mossiae i Warscewiczii.

Są tak rzadkie i jedyne w swoim rodzaju jak ty. Z wyrazami uwielbienia, George”.

— Co o tym myślisz? — zapytała Marka, przeczytawszy liścik.

Catriona opuściła wzrok.

— Nie wiem — powiedziała. — Gdybym się czegoś od niego spodziewała, to już raczej wieńca laurowego.

George Welterman wyjechał z portu natychmiast, gdy podstawiono mu samochód. Jechał

niepewnie, niezgrabnie, jeszcze na terenie portu otarł się bokiem o metalowy słupek. Dopiero gdy dotarł do 25 Ulicy, nauczył się poprawnie zmieniać biegi i od tej chwili przynajmniej nie szarpał autem. Dokładnie o dwunastej w południe zatrzymał się na skrzyżowaniu Trzeciej Alei i 28 Ulicy, czekając na zmianę świateł, bębniąc nerwowo palcami po kierownicy i zastanawiając się, kiedy będzie mógł się przebrać i wykapać. Popatrzył na tylne siedzenie, na przedmioty zawinięte w brązowy papier i załadowane do marmona przez Monty'ego Willowby'ego.

Był to ostatni moment jego życia. W tej właśnie chwili zegar uruchomił mechanizm, przygotowany przez Harry'ego Pakenowa, i eksplodował dynamit, umieszczony w bagażniku auta. Na samym środku Trzeciej Alei, w jednej sekundzie, drogi marmon zamienił się w kulę ognia i rozżarzonego metalu. Płonął tak przez długie dziesięć minut, strzelając ku niebu wysokim słupem żółtych płomieni, zanim wreszcie na miejscu pojawił się wóz straży pożarnej.

Jeszcze dwa wydarzenia kończą historię dziewiczej podróży „Arcadii”.

Pożegnawszy się z Philly, Harry Pakenow, dźwigając walizki, zaczął chodzić po nabrzeżu w

poszukiwaniu rolls-royce'a pani Hal. Zauważył go akurat, gdy auto odjeżdżało ze stanowiska kontroli celnej. Na jego tylnym siedzeniu spoczywała Lucille Foster w towarzystwie pani Hal i jeszcze jednej kobiety. Harry podbiegł do pojazdu i zaczął machać rękami do znajdujących się w środku osób. Kiedy nikt nie zwrócił na niego uwagi, zapukał w szybę.

— Lucille! To ja! Harry!

Rolls-royce zatrzymał się. Pani Hal opuściła boczną szybę i wyjrzała na zewnątrz.

— Praca — powiedział Harry i uśmiechnął się z nadzieją. — Chyba pani o mnie zapomniała, prawda?

— Praca?

— Lucille powiedziała... — zaczął Harry, lecz popatrzawszy na twarz dziewczynki, natychmiast umilkł, gdyż zrozumiał, że to wszystko było jedynie fantazją, zabawą. Dziecko chciało być dla niego miłe, nie liczyły się żadne zobowiązania.

— Przepraszam — bąknął, cofając się. — Najwyraźniej pomyliłem auta. Bardzo przepraszam.

Pani Hal zrobiła minę, którą przy odrobinie dobrej woli można było uznać za uśmiech, a następnie skinęła na kierowcę, żeby ruszył. Na tym incydent by się zakończył, gdyby nie Lucille.

Niespodziewanie zerwała się z miejsca i zawołała:

— Harry!

W jej oczach błyszczały łzy.

— Bardzo cię przepraszam, Harry.

— Nie musisz. Nic się w końcu nie wydarzyło, prawda? Coś takiego często dzieje się na statkach.

— Proszę, wybacz mi — mówiła Lucille. — Nie chciałam cię zranić.

Harry potrząsnął głową.

— Nie myśl już więcej o tym. I nie martw się o mnie. Następnym statkiem wrócę do Anglii.

Ktoś tam na mnie czeka.

Catriona, wciąż trzymając w rękach bukiet подарowany jej przez George Weltermana, spostrzegła na pokładzie spacerowym Edgara Deacona. Oparty o barierkę, wpatrywał się jakby niewidzącym wzrokiem daleko w przestrzeń.

— Panie Deacon?

Odwrócił się. Popatrzył na nią z niechęcią, po czym odezwał się:

— Panno Keys?

Stała obok niego i przez kilka minut oboje milczeli, nasłuchując odległych odgłosów muzyki jazzowej i nowojorskiego ruchu ulicznego.

— Widzi pan, wcale nie chciałam pana zranić — powiedziała wreszcie Catriona.

Skrzywił twarz w niechętnym grymasie.

— Rzeczywiście. Jestem o tym przekonany.

— Co będzie pan teraz robił?

— Och, nie wiem. Za pani zgodą chciałbym przez jakiś czas pozostać w Ameryce. A potem...

Naprawdę nie wiem. Może powrócę do Indii? Jeden z moich przyjaciół posiada wielkie plantacje herbaty; wiele razy powtarzał mi, że bardzo bym się mu przydał.

Nastąpiła krótka cisza, po czym Edgar kontynuował:

— Zawsze wiedziałem, że umrę w Indiach. Zawsze o tym wiedziałem.

— Przepraszam pana — wyszeptała Catriona.

— Nie musisz mnie przeproszać. Takie jest życie. A poza tym to ty jesteś dzieckiem Stanleya Keysa, nie ja. Dobrego, starego, wspaniałego Stanleya.

Catriona dotknęła jego ramienia.

— Muszę już iść — powiedziała. — Mark na mnie czeka na dole.

— Tak, idź już. Życzę ci powodzenia. A przy okazji... Na 26 Ulicy, pomiędzy Madison a Trzecią Aleją, jeżeli dobrze pamiętam, jest takie miejsce, gdzie sprzedają ołowiane żołnierzyki; specjalizują się w tym towarze. Nie zapomnij kupić jednego dla chłopaka pani Colehill.

— Nie zapomnę — powiedziała Catriona.

Wahała się przez chwilę, po czym wrzuciła do wody jedną po drugiej orchidee, które podarował jej George Welterman. Przez chwilę obserwowała, jak kwiaty krążą po basenie portowym, następnie odwróciła się i poszła szukać Marka.